

Początek ciemności

Laurell K. Hamilton



calibre 0.9.27

POCAŁUNEK CIEMNOŚCI

(Przełożył: Piotr Grzegorzewski)

Zysk i s-ka 2002

Wszystkim tym, którzy utrzymywali stare opowieści przy życiu w małych pokoikach i wielkich domach, przy blasku świec i świetle elektrycznym, wszystkim którzy podtrzymywali wiarę w nie, oraz wszystkim, którzy zawsze je lubili.

Podziękowania

Robinowi Bellowi za bardzo wiele, w tym za materiały dotyczące mitologii celtyckiej. Darli Cook, bez której tak wiele rzeczy byłoby nie rozwiązanych. Deborah Millitello, która przeczytała tę książkę i uznała ją za dobrą. Całej mojej grupie pisarskiej, która z powodu ograniczeń czasowych nie czytała ostatecznej wersji: Tomowi Drennanowi, Rettowi MacPhersonowi, Marelli Sands, Sharon Shinn i Markowi Sumnerowi. A także wszystkim pracownikom Ballantine i Del Rey, szczególnie mojej redaktorce Shelly Shapiro.

Rozdział 1

Dwadzieścia trzy piętra w górę i wszystko, co widać za oknem, to szary smog. Mogą to sobie nazywać Miastem Aniołów, ale jeśli naprawdę na zewnątrz byłyby anioły, musiałyby latać na oślep.

Los Angeles jest miastem, do którego ludzie, ci ze skrzydłami i bez, przyjeżdżają, gdy chcą uciec. Uciec przed innymi, uciec przed sobą. Ja też tu uciekłam - i to z powodzeniem ale za każdym razem, gdy patrzyłam na to brudne niebo, chciałam wracać w moje rodzinne strony - do Cahokia w Illinois, gdzie niebo było błękitne, a trawa rosła bez podlewania. Nie mogłam jednak tam wrócić, gdyż moi krewni chcieli mnie zabić. Jeśli marzy się wam bycie księżniczką w Krainie Faerie, wierzcie mi, że jest to mocno przereklamowane.

Pukanie do drzwi. Otworzyły się, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. W wejściu stanął mój szef, Jeremy Grey. Mały, szary człowieczek, cztery stopy jednaście cali wzrostu, cal niższy ode mnie. Był cały szary, począwszy od stonowanego garnituru od Armaniego, a skończywszy na zapiętej na ostatni guzik koszuli i jedwabnym krawacie. Tylko jego buty były czarne i błyszczące. Nawet jego skóra była blada i jednolicie szara. Nie dlatego, że był chory albo stary. Przypuszczalnie był w kwiecie wieku, mógł mieć najwyżej czterysta lat. Wokół oczu i w kącikach ust miał trochę zmarszczek, które nadawały mu dojrzałości, żadną miarą nie był jednak stary. Nawet nie wspomagając się krwią śmiertelników czy poważnym zaklęciem, Jeremy mógł żyć wiecznie. Przynajmniej teoretycznie. Naukowcy twierdzą, że za jakieś pięć miliardów lat Słońce rozrośnie się i pochłonie Ziemię. Żadna z istot tego nie przeżyje. Wszyscy zginą. Czy pięć miliardów lat można uznać za wieczność? Chyba nie. Chociaż to wystarczająco dużo, by wzbudzić zazdrość u większości z nas.

Odwróciłam się plecami do okien i gęstego smogu. Dzień był tak szary jak mój szef, tyle że jego kolor był chłodną, rześką szarością, jak chmury przed wiosennym deszczem. To, co znajdowało się za oknem, było ciężkie i gęste, jak coś, co próbujesz połknąć, ale utkwilo ci w przełyku. To był dzień w sam raz do udławienia się. A może to tylko ja byłam w takim nastroju?

- Wyglądasz na przygnębioną, Merry - powiedział Jeremy. - Co się stało?

Zamknął za sobą drzwi, po czym sprawdził, czy są domknięte. Dyskretny, jak zawsze. Miałam jednak wrażenie, że kryje się za tym coś więcej. Było coś w jego spojrzeniu, jakieś dziwne napięcie

w kącikach oczu, w szczupłych, przyobleczonych w doskonale skrojony garnitur ramionach, co kazało mi myśleć, że nie tylko ja jestem dzisiaj w podłym nastroju. Może to kwestia pogody czy właściwie jej braku. Solidny deszcz albo wiatr oczyściłby niebo ze smogu i pozwolił miastu odetchnąć.

- Tęsknię za domem - powiedziałam. - Co się stało?

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie dasz się zwieść, co?

- Nie - odparłam.

- Ładny strój - powiedział.

Wiedziałam, że muszę wyglądać nieziemsko, jeśli Jeremy chwali mój ubiór. Zawsze wyglądał nienagannie, nawet w dżinsach i T-shircie, które nosił tylko wtedy, gdy zależało mu na tym, żeby nie rzucać się w oczy. Widziałam kiedyś, jak w trzy minuty przebiegł milę, goniąc podejrzanego, a miał na nogach buty od Gucciego. Oczywiście, pomogło mu to, że był o niebo sprawniejszy i szybszy od zwykłego śmiertelnika. Ja, na samą myśl, że musiałabym kogoś gonić (mało prawdopodobne, acz możliwe), na wszelki wypadek zrzucałam w domu adidasa i wkładałam szpilki.

Jeremy posłał mi jedno z tych spojrzeń, którymi mężczyźni zwykle cię obdarzają, gdy im się podobasz. Nie było w tym nic osobistego, ale dla sidhe nie ma większej zniewagi niż to, że ktoś ją ignoruje, mimo że zrobiła wszystko, by wyglądać atrakcyjnie - bo to znak, że się nie udało. Mnie chyba jednak się udało. Gdy zdałam sobie sprawę z obecności smogu za oknem, dla poprawienia nastroju ubrałam się bardziej kolorowo niż zwykle. Błękitny dwurzędowy żakiet, srebrne guziki, błękitna plisowana spódniczka, ledwie wystająca spod żakietu. Była tak krótka, że gdy źle skrzyżowałam nogi, błyskałam końcówką czarnych pończoch. Dwucalowe, lakierowane, skórzane wysokie obcasy pozwalały mi popisywać się nogami. Kiedy jest się tak niewysokim jak ja, trzeba coś zrobić, żeby nogi sprawiały wrażenie długich. Większość życia spędziłam, chodząc na dwu- lub trzycalowych obcasach.

Moje włosy miały głęboko rudą barwę. Były bardziej rude niż kasztanowe i miały czarne pasemka zamiast brązowych, którymi natura obdarzyła większość rudowłosych. To tak, jakby ktoś wziął ciemnoczerwone rubiny i przeciągnął nimi po moich włosach. Tego roku był to bardzo modny kolor. Krwisty kasztan - tak się to nazywało na dworze królewskim. Fryzjerzy natomiast określali to mianem czerwieni faerie lub szkarłatu sidhe. Tyle że w moim przypadku był to naturalny kolor. Zanim stał się modny, musiałam go ukrywać. Pofarbowałam włosy na czarno, ponieważ ten kolor bardziej pasował do mojej karnacji. Większość ludzi farbuje włosy, wychodząc z błędnego przekonania, że szkarłat sidhe dopełnia naturalną rudą barwę. Nic podobnego. To jest jedyny prawdziwy rudy kolor, jaki znam, który pasuje do bladej, czysto białej karnacji. To jest kolor dla kogoś, kto wygląda świetnie w czerni, czerwieni i błękicie.

Jedynie, co wciąż musiałam ukrywać, to zieleń i złoto w moich oczach oraz blask mojej skóry. Jeśli chodzi o oczy, to ukrywałam je za brązowymi szklami kontaktowymi. Co do mojej skóry - przytłumiłam jej blask za pomocą magii. Ciągła koncentracja, niczym muzyka z tyłu głowy, by nigdy nie pozwolić sobie zacząć błyszczeć. Ludzie w ogóle nie błyszczą, bez względu na to, jak są błyskotliwi. Tak więc żadnego blasku i szkła kontaktowe. Poza tym otuliłam się, niczym długim płaszczem, zaklęciem. Pozwalało mi ono uchodzić za człowieka z niewielką domieszką krwi istot magicznych i z pewnymi nadprzyrodzonymi zdolnościami, dzięki którym byłam naprawdę niezłym detektywem, ale zarazem nikim wyjątkowym.

Jeremy nie miał pojęcia, kim naprawdę jestem. Nikt w agencji o tym nie wiedział. Byłam jednym z najsłabszych ogniw królewskiego dworu, ale bycie sidhe coś jednak znaczyło, nawet jeśli się stało na samym końcu szeregu. Znaczyło na przykład, że mogłam z powodzeniem skrywać swe prawdziwe

ja, swe prawdziwe zdolności nawet przed najlepszymi czarodziejami w mieście. Może nawet w całym kraju. Niezbyt wielki wyczyn, który na dodatek nie mógł mnie uchronić przed nożem wbitym w plecy lub zakłębieniem powstrzymującym bicie serca. Do tego potrzebowałam umiejętności, których nie miałam. To dlatego, między innymi, się ukrywałam. Nie mogłam pokonać sidhe, sama nie umierając. Najlepsze, co mogłam zrobić, to się ukryć. Zaufałam Jeremy'emu i pozostałym. Byli moimi przyjaciółmi. Nie mogłam jednak przewidzieć, co sidhe mogą im zrobić, gdy mnie znajdą i odkryją, że moi przyjaciele znali moją tajemnicę. Jeśli nie mieliby o niczym zielonego pojęcia, byłaby szansa, że sidhe puściłyby ich wolno. Niewiedza była w tym przypadku wybawieniem. I mimo że przyjaciele mogliby uważać to za zdradę, to jeśli miałam wybierać między tym, żeby byli żywi, choć wściekli na mnie, a tym, żeby umierali w męczarniach, nie żywiąc do mnie urazy, wybierałam to pierwsze. Mogłabym jakoś żyć ze świadomością, że są na mnie wściekli. Nie byłam natomiast pewna, czy mogłabym żyć, mając na sumieniu ich śmierć.

Wiem, wiem. Pewnie zastanawiacie się, dlaczego nie poprosiłam o azyl w Urzędzie do spraw Ludzi i Istot Magicznych. Odpowiedź jest prosta. Otóż, jeśli moi krewni mnie znajdą, być może mnie zabiją. Jeśli jednak o sprawie stanie się głośno, wtedy zabiją mnie z pewnością. I to o wiele wolniej. Więc żadnej policji, żadnych ambasadorów, tylko zabawa w chowanego.

Uśmiechnęłam się do Jeremy'ego i odwdzieczyłam mu się spojrzeniem, które mówiło, że podziwiam jego małe ciało przyobleczone w ten perfekcyjny garnitur. Ludzie uznaliby zapewne, że ze sobą flirtujemy. Dla nas nawet nie leżało to w pobliżu flirtowania.

- Dziękuję, ale zapewne nie przyszedłeś tu po to, żeby prawić mi komplementy. Podeszedł bliżej, po czym przebiegł wymanikiurowanymi palcami po krawędzi biurka.

- W moim biurze są dwie kobiety. Chciałyby być naszymi klientkami - powiedział.

- Co więc stoi na przeszkodzie? - spytałam.

Odwrócił się, oparł o biurko i skrzyżował ramiona na piersi. Patrzył na moje odbicie w oknie - albo bezwiednie, albo celowo - chociaż nie wiedziałam dlaczego.

- Zwykle nie zajmujemy się sprawami rozwodowymi - powiedział.

Otworzyłam szeroko oczy, odchodząc od okna.

- Pamiętasz, co powiedziałaś mi pierwszego dnia? „Lekcja pierwsza: Agencja Detektywistyczna Greya nigdy, przenigdy nie zajmuje się rozwodami”.

- Wiem, wiem - odparł. Odsunął się od biurka i stanął obok mnie, wpatrując się we mgłę za oknem. Nie sprawiał wrażenia szczęśliwszego ode mnie.

Oparłam się o szybę, dzięki czemu lepiej widziałam jego twarz.

- Dlaczego łamiesz swoją podstawową zasadę?

Potrząsnął głową, nie patrząc na mnie.

- Chodź do nich, Merry. Zaufam twojemu osądowi. Jeśli powiesz, żebyśmy trzymali się od tej sprawy z daleka, tak właśnie zrobimy. Ale wydaje mi się, że będziesz tego samego zdania co ja.

Dotknęłam jego ramienia.

- Co cię tak martwi, szefie? - Przebiegłam dłonią w dół jego ręki, zmuszając go, by na mnie spojrział. Jego oczy pociemniały z gniewu.

- Chodź do nich, Merry. Jeśli będziesz potem tak wściekła jak ja, nakryjemy drania.

Chwyciłam go za ramię.

- Spokojnie. To tylko sprawa rozwodowa.

- A co powiesz na usiłowanie morderstwa? - Jego głos był spokojny. Nie pasował do gniewu w jego oczach i drżenia ramion.

Odsunęłam się od niego.

- Usiłowanie morderstwa? O czym ty mówisz?

- Mówię o najpaskudniejszym zakłęciu śmierci, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia.

- Mąż próbuje zabić żonę? - spytałam.

- Ktoś z pewnością usiłuje to zrobić. Żona twierdzi, że jej mąż. A jego kochanka się z nią zgadza.

Zamrugałam.

- Chcesz powiedzieć, że masz w swoim biurze żonę i kochankę?

Skinał głową i mimo całej złości uśmiechnął się. Odpowiedziałam tym samym.

- Cóż, zawsze musi być ten pierwszy raz.

Wziął mnie za rękę. - Nawet jeśli oznaczać by to miało tylko zwykłą sprawę rozwodową - powiedział. Potarł kciukiem moją rękę. Musiał być zdenerwowany, w innym wypadku nie dotykałby mnie tak długo. Sposób na dodanie otuchy samemu sobie, rodzaj sprawdzianu. Podniósł moją dłoń do ust i musnął ją wargami. Nagle jakby zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Uśmiechnął się do mnie - to było wszystko, na co mógł się zdobyć - po czym skierował się do drzwi.

- Odpowiedz mi jeszcze na jedno pytanie.

Poprawił garnitur, chociaż leżał idealnie, po czym powiedział:

- Pytaj.

- Dlaczego się tego boisz?

Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Mam złe przeczucia. Nie mam daru przepowiadania przyszłości, ale i bez niego wyczuwam, kiedy coś śmierdzi.

- Więc dajmy sobie z tym spokój. Nie jesteśmy glinami. Robimy to dla pieniędzy, a nie dlatego, że przysięgaliśmy służyć i chronić.

- Jeśli po spotkaniu z nimi będziesz mogła się z tego wycofać, zrobimy to.

- Od kiedy to mój głos jest decydujący? Na tabliczce na drzwiach znajduje się nazwisko Grey, a nie Gentry.

- Teresa jest tak empatyczna, że nie odprawi nikogo z kwitkiem. A Roane ma zbyt miękkie serce, żeby odmówić pomocy płaczącym kobietom. - Poprawił swój szary krawat, muskając palcami brylantową spinkę. - Pozostali nie są od podejmowania decyzji. Zostajesz więc tylko ty.

Spojrzałam mu głęboko w oczy, próbując przedrzeć się przez barierę gniewu i smutku i odczytać, co naprawdę siedzi w jego głowie.

- Nie jesteś empatyczny, nie masz miękkiego serca i jesteś świetny w podejmowaniu decyzji. Dlaczego tym razem nie możesz jej podjąć?

- Dlatego, że jeśli odprawimy te kobiety, nie będą miały dokąd pójść. Jeśli odmówimy im pomocy, zginą.

Wpatrzyłam się w niego i w końcu zrozumiałam.

- Wiesz, że powinniśmy trzymać się od tej sprawy z daleka, ale nie możesz wziąć na siebie odpowiedzialności za czyjąś śmierć.

Skinał głową.

- Tak.

- Skąd pewność, że ja będę w stanie to zrobić ?

- Mam nadzieję, że przynajmniej jedno z nas ma choć trochę oleju w głowie.

- Nie zaryzykuję naszego bezpieczeństwa dla ratowania kogoś, kogo nie znam, więc przygotuj się na to, że je odprawię. - Nawet dla mnie mój głos zabrzmiał twardo i zimno.

Znów się uśmiechnął.

- Ale z ciebie zimna suka.

Potrząsnęłam głową i podeszłam do drzwi.

- Właśnie dlatego mnie kochasz. Zawsze możesz na mnie liczyć.

Wyszłam na korytarz przekonana, że uda mi się odprawić te kobiety. Pewna, że będę murem, który ustrzeże nas przed dobrymi intencjami Jeremy'ego. Bogini wie, że już przedtem zdarzało mi się mylić. Nigdy jednak tak bardzo, jak tym razem.

Rozdział 2

Z jakiegoś powodu sądziłam, że wystarczy mi jedno spojrzenie, by orzec, która z tych dwóch kobiet jest żoną, a która kochanką. Ale gdy weszłam do pokoju, ujrzałam dwie atrakcyjne kobiety w niezobowiązujących strojach, wyglądające jak przyjaciółki, które wyszły razem na zakupy i lunch. Pierwsza z nich była niewysoka, chociaż kilka cali wyższa ode mnie i Jeremy'ego. Blond włosy sięgały jej do ramion, wijąc się w niedbałych lokach, które sprawiały wrażenie naturalnych. Była ładna w ten prosty, niewyzywający sposób, w jaki może być ładna sąsiadka z naprzeciwka. Tym, co ją wyróżniało, były niezwykle niebieskie oczy, które zdawały się zajmować niemal pół twarzy. Jej brwi były cienkie i czarne, a oczy otaczała koronka czarnych rzęs - owe czarne brwi i rzęsy kazały mi przypuszczać, że nie była naturalną blondynką. Nie miała makijażu, a mimo to wyglądała bardzo ładnie, w zwiewny, naturalny sposób. Trochę wysiłku i mogłaby stać się prawdziwą pięknoscią. Ale to wymagało czegoś więcej niż makijaż i lepiej dopasowane ubrania.

Siedziała przygarbiona na krześle, jakby czekała na cios. Zamrugła do mnie swymi pięknymi oczami, jak sarna złapana przez światło reflektora, zupełnie jakby nie miała siły, by powstrzymać to, co nastąpi, a to, co nastąpi, miało być naprawdę złe.

Druga z kobiet była wysoka (musiała mieć co najmniej z jakieś pięć stóp osiem cali wzrostu) i szczupła. Jasnobrązowe proste włosy sięgały jej do pasa. Początkowo myślałam, że ma niewiele ponad dwudziestkę. Kiedy jednak spojrzałam w jej brązowe oczy, dodałam jakieś dziesięć lat. Nie można mieć takiego spojrzenia przed trzydziestką. Miała wzrok pewniejszy niż blondynka, ale wokół jej oczu widać było drżenie, a w ramionach napięcie, jakby głęboko w środku było coś, co ją raniło. Była tak drobnej budowy, że odnosiło się wrażenie, jakby pod skórą miała coś bardziej delikatnego niż zwykłe kości. Tylko jedna rzecz mogła tłumaczyć podobną delikatność budowy: w żyłach tej kobiety płynęła krew sidhe. Och, z całą pewnością nie było tej krwi zbyt wiele, nie tyle, ile w moim przypadku. Najwyraźniej gdzieś tam, w odległej przeszłości jej babcia musiała zapomnieć się z kimś, kto nie był człowiekiem, a owocem owej chwili zapomnienia było dziecko. Krew sidhe, niezależnie od stopnia pokrewieństwa, pozostawała w genach na zawsze.

Byłam gotowa się założyć, że blondynka jest żoną, a ta druga kochanką. Blondynka wyglądała na bardziej przybitą, co zwykle jest następstwem ran zadanych przez mężczyznę. Jest taki rodzaj mężczyzn, którzy ranią wszystkie kobiety dookoła, zostawiając najgorsze dla najbliższej rodziny. Mój dziadek taki był.

Weszłam do pokoju, uśmiechając się, i wyciągnęłam na przywitanie rękę, tak jak to zwykle robiłam. Jeremy dokonał prezentacji. Niska blondynka była żoną, Frances Norton; wysoka brązowowłosa - kochanką, Naomi Phelps.

Uścisk dłoni Naomi był pewny. Ręka była chłodna, a te nadzwyczajne kości poruszyły się pod skórą. Trzymałam jej dłoń odrobinę zbyt długo, rozkoszując się tym dotykiem. Od trzech lat nie byłam tak blisko innej sidhe. Nawet dotyk innych mieszkańców Faerie to nie było to. Królewska krew była jak narkotyk. Raz posmakujesz, a nigdy nie zapomnisz.

Spojrzała na mnie zmieszana i była to bardzo ludzka reakcja. Puściłam jej rękę, ze wszystkich sił starając się uchodzić za człowieka. Czasami wychodziło mi to lepiej, czasami gorzej. Mogłabym spróbować zmierzyć jej zdolności, żeby się przekonać, czy tylko strukturę kości odziedziczyła po przodkach, ale niegrzecznie byłoby badać magiczne zdolności kogoś już przy pierwszym spotkaniu.

Wśród sidhe uznawano to za jawne wyzwanie, przejaw lekceważenia, oznakę, że nie wierzysz, iż druga osoba potrafi zabezpieczać się przed twoją magią. Naomi zapewne nie poczułaby się znieważona, ale jej niewiedza nie usprawiedliwiałaby mojej niegrzeczności.

Frances Norton podała dłoń tak, jakby się bała ludzkiego dotyku. Rękę tylko trochę zgięła, tak żeby mogła schować ją za siebie, gdy tylko skończę się witać. Byłam dla niej tak samo grzeczna jak dla jej towarzyski, ale gdy dotknęłam jej ręki, poczułam pod palcami jakieś zakłęcie. Nacisk niewielkiego pola energetycznego, które jakby chciało mnie powstrzymać. Czyjaś magia, tak silna, że wypełniała jej aurę niczym brudna woda czystą szklanekę. W pewnym sensie ta kobieta nie była już sobą. To nie było opętanie, choć coś bardzo podobnego. Z całą pewnością było to złamanie kilku ludzkich przepisów, i to akurat tych, których złamanie stanowiło ciężkie przestępstwo.

Trzymałam jej rękę, czując tę energię. Zakłęcie próbowało przedrzeć się przez moją skórę w górę ramienia. Nie można było tego zobaczyć, ale wyczułam ciemność próbującą liźnąć moje ramię. Zatrzymałam to poniżej łokcia, a potem skupiłam się, żeby to ściągnąć, jakbym zsuwała rękawiczkę. Temu czemuś udało się przejść przez moją osłonę tak, jakby jej tam nie było. Niewiele istot może to zrobić. Z pewnością żaden człowiek.

Kobieta popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Co... co pani robi?

- Akurat pani nie robię nic, pani Norton. - Mój głos brzmiał jak z oddali, ponieważ byłam skupiona na odpychaniu od siebie zakłęcia, żeby, gdy już puszcze jej rękę, nic na mnie nie pozostało.

Próbowała wyswobodzić rękę z mojego uścisku, ale jej nie pozwoliłam. Zaczęła ją ciągnąć, słabo, ale gorączkowo.

- Puść Frances, w tej chwili! - krzyknęła jej towarzyska.

Byłam już prawie wolna, prawie gotowa, żeby ją puścić, kiedy Naomi Phelps złapała mnie za ramię. Włosy zjeżyły mi się na głowie i przestałam się koncentrować. Zakłęcie dostało się z powrotem na moją rękę i było już w połowie drogi do ramienia, zanim ponownie udało mi się skoncentrować tak, by je zatrzymać. Ale to było wszystko, co mogłam zrobić. Nie mogłam go odepchnąć, ponieważ zbyt dużo mojej uwagi pochłaniała obecność Naomi.

Nigdy nie dotyka się kogoś, kto zajmuje się magią, chyba że się chce, żeby coś się stało. Ta kobieta najwyraźniej nie miała w tego rodzaju sprawach żadnego doświadczenia. Nikt, kto miał za sobą choćby elementarne przeszkolenie, nie zrobiłby czegoś podobnego. Wyczułam pozostałości jakiegoś rytuału. Czegoś złożonego. Czegoś egoistycznego. Myślą, która odruchowo przyszła mi do głowy, było obżarstwo. Coś, co żywiło się jej energią i pozostawiło na niej swój ślad.

Odskoczyła ode mnie, przykładając ręce do serca. Wyczuła moją energię, więc miała dar. Nie było to dla mnie zbyt wielką niespodzianką. Zaskakujące było to, że nie miała żadnego przeszkolenia. Obecnie już w przedszkolu przeprowadza się testy na postrzeganie pozazmysłowe. Program ten wprowadzono w latach sześćdziesiątych. Naomi musiała postanowić, że nie będzie się wyróżniała, i ukryła swoje zdolności. W efekcie w wieku trzydziestu kilku lat wciąż nie mogła sobie z nimi poradzić. Większość ludzi, którzy nie przeszli przeszkolenia, kończyła jako szaleńcy, kryminaliści albo samobójcy, zanim udało im się dobiec trzydziestki. Musiała być niezwykle silną osobą, jeśli była „tak poukładana, na jaką wyglądała. Ale ta niezwykle silna kobieta patrzyła na mnie ze łzami w oczach.

- Nie przyszłyśmy tu po to, by się nad nami znęcano - powiedziała.

Jeremy podszedł do nas, ale uważał, żeby żadnej z nas nie dotknąć. Wiedział, że nie może tego zrobić.

- Nikt się tu nad nikim nie znęca, panno Phelps. Po prostu zaklęcie, które rzucono na panią Norton, próbowało... przedostać się na moją współpracowniczkę. Gdy panna Gentry usiłowała je odepchnąć, pani jej dotknęła. Nie powinna pani dotykać kogoś, kto zajmuje się magią, panno Phelps. Skutków nie da się przewidzieć.

Kobieta patrzyła na nas, a wyraz jej twarzy mówił, że nam nie wierzy.

- Chodź, Frances - powiedziała w końcu. - Nic tu, kurwa, po nas.

- Nie mogę - odparła Frances głosem, który stał się cichy i uległy. Gdy popatrzyła na mnie, w jej oczach widać było strach - i to strach przede mną.

Czuła energię, która owijała się wokół naszych rąk, naciskając na nas, i myślała, że to ja ją wywołałam.

- Słowo daję, że to nie ja - zapewniłam ją. - Rzucono na panią jakieś zaklęcie, które przeszło na mnie. Muszę je z siebie ściągnąć i przenieść z powrotem na panią.

- Chcę się od niego uwolnić - powiedziała podniesionym głosem.

- Jeśli nie ściągnę go z siebie, ten, kto rzucił na panią to zaklęcie, będzie w stanie mnie odnaleźć. Dowie się, że pracuję w agencji detektywistycznej specjalizującej się w sprawach nadprzyrodzonych i magicznych - zacytowałam nasz slogan reklamowy. - Dowie się, że zwróciła się pani do nas o pomoc. Czy tego właśnie pani chce?

Nieznaczne drżenie przebiegło po jej dłoni i przeszło na ramiona, aż wreszcie cała zaczęła się trząść, jakby jej było zimno. Może i było, ale nie był to ten rodzaj chłodu, z którym można się rozprawić, wkładając jeszcze jeden sweter. Żadne zewnętrzne źródło ciepła nie uleczy wewnętrznego chłodu. Musiałaby być rozgrzana od jądra duszy aż po koniuszki palców. Ktoś musiałby napełnić ją mocą, magią, tak że zaczęłaby odmarzać po troszeczkę, jak jakaś starożytna istota odnaleziona pośród lodów. Jeśli odmroziłoby się ją zbyt szybko, spowodowałoby się więcej zniszczeń, niż gdyby pozostawiono ją w spokoju. Nie potrafiłam tak delikatnie posługiwać się mocą. Mogłam tylko ją uspokoić, sprawić, żeby przestała się bać - ale ten, kto rzucił na nią zaklęcie, i tak mógł to odkryć. Nie sądziłam, żeby był w stanie mnie odnaleźć, ale dowiedziałby się, że spotkała się z kimś używającym magii, kimś, kto próbował jej pomóc. Coś mi mówiło, że nie spodobałoby mu się to. Mógł zrobić coś pochopnego, na przykład przyspieszyć cały proces.

Czułam wysysającą energię zaklęcia, próbującą sforsować moją osłonę, pożywić się mną. To było coś na kształt magicznego raka, ale tak łatwego do złapania jak grypa. Jak wielu ludzi do tej pory zaraziła? Z jak wielu ludzi to zaklęcie wysysa energię? Ktoś, kto miał dar, mógł spostrzec, że coś się dzieje, ale pewnie nie wiedział co. Mógł instynktownie unikać Frances Norton, a przy tym całymi tygodniami, a nawet miesiącami nie uświadamiać sobie, że zmęczenie, niejasne poczucie braku sensu, depresja, były spowodowane przez zaklęcie.

Chciałam jej powiedzieć, co zamierzam zrobić, ale popatrzawszy w jej wielkie oczy, dałam sobie spokój. Była za bardzo spięta, za bardzo się bała. Musiałam to zrobić tak, żeby tego nie poczuła. Tylko tyle mogłam uczynić.

Przez te kilka chwil, kiedy było pod moją skórą, zaklęcie zdążyło ściemnieć, stać się bardziej realne. Zaczęłam ściągać je z ręki. Przywarło jak smoła i musiałam się skupić, by je odepchnąć, zdjąć je z siebie jak grube ubranie. Każdy cal mojej skóry, który został uwolniony, wydawał mi się lżejszy, czystszy. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak można żyć z czymś takim. To tak, jakby spędzić całe życie bez świeżego powietrza, w ciemnym pokoju, do którego nigdy nie dochodzi słońce.

Uwolniłam ramię, rękę, po czym zaczęłam wolniutko odrywać palce od jej dłoni. Stała w całkowitym bezruchu, jak zając ukrywający się w trawie, chwytający się ze wszystkich sił nadziei, że lis ominie go, jeśli tylko będzie siedział cicho. Nie chciałam zdradzać Frances Norton, że w połowie

znajdowała się już w lisim gardle, przebierając nóżkami w powietrzu.

Kiedy oderwałam palce, zaklęcie spadło z nich i wróciło na swoje miejsce z prawie słyszalnym odgłosem. Wytarłam dłonie w żakiet. Byłam czysta od zaklęcia, ale miałam straszną ochotę umyć ręce we wrzątku. Chociaż zwykła woda mogła nie pomóc. Najlepiej do tego nadawałaby się woda święcona albo morska.

Frances opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Jej ramiona drżały. W pierwszej chwili myślałam, że bezgłośnie płacze. Kiedy jednak Naomi przytuliła ją, odsłoniła suchą twarz. Frances po prostu drżała, tylko drżała, jak gdyby nie mogła już płakać, nie dlatego, że nie chciała, a dlatego, że wypłakała już wszystkie łzy. Siedziała tam i pozwalała się przytulać i kołysać kochance swego męża. Trzęsa się tak bardzo, aż zaczęła szczerkać zębami, ale się nie rozplakała. Wyglądało to jeszcze gorzej, niż gdyby zalała się łzami.

- Przepraszamy panie. Musimy na chwilę wyjść - powiedziałam. Spojrzałam na Jeremy'ego i skierowałam się do drzwi, wiedząc, że pójdzie za mną.

- Przepraszam, Merry - powiedział, gdy już znaleźliśmy się na korytarzu. Potrząsałem jej ręką i nic się nie stało. Zaklęcie na mnie nie podziałało.

Skinęłam głową. Wierzyłam mu.

- Może po prostu lepiej smakuje.

Roześmiał się.

- Co prawda nie sprawdzałem, ale gotów jestem się o to założyć.

- Masz taką samą moc jak ja. Jesteś lepszym czarodziejem niż ja kiedykolwiek będę, nawet jeśli zaklęcie na ciebie nie zareagowało.

Potrząsnął głową.

- Nie, nie zareagowało. Może i masz rację. Może to zbyt niebezpieczne dla ciebie.

Popatrzyłam na niego z niesmakiem.

- Nagle zacząłeś być ostrożny?

Spojrzał na mnie, starając się nie zmieniać wyrazu twarzy.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że nie zachowasz się jak suka o zimnym sercu, tak jak miałem nadzieję?

Oparłam się o ścianę i popatrzyłam na niego z wściekłością.

- To coś jest tak niebezpieczne, że lepiej będzie zawiadomić policję.

- Zgłoszenie na policję nie uratuje ich. Nie mamy wystarczających dowodów na to, że to mąż. Jeśli nie udowodnimy tego przed sądem, nie spędzi w więzieniu ani chwili, a to oznacza, że będzie mógł zrobić coś jeszcze gorszego. Musimy zamknąć go w strzeżonej celi, skąd nie będzie mógł im wyrządzić krzywdy.

- Dopóki nie jest za kratkami, potrzebna im ochrona. To nie jest robota dla agencji detektywistycznej, tylko dla opiekunek do dziecka.

- Uther i Ringo są doskonałymi opiekunkami do dziecka - powiedział.

- Nie wątpię.

- Ciągłe jesteś przygnębiona. Dlaczego?

- Powinniśmy trzymać się od nich z daleka - odparłam.

- Ale nie będziemy - powiedział z uśmiechem.

- Nie. Nie będziemy. - W Stanach było mnóstwo agencji, które reklamowały się, że mają specjalistów od spraw magicznych. To był interes na wielką skalę, tyle że reklamy większości z tych agencji nijak się miały do prawdy. Co innego my. Byliśmy jedną z nielicznych agencji, które mogły pochwalić się zespołem złożonym w całości z osób ze zdolnościami nadprzyrodzonymi. Byliśmy

również jedyną agencją, która mogła pochwalić się tym, że prawie wszyscy jej pracownicy - z wyjątkiem dwóch - byli istotami magicznymi. Niezbyt wiele istot magicznych pełnej krwi decydowało się na życie w wielkim, zatłoczonym mieście. Los Angeles było lepsze od Nowego Jorku czy Chicago, ale i tak było tu zbyt wiele metalu, techniki i ludzi. Mnie to nie przeszkadzało. Moja ludzka krew pozwalała mi tolerować życie w stalowo-szklanych więzieniach. Co prawda, wolałam wieś, ale jak się nie ma, co się lubi... Mogłam się bez tego obyć. Niektóre istoty magiczne mogły.

- Chciałabym im odmówić, Jeremy.

- Masz złe przeczucia, prawda?

Skinęłam głową. - Zgadza się. - Wiedziałam, że jeśli odprawię je z kwitkiem, drżąca twarz Frances będzie pojawiać się w moich snach. Jeśli temu, kto usiłuje je zabić, uda się doprowadzić rzecz całą do końca, obie mogą zacząć mnie nawiedzać. Mogą wrócić jako duchy i opłakiwać mnie za to, że świadomie pozbawiłam je ostatniej szansy ratunku. Ludziom wydaje się, że duchy straszą swych zabójców, ale nie do końca odpowiada to prawdzie. Duchy zdają się mieć specyficzne poczucie sprawiedliwości i przy moim szczęściu będę je miała na głowie aż do momentu, gdy znajdę kogoś, kto je ujarzmi. Jeśli w ogóle uda się to zrobić. Niektóre duchy były prawdziwymi twardzielami. Wtedy kończyło się z rodzinnym duchem, wyjąłym jak banshee przy każdej śmierci. Nie sądziłam, żeby te kobiety miały tak silne charaktery, ale nie dałabym sobie za to ręki uciąć. To jednak bardziej poczucie winy kazało mi wejść z powrotem do biura niż strach przed odwetem duchów. Niektórzy twierdzą, że istoty magiczne nie mają serca ani poczucia obowiązku. Jeśli chodzi o niektóre istoty magiczne, odpowiada to prawdzie, ale nie, jeśli chodzi o Jeremy'ego i mnie. Oboje potrafimy współczuć. Naprawdę współczuć.

Rozdział 3

To Naomi Phelps przede wszystkim z nami rozmawiała, podczas gdy Frances siedziała, dygocząc. Nasza sekretarka przyniosła jej kawę i szal. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że rozlewała kawę, ale udało jej się też trochę wypić. Czy to z powodu ciepła, czy kofeiny, wyglądała już trochę lepiej.

Jeremy poprosił Teresę, żeby wysłuchała z nami kobiet. Teresa była naszą stałą współpracowniczką. Dwóch cali brakowało jej do sześciu stóp, była szczupła, z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi, długimi, jedwabistymi czarnymi włosami i skórą barwy kawy z mlekiem. Gdy zobaczyłam ją pierwszy raz, od razu wiedziałam, że obok afroamerykańskiej krwi płynie w jej żyłach krew sidhe, choć pewnie próżno by szukać jej przodków na dworze królewskim. To dzięki temu koniuszki jej uszu były lekko spiczaste. Wiele osób, pragnąc uchodzić za sidhe, wszczepia sobie chrząstki, żeby mieć spiczaste uszy. Zapuszczają włosy aż do kostek i udają, że są sidhe. Prawda natomiast jest taka, że czystej krwi sidhe nigdy nie miały spiczastych uszu. Są one oznaką nieczystej krwi. Jednak dla większości ludzi prawdziwa sidhe musi mieć spiczaste uszy i koniec. Zaiste, wielka jest siła zabobonów.

Teresa miała równie delikatną budowę kości co Naomi, ale nigdy nie kusiło mnie, żeby dotknąć jej ręki. Była jednym z potężniejszych jasnowidzów, jakich znałam. Ze wszystkich sił starałam się, żeby mnie nie dotknęła, z lęku, że może odkryć mój sekret i zagrozić nam wszystkim. Usiadła z boku na krześle, patrząc ciemnymi oczami na kobiety. Nie podała im ręki. Obeszła je szerokim kołem, tak więc nie było szansy, żeby nawet przypadkiem ich dotknęła. Jej twarz była bez wyrazu, ale musiała wyczuć zakłęcie, niebezpieczeństwo, kiedy weszła do pokoju.

- Nie wiem, ile miał kochanek - mówiła Naomi - dziesiątki czy setki. - Wzruszyła ramionami. - Wiem tylko, że jestem ostatnią w długim ich szeregu.

- Pani Norton... - zaczął Jeremy.

Frances podniosła na niego wzrok, zaskoczona, jak gdyby nie spodziewała się, że będziemy zadawać jej jakiegokolwiek pytania.

- Czy ma pani jakiś dowód na istnienie tych wszystkich kobiet?

Przełknęła i odpowiedziała głosem, który prawie przechodził w szloch. - Zdjęcia, robił im zdjęcia polaroidem. - Opuściła wzrok, po czym dodała cicho: - Nazywał je swoimi trofeami.

Musiałam zadać to pytanie. - Pokazał pani te zdjęcia czy je pani znalazła?

Spojrzała w górę, jej wzrok był pusty - nie było w nim gniewu, wstydu, niczego.

- Pokazał mi je. Lubi... lubi opowiadać mi o tym, co z nimi robił. Która z nich była w tym dobra, lepsza ode mnie.

Otworzyłam usta, ale zaraz je zamknęłam, ponieważ nie przychodziły mi do głowy żadne słowa pocieszenia. Byłam oburzona. Frances Norton powinna być wściekła. Mój gniew mógł pomóc nam rozwiązać problem doraźnie, ale nie mógł jej przywrócić sił. Nawet jeśli moglibyśmy pozbyć się jej męża, nie zagoiłoby to ran, które on zadał. Frances miała na głowie gorsze sprawy niż tylko zakłęcie.

Naomi dotknęła jej ramienia, by ją uspokoić.

- W taki właśnie sposób się poznałyśmy. Frances zobaczyła moje zdjęcie, a potem na siebie wpadłyśmy któregoś dnia. Przyłapałam ją na tym, że przygląda mi się w restauracji. Musiała mnie zapamiętać, kiedy opowiedział jej o tym, co mi robił. - Naomi opuściła wzrok. Jej ręce leżały prosto i bezwładnie wzdłuż nóg. - Cała byłam w siniakach. - Spojrzała w górę, nasze oczy się spotkały. - Frances podeszła do mojego stolika. Podwinęła rękaw i pokazała swoje siniaki. A potem powiedziała: „Jestem jego żoną”. I tak właśnie się poznałyśmy. - Przy tych ostatnich słowach uśmiechnęła się nieśmiało. Był to ten rodzaj uśmiechu, jaki towarzyszy opowieści o tym, jak spotkało się swoją miłość. Słodka historia, którą się opowiada znajomym.

Zastanawiałam się, czy nie łączyła ich jakaś silniejsza więź. Jeśli były kochankami, to mogło zmienić środki zaradcze, jakie zamierzaliśmy przedsięwziąć. W tego rodzaju sprawach trzeba brać pod uwagę wszelkie emocje. Ponieważ miłość i nienawiść mają różne energie, pracuje się z nimi na różne sposoby. Powinniśmy się dowiedzieć jakiego rodzaju związek łączy te kobiety, jeszcze zanim zaczęliśmy uzdrawiać sytuację. Nie dzisiaj jednak. Dzisiaj powinniśmy wysłuchać tego, co mają do powiedzenia.

- To było bardzo odważne z twojej strony - zauważyła Teresa. Jej głos, jak zresztą wszystko w niej, w jakiś przedziwny sposób łączył łagodność i kobiecość z ukrytą pod nimi siłą; stał okryta jedwabiem. Zawsze myślałam o Teresie jako o wspaniałej piękności z Południa, chociaż nie wyjechała nigdy dalej na południe niż do Meksyku.

Frances spojrzała na nią, a potem ponownie opuściła wzrok, po czym uniosła go znowu i jej usta poruszyły się. To był prawie uśmiech. Ten jeden mały ruch sprawił, że w moje serce wstąpiła nadzieja. Jeśli mogła zacząć się uśmiechać, jeśli mogła zacząć być dumna z siły, jaką okazała, to może jeszcze nie wszystko stracone.

Naomi uściśnęła jej ramię i uśmiechnęła się z dumą i uczuciem. Znowu odniosłam wrażenie, że są ze sobą bardzo blisko.

- To było moje wybawienie. Od chwili gdy poznałam Frances, zaczęłam na serio próbować z nim zerwać. Nie wiem, jak mogłam mu pozwolić, żeby mnie ranił. Nie jestem takim typem kobiety. To znaczy nigdy przedtem nie pozwoliłam żadnemu mężczyźnie tak się traktować. - Wyglądała na zawstydzoną, tak jakby mogła coś zrobić.

Frances dodała jej otuchy uściskiem dłoni. Naomi uśmiechnęła się do niej, po czym spojrzała na nas zmieszana.

- On jest jak narkotyk. Wystarczy jeden jego dotyk, a czeka się na następny. Niekoniecznie jego zresztą. To tak, jakby obudził moją seksualność, sprawił, że moje ciało boleśnie pragnęło dotyku. - Znow opuściła wzrok. - Nigdy nie byłam tak seksualnie świadoma innych ludzi. Początkowo to było zawstydzające, a jednocześnie podniecające. Potem zaczął mnie ranić. Na początku niewielkie rzeczy, w rodzaju wiązania, potem... zaczął mi dawać klapsy. - Zmusiła się, by spojrzeć nam w oczy. W jej spojrzeniu było wyzwanie, jakby prowokowała nas, byśmy myśleli o niej jak najgorzej. Był to przejaw wielkiej siły. Jakim sposobem temu facetowi udało się ją złamać? - Uświadomił mi, że rozkosz może wiązać się z bólem, a potem zaczął robić jeszcze gorsze rzeczy. Rzeczy, które po prostu raniły. Próbowałam go powstrzymać przed perwersjami i wtedy zaczął bić mnie naprawdę, nie próbując już nawet udawać, że ma to jakiś związek z seksem. - Jej usta drżały, spojrzenie wciąż było wyzywające. - Ale bicie go podniecało. To, że nie podniecało mnie, że mnie przerażało, też mu się podobało.

- Fantazje o gwałcie - powiedziałam.

Skinęła głową, jej oczy były szeroko otwarte, gdy próbowała powstrzymać łzy. Trzymała się mocno, próbując stłamsić wszystko w sobie. - Pewnego dnia przestały być to tylko fantazje.

- Mnie również lubił brać siłą - włączyła się Frances.

Spojrzałam na nie i ledwo się powstrzymałam przed potrząśnięciem głową. Od szesnastego do trzydziestego roku życia przebywałam na Dworze Unseelie. Były to lata przebudzenia mojej seksualności, więc wiedziałam wiele o związku między rozkoszą a bólem. Ale nigdy nic się nie działo bez mojej zgody. Jeśli dla drugiej osoby ból nie wiąże się z rozkoszą, to nie jest seks. To są tortury. A między ostrym seksem a torturami jest olbrzymia różnica. Dla sadystów ta różnica nie istnieje. W skrajnych przypadkach nie są zdolni do uprawiania normalnego seksu bez przemocy albo przynajmniej bez wzbudzania w swoich ofiarach strachu. Większość sadystów potrafi jednak uprawiać normalny seks. Mogą to robić, żeby cię oszukać, ale zawsze okazuje się, że nie są w stanie stworzyć normalnego związku. Koniec końców to, czego naprawdę pożądamy, wychodzi na jaw.

Skąd miałam tak rozległą wiedzę na ten temat? Jak już mówiłam, lata przebudzenia się mojej seksualności spędziłam na Dworze Unseelie. Nie zrozumcie mnie źle. Na Dworze Seelie również robi się dziwne rzeczy. Są one jednak zbliżone do ludzkich wyobrażeń na temat dominacji i uległości. Dwór Unseelie jest na tego rodzaju rzeczy o wiele bardziej otwarty. Wynika to zapewne z tego, że Królowa Powietrza i Ciemności, moja ciotka, niepodzielnie władająca królestwem przez ostatnie tysiąclecie (z przybliżeniem do stu lat), jest sadystką i ukształtowała królestwo na swoje wyobrażenie, podobnie jak Dwór Seelie na swoje wyobrażenie ukształtował mój wuj, Król Światła i Iluzji. Co ciekawe, na Dworze Seelie na porządku dziennym są spisek i kłamstwo. Należą one bowiem do świata iluzji. Wywodzą się z wiary, że jeśli na zewnątrz wszystko wygląda dobrze, to takie jest w istocie. Dwór Unseelie jest przynajmniej bardziej szczerzy.

- Naomi, czy był to pani pierwszy toksyczny związek? - spytała Teresa.

- Tak - potwierdziła. - Wciąż nie pojmuję, jak mogłam do tego dopuścić.

Spojrzałam na Teresę, a ona nieznacznie kiwnęła głową. To znaczyło, że wsłuchała się w odpowiedź i kobieta mówiła prawdę. Teresa była jedną z najsilniejszych czarodziejek w kraju. Nie tylko na jej dłonie należy uważać. W większości wypadków potrafi orzec, czy ktoś kłamie, czy nie. Przez te trzy lata, kiedy razem pracowałyśmy, musiałam w jej towarzystwie cały czas mieć się na baczności.

- Jak pani go spotkała? - spytałam. Nie użyłam jego imienia ani nazwiska, ponieważ obie kobiety mówiły o nim per „on”, zupełnie jakby nie było żadnego innego mężczyzny, z którym można byłoby go pomylić. Nie pomyliliśmy.

- Odpowiedziałam na ogłoszenie.

- Co to było za ogłoszenie? - spytałam.

Wzruszyła ramionami. - Ogłoszenie jak ogłoszenie, nic niezwykłego, z wyjątkiem zakończenia, w którym napisał, że chce stworzyć magiczny związek. Nie wiem, co takiego było w tym ogłoszeniu, ale ledwo je przeczytałam, zapragnęłam się z nim spotkać.

- Zakłęcie wewnętrznego przymusu - powiedział Jeremy. Spojrzała na niego. - Co takiego?

- Niektórzy mają tyle mocy, że mogą umieścić w ogłoszeniu zakłęcie, które przyprowdzi do nich tego, kogo chcą. W ten sposób dałam ogłoszenie, na które odpowiedziała pani Gentry. Tylko ludzie o naprawdę wyjątkowych zdolnościach mogli wykryć zakłęcie, a już naprawdę nieliczni potrafili dotrzeć do prawdziwej treści ogłoszenia. Naprawdę podany był na przykład zupełnie inny numer telefonu niż ten, który wydrukowano. Wiedziałem, że każdy, kto odczyta ukryty numer, będzie się nadawał do tej pracy.

- Nie miałam pojęcia, że coś takiego można umieścić w gazecie - powiedziała Naomi.

- Przecież on nie mógł dotknąć każdego egzemplarza. - To, że Naomi wiedziała, iż nałożenie zakłęcia bez dotykania jest naprawdę bardzo trudne, znaczyło, że wie więcej o magii, niż sądziłam. Miała rację.

- Potrzeba do tego naprawdę wielkiej mocy. To bardzo trudne i to, że ten ktoś był w stanie to zrobić, świadczy o tym, że ma duże zdolności.

- Więc to ogłoszenie przyciągnęło mnie do niego? - spytała.

- Może nie tyle panią, co jakąś pani cechę, której on potrzebował - odparł Jeremy.

- Większość z jego kobiet wyglądała na sidhe - powiedziała Frances.

Spojrzeliliśmy na nią. Zamrugwała.

- Spiczaste uszy. Jedna z kobiet miała tak po kociemu zielone oczy, że zdawały się jarzyć na zdjęciu. Ich skóra nie była taka, jaką mają ludzie, była bardziej zielona, niebieska. Trzy z nich miały więcej... części ciała niż mają ludzie, ale to nie była jakaś deformacja. Odniosłam wrażenie, że tak właśnie miały wyglądać.

Byłam pod wrażeniem. Pod wrażeniem tego, że potrafiła to dostrzec i poukładać sobie w głowie. Jeśli tylko udałooby się nam ją uratować, wyrwać z jego szponów...

- Co mówił o Naomi?

- Że jest niepełnej krwi sidhe. Naprawdę brało go, jeśli kobiety były niepełnej krwi sidhe. Nazywał je swoimi królewskimi nałożnicami.

- Dlaczego wybierał właśnie sidhe? - spytał Jeremy.

- Nigdy mi tego nie wyjaśnił - odparła Frances.

- Myślę, że mogło to być mu potrzebne do odprawiania rytuałów - powiedziała Naomi.

Odwróciliśmy się do niej.

- Jakich rytuałów? - spytaliśmy jednocześnie Jeremy i ja.

- Pierwszej nocy zabrał mnie do wynajętego mieszkania. Sypialnia miała całe ściany w lustrach i wielkie okrągłe łóżko. Podłoga była zrobiona z pięknego błyszczącego drewna, a koło łóżka leżał perski dywan. Wszystko zdawało się błyszczeć. Kiedy weszłam na łóżko, poczułam się tak, jakbym przeszła przez jakiegoś ducha. Nie wiedziałam, co to było, tej pierwszej nocy, ale którejs z następnych poślizgnęłam się na dywanie i ujrzałam na podłodze pod nim podwójne koło z symbolami dookoła. Wtedy zrozumiałam, że łóżko stało w środku koła. Nie rozpoznałam symboli, ale wiedziałam, że to było jakieś magiczne miejsce.

- Czy kiedykolwiek w łóżku robił coś, co wyglądało na rytuały magiczne? - spytałam.

- Niczego, co bym rozpoznała. Po prostu uprawialiśmy seks.

- Nie było czegoś, co by się regularnie powtarzało? - spytał Jeremy.

Potrząsnęła głową. - Nie.

- Czy uprawialiście seks tylko w tym mieszkaniu? - zapytał znów Jeremy.

- Nie, czasami spotykaliśmy się w hotelu.

To mnie zaskoczyło. - Czy w tym mieszkaniu robił coś, czego nie robił nigdzie indziej?

Poczerwieniała. - Tylko tam sprowadzał innych mężczyzn.

- Żeby uprawiali z nim seks? - spytałam.

Potrząsnęła głową. - Nie, żeby uprawiali seks ze mną. - Spojrzała na nas, jakby czekając na okrzyk przerażenia lub potępienia. Czegokolwiek oczekiwała, rozczarowała się. Jeśli tylko było trzeba, wszyscy potrafiliśmy tłumić emocje. Poza tym seks grupowy wyglądał dosyć niewinnie w zestawieniu z pokazywaniem żonie zdjęć swoich kochanek. To było coś nowego. Seks grupowy istniał na tym świecie trochę dłużej niż polaroidy.

- Czy to za każdym razem byli ci sami mężczyźni? - spytał Jeremy.

Potrząsnęła głową. - Nie, ale byli znajomymi. To znaczy, to nie było tak, że ściągał przechodniów z ulicy. - Zabrzmiało to defensywnie, zupełnie jakby było to czymś o wiele gorszym, a to, co robiła, nie było jeszcze takie złe.

- A czy któryś z nich spotkał się z panią więcej niż jeden raz? - spytał Jeremy.

- Trzech z nich.

- Czy zna pani ich nazwiska?

- Tylko imiona. Liam, Donald i Brendan.

Sprawiła wrażenie bardzo pewnej tych imion.

- Ile razy widziała pani tych mężczyzn?

- Nie wiem - odparła, starając się na nas nie patrzeć. - Wiele razy.

- Pięć? - spytał Jeremy. - Sześć, dwadzieścia sześć?

Podniosła wzrok zaskoczona. - Nie dwadzieścia razy, nie aż tyle.

- Więc ile? - spytał.

- Może osiem, może dziesięć, nie więcej. - Wyglądało na to, że to dla niej ważne, że nie było tego więcej niż dziesięć razy. Czy była to jakaś magiczna granica? Więcej niż dziesięć razy i jesteś kimś gorszym, niż gdyby to było osiem razy?

- A ile razy uprawiała pani seks grupowy? Znów poczerwieniała. - Czemu pan pyta?

- To pani nazwała to rytuałem, nie my - odparł Jeremy. - To wszystko, jak na razie, nie wygląda na rytuał, ale liczby mogą mieć magiczne znaczenie. Liczba osób wewnątrz koła. Ilość razy, gdy była pani wewnątrz koła z więcej niż jednym mężczyzną. Proszę mi wierzyć, panno Phelps, ja naprawdę nie stroję sobie z pani żartów.

Znów podniosła wzrok. - Nie to miałam na myśli...

- Owszem, właśnie to - odparł Jeremy - ale rozumiem, dlaczego odnosi się pani podejrzliwie do każdego mężczyzny, wszystko jedno: człowieka czy nie. - Chwilę się zastanawiał, po czym spytał: -

Czy wszyscy ci mężczyźni byli ludźmi?

- Donald i Liam mieli spiczaste uszy, ale poza tym wyglądali jak ludzie.

- Czy Donald i Liam byli obrzezani? - spytałam.

- Dlaczego pani o to pyta? - spytała szybko, znów się rumieniąc.

- Dlatego, że prawdziwe istoty magiczne powinny mieć setki lat, a poza tym nigdy nie słyszałam o istocie magicznej, która byłaby Żydem.

Nasze oczy spotkały się. - Och - powiedziała, po czym zastanowiła się. - Liam był obrzezany. Donald nie.

- Jak wyglądał Donald?

- Wysoki, umięśniony jak ciężarowiec, blond włosy do pasa.

- Czy był ładny? - spytałam.

Nad tym pytaniem również chwilę się zastanawiała. - Ładny nie, co najwyżej przystojny.

- Jakiego koloru miał oczy?

- Nie pamiętam.

Jeśli to był jeden z tych kolorów oczu, jakie mają sidhe, musiałaby to zapamiętać. Jeśli nie liczyć spiczastych uszu, to mógłby być każdy z dziesiątków mężczyzn z Dworu Seelie. Na Dworze Unseelie było tylko trzech blondynów, a żaden z moich trzech wujków nie podnosił ciężarów. Musieliby bardzo uważać, żeby nie podrzeć rękawic chirurgicznych, które stale nosili. A nosili, by nikogo nie zabić. Ich dłonie bowiem przy każdym dotyku wydzielały truciznę. Urodzili się przekłęci.

- Czy poznałaby pani tego Donalda?

- Tak.

- Czy ci mężczyźni mieli ze sobą coś wspólnego? - spytał Jeremy.

- Wszyscy mieli długie włosy, do ramion lub nawet jeszcze dłuższe.

Długie włosy, niewykluczone, że implantowane chrząstki w uszach, celtyckie imiona odniosłam wrażenie, że mogą to być ludzie udający sidhe. Nigdy nie słyszałam o seksualnym kulcie wśród ludzi udających sidhe, ale nigdy nie powinno się lekceważyć ludzkiej zdolności do psucia ideału.

- Dobrze, panno Phelps - powiedział Jeremy. - A co jeśli chodzi o tatuaże, znaki na ich ciałach, biżuterię?

- Nic z tych rzeczy.

- Czy spotykała się pani z nimi tylko w nocy?

- Nie, czasami wieczorami.

- Nie była to jakaś szczególna pora roku, na przykład blisko wakacji? - spytał Jeremy.

Zmarszczyła brwi.

- Spotykałam się z nimi trochę dłużej niż przez dwa miesiące. To nie były ani wakacje, ani jakaś szczególna pora roku.

- Czy uprawiała pani seks z nim lub z innymi określoną ilość razy w tygodniu?

Musiała się chwilę zastanowić, ale w końcu pokręciła głową.

- Z tym było różnie.

- Czy recytowali coś lub śpiewali? - spytał Jeremy.

- Nie - odparła.

Jak dla mnie, nie wyglądało to na żaden rytuał.

- Dlaczego użyła pani słowa „rytuał”, panno Phelps? Dlaczego nie użyła pani terminu „zakłęcie”?

- Nie wiem.

- Ależ wie pani - powiedziałam. - Ma pani magiczne zdolności. Nie sądzę, żeby użyła pani słowa rytuał bez powodu. Proszę się zastanowić. Dlaczego właśnie to słowo?

Zamyśliła się, wpatrzyła w przestrzeń niewidzącym spojrzeniem, a pomiędzy jej brwiami pojawiły się cienkie zmarszczki. Zamrugnęła i popatrzyła na mnie. - Pewnej nocy słyszałam, jak rozmawia przez telefon. - Opuściła głowę, po czym ją podniosła, znów patrząc wyzywająco, i domyśliłam się, że nie podoba jej się to, co musi powiedzieć. - Przywiązał mnie do łóżka, ale zostawił drzwi uchylone. Słyszałam tę rozmowę. Powiedział: „Rytuał pójdzie dobrze tej nocy”, potem jego głos stał się tak cichy, że nie mogłam go dosłyszeć, i w końcu: „Niedoświadczony poddają się łatwo”. - Popatrzyła na mnie. - Nie byłam dziewczicą, kiedy go poznałam. Byłam.. doświadczona. Zanim go poznałam, uważałam się za dobrą w łóżku.

- Co sprawiło, że przestała się pani za taką uważać? - spytałam.

- Powiedział mi, że nie jestem wystarczająco dobra, żeby go zaspokoić, że musi się nade mną znęcać, inaczej byłby znudzony. - Starła się pozostać wyzywająca i przegrała. W jej spojrzeniu pojawił się ból.

- Czy kochała go pani? - Staralam się zadać to pytanie możliwie jak najłagodniej.

- Co za różnica?

Frances wzięła ją za rękę.

- W porządku, Naomi. To może nam pomóc.

- Nie rozumiem, co to ma za znaczenie - powiedziała Naomi.

- Jeśli go pani kocha, będzie trudniej wyzwolić panią spod jego wpływu, to wszystko powiedziałam.

Nie zwróciła uwagi, że zmieniłam „kochała” na „kocha”. Po prostu odpowiedziała na pytanie. -

Myślę, że go kochałam.

- A czy nadal go pani kocha? - Nienawidziłam siebie za to pytanie, ale musieliśmy wiedzieć.

Chwyciła rękę Frances w obie swoje, zaciskając je do białości. Łzy zaczęły płynąć po jej twarzy. -

Nie kocham go, ale... - musiała zrobić kilka małych wdechów, zanim była w stanie dokończyć - ...ale

gdybym go zobaczyła i zaproponowałby mi seks, nie potrafiłabym odmówić. Mimo że jest okropny i

zranił mnie, seks z nim jest wciąż lepszy niż cokolwiek, co czułam wcześniej. Potrafiłabym odmówić

przez telefon, ale jeśli bym go zobaczyła, uległabym mu... to znaczy, walczyłabym, jeśli by mnie bił,

ale jeśli by to było w czasie uprawiania seksu... to wszystko jest takie pogmatwane...

Frances podniosła się i stanęła za krzesłem Naomi. Szal zsunął się, gdy objęła ją od tyłu. Pocałowała

ją w czubek głowy, jakby Naomi była dzieckiem.

- Czy udało się pani przed nim ukryć? - spytałam. Naomi skinęła głową. - Mnie tak, ale Frances...

Znajduje ją niezależnie od tego, gdzie jest.

- Podąża za zaklęciem - powiedziałam.

Obie kobiety skinęły głowami, jakby same też doszły do takiego wniosku.

- Ale mnie udało się ukryć - kontynuowała Naomi. - Zmieniłam mieszkanie.

- Dziwi mnie, że pani nie znalazł - powiedziałam.

- Budynek ma ochronę - odparła.

Otworzyłam szeroko oczy ze zdziwienia. Żeby należycie ochraniać budynek, nie pojedyncze

mieszkanie, ale cały budynek, należałoby umieścić ochraniające zaklęcie w fundamentach. Ochrona

powinna być dodana do cementu i przykuta stalowymi dźwigarami. To wymagało sabatu czarownic,

może nawet kilku sabatów. Samemu nie można było tego uczynić. To nie był tani proces. Tylko

najdroższe budynki mogły sobie na to pozwolić.

- Z czego pani żyje, panno Phelps? - spytał Jeremy. Zapewne, podobnie jak ja, nie spodziewał się, że

te dwie kobiety będzie stać na nasze usługi. Mieliśmy jednak wystarczająco dużo pieniędzy, by od

czasu do czasu odwalić jakąś robótkę za darmo. Nie mieliśmy tego w zwyczaju, ale są sprawy,

którymi nie zajmujesz się dla pieniędzy, ale dlatego, że po prostu nie możesz powiedzieć „nie”.

Oboje uważaliśmy, że ta sprawa właśnie do takich należy.

- Mam fundusz powierniczy, z którego mogę korzystać od zeszłego roku. Proszę mi wierzyć, panie

Grey, stać mnie na wasze usługi.

- Dobrze wiedzieć, panno Phelps, ale mówiąc szczerze, nie o to mi chodziło. Proszę tego nie

rozgłaszać, ale jeśli ktoś jest w naprawdę dużym niebezpieczeństwie, nie odmawiamy mu tylko

dlatego, że nie ma nam z czego zapłacić.

Poczerwieniła. - Nie to miałam na myśli... Przepraszam. - Zagryzła wargi.

- Naomi nie chciała państwa obrazić - powiedziała Frances. - Całe życie była bogata i mnóstwo

ludzi usiłowało ją wykorzystać.

- Nie ma sprawy - powiedział Jeremy. Wiedziałam, że poczuł się trochę dotknięty. Był jednak profesjonalistą i tego nie okazał. Nie możesz obrażać się na klienta, jeśli masz zamiar podjąć się prowadzenia jego sprawy. No chyba że zrobi coś naprawdę okropnego.

- Czy kiedykolwiek próbował dobrać się do pani pieniędzy? - spytała Teresa.

Naomi spojrzała na nią, a na jej twarzy pojawiło się zdziwienie. - Nie, nigdy zaprzeczyła.

- A czy wiedział, że jest pani bogata? - spytałam.

- Tak, wiedział, ale nigdy nie pozwalał mi za cokolwiek płacić. Twierdził, że jeśli o to chodzi, jest człowiekiem starej daty. W ogóle nie przywiązywał wagi do pieniędzy. To była jedna z rzeczy, za które od razu go polubiłam.

- Więc nie zależało mu na pieniądzach - powiedziałam.

- Pieniądze nie miały dla niego znaczenia - potwierdziła Frances.

Napotkałam spojrzenie tych wielkich niebieskich oczu i odniosłam wrażenie, że nie ma już w nich strachu. Frances w dalszym ciągu stała za Naomi, wciąż dodawała jej otuchy i wyglądało na to, że czerpie z tego siłę.

- A co miało dla niego znaczenie? - spytałam.

- Władza - odparła.

Skinęłam głową. Miała rację. Gwałt zawsze wiąże się z władzą w taki czy inny sposób.

- Kiedy nazwał panią niedoświadczoną, zapewne nie mówił o pani seksualnej sprawności.

Naomi przytrzymała się ręki Frances, przyciskając ją do swojego ramienia. - Co miał w takim razie na myśli?

- To, że nie jest pani biegła w magii.

Popatrzyła na mnie z ukosa. - A co miał na myśli, mówiąc, że poddaję się łatwo?

- Władzę - podpowiedziała jej Frances.

- Tak, pani Norton, władzę.

Naomi spojrzała na nas wszystkich z dezaprobatą.

- Ale ja nie mam żadnej władzy.

- Ma pani magię, panno Phelps. Pozbawiał panią magii.

Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zdziwionej, otworzyła nawet w zdumieniu usta.

- Nie mam pojęcia o magii. Mam czasami jakieś przeczucia, ale to jeszcze nie magia.

I dlatego właśnie był w stanie to zrobić. Zastanawiałam się, czy czasami wszystkie jego kobiety nie były osobami o nie wyćwiczonych magicznych zdolnościach. Jeśli tak było, mogliśmy mieć kłopoty, wdzierając się w ich mały świat. Jeśli jednak były one sidhe niepełnej krwi... cóż, mogłam posłużyć za przynętę.

Rozdział 4

Trzy dni później stałam pośrodku biura Jeremy'ego, za cały strój mając czarny koronkowy biustonosz, także majteczki i czarne pończochy, a mężczyzna, którego widziałam pierwszy raz na oczy, gmerał mi palcami w staniku. W normalnych warunkach musiałabym planować przespanie się z facetem, żeby pozwolić mu na obmacywanie piersi, tym razem jednak pozwalałam się obmacywać nie prywatnie, a zawodowo. Maury Klein był specem od podsłuchów i próbował właśnie umieścić cieniutki przewodzik z malutkim mikrofonikiem pod moją prawą piersią, w miejscu, gdzie Alistair Norton nie mógłby go wyczuć, gdyby przejechał ręką po moich żebrach lub piersi. Bawił się tym drutem już coś około trzydziestu minut, z czego dobry kwadrans zajęło mu szukanie najlepszego miejsca do ukrycia przewodu w miseczce mojego biustonosza.

Kłęczał przede mną, z koniuszkiem języka wystającym spomiędzy zębów, z oczami skrytymi za okularami w drucianej oprawie, wpatrzony nieruchomo w swoje dłonie, jedną zanurzając prawie

całkowicie w miseczce biustonosza, drugą zaś odsuwając materiał od mojej piersi, tak żeby miał do niej lepszy dostęp. Odciągając biustonosz, pokazywał mój sutek i większą część piersi wszystkim zgromadzonym w pokoju.

Jeśli Maury nie byłby tak nieświadomy zarówno mojego wdzięku, jak i tego, że nie byliśmy sami, mogłabym posądzić go, że robi to tak długo dla własnej przyjemności. Jego spojrzenie mówiło jednak, że naprawdę nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi. Rozumiałam już teraz, dlaczego kobiety, z którymi pracował, wciąż się na niego skarżyły. Skargi dotyczyły tego, że upiera się, by robić to wszystko publicznie. Chciał mieć świadków na to, że nie przekracza granic. Chociaż szczerze mówiąc, wszyscy jego świadkowie zapewne byliby po mojej stronie. Szturczał, podnosił i na inne sposoby poniewierał moje piersi, jak gdyby one do nikogo nie należały. To, co robił, było bardzo intymne, a on zachowywał się tak, jakby nie było. Był albo wyjątkowym dupkiem, albo kimś w rodzaju szalonego profesora. Miał tylko jedną miłość: ukryte mikrofony i kamery. W Los Angeles nie miał sobie równych. Zakładał systemy ochrony gwiazdom Hollywood, ale jego prawdziwą pasją były ukryte mikrofony. Wciąż dążył do tego, by jego sprzęt był jak najmniejszy. Wiadomo: im mniejszy, tym łatwiejszy do ukrycia.

Początkowo starał się mnie przekonać, że najlepszym miejscem do ukrycia przewodu będzie wnętrze mojego ciała. Nie jestem wstydliva, ale odrzuciłam ten pomysł. Maury pokręcił głową i wymruczał: - Nie wiadomo, jaka byłaby jakość dźwięku, ale chciałbym mieć kogoś, kto pozwoli mi spróbować.

Miał asystenta - czytaj „ciecia” - i zarazem nadzwyczajnego dyplomatę. Chris - jeśli nawet miał jakieś nazwisko, nigdy go nie poznałam - miał ostrzegać Maury’ego, gdy będzie zbyt szorstki lub niedelikatny. Patrzył na mnie wyczekująco, zanim nie powiedziałam, że wszystko gra. Stał teraz obok Maury’ego niczym pielęgniarka asystująca przy operacji, gotów w każdej chwili podać mu tajemnicze urządzenia, których będzie potrzebował.

Jeremy siedział za swoim biurkiem i oglądał całe to przedstawienie, ze splecionymi palcami i rozbawionym wyrazem twarzy. Kiedy się rozebrałam do bielizny, w jego oczach zobaczyłam uprzejmy błysk uznania, ale potem z trudem opanowywał śmiech, widząc kompletny brak zainteresowania ze strony Maury’ego Kleina. Jeremy skomplementował niewiarygodny kontrast między idealną bielą mojej skóry a czernią bielizny. Zawsze powinno powiedzieć się coś miłego, gdy widzi się kogoś pierwszy raz nago.

Na biurku Jeremy’ego siedział Roane Finn, nieświadomie machając nogami, i podobnie jak on, rozkoszując się widokiem. Jednak, w odróżnieniu od niego, nie musiał mnie komplementować. Widział mnie już nagą poprzedniej nocy i wiele nocy wcześniej. Jego oczy były pierwszą rzeczą, jaką się w nim zauważało: ogromne, płynnobrazowe kule, które dominowały w jego twarzy, podobnie jak księżyc dominuje na nocnym niebie. Rzecz wątpliwa, czy zauważylibyście jego ciemnokasztanowe włosy i sposób, w jaki przylegają do twarzy, opadając w lokach na tył jego kołnierzyka, albo jego usta, które są idealnie czerwone i wywijają się. Moglibyście pomyśleć, że używa szminki, by uzyskać tę barwę, ale to nieprawda. Wszystko to zawdzięcza matce naturze. Jego skóra wygląda na białą, ale taka naprawdę nie jest, a w każdym razie nie jest czysto biała. To tak, jakby ktoś wziął moją biel i dodał do niej kroplę barwy jego włosów. Kiedy nosi ubrania w kolorze brązowym lub w innych jesiennych barwach, jego skóra wygląda jeszcze ciemniej.

Był dokładnie mojego wzrostu, przez co na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie delikatnego, ale ciało, które skrywał pod czarnym strojem, było silne i muskularne. Wiedziałam, że jest silny, a zarazem gibki. Wiedziałam też, że na plecach i ramionach ma blizny po oparzeniach, jakby białe zgrubienia na gładkim jedwabiu skóry. Blizny owe były pamiątką po spotkaniu z pewnym rybakiem,

który podpalił jego focze futro. Roane był bowiem roanem, człowiekiem-foką. Kiedyś potrafił przywdziać foczą skórę i stać się foką, po czym zrzucić ją i stać się na powrót człowiekiem, czy też raczej obrać ludzką formę. Pewnego dnia jednak rybak znalazł jego foczą skórę i podpalił ją. Skóra nie była tylko magicznym sposobem na zmianę kształtu. Nie była też jedynie częścią Roane'a. Ta skóra była w takim samym stopniu nim, jak jego oczy czy włosy. Roane był jedynym człowiekiem-foką, o jakim słyszałam, który przeżył zniszczenie swojego drugiego wcielenia. Przeżył, ale nigdy już nie mógł zmienić formy. Odtąd skazany był na wieczne przebywanie na lądzie, na życie w ledwie połowie swego świata.

Czasami w nocy zastawałam łóżko puste. Jeśli byliśmy w moim mieszkaniu, Roane patrzył przez okno w nicość. Jeśli byliśmy u niego, wpatrywał się w ocean lub znikał w jego falach. Nigdy mnie nie obudził i nie poprosił, bym mu towarzyszyła. To był jego własny ból; ból, którym nie zamierzał się dzielić. Nie miałam o to do niego żalu. W końcu przez dwa lata trwania naszego związku ja też nigdy w całości się przed nim nie odkryłam. Nigdy nie widział blizn po pojedynkach. Obrażeń, które wskazywały na to, że jestem kimś blisko związanym z sidhe. Mogłam być beznadziejna w ofensywnych zaklęciach, ale ledwie kilka osób na dworze było lepszych ode mnie w iluzji. Pomagała mi się ona ukryć, ale niewiele więcej. Roane nie mógł pokonać mojej osłony, ale wiedział o jej istnieniu. Wiedział, że nawet w chwili spełnienia zasłaniałam się nią. Jeśli byłby człowiekiem, mógłby zapytać dlaczego, ale nie był człowiekiem i nie zapytał, podobnie jak ja nigdy nie zapytałam go o zew oceanu.

Ludzie nie potrafią powstrzymać ciekawości, ale człowiek-kochanek nie byłby też w stanie usiedzieć w miejscu, gdyby widział, że ktoś inny zabawia się moimi piersiami. Roane nie był zazdrosny. Wiedział, że to nic dla mnie nie znaczy, więc nic nie znaczyło dla niego.

Jedyną kobietą w pokoju poza mną była detektyw Lucinda - dla przyjaciół Lucy Tate. Pracowaliśmy razem nad kilkoma sprawami, w których sprawcy nie byli ludźmi, a ich ofiary popadały w szaleństwo, ginęły albo padały ofiarami zaklęć. Wszyscy członkowie zespołu Jeremy'ego otrzymali specjalne zezwolenia na wykonywanie tego rodzaju działalności. Posiadaliśmy magiczne zdolności, które czyniły nas idealnymi do tej roboty, więc władze przytknęły oko na to, że nie spełnialiśmy wszystkich warunków formalnych i po prostu skierowały nas do pracy. Coś w rodzaju stanu wyższej konieczności. To właśnie dzięki temu zezwoleniu udało mi się zostać detektywem, ledwo zdążyłam wysiąść z autobusu, bez tych wszystkich godzin szkolenia, które trzeba zwykle przejść, żeby zdobyć licencję w Kalifornii.

Detektyw Tate opierała się o ścianę i kręciła głową.

- Jezu, Klein, nic dziwnego, że oskarżają cię o napastowanie seksualne. Maury zamrugął nieprzytomnie, jakby był gdzieś daleko stąd. Tak zwykle ludzie

reagowali na zaklęcie - jakby po prostu się obudzili, a sen się jeszcze nie skończył. Nie można było odmówić Maury'emu zdolności koncentracji. W końcu odwrócił się do detektywa, trzymając ręce wciąż w moim staniku.

- Nie wiem, o co pani chodzi.

Popatrzyłam na nią ponad głową klęczącego Maury'ego. - On naprawdę nie wie powiedziałam.

Uśmiechnęła się do mnie. - Przepraszam za to miętoszenie, Merry. Gdyby nie to, że jest najlepszy w tej branży, nikt by go nie zniósł,

- Nie używamy zbyt często ukrytych mikrofonów i kamer - włączył się Jeremy - ale gdy już to robimy, chcę mieć najlepszych specjalistów.

Tate spojrzała na niego. - Mój wydział oczywiście nie mógłby sobie na niego pozwolić.

- W przeszłości zdarzało mi się pracować za darmo dla policji - powiedział Maury, nie odrywając wzroku od moich piersi.

- Doceniamy ten fakt, panie Klein. - Wyraz jej twarzy niezupełnie pasował do słów psotne ogniki w oczach i cyniczna mina. Cynizm był nieodłącznym atrybutem tego zawodu. Psotne ogniki były jednak właściwe samej Lucy Tate. Zawsze sprawiała wrażenie, jakby kpiła sobie łagodnie ze wszystkiego. Byłam prawie pewna, że to mechanizm obronny, który pozwalał jej coś ukrywać, nie wiedziałam jednak, co takiego mogło to być. Niby nie mój interes, ale przyznaję się do pewnej ilości bardzo nieczarodziejskiej ciekawości odnośnie do pani detektyw Lucy Tate. Doskonałość jej kamuflażu polegała na tym, że nie dostrzegało się go w ogóle za tą lekko rozbawioną maską, co sprawiało, że tym bardziej chciałam go przejrzeć. Widziałam ból Roane'a i dlatego zostawiłam go w spokoju. Ale nie dostrzegałam niczego w Lucy - ba, nawet Teresa nic nie dostrzegała - co oznaczało, że detektyw Tate miała naprawdę dużą moc. W jej dzieciństwie musiało wydarzyć się coś, co ukryło jej zdolności tak głęboko, że mogła nawet nie wiedzieć, że je w ogóle posiada. Żadne z nas nie chciało jej tego ujawniać. Detektyw Tate zdawała się wieść udane życie. Wyglądała na szczęśliwą. Jeśli otworzylibyśmy jakąś dawno zagojoną ranę, wszystko mogłoby się zmienić. Mogłaby już nigdy nie podnieść się po tym ciosie. Więc zostawiliśmy ją w spokoju, choć dużo nas to kosztowało.

Maury odchylił się do tyłu, a przynajmniej zabrał ręce. - Myślę, że tutaj będzie dobrze. Położę tu kawałek taśmy dla pewności, że się nie ześlizgnie, i gotowe. - Chris podał mu kilka kawałków taśmy, jakby tylko na to czekał. Maury wziął je bez słowa. - Widzieliście, co musiałem zrobić, żeby umieścić tam mikrofon. Ten facet musiałby zrobić to samo, żeby go znaleźć. - Trzymałam stanik wywinięty, tak żeby mógł przykleić mikrofon obiema rękami. To była najprzyjemniejsza rzecz, jaką robił w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu minut.

Wstał i cofnął się o krok.

- Włóż biustonosz tak, jak go zwykle nosisz.

Popatrzyłam na niego z dezaprobatą.

- Właśnie tak go zwykle noszę.

Poruszył nieznacznie dłońmi na poziomie moich piersi. - To znaczy, napnij miseczkę tak, żeby pasowała do drugiej.

- Napnij - powiedziałam, ale uśmiechnęłam się, ponieważ w końcu zrozumiałam, o co mu chodzi. Westchnął i zrobił krok do przodu. - Pokażę ci.

Odrąciłam jego dłoń. - Nie potrzebuję pomocy. - Wygięłam się i potrząsnęłam prawą pierśią, tak że znalazła się w miseczce biustonosza. W tym biustonoszu moje i tak ładne piersi wyglądały wręcz nieprzyzwoicie. Kiedy przebiegłam dłonią po tym miejscu, w którym powinnam czuć mikrofon, wyczułam jedynie materiał.

- Idealnie - powiedział Maury. - Jeśli nie zdejmiesz biustonosza, nigdy się nie domyśli. - Przechylił głowę na jedną stronę, zupełnie jakby o czymś właśnie pomyślał. - Jeśli jednak będziesz musiała go zdjąć, zostaw go w promieniu pięciu stóp. Im bliżej, tym lepiej. Jeśli dałbym czulszy mikrofon, łapałibyśmy bicie twojego serca i szelest ubrania. Mógłbym to przefiltrować, ale zajęłoby to trochę czasu. Zakładam, że chcecie to słyszeć „na żywo”, na wypadek gdyby facet chciał się wymknąć.

- Tak - powiedział Jeremy - miło byłoby wiedzieć, że Merry potrzebuje pomocy. Sarkazm był zbyt łagodny, by Maury mógł go wyczuć.

- Moglibyśmy przykleić mikrofon do elastycznej góry pończochy, ale nie mogę obiecać, że pończocha się nie zsunie i nie uczyni mikrofonu widocznym. Jeśli zdejmiesz biustonosz, będziesz mogła go tak położyć, żeby mikrofonu nie było widać.

- Nie planuję zdejmowania biustonosza.

Maury wzruszył ramionami. - Staram się tylko wziąć pod uwagę każdą możliwość.

- Doceniam ten fakt - powiedziałam.

Maury skinął głową. Chris podnosił części, które były porzucane po podłodze.

Roane zeskoczył z biurka, zabierając z niego moją złożoną sukienkę. Podał mi ją. Kupiłam tę czarną sukienkę, bo łatwiej ukryć coś w czarnym niż w jaśniejszych kolorach. Nigdy nie chodziłam w czerni, mimo że do twarzy mi było w tym kolorze. To był ulubiony kolor Dworu Unseelie, ponieważ był to ulubiony kolor ich królowej.

Roane trzymając sukienkę za ramiączka, pozwolił, by materiał spłynął mu z rąk, po czym zaczął bardzo wolno, bardzo ostrożnie zwijać ją w swoich rękach, cały czas patrząc mi przy tym w oczy. Kiedy sukienka stała się zwiłkiem materiału, uklęknął przede mną, trzymając ją tak, że mogłam wejść do środka.

Położyłam ręce na jego ramionach. Roane pozwalał sukience wyslizgiwać się z jego dłoni, podnosząc ręce w tym samym tempie, w jakim sukienka opadała wokół mnie niczym kurtyna teatralna. Kiedy wyciągnął ramiona tak wysoko, jak tylko mógł, klęcząc, sukienka była już na mojej talii. Wstał, ręce położył delikatnie na moich biodrach. Zbliżył się na odległość pocałunku. Jego oczy były dokładnie na tym samym poziomie co moje. Z nikim przed nim nie miałam takiego kontaktu wzrokowego. Nigdy przedtem nie byłam z nikim tak niskim jak ja. To czyniło pozycję misjonarską niewiarygodnie intymną.

Roane podniósł sukienkę nad ramionami, przeszedł do tyłu i umieścił ostatni kawałek materiału na miejscu. Zaczął zasuwając sukienkę z tyłu. W miarę jak to robił, sukienka robiła się coraz bardziej opięta, otulając szczelnie moją talię, żebra, piersi. Dekolt miał kształt litery V, co było jeszcze jednym powodem do noszenia podnoszącego biustonosza. Był to jedyny biustonosz, jaki mogłam nosić pod ubraniem tak, żeby nie wystawał. Sukienka była bez ramiączek i tak obcisła, że sprawiała wrażenie błyszczącej drugiej skóry. Czerń materiału uwydatniała biel mojego ciała. Celowo wybrałam tak obcisłą sukienkę. Jej góra wyglądała tak, jakby jej prawie nie było i wszystko, co zostawało, to widok mojego biustu, ale jeśli próbowaliby się włożyć rękę do środka, nie dałoby się tego zrobić bez rozerwania sukienki. Jeśli Alistair Norton chciałby pobawić się moimi piersiami, musiałby swoje zapędy ograniczyć do odsłoniętej góry, chyba że braliśmy pod uwagę scenariusz gwałtu, ale według Naomi fantazje o gwałcie powinny przyjść dopiero po około dwóch miesiącach, a nawet później. Pierwszy miesiąc miał być romanssem idealnym. Ponieważ była to pierwsza randka, Alistair powinien zachowywać się bez zarzutu. Żeby miał szansę znaleźć mikrofon, musiałabym zdjąć sukienkę. A ja nie zamierzałam tego robić.

Roane skończył zasuwając sukienkę, po czym zapiął małą haftkę na górze. Przesunął kciukami po nagiej skórze mojego karku najintymniejszym z ruchów, po czym odsunął się ode mnie. Przebiegł kciukami po bliznach na moich plecach, których nie mógł zobaczyć ani poczuć. Skrywałam na tyle moje zdolności, że sukienka ukazywałaby blizny, gdyby nie moja osobista osłona. Były one jak zmarszczki na skórze, zamrożone na zawsze. Inna sidhe próbowała zmienić moją formę podczas pojedynku. Wiele mieszkańców Krainy Faerie mogło zmieniać swoją formę ale tylko sidhe mogły zmieniać formę innych wbrew ich woli. Nie mogłam zmienić formy ani swojej, ani nikogo innego - jeszcze jedna cecha odróżniająca mnie od reszty dworu.

- Jak ty to robisz? - spytała detektyw Tate.

Pytanie przestraszyło mnie, więc odwróciłam się do niej.

- Co robisz? - spytałam.

Chris zerkał na mnie, pakując sprzęt. Maury bawił się już średniej wielkości przekaźnikiem, manipulując przy nim malutkim śrubokrętem. Reszty zgromadzonych mogło równie dobrze nie być w

pokoju.

- Stoisz tutaj przez prawie godzinę w samej bieliźnie, pozwalając facetowi zabawiać się twoimi piersiami, i nie ma w tym żadnego podtekstu seksualnego. To tak jak w scenie z komedii dla dorosłych. Potem Roane pomaga ci się ubrać, nawet cię nie dotykając, tylko zasuważąc ci suwak w sukience, i nagle napięcie seksualne w pokoju jest tak gęste, że można po nim chodzić. Jak, do jasnej cholery, wy to robicie?

- My w znaczeniu mnie i Roane'a czy my w znaczeniu... - zawiesiłam głos.

- Wy w znaczeniu istot magicznych - powiedziała. - Widziałam, jak Jeremy robił coś podobnego ze zwykłą kobietą. Możecie paradować przede mną na golasa i nie będę się czuła zażenowana, a potem, kiedy jesteście kompletnie ubrani, zrobić coś takiego, że nagle czuję się tak, jakbym powinna wyjść z pokoju. - Potrząsnęła głową. - Jak wy to robicie?

Roane i ja spojrzeliśmy na siebie i w jego oczach ujrzałam to samo pytanie, które musiało być i w moich. Jak wyjaśnić, co to znaczy być istotą magiczną komuś, kto nią nie jest? Oczywiście nie można. Można próbować, ale szansa powodzenia jest raczej niewielka.

Jeremy spróbował. W końcu był szefem. - Pokażę ci, na czym to polega. - Podniósł się z fotela i podszedł do niej z twarzą bez wyrazu. Wziął jej dłoń i przyłożył do niej usta. - To jest człowiek - powiedział. - A to jest istota magiczna. - Ponownie wziął ją za rękę, lecz tym razem podnosił ją o wiele wolniej, a oczy utkwili w jej twarzy z takim żarem, z jakim tylko mężczyzna nie-człowiek może patrzeć na wysoką, atrakcyjną kobietę. Samo spojrzenie przyprawiło ją o drżenie. Pocałował ją w rękę, a pocałunek ten był powolną pieszczotą ust. Górna warga przylgnęła na chwilę do jej skóry, gdy odrywał ją od jej dłoni. To był uprzejmy pocałunek, nie otwartymi ustami, bez języczka, nic nieprzyzwoitego, ale na jej policzkach pojawił się rumieniec i cały pokój wypełnił jej przytłumiony, przyspieszony oddech.

- Czy to wystarczy jako odpowiedź na twoje pytanie? - spytał.

Zaśmiała się cicho, trzymając się za dłoń i tuląc ją do ciała. - Nie, ale aż boję się zapytać raz jeszcze. Nie sądzę, żebym po otrzymaniu odpowiedzi była w stanie jeszcze dzisiaj wieczorem pracować.

Jeremy uklonił się nieznacznie. Czy Tate to wiedziała, czy nie, skomplementowała go w sposób bardzo charakterystyczny dla istot magicznych. Każdy lubi być doceniony.

- Napęlniasz ciepłem serce starego człowieka.

Znów się roześmiała, głośno i radośnie. - Wszystko można o tobie powiedzieć, Jeremy, tylko nie to, że kiedykolwiek będziesz stary.

Znów się uklonił i nagle uświadomiłam sobie coś, z czego do tej pory nie zdawałam sobie sprawy. Otóż Jeremy lubił detektyw Tate i to tak, jak mężczyzna lubi kobietę. Wszyscy dotykaliśmy ludzi częściej, niż oni dotykali się wzajemnie, a w każdym razie częściej niż robią to Amerykanie. Ale on mógł wybrać inny sposób na „wyjaśnienie” problemu Tate. Wybrał dotyk. I dotykał jej w sposób, w jaki nikt jej jeszcze nie dotykał, pozwolił sobie na to, ponieważ dała mu sposobność ku temu, dzięki czemu nie wydał się nachalny. W taki właśnie sposób flirtujemy, kiedy czujemy zachętę. Nigdy nie idziemy tam, gdzie nas nie proszą. Chociaż nasi mężczyźni popełniają czasami takie same pomyłki jak ludzie-mężczyźni, myląc niewinny flirt z zachętą seksualną, gwałt jest nam prawie zupełnie nieznany. Inna sprawa, że nasza wersja gwałtu na randce jest popularna od wieków.

Zabawne, że myśli o gwałcie na randce przypomniały mi o pracy. Podeszłam do biurka, na którym zostawiłam buty, i wsunęłam je, zyskując od razu trzy cale wzrostu. - Twój nowy partner może już wrócić - powiedziałam do Lucy.

Prośba o wyjście, gdy się rozbierasz, a w grę nie wchodzi seks, przez istoty magiczne, a zwłaszcza sidhe mogłaby zostać odczytana jako brak zaufania lub niechęć. Dlatego w takich sytuacjach

publiczność po prostu musiała być. Były jednak wyjątki.

Jeden z nich zachodził wtedy, gdy ktoś nie potrafi zachować się w cywilizowany sposób. Detektyw John Wilkes nigdy przedtem nie pracował z nie-ludźmi. Ani mrugnął, gdy Maury poprosił mnie, żebym się rozebrała, ale kiedy bez uprzedzenia zdjęłam ubranie, wylał gorącą kawę na koszulę. Kiedy zaś Maury zanurzył swoją dłoń w moim biustonoszu, Wilkes wykrzyknął: - Co tu, u diabła, się dzieje? - Odparłam, że może poczekać na zewnątrz.

Lucy zaśmiała się cicho. - Biedaczysko, kiedy ściągnęłaś sukienkę, doznał poparzeń drugiego stopnia. Wzruszyłam ramionami. - Najwidoczniej nie widział w swoim życiu zbyt wielu nagich kobiet.

Uśmiechnęła się, potrząsając głową. - Miałam kontakty z istotami magicznymi, kilka razy nawet spotkałam sidhe, ale żadna z nich nie była tak skromna jak ty.

Spojrzałam na nią z ukosa. - Nie jestem skromna. Po prostu wydaje mi się, że jeśli na widok nagiej kobiety twój partner prawie połknął język, to nie ma zbyt dużego doświadczenia.

Lucy spojrzała na Roane'a i Jeremy'ego. - Czy ona naprawdę nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wygląda?

- Nie - odparł Roane.

- Wydaje mi się, że nasza Merry dorastała gdzieś, gdzie była uważana za brzydkie kaczątko - powiedział Jeremy.

Napotkałam jego spojrzenie i serce zabiło mi mocniej. Coś się kryło za tą uwagą, to było coś więcej niż tylko zwykłe dodanie otuchy. - Nie wiem, o czym mówicie.

- Wiem, że nie wiesz - powiedział Jeremy. W jego ciemnoszarych oczach zabłysło zrozumienie. Wiedziałam, że podejrzewał, kim - czy też czym - byłam. Ale nigdy o to nie zapytał. Poczeka, dopóki sama nie będę gotowa, żeby mu powiedzieć, albo kwestia ta pozostanie na zawsze nie rozstrzygnięta.

Spojrzałam na Roane'a. Był jedyną istotą magiczną, jaką znałam, która nie weszła mi do łóżka dla zaspokojenia swoich politycznych ambicji. Dla niego byłam po prostu Merry Gentry, człowiekiem z domieszką krwi sidhe, a nie księżniczką Meredith NicEssus. Teraz spoglądałam w tę znajomą twarz i usiłowałam coś z niej wyczytać. Uśmiechał się głupkowato. Albo nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogę być zaginioną księżniczką sidhe, albo domyślił się tego już dawno temu, ale miał na tyle przyzwoitości, by nigdy o tym nie wspomnieć. A jeśli Roane wie od samego początku? Czy to możliwe, że właśnie dlatego jest ze mną? Nagle całe moje poczucie bezpieczeństwa zaczęło się kruszyć.

Musiałam mieć nieciekawą minę, bo Roane dotknął mojego ramienia. Odsunęłam się od niego. Na jego twarzy pojawił się ból, zmieszanie. Nie wiedział. Przytuliłam się do niego, chowając przed nim twarz, tak że mogłam dalej widzieć Jeremy'ego.

O ile spojrzenie na twarz Roane'a uspokoiło mnie, o tyle spojrzenie na twarz Jeremy'ego mnie przestraszyło. Jeśli moje prawdziwe imię zostanie wypowiedziane po zmroku, dotrze do uszu mojej ciotki. Była ona Królową Powietrza i Ciemności, a to oznaczało, że cokolwiek wypowiedziało się w ciemności, koniec końców trafiało do niej. Pomagał trochę fakt, że zaginioną Amerykańską Księżniczkę Elfów widywano w ostatnich czasach częściej niż Elvisa. Dlatego też ciotka wciąż podążała fałszywym tropem. Księżniczka Meredith na nartach w Utah. Księżniczka Meredith na balu w Paryżu. Księżniczka Meredith w kasynie w Vegas. Po trzech latach wciąż byłam na pierwszych stronach brukowców, chociaż ostatnio w prasie zaczęły się pojawiać doniesienia, że nie żyję, podobnie jak król rock and rolla.

Jeśli Jeremy wypowie moje imię głośno w mojej obecności, słowa wzmocnią się i gdy dotrą do niej, będzie wiedziała, że żyję i że to Jeremy wypowiedział moje imię. Nawet jeśli ucieknę, weźmie go na spytki, a jeśli środki łagodnej perswazji nie przyniosą skutku, ucieknie się do tortur. Wspominałam

już, że jest pomysłową kochanką. Dodać należy, że równie wielką inwencją wykazuje się jako oprawca.

Odsunęłam się od Roane'a. Postanowiłam wyznać im choć część prawdy.

- Moja matka była prawdziwą pięknoscią.

- Skąd wiesz? - zapytał Jeremy. Spojrzałam na niego. - Tak twierdziła.

- Czy to znaczy, że mówiła ci, że ty nie jesteś piękna? - spytała Lucy. Trzeba być człowiekiem, żeby być tak bezpośrednim.

Skinęłam głową.

- Nie zrozum mnie źle, ale niezła z niej była wiedźma.

Nie pozostało mi nic innego, jak powiedzieć: - Co racja to racja. A teraz zabierajmy się stąd.

- Nie pozwólmy panu Nortonowi czekać - dodał Jeremy.

- Wciąż żałuję, że nie ścigamy go z powodu usiłowania zabójstwa - powiedziała Lucy.

- Nie możemy przedstawić przed sądem niezbitych dowodów, że użyto zabójczego zaklęcia - odparłam.

- Ale być może dowiedziemy, że dzisiejszego wieczoru użył magii do uwiedzenia kobiety - zauważył Jeremy. - W Kalifornii uwiedzenie za pomocą magii jest równoznaczne z gwałtem. Musimy wsadzić go do więzienia, żeby był z dala od żony, a to jest najpewniejszy sposób. Nie wyjdzie za kaucją, jeśli udowodnimy mu tak ciężkie przestępstwo jak użycie magii.

Lucy kiwnęła głową. - Zgadza się, że jest to świetny plan dla pani Norton, ale co z Merry? Co jeśli ten facet wyciągnie jakiś magiczny afrodyzjak, który wypróbował już na innych kochankach, tych, które inaczej by na niego nie poleciały, tak jak to było w przypadku Naomi Phelps?

- Właśnie na to liczymy - powiedziałam.

Spojrzała na mnie. - A co jeśli on zadziała? Co jeśli zaczniesz dyszeć do mikrofonu?

- Wtedy Roane rozwali drzwi, odgrywając zazdrosnego kochanka, i mnie uwolni.

- A jeśli będę miał kłopoty z wyrwaniem jej z jego łap, wtedy wkroczy Uther jako mój przyjaciel i pomoże zabrać moją kobietę do domu.

Lucy przewróciła oczami. - Co Uther chce, Uther dostaje. - Uther miał trzynaście stóp wzrostu, głowę bardziej świńską niż ludzką i dwa zakrzywione kły po każdej stronie ryja. Był trollem. Nazywał się Uther Sauarefoot. Nie był zbyt dobry w rozwiązywaniu zagadek kryminalnych, ale nie miał sobie równych, gdy trzeba było posłużyć się mięśniami.

Uther sam wyszedł z pokoju, gdy zaczęłam zdejmować sukienkę. Powiedział tylko: Nie zrozum mnie źle, Merry, ale lepiej nie patrzeć na rozebraną atrakcyjną kobietę, jeśli nie ma się widoków na to, że myśli, które przychodzą do głowy, kiedyś staną się rzeczywistością.

- Dopiero gdy skierował się do drzwi i pochylił, żeby zmieścić się w futrynie, zdałam sobie sprawę z czegoś, czego do tej pory sobie nie uświadamiałam. Uther miał trzynaście stóp wzrostu, był rozmiarów sporego ogra lub nawet olbrzyma. Jak wiele kobiet w Los Angeles było jego wzrostu? Niezbyt wiele. A był tutaj około dziesięciu lat. Tyle czasu bez dotyku czyjegoś nagiego ciała. Jak przeraźliwie samotny musiał być!

Jeśli nikt nie odgadnie, kim naprawdę jestem, i jeśli nie zostanę pozbawiona zmysłów zaklęciem Alistaira Nortona, pomyślę o spiknięciu z kimś Uthera. Nie był jedyną gigantycznych rozmiarów istotą magiczną znajdującą się poza dworem, co najwyżej jedyną w najbliższej okolicy. Jeśli nie uda nam się znaleźć nikogo jego wzrostu, może poszukamy innego rozwiązania. Seks nie musi oznaczać od razu stosunku. Są kobiety, które gotowe są zrobić dosłownie wszystko za kilkaset dolarów, szczególnie jeśli ich normalną stawką jest dwadzieścia. Jeśli byłabym stuprocentową sidhe, sama bym to z nim zrobiła. To jest to, co prawdziwy przyjaciel powinien zrobić. Ale w wieku od sześciu

do szesnastu lat żyłam pośród ludzi. A to oznaczało, że niektóre moje poglądy były bardzo ludzkie. Nie jestem w pełni człowiekiem. Ale nie jestem też w pełni sidhe. W pewnej mierze przynależę zarówno do Dworu Unseelie, jak i do Dworu Seelie, ale tak naprawdę żaden z nich nie uznaje mnie w pełni za swoją. Zawsze stałam na zewnątrz, z nosem przylepionym do szyby i nigdy nie byłam zapraszana do środka. Pogodziłam się z izolacją i samotnością. Dzięki temu mogłam zrozumieć ból Uthera. Żałowałam, że nie mogłam mu pomóc małym, przyjacielskim, niezobowiązującym numerkiem. Ale nie mogłam i już. Jak zwykle, byłam sidhe na tyle, by widzieć problem, ale jednocześnie za bardzo człowiekiem, by go rozwiązać. Oczywiście, jeśli byłabym stuprocentową sidhe z Dworu Seelie, nie dotknęłabym Uthera za żadną cenę. Nawet bym go nie zauważyła. Sidhe z Dworu Seelie nie pieprzą się z potworami. Sidhe z Dworu Unseelie... cóż, zależy, co się rozumie przez słowo „potwory”.

Uther nie był potworem, jeśli przyjąć standardy Dworu Unseelie, ale Alistair Norton mógł być. Albo potworem, albo bratnią duszą ciemności.

Rozdział 5

Alistair Norton nie wyglądał jak potwór. Spodziewałam się, że będzie przystojny, a mimo to do ostatniej chwili miałam nadzieję, że jednak nie. Jest we wszystkich nas coś, co każe wierzyć, że zło widać na zewnątrz i można orzec, że ktoś jest zły, tylko na niego patrząc. Spędziłam jednak wystarczająco czasu na obu dworach, by wiedzieć, że piękno i dobro to niekoniecznie to samo. Kto jak kto, ale ja wiedziałam aż nazbyt dobrze, że piękno bywa idealnym kamuflażem dla najciemniejszych serc, a mimo to wciąż chciałam, żeby twarz Alistaira Nortona odzwierciedlała jego wnętrze. Chciałam, żeby nosił jakieś widzialne piętno Kaina. Ale w restauracji, w której byliśmy umówieni, ujrzałam uśmiechniętego, wysokiego, barczystego mężczyznę, z twarzą o regularnych rysach, męskiego aż do bólu. Jego usta były ciut za wąskie jak na mój gust, twarz odrobinę zbyt męska, oczy bardzo pospolicie brązowe. Związane w elegancką kitkę włosy miały dziwny odcień brązu, ani jasny, ani ciemny. Ale musiałam szukać niedoskonałości, bo na pierwszy rzut oka żadnych nie było.

Jego uśmiech był inteligentny i łagodził rysy twarzy, sprawiając, że stawał się bardziej przystępny, mniej idealny. Jego śmiech był niski i czarujący. Nosił srebrny sygnet z brylantem wielkości mojego kciuka, nie miał natomiast ślubnej obrączki. Na palcu nie było nawet jaśniejszego miejsca po niej. A powinna być linia opalenizny. Wniosek: nigdy nie nosił obrączki. Zawsze podejrzewałam każdego mężczyznę, który nie nosi obrączki, o to, że planuje zdradę. Zdarzały się wyjątki, ale niezbyt wiele.

Wyglądał na zadowolonego. - Twoje oczy błyszczą jak zielone klejnoty - powiedział. Zostawiłam brązowe szkła kontaktowe w biurze. Bez nich moje oczy naprawdę błyszczały. Podziękowałam mu za komplement i udając nieśmiałą, wpatrzyłam się w swojego drinka. To nie była jednak nieśmiałość. Nie chciałam, żeby ujrzał pogardę w moich oczach. Podobnie jak ludzie brzydzimy się cudzołożnikami. Nie chodzi o moralność, ale o złamanie przysięgi małżeńskiej. Nie tolerujemy tych, którzy łamią przysięgi. Jeśli twoje słowo jest bez wartości, taki też jesteś ty.

Dotknął mojego ramienia. - Co za idealnie biała skóra. - Ponieważ nie odepchnęłam go, pochylił się i delikatnie pocałował mnie w ramię. Gdy oderwał usta, pogładziłam go po twarzy, co było dosyć jednoznacznym sygnałem przyzwolenia. Pocałował bok mojej szyi i dłonią musnął włosy. - Twoje włosy są jak czerwony jedwab - wyszeptał. - Czy to twój naturalny kolor?

Odwróciłam się tak, że moje usta znalazły tuż nad jego wargami. - Tak.

Pocałował mnie delikatnie. Mierzył mnie fakt, że wyglądało to na tak szczere. Najbardziej przerażające było to, że on mógł naprawdę być szczery, że na początku mógł wierzyć w każde swoje

słowo. Znałam ten typ mężczyzn. Za każdym razem wierzą, że tym razem to prawdziwa miłość. Ale nigdy nie trwa to zbyt długo, bo żadna kobieta nie jest dla nich wystarczająco dobra. Oczywiście nie dlatego, że te kobiety naprawdę nie są wystarczająco dobre. To z winy tych mężczyzn. Próbują oni wypełnić pustkę swojej egzystencji kobietami lub seksem. Jeśli znalazłby prawdziwej miłości i naprawdę satysfakcjonującego seksu, poczuli się kompletni. Staliby się w końcu całością. Seryjni podrywacze pod jednym względem przypominają seryjnych morderców. Zarówno jedni, jak i drudzy wierzą, że następny raz będzie idealny, że następne doświadczenie zaspokoi ich całkowicie. Tylko że to nigdy nie następuje.

- Chodźmy stąd - wyszeptał.

Skinęłam głową, nie ufając własnemu głosowi. Powinnam całować się z zamkniętymi oczami, ponieważ spojrzenie mogło mnie zdradzić. Wystarczająco trudno było powstrzymać niechęć, gdy mnie dotykał. Oczekiwać od moich oczu, że będą okazywać pożądanie i miłość, to zbyt wiele.

Jego samochód był dokładnie taki sam jak on: drogi, elegancki i szybki. Czarny jaguar z czarnymi skórzanymi siedzeniami, tak że miałam wrażenie, że zanurzam się w morzu ciemności. Zapięłam pasy. On nie. Jechał szybko, przecinając kolejne skrzyżowania. Zrobiłoby to na mnie z pewnością większe wrażenie, gdybym sama nie jeździła po Los Angeles od trzech lat. Wszyscy tu jeździli w ten właśnie sposób w najzwyczajszym akcie samoobrony.

Dom był elegancki i nieduży, najmniejszy w okolicy. Stał za to na największym placu. Z każdej strony było tyle miejsca, że nawet mieszkańiec Środkowego Zachodu musiałby go nazwać dużym. Dom wyglądał na jeden z tych, w których dzieci czekają na powrót taty, podczas gdy mama krząta się wokół, starając się przygotować obiad po całym dniu pracy.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zabrał mnie przypadkiem do swojego domu, tego, w którym mieszkał z Frances. Jeśli tak, to zmieniłby sposób postępowania, a to mi się nie podobało. Dlaczego miałby to robić? Wiedziałałam, że nie odkrył podsłuchu; nie dotykał też mojej torebki, co oznaczało, że nie mógł wiedzieć o ukrytej w niej kamerze. Czułam się bezpieczniej, mając ją pod ręką w drodze do jego miłostnego gniazdka. Nie mógł wiedzieć.

Koło domu Nortona miał być Ringo, obserwujący panią Norton. Jeśli Alistair użyłby przemocy, Ringo miał na podstawie własnej oceny sytuacji podjąć decyzję, czy wkroczyć do akcji. Nie wypatrywałam go. Jeśli tam był, nie chciałam na niego zwracać uwagi.

Alistair otworzył drzwi, pomagając mi wysiąść z samochodu. Dałam mu na to szansę, ponieważ próbowałam pozbiierać myśli. W końcu zdobyłam się na coś w rodzaju szczerości. Jesteś pewien, że nie masz żony?

- Czemu pytasz?

- To wygląda jak rodzinne gniazdko.

Roześmiał się i przyciągnął mnie do siebie. - Mieszkam tu tylko ja. Dom jak dom.

Spojrzałam na niego. - Kupiłeś go z myślą o przyszłości? O założeniu rodziny?

Uniósł moją dłoń do ust. - Z właściwą kobietą wszystko możliwe.

Na Pana i Panią, wiedział, za które sznureczki pociągnąć, by zmiękczyć serce kobiety. Dawał do zrozumienia, że to właśnie ty możesz być tą kobietą, która go usidli, dzięki której się ustatkuje. Większość kobiet o niczym innym nie marzy. Wiedziałałam jednak aż nadto dobrze, że mężczyźni nie robią się nagle stateczni z powodu kobiety. Zakładają rodzinę, gdy w końcu przychodzi na nich czas. To nieważne, z jaką kobietą się spotykają. Kiedy nadchodzi ich czas, to jest właśnie ta kobieta, niekoniecznie najlepsza czy najładniejsza, po prostu ta, która właśnie była pod ręką. Niezbyt to romantyczne, ale odpowiadające prawdzie.

Wyprowadził się ze swojego mieszkania. Dlaczego? Czy to po tym, jak Naomi Phelps nagle go

zostawiła? Czy to wkurzyło go na tyle, że się wyprowadził? A może cały czas to planował? Nie sposób dowiedzieć się, nie pytając, a zapytać akurat nie mogłam. Gdy Alistair Norton prowadził mnie do drzwi, zwalczyłam pokusę, by spojrzeć za siebie i sprawdzić, czy są Jeremy i reszta. Wiedziałam, że są. Wiedziałam, ponieważ miałam do nich zaufanie. Alistair nie jechał aż tak szybko, żeby zgubić dwa samochody. Van, w którym znajdował się system podsłuchowy i Uther, oraz samochód z Jeremym za kierownicą, na wypadek gdyby Norton usiłował ich zgubić oraz po prostu po to, żeby nie widział za sobą wciąż tego samego samochodu. Byli tam, podsłuchując nas. Wiedziałam o tym, ale wciąż miałam ochotę rzucić za siebie okiem. Tak dla pewności.

Poczułam ochronę, zanim drzwi się otworzyły. Kiedy przeszłam przez próg, moc przeszliźnęła się po mojej skórze. Zauważył to. - Wiesz, co to było? - zapytał.

Mogłam skłamać, ale tego nie zrobiłam. Nie dlatego, że miałam przecucie, iż Alistair będzie zadowolony, że ma do czynienia z kimś, kto zdaje sobie sprawę ze swojej mocy. Po prostu chciałam, żeby wiedział, że nie jestem całkowicie bezbronna. - Masz chronione drzwi powiedziałam. Powietrze w pokoju naparło na moją skórę. Nie mogłam zrobić wdechu, zupełnie jakby w pokoju nie było wystarczająco powietrza. Wyszłam z wykafelkowanego przedsionka, mając nadzieję, że dalej będzie lepiej. Nie było. Powietrze było jeszcze cięższe, jak przy przejściu na głębszą wodę. Gorącą, obmywającą skórę wodę.

Wiedziałam, że ma moc - inaczej nie mógłby nałożyć zaklęć na swoją żonę i kochankę. Ale moc, która wypełniała ten pusty salon, była ponadludzka. Człowiek mógł dysponować tak dużą mocą tylko dzięki zawarciu paktu z jakąś magiczną istotą. Nie byłam na to przygotowana. Żadne z nas nie było.

Mówił coś do mnie, ale nie rozumiałam co. Mój umysł wołał: Uciekaj! Uciekaj stąd! Ale jeśli bym to zrobiła, Alistair wciąż mógłby zabić swoją żonę i torturować inne kobiety. Moja ucieczka ochroniłaby mnie, ale nie pomogłaby naszym klientkom. To była jedna z tych chwil, gdy trzeba się zdecydować, czy chce się zarabiać pieniądze, czy nie.

Wiedziałam o jednym. Moi ludzie w vanie musieli się dowiedzieć, co odkryłam. - To nie jest ochrona, która nie pozwala komuś tu wejść, prawda? Chociaż trzyma z dala inne moce. To ochrona, która nie pozwala nikomu poznać, jak wielką mocą dysponujesz. - Mój głos brzmiał głucho, jakbym miała kłopoty z oddychaniem.

Popatrzył na mnie i po raz pierwszy zobaczyłam w jego oczach coś, co nie było sympatyczne i radosne. Na chwilę w tych brązowych oczach pojawił się potwór. Powinienem był przewidzieć, że to wyczujesz - powiedział. - Moja malutka Merry, z jej oczami, włosami i skórą sidhe. Jeśli byłabyś wysoka i smukła, mogłabyś uchodzić za sidhe.

- Wiele razy mi to mówiono - powiedziałam.

Wyciągnął do mnie rękę. Sięgnęłam po jego dłoń. Jego palce dotknęły moich i szarpnięcie energii jak ładunek elektryczny przeskoczyło pomiędzy nami. Roześmiał się i przełożył swoją rękę przez moją. Zwalczyłam chęć wyrwania się, ale nie zdołałam zmusić się do uśmiechu. Miałam zbyt wiele trudności z oddychaniem. Mieszkałam w miejscach tak nasyconych mocą, że ściany od niej trzeszczały, ale moc w tym domu wypełniała każde dostępne miejsce, jak woda, aż w końcu nie było czym oddychać. Alistair prawdopodobnie myślał, że jest wielkim, potężnym czarodziejem, skoro umiał wezwać tak wielką moc, ale w rzeczywistości był nowicjuszem, który nie potrafił jej kontrolować. Wielu ludzi umie przyzywać moc. Przyzywanie mocy nie jest miernikiem siły. Znaczenie ma dopiero to, co potrafisz z tą mocą zrobić. Gdy Alistair ciągnął mnie wśród łagodnie unoszących się smug energii, zastanawiałam się, co on robił z całą tą magią. Mógł marnować większość z niej, po prostu pozwalając jej unosić się wokół. Nie można jednak pobrać tak wielkiej energii bez pomysłu na to, co się z nią robi.

Mój głos brzmiał dziwnie nawet dla mnie, spięty i zadyszany. - Salon jest pełen magii. Co ty z nią robisz? - Miałam nadzieję, że moi ludzie w vanie to usłyszeli.

- Pokażę ci - powiedział. Staliśmy przy zamkniętych drzwiach po lewej stronie.

- Co jest za nimi? - spytałam. Były to jedyne drzwi widoczne z głównego wejścia. Za salonem znajdował się korytarz prowadzący do dalszej części domu i wejście do kuchni. To były jedyne zamknięte drzwi i jeśli moi ludzie mieli przyjść mi na ratunek, nie chciałam, żeby tracili czas na błędzenie. Chciałam, żeby wiedzieli, dokąd biec.

- Nie udawaj, Merry. Oboje wiemy, dlaczego jesteś tutaj, dlaczego oboje tutaj jesteście. To sypialnia. - Otworzył drzwi i, faktycznie, okazało się, że to sypialnia. Wszystko było tam czerwone, począwszy od łoża z baldachimem, a na tapetach pokrywających wszystkie ściany i dywanie skończywszy. Czulałam się tak, jakbym stała wewnątrz wyściełanego purpurowym aksamitem pudełka. Pomiedzy ciężkimi zasłonami wisiały lustra, niczym klejnoty cieszące oko. Nie było tam okien. Zamknięte pomieszczenie i sam środek magii, która została wezwana w to miejsce.

Moc przejechała po mnie jak duszący osad, ciepły, bliski, dławiący. Nie mogłam oddychać ani mówić. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, ale Alistair zdawał się tego nie dostrzegać. Zaczął mnie prowadzić, ciągnąc do pokoju, tak że się potknęłam i o mało nie upadłam na lśniąca drewnianą podłogę. Usiłował mnie podtrzymać, ale wyslizgnęłam się z jego objęć. Nie zemdlałam. Po prostu nie chciałam, żeby mnie podniósł, ponieważ wiedziałam, gdzie mnie zanieś: do łóżka. Jeśli to było centrum całej tej mocy, to nie chciałam się tam znaleźć, przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Poczekaj - powiedziałam. - Poczekaj. Daj dziewczynie chwilę na złapanie oddechu. Koło drzwi stała komoda, sięgająca mi do talii. Oparłam się o jej krawędź, chociaż Alistair oferował swą pomoc. Położyłam torebkę na krawędzi komody, ściskając jej uchwyt dwa razy, żeby włączyć kamerę. Jeśli kamera została włączona, dawała doskonały widok łóżka.

Staął za mną, otoczył mnie ramionami, udało mu się przyszpilić moje ręce do boków, ale niezbyt mocno. To miało być objęcie. To, że wzbudziło we mnie panikę, nie było jego winą, w każdym razie niezupełnie. Starłam się odprężyć pod wpływem jego dotyku, otoczona jego ramionami, ale nie mogłam. Moc była zbyt gęsta. Nie mogłam się odprężyć. Najlepsze, co mogłam zrobić, to nie wyrywać się.

Pieścił bok mojej twarzy, usta wędrowały w dół po mojej skórze. - Nie masz podkładu

- zauważył.

- Nie potrzebuję go. - Odwróciłam twarz na tyle, że mógł wędrować ustami ku szyi. Wszystko to było zaproszeniem. Jego usta zatrzymały się na moim ramieniu, ale ręce ześlizgnęły się z ramion i otoczyły mnie w talii. - Jezu, ale jesteś szczuplutka. Mogę cię otoczyć całą rękami.

Odsunęłam się łagodnie od niego w stronę łóżka. Moje zmysły były przytłumione magią. Miałam lata praktyki w ignorowaniu dużych ilości mocy. Jeśli jest się wrażliwym na tego rodzaju rzeczy i nie chce się popaść w szaleństwo, trzeba się przystosować. Magia może się stać białym szumem, jak na przykład odgłosy miasta, słyszysz ją tylko wtedy, gdy się skoncentrujesz.

Stałam na jasnym dywanie perskim, który otaczał łóżko dokładnie tak, jak to opisała Naomi. Ale nie mogłam się zmusić do przejścia do łóżka, ponieważ wyczuwałam krąg pod dywanem jak wielką łapę, która mnie odpychała. To był krąg mocy, dzięki któremu to, co przyzywasz, nie może wejść do środka i cię skrzywdzić albo też to coś zostaje w środku, a ty jesteś bezpieczny na zewnątrz. Dopóki nie zobaczyłam run, nie mogłam orzec, który rodzaj kręgu to był - pancierz czy więzienie. Nawet jeśli zobaczyłabym runy i budowę kręgu, wcale nie jest powiedziane, że coś by mi to dało. Znałam magię sidhe, ale były też inne rodzaje mocy, inne tajemne języki magiczne. Mogłam nie rozpoznać żadnego z nich, a wtedy jedynym sposobem na poznanie, czym był krąg, było wejście do niego.

Kłopot polega na tym, że niektóre kręgi istnieją tylko po to, żeby cię złapać w pułapkę, i gdy już znalazłabym się w środku, mogłabym mieć problemy z wydostaniem się. Jeśli faktycznie mieliśmy do czynienia z jakimś kultem czcicieli sidhe, raczej nie chcieliby mnie schwytać, ale kto wie. Jeśli kochasz coś bardzo mocno, a nie możesz tego dotknąć ani zatrzymać, miłość może zmienić się w zazdrość o wiele bardziej wyniszczającą niż nienawiść.

Alistair poluzował krawat, idąc w moim kierunku, jego usta wykrzywił uśmiech. Był niewyobrażalnie arogancki, pewien zarówno siebie, jak i mnie. Tak mnie kusilo, żeby po prostu stąd wyjść, tylko po to, żeby zetrzeć ten arogancki uśmieszek z jego twarzy. Nie zrobił jeszcze nic magicznego, nie mówiąc już o czymś niezgodnym z prawem. Czyżbym była zbyt łatwa? Czyżby zostawiał magię dla bardziej opornych? Czy powinnam być bardziej oporna? A może bardziej agresywna? Co mogłoby skłonić Alistaira Nortona do zrobienia czegoś sprzecznego z prawem? Cały czas starałam się zdecydować, czy mam grać niewinną dziewicę czy wygłodniałą dziwkę, kiedy nagle znalazł się przy mnie i nie miałam już na nic czasu.

Pochylił się, żeby mnie pocałować, a ja podniosłam głowę, by nasze usta się spotkały, stając na palcach, z dłońmi na jego ramionach. Wyczułam napięcie jego mięśni. Nie sądzę, żeby to sobie uświadamiał, to był odruch. Całował z wprawą doświadczonego kochanka. Otoczył mnie rękami w pasie, przyciągnął do siebie, unosząc z podłogi. Zaczął mnie przesuwac tyłem do kręgu. Wycofałam się od pocałunku tylko na tyle, by powiedzieć: Poczekaj. - Ale było już za późno. Przez chwilę nie mogłam złapać tchu, dopóki nie znaleźliśmy się po drugiej stronie, wewnątrz kręgu. To tak, jakby się było w oku cyklonu. Wewnątrz kręgu panowała cisza, było to najbardziej spokojne miejsce w całym domu. Nacisk, z którego nie zdawałam sobie sprawy, spadł z moich ramion i pleców.

Alistair podciął mi nogi i popchnął mnie kolanami na łóżko. Kiedy byliśmy blisko jego środka, położył mnie, pozostając sam na kolanach, górując nade mną. Ale ja przez trzy lata pracowałam z Utherem. Sześć stóp to betka, gdy jadało się lunch z kimś, kto ma stóp trzystaście.

Chyba domyślił się, że nie zrobiło to na mnie wrażenia, bo zdjął krawat i rzucił go na łóżko, po czym zaczął rozpinać guziki koszuli. Zamierzał rozebrać się pierwszy. To mnie zaskoczyło. Dominujący zboczeńcy zwykle chcą, żeby to ich ofiary były najpierw nagie. Zdjął marynarkę i koszulę, jego ręce powędrowały do paska od spodni, zanim zdążyłam wymyślić, co robić. Trzeba go było trochę przystopować.

Usiadłam, dotykając jego rąk. - Zwolnij. Pozwól mi się rozkoszować tą chwilą. Spieszysz się, jakbyś miał tej nocy jeszcze jedną randkę. - Przytrzymałam jego ręce, głaszcząc go po skórze. Czułam króciutkie włoski na jego przedramionach. Przesuwały się one pod moim dotykiem. Jeśli skoncentrowałabym się tylko na fizycznych wrażeniach, może mogłabym oszukać oczy albo przynajmniej okazać szczerze zainteresowanie. Cały wic polegał na tym, żeby nie zastanawiać się za bardzo nad tym, kogo dotykam.

- Tego wieczoru nie ma nikogo oprócz ciebie. - Podciągnął mnie na kolana, po czym przebiegł dłońmi po moich włosach, pozwalając, by prześlizgiwały mu się między palcami, po czym ujął moją głowę w swoje wielkie dłonie. - Po tej nocy, Merry, nie będzie nikogo innego w naszym życiu oprócz nas.

Nie podobało mi się to, ale to była pierwsza rzecz, jaką powiedział, którą można było uznać za oznakę szaleństwa, więc postanowiłam pójść tym tropem. - Co masz na myśli? Uciekniemy do Vegas?

Uśmiechnął się, wciąż trzymając moją głowę i wpatrując się w moje oczy, jakby uczył się ich na pamięć. - Małżeństwo jest tylko nic nie znaczącą ceremonią, tej nocy pokażę ci, co to znaczy naprawdę z kimś być.

Podniosłam brwi, zanim mogłam nad tym zapanować. Wiedząc, że wyraz twarzy już mnie zdradził, powiedziałam: - Ty to masz wysokie mniemanie o sobie.

- To nie są czcze przechwałki, Merry. - Pocałował mnie łagodnie, po czym przeczołgał się obok mnie do wezgłowia. Otworzył małe drzwiczki w drewnianej framudze. Tajna skrytka, ale zmyślnie, pomyślałam. Odwrócił się, trzymając w rękach małą szklaną buteleczkę. Była to jedna z tych szklanych inkrustowanych buteleczek, po których człowiek spodziewa się, że skrywają drogie perfumy, ale prawie zawsze w środku jest coś innego.

- Zdejmij sukienkę - powiedział.

- Dlaczego?

- To olejek do masażu. - Podniósł buteleczkę, tak że mogłam zobaczyć gęsty płyn przez rubinowe szkło.

Uśmiechnęłam się do niego, starając się, by ten uśmiech był taki, jak chciał: zmysłowy, uwodzicielski, nieco cyniczny. - Najpierw spodnie.

Uśmiechnął się szeroko, wyraźnie z siebie zadowolony. - Zdawało mi się, że chciałaś zwolnić.

- Jeśli mamy być nadzy, to ty pierwszy.

Zaczął się odwracać i umieścił olejek z powrotem w skrytce.

- Mogę potrzymać tę butelkę - zaproponowałam. Zatrzymał się w półobrocie, po czym spojrzał na mnie z ogniem w oczach. - Tylko jeśli położysz kropelkę na swoich piersiach, gdy będę się rozbierał.

- Czy to poplamy mi sukienkę?

Przez chwilę się zamyślił. - Nie jestem pewien, ale kupię ci nową, jeśli tak się stanie.

- Mężczyźni gotowi są obiecać wszystko w gorącym momencie - zauważyłam.

- Pozwól mi zobaczyć, jak olejek spływa po twojej białej skórze. Spraw, żeby lśniła dla mnie. -

Podał mi buteleczkę, otaczając moje dłonie wokół niej. Znów mnie pocałował, jego wargi przywarły do moich, jego język zagłębił się w moich ustach. Oderwał się ode mnie bardzo wolno. - Proszę, Merry, zgódź się.

Odsunął się, ale niezbyt daleko, jego ręce znów znalazły się na pasku. Wysuwał skórzany język wolno poprzez złotą sprzączkę, celebrując każdy ruch i patrząc przy tym na mnie. Uśmiechnęłam się, ponieważ robił dokładnie to, czego chciałam.

Całe szczęście, że mogłam zrobić to, o co mnie prosił. Podnoszący biustonosz na tyle odsłaniał moje piersi, że nie musiałam odchyłać sukienki. Wyciągnęłam korek z buteleczki. Na końcu miał jedną z tych długich szklanych rurek do smarowania skóry. Powąchałam olejek. Pachniał cynamonem i wanilią. Było w tym zapachu coś znajomego, ale nie mogłam tego umiejscowić. Olejek był prawie przezroczysty. - Czy nie sądzisz, że powinien najpierw się trochę zagrzać? - spytałam.

- Dostosowuje się do ciepła ciała - odparł. Wysunął pasek z ostatniej szlufki i rzucił go pomiędzy nas na łóżko. - Twój ruch.

Wyciągnęłam korek z butelki. Olejek przylegał ściśle do niej. Dotknęłam końcem szklanej rurki swojej piersi. Olejek był już ciepły, miał temperaturę ciała. Przejechałam rurką po piersi, zostawiając wąską smugę. Wyglądała jak duża ła. Poczułam zapach cynamonu i wanilii. Olejek wchłonął się w moją skórę jak gorący podmuch.

Alistair rozpiął zamek spodni i wolno zaczął rozsuwać rozporek. Pod spodem miał czerwone slipki, zupełnie jakby ubrał się pod kolor sypialni. Czerwień opiętych slipków odcinała się bardzo od jego jasnej skóry. Położył się na łóżku, żeby zdjąć spodnie. Teraz ja górowałam nad nim, tak jak on nade mną przedtem.

Sięgnął do góry, wciąż leżąc na plecach, i koniuszkami palców rozsmarowywał olejek na mojej skórze. Wrócił na kolana, rękami muskał koniuszki moich piersi, próbował dostać się pod sukienkę i

dotknąć więcej, ale było tam za ciasno. Wcześniejsze planowanie zapobiega przykrym niespodziankom. Przesunął pokrytymi olejkami dłońmi po swoim torsie, a potem zabrał mi buteleczkę i przejechał szklanym korkiem po moich ustach, jakby je szminkował. Moje usta stały się słodkie, ociężałe i słodkie. Pocałował mnie, obiema rękami trzymając wciąż buteleczkę. Całował mnie, jakby chciał zlizać olejek z moich ust. Roztopiłam się w tym pocałunku, moje ręce zaczęły błądzić po jego ciele, poczułam mięśnie brzucha poruszające się pod moim dotykiem. Moja ręka ześlizgnęła się niżej, do jego twardego członka. Zadrżałam. I wtedy uświadomiłam sobie, że dałam się ponieść i zapomniałam, dlaczego tu jestem.

Uchyliłam się przed pocałunkiem i spróbowałam się skupić, pomyśleć. Nie chciałam myśleć. Chciałam dotykać go i sprawić, by on dotykał mnie. Piersi aż mnie bolały z pragnienia dotyku. Usta prawie płonęły od potrzeby skrócenia odległości pomiędzy nami. Pochylił się do kolejnego pocałunku, a ja opadłam na plecy, byle tylko odsunąć się od niego.

Alistair przysunął się do mnie na kolanach i jednej ręce. W drugiej ręce trzymał buteleczkę. Stał nade mną tak, jak klacz staje nad źrebięciem. Mój wzrok ześlizgnął się w dół jego ciała i spoczął na twardym członku. Nie mogłam utrzymać wzroku na jego twarzy. To było zawstydzające i przerażające zarazem.

- Głupia - powiedziałam. - Ale jestem głupia. To olejek. W olejku jest zaklęcie.

- To olejek jest zaklęciem - wyszeptał.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, co to znaczy, ale wiedziałam, że nie chcę już tego mieć na sobie. Zaczął otwierać buteleczkę, a ja usiadłam, łapiąc go za ręce. W chwili gdy go dotknęłam, przegrałam. Znow zaczęliśmy się całować, chociaż nie zamierzałam tego robić. Im więcej się całowaliśmy, tym bardziej tego pragnęłam.

Opadłam plecami na łóżko, twarz ukryłam w dłoniach. - Nie! - Teraz widziałam już, co to było: Łzy Branwyna, Rozkosz Aevala, Pot Fergususa. To mogło zamienić człowieka w kochanka sidhe na jedną noc. To mogło nawet z sidhe zrobić seksualnego niewolnika, jeśli ta sidhe nie miała dostępu do innej sidhe. Żadna istota magiczna, nieważne jak wielką obdarzona mocą, nie mogła rywalizować z sidhe, szkoda gadać. Możesz zapomnieć dotyk. Możesz usiłować nie marzyć o błyszczącym ciele i oczach jak roztopione drogie kamienie, o włosach oplatających cię aż do kostek. Ale pożądanie zostaje w tobie na zawsze, pod powierzchnią, jak u alkoholika, który nie wypije kolejnego drinka ze strachu, że ten drink nie wystarczy, by zaspokoić jego pragnienie.

Krzyknęłam głośno, przeciągle. To był jeszcze jeden efekt Łez Branwyna. Żadna osobista osłona nie utrzymywała się przy nich. Czułam, jak moja osłona roztapia się, czułam własną skórę, miałam wrażenie, jakby całe moje ciało wzięło głęboki oddech.

Opuściłam wolno ręce, dopóki nie zobaczyłam swego odbicia w lustrze na suficie. Moje oczy jarzyły się jak klejnoty. Zewnętrzne obramowania moich tęczówek były roztopionym złotem, w środku był okrąg nefrytowej zieleni, a wokół źrenicy szmaragdowy ogień. Tylko sidhe lub koty mogą mieć takie oczy. Moje usta były mieszanką karmazynu, pozostałości po szmince, i szkarłatnego błysku samych moich ust. Moja skóra była tak czysto biała i migocząca jak najdoskonalsze perły. Z mojego ciała biła światłość, jak ze świeczki za zasłonką. Czerwono-czarne włosy otaczały moje błyszczące ciało jak ciemna krew. Gdyby były zupełnie czarne, wyglądałabym jak Królowa Śnieżka wyrzeźbiona z klejnotów.

To nie byłam po prostu ja bez osłony. To byłam ja w pełni mocy, kiedy w powietrzu unosi się magia.

- O mój Boże, ty jesteś sidhe - wyszeptał.

Odwróciłam swe jarzące się oczy do Alistaira. Spodziewałam się strachu w jego oczach, ale zamiast tego ujrzałam w nich pewien rodzaj łagodnego zdumienia. - Powiedział, że przyjdiesz, jeśli

będziemy wierni, jeśli będziemy naprawdę wierzyć, i oto jesteś.

- Kto powiedział, że przyjdę?

- Księżniczka sidhe, która zaspokoi nasze pragnienie. - W jego głosie był respekt, ale jego ręce wślizgnęły się pod moją sukienkę, palce sforsowały barierę majteczek. Chwyciłam go za nadgarstek i uderzyłam drugą ręką na tyle mocno, że na jego twarzy pojawił się czerwony odcisk dłoni. Mieliśmy już wystarczająco dużo dowodów, by wsadzić go do więzienia. Nie musiałam już tego przedłużać. Można przekierować energię Łez Branwyna z seksu na przemoc, w każdym razie tak mówią na Dworze Unseelie. Musiałam spróbować. Naprawdę próbowałam.

Jeśli oddałby mi, to mogłoby zadziałać, ale nie oddał. Przygniótł mnie swoim ciałem, przyszpilając do łóżka. Jego twarz była na wysokości mojej. Nasze spojrzenia się spotkały i ujrzałam w jego oczach tę samą dręczącą potrzebę, którą czułam w swoich. Łzy Branwyna to obosieczna broń. Nie możesz kogoś uwodzić, sam nie będąc uwodzony.

Z jego gardła wydobył się cichy pomruk. Pocałował mnie. Wpiłam się w jego usta, jedną ręką sięgając do końskiego ogona, w który zebrane były z tyłu jego włosy. Wyszarpnęłam je, rozsiewając je wokół mnie jak jedwabną kurtynę. Zanurzyłam w nich ręce, zaciskając na nich pięści, podczas gdy eksplorowałam jego usta.

Wolną ręką próbował dostać się przez sukienkę do moich piersi, ale materiał opinał je zbyt ciasno. Pociągnął za ubranie i rozdarł sukienkę, zanurzając rękę w staniku.

Dotyk jego ręki na mojej piersi sprawił, że szarpnęłam głową do tyłu, uwalniając usta. Nagle spojrzałam na lustro na przeciwległej ścianie. Kilka sekund minęło, zanim uświadomiłam sobie, że coś jest nie tak. Częściowo były to jakieś zakłócenia. Alistair całował moją szyję, wodził ustami po skórze, coraz niżej. Częściowo była to jednak czyjaś magia. Magia kogoś potężnego, kto nie chciał, żebym wiedziała, że jesteśmy obserwowani. Lustra były puste jak ślepe oczy. Spojrzałam na lustro nad łóżkiem i ono również ziało pustką, zupełnie jakby Alistaira i mnie tu nie było.

I wtedy poczułam zakłęcie, powiew, który zaczął wyciągać ze mnie moc przez pory w skórze, do góry, do luster. Cokolwiek to było, wysysało ze mnie moc niczym ogromna pijawka. To coś sączyło ją wolno jak przez słomkę. Zrobiłam jedyną rzecz, jaka przychodziła mi do głowy. Pchnęłam moc prosto w zakłęcie. Nie spodziewali się tego. W lustrze pojawiła się postać, ale to nie był ani Alistair, ani ja. Postać była wysoka, szczupła, okryta szarą peleryną z kapturem. Peleryna była iluzją, iluzją skrywającą jakiegoś czarodzieja. A każdą iluzję można rozwiązać.

Usta Alistaira kąsały delikatnie moją pierś. Rozkojarzyłam się. Spojrzałam w dół na niego, gdy wsadzał sobie mój sutek do ust. Miałam wrażenie, jakby pierś, którą ssał, połączona była za pomocą tajemnej linii z łechtaczką. Sapnęłam i zaczęłam się wic pod jego dotykiem. Malutka cząstka mnie wzdragała się na myśl, że ten człowiek mógł pobudzić moje ciało, ale większa część stała się po prostu zakończeniami nerwów i nienasyconym ciałem. Zatopiłam się głębiej w Łzach Branwyna. Wkrótce nie będzie już myśli, tylko zmysły. Nie mogłam myśleć o mocy. Wszystko, co mogłam wyczuć, poczuć, spróbować, to był cynamon, wanilia i seks. Pchnęłam to wszystko w stronę zakłęcia. Peleryna zamigotała i przez chwilę prawie widziałam, co jest pod nią, ale Alistair podniósł się na kolana, zasłaniając mi widok.

Zsunął slipki na biodra, potem na uda i nagle miałam go przed sobą w całej okazałości, błyszczącego i twardego. Na chwilę zaparło mi dech w piersiach, nie dlatego, że był taki wspaniały, ale z czystego pożądania. Zupełnie jakby moje ciało zobaczyło lekarstwo na wszystko, a lekarstwo to sterczało z brzucha Alistaira. Nie wiem, czy sprawił to widok jego nagiego czy też moc, którą umieściłam w zakłęciu, ale czułam się silną. Silną nimfomanką, ale zawsze był to jakiś postęp.

Usiadłam. Przód sukienki był rozdarty, mój biustonosz opuszczony, tak że piersi zostały odsłonięte.

- Nie - powiedziałam. - Nie zrobimy tego.

Ciarki energii rozlały się nad łóżkiem, przebiegając gęsią skórą po moim ciele. Alistair spojrzął do góry, jakby zobaczył coś, czego nie widziałam ja, po czym powiedział:

- Ale mówiłeś, żeby użyć tylko małej ilości. Zbyt dużo może wpędzić ją w szaleństwo.

- Wsluchał się, jego twarz stężała. Nic nie słyszałam.

Cokolwiek było w lustrze, było niewidoczne dla mnie, a widoczne dla Alistaira.

Otworzył buteleczkę. Miałam czas, żeby powiedzieć „nie”. Wysunęłam rękę, jakbym odparowywała

cios. Wylał na mnie olejek. Miałam wrażenie, jakbym była dotykana przez jakąś wielką płynną dłoń.

Nie mogłam się ruszyć, mogłam tylko krzyczeć. Wylał olejek z przodu mego ciała. Przesiąkł przez

sukienkę. Podniósł ją i tym razem nie mogłam go już powstrzymać. Byłam zamrożona,

obezwładniona. Wylał olejek na moje atlasowe majteczki. Opadłam na łóżko, wyginając się i

zaciskając ręce na prześcieradle. Moja skóra była spuchnięta, rozciągnięta przez pożądanie, które

zawęziło cały świat do potrzeby dotyku, posiadania. Nie było ważne, kto to był. Nic mnie to nie

obchodziło. Wyciągnęłam ramiona do nagiego mężczyzny klęczącego nade mną. Wszedł na mnie.

Czułam go twardego i długiego przez majtki. Nawet ten cienki skrawek materiału to było zbyt dużo.

Chciałam go poczuć w sobie, chciałam tego bardziej niż czegokolwiek w całym swoim życiu.

I wtedy coś spłynęło z lustra. Malutki czarny pyłek. Gdy był bliżej, zobaczyłam, że to mały pająk

wiszący na jedwabnej nitce. Widziałam, jak pająk powoli się obniża do ramienia Alistaira.

Pająk był mały, czarny i lśniący jak lakierowana skóra. Moje ciało schłodziło, umysł się oczyścił.

Jeremy musiał dać sobie jakąś radę z dotarciem do mnie. Wiedziałam już teraz, że czarodziej po

drugiej stronie zaklęcia musiał złapać ich wszystkich w pułapkę.

Czułam delikatną główkę penisa Alistaira prześlizgującą się obok krawędzi moich majteczek i

dotykającą moich nabrzmiałych, wilgotnych warg sromowych. Krzyknęłam, ale mogłam też wciąż

mówić, wciąż myśleć. Jeśli go teraz nie powstrzymam, zgwałci mnie. Przestań, przestań! -

krzyknęłam. Usiłowałam go zepchnąć z siebie, ale był zbyt duży, zbyt ciężki. Byłam w potrzasku.

Zaczął wpychać go we mnie. Włożyłam dłoń pomiędzy nasze pachwiny. Rozproszyło go to. Sięgnął

po moją rękę, próbując ją wyszarpnąć, tak żeby mógł skończyć.

- Jeremy! - krzyknęłam.

Spojrzałam w lustro. Było pełne szarej, wirującej mgły. Drżała, marszczyła się jak woda. Wyginała

się jak bańka. I wtedy wiedziałam już, że czarodziej był sidhe. On - lub też ona - skrywał się przede

mną, ale lustra były magią sidhe. Potem Alistair wygrał walkę i wsunął we mnie czubek swojego

penisa. Krzyknęłam. Był to na poły okrzyk protestu, a na poły rozkoszy. Mój umysł buntował się

przeciwko temu, ale olejek rozgrzewał ciało. - Nie! krzyknęłam, ale moje biodra poruszyły się pod

nim, pomagając mu wsunąć się we mnie. Chciałam, pragnęłam, żeby we mnie wszedł, pragnęłam

poczuć w sobie jego nagie ciało. Wciąż jednak krzyczałam: - Nie!

Alistair wzdrygnął się i wysunął ten koniuszek, który udało mu się wsadzić, podnosząc się na kolana

i strącając coś z pleców. Została na nich mała plamka krwi. Rozgniół pająka. Ale na jego ramieniu

pojawił się kolejny. Strącił go. Kolejne dwa pająki spadły na jego ramiona. Próbował dotknąć

środką swoich pleców i odwrócił się jak pies goniący własny ogon, i wtedy ujrzałam całe jego

plecy. Skóra była popękana, a fala małych czarnych pająków zalewała go. Roili się na nim jak

czarna woda, ruchoma, gryząca druga skóra.

Krzyczał, drapał się po plecach, rozgniatł je, ale wciąż było ich więcej i więcej, aż w końcu cały

był nimi pokryty. Wpełzały do jego otwartych ust, gdy piszczał, dławił się i krzyczał.

Wszystkie lustra pulsowały, oddychały, szkło rozciągało się i kurczyło jak coś elastycznego i

żywego. Usłyszałam w głowie męski głos: - Pod łóżko, szybko. - Nie zastanawiałam się nad tym.

Sturlałam się z łóżka i dałam pod nie nura. Czerwone prześcieradła zwisały z krawędzi, ukrywając wszystko z wyjątkiem cienkiego pasma światła.

Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, jakby tysiąc okien stłukło się w tym samym czasie. Krzyki Alistaira zagłuszył dźwięk spadających luster. Szkło pękało na dywanie jak kruchy grad. Był to dzwoniący, ostry dźwięk.

Stopniowo robiło się coraz ciszej, w miarę jak szkło zalegało w pokoju. W końcu było słychać tylko dźwięk roztrzaskiwanego drewna. Nie mogłam tego dojrzeć, ale wydawało mi się, że to drzwi. - Merry, Merry! - usłyszałam głos Jeremy'ego.

- Merry, mój Boże - krzyknął Roane.

Podczołgałam się do krawędzi łóżka i podniosłam skrawek prześcieradła, żeby zobaczyć podłogę błyszczącą od szkła. - Tutaj jestem! - krzyknęłam. Wystawiłam ręce spod łóżka, zamachałam nimi, ale nie mogłam ruszyć się dalej bez pokaleczenia się szkłem.

Chwyciła mnie czyjaś ręka, a ktoś inny położył na szklach marynarkę, tak że Roane mógł mnie wyciągnąć spod łóżka. Gdy tylko wziął mnie w ramiona, uświadomiłam sobie, że w dalszym ciągu jestem pokryta Łzami Branwyna, i że lepiej by było, gdyby mnie nie dotykał. Ale wystarczyło, że przelotnie rzuciłam okiem na to, co leżało na łóżku, żeby odjęło mi mowę. Myślę, że zapomniałam oddychać na sekundę albo dwie.

Roane zaniósł mnie do drzwi. Popatrzyłam nad jego ramieniem na to, co leżało na łóżku. Wiedziałam, że to był człowiek. Wiedziałam nawet, że był to Alistair Norton, ale gdybym nie wiedziała, podejrzewam, że nie rozpoznałabym w tym czymś człowieka. Była to bezkształtna masa tak szkarłatna jak prześcieradła, na których leżała. Szkło zamieniło Alistaira Nortona w górę mięsa. Nie mogłam dojrzeć pajaków pod tą krwią. Wiedziałam tylko, że czarodziej po drugiej stronie zaklęcia był sidhe, że próbował mnie zabić, i że gdyby Jeremy'emu nie udało się złamać zaklęcia, byłabym mniejszą z dwóch czerwonych brył leżących na zakrwawionym łóżku. Miałam u Jeremy'ego naprawdę wielki dług.

Rozdział 6

Policjanci nie pozwolili mi się wykapać. Nie pozwolili mi nawet umyć rąk. Cztery godziny po tym, jak Roane wyniósł mnie z sypialni, wciąż próbowałam im wyjaśnić, co właściwie stało się Alistairowi Nortonowi. Bezskutecznie. Nikt nie wierzył w moją wersję wydarzeń. Obejrzeli taśmę i wciąż mi nie wierzyli. Myślę, że jedynym powodem, dla którego nie oskarżyli mnie o zamordowanie Alistaira Nortona, było to, że ujawniłam się jako księżniczka Meredith NicEssus. Zarówno oni, jak i ja wiedzieliśmy, że w każdej chwili mogę powołać się na immunitet dyplomatyczny i po prostu sobie iść. Tak więc mogli sobie wsadzić akt oskarżenia gdzieś.

Nie wiedzieli jednak o jednym: a mianowicie o tym, że zależało mi na powoływaniu się na immunitet prawie tak samo jak im. Gdy tylko się powołam na immunitet, od razu zawiadomią Biuro do spraw Ludzi i Istot Magicznych. Skontaktują się z ambasadorem dworów sidhe. A ambasador skontaktuje się z Królową Powietrza i Ciemności. Powie jej, gdzie jestem. Znając moją ciotkę, poleci „strzec” mnie, dopóki jej straż po mnie nie przybędzie i nie przetransportuje mnie z powrotem do domu. Znajdę się w pułapce, jak zając złapany we wnyki, czekający, aż ktoś przyjdzie, przetrąci mu kark i weźmie do domu jako trofeum.

Siedziałam przy małym stoliku, mając przed sobą szklanek wody. Na oparciu krzesła wisiał koc, który dali mi sanitariusze. Koc miał zapewnić mi ciepło, w przypadku gdybym była w szoku, i zakryć rozdartą górę mojej sukienki. W ciągu ostatnich kilku godzin chwilami trzęsłam się z zimna i wtedy koc był mi potrzebny, ale przez resztę czasu było mi gorąco jak diabli. Albo dygotałam z zimna, albo się pociałam, kombinacja szoku i Łez Branwyna. Przechodzenie z jednej skrajności w drugą

przyplącałam straszliwym bólem głowy. Nikt nie podał mi żadnego środka przeciwbólowego, ponieważ miałam być zawieziona później do szpitala.

Kiedy przyjechali pierwsi policjanci, wciąż błyszczałam. Dopóki olejek był w moim organizmie, nie potrafiłam utkać osłony, więc nie mogłam ukryć błyszczenia. Kilku z pierwszych mundurowych rozpoznało mnie; jeden z nich powiedział: - Ależ to księżniczka Meredith. - Słowa te padły w łagodną kalifornijską noc i wiedziałam, że jest tylko kwestią czasu, żeby Królowa Powietrza i Ciemności wysłała kogoś do wyjaśnienia tego szeptu. Musiałam jak najszybciej wyjechać z miasta. Miałam najwyżej jeszcze noc, może dwie, zanim strażę mojej ciotki po mnie przyjdą. Miałam czas, żeby siedzieć tutaj i odpowiadać na pytania. Ale zaczynałam być już zmęczona powtarzaniem w kółko tego samego.

Dlaczego więc wciąż siedziałam na krześle z twardym oparciem, patrząc ponad małym stolikiem na detektywa, którego pierwszy raz widziałam na oczy? Po pierwsze, nawet jeśli udałoby mi się stąd wyjść bez powoływania się na immunitet dyplomatyczny, zawiadomiliby o tym polityków. Zrobiliby to, żeby ochronić własne tyłki. Po drugie, chciałam, żeby detektyw Alvera uświadomił sobie, jak niebezpieczne były Łzy Branwyna. Prawdopodobnie był to prezent od jakiejś sidhe, która utkała pasożytnicze zaklęcie. Scenariusz optymistyczny zakładał, że tylko jedna buteleczka znalazła się poza dworem. Mogło jednak być i tak, że ludzie, z pomocą sidhe lub bez, odkryli recepturę.

Oczywiście istniała jeszcze jedna możliwość. Sidhe, która wrobiła Nortona w tę magiczno-seksualną aferę, mogła dać Łzy Branwyna także wielu innym. Było to chyba bardziej prawdopodobne niż poprzednie dwa czarne scenariusze. Sęk w tym, że nie mogłam powiedzieć policji, że jeszcze jedna sidhe była zamieszana w tę sprawę. Nie możesz zdradzać interesów sidhe ludzkiej policji, jeśli jesteś przywiązany do wszystkich części swego ciała.

Policjanci są dobrzy w wychwytywaniu kłamstw, a może raczej, dla oszczędności czasu, po prostu z góry zakładają, że wszyscy kłamią. Jakkolwiek jest, detektyw Alvera nie uwierzył w moją opowieść. Siedział naprzeciwko mnie, wysoki, ciemnowłosy, szczupły, o rękach, które sprawiały wrażenie zbyt dużych w stosunku do jego wąskich ramion. Jego oczy były ciemnobrązowe, otoczone ciemnymi rzęsami, które sprawiały, że przyciągał uwagę. A może tej nocy każdy mężczyzna zrobiłby na mnie wrażenie? Jeremy stworzył mi ochronę, żeby pomóc mi kontrolować Łzy. Narysował runy wokół mojego czoła. Nie były one widzialne dla policjantów, ale gdy się skoncentrowałam, mogłam je poczuć niczym zimny ogień. Bez zaklęcia Jeremy'ego Bogini wie, co bym teraz robiła. Zapewne coś zawstydzającego i rozwiązłego. Nawet strzeżona przez runy byłam bardzo świadoma obecności wszystkich mężczyzn w pokoju.

Alvera spoglądał na mnie tymi swoimi ślicznymi, podejrzliwymi oczkami. Patrzyłam, jak jego usta układają się, by wypowiedzieć słowa, śliczne usteczka, niezwykle całusne.

- Czy słyszała pani, co powiedziałem, panno NicEssus? Zamrugałam i uświadomiłam sobie, że nie. - Przepraszam, detektywie. Czy mógłby pan powtórzyć?

- Wydaje mi się, że to przesłuchanie powinno dobiec końca - włączyła się moja prawniczka. - Jest rzeczą oczywistą, iż moja klientka jest nad wyraz zmęczona, a poza tym znajduje się w szoku.

Moja prawniczka pracowała w kancelarii James, Browning i Galan. To ona była Galan. Zwykle to Browning prowadził sprawy Agencji Detektywistycznej Greya. Podejrzewam, że Eileen Galan znalazła się tutaj, ponieważ Jeremy wspomniał o gwałcie. Kobieta powinna być bardziej przydatna w takich przypadkach - przynajmniej teoretycznie.

Siedziała przy mnie w ciemnej prążkowanej spódnicy od garsonki, taka elegancka i skupiona, jakby była jeszcze nie rozpakowanym prezentem. Jej szarawe blond włosy były nienagannie uczesane a makijaż był nieskazitelny. Nawet jej czarne czółenka na wysokim obcasie lśniły. Była druga w nocy,

a Eileen wyglądała, jakby dopiero co skończyła solidne śniadanie i była gotowa na powitanie dnia. Alvera objął mnie jednym spojrzeniem, płynnie przechodząc od podnoszącego biustonosza, który eksponował piersi, do moich oczu. - Dla mnie ona nie sprawia wrażenia osoby będącej w szoku, pani mecenas - powiedział.

- Detektywie Alvera, moja klientka została zgwałcona. Mimo to wciąż nie przewieziono jej do szpitala ani nawet nie przeprowadzono badania lekarskiego. Nie zażądałam tego jedynie dlatego, że mojej klientce naprawdę bardzo zależy na tym, żeby odpowiedzieć na wszystkie pana pytania i pomóc panu w śledztwie. Szczerze mówiąc, zaczynam myśleć, że moja klientka nie jest dziś zdolna do ochrony swoich interesów. Widziałam na taśmie, jak brutalnie została potraktowana. Muszę stanąć w obronie praw Meredith, nawet jeśli ona sama sobie tego nie życzy.

Alvera i ja spojrzeliśmy na siebie ponad stołem. Następne słowa detektyw wypowiedział, patrząc mi prosto w oczy. - Ja również widziałem tę taśmę, pani mecenas. Wyglądało to tak, jakby przez większość czasu pani klientce sprawiało to przyjemność. Mówiła „nie”, ale jej ciało mówiło „tak”. Jeśli Alvera myślał, że ugnę się pod jego stalowym spojrzeniem i zniewagami, to jeszcze mnie nie znał. Nawet w normalnych okolicznościach by to nie zadziało; tej nocy byłam zaś zbyt odrętwiała, by połknąć tę pozał się Boże przynętę.

- Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że obraził pan w tej chwili nie tylko moją klientkę, ale w ogóle wszystkie kobiety. Przesłuchanie uważam za zakończone. Spodziewam się policyjnej eskorty do szpitala.

Popatrzył na nią tymi swoimi ładniutkimi, znudzonymi oczkami. - Kobieta może powiedzieć „nie”, „przezań”, ale jeśli w tym samym czasie bawi się wackiem faceta, proszę go nie winić za to, że nie wie, jak to odczytać.

Uśmiechnęłam się, potrząsając głową.

- Uważa to pani za śmieszne, panno NicEssus? Taśma może i jest dowodem w sprawie gwałtu, ale i pokazuje, jak zmieniła pani Alistaira Nortona w krwawy befsztyk.

- Jeszcze raz powtarzam, że nie zabiłam Alistaira Nortona. Co do gwałtu, albo próbuje pan wyprowadzić mnie z równowagi, albo jest pan po prostu męską szowinistyczną świnią. Jeśli to pierwsze, to traci pan czas. Jeśli to drugie, to ja tracę czas.

- Przykro mi, że odpowiadanie na pytania dotyczące człowieka, który z pani winy wykrwawił się na śmierć w łóżku we własnym domu, uważa pani za stratę czasu.

- Co to za człowiek, który ma dom, o którym nic nie wie jego żona? - spytałam.

- Oszukiwał żonę, więc zasłużył na śmierć, czy tak? Wiem, że wy, sidhe, macie specyficzne poglądy na temat małżeństwa i monogamii, ale egzekucja wydaje mi się grubą przesadą.

- Moja klientka wielokrotnie już wyjaśniała, że nie sporządziła zaklęcia, które rozbiło lustro.

- Ale przeżyła, pani mecenas. Jeśli to nie ona jest autorką tego zaklęcia, skąd wiedziała, że należy się ukryć?

- Mówiłam już, że rozpoznałam zaklęcie.

- Dlaczego w takim razie nie rozpoznał go Norton? Cieszył się reputacją doświadczonego czarodzieja. Tak jak pani powinien je dostrzec.

- Jak już wspominałam, Łzy Branwyna działają o wiele silniej na ludzi niż na sidhe. Nie poświęcał tak dużo uwagi otoczeniu jak ja.

- Skąd się tam wzięły pająki?

- Nie mam pojęcia. - Nie powiedziałam im, że to Jeremy sprowadził pająki, ponieważ mogliby wtedy oskarżyć go również o zabicie luster albo posądzić nas o działanie w zмовie.

Potrząsnął głową. - Proszę się przyznać. Proszę powiedzieć, że działała pani w samoobronie.

- Jestem tu tylko dlatego, że chcę, żebyście wy, policjanci, zrozumieli, jak niebezpieczny może być ten olejek. Jeśli jest gdzieś więcej buteleczek Łez Branwyna, musicie je znaleźć i zniszczyć.

- Zaklęcia pożądania nie działają, panno NicEssus. Podobnie jak afrodyzjaki. Magiczny eliksir, który powoduje, że kobieta zaczyna pożądać mężczyzny, którego nie chce, to bujda na resorach. Czegoś takiego po prostu nie ma.

- Będzie pan marzył, żeby tak było, jeśli ten olejek stanie się ogólnie dostępny. Norton mógł mieć jedyną istniejącą buteleczkę, równie dobrze jednak może być ich więcej. Proszę przyjrzeć się jego kompanom.

Przewrócił kilka kartek w notatniku, który od dłuższego czasu leżał nie tknięty na stole. - Liam, Donald i Brendan, same imiona, bez nazwisk. Dwóch z nich ma spiczaste uszy, wszyscy mają długie włosy. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli problemy z odnalezieniem ich. Oczywiście, w tej chwili mają mniejsze znaczenie, ponieważ nie są podejrzani o morderstwo.

Eileen wstała. - Chodźmy, Meredith, to naprawdę nie ma sensu. - Spojrzała na nas, jakbyśmy byli krnąbrnymi pierwszakami i nie ośmielili się z nią kłócić. Staralam się, ale oni nie zamierzali uwierzyć we Łzy Branwyna. Podniosłam się.

Alvera również wstał. - Siadaj, Meredith - powiedział.

- Odkąd to jesteśmy po imieniu? - spytałam. - Nawet nie znam twojego.

- Raimundo. A teraz siadaj.

- Jeśli... - zaczęłam - jeśli powołam się na swój immunitet dyplomatyczny, wyjdę stąd niezależnie od tego, kto z nas ma rację. - Spojrzałam na niego i dzięki ochronie Jeremy'ego udało mi się odszukać jego spojrzenie. Nawet bardzo skoncentrowana ledwie widziałam jego usta.

Patrzył na mnie przez dłuższy czas, aż w końcu zapytał: - Co cię przed tym powstrzymuje, księżniczko?

- To, że nie wierzysz w olejek.

Uśmiechnął się. - Ależ wierzę.

Potrząsnęłam głową. - Nie żartuj. Kłamstwem nie przytrzymasz mnie w tym pokoju. Blefowałam, ale miałam nadzieję, że się nie spostrzeże.

- Co więc proponujesz? - spytał.

Miałam pewien pomysł. Musiałam udowodnić policji, że ze Łzami Branwyna naprawdę nie ma żartów. Wspomnienie seksu z sidhe prześladować będzie człowieka do końca życia. Ledwie posmakowanie go nie powinno mu jednak zaszkodzić. Jedyną tego konsekwencją mogło być trochę marzeń albo dodatkowe podniecenie w łóżku, nic poza tym. Magia nie powinna być wtedy niebezpieczna. Jeśli wszyscy próbowaliby tylko troszkę, nikomu nie stałoby się nic złego.

- A jeśli mogę ci udowodnić, że zaklęcie w olejku działa?

Skrzyżował ramiona na piersi i udało mu się przez chwilę wyglądać jeszcze bardziej cynicznie, mimo że wydawało mi się to niemożliwe. - Słucham.

- Jesteś święcie przekonany, że żadne zaklęcie nie może sprawić, że nagle zaczniesz pożądać kogoś nieznanego, tak?

Skinął głową. - Zgadza się.

- Czy mogę ci dotknąć, detektywie?

Uśmiechnął się, jego spojrzenie spoczęło na przedzie mojej sukienki. Miałam nadzieję, że z rozmysłem chciał mnie obrazić, w innym wypadku oznaczałoby to bowiem, że nie był zbyt bystry, a ja chciałam mieć pewność, że jest dobry w tym, co robi. Zważywszy na fakt, że sprawa była politycznie śliska, Alvera albo był najlepszym detektywem, jakiego mieli, albo najgorszym. Albo mieli nadzieję, że superdetektyw rozwiąże tę zagadkę, albo zawczasu woleli przydzielić tę sprawę

jakiemuś kozłowi ofiarnemu, na wypadek gdyby gównem wpadło w wentylator. Miałam nadzieję, że Alvera był jednak tym pierwszym, choć zaczynałam mieć wątpliwości. Ponieważ kilka razy mijałam się z prawdą, może nie powinnam chcieć, żeby był zbyt dobrym gliną. Ale nie kłamałam wtedy, gdy myślałam, że kłamałam. Naprawdę.

- Chwilę temu przeszliśmy na ty. Teraz chcesz mnie dotykać. Chyba lepiej będzie, jak znowu zaczniemy do siebie mówić na pan i pani.

- To się nazywa trzymać kogoś na dystans, detektywie Alvera - powiedziałam.

- Podczas gdy ty chciałybyś, żeby nasze stosunki były bliskie i osobiste, prawda?

Usłyszałam, jak Eileen Galan nabiera powietrza, żeby coś powiedzieć, i powstrzymałam ją, unosząc rękę. - W porządku, Eileen, niemożliwe, żeby był tak głupi i wciąż był detektywem, więc po prostu cały czas chce mnie wyprowadzić z równowagi. Nie wiem, na co liczy.

Rozbawienie zniknęło z jego oczu, zostawiając je zimne i ciemne, nieczytelne jak kamień. - Na odrobinę prawdy.

- Przez kilka godzin zachowywałeś się przyzwoicie. Nagle, przez ostatnie trzydzieści minut, udało ci się obrazić mnie kilka razy i bez przerwy gapisz się na moje piersi. Skąd ta zmiana?

Patrzył swoimi zimnymi oczami w moją twarz przez jedno lub dwa uderzenia serca. Bycie rzeczowym i profesjonalnym gównem mi dało.

- W raporcie wstępnym figurowałam jako ofiara gwałtu, czy w to wierzysz, czy nie. Twoje zachowanie przez ostatnie pół godziny mogło ustawić cię po złej stronie barykady.

Jego oczy przeniosły się na chwilę na moją wciąż milczącą prawniczkę, po czym wróciły do mnie. - Widywałam ofiary gwałtów, księżniczko. Zabierałam je do szpitala, trzymałam za rękę, gdy płakały. Jedna z nich miała zaledwie dwanaście lat. Była tak przerażona, że nie mogła mówić. Dziewięć dni, dziewięć długich dni pracy z terapeutą, zajęło mi nakłonienie jej do podania nazwisk napastników. Nie wyglądasz na ofiarę gwałtu.

Potrząsnęłam głową. - Ty zadufany w sobie... człowieku. - Ostatnie słowo zabrzmiało jak najgorsze z wyzwisk. - Byłeś kiedykolwiek zgwałcony, Raimundo?

Zamrugał, ale jego oczy pozostały bez wyrazu. - Nie.

- Więc jak śmiesz mówić mi, jak według ciebie powinnam się zachowywać, czuć się, czy co tam jeszcze, kurwa, wymyślisz. Faktycznie, nie jestem załamana. Częściowo z powodu działania tego cholernego olejku, ale częściowo dlatego, że jak na gwałt, to nie było jeszcze tak źle. Eileen powiedziała, że zostałam brutalnie potraktowana. Cóż, jest prawnikiem. Mogę wybaczyć jej te słowa, bo nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówi. Nigdy nie widziała, do czego zdolny jest mężczyzna, gdy naprawdę chce zranić kobietę. Ja widziałam, detektywie, i wiem, że to, co się wydarzyło tej nocy, nie było brutalne. Jednak to, że nie wykrwawiłam się na śmierć, a moja twarz nie jest napuchnięta i posiniaczona, nie znaczy wcale, że to nie był gwałt.

Coś przebiegło przed jego oczami, coś, czego nie mogłam odczytać, po czym jego oczy znów stały się bez wyrazu. - To nie był twój pierwszy raz, prawda? - Jego głos był cichy, łagodny.

Wlepiłam wzrok w podłogę, obawiając się spojrzenia jego oczu. - Nie mój, detektywie, nie mój.

- Chodzi o przyjaciółkę? - spytał tym samym tonem.

Spojrzałam na niego i nagle ten pełen współczucia wyraz twarzy o mało nie sprawił, że zaczęłam się zwierzać. O mało. Pamiętałam twarz Keelin, która była krwawą miazgą, jeden z jej oczodołów tak zmiażdżony, że oko zwisało na policzku. Gdyby miała nos, z pewnością byłby złamany, ale jej matka była skrzatem, a skrzaty nie miały ludzkich nosów. Trzy z jej rąk umieszczone były pod niewygodnym kątem jak złamane odnóża pająka. Żaden uzdrowiacz sidhe nie chciał jej pomóc, ponieważ była zbyt bliska śmierci. Poza tym żaden z nich nie chciał ryzykować życia dla mieszkańca goblina ze skrzatem.

Mój ojciec zawiózł ją więc do ludzkiego szpitala i zgłosił napad władzom. Ojciec był Księciem Płomienia i Ciała i nawet jego siostra królowa bała się go, więc nie został ukarany za to, że poprosił ludzi o pomoc. Sprawa została podana do publicznej wiadomości. Mogłam o niej mówić bez obawy, że zostanę ukarana. Dobrze wiedzieć, że było coś, o czym mogłam powiedzieć dziś całą prawdę.

- Opowiedz mi o tym - powiedział, a jego głos stał się jeszcze łagodniejszy.

- Kiedy miałyśmy obie po siedemnaście lat, moja najlepsza przyjaciółka Keelin Nic Brown została zgwałcona. - Mój głos był beznamiętny, tak jak oczy Alvery jeszcze do niedawna. - Połamali kości wokół jednego z jej oczodołów, tak że oko po prostu leżało na jej twarzy, wisząc na nerwach. - Zrobiłam głęboki wdech i odrzuciłam wspomnienia. Widziałam pobitych, ale nie tak, nigdy aż tak. Usiłowali zatłuc ją na śmierć i prawie im się to udało. - W końcu się opanowałam. Udało mi się nie rozplakać. Byłam zadowolona. Nie cierpię płakać. Zawsze potem czuję się wyczerpana.

- Przykro mi - powiedział.

- Jeżeli z mojego powodu, to niepotrzebnie. Widok ran Keelin uodpornił mnie na przemoc. Jeśli coś nie było tak złe, jak w przypadku Keelin, to znaczy, że nie było jeszcze najgorsze. Dzięki temu w trudnych sytuacjach nie popadam w histerię.

- Jak dzisiaj - powiedział takim samym głosem, jakim pewnie zwykle się przemawiać do samobójców stojących na skraju dachu.

Skinęłam głową. - Tak, jak dzisiaj, chociaż przyznaję, że to, co przytrafiło się Alistairowi Nortonowi, było jedną z gorszych rzeczy, jakie widziałam w życiu, a widziałam wiele. Nie zabiłam go. Nie twierdzę, że nie zabiłabym go, gdyby dokończył mnie gwałcić. Kiedy doszłabym do siebie po zakłęciu pożądania, pewnie zaczęłabym go ścigać. Ale ktoś załatwił to za mnie.

- Kto? - spytał.

- Chciałabym wiedzieć, detektywie - wyszeptałam. - Naprawdę chciałabym wiedzieć.

- Czy musisz mnie dotknąć, żeby dowieść, że ten olejek pożądania naprawdę działa?

Skinęłam głową.

- W takim razie zgadzam się - powiedział Alvera.

- Jeśli dowiodę tego, zawiadomisz wydział narkotyków?

- Tak.

- Przyrzeknij, że to zrobisz - nalegałam. - Daj słowo honoru.

Jego oczy stały się poważne. Zdawał się rozumieć, że jego słowo coś dla mnie znaczy. W końcu skinął głową. - Dobrze. Masz moje słowo.

Spojrzałam na Eileen Galan, a potem na lustro weneckie na przeciwnej ścianie. Wypowiedziane przed świadkami. Bogowie cię pokażą, jeśli złamiesz obietnicę.

- Powiniennem się spodziewać gromu z jasnego nieba? Potrząsnęłam głową. - Nie. Akurat gromu z jasnego nieba nie.

Zaczął się uśmiechać, ale kiedy okazało się, że mnie to nie śmieszy, jego uśmiech zbladł. - Dotrzymuję słowa, księżniczko.

- Mam nadzieję, detektywie, ze względu na nas wszystkich.

Eileen wzięła mnie na stronę. - Co ty planujesz, Meredith?

- Czy praktykujesz nauki tajemne? - spytałam.

- Jestem prawniczką, nie czarownicą.

- Więc tylko patrz. Samo się wyjaśni. - Odsunęłam się od niej i wróciłam do Alvery. Stałam na tyle blisko, żeby go dotknąć. Na palcach powinnam mieć olejek, ale trochę go mogło się zetrzeć. Chciałam, żeby zakłęcie podziałało, więc przesunęłam palcami po swoich piersiach, gdzie olejku wciąż było najwięcej. Łzy Branwyna miały długi okres trwałości. Wyciągnęłam dłoń w stronę

twarży Alvery.

Cofnął się.

Podniosłam brwi, z ręką zawieszoną w powietrzu. - Powiedziałeś, że mogę cię dotknąć.

Skinął głową. - Przepraszam, to był odruch. - Zbliżył się do mnie o krok, ale tak wymanewrował, żebyśmy oboje byli widoczni dla naszej publiczności po drugiej stronie lustra. Wyraźnie powstrzymywał się przed wzdrygnięciem. Nie byłam pewna, czy nie chciał, żebym go dotykała, dlatego że byłam sidhe, czy dlatego, że myślał, iż zabiłam kogoś za pomocą magii, czy też z jakichś innych tajemniczych gliniarskich powodów.

Przesunęłam palcami po jego ustach, aż zaczęły błyszczeć jak od pomadki. Jego oczy rozszerzyły się. Wyglądał na lekko oszołomionego. Odsunęłam się od niego, a on wyciągnął do mnie rękę, po czym sam się powstrzymał. Skrzyżował ręce na piersi i usiłował coś powiedzieć, ale zrezygnował i tylko potrząsnął głową.

Podeszłam do swojego krzesła i usiadłam na nim. Założyłam nogę na nogę. Sukienka była tak krótka, że błysnęłam koronkowym wykończeniem pończoch. Alvera zauważył to. Chłonał wzrokiem każdy ruch moich rąk, gdy poprawiałam sukienkę. Widziałam pulsującą żyłę na jego szyi, rozszerzone oczy, półotwarte usta, podczas gdy próbował zapanować nad sobą - wszystko to było bardzo podniecające. Dużo mnie kosztowało, żeby utrzymać się w ryzach, nie skrócić dystansu między nami i nie wykonać pierwszego ruchu. Wciąż byłam bezpieczna za runami Jeremy'ego, ale i tak ostatkiem sił powstrzymałam się przed rzuceniem się na niego.

Eileen Galan patrzyła na nas, a na jej twarzy pojawił się wyraz zmieszania. Przegapiłam coś?

Alvera po prostu patrzył na mnie, obejmował sam siebie rękami, jakby bał się poruszyć, a nawet powiedzieć choć słowo, ze strachu, że każdy ruch sprawi, że przekroczy granicę i wpadnie prosto w moje ramiona.

- Tak, przegapiłaś coś - odpowiedziałam jej.

- Co?

- Łzy Branwyna - rzekłam cicho.

Alvera zamknął oczy, zaczął się lekko chwiać.

- Dobrze się pan czuje, detektywie? - spytała Eileen. Otworzył oczy i odparł: - Tak, jest mi... - spojrział na mnie

- ...dobrze. - I wtedy ostatnia bariera puściła. Na jego twarzy pojawiła się panika, jakby nie mógł uwierzyć w to, co przyszło mu do głowy.

Nie wiem, jak długo mógł tam stać, ale moja cierpliwość tej nocy już się skończyła. Przebiegłam koniuszkami palców po białych, lśniących wzniesieniach swoich piersi i to było wszystko, czego było trzeba.

Alvera przemierzył pokój w trzech susach, złapał mnie za ramiona i postawił. Był prawie stopę wyższy ode mnie i musiał się pochylić, ale poradził sobie. Przycisnął te swoje całusne usteczka do moich i pierwsze ich skosztowanie obróciło ochronne zakłęcie Jeremy'ego w perzynę. Nagle stałam się żywym, pulsującym pragnieniem. Moje ciało chciało dokończyć to, czego wcześniej mu odmówiono. Całowałam go, jakbym chciała go zjeść, mój język zagłębił się w jego ustach. Moje pokryte olejkiem ręce pieściły jego twarz. Im więcej olejku było na nim, tym mocniejsze stawało się zakłęcie. Trzymając mnie w pasie, podniósł mnie do poziomu swoich oczu, tak że nie musiał się schylać.

Otoczyłam go nogami w pasie i poczułam go przez warstwy ubrań, które nas oddzielały od siebie. Moje ciało pulsowało i wyrwałam się z pocałunku nie po to, by nabrać powietrza, a po to, by krzyknąć.

Przycisnął mnie do krawędzi stołu, pocierając o mnie krocem. Był za wysoki, więc uniósł się na ramionach, jakby robił pompkę, trzymając wciąż ciało przyciśnięte do mojego.

Popatrzyłam do góry i w końcu napotkałam spojrzenie jego oczu. Były pociemniałe, tą ciemnością, która zwykle napływa do oczu mężczyzny dopiero wówczas, gdy ubrania są ściągnięte i nie ma odwrotu. Wyciągnęłam mu koszulę ze spodni, strzelając w powietrze guzikami i odsłaniając jego pierś i brzuch. Podniosłam się, jakbym robiła brzuszki, tak że mogłam lizać jego tors, przebiegać dłońmi po jego płaskim brzuchu. Usiłowałam dostać się za jego spodnie, ale pasek uniemożliwił mi to.

Nagle w pokoju zaroilo się od mundurowych i funkcjonariuszy po cywilnemu. Ściągnęli ze mnie Alverę, a on zaczął się z nimi bić. Musieli go przygnieść do podłogi. Krzyczał bez słów.

Leżałam na stole, z sukienką zadartą do pasa, a moje ciało było tak pełne krwi i pożądania, że nie mogłam się ruszyć. Byłam wściekła, wściekła, że nas powstrzymali. Wiedziałam, że to było głupie. Nie chciałam uprawiać seksu w sali przesłuchań na oczach wszystkich, a mimo to... wciąż byłam wściekła i wciąż tego pragnęłam.

Przy stole stanął młody policjant w mundurze. Starał się na mnie nie patrzeć, ale w końcu nie wytrzymał. Tak łatwo było mi złapać go za rękę, wetrzeć Łzy w pulsujący punkt na jego przegubie. Jego krew zawrzała pod moim dotykiem i pochylił się nade mną, zaczął mnie całować, zanim ktokolwiek zdążył zauważyć, co się dzieje. - Jezu, Riley, nie dotykaj jej! krzyknął ktoś. Ręce pochwyciły Rileya, odciągając go od moich ust, moich rąk. Sięgnęłam po niego, siadając, krzyząc: - Nie! - Zaczęłam schodzić ze stołu, żeby podejść do jednego z nich, kiedy następny detektyw złapał mnie za ramiona, zmuszając, żebym siedziała na krawędzi stołu. Popatrzył w dół na swoją rękę, jakby moja naga skóra parzyła. - O mój Boże wyszeptał cicho.

Zanim pochylił się i mnie pocałował, zdążył jeszcze krzyknąć: - Dajcie tu jakieś policjantki! - Później dowiedziałam się, że ten średniej budowy, łysawy mężczyzna o silnych dłoniach i muskularnym ciele to porucznik Peterson. Musieli założyć mu kajdanki, żeby wyprowadzić go z sali.

Zostałam przygnieciona przez policjantki, tak że nie mogłam się ruszać. Kilka z nich miało ten sam problem co policjanci-mężczyźni. Dla odmiany jeden z mężczyzn mógł mnie dotykać bez problemu. Nie ma to jak ujawnić swoje preferencje seksualne w pracy!

Sprowadzili Jeremy'ego, żeby jeszcze raz utkał zakłęcie ochronne. W końcu uspokoiłam się, ale do nikogo się nie odzywałam. Jeremy zapewnił mnie, że pogada z ludźmi z wydziału narkotyków, chociaż jest stuprocentowo pewien, że policjanci, którzy byli ze mną w tej sali, sami to zrobią, bo na własnej skórze przekonali się, jak niebezpieczne są Łzy Branwyny.

Roane, który po mnie przyszedł, na rękach miał chirurgiczne rękawice, więc mógł mnie dotykać bez problemu. Na głowę naciągnął mi marynarkę, żeby ludzie mnie nie poznali. Policjanci wyprowadzili nas tylnym wyjściem. Jak dotąd media nie zorientowały się, że wyszłam z ukrycia. Ale ktoś z komisariatu albo z karetki pogotowia mógł zacząć mówić: dla pieniędzy albo przez przypadek. To tylko kwestia czasu. Ciekawe, kto wygra w tym wyścigu i znajdzie mnie pierwszy: brukowce czy Straż Królowej. Gdyby wszystko było ze mną w porządku, wsiadłabym w samochód i wyjechała z tego stanu jeszcze tej nocy albo złapała pierwszy lepszy samolot. Szkopuł w tym, że nie wszystko było ze mną w porządku. Roane wziął mnie do swojego mieszkania, bo było położone bliżej niż moje. Nic mnie nie obchodziło, gdzie jesteśmy, dopóki nie wzięłam prysznic. Musiałam zmyć Łzy ze swojego ciała albo się kochać. Wiedziałam, że w przeciwnym razie zwariuję. Wolałam wziąć prysznic. Dopiero później uświadomiłam sobie, że Roane wolałby seks.

Rozdział 7

Przednia część mojego umysłu wiedziała, że Roane powinien wziąć mnie do mojego samochodu.

Pod siedzeniem kierowcy znajdowała się tam przyklepiona taśmą paczuszka z pieniędzmi oraz prawo jazdy i karty kredytowe na nowe nazwisko. Miałam to wszystko, na wypadek gdybym musiała szybko wyjechać z miasta lub wsiąść w pierwszy lepszy samolot. Policja właśnie kontaktuje się z ambasadą, a przed świtem moja ciotka dowie się, gdzie byłam, kim byłam i co robiłam przez ostatnie trzy lata.

Tył mojej głowy chciał jednak, bym rzuciła się na Roane'a, gdy jechał po autostradzie z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę. Moja skóra była rozszerzona i nabrzmiała z pożądania. W samochodzie siedziałam na rękach, więc nie mogłam go dotknąć. Ostatnia rzecz, jaka była nam potrzebna, to zbrukanie go Łzami. Przynajmniej jedno z nas musiało być tej nocy w pełni władz umysłowych, a dopóki nie wzięłam prysznic, to z pewnością nie byłam ja.

Wspinałam się po schodach do mieszkania Roane'a, obejmując sama siebie, z palcami zaciśniętymi tak mocno na ramionach, że zostawiały ślady paznokci. To wszystko miało powstrzymać mnie od dotykania Roane'a w czasie, gdy wchodził po schodach tuż przede mną.

Zostawił za sobą otwarte drzwi. Poszłam za nim do pokoju. Stał pośrodku wielkiej otwartej przestrzeni. Nawet w ciemności pokój był dziwnie jasny, białe ściany błyszcząły w świetle księżyca. Roane był cieniem stojącym pośród całego tego srebrnego blasku. Patrzył na ocean - zawsze, gdy wchodziliśmy do jego mieszkania, zatrzymywał się i patrzył przez okna, które zajmowały zachodnią i południową ścianę. Ocean uderzał za oknem w błyszczącej grze srebra i ciemności, z białą pianą przejeżdżającej jak ostrze lancy, gdy fale zmierzały w stronę brzegu.

W sercu Roane'a zawsze będę zajmować drugie miejsce, ponieważ jego miłość należy do jego pierwszej kochanki - wielkiej wody. Wciąż opłakiwałby jej stratę, nawet gdy ja byłabym już tylko prochem w grobie. Świadomość tego oznaczała samotność. Tę samą samotność czułam na dworze, patrząc na sidhe sprzeczące się o błahostki, które przydarzyły się sto lat przed moim przyjściem na świat, i mając świadomość, że tak samo będą się kłócić przez sto lat po mojej śmierci. Byłam przez to trochę zgorzkniała, ale przede wszystkim świadoma własnej inności. Byłam sidhe, więc nie mogłam być człowiekiem, i byłam śmiertelnikiem, więc nie mogłam być sidhe. W sumie, ni pies, ni wydra.

Moje spojrzenie przeniosło się na łóżko z górą białych prześcieradeł i porozrzucanych poduszek - Roane najwyraźniej starał się je pościelić. Jeśli prześcieradła były czyste, nie widział powodu, by je prasować. Nagle wyobraziłam go sobie nagiego na tych białych prześcieradłach. Obraz był tak realistyczny, że to aż bolało, aż nie mogłam oddychać. Oparłam się o zamknięte drzwi i w końcu mi przeszło. Nie mogłam pozwolić, by rządziły mną jakieś chemikalia czy magia. Byłam sidhe, słabą, mało znaczącą sidhe, ale jednak sidhe. Nie byłam jakimś ludzkim wypierdkiem z małą domieszką krwi faerie. Byłam księżniczką sidhe i będę się zachowywać, jak na księżniczkę przystało.

Zamknęłam za sobą drzwi. Roane nawet się nie odwrócił. Będzie napawał się widokiem, dopóki sobie o mnie nie przypomni. Tej nocy brakowało mi na to cierpliwości. Przeszłam obok niego przez ciemny pokój do łazienki. Zapaliłam światło i zmrużyłam oczy, oślepiona jasnością. Łazienka była mała, miejsca ledwie starczało w niej na taboret, małą umywalkę i wannę. Wanna była tu chyba od zawsze, głęboka, sprawiająca wrażenie bardzo starej. Nad nią zawieszona była na pręcie zasłonka prysznicowa, na której namalowane były foki z ich nazwami wydrukowanymi pod każdym z obrazków. Zamówiłam ją z jednego z tych katalogów, które dostaje się, gdy się skończyło biologię. Znalazłam ją pomiędzy podkoszulkami z nadrukami w zwierzątka, świeczkami w kształcie zwierząt, książkami o wyprawach na Krąg Polarny i obserwowaniu wilków w odległych miejscach. Roane pokochał tę zasłonkę, a i mnie ogromną frajdę sprawiło wręczenie mu tego prezentu. Uwielbiałam kochać się pod prysznicem.

Nagle wyobraziłam sobie jego nagie, mokre ciało, poczułam jego skórę śliską od mydła.

Zakłęłam pod nosem i gwałtownie odsunęłam zasłonkę. Odkręciłam wodę, aż stała się ciepła. Postanowiłam, że zmyję z siebie Łzy, zanim zrobię coś, czego będę żałować. Tej nocy powinnam być bezpieczna. Nikt nie powinien pojawić się przed moimi drzwiami do jutra. Mogłam wziąć Roane'a, wypełnić ręce jedwabiem jego skóry, zanurzyć swoje ciało w słodko pachnącej bliskości jego ciała. Komu zrobiłoby to krzywdę?

To Łzy mną kierowały. Musiałam tej nocy opuścić miasto. Policjantom się to nie spodoba, ale nie powinni mnie zabić, za to moja rodzina mogła. Diabła tam, w Kalifornii nie obowiązywała nawet kara śmierci.

Sukienka była tak podarta, że mogłam spróbować ściągnąć rękawy z ramion jak żakiet. Zamek jednak wciąż był na swoim miejscu. Przód sukienki był gruby i ciężki od olejku. Nie znałam nikogo, kto zmarnowałby tyle czegoś, co nawet sidhe uważały za wartościowe. Ale czarodziej sidhe mógł mieć nadzieję, że jeśli zginęłabym razem z Alistairem Nortonem, nikt nie dowiedziałby się o Łzach Branwyna. Sidhe były bardzo pewne siebie, jeśli chodzi o to, co pomniejsze istoty magiczne wiedziały, a czego nie. On, ona albo oni mogli myśleć, że jeśli zginę, będą bezpieczni.

Sidhe, kimkolwiek była, dała Łzy Branwyna śmiertelnikom, żeby ich użyć przeciwko innej sidhe. To groziło karą wiecznych mąk. Było kilka skutków ubocznych bycia nieśmiertelnym. A jednym z nich było to, że kara mogła trwać bardzo, bardzo długo.

Oczywiście, tak jak i przyjemność. Zamknęłam oczy, próbując odgonić obrazy, które przypląnęły z powrotem. Tym razem nie myślałam o Roanie. Tym razem myślałam o Griffinie. Przez siedem lat był moim narzeczonym. Jeśli udałoby nam się spłodzić dziecko, zostalibyśmy małżeństwem. Ale nie było dziecka i w końcu pozostał tylko ból. Zdradzał mnie z innymi sidhe, a kiedy ośmieliłam się zaprotestować, powiedział mi, że jest zmęczony byciem z półśmiertelniczką. Chciał czegoś prawdziwego, nie bladej imitacji. Ciągle jeszcze słyszałam te okrutne słowa, ale przed oczami miałam jego złociste ciało, miedziane włosy rozlewające się po moim ciele, cienie, jakie rzucały na jego ciało świece. Nie myślałam o nim od lat, a teraz mogłam go wyczuć na języku.

Olejek na jedną noc mógł zmienić pomniejszą istotę magiczną albo człowieka w sidhe. Mogli oni błyszczeć naszą mocą i brać i dawać przyjemność, jaka była tylko naszym udziałem. To był wielki dar, ale ten kij miał dwa końce. Ponieważ człowiek albo istota magiczna mogli spędzić resztę życia, tęskniąc za tą mocą, za tym uczuciem. Człowiek mógł nawet umrzeć z tęsknoty za nim. Roane bez swojej magii, bez swojej foczej skóry był zaledwie pomniejszą istotą magiczną. Nie miał swojej magii, która mogła go uchronić przed działaniem Łez.

Wiedziałam, że bardzo tęskniłam za dotykiem innej sidhe, ale aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo. Gdyby Griffin był w sąsiednim pokoju, oddałabym się mu bez zastanowienia. Nazajutrz pewnie przeszyłabym mu serce sztyletem, ale tej nocy byłabym jego.

Usłyszałam Roane'a za sobą w drzwiach, ale się nie odwróciłam. Nie chciałam go tu widzieć. Nie byłam pewna, czy moja nadkruszona siła woli to wytrzyma. Przód sukienki był rozerwany, zniszczony, ale wciąż nie mogłam jej z siebie zdjąć.

- Czy mógłbyś rozpiąć mi suwak? - spytałam. Mój głos był przytłumiony, jakby słowa grzęzły mi gdzieś w ustach. Może to dlatego, że tak naprawdę chciałam powiedzieć: „Weź mnie, ty moja dzika bestia”, ale to by odarło mnie z resztek godności, a Roane nie zasługiwał na to, by być tylko zaspokojeniem chwilowego pragnienia. Pragnienia, którego już nigdy nie będzie mu dane zaspokoić. Mogłabym zrzucić osobistą osłonę i sypiać z nim później, ale każda noc, gdy dotykałby mnie w prawdziwej postaci, pogłębiałaby tylko uzależnienie.

Rozpiął mi suwak, podnosząc ręce, by pomóc mi zsunąć suknię z ramion. Odsunęłam się od niego. - Moja skóra jest nasączona Łzami. Nie dotykaj mnie.

- Nawet w rękawicach? - spytał.

Zapomniałam o chirurgicznych rękawicach. - Nie, myślę, że w rękawicach będziesz bezpieczny.

Rozbierał mnie powoli, ostrożnie, jakby bał się mnie dotykać. Wyciągnęłam ramiona, ale sukienka była tak nasiąknięta olejkiem, że się nie zsunęła. Przylegała do mnie jak gruba, ciężka dłoń, zasysając skórę, gdy zsuwałam ją w dół ciała. Roane pomagał mi ściągać mokrą sukienkę przez biodra, klęcząc, tak więc mogłam w końcu z niej wyjść. Chwiałam się na wysokich obcasach, przeklinając siebie za to, że nie pomyślałam, żeby je zdjąć wcześniej. Zamknęłam oczy, więc nie widziałam go, gdy pomagał mi się rozebrać. Dotknęłam jego ramienia, żeby utrzymać równowagę i o mało nie upadłam z wrażenia, bo moja dłoń dotknęła nagiej skóry.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że klęczy przede mną, nagi, jeśli nie liczyć rękawiczek. Odskoczyłam do tyłu tak gwałtownie, że wylądowałam w wannie, na tyłku, z jedną ręką wyciągniętą, by w razie czego go odepchnąć. Siedziałam w wodzie głębokiej na cal i gorączkowo szukałam kranu, żeby zakręcić wodę. Chociaż lepiej by chyba było, gdybym zostawiła to i schowała się pod nią.

Roane roześmiał się. - Myślałem, że rozbiorę cię, zanim zauważysz, ale zamknęłaś oczy, więc przestało mieć to sens. - Ściągnął zębami rękawice, nie wypuszczając z rąk sukienki. Przejechał swoimi nagimi dłońmi po nasiąkniętym olejkiem materiale, po czym rozsmarował go na swojej pierś.

Potrząsnęłam głową. - Roane, nie wiesz, co robisz.

Spojrzał na mnie, a w jego wielkich brązowych oczach było pożądanie. - Tej nocy będę dla ciebie sidhe.

Usiadłam w wannie, jakbym zamierzała wziąć prysznic w bieliźnie i usiłowałam być rozsądna. Krew chyba odpłynęła mi z głowy i wypełniła inne miejsca. To powodowało, że ciężko było myśleć. - Tej nocy nie mogę użyć osobistej osłony.

- Nie chcę, żebyś to robiła. Chcę być z tobą, Merry. Bez żadnych masek. Bez iluzji.

- Pozbawiony swojej magii jesteś jak człowiek. Możesz nie być w stanie ochronić się przed czarem. Możesz zostać porażony elfem.

- Nie umrę z pożądania. Może i straciłem magię, ale wciąż jestem nieśmiertelny.

- Może i nie umrzesz, ale wieczność to cholernie długi czas na pożądanie czegoś, czego się nie może mieć.

- Wiem, czego chcę - powiedział.

Otwierałam już usta, żeby mu wyznać przynajmniej część prawdy, powiedzieć, dlaczego musiałam wyjechać z miasta. Ale wstał i głos uwiązł mi w gardle. Nie mogłam złapać tchu, mówić. Mogłam tylko patrzeć.

Zacisnął dłonie na sukience tak mocno, że mięśnie jego ramion napięły się z wysiłku. Olejek wypłynął z sukienki, spadając wolno na jego pierś, spływając po płaskim brzuchu, a następnie niżej. Jego członek był już twardy. Kiedy olejek dotarł do niego, Roane syknął. Przebiegł ręką w dół brzucha, rozmazując olejek na swojej bladej skórze. Powinnam kazać mu się zatrzymać, powinnam zacząć wzywać pomocy, ale patrzyłam, jak jego ręka zsuwa się coraz niżej, aż objął członek, wsmarowując w niego olejek. Odrzucił do tyłu głowę, zamknął oczy, a z jego ściśniętego gardła wydobył się szept: - O bogowie.

Pamiętałam, że miałam powiedzieć albo zrobić coś ważnego, ale za diabła nie mogłam sobie przypomnieć, co to było. Nie mogłam uformować myśli w słowa. Słowa opuściły mnie, pozostały jedynie zmysły: wzrok, dotyk, węch, wreszcie smak.

Skóra Roane'a smakowała przede wszystkim jak cynamon i wanilia, ale pod tym było coś zielonego, ziołowego, o smaku czystym jak światło - to było niczym picie wody prosto z serca Ziemi. Pod tym

wszystkim był smak jego skóry, słodki, łagodny i lekko słony od potu.

W końcu wylądowaliśmy w łóżku. Nie miałam na sobie bielizny, chociaż nie pamiętałam, jak się jej pozbyłam. Nadzy i śliscy od olejku leżeliśmy na czystych białych prześcieradłach. Czułam jego ciało poruszające się wraz z moim. Brakowało mi tchu. Całował mnie, badał językiem, a ja wychodziłam mu naprzeciw, unosząc się na łóżku, by wepchnął mi język głębiej w usta. Moje biodra poruszyły się pod wpływem pocałunków, a on odczytał to jako zaproszenie i zaczął się we mnie wolno wsuwać, a kiedy poczuł, że jestem wilgotna i gotowa, wszedł we mnie na całą długość, tak szybko i tak głęboko, jak tylko mógł. Krzyknęłam pod nim, moje ciało uniosło się z łóżka, a potem opadło na prześcieradła. Jego twarz była kilka cali od mojej, jego oczy były tak blisko, że wypełniały mi cały widok. Patrząc na mnie, gdy się we mnie poruszał, podnosząc się na rękach, żeby widzieć moje ciało wijące się pod nim. Nie mogłam tak leżeć. Musiałam się ruszać, unosić się na spotkanie z nim, aż zaczęliśmy się poruszać w jednym rytmie, rytmie uderzających o siebie ciał, bijących serc, śliskich soków naszych ciał i rwących wszystkich nerwów. To było tak jakby jeden dotyk był wieloma dotykami; jeden pocałunek tysiącami pocałunków. Każde poruszenie jego ciała zdawało się wypełniać mnie jak ciepła woda rozchodząca się wciąż na nowo, wypełniająca moją skórę, mięśnie, krew, kości, aż w końcu wszystko stało się jednym podmuchem ciepła, który wzrastał coraz bardziej, jak światło dnia, gdy noc szarzeje. Moje ciało współgrało z tym. Czułam mrowienie w palcach, a kiedy myślałam, że już nie wytrzymam, ciepło przeszło w gorąco. W oddali słyszałam hałas, krzyki - to był Roane i ja. Przygniótł mnie, nagle jego szyja znalazła się tuż nad moją twarzą, tak że czułam szybkie bicie jego puls. Leżeliśmy spleceni tak blisko, jak blisko może być mężczyzna z kobietą, trzymając się wzajemnie, podczas gdy bicie naszych serc zwalniało.

Roane uniósł pierwszą głowę, dźwigając się na rękach, żeby na mnie popatrzeć. Był zdumiony jak dziecko, które odkryło nową zabawę, o której istnieniu do tej pory nie wiedziało. Nic nie mówił, tylko patrzył na mnie, uśmiechając się.

Ja też się uśmiechnęłam, ale była we mnie odrobina smutku. Przypomniałam sobie to, o czym zapomniałam. Powinnam była wziąć prysznic i opuścić miasto. Nie powinnam była pozwolić, by Łzy Branwyna dotknęły skóry Roane'a. Ale dzieło zniszczenia już się dokonało.

Mój głos zabrzmiał łagodnie, obco dla moich uszu, jakbym odezwała się po raz pierwszy od bardzo dawna. - Popatrz na swoją skórę.

Roane spojrzał na swoje ciało i zasyczał jak przestraszony kot. Zszedł ze mnie, usiadł i zaczął oglądać swoje dłonie, ręce, wszystko. Błyszczał łagodnie, prawie jak światło bursztynu, które zostało odbite przez złoto, a to złoto to było jego ciało.

- Co to? - zapytał, a jego głos był cichy i prawie wystraszony.

- Tej nocy jesteś sidhe.

Popatrzył na mnie. - Nie rozumiem - powiedział.

Westchnęłam. - Wiem.

Trzymał dłoń nad moją skórą. Błyszczałam białym, zimnym światłem, jak księżyc za szybą. Gdy poruszył dłonią nad moim białym ciałem, bursztynowy blask jego dłoni zmienił się w jasno-żółty. - Co mogę z tym zrobić?

Patrzyłam, jak przesuwają dłoń, uważając, by nie dotknąć mojej skóry. - Nie wiem. Każda sidhe jest inna. Mamy różne zdolności. Tak jakby różne odcienie tej samej barwy.

Położył rękę na bliźnie na moich żebrach, pod lewą piersią. Zabolało, jak ukłucie artretyzmu, gdy jest zimno, tyle że nie było zimno. Odsunęłam jego dłoń od znamienia. To był idealny odcisk dłoni, większej od dłoni Roane'a, dłuższej, ze szczuplejszymi palcami. Był brązowy i wznosił się odrobinę nad moją skórą. Blizna robiła się czarna, kiedy moje ciało błyszczało.

- Co ci się stało? - spytał.

- Miałam pojedynek.

Chciał dotknąć blizny jeszcze raz, ale złapałam go za rękę, sprawiając, że nasze ciała przysunęły się do siebie, tak że jego bursztynowy blask zbladł pod wpływem mojego białego. To było takie uczucie, jakby nasze ręce stapiały się razem, a ciała pochłaniały nawzajem. Wyrwał rękę, przykładając ją do swojej piersi, ale na dłoni miał olejek i to nie pomogło. Roane wciąż nie rozumiał, że to był dopiero przedsmak tego, co to znaczy być sidhe.

- Każda sidhe ma moc w dłoni. Niektóre mogą leczyć przez dotyk. Niektóre zabijać. Sidhe, z którą walczyłam, położyła dłoń na moich żebrach. Połamała je, przedarła się przez mięśnie i usiłowała dotrzeć do serca.

- Pokonała cię - powiedział.

- Pokonała, ale udało mi się ująć z życiem, a to zawsze było dla mnie najważniejsze.

Roane zasepił się. - Wyglądasz na zmartwioną. Wiem, że było ci dobrze. Skąd ta zmiana nastroju? - Przesunął palcem po mojej twarzy, a blask był mocniejszy tam, gdzie dotykał. Odwróciłam od niego twarz.

- Jest już za późno, żeby uratować ciebie, ale nie za późno, żeby uratować mnie.

Poczułam, że kładzie się obok mnie i trochę się odsunęłam. Spojrzałam na niego z odległości kilku cali.

- Uratować przed czym, Merry?

- Nie mogę ci powiedzieć dlaczego, ale muszę wynieść się stąd jeszcze tej nocy, nie z mieszkania, a z miasta.

Spojrzał zaskoczony. - Dlaczego?

Potrząsnęłam głową. - Gdybym ci powiedziała, byłbyś w jeszcze większym niebezpieczeństwie, niż jesteś.

Pogodził się z tym i nie naciskał więcej. - Czy mogę ci jakoś pomóc? - spytał.

Uśmiechnęłam się, a potem roześmiałam. - Nie mogę jechać na lotnisko, świecąc jak księżyc, a nie nałożę osłony, dopóki olejek nie przestanie działać.

- Jak długo to może potrwać? - spytał.

- Nie wiem. - Popatrzyłam w dół na jego obwisłego penisa. Zwykle szybko odzyskiwał siły. Ale wiedziałam coś, czego on nie wiedział. Tej nocy, podobało mu się to czy nie, byłam sidhe, a co za tym idzie...

- Jaką moc ma twoja dłoń? - spytał. Trochę czasu minęło, zanim odważył się zadać to pytanie. Musiało naprawdę zależeć mu na poznaniu odpowiedzi.

Usiadłam. - Nie mam żadnej. Zasepił się. - Powiedziałaś, że każda sidhe ma. Skinęłam głową. - To jeden z pretekstów, których używano, żeby mi odmówić.

- Odmówić czego?

- Wszystkiego. - Przebiegłam dłonią wzdłuż jego ciała. Bursztynowy blask podążał za moim dotykiem jak ogień, kiedy dmucha się w niego, żeby go rozniecić. - Stopienie się naszych dłoni było jednym z pobocznych efektów mocy. Całe nasze ciała mogą zrobić to samo.

Podniósł brwi.

Położyłam rękę na jego członku. Ledwie zareagował, ale gdy wlałam w niego moc, natychmiast stwardniał, natychmiast stał się gotowy. Roane jęknął i usiadł, wyslizgując mi się z dłoni. - To było aż za dobre. To prawie bolało.

Skinęłam głową. - Tak.

Roześmiał się nerwowo. - Mówiłaś, że nie masz mocy w dłoni.

- Nie mam, ale pochodzę od pięciu różnych bóstw płodności. Mogę przywracać ci siły przez całą noc, tak szybko i tak często, jak tylko będziemy chcieć. - Zbliżyłam do niego swoją twarz. - Tej nocy jesteś jak dziecko. Nie masz nad tym władzy. Ale ja mam. Mogę wracać ci siły wciąż na nowo, aż go zatrzęsiesz i będziesz mnie błagać, żebym przestała.

Przywarł plecami do łóżka, gdy przysuwałam się do niego, aż wreszcie popatrzył na mnie szeroko rozwartymi oczami. Jego kasztanowe włosy rozlały się dookoła twarzy. Tej nocy miały prawie taką samą barwę, jak moje... prawie.

- Jeśli to zrobisz - wydyszał - ty też będziesz poobcierana.

- A jeśli nie jestem jedyną sidhe w tym pokoju? Pomyśl, co możemy ci zrobić. Nie będziesz mógł nas powstrzymać. - Ostatnie słowa powiedziałam prosto do jego półotwartych ust. Kiedy zaczęłam go całować, podskoczył, jakby go to bolało.

Cofnęłam się na tyle, żeby widzieć jego twarz. - Boisz się mnie.

Przełknął. - Owszem.

- To dobrze. Zaczynasz rozumieć, co powołałeś do życia w tym pokoju. Za moc trzeba płacić, tak jak i za przyjemność. Przywołałeś obie, a gdybym była inną sidhe, zapłaciłbyś za to drogo. - Patrzyłam, jak przerażenie malujące się na twarzy wypełnia jego oczy. Sprawiało mi to przyjemność. Lubiłam tę granicę, która oddziela strach od seksu. Nie taki ogromny strach, gdy naprawdę nie jesteś pewien, czy ujdiesz z życiem, ale mniejszy, kiedy ryzykujesz, że będzie cię bolało, że będziesz krwawił, ale nie dzieje się nic, z czego nie mógłbyś się wyleczyć, nic, czego byś nie chciał. Istnieje ogromna różnica między zabawą a okrucieństwem. Okrucieństwo to nie moja specjalność.

Popatrzyłam na Roane'a i zapragnęłam przesunąć paznokciami po jego idealnym ciele, zatopić w nim zęby i poznać krwią w różnych miejscach. Większość ludzi nie lubi przemocy, nawet łagodnej. Ja przede wszystkim starałam się słuchać swoich instynktów. Przychodzi moment, kiedy albo godzisz się z tym, kim jesteś, albo skazujesz siebie na to, żeby być nieszczęśliwy przez resztę swoich dni. I tak inni będą usiłowali cię unieszczęśliwić, nie próbuj ich wyręczać. Lubiłam seks, w którym było miejsce na trochę bólu, trochę krwi, trochę strachu, ale Roane nie podzielał moich upodobań. Ranienie go nie przyniosłoby mu przyjemności, a ja nie chciałam go torturować. Nie byłam sadystką. Roane nie wiedział nawet, jakie miał szczęście, że nie byłam. Rzecz jasna, miałam jeszcze inne pragnienia.

Pragnęłam JEGO, pragnęłam go tak bardzo, że nie mogłam przewidzieć, czy będę ostrożna. A jeśli nie byłabym ostrożna, Roane mógłby przyplącić to w najlepszym razie urazem psychicznym. Nawet teraz, gdy przez tę jedną noc był sidhe, nie mogłam się zupełnie nie kontrolować. To wciąż ja za to wszystko odpowiadałam, byłam tą, która mówiła, co mamy, a czego nie mamy robić. Tą, która mówiła, jak daleko to wszystko może zajść. Męczyło mnie już pociąganie za sznurki. Miałam kogoś, za kogo byłam odpowiedzialna. Nie chciałam martwić się tym, czy zranię kochankę. Chciałam, aby mój kochanek był w stanie obronić się sam, tak żebym mogła robić to, czego naprawdę chciałam. Czy to aż tak wiele?

Spojrzałam znów na Roane'a. Leżał na plecach, z jedną ręką pod głową, a drugą na brzuchu. Strach zniknął z jego twarzy, pozostało jedynie pożądanie. Nie miał pojęcia, jak straszne rzeczy mogą go spotkać w ciągu najbliższych kilku godzin, jeśli nie będzie wystarczająco ostrożny.

Ukryłam twarz w dłoniach. Nie chciałam być ostrożna. Chciałam mieć wszystko, co dzięki magii mogłam zdobyć tej nocy. Do diabła z konsekwencjami. Może jeśli zraniłabym go naprawdę mocno, Roane nie wspominałby tego później jak czegoś wspianiałego. Może nie byłby to dla niego cudowny sen. Może bałby się tego jak koszmaru. Cichy głosik w mojej głowie mówił, że to nie byłoby takie złe. Sprawić, żeby bał się wspomnienia tego, co było między nami, naszego dotyku, naszej magii,

sprawić, żeby nie chciał już nigdy poczuć na swoim ciele dotyku rak sidhe. Mały ból teraz, żeby ochronić go od wiecznego cierpienia później.

Wiedziała jednak, że sama siebie oszukuję. Koniuszki jego palców otarły się o moje plecy, a podskoczyłam, jakby mnie uderzył. Wciąż ukrywałam twarz w dłoniach. Nie byłam gotowa na to, żeby znów na niego spojrzeć.

- To nie są blizny po oparzeniach, te na twoich ramionach, prawda?

Opuściłam ręce, ale oczy miałam zamknięte. - Nie.

- Po czym, w takim razie?

- Po jeszcze jednym pojedynku. Ktoś użył magii, żeby zmusić mnie do zmiany formy w połowie walki. - Usłyszałam, poczułam, jak Roane przysuwa się do mnie, ale nie próbował mnie już dotknąć. Byłam mu za to wdzięczna.

- Ale zmiana formy nie boli. To wspaniałe uczucie.

- Może dla roane'a, lecz nie dla nas. Zmiana formy jest okupiona cierpieniem, to tak, jakby wszystkie twoje kości nagle połamały się i zrosły na nowo. Nie mogę sama zmieniać formy, ale widziałam to u innych. Jesteś bezbronny, gdy się to odbywa.

- Ten, z którym walczyłaś, próbował cię w ten sposób rozproszyć.

- Tak. - Otworzyłam oczy i wpatrzyłam się w ciemne okno. Odbijał się w nim Roane. Siedział zaraz za mną, jego ciało błyszczało blaskiem księżyca. Blask moich oczu był na tyle silny, że nawet z tej odległości można było dojrzeć ich trzy barwy: szmaragd, nefryt i złoto. Nawet oczy Roane'a błyszczały - na ciemnym miodowym brązie widać było błyszczący brąz. Do twarzy było mu z magią. Wyciągnął do mnie ręce, a moje ciało napięło się. Przejechał dłonią po bliznach. - Jak powstrzymałaś go przed zamienieniem cię w coś innego?

- Zabiłam go. - W oknie ujrzałam, jak oczy Roane'a otwierają się szeroko, poczułam też, że jego ciało się napina.

- Zabiłaś sidhe?

- Ale one są nieśmiertelne.

- Zapewniam cię, że jestem śmiertelna. Wiesz, jaki jest jedyny sposób, by zabić nieśmiertelną sidhe? Nagły błysk zrozumienia pojawił się w jego oczach. - Trzeba mieszać krew nieśmiertelnego z krwią śmiertelnika.

- No właśnie.

Usiadł blisko mnie, ze skrzyżowanymi nogami, ale mówił do mojego odbicia, a nie dokładnie do mnie. - Ale to jest bardzo specyficzny rytuał. Nie można mieszać krwi przez przypadek.

- Rytuał pojedynku zobowiązuje uczestników do walki na śmierć i życie. Unseelie sidhe przed walką mieszają swoją krew.

Otworzył oczy jeszcze szerzej. - Ci, z którymi walczyłaś, po napiciu się twojej krwi stali się śmiertelni.

- Tak.

- Czy wiedzieli o tym?

Uśmiechnęłam się. Nie mogłam się opanować. - Nie, dopóki Arzhul nie zginął od ciosu mojego sztyletu.

- Musiałaś stoczyć z nim ciężką walkę, gdy próbował zmienić twoją formę. To duże zaklęcie dla sidhe.

Potrząsnęłam głową. - Popisywał się. To nie znaczy, że chciał mnie zabić. Najpierw chciał mnie upokorzyć. Zmiana formy drugiej sidhe jest dowodem na to, że ma się silniejszą od niej moc.

- Więc się popisywał - powiedział Roane. To zapewne miało być coś w rodzaju pytania o to, co

stało się później.

- Pchnęłam go nożem. Mój ojciec uczył mnie, żeby nigdy nie marnować ciosów. Nawet jeśli wiesz, że twój przeciwnik jest nieśmiertelny, uderzaj, jakbyś miał zabić, bo takie ciosy ranią bardziej, nawet jeśli nie mogą zabić.

- Czy zabiłaś też tego, kto zranił cię tutaj? - Dotknął moich żeber.

Zadrżałam od jego dotyku, ale nie z bólu. - Nie, Rozenwyn wciąż żyje.

- Więc dlaczego nie zabiła ciebie? - Przebiegł ręką do mojej talii, po czym przyciągnął mnie do siebie. Pozwoliłam sobie na chwilę odpoczynku w jego ramionach, w ciepłe jego ciała.

- Dlatego, że jej pojedynek odbył się po pojedynku z Arzhulem i kiedy zraniłam ją nożem, wystraszyła się. Nie zabiła mnie.

Potał swoim policzkiem o mój i oboje ujrzeliśmy mieszankę barw, gdy nasze skóry się zetknęły. - To był ostatni pojedynek - powiedział.

- Nie - odparłam.

Pocałował mnie w policzek, bardzo delikatnie. - Nie?

- Nie, był jeszcze jeden. - Odwróciłam do niego twarz. Musnął mnie wargami.

- Co się stało? - Wypowiedział to pytanie gorącym oddechem prosto w moje usta.

- Bleddyn początkowo należał do Dworu Seelie, zanim zrobił coś tak okropnego, że nikt o tym nie chciał mówić, i poszedł na wygnanie. Był jednak tak potężny, że od razu zainteresował się nim Dwór Unseelie. Jego prawdziwe imię wymazano i stał się Bleddynem. To imię dawno temu oznaczało wilka albo banitę. W ten sposób podkreślano, że jest wyjęty spod prawa nawet na Dworze Unseelie.

Roane pocałował mnie w szyję, tam gdzie puls bił tuż pod skórą. Mój puls przyspieszył od tego delikatnego dotyku. Podniósł głowę i zapytał: - Dlaczego stał się wyjęty spod prawa? - Potem zaś wrócił do całowania mojej szyi.

- Miał napady straszliwej wściekłości bez powodu. Gdyby nie to, że był otoczony przez nieśmiertelnych, pozabijałby wszystkich, wszystko jedno: wrogów czy przyjaciół.

Roane całował teraz moje ramię, potem rękę. Zatrzymał się tylko po to, by powiedzieć: - Tylko napady wściekłości? - Potem zniżył głowę i zaczął całować, aż doszedł do zgięcia mojej ręki. Podniósł ją, tak że mógł zamknąć usta na delikatnej skórze zgięcia mojej ręki. Zaczął ssać nagle i ostro moją skórę, zęby zagłębił w niej na tyle, by mnie zabolalo, na tyle, by spowodować, że sapnęłam. Roane'owi nie chodziło o to, żeby sprawiać mi ból, ale był czułym kochankiem i wiedział, co lubię, tak jak ja wiedziałam, co lubi on. Nagle nie mogłam się skoncentrować na mówieniu.

Usiadł głowę, zostawiając prawie idealny odcisk swoich małych ostrych zębów. Nie rozerwał skóry. Nigdy nie potrafiłam nakłonić go, by zaszedł tak daleko. Zadowolili się zrobieniem śladu na moim ciele.

- Czy tylko napady wściekłości, czy coś jeszcze czyniło Bleddyna tak niebezpiecznym? - spytał.

Chwilę się zastanawiałam. Usiadłam przed nim. - Jeśli chcesz usłyszeć tę historię, musisz być grzeczny.

Położył się na boku, jedną rękę podłożywszy pod głowę jak poduszkę. Widziałam, jak mięśnie poruszają się pod jego błyszczącą skórą. - Myślałem, że jestem.

Potrząsnęłam głową. - Przez ciebie się zapomnę. Nie chcesz tego.

- Tej nocy chcę ciebie, Merry. Całą ciebie, bez osłony, bez tajemnic. - Usiadł, przybliżając się tak bardzo do mojej twarzy, że odruchowo chciałam się cofnąć, ale złapał mnie za ramię. - Chcę być tym, czego potrzebujesz tej nocy.

Potrząsnęłam głową. - Nie wiesz, o co prosisz.

- Może i nie, ale jeśli chcesz mieć wszystko, to teraz właśnie jest ta noc. - Złapał mnie za drugie

ramię, podnosząc nas oboje na kolana, jego palce wbiły się we mnie tak mocno, że wiedziałam, że jutro będę miała siniaki. Ten jeden pełen siły ruch sprawił, że serce zaczęło mi szybciej bić. - Żyję od wieków, Merry. Jeśli któreś z nas jest dzieckiem, to ty, nie ja. - Jego słowa były gwałtowne. Nigdy nie widziałam go tak zdecydowanego.

Mogłam powiedzieć: „Sprawiasz mi ból”, ale po części sprawiało mi to przyjemność, więc zamiast tego powiedziałam: - Pierwszy raz cię takiego widzę.

- Wiedziałem, że masz swoją osobistą osłonę nawet wtedy, gdy ze sobą jesteśmy, ale nigdy nie przypuszczałem, jak bardzo się ukrywasz. - Potrząsnął mną dwa razy, tak mocno, że omal nie powiedziałam mu, że mnie to boli. - Nie ukrywaj nic przede mną. - Pocałował mnie, napierając na moje wargi, tak że gdybym ich nie otworzyła, zraniłby mnie zębami. Popchnął mnie na łóżko, ale to mi się już nie podobało. Lubiłam ból, nie gwałt.

Powstrzymałam go, odpychając jego pierś ręką. Był wciąż nade mną, jego spojrzenie było dzikie. - Co ty chcesz zrobić? - spytałam.

- Co się stało podczas twojego ostatniego pojedynku?

Ta zmiana tematu była dla mnie zbyt szybka. - Co takiego?

- Opowiedz mi o swoim ostatnim pojedynku. - Jego głos i twarz były poważne. Wciąż napierał na mnie swoim nagim ciałem.

- Zabiłam go.

- Jak?

Coś mi mówiło, że nie chodziło mu o samą technikę zabijania.

- Nie docenił mnie.

- Ja zawsze cię doceniałem. Więc mnie nie lekceważ. Nie traktuj mnie gorzej tylko dlatego, że nie jestem sidhe. Jestem istotą faerie pełnej krwi. W moich żyłach nie płynie nawet kropla krwi śmiertelników. Nie musisz się o mnie bać. - Jego głos stał się normalny, ale wciąż dźwięczała w nim nutka zawziętości.

Popatrzyłam na jego twarz i zobaczyłam na niej dumę, nie zwykłą męską dumę, a dumę z powodu bycia istotą magiczną. Potraktowałam go gorzej, niż na to zasługiwał, ale... A jeśli niechcący cię zranię?

- Uzdrowię się - odparł.

Uśmiechnęłam się. W tej chwili kochałam go, może nie była to tego rodzaju miłość, jaką wysławiają bardowie, lecz mimo to miłość. - Dobrze, ale wybierzmy pozycję, w której to ty będziesz dominował, nie ja.

Jego oczy zabłyśły zrozumieniem. - Nie ufasz sama sobie.

- Nie - przyznałam.

- W takim razie zaufaj mi. Nie zawiodę cię.

- Obiecujesz?

Uśmiechnął się i pocałował mnie w czoło, łagodnie, jakby całował dziecko. Obiecuję.

Trzymałam go za słowo.

Skończyło się na tym, że leżałam na brzuchu z rękami ściskającymi chłodny metal framugi łóżka nad głową. Roane przygniatał mnie do łóżka, wbijając się w moje pośladki. Była to pozycja, która dawała mu możliwość pełnej kontroli i sprawiała, że większość mojego ciała odwrócona była od niego. Nie mogłam go dotykać. Wielu rzeczy nie mogłam robić w tej pozycji i właśnie dlatego ją wybrałam. Najbezpieczniej byłoby mnie związać, ale Roane nie lubił zabaw w tym stylu. Poza tym, prawdziwe niebezpieczeństwo nie miało nic wspólnego z moim ciałem. Więzy tak naprawdę nie musiały pomóc, tyle że mogły mi przypominać, że powinnam być ostrożna. Naprawdę bardzo się

bałam, że w pewnej chwili zacznę myśleć tylko o swojej przyjemności i Roane niechęć ucierni. Gdy tylko wszedł we mnie, wiedziałam już, że nie będzie łatwo. Napełniał mnie przerażeniem, gdy tak podtrzymywał się na rękach, żeby móc z pełną siłą wbijać się we mnie. Widziałam kiedyś, jak pięścią rozwalil drzwi samochodu, gdy chciał przestraszyć pewnego bandytę, którego ścigaliśmy. Miałam wrażenie, że teraz w podobny sposób chce przestraszyć mnie; zupełnie jakby chciał przewiercić mnie na wylot. Uświadomiłam sobie coś, z czego dotąd nie zdawałam sobie sprawy. Do tej pory Roane myślał, że jestem człowiekiem - z domieszką krwi sidhe, ale jednak człowiekiem. Był w stosunku do mnie ostrożny tak, jak ja byłam ostrożna względem niego. Różnica polegała na tym, że ja bałam się, że mogę wyrządzić mu krzywdę swoją magią, a on bał się, że może wyrządzić mi krzywdę swoją siłą fizyczną. Tej nocy nie będzie powstrzymywania się, uważania na drugie. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że to ja mogę zostać zraniona, nie Roane. Seks na skraju prawdziwego niebezpieczeństwa, nie ma nic lepszego. Jeśli dodać do tego magię, mogła to być naprawdę niezapomniana noc.

Złapał szybki rytm, wchodząc i wychodząc ze mnie; za każdym razem, gdy wchodził, rozlegał się odgłos uderzenia jednego ciała o drugie. To było to, na co czekałam od tak dawna. Poczulałam pierwszą falę rozkoszy. Nagle przestraszyłam się, że skończę, zanim zdążę zbudować magię.

Otworzyłam się duchowo, ale zamiast pozwolić mu wejść, sama sięgnęłam do niego. Otworzyłam jego aurę, jego magię, tak jak wcześniej on rozpinął moją sukienkę. Jego ciało zaczęło zatapiać się w moim, nie fizycznie, ale efekt był zaskakująco podobny. Zatrzymał się. Czulałam, jak jego puls przyspiesza, nie od wysiłku fizycznego, a ze strachu. Wszedł ze mnie zupełnie i przez jedną rozdzierającą serce chwilę myślałam, że już skończył, że wszystko się już skończyło. Potem jednak wszedł we mnie znowu i miałam uczucie, jakby oddawał mi się cały tej nocy.

Bursztynowy i księżycowy blask naszych ciał powiększał się, aż wreszcie pokryci byliśmy kokonem światła, ciepła, mocy. Każde uderzenie jego ciała wzmacniało moc. Każde poruszenie się mojego ciała pod nim rozciągało wokół nas magię jak pancerz, bliski i duszący. Wiedziałam, że próbuję go całego wciągnąć w siebie, a moja magia próbuje z niego czerpać. Zaciśnęłam palce na metalowej framudze łóżka, aż metal zaczął się wżynać w moje ciało i mogłam znów myśleć. Roane położył się na mnie, tak że przywierał piersią i brzuchem do moich pleców. W tej pozycji nie mógł wkładać już tyle siły w uderzenia, ale magia rozzarzyła się pomiędzy nami od dotyku takiej ilości skóry. Nasze ciała stopiły się razem, tak jak nasze ręce wcześniej, i poczułam, jak zatapia się w moich plecach, aż nasze serca dotknęły się, trzepocząc razem w tańcu bardziej intymnym niż cokolwiek, co znaliśmy do tej pory.

Nasze serca zaczęły bić razem, jednym rytmem i w końcu staliśmy się jednym sercem, jednym ciałem, jedną istotą i nie wiedziałam już, gdzie kończę się ja, a zaczyna Roane. W tej chwili bliskiej idealnej zgodności po raz pierwszy usłyszałam szum oceanu. Łagodne uderzenia fal o brzeg. Płynęłam bezcielesna, jako plamka światła, i tylko bicie naszych połączonych serc przypominało mi, że wciąż byłam istotą obdarzoną ciałem i magią. W tej bezpostaciowej plamce światła rozlegał się pospieszny, szemrzący dźwięk wody. Szum oceanu gonil uderzenia naszych serc, wypełniając tę plamkę światła. Bicie serc stopiło się z falami. Zatapialiśmy się głębiej i głębiej w oślepiającym kręgu światła, pod wodą, ale nie baliśmy się. Byliśmy w domu. Woda otaczała nas z każdej strony i czulałam jej nacisk na nasze serca, tak jakby miała je ona rozkruszyć, ale wiedziałam, że to nie nastąpi. Roane to wiedział. Myśl, pojedyncza myśl, wysłała nas w górę, na powierzchnię niewidzialnego oceanu. Uświadomiłam sobie, jak straszliwie był zimny i wystraszyłam się, ale Roane nie. On był w swoim żywiole. Byliśmy na powierzchni i chociaż wiedziałam, że leżymy w łóżku w jego mieszkaniu, czulałam powiew wiatru na swojej twarzy. Zrobiłam duży wdech i nagle uświadomiłam

sobie, że ocean jest ciepły. Woda była ciepła, cieplejsza niż krew, tak ciepła, że niemal gorąca. Nagle stałam się na powrót świadoma swego ciała. Czułam w sobie Roane'a. Ale fale oceanu obmywały nas. Moje oczy mówiły mi, że wciąż jestem w łóżku, ręce były zaciśnięte na framudze, ale czułam obmywającą nas ciepłą wodę. Niewidzialny ocean wypełnił błyszczące światło naszych złączonych ciał jak woda w akwarium. Nasze ciała były jak knoty zatopione w świeczce, zaczęły być bardziej realne, solidne. Dotyk niewidzialnego oceanu stał się lżejszy. Światło emanujące z naszych skór zaczęło blednąć. Daliśmy się ponieść rozkoszy i ciepło, które było w wodzie, w świetle, zalało nas. Zaczęliśmy krzyczeć. Ciepło przeszło w gorąco i wypełniło mnie całą, wychodząc z mojej skóry, z moich rąk. Z moich ust wydobył się dźwięk, zbyt zwierzęcy, by móc nazwać go krzykiem. Roane uderzał we mnie swoim ciałem, a magia trzymała nas oboje, dopóki nie poczułam, że metal framugi roztapia się pod moim dotykiem. Roane krzyczał, ale to nie był krzyk rozkoszy. W końcu byliśmy wolni. Sturlał się ze mnie i usłyszałam, że spada na podłogę. Odwróciłam się, wciąż leżąc na brzuchu.

Leżał na boku, z jedną ręką wyciągniętą do mnie. Popatrzyłam na jego twarz. Oczy miał rozszerzone i pełne strachu. A potem futro pokryło jego twarz i resztę ciała i opuścił rękę.

Usiadłam na łóżku, wyciągając do niego ręce, wiedząc, że nic nie mogę zrobić. Na podłodze leżała foka. Wielka, rudawa foka, spoglądająca na mnie brązowymi oczami Roane'a. Mogłam tylko patrzeć. Brakowało mi słów.

Foka ruszyła niezdarnie w stronę łóżka, potem na przedzie zwierzęcia ukazał się szew i Roane wyszedł ze środka.

Wstał, zsuwając z ramion swoją nową skórę. Popatrzył na mnie, na jego twarzy malowało się zdziwienie. Płakał, choć nie przypuszczam, by zdawał sobie z tego sprawę.

Podeszłam do niego i dotknęłam jego skóry, jakby chcąc się przekonać, czy faktycznie tam jest. Objęłam go i moje ręce wyczuły, że jego plecy pokryte są skórą tak delikatną i doskonałą, jak reszta jego ciała. Blizny po podpaleniu zniknęły.

Wsunął skórę z powrotem, zanim zdołałam znaleźć odpowiednie słowa. Foka spojrzała na mnie, obeszła pokój wokół w niezręcznych, prawie węzowych ruchach, potem Roane znów wynurzył się spod skóry. Odwrócił się do mnie i zaczął się śmiać.

Chwycił mnie za uda, unosząc ponad swoją głowę, owijając nas oboje foczą skórą. Tańczył ze mną po całym pokoju, podczas gdy łzy płynęły po jego twarzy. Ja również płakałam i śmiałam się równocześnie.

Roane runął na łóżko, kładąc mnie na swojej skórze. Nagle poczułam się zmęczona, straszliwie zmęczona. Musiałam wziąć prysznic i stąd wyjechać. Nie świeciłam już. Byłam prawie pewna, że mogę już zbudować osłonę. Ale nie byłam w stanie utrzymać oczu otwartych. W całym swoim życiu tylko raz się upiłam i film mi się urwał. Teraz czułam się tak samo. Byłam bliska utraty przytomności z powodu Łez Branwyna albo zbyt wielkiej ilości magii.

Zasnęliśmy w swoich ramionach, owinięci skórą. Ostatnia rzecz, jaka by mogła przyjść mi do głowy, to że mogę znajdować się w niebezpieczeństwie. Skóra była ciepła, tak ciepła jak ramiona, którymi otaczał mnie Roane, i wiedziałam, że jest ona żywa, że jest nim. Zapadłam w ciemność otulona ciepłem Roane'a, jego magią i miłością.

Rozdział 8

- Merry, Metry - usłyszałam łagodny głos. Dłoń pogłaskała mój policzek, pogładziła moje włosy. Odwróciłam się, tuląc się do niej i otworzyłam oczy. Włączone było jednak górne światło i oślepiło mnie na kilka chwil. Zasłoniłam dłonią oczy i odwróciłam się na bok, chowając twarz w poduszkę.

- Zgaś to światło - powiedziałam.

Poczułam, że łóżko się rusza i chwilę później krąg jasności ponad poduszką zgasł. Uniosłam głowę i zobaczyłam, że pokój jest prawie całkowicie ciemny. Ja i Roane zasnęliśmy niedługo przed świtem. Na dworze powinno być już jasno. Usiadłam i rozejrzałam się po ciemnym pokoju. Nie byłam zaskoczona widokiem Jeremy'ego stojącego przy kontakcie. Nie szukałam też Roane'a. Wiedziałam, gdzie był. W oceanie. Wypróbowywał właśnie swoją nową skórę. Zostawił mnie. Zapewne powinnam się czuć zraniona, ale jakoś dziwnie nie byłam. Oddałam Roane'a jego pierwszej miłości, oceanowi.

Stare przysłowie mówi: nigdy nie stawaj pomiędzy faerie i jej magią. Roane był w objęciach swej ukochanej, lecz to nie ja nią byłam. Mogliśmy się już nigdy więcej nie spotkać, a mimo to rozstaliśmy się bez pożegnania. Wiedziałam jednak, że jeśli będę kiedyś potrzebowała czegoś, co będzie mógł mi dać, wystarczy, że pójdę na brzeg oceanu i zawołam, a przybędzie. Tylko jednym nie mógł mnie obdarzyć: miłością. Kochałam go, choć on mnie nie. Szczęściara ze mnie.

Uklękałam naga na pogniecionym prześcieradle, spoglądając na ciemne okno. - Jak długo spałam?
- Jest piątek, ósma wieczorem.

Podniosłam się z łóżka. - O mój Boże.

- Zdaje się, że od dawna nie powinno cię tu być.

Popatrzyłam na niego.

Stał przy drzwiach. Trudno było to dojrzeć w ciemności, ale zapewne był ubrany w jeden ze swoich zwykłych garniturów, nienagannie skrojony, niewielki i elegancki. Wyczuwałam w nim jednak dziwne napięcie, jakby chciał powiedzieć coś innego, coś bardziej bezpośredniego, albo może coś jeszcze wiedział. Coś złego.

- Co się stało?

- Jeszcze nic - odparł.

Wpatrzyłam się w niego. - A co, twoim zdaniem, się stanie? - Nie mogłam wyzbyć się podejrzliwości w głosie.

Jeremy zaśmiał się. - Nie martw się, nikomu nic nie mówiłem, ale jestem pewien, że policja - tak. Nie wiem, dlaczego się do tej pory ukrywałaś, ale jeśli ukrywasz się przed slughami, to jesteś w niezłych kłopotach.

„Slugh” to było obraźliwe określenie pomniejszych istot magicznych z Dworu Unseelie. Tylko gdy inna Unseelie mówiła „slugh”, nie była to śmiertelna zniewaga.

- Jestem księżniczką Unseelie. Dlaczego miałabym się przed nimi ukrywać?

Oparł się plecami o ścianę. - To dopiero pytanie, prawda?

Nawet po drugiej stronie pogrążonego w mroku pokoju mogłam wyczuć ciężar jego spojrzenia, jego intensywność. Nieuprzejme było zadawać istocie magicznej tak bezpośrednie pytania, ale cóż, wiedział, co robi. Te pytania bez odpowiedzi zawisły w powietrzu pomiędzy nami.

- Bądź dobrą dziewczynką i weź prysznic. - Podniósł z podłogi torbę. - Przyniosłem ci rzeczy. Na dole czeka van z Ringo i Utherem. Zawieziemy cię na lotnisko.

- Wiele ryzykujecie, pomagając mi.

- Więc się pośpiesz.

- Nie mam paszportu.

Rzucił na łóżko małe papierowe zawiniątko. To był pakunek z dokumentami, który przykleiłam pod siedzeniem mojego samochodu. Dawał mi nową tożsamość.

- Skąd wiedziałeś?

- Ukrywałaś się przed ludzkimi władzami i swoimi... krewnymi przez trzy lata. Nie jesteś głupia. Wiedziałaś, że prędzej czy później wpadną na twój trop, więc musiałaś być przygotowana na nagłą

ucieczkę. Następnym razem ukryj to w innym miejscu. To było jednym z pierwszych, do jakich zajrzałem.

Popatrzyłam na pakunek, a potem na niego. - To nie wszystko, co znajdowało się pod siedzeniem. Rozpiął marynarkę jak model na wybiegu, pokazujący koszulę i krawat. Tylko że on pokazał rewolwer wsadzony za pasek od spodni. Był to jedynie niewyraźny ciemny kształt odcinający się od bieli koszuli, ale wiedziałam, że to moja dziewięćmilimetrowa LadySmith. Z jednej z kieszeni wyjął dodatkowy magazynek. - Pudełko z dodatkowymi nabojami jest w torbie z twoimi ubraniami - powiedział. Położył broń na pakunku i stanął po drugiej stronie łóżka.

- Wyglądasz na zdenerwowanego.

- A nie powinienem być?

- Denerwujesz się z mojego powodu. Czyżby członkowie rodziny królewskiej robili na tobie aż takie wrażenie? - Wpatrzyłam się w jego twarz, usiłując coś z niej wyczytać, ale nie zdołałam. Coś ukrywał.

Podniósł lewą rękę. - Łzy Branwyna długo działają. Weź prysznic.

- Nie czuję już mocy zaklęcia.

- To dobrze, ale i tak weź prysznic.

Popatrzyłam na niego. - Nie przeszkadza ci, że widzisz mnie nagą?

- To dlatego właśnie Ringo i Uther zostali na dole. Na wszelki wypadek.

Uśmiechnęłam się do niego i złapałam się na tym, że chcę do niego podejść, skrócić trochę ten bezpieczny dystans, jaki nas dzielił. Nie pragnęłam Jeremy'ego, ale miałam ochotę się przekonać, jak bardzo na niego działałam. To nie w moim stylu prowokować przyjaciół. Wrogów - owszem, ale nie przyjaciół. Czy to były pozostałości poprzedniej nocy, czy też Łzy działały na mnie mocniej, niż myślałam? Nie zwracałam sobie tym dłużej głowy. Po prostu odwróciłam się i poszłam do łazienki. Szybki prysznic i na lotnisko.

Dwadzieścia minut później byłam już gotowa, choć miałam wciąż mokre włosy. Włożyłam granatowe spodnie, szmaragdowozieloną jedwabną bluzkę i granatowy żakiet dopasowany do spodni. Jeremy przyniósł mi parę czarnych czółenek na niskim obcasie i czarne pończochy. Ponieważ nie posiadałam żadnego innego rodzaju pończoch, nie protestowałam. Jeśli jednak chodzi o resztę... - Następnym razem, gdy będziesz mi wybierał ubranie, w którym będę uciekała, żeby ocalić życie, pomyśl o butach do biegania. Czółenka, niezależnie od tego, na jak niskim obcasie, nie nadają się do tego.

- Nigdy nie miałem problemów z eleganckimi butami - odparł. Siedział, nie bez wdzięku, na jednym z kuchennych krzeseł o twardych oparciach. Dzięki niemu krzesło wyglądało na wygodne. Jeremy panował nad sobą, w ten napięty sposób, który przez niektórych zwany bywa kocim. Zresztą, gdy patrzyłam na Jeremy'ego, od razu przychodziło mi do głowy skojarzenie z kotem. Tylko że koty nie przybierają póz. Po prostu są. Jeremy natomiast był zdecydowanie upozowany i próbował udawać beztroskę - bez powodzenia.

- Przepraszam, że zapomniałem twoich brązowych szkieł kontaktowych. Ale nie wydaje mi się, żeby były konieczne. Zresztą, lubię naturalny kolor twoich oczu. Są jak zielone klejnoty, zachwycające. Pasują do bluzki, a przy tym są bardzo ludzkie. Chociaż włosy, jak na mój gust, powinny być bardziej rude, mniej, kasztanowe.

- Rude włosy rzucają się w oczy, nawet w tłumie. Osłona osobista powinna pomagać ukryć to, czym się wyróżniasz.

- Znam wiele istot magicznych, które używają osłony tylko po to, żeby być piękniejszymi, bardziej atrakcyjnymi, oryginalnymi.

Wzruszyłam ramionami. - To ich problem. Ja nie potrzebuję reklamy.

Wstał. - Przez cały ten czas nawet nie podejrzewałem, że jesteś sidhe. Miałem cię za istotę magiczną, która ukrywa się z jakichś powodów, nie domyśliłem się prawdy. - Stał za stołem, z opuszczonymi rękami. Cały czas był spięty.

- To ci nie daje spokoju, prawda?

Skinął głową. - To niby ja jestem tym wielkim czarodziejem. Powinienem przejrzeć cię przez iluzję. A może to też jest iluzja? Czyżbyś była lepszym ode mnie czarodziejem? Czy skrywasz swoje magiczne zdolności? - Po raz pierwszy poczułam jego moc. To mogła być tylko osłona. To mógł być jednak początek czegoś większego.

Stałam twarzą do niego, rozsunałam stopy, opuszczając ręce tak jak on. Wezwałam swoją własną moc, powoli, ostrożnie. Gdybyśmy byli rewolwerowcami, wyjąłby broń, ale nie wycelowaną. Wciąż starałam się trzymać swoją broń w kaburze. Po tym wszystkim nie powinnam chyba ufać nikomu, ale jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, by Jeremy był moim wrogiem.

- Nie mamy na to czasu, Jeremy.

- Myślałem, że mogę cię traktować, jakby nic się nie zmieniło, ale nie potrafię. Muszę wiedzieć.

- Co wiedzieć?

- Muszę wiedzieć, jak wiele z ostatnich trzech lat było kłamstwem. - Poczułam jego potężną moc, wypełniającą tę wąską przestrzeń, która była jego aurą. Wpompował w swoją osłonę bardzo dużo mocy. Naprawdę bardzo dużo.

Moja osłona była zawsze na miejscu, gotowa do podniesienia. Tworzyłam ją odruchowo. Do tego stopnia, że większość ludzi, nawet bardzo wrażliwych, myliło osłonę z moim normalnym poziomem mocy. To znaczyło, że zetknęłam Jeremy'ego z osłoną nastawioną na pełną moc. Nie musiałam już nic do tego dodawać. Moja osłona była lepsza od jego, to fakt. Z drugiej strony, jeśli chodzi o moje ofensywne zaklęcia, to, cóż, widziałam Jeremy'ego w akcji. Nigdy nie przeszedł przez moją osłonę, ale ja też nigdy nie zdołałabym w jakikolwiek sposób mu zagrozić. Chyba że za pomocą broni. Miałam nadzieję, że do niczego takiego nie dojdzie.

- Czy wciąż zamierzasz mnie zawieźć na lotnisko, czy może zmieniłeś zdanie, gdy brałam prysznic? - spytałam.

- Wciąż zamierzam cię zawieźć na lotnisko - odparł. Dla większości sidhe magia ma barwę lub kształt. Ja nigdy nie potrafiłam jej zobaczyć. Mogłam ją jednak wyczuć. Jeremy wypełniał cały pokój energią, którą wsączył w swoją osłonę.

- I co odkryłeś?

- Jesteś sidhe. Jesteś Unseelie sidhe. Od tego już tylko krok do slughów. - Jeremy powiedział to ze szkockim akcentem. Nigdy nie słyszałam, żeby zapomniał o swoim akcencie Amerykanina znikąd. To mnie zdenerwowało, ponieważ jednym z większych powodów do dumy każdej sidhe jest zachowanie swojego oryginalnego akcentu, jakikolwiek by był.

- W czym widzisz problem? - Wydawało mi się, że wiem, dokąd to wszystko zmierza. Byłam już prawie pewna walki.

- Unseelie budują wszystko na oszustwie. Nie można im zaufać.

- Nie jestem godna zaufania, Jeremy? Czy trzy lata przyjaźni znaczą dla ciebie mniej niż jakieś stare bajki?

Na jego twarzy pojawił się wyraz zgorzknienia. - To nie są stare bajki. - Jego akcent ponownie stał się silniejszy. - Byłem wyrzutkiem jako chłopiec. Dwór Seelie nie raczył zwracać na mnie uwagi. Co innego Dwór Unseelie, on przygarnia każdego.

Uśmiechnęłam się, zanim zdążyłam się powstrzymać. - Nie każdego. - Nie sądzę, żeby Jeremy wyczuł

ironię w moich słowach.

- Nie, nie każdego. - Był tak wściekły, że zaczęły mu się trząść ręce. Właśnie miałam zapłacić rachunek za od wieków trwającą krzywdę. Nie po raz pierwszy. Zapewne też nie po raz ostatni, ale miałam już tego dosyć. Nie mieliśmy na to wszystko czasu.

- Przykro mi, że moi przodkowie cię skrzywdzili, Jeremy, ale to się stało, zanim się urodziłam. Przez większość mojego życia Dwór Unseelie był względnie cywilizowany. Ma nawet swojego rzecznika prasowego.

- Żeby rozpowszechnić kłamstwa - powiedział z silnym, gardłowym akcentem.

- Chcesz zobaczyć moje blizny? - Podniosłam bluzkę i pokazałam mu bliznę o kształcie ręki, którą miałam na żebrach.

- Złudzenie - powiedział, ale jego głos zabrzmiał niepewnie.

- Możesz dotknąć, jeśli chcesz. Osłona oszukuje wzrok, ale nie dotyk, nie dotyk innej istoty magicznej. - Tylko częściowo odpowiadało to prawdzie, ponieważ mogłam użyć osłony, żeby oszukać wszystkie zmysły, nawet zmysły innej istoty magicznej, ale to była rzadka zdolność i mogłam się założyć, że Jeremy uwierzył mi. Czasami lepiej skłamać, niż powiedzieć prawdę.

Podszedł do mnie wolno, nieufność malowała się na jego twarzy. Wstrzymałam oddech, widząc ten wyraz, twarzy. Przyglądał się bliźnie, ale powstrzymał się od jej dotykania. Wiedział, że najbardziej potężna magia sidhe uaktywnia się poprzez dotyk, co znaczyło, że wiedział o sidhe więcej, niż podejrzewałam.

Westchnęłam i spłotłam palce na czubku głowy. Bluzka opadła na bliznę, ale Jeremy mógł ją przecież unieść. Przyglądał mi się, podchodząc. Dotknął zielonego jedwabiu, ale patrzył w moje oczy przez długi czas, zanim podniósł go, jakby usiłował przejrzeć moje myśli. Moja twarz powróciła jednak do tego dobrze znanego, uprzejmego, odrobinę znudzonego, pustego wyrazu, który do perfekcji opanowałam na dworze. Mogłam patrzeć na przyjaciół, którzy byli torturowani albo zagłębić w kimś nóż z tym samym wyrazem twarzy. Nie przetrwałbyś na dworze, gdyby twarz wyrażała twoje uczucia. Jeremy podnosił bluzkę powoli, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy. W końcu spojrzał w dół. Staralam w ogóle się nie ruszać, żeby go nie spłoszyć. Byłam wściekła, że Jeremy Grey, mój przyjaciel i szef, traktuje mnie, jakbym była nie wiem jak niebezpieczna. Gdyby tylko wiedział, jak bezbronna byłam!

Przebiegł palcami po moim szorstkim ciele.

- Mam więcej blizn na plecach, ale już się ubrałam, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, poprzestaniemy na tym.

- Dlaczego nie widziałem ich, gdy byłaś naga albo przedtem, w moim biurze, gdy podłączaliśmy ci mikrofon?

- Nie chciałam, żebyś je widział, ale nie zwracam sobie głowy skrywaniem ich, gdy są pod ubraniem.

- Nigdy nie marnuj magicznej energii - powiedział cicho. Potrząsnął głową, jakby słyszał coś, czego ja nie słyszałam. Spojrzał na mnie zmieszany. - Nie mamy czasu, żeby stać tu i się kłócić, prawda?

- Też mi się tak wydaje.

- Cholera - zaklął. - Padliśmy chyba ofiarą jakiegoś zaklęcia podejrzliwości albo niezgody. To oznacza, że nadchodzą. - Na jego twarzy pojawił się strach.

- Mogą być jeszcze mile stąd, Jeremy.

- Albo tuż za drzwiami - powiedział.

Miał rację. Jeśli faktycznie byli za drzwiami, wtedy bezpieczniejszym wyjściem mogło być zadzwonienie na policję i czekanie na pomoc. Nie mogłam naskarżyć, że źli chłopcy z Dworu

Unseelie chcą mnie zabić, ale miałam pewność, że jeśli zadzwoniłabym do detektywa Alvery i powiedziała, że grozi mi śmierć, wysłałby pomoc.

Ale jeśli bym mogła, najchętniej bym uciekła. Musiałam wiedzieć, kto był na zewnątrz.

Jeremy patrzył na mnie dziwnie. - O czym myślisz?

- W oddziałach sluaghów nie ma sidhe, z wyjątkiem jednego albo dwóch dowódców. Może nie zdołam znaleźć sidhe, jeśli nie chce być znaleziona, ale sluaghów znajdę.

Zrobił zamaszysty ruch rękami. - Więc na co czekasz?!

Nie spierał się. Nie pytał, czy mogę to zrobić ani czy jest to bezpieczne. Po prostu się z tym zgodził.

Nie zachowywał się już jak mój szef. Byłam księżniczką Meredith NicEssus i jeśli powiedziałam, że mogę odszukać sluaghów, uwierzył mi. Nigdy nie uwierzyłby Merry Gentry, nie mając dowodu.

Zrzuciłam zewnętrzne strażę. Pozostawiłam osłonę na miejscu, wyrzucając przed siebie swoją moc.

To było niebezpieczne, może właśnie takiego otwarcia potrzebowali do obehwładnienia mnie, ale to

był zarazem jedyny sposób, żeby dowiedzieć się, jak blisko są. Wyczułam Uthera i Ringo, wyczułam

ich obecność, ich magię. Wyczułam moc oceanu, magię wszystkich żyjących w nim stworzeń, ale nic

ponadto. Wyrzuciłam moc dalej, ale i tam nic nie znalazłam, aż w końcu, daleko, prawie na skraju

swoich możliwości, wyczułam, że coś naciska na powietrze jak zbliżająca się burza, tylko że to nie

była burza, a przynajmniej nie zwyczajna burza. To coś było zbyt daleko, żebym mogła wyczuć, jakie

istoty magiczne zbliżają się wraz z sidhe, ale to wystarczyło. Mieliśmy jeszcze trochę czasu.

Sprowadziłam strażę z powrotem, do środka osłony, upychając je ciasno. - Są mile od nas.

- Skąd więc zakłęcie niezgody?

- Moja ciotka mogła wyszeptać je na nocnym wietrze i przyszło do nas tutaj.

- Z Illinois?

- To mogło zająć dzień albo dwa, ale jest możliwe. Ale nie martw się. Nigdy nie brudzi rąk

osobiście, wykorzystuje do tego służbę. Może pragnąć mojej śmierci, ale nie zada mi jej na

odległość. Będzie chciała ukarać mnie dla przykładu, a do tego potrzebna jej jestem w domu.

- Ile czasu nam zostało? Potrząsnęłam głową. - Godzina, może dwie.

- Zdamy więc zawieźć cię na lotnisko. Zabranie cię z miasta jest jedyną rzeczą, jaką mogę ci

zaoferować. Jeden czarodziej sidhe wystarczył, żebym nie mógł wejść do domu Alistaira Nortona.

Nie mogę pokonać magii sidhe, a to oznacza, że nie jestem w stanie ci pomóc.

- Wysłałeś pająki do domu Nortona. Ostrzegłeś mnie, żebym ukryła się pod łóżkiem. Zrobiłeś

naprawdę dużo.

Spojrzał na mnie zdziwiony. - Myślałem, że sama wezwałaś pająki.

Na chwilę nasze spojrzenia się spotkały. - To nie ja - powiedziałam.

- Ani ja - dodał cicho.

- Wiem, że to banał, ale jeśli to nie ty i nie ja... - Resztę pozostawiłam nie dopowiedzianą.

- Uther nie jest zdolny do zrobienia czegoś takiego.

- A Roane nie uprawia aktywnej magii - dodałam. Nagle zrobiło mi się zimno i nie miało to nic

wspólnego z temperaturą w pokoju. Musiałam to powiedzieć głośno. - Więc kto to był? Kto mnie

uratował?

Jeremy potrząsnął głową. - Nie mam pojęcia. Czasami Unseelie okazują komuś pomoc, zanim go

zabiją.

- Nie wierz we wszystkie opowieści, które słyszysz, Jeremy.

- To nie opowieść. - Gniew spowodował, że to proste stwierdzenie zabrzmiało gorąco i

nieprzyjemnie. Nagle uświadomiłam sobie, jak był przestraszony. Gniew był osłoną dla strachu. Jego

reakcje miały osobisty wymiar. To nie był zwykły strach. To coś specyficznego, opartego na czymś

więcej niż tylko opowieści czy legendy.

- Czy zetknąłeś się już kiedyś osobiście ze slughami? Skinął głową, podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. - Niewykluczone, że mamy tylko godzinę. Wychodzimy.

Przycisnęłam ręce do drzwi, powstrzymując go przed ich otwarciem. - To ważne, Jeremy. Jeśli staniesz się niewolnikiem jakiejś sidhe, będzie ona mieć nad tobą władzę absolutną. Muszę wiedzieć, co się stało.

Wtedy zrobił coś, czego się nie spodziewałam. Zaczął rozpinąć koszulę.

Podniosłam brwi. - Chyba nie jesteś pod wpływem Łez Branwyna?

Uśmiechnął się, co prawda nie w swój normalny sposób, ale dobre i to. - Kiedyś już jeden slugh okazał mi pomoc. - Nie rozluźnił węzła krawata ani nie rozpiął guzika przy kołnierzyku, ale rozpiął resztę, po czym odwrócił się do mnie plecami. - Podciągnij koszulę.

Nie chciałam tego robić. Wiedziałam, co moi krewni mogą zrobić, kiedy są w twórczym nastroju. Było wiele możliwości, nie chciałam widzieć efektów ich działalności na ciele Jeremy'ego. Ale podciągnęłam czystą, szarą koszulę, ponieważ musiałam to zrobić. Nie krzyknęłam, bo byłam przygotowana na najgorsze.

Jego plecy były pokryte bliznami po oparzeniach, jak gdyby ktoś przyciskał do nich raz po raz rozgrzane do czerwoności żelazo. Tyle że to żelazo było w kształcie ręki. Dotknęłam jego blizn, tak jak on dotknął moich, lekko, przesunęłam po nich palcami. Zaczęłam przykładać rękę do znaku dłoni, ale zawahałam się i ostrzegłam go. - Chcę przyłożyć rękę do jednej z blizn.

Kiwnął głową.

Dłoń była o wiele większa od mojej, większa niż znak na moim ciele. Męska dłoń, palce grubsze niż u większości sidhe. - Znasz imię tego, kto ci to zrobił?

- Tamlyn - powiedział. Sprawiał wrażenie zakłopotanego i powinien taki być.

Tamlyn był tym w świecie faerie, czym John Smith w świecie anglosaskim. Tamlyn razem z Robinem Goodfellowem i kilkoma innymi były ulubionymi fałszywymi imionami sidhe.

- Musiałeś być bardzo młody, skoro niczego nie podejrzewałeś, gdy ci się przedstawiał - powiedziałam.

Skinął głową. - Byłem młody.

- Czy mogę sprawdzić twoją aurę?

Uśmiechnął się do mnie ponad ramieniem. Ruch zmarszczył skórę na jego plecach, powodując zmianę kształtu blizn. - Aura to newage'owe słowo. Istoty magiczne go nie używają.

- Niech więc będzie: osobista moc - powiedziałam, ale dalej patrzyłam na jego plecy. Opuściłam koszulę na jego ramiona. - Czy byłeś związany, gdy ci to zrobił?

- Tak, a dlaczego pytasz?

- Czy mógłbyś ułożyć ręce w takiej pozycji, w jakiej były związane?

Nabrał powietrza, jakby chciał znów zapytać dlaczego, ale w końcu tylko uniósł ręce nad głowę i oparł je o drzwi, tak że jego ciało było tuż przy nich. Unosił ręce, aż wreszcie wyciągnął je na całą długość, odrobinę oddalając je od ciała, tak że uformował literę Y.

Koszula opadła mu zupełnie i musiałam unieść ją znowu. Ale kiedy to zrobiłam, ujrzałam to, co podejrzewałam, że ujrzę. Znaki w kształcie ręki tworzyły obraz. Był to obraz smoka, długiego i wijącego się. Znaki po oparzeniach tworzyły obraz tylko wtedy, gdy Jeremy stał dokładnie w takiej samej pozycji jak wtedy, gdy był torturowany. Kiedy opuszczał ramiona, skóra nie napinała się już w ten sposób i znaki były tylko bliznami.

- Możesz już opuścić ręce - powiedziałam.

Zrobił to, po czym odwrócił się do mnie twarzą. Zaczął wkładać koszulę w spodnie. Myślę, że nawet

nie zdawał sobie sprawy, że to robi. - Wyglądasz na zasmuconą. Co takiego tam wypatrzyłaś, czego nikt przed tobą nie widział?

- Nie wkasuj jeszcze koszuli, Jeremy. Muszę nałożyć osłonę na twoje plecy.

- Co tam zobaczyłaś, Merry? - Przestał wkasywać koszulę.

Potrząsnęłam głową. Jeremy mógł nosić te blizny całe wieki i nawet nie podejrzewać, że sidhe grają sobie na nim w swoje gierki. To pokazywało całą pogardę dla ofiary, bezdusność, którą trudno ogarnąć rozumem. Rzecz jasna, to celowe okrucieństwo czemuś służyło. Sidhe, kimkolwiek była, mogła położyć zaklęcie na znakach po oparzeniach i dzięki temu przywołać smoka ze skóry Jeremy'ego lub nawet zamienić go w niego. Mało prawdopodobne, ale lepiej ochronić go przed tym, niż potem żałować, że się tego nie zrobiło.

- Pozwól mi nałożyć osłonę na twoje plecy. Wyjaśnię ci wszystko po drodze do samochodu.

- Mamy na to czas? - spytał.

- Jasne. Przytrzymaj koszulę tak, żeby blizny były odsłonięte. Wyglądał, jakby mi nie dowierzał, ale kiedy odwróciłam go twarzą do drzwi, nie protestował. Podniósł koszulę tak, że mogłam zacząć pracować.

Wlałam moc w swoje dłonie. Napełniły się ciepłem. Wolno rozwarłam ręce, dłonie kierując w stronę odsłoniętych pleców Jeremy'ego. Położyłam ręce tuż nad jego skórą. Drżące ciepło zaczęło pieścić jego plecy. Jeremy zadrżał pod wpływem tego dotyku.

- Jakie runy stosujesz? - wydyszał.

- Żadnych - odparłam. Rozlałam tę ciepłą moc na blizny, w dół jego pleców.

Zaczął się odwracać.

- Nie ruszaj się.

- Co to znaczy, że nie używasz run? Czego w takim razie używasz?

Musiałam przyklęknąć, żeby nabrać pewności, że moc pokryła każdą bliznę. Kiedy byłam już tego pewna, nałożyłam pieczęć, wyobrażając sobie moc jako warstwę błyszczącego żółtego światła tuż nad jego skórą. Zapieczetowałam krawędzie tego blasku, tak że przylegał do jego skóry ciasno jak pancerz.

Jeremy z trudem złapał powietrze. - Czego użyłaś, Merry?

- Magii - powiedziałam i podniosłam się.

- Mogę już opuścić koszulę?

- Tak.

Szary jedwab ześlizgnął się na miejsce. Osłona była tak solidna w mojej wyobraźni, że miałam wrażenie, że ubranie zaraz pęknie od magii, ale nic takiego się nie stało. Jedwab opadł na jego plecy, jakbym nic nie zrobiła. Nie miałam jednak wątpliwości, że wykonałam kawał dobrej roboty.

Zaczął wsuwać koszulę w spodnie, zanim odwrócił się do mnie twarzą. - Użyłaś do tego swojej osobistej magii?

- Tak.

- Dlaczego nie run? Pomagają naszej magii.

- Wiele run to starożytne symbole dawno zapomnianych bóstw lub stworzeń. Kto wie? Mogłabym niechcący przywołać tę sidhe, która cię zraniła. Nie chciałam ryzykować.

Włożył marynarkę i poprawił krawat. - A teraz powiedz mi, co cię tak wystraszyło w tych bliznach na moich plecach?

Otworzyłam drzwi. - Po drodze do samochodu. - Wyszłam na korytarz, zanim zdążył zaprotestować.

Straciliśmy dużo czasu, ale pozostawienie jego pleców bez osłony byłoby wielką nieostrożnością.

Stukaliśmy obcasami, zbiegając po schodach w naszych eleganckich butach.

- Co to było, Merry?

- Smok.

- Blizny układają się w obraz? - Dotarł do drzwi wyjściowych przede mną i przytrzymał je otwarte, by mnie przepuścić. Wyjęłam rewolwer, odbezpieczając go.

- Myślałem, że slughowie są mile stąd - powiedział Jeremy.

- Jedna samotna sidhe mogła się przede mną ukryć. - Trzymałam rewolwer opuszczony wzdłuż boku, tak że musiał on być wyraźnie widoczny. - Nie dostaną mnie, Jeremy. Cokolwiek się stanie.

Weszłam w łagodną kalifornijską noc, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Większość istot magicznych, szczególnie sidhe, uważa nowoczesną broń za oszukaństwo. Co prawda nigdzie tego nie zabroniono, ale posługiwanie się rewolwerami jest uważane za przejaw złego gustu, chyba że jest się członkiem najbliższej straży Królowej albo Księcia. Oni noszą rewolwery, żeby chronić członków rodziny królewskiej. Cóż, byłam członkiem rodziny królewskiej, niewiele znaczącym, wyklętym, ale jednak - czy się to komu podoba, czy nie. Nie miałam straży, więc musiałam się chronić sama. Cokolwiek to oznaczało.

Noc nigdy nie była tutaj naprawdę ciemna - zbyt dużo elektrycznych świateł, zbyt wielu ludzi. Wypatrywałam w tej delikatnej ciemności jakiejś samotnej postaci. Szukałam jej oczami i mocą, wysyłając wokół straże, gdy spieszyliśmy do czekającego na nas vana. W innych domach byli ludzie. Czułam, że się poruszają. Mewy idące wzdłuż jednego z dachów, półśpiące, świadome magii, którą niechcący na nie skierowałam. Na plaży była jakaś impreza. Czułam potężniejszą energię, podniecenie, strach, ale taki zwyczajny strach: czy powinnam to zrobić, czy nie; czy to bezpieczne? Poza tym już nic nie znalazłam, chyba że wliczyć drgającą energię oceanu, zawsze obecną na wybrzeżu. To mógł być biały szum, coś, co można ignorować, jak zbyt liczny tłum, ale jednak zawsze tam był. Gdzieś tam w tej wielkiej falującej mocy przebywał Roane. Miałam nadzieję, że dobrze się bawił. Bo ja nie.

Przesuwane drzwi vana otworzyły się i ujrzałam Uthera siedzącego w ciemności. Wyciągnął do mnie rękę. Przykrył moją dłoń swoją wielką łapą, wciągając mnie do vana. Drzwi zamknęły się za mną.

Znad siedzenia kierowcy spojrział na mnie Ringo. Ledwie się mieścił w siedzeniu, całe te mięśnie, te nieludzko długie ręce, potężny tułów wciśnięty w fotel przeznaczony dla ludzi. Uśmiechnął się, odsłaniając najostrejsze zęby, jakie kiedykolwiek widziałam u kogoś, kto nie był wilkiem. Twarz była odrobinę zbyt długa, by je mieścić, co powodowało, że reszta jego bardziej ludzkiej twarzy zdawała się pozbawiona proporcji. Zęby błyszczały na tle brązowej skóry. Jakiś czas temu Ringo był człowiekiem - członkiem gangu. Pewnego dnia grupa sidhe z Dworu Seelie zgubiła się w dzikości najgłębszego, najciemniejszego Los Angeles. Członkowie gangu znaleźli ich. Kulturowa interakcja jak ta lala. Spotkanie z sidhe oznaczało najgorszy z możliwych scenariusz. A jednak, pozory mylą. Kto wie, co się stało? Może sidhe były zbyt aroganckie, żeby na poważnie walczyć z grupą nastolatków z getta. Może nastolatki z getta były o wiele groźniejsze, niż sidhe się spodziewały. Cokolwiek się stało, przegrały. Ale jeden z członków gangu wpadł na świetny pomysł. Zgodził się przejść na drugą stronę, pod warunkiem że sidhe spełnią jego życzenie.

Sidhe zgodziły się i Ringo powystrzelał swoich kumpli z gangu. Jego życzeniem było zostać istotą magiczną. Sidhe dały słowo, że spełnią jego życzenie. Nie mogły już go cofnąć. Żeby zmienić człowieka w istotę magiczną, trzeba w niego wlać nieujarzmioną magię, czystą moc. To człowiek wybiera, kim chce zostać. Ringo nie miał jeszcze piętnastu lat, gdy to się stało. Prawdopodobnie chciał się stać dziki, przerażający, by być najtwardszym bydlakiem w okolicy. Dzięki magii jego marzenie mogło się spełnić. Dla ludzi był potworem. Dla sidhe również. Dla innych istot magicznych - po prostu jednym z wielu.

Nie wiem, dlaczego Ringo porzucił gangsterskie życie. Może kumple się od niego odwrócili. Może zmądrzał. Gdy go poznałam, od lat wiódł ustabilizowane życie. Ożenił się ze swą dziecięcą miłością i miał z nią troje dzieci. Specjalizował się w ochronie sławnych i bogatych, którzy zawsze chcieli mieć przy sobie jakiegoś egzotycznego mięśniaka. Łatwa robota, żadnego prawdziwego niebezpieczeństwa, a na dodatek obracał się wśród gwiazd. Zupełnie nieźle jak na dziecko piętnastoletniej ćpunka i nie znanego ojca. Na biurku Ringa stało zdjęcie jego matki. Przedstawiało ono trzynastoletnią dziewczynkę o jasnym spojrzeniu, zadbaną, ładną, taką, co to świat stoi przed nią otworem. Cały następny rok ćpała. Umarła w wieku siedemnastu lat, z przedawkowania. Ani w jego biurze, ani w domu nie było późniejszych zdjęć matki, tak jakby dla Ringa wszystko to, co nastąpiło potem, nie było prawdziwe, nie było z nią związane.

Jego najstarsza córka, Amira, wyglądała dokładnie tak, jak jej babcia na tamtym zdjęciu. Podejrzewam, że zatłukłby ją na śmierć, gdyby znalazł u niej narkotyki. Ringo uważa, że bycie naćpanym jest gorsze niż śmierć; myślę, że naprawdę w to wierzy.

Żaden z nich nie zwrócił uwagi na rewolwer, gdy wkładałam go z powrotem za pasek spodni. Prawdopodobnie byli z Jeremym, gdy znalazł on rewolwer i dokumenty.

Jeremy zajął miejsce przy kierowcy. - Jedziemy na lotnisko. - Tylko to powiedział. Ringo przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszyliśmy.

Rozdział 9

Tył vana był pusty, jeśli nie liczyć chodniczka i zmodyfikowanego pasa bezpieczeństwa, który Jeremy zainstalował z jednej strony. To było siedzenie Uthera. Zaczęłam przemieszczać się do środkowego rzędu foteli, ale Uther dotknął mojego ramienia.

- Jeremy uważa, że jeśli usiądziesz ze mną, nasze aury zmieszają się, co może wyprowadzić w pole tych, przed którymi uciekasz. - Każde słowo było starannie wymówione, ponieważ kły, które sprawiały wrażenie, jakby sterczały ze skóry ponad ustami, w rzeczywistości były przekształconymi zębami, które wychodziły ze środka ust. Jeśli Uther mówiłby niedbale, nie można by go było zrozumieć. Ale on pracował z jednym z najlepszych hollywoodzkich nauczycieli wymowy - efekt był taki, że mówił teraz głosem profesora z college'u na Środkowym Zachodzie. Wszystko jednak psuła twarz bardziej podobna do świńskiej niż do ludzkiej, z podwójnym zestawem podkreślonych kłów. Mieliśmy klientkę, która zemdląła, gdy odezwał się do niej po raz pierwszy. Zawsze zabawnie jest szokować ludzi.

Popatrzyłam na Jeremy'ego. Skinął głową. - Może i jestem lepszym czarodziejem, ale Uther ma starszą niż Bóg energię wokół siebie. Myślę, że to pomoże im cię przeoczyć.

Pomysł był świetny, a do tego prosty. - Jeremy, wiedziałam, że z jakiegoś powodu jesteś szefem.

Uśmiechnął się do mnie, po czym odwrócił do Ringa. - Wal prosto Sepulveda na lotnisko.

- Dobrze przynajmniej, że nie jedziemy w godzinie szczytu - odparł Ringo.

Siedziałam z tyłu vana obok Uthera. Van jechał Sepulveda odrobinę za szybko i upadłabym, gdyby Uther nie złapał mnie w porę. Jego wielkie ramiona przyciągnęły mnie, przytulając do piersi prawie tak dużej, jak całe moje ciało. Nawet z moją osłoną był on wielkim, ciepłym, drgającym miśkiem. Spotykałam inne istoty magiczne, które nie miały prawdziwej magii, tylko najprostszą osłonę, ale były tak stare i przez całe swoje życie otoczone przez tak wiele magii, że miało się wrażenie, jakby każdy por ich skóry emanował mocą. Nawet sidhe nie byłyby w stanie znaleźć mnie w ramionach Uthera. Dostrzegłyby jego, nie mnie. Chyba. Przynajmniej na początku.

Uspokoiliłam się przy silnej piersi Uthera, w ciepłym bezpieczeństwie jego ramion. Nie wiedziałam, jak on to robił, ale w jego obecności zawsze czułam się bezpiecznie. To nie wynikało tylko z jego rozmiarów. To był po prostu Uther. Oaza spokoju pośród szalejących nawałnic.

Jeremy odwrócił się na tyle, na ile pozwalał mu pas bezpieczeństwa, zagniatą marynarkę, co oznaczało, że to, co miał do powiedzenia, musiało być naprawdę ważne. Dlaczego nałożyłaś osłonę na moje plecy?

- Co takiego? - spytał Uther.

- Miałem na plecach stare blizny - pamiątkę po spotkaniu z Sidhe. Merry nałożyła na nie osłonę - wyjaśnił Jeremy. - Chcę wiedzieć dlaczego.

- Uparty jesteś - zauważyłam.

- Powiedz mi.

Westchnęłam, nakrywając się rękami Uthera jak kocem. - Możliwe, że Sidhe, która cię zraniła, może wezwać smoka z twoich pleców lub zamienić cię w niego.

Oczy Jeremy'ego otworzyły się szeroko. - Mogłabyś zrobić coś takiego?

- Ja nie, ale ja nie jestem pełnej krwi Sidhe. Widziałam jednak podobne rzeczy.

- Czy osłona mnie przed tym zabezpieczy?

Chciałabym powiedzieć „tak”, ale zbyt bliskie byłoby to kłamstwu. - Może to zatrzymać na chwilę, ale jeśli Sidhe, która nałożyła zaklęcie, jest gdzieś tutaj, może mieć wystarczająco dużo mocy, by zneutralizować moją magię albo po prostu będzie uderzać w osłonę tak długo, aż ją rozwali. Szansa na to, że to ta sama Sidhe ściga mnie, jest bardzo niewielka, ale nie mogłam przyjąć twojej pomocy i nie osłonić cię.

- Na wszelki wypadek - powiedział. Skinęłam głową. - Na wszelki wypadek.

- Byłem bardzo młody, kiedy się to stało, Merry. Teraz umiem sam się obronić.

- Jesteś potężnym czarodziejem, ale nie Sidhe.

- To aż tak wielka różnica? - spytał.

- Być może.

Jeremy nic nie powiedział i odwrócił się, żeby pomóc Ringo znaleźć najszybszą drogę na lotnisko.

- Jesteś spięta - zauważył Uther.

Uśmiechnęłam się do niego. - Dziwisz się?

Odpowiedział mi uśmiechem tych swoich bardzo ludzkich ust pod zakrzywionymi kłami na świńskim ryju. To było tak, jakby część jego twarzy była maską, a pod nią był zwyczajny człowiek, duży, ale człowiek.

Przesunął grubymi paluchami po moich wciąż mokrych włosach. - Czyżby Łzy Branwyna były wciąż aktywne, kiedy Jeremy do ciebie przyszedł?

W innym wypadku nie traciłabym czasu na mycie. Uther doskonale o tym wiedział. Tak mi powiedział Jeremy. - Usiadłam tak, żeby nie zamoczyć jego koszuli swoimi włosami.

- Nie chciałam cię zamoczyć. Przepraszam.

Łagodnie przycisnął na powrót moją głowę do swojej piersi dłonią tak wielką jak moja głowa. - To nie była skarga.

Oparłam się o niego plecami, mój policzek spoczął na jego ramieniu.

- Roane wyszedł przed naszym przyjazdem. Poszedł po pomoc?

Opowiedziałam mu o Roanie i jego nowej skórze.

- Nie wiedział, że mogłaś go uzdrowić? - spytał Uther.

- Nie.

- Ciekawe - powiedział. - Bardzo ciekawe.

Spojrzałam na niego do góry. - Czyżbyś wiedział coś, o czym nie wiem?

Popatrzył na mnie małymi oczkami prawie nienacknymi w twarzy. - Wiem jedno: Roane jest skończonym głupcem.

Przypatrzyłam mu się uważniej, próbując dociec, co kryje się za tym spojrzeniem. Jest roane'em i musiałam go zwrócić oceanowi. Wzywał go, tam jest jego serce.

- Nie jesteś na niego zła?

Zmarszczyłam brwi, wzruszając ramionami. - Roane jest tym, kim jest. Nie mogę go za to winić. To tak, jakby oskarżać deszcz o to, że jest mokry. Tak to już bywa.

- Więc nie martwisz się z tego powodu?

Znów wzruszyłam ramionami, a on podłożył pode mnie swoje ramię, kołyszając mnie prawie jak małe dziecko, tak że mogłam patrzeć na niego z wygodniejszej pozycji. - Jeśli już, to jestem raczej zawiedziona, choć nie zaskoczona.

- Jesteś bardzo wyrozumiała.

- A mam inne wyjście? Trzeba się pogodzić z tym, czego nie można zmienić. Potarłam policzkiem o ciepłe ramię Uthera i nagle uświadomiłam sobie, na czym polegał jego czar. Był taki duży, a ja przy nim taka mała, że czułam się, jakbym znów była dzieckiem. To uczucie, że jeśli ktoś tuli cię w swych ramionach, nie stanie ci się nic złego. Nie było to prawdą ani wtedy, kiedy wierzyłam w to jako mała dziewczynka, ani tym bardziej teraz, ale wciąż sprawiało mi przyjemność. Czasami fałszywe poczucie bezpieczeństwa jest lepsze niż żadne.

- Cholera - zaklął Jeremy, unosząc głos, żebyśmy mogli go usłyszeć. - Był jakiś wypadek. Wygląda na to, że Sepulveda jest zablokowana. Spróbujemy pojechać bocznymi uliczkami.

Podniosłam głowę z ramienia Uthera, żeby popatrzeć na Jeremy'ego. - Niech zgadnę, wszyscy próbują się stąd wydostać tą samą drogą?

- Oczywiście - odparł. - Siadaj. To zajmie trochę czasu.

Odwrociłam głowę i znów spojrzałam na Uthera. - Słyszałeś ostatnio jakiś dobry dowcip?

Uśmiechnął się nieznacznie. - Nie, ale nogi mi sztywnieją, gdy trzymam je zbyt długo pod tym kątem.

- Przepraszam. - Zaczęłam się od niego odsuwać, ale mnie powstrzymał.

- Nie musisz się ruszać. - Podłożył jedną rękę pod moje uda, drugą trzymając za moimi plecami i podniósł mnie. Trzymał mnie jak małe dziecko, bez wysiłku, podczas gdy wyciągał przed siebie nogi. Posadził mnie na kolanach, z jedną ręką za moimi plecami, z drugą leżącą swobodnie w poprzek moich i jego nóg.

Roześmiałam się. - Czasami zastanawiam się, jak to jest być takim... dużym.

- A ja zastanawiam się, jak to jest być takim małym.

- Ale przecież byłeś kiedyś dzieckiem. Powinieneś pamiętać, jak to jest.

Zapatrzył się w dal. - Wiesz, ja bardzo dawno byłem dzieckiem. Ale tak, pamiętam. Tyle że ja tak naprawdę nigdy nie byłem mały. - Popatrzył na mnie, a w jego oczach pojawiło się jakieś pragnienie, coś, co przebiło się przez ten jego spokój, który tak bardzo sobie w nim ceniłam.

- Co się stało? - spytałam łagodnie. Było pomiędzy nami coś bardzo intymnego, gdy tak siedzieliśmy razem z tyłu vana.

Jego dłoń dotykała lekko mojego uda i w końcu udało mi się odczytać spojrzenie jego oczu. To nie było spojrzenie, jakie kiedykolwiek u niego widziałam. Przypomniałam sobie jego komentarz, kiedy podłączali mi mikrofon, gdy czekał w innym pokoju, ponieważ tak dużo czasu minęło, odkąd ostatni raz widział nagą kobietę.

Na mojej twarzy musiał się pojawić wyraz zaskoczenia, ponieważ odwrócił ode mnie spojrzenie. - Wybacz, Meredith. Jeśli to było nie na miejscu, powiedz mi, a nigdy się już nie powtórzy.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale spróbowałam. - To nie tak. Właśnie jadę, żeby złapać samolot, Bogini wie dokąd. Niewykluczone, że nigdy się już więcej nie spotkamy. - To była tylko częściowo prawda. To znaczy, na pewno opuszczałam miasto. Nie miałam żadnego pomysłu, jak to zakończyć w

czasie tej krótkiej jazdy, nie raniąc jego uczuć ani nie okłamując go. Chciałam uniknąć jednego i drugiego.

- Myślałem, że jesteś człowiekiem z domieszką krwi sidhe - powiedział, nie patrząc na mnie. - Nigdy nie zasugerowałbym tego komuś, kto dorastał jako człowiek. Ale twoja reakcja na porzucenie przez Roane'a jest dowodem na to, że nie myślisz jak człowiek. - Spojrzał na mnie niemal nieśmiało. Spojrzenie jego oczu było takie otwarte, takie ufne. Chyba nie liczył na to, że powiem „tak”, ale miał nadzieję, że przynajmniej nie zareaguję źle.

Nie tak dawno rozmyślałam, jak bardzo samotny musi być tutaj Uther. Ile razy przytulałam się do niego tak jak teraz, myśląc o nim jako o kimś w rodzaju starszego brata, namiastki ojca? Zbyt dużo. To było nie fair, a on zawsze zachowywał się jak dżentelmen, ponieważ myślał, że jestem człowiekiem. Teraz znał prawdę i to zmieniało postać rzeczy. Nawet jeśli powiem „nie” i przyjmie to dobrze, nigdy nie będę zachowywać się przy nim tak swobodnie jak dotychczas. Nigdy nie będę mogła zagłębić się w tych jego wielkich ramionach bez poczucia winy. Coś odeszło. Żałowałam tego, ale to już było nie do odzyskania. Wszystko, co mogłam zrobić, to spróbować go nie zranić. Kłopot w tym, że nie wiedziałam, jak to zrobić, ponieważ nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

Moje zamyślenie trwało zbyt długo. Zaniknął oczy i zabrał rękę z mojego uda. Przepraszam, Merry.

Sięgnęłam do góry i dotknęłam jego podbródka. - Nie, to mi pochlebia, naprawdę.

Otworzył oczy, popatrzył na mnie, ale w jego spojrzeniu był ból, trudno było tego nie zauważyć. Otworzył przede mną serce, a ja dźgnęłam je nożem. Cholera, byłam właśnie w drodze na samolot i nigdy już ich wszystkich nie zobaczę. Nie mogę go tak zostawić. Nie zasługiwał na to.

- Częściowo jestem człowiekiem. Nie mogę... - Nie było delikatnego sposobu, żeby to powiedzieć. - Nie mogę narażać się na to, na co mogą się narażać istoty magiczne pełnej krwi.

- Narażać?

Nie mogłam tego owijać w bawełnę. - Jesteś dla mnie zbyt duży. Gdybyś był... mniejszy, mogłabym uprawiać z tobą seks, ale tak... Możesz być tylko moim przyjacielem.

Popatrzył na mnie, badając wzrokiem moją twarz. - Mogłabyś spać ze mną bez odrazy?

- Odrazy? Zbyt długo przebywasz między ludźmi. Jesteś trollem i wyglądasz dokładnie tak, jak powinieneś. Są inni tacy jak ty. Nie jesteś jakimś dziwolągiem.

Potrząsnął głową, - Jestem wygnańcem, Merry. Może już nigdy nie wrócę do Krainy Faerie, a tu, pomiędzy ludźmi, uchodzę za dziwoląga.

Serce mi się krajało, gdy tego słuchałam. - Nie pozwól, by to, jak cię widzą ludzie, spowodowało, że zaczniesz siebie nienawidzić.

- Jak to zrobić? - spytał.

Położyłam mu dłoń na piersi, czując potężne uderzenia jego serca. - W środku jest Uther, mój przyjaciel, i kocham cię jak przyjaciela.

- Przebywam wśród ludzi wystarczająco długo, żeby wiedzieć, co oznacza mówienie o tym, że jesteście przyjaciółmi - powiedział. Znów się ode mnie odwrócił, jego ciało stało się sztywne i niewygodne, jakby chciał mnie powstrzymać przed dotykiem go.

Uklękłam. Nie mogłam usiąść na nim okrakiem, mogłam co najwyżej uklęknąć na jego udach. Dotknęłam jego twarzy, przebiegając palcami po czole, grubych brwiach, policzkach. Przesunęłam kciukami po jego wargach, pocierając dłońmi gładkie kły. - Jesteś przystojnym trollem. Podwójny kiel jest wysoko ceniony. I te zakrzywione zakończenia trolle uważają to za przejaw męskości.

- Skąd o tym wiesz? - wyszeptał.

- Kiedy byłam nastolatką, królowa wzięła sobie na kochanka trolla o imieniu Yannick. Po spędzonej z nim nocy powiedziała, że żaden mężczyzna sidhe nie wypełnił jej tak jak ten troll. W końcu stracił

jej przychylność. Uszedł z życiem, co było rzadkością wśród tych kochanków królowej, którzy nie byli sidhe. Ludzie zwykle po czymś takim popełniają samobójstwo.

Uther patrzył na mnie. Klęcząc na jego nogach, miałam twarz prawie na wysokości jego twarzy. - Co myślałaś o Yannicku? - spytał, a jego głos był coraz cichszy, tak że musiałam się nachylić, żeby go słyszeć.

- Uważałam go za głupca. - Pochyliłam się, żeby go pocałować, ale odsunął się. Położyłam dłoń po drugiej stronie jego twarzy i przyciągnęłam go do siebie. - Ale wszystkich kochanków królowej uważałam za głupców. - Usiadłam Utherowi na podółku, otaczając go nogami w pasie, żeby było nam łatwiej się pocałować. Trochę przeszkadzały nam jego kły. Ale ból w jego spojrzeniu był wart podjęcia pewnego wysiłku.

Pocałowałam go jak przyjaciela. Pocałowałam go, ponieważ nigdy nie uważałam go za brzydkiego. Dorastałam pomiędzy istotami, przy których Uther był nie lada przystojniakiem. Dwór Unseelie uczy jednego: miłości do wszelkich form życia. Piękno jest w każdym z nas. Brzydota to słowo, którego na Dworze Unseelie się nie używa. Na Dworze Seelie ja sama uważana byłam za brzydką, nie dość wysoką, nie dość smukłą i o nieodpowiedniej barwie włosów. Będąc na Dworze Unseelie, nie miałam jednak zbyt wielu „chłopaków”. Nie dlatego, że uważano mnie za nieatrakcyjną, a dlatego, że byłam śmiertelna. Myślę, że sidhe, która była śmiertelna, przerażała ich. Traktowali to jak chorobę zakaźną. Tylko Griffin odważył się spróbować, a i dla niego w końcu nie byłam w wystarczającym stopniu sidhe.

Wiedziałam, jak to jest być wiecznym outsiderem, dziwolągiem. Wszystko to włożyłam w ten pocałunek, zamykając oczy, trzymając jego podbródek w swoich dłoniach.

Uther całował tak, jak mówił, ostrożnie, jego każdy ruch był dobrze przemyślany, jakby sylabizował. Jego ręce ugniatały dół moich pleców. Czułam jego niewiarygodną siłę, potencjał tkwiący w jego ciele i wiedziałam, że mógłby złamać mnie na pół jak lalkę. Tylko bezgraniczne zaufanie mogło cię zaprowadzić do jego łóżka i pozwolić ci przypuszczać, że wyjdiesz z tego bez szwanku. Ja ufałam Utherowi i chciałam, żeby znów uwierzył w siebie.

- Nie chciałbym przeszkadzać - powiedział Jeremy - ale przed nami kolejny wypadek. Na każdej ulicy, którą usiłujemy przejechać, jest jakiś wypadek.

Odwrociłam się. - Co powiedziałaś?

- Mieliśmy już dwa wypadki na dwóch bocznych uliczkach.

- Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności - powiedział Uther. Pocałował mnie łagodnie w policzek i pozwolił mi się wyślizgnąć z jego objęć i usiąść przy nim, tak że wciąż pozostawałam w cieniu jego energii. Ból w jego oczach zniknął, zostawiając coś bardziej solidnego, większą pewność siebie. To musiał być cenny pocałunek.

- Wiedzą, że byłam w mieszkaniu Roane'a, ale nie wiedzą, gdzie jestem teraz. Starają się odciąć wszystkie drogi ucieczki.

Jeremy kiwnął głową. - Dlaczego ich nie wyczułaś?

- Była zajęta czymś innym - powiedział Ringo.

- Nieprawda - zaprotestowałam. - Aura Uthera działa w obie strony. Nie pozwala im wykryć mnie, ale też nie pozwala mi wykryć ich.

- Jeśli się od niego odsuniesz, będziesz w stanie ich wyczuć - powiedział Jeremy.

- A oni mnie.

- Więc co mam robić? - spytał Ringo.

- Zdaje się, że stoimy w korku. Nie sędzę, żebyś w tej sytuacji mógł zbyt wiele zrobić

- powiedziałam.

- Zablokowali wszystkie ulice - stwierdził Jeremy. - Teraz zaczną przeszukiwać samochody. W końcu nas znajdą. Musimy coś wymyślić.

- Jeśli Uther mnie uniesie, sprawdzę, czy mogę oczami dojrzeć to, czego nie mogę dojrzeć w inny sposób.

- Z przyjemnością - powiedział Uther i uśmiechnął się.

Oboje uśmiechaliśmy się, gdy dałam nurka w drugi rząd siedzeń. Uther wychylił się zza siedzeń, trzymając mnie na swoim ramieniu. Ulica była zablokowana przez trzy samochody. Jeden z nich leżał do góry nogami na środku jezdni. Drugi najwidoczniej uderzył w niego, a trzeci w oba, tak że te trzy auta tworzyły razem stos poskręcane żelastwa i rozbitego szkła. Mogłam sobie wyobrazić, jak drugi i trzeci samochód uderzyły w pierwszy. Nijak nie mogłam sobie jednak wyobrazić, jakim cudem ten pierwszy samochód znalazł się na dachu na samym środku drogi. Żaden scenariusz nie przychodził mi do głowy. Scenariusz, w którym auto przewróciłoby się ot, tak na samym środku jezdni. Przewróciło się tak, że utworzyło tak dużą przeszkodę w poprzek drogi, że nie można było przejechać obok. Byłam gotowa się założyć, że ktoś przewrócił samochód i sprawił, że inne auta w niego uderzyły, tworząc zaporę z maszyn i rannych ludzi. Co mu tam ranni ludzie, skoro sam był bezpieczny i niewidoczny za osłoną. Moja rodzinka - ależ ja jej czasami nienawidziłam!

Ludzie stali na chodnikach, przed swoimi samochodami, w otwartych drzwiach. Na środku skrzyżowania stały dwa policyjne radiowozy, wstrzymując samochody, które wciąż usiłowały jakoś się z tego wszystkiego wydostać. Światła radiowozów cięły noc smugami kolorowego światła, jakby rywalizując z neonami i rozświetlonymi oknami firm i klubów po obu stronach ulicy. Słyszałam sygnał zbliżającej się karetki, prawdopodobnie dlatego policjanci wstrzymywali ruch.

Przeszukiwałam oczami tłum i nie widziałam nic niezwykłego. Wypuściłam przed siebie moc. Byłam ograniczona energią Uthera, ale niezupełnie bezbronna. Mogło mi się udać ich dostrzec, zanim mnie zobaczą.

Powietrze zadrgało przed dwoma samochodami przed nami, jak fałda gorąca, tyle że to nie było gorąco, a poza tym po zmroku nie powinno być tego efektu. Coś wielkiego poruszało się pomiędzy samochodami, coś, co nie chciało być widziane. Wyteżyłam wszystkie siły i odkryłam jeszcze trzy fałdy - cztery kształty, wszystkie większe od człowieka. Najbliższy zaledwie dwa samochody przed nami.

- Widzisz ich? - spytał Jeremy.

- Nie, tylko falowanie powietrza.

- Niewiele istot magicznych utrzymałoby osłonę, przewracając jednocześnie samochody - powiedział Jeremy.

Najwidoczniej żadne z nas nie wierzyło, że pierwszy samochód sam z siebie wylądował na dachu. - Nawet większość sidhe nie mogłaby tego zrobić, jedynie niektóre z nich.

- Więc są tu cztery istoty magiczne; a z nimi co najmniej jedna sidhe - podsumował Uther.

- Tak.

- Macie jakiś plan? - spytał Ringo.

Dobre pytanie. Niestety, nie miałam równie dobrej odpowiedzi. - Na skrzyżowaniu jest czterech policjantów. Może oni nam pomogą?

- Jeśli zdejmemy osłonę z tych istot, staną się widoczne dla policjantów, nie wiedząc o tym... - powiedział Jeremy.

- I jeśli wtedy złamią prawo... - weszłam mu w słowo.

- No właśnie.

Ringo odwrócił się do mnie. - Nie wiem zbyt dużo o magii sidhe, ale jeśli Merry nie jest sidhe pełnej

krwi, to czy ma tyle mocy, żeby zniszczyć ich osłonę?

Wszyscy spojrzeli na mnie. - Co ty na to? - spytał Jeremy.

- Nie musimy niszczyć ich osłony. Możemy ją przeciążyć - odparłam.

- Słuchamy - powiedział Jeremy.

- Pierwszy samochód został przewrócony, ale reszta po prostu się rozbiła. Przeszukują samochody, szukając mnie, ale nikogo nie dotykają. Jeśli wysiadziemy i zaczniemy z nimi walczyć, sidhe może nie być w stanie utrzymać osłony.

- Myślałem, że mieliśmy unikać otwartej walki - zauważył Ringo.

Fałda powietrza była już prawie przy nas. - Jeśli ktoś ma lepszy pomysł, ma sześćdziesiąt sekund, żeby się nim z nami podzielić. Zaraz nas przeszukają.

- Schowaj się - powiedział Uther.

- Co?

- Merry, schowaj się.

To był dobry pomysł. Wślizgnęłam się na tył samochodu, a Uther odsunął się od ściany akurat na tyle, bym zmieściła się obok niego. Nie sądziłam, żeby to poskutkowało, ale lepsze to niż nic. Walczyć możemy później, jeśli mnie odkryją. Może jednak uda się pozostać w ukryciu... Wciśnięta między chłodną metalową ścianę samochodu i ciepłe ciało Uthera, usiłowałam nie myśleć zbyt intensywnie. Niektóre sidhe mogą usłyszeć twoje myśli, jeśli jesteś zbyt poruszony. Byłam całkowicie ukryta. Nawet jeśli otworzyliby przesuwane drzwi samochodu (a chyba nie ryzykowaliby na tyle), nie zobaczyliby mnie. Ale to nie ich oczy mnie martwiły. Nie wszystkie istoty magiczne polegały na zmyśle wzroku. Nie liczyłabym nawet na sidhe, która zrobiła osłonę. Jeśli byliśmy jedynym samochodem z istotami magicznymi w środku, sidhe z pewnością baczenie się nam przyjrzy. On, lub ona, może chcieć sama sprawdzić.

Chciałam zobaczyć tę fałdę powietrza. Ale to mogłoby zniszczyć celowość ukrycia, więc siedziałam w kucki obok Uthera i usiłowałam być spokojna. Słyszałam, czułam coś ocierającego się o ścianę za mną. Coś wielkiego naciskało na karoserię. Potem usłyszałam jakby węszenie jakiegoś gigantycznego psa.

Ledwo zdążyłam pomyśleć, że mnie wyczuł, coś uderzyło w metal kilka cali ode mnie. Krzyknęłam, przedzierając się zza Uthera, zanim mój umysł mógł w pełni zarejestrować pięść, wielką jak moja głowa, przedzierającą się przez ścianę vana.

Otoczył mnie brzęk tłuczonego szkła. Łapa wielka jak pień drzewa i pierś szersza niż okno samochodu przedostały się przez okno po stronie kierowcy. Ringo uderzył w łapę, ale złapała go za koszulę i zaczęła ciągnąć przez rozbite okno.

Miałam w ręku rewolwer, ale nie chciałam ryzykować zranienia kogoś z moich towarzyszy. Jeremy ruszył wzdłuż siedzenia i zobaczyłam błysk ostrza w jego dłoni.

Gigantyczne pięści rozerwały bok vana, aż wielka, uśmiechająca się lubieżnie twarz ukazała się w dziurze. Patrzył obok Uthera, zupełnie jakby go tam nie było, żółtymi ślepiami wprost na mnie. - Książniczko - wysyczał ogr - szukaliśmy ciebie.

Uther walnął pięścią w tę wielką mordę. Krew trysnęła z nosa ogra i twarz zniknęła z dziury. Z zewnątrz dobiegały krzyki, ludzkie krzyki. Osłona padła. Ogry nagle pojawiły się przed oczami ludzi. Słyszałam czyjś głos wołający: - Policja, stój, bo strzelam!

Policja. Uff... Wetknęłam rewolwer z powrotem za pasek spodni. Nie chciałam tłumaczyć się z posiadania go.

Odwróciłam się do przedniego siedzenia. Ringo wciąż siedział za kierownicą. Jeremy pochylał się nad nim, a na jego rękach była krew. Przedarłam się do nich. Chciałam zapytać, czy Ringo jest ranny,

ale gdy popatrzyłam na jego pierś, nie miałam już wątpliwości. Przód jego koszuli był nasiąknięty krwią, kawałek szkła szerokości mojej ręki wystawał z piersi.

- Ringo - powiedziałam łagodnie.

- Przepraszam - powiedział. - Nie mogę ci już pomóc. - Zakaszłał.

Dotknęłam jego twarzy. - Nic nie mów.

Słyszałam, jak policjanci mówią do ogrów: - Ręce na głowy! Na kolana! Nie próbujcie się, kurwa, ruszać! - Potem usłyszałam jeszcze jeden męski głos, spokojny, z ledwie wyczuwalnym akcentem.

Znałam ten głos.

Przedarłam się do przesuwanych drzwi, podczas gdy Jeremy pytał: - Kto to?

- Sholto - odparłam.

Jego twarz pozostała zmieszana. To imię nic dla niego nie znaczyło.

- Sholto, Pan Tego, Co Pomiędzy, Księżę Ciemności, Król Sluaghów.

Ten ostatni tytuł sprawił, że otworzył szeroko oczy i nagły cień lęku przebiegł po jego twarzy. - O mój Boże - wyszeptał.

- Ręka Ciemności jest tutaj? - spytał Uther.

Popatrzyłam na niego. - Lepiej nie wypowiadaj tego imienia w jego obecności. Słyszałam wyraźnie przez rozbite okno jego głos. Czułam się tak, jakby wszystko odbywało się na zwolnionych obrotach.

Drzwi nie chciały się otworzyć albo stałam się niezdarna ze strachu.

- Bardzo panom dziękuję - powiedział Sholto do policjantów.

- Poczekamy na transport dla ogrów.

Drzwi przesunęły się i mogłam już zobaczyć wszystko. Trzy ogry klęczały na chodniku, z rękami na głowach. Dwóch policjantów stało przy nich z wyciągniętymi pistoletami. Jeden na chodniku przed ogrami, drugi oddzielony przez parkujące samochody. Wysoka postać, chociaż jedynie ludzkiego wzrostu, stała przy samochodzie i drugim z policjantów. Postać była ubrana w szary skórzany płaszcz, a długie, białe włosy spadały jej na plecy. Ostatnim razem, gdy widziałam Sholta, miał na sobie szarą pelerynę, ale - gdy odwrócił się, jakby wyczuwając moją obecność - efekt był równie zaskakujący jak wtedy. Nawet z odległości kilku jardów w ciemności mogłam dostrzec w jego oczach trzy różne odcienie złota: metaliczny wokół źrenicy, potem bursztynowy, w końcu - barwy żółtych jesiennych liści. Bałam się Sholta, zawsze się go bałam, ale kiedy ujrzałam te oczy, uświadomiłam sobie, jak bardzo tęskniłam za domem, tylko dlatego, że przez chwilę widziałam inną osobę z potrójną tęczę. Potem spojrzenie w te znajome oczy zmroziło mnie i chwila, gdy odczuwałam z nim jakiś związek, minęła.

Odwrócił się z uśmiechem do policjanta. - Muszę się zająć księżniczką. - Zaczął iść w stronę vana, a oni nie zatrzymywali go. Zrozumiałam dlaczego, gdy podszedł bliżej. Na szyi miał zawieszoną godło królowej, odznakę, którą nosiły jej Straże. Wyglądała zaskakująco podobnie do odznak policyjnych i było powszechnie wiadomo, że używanie jej bezprawnie jest równoznaczne z klątwą. Klątwą, której nawet sidhe nie będą ryzykować. Nie miałam pojęcia, co im powiedział, mogłam się tylko domyślać. Zapewne, że został wysłany, żeby odeprzeć atak na mnie, żeby dowieźć mnie bezpiecznie do domu. Wszystko to brzmiało bardzo sensownie.

Sholto szedł ku mnie na swych długich nogach, pełnymi godności krokami. Był przystojny, nie tak zapierające dech w piersiach piękny jak niektóre sidhe, ale jednak piękny. Wiedziałam, że ludzie wodzili za nim wzrokiem, po prostu nie mogli się od tego powstrzymać. Szary płaszcz powiewał z tym i to było jedyne wybrzuszenie na jego tułowiu. Sholto miał włosy, oczy, twarz, ramiona, ale od piersi do pasa i poniżej z jego ciała wystawały macki. Jego matka była sidhe, ojciec - nie.

Ktoś dotknął mojego ramienia. Krzyknęłam przestraszona. To był Jeremy. - Zamknij drzwi, Uther.

Uther zasunął drzwi, tuż przed nosem Sholto. Przytrzymał je tak, że nie można ich było otworzyć z zewnątrz bez znacznego wysiłku. - Uciekaj - powiedział.

- Uciekaj - powtórzył Jeremy.

Zrozumiałam. W czasie pokoju slughowie ścigali tylko jedną zdobycz naraz i to ja nią byłam. Sholto nie robi im krzywdy, jeśli mnie tu nie będzie. Wyślizgnęłam się przez dziurę poszarpanej blachy, którą ogr zrobił po drugiej stronie samochodu, starając się wydostać bez skaleczenia. Słyszałam Sholta pukającego - cóż za uprzejmość - w drzwi vana. Księżniczko Meredith. Przybyłem, żeby zabrać cię do domu.

Zeskoczyłam na ziemię i skryłam się za parkującymi samochodami, po czym wmieszałam się w stojący na chodniku tłum ciekawskich. Narzuciłam na siebie jeszcze jedną osłonę. Brązowe włosy, skóra ciemniejsza, bardziej opalona. Przedzierałam się przez tłum, zmieniając swój wygląd co jakiś czas, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Do czasu gdy przeszłam na drugą stronę i zaczęłam iść w dół bocznej uliczki, jedyną rzeczą, jaka pozostała taka sama, było ubranie. Zsunęłam żakiet i przewiesiłam go przez ramię, po czym wzięłam do ręki rewolwer. Sholto widział kasztanowowłosą kobietę z jasną skórą w granatowym żakiecie. Teraz byłam brązowowłosą opaloną kobietą w zielonej bluzce. Szłam spokojnie w dół ulicy, chociaż plecy swędziały mnie okropnie, zupełnie jakby ktoś wzrokiem wiercił mi w nich dziurę.

Chciałam się odwrócić i popatrzeć za siebie, ale pokonałam to pragnienie. Doszłam do rogu i nikt nie krzyknął za mną: „To ona!” Dopiero wtedy na chwilę się zatrzymałam. Dobra Bogini, jak ja chciałam obejrzeć się za siebie. Jeszcze raz się przemogłam i weszłam za róg budynku. Kiedy bezpiecznie zesłam już z pola widzenia, odetchnęłam z ulgą. Nie byłam jeszcze bezpieczna, nie wtedy, gdy jest tu Sholto, ale był to jakiś początek.

Z góry dobiegł jakiś hałas. Wysoki, cienki dźwięk, tak wysoki, że prawie niesłyszalny, ale przebijał się przez normalne dźwięki miasta jak strzała przez serce. Spojrzałam w nocne niebo, ale było puste, z wyjątkiem odległej smugi samolotu błyszczącej w ciemności. Dźwięk rozległ się znowu, prawie boleśnie wysoki, jak piski nietoperzy. Ale niczego tam nie było.

Zacząłam się cofać, wolno, cały czas obserwując niebo, kiedy kątem oka dostrzegłam ruch. Podążyłam wzrokiem za tym migotaniem na sam szczyt najbliższego budynku. Rząd czarnych kształtów zbity w beładną masę na krawędzi dachu. Był jak szereg atramentowo czarnych kapturów wysokości niewysokiego człowieka. Jeden z „kapturów” poruszył się jak ptak otrząsający pióra. Podniósł głowę, by błysnąć twarzą, bladą, płaską twarzą. Szpara ust otworzyła się i rozległ się znów ów wysoki dźwięk.

Mogły lecieć szybciej niż ja biec. Wiedziałam o tym, ale odwróciłam się i ruszyłam przed siebie. Słyszałam, jak rozkładają skrzydła z ostrym dźwiękiem jak czyste prześcieradła powiewające na wietrze. Pobiegłam. Goniły mnie ich wysokie krzyki. Przyspieszyłam.

Rozdział 10

Pędziły jak wiatr za moimi plecami, ich szum przechodził w łopot wiatru jak nadciągająca burza. To właśnie słyszą ludzie: wiatr, burzę albo szum skrzydeł. O ile potrafią cokolwiek usłyszeć. Ulica była pusta. O ósmej w sobotni wieczór w pierwszorzędnej dzielnicy handlowej nie było nikogo. Sprawiało to wrażenie zaaranżowanego - i pewnie było. Jeśli udałoby mi się wybiec poza obszar zakłęcia, spotkałabym ludzi. Wiatr uderzył mnie w plecy, runęłam na chodnik i zaczęłam się turlać. Widziałam je co jakiś czas za sobą, migające jak latające ryby, ruszające się szybko za przywódcą, kiedy ten zmieniał kierunek.

Dotoczyłam się do najbliższych drzwi znajdujących się przy oszklonej wystawie z markizą. Nocni myśliwcy mogli nadlecieć tylko z góry. Nie mogli zejść na ziemię i dalej mnie gonić. Odczekałam

kilka chwil, słuchając uderzeń krwi w uszach, zanim uświadomiłam sobie, że nie byłam sama.

Usiadłam, opierając się o okno wystawy z książkami, próbując wymyślić jakieś wytłumaczenie, skąd się tu wzięłam. Mężczyzna stał odwrócony do mnie plecami. Był niewysoki, mniej więcej mojego wzrostu, miał na sobie krzykliwą hawajską koszulę i kapelusz słomkowy naciągnięty na oczy. Nieczęsto się takie widuje w nocy.

Stanęłam, podpierając się o okno. Dlaczego nosił kapelusz przeciwsłoneczny w nocy?
- Trochę wieje - powiedział.

Zatoczyłam się pod oknem, łapiąc się sklepowej markizy. W rękę wciąż trzymałam rewolwer. Żakiet łopotał za mną jak peleryna matadora, ale wciąż trzymałam rewolwer.

Mężczyzna odwrócił się i światło ze sklepu oświetliło jego twarz. Miał czarną skórę, oczy jak ciemne, błyszczące klejnoty. Uśmiechnął się szeroko, błyskając ostrymi zębami. Nasz pan chce z tobą mówić, księżniczko.

Poczułam za sobą hałas i odwróciłam głowę, żeby zobaczyć, co to. Bałam się odwrócić plecami do uśmiechającego się mężczyzny. Z następnego sklepu wynurzyły się trzy postacie. Było ciemno, żadnych świateł. Postacie były wyższe ode mnie, w pelerynach i kapturach.

- Czekaliśmy na ciebie, corr - powiedziała jedna z nich kobiecym głosem.

- Corr? - zapytałam.

- Dziwko - wyjaśnił drugi kobiecy głos.

- Zazdrościsz? - spytałam.

Ruszyły w moją stronę, a ja opuściłam żakiet na ziemię i wycelowałam w nie z rewolweru, trzymając go w obu rękach. Albo nie wiedziały, co to, albo miały to gdzieś. Strzeliłam w jedną z nich. Runęła na ziemię. Dwie pozostałe odskoczyły, pokazując długie pazury, jakby dla ochrony przed ciosem.

Oparłam się plecami o okno, patrząc na uśmiechniętego mężczyznę za sobą, ale stał w drzwiach, ściskając swymi małymi dłońmi górę kapelusza, tak jak robił to przedtem. Trzymałam więc rewolwer dalej skierowany na kobiety, jeśli w ogóle można je tak nazwać. Były one bowiem wiedźmami. Nie w znaczeniu przenośnym. One były naprawdę... nocnymi wiedźmami.

Ta, do której strzeliłam, usiłowała usiąść, podpierając się na ramieniu drugiej.

- Strzeliłaś do niej!

- Jak to miło, że zauważyłaś - powiedziałam.

Kaptur rannej opadł, odsłaniając ogromny zakrzywiony nos, małe błyszczące oczka i

skórę barwy pożółkłego śniegu. Jej włosy były suchą bezładną wiązką, jak czarna słoma, sięgającą ledwie do ramion. Syknęła, gdy druga wiedźma rozpięła pelerynę na tyle, by można było zobaczyć ranę. Pomiędzy jej zapadłymi piersiami dostrzegłam krwawą dziurę. Była naga, jeśli nie liczyć ciężkiej złotej obroży na szyi i wysadzanego kamieniami pasa na jej chudych biodrach. Przy pasie na złotym łańcuszku wisiał sztylet.

Wiła się, nie będąc w stanie złapać wystarczająco dużo powietrza, żeby mnie przekląć. Przebiłam jej serce, a może płuco. Nie zabiłam jej, ale poważnie zraniłam.

Druga wiedźma odsłoniła twarz w świetle. Jej skóra była barwy brudnej szarości, wielkie dzioby pokrywały jej twarz, znacząc ostry nos jak krater. Jej wargi wydawały się za cienkie, by skrywać ostre zęby mięsożercy. - Ciekawe, czy wciąż będzie cię chciał, gdy nie będziesz już taka śliczniutka.

Ostatnia wiedźma wciąż skrywała twarz pod kapturem. Jej sposób wysławiania był inny, bardziej kulturalny. - Możemy cię uczynić jedną z nas, naszą siostrą.

Popatrzyłam na tę szarą. - Jeśli tylko któraś zacznie zakłęcie, strzelę jej prosto w twarz.

- Nie możesz mnie zabić - powiedziała szara.

- Nie, ale mogę poprawić ci wygląd.

Syknęła na mnie jak jakiś wielki kot. - Suka.

- I kto to mówi - odparłam.

Trzecia z nich stała spokojnie, co mnie martwiło. Nie okazywała strachu ani gniewu. Zaproponowała użycie magii przeciwko mnie, będąc wciąż częściowo ukryta przez noc. Sprytniejsza, ostrożniejsza, niebezpieczniejsza.

Celowo nie używałam osłony. Stałam przed oświetloną księgarnią z rewolwerem w dłoni, wyraźnie w kogoś celując. Wystrzał mógł skłonić kogoś do otwarcia drzwi albo do zadzwonienia na policję. Wysłałam przed siebie moc i znalazłam grubą osłonę. Byłam dobra, jeśli chodzi o osłony, ale nie takie. Sholto otoczył nią całą ulicę, niczym niewidzialnym murem. Ludzie w sklepach mogli chcieć zostać w środku. Nikt nic nie słyszał ani nie widział. Mogli uznać wystrzał za jakiś inny zwyczajny hałas. Jeśli zaczęłabym wzywać pomocy, mogliby uznać to za wiatr. Nawet gdybym wrzuciła któreś z nich przez okno do sklepu, nikt by tego nie zauważył.

Powinłam była to zrobić, ale nie ufałam im na tyle, by pozwolić im się zbliżyć. Ręce, które ścisnęły ranę, miały czarne paznokcie, jak szpony jakiegoś olbrzymiego ptaszyska. Sycząc, odsłaniały zęby przeznaczone do rozszarpywania ciał. Nie wygrałabym z nimi w bezpośredniej walce. Musiałam je trzymać na dystans, a było to możliwe dzięki rewolwerowi. Sholto był jednak coraz bliżej. Musiałam zniknąć, zanim się pojawi. Kiedy tu przybędzie, będę zgubiona. Jeśli się zastanowić, to nie byłam w najlepszej sytuacji. Nie mogły zrobić mi krzywdy, ale byłam w pułapce. Gdybym się ruszyła spod markizy, obiegliby mnie nocni myśliwcy, a wtedy wiedźmy i uśmiechnięty mężczyzna mieliby do mnie łatwy dostęp. Zanim zjawiłby się Sholto, byłabym już rozbrojona albo i co gorszego.

Nie dysponowałam ofensywną magią. Wystrzał z rewolweru nie mógł ich zabić, co najwyżej zranić i spowolnić. Musiałam mieć jakiś lepszy pomysł, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Spróbowałam rozmowy. Kiedy nie masz wyjścia, mów. Nigdy nie wiesz, na czym wróg może się poślizgnąć.

- Szara Nerys, Złota Segna i Czarna Agnes, jak przypuszczam.

- A ty kto? Stanley? - zakpiła Nerys.

Musiałam się uśmiechnąć. - A mówią, że nie macie poczucia humoru.

- Kto tak mówi? - spytała.

- Sidhe - odparłam.

- Ty jesteś sidhe - powiedziała Czarna Agnes.

- Czy gdybym naprawdę była sidhe, tkwiłabym tutaj, ukrywając się przed swoją królową?

- To, że zadarłaś ze swoją ciotką, niezbyt dobrze świadczy o twojej inteligencji, ale to jeszcze nie znaczy, że nie jesteś sidhe. - Agnes stała tak prosta i wysoka, jak czarny wieszak na ubrania.

- To akurat nie, ale krew skrzatów po stronie mojej matki - tak. Myślę, że królowa mogłaby przejść do porządku dziennego nad ludzką krwią, ale nie nad inną.

- Jesteś śmiertelna - powiedziała Segna. - To dla sidhe niewybaczalny grzech.

Ręce zaczęły mi drętwieć. Zaraz zaczną mi się trząść. Musiałam albo strzelić, albo opuścić rewolwer. Nawet trzymając go w obu rękach, kiedyś musiałam się zmęczyć.

- Są jeszcze inne grzechy, które dla mojej ciotki są niewybaczalne - powiedziałam.

- Jak na przykład macki wystające z doskonałego ciała sidhe - rozległ się męski głos.

Zwróciłam rewolwer w stronę, z której dochodził głos, nie spuszczając oczu z trzech wiedźm. Nigdy w życiu nie zdążyłabym strzelić do nich wszystkich. Ale przynajmniej ruch i świeży dopływ adrenaliny pomogły odegnąć zmęczenie mięśni. Nagle zaczęłam wierzyć, że mogę stać tu z wycelowaną w nich bronią choćby wiecznie.

Na chodniku stał Sholto, z opuszczonymi rękami. Zapewne usiłował wyglądać nieszkodliwie. Nie

udało mu się. - Królowa powiedziała mi kiedyś, że to wstyd mieć macki wystające z jednego z najdoskonalszych ciał, jakie kiedykolwiek widziała.

- Moja ciotka to suka. Wszyscy o tym wiemy. Czego chcesz, Sholto?

- Nie zapominaj o jego tytule - upomniała mnie Agnes. Jej kulturalny głos podniósł się na skraj gniewu.

Uprzejmość nie boli, więc zrobiłam, co kazała. - Czego chcesz, Sholto, Panie Tego, Co Pomiędzy?

- Królu Sholto - parsknęła gniewnie Segna.

- On nie jest moim królem - odparłam.

- To się jeszcze może zmienić - zagroziła mi Agnes.

- Wystarczy - powiedział Sholto. - Królowa chce twojej śmierci, Meredith.

- Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, lordzie Sholto. Użyj mojego tytułu. - Obrażał mnie tym, że pominął mój tytuł, po tym, jak ja użyłam jego. Ja również go obraziłam, upierając się przy tym, żeby on, było nie było król, używał mojego tytułu. Ale Sholto jest sam sobie winien, że próbuje odgrywać jednocześnie lorda sidhe i króla sluaghów.

Po jego twarzy przemknął cień gniewu - chociaż nie znałam go na tyle, by mieć pewność. - Królowa chce twojej śmierci, księżniczko Meredith, córko Essusa.

- I przysłała cię, żebyś sprowadził mnie na egzekucję, czego nietrudno się domyślić.

- Trudno być w większym błędzie - powiedziała Agnes.

- Cisza! - rozkazał Sholto. Wiedźmy skurczyły się. Co prawda nie ukłoniły się, ale jakby o tym pomyślały.

Uśmiechnięty mężczyzna po mojej prawej stronie podszedł bliżej. Nie przestając celować w Sholta, powiedziałam: - Dwa kroki do tyłu albo zastrzelę twojego króla.

Nie wiem, czy mężczyzna by mnie posłuchał. Sholto nie dał mi okazji, bym mogła się o tym przekonać, mówiąc: - Gethin, rób, co ci każe.

Gethin nie protestował, tylko cofnął się. Kątem oka zauważyłam, że założył ręce na piersi. Tak długo, jak stał poza bezpośrednim zasięgiem, nie przeszkadzało mi to. Wszyscy byli zbyt blisko. Jeśli ruszyliby na mnie jednocześnie, nie miałabym szans, Sholto jednak nie chciał mnie pojmać. Chciał porozmawiać. Na całe szczęście dla mnie.

- Nie chcę twojej śmierci, księżniczko Meredith - powiedział.

Nie mogłam wyzbyć się podejrzeń. - Staniesz przeciwko królowej i wszystkim sidhe, żeby mnie ocalić?

- Wiele się wydarzyło przez ostatnie trzy lata, księżniczko. Królowa coraz bardziej polega na sluaghach. Nie sądzę, żeby rozpoczęła wojnę, gdy jesteś poza zasięgiem jej wzroku.

Jestem poza zasięgiem jej wzroku tak daleko, jak mogę, będąc na suchym lądzie.

- Tak, ale niektórzy dworzanie nie pozwalają jej o tobie zapomnieć.

- Kto? - spytałam.

Uśmiechnął się, co uczyniło jego przystojną twarz prawie sympatyczną. - Mamy wiele spraw do omówienia, księżniczko. Wynająłem pokój w jednym z lepszych miejscowych hoteli. Czy możemy się tam udać i pomówić o przyszłości?

Ton, jakim zostało to wypowiedziane, zaniepokoił mnie, była to jednak najlepsza oferta, jaką dostałam tego wieczoru. Opuściłam rewolwer. - Przysięgasz na swój honor i ciemność, która kryje wszystko, że nie jest to żaden podstęp?

- Przysięgam na swój honor i ciemność, która kryje wszystko, że to, co powiedziałem do ciebie na tej ulicy, jest prawdą.

Zabezpieczyłam rewolwer i wetknęłam go za pasek od spodni z tyłu. Podniosłam żakiet z ziemi,

strząsnęłam go i włożyłam. Był trochę pognieciony, ale nie przejęłam się tym.

- Jak daleko stąd jest ten hotel?

Uśmiech tym razem był szerszy, co czyniło go mniej doskonałym, ale za to bardziej... ludzkim. Bardziej prawdziwym. - Powinieneś częściej się uśmiechać, lordzie Sholto. Do twarzy ci z tym.

- Mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości będę miał powody, by się częściej uśmiechać. - Zaoferował mi ramię, chociaż był kilka jardów ode mnie. Podeszłam do niego, ponieważ złożył najbardziej uroczystą przysięgę Unseelie. Gdyby ją złamał, zostałby przeklęty.

Wziął mnie pod rękę. Dżentelmen pozostaje dżentelmenem, niezależnie od okoliczności i tego, jakiego rodzaju jest istotą.

- W którym hotelu się zatrzymałeś? - Uśmiechnęłam się do niego. Uprzejmość nie boli. Zawsze mogłam stać się nieuprzejma później, jeśli będzie trzeba.

Powiedział mi. To był bardzo dobry hotel.

- To kawałek drogi stąd - zauważyłam.

- Jeśli chcesz, możemy wziąć taksówkę.

Uniosłam brwi, ponieważ w samochodzie nie mógł użyć zbyt silnej magii. Zbyt wiele metalu w jednym miejscu. Co innego ja - mogłabym robić poważne zaklęcia w środku metalowej rury, jeśli bym musiała. Moja ludzka krew czasami się przydawała. - Nie będzie ci niewygodnie? - spytałam.

- To nie jest aż tak daleko, żebym nie mógł się poświęcić. Znow poczułam się nieswojo. - Złapmy więc taksówkę.

- A co mamy zrobić z Nerys? - zawołała za nami Agnes.

Sholto odwrócił się do nich i jego twarz znow zrobiła się zimna, nieprzystępna. Wracajcie do swoich pokoi. Gdyby Nerys nie próbowała zaatakować księżniczki, nie byłaby ranna.

- Służyłyśmy ci przez więcej wieków, niż ten kawałek białego mięsa widział na oczy i oto, jak się nam odpłacasz - powiedziała Agnes.

- Otrzymałyście taką zapłatę, na jaką zasłużyłyście, Agnes. Pamiętajcie o tym. Odwrócił się i uśmiechnął do mnie, ale jego potrójnie złote oczy wciąż były zimne.

Obok niego pojawił się Gethin, miętosząc kapelusz w dłoniach. Ukłon przygiął go do chodnika. Miał niewiarygodnie długie, prawie ośle uszy. - A co ja mam robić, Panie?

- Pomóż im zanieść Nerys do pokoju.

- Z przyjemnością. - Gethin odstłonił zęby w uśmiechu i wyprostował się, a jego uszy przyklatły, niczym u psa albo królika. Odwrócił się i prawie podbiegł do wiedźm.

- Czuję się, jakbym coś przegapiła - powiedziałam. Sholto wziął mnie za rękę, jego szczupłe palce prześlizgnęły się po moich. - Wyjaśnię ci wszystko w hotelu. - W taki sam sposób patrzyło na mnie już wielu mężczyzn, ale to nie mogło oznaczać tego samego. Sholto był członkiem Straży Królowej, co oznaczało, że nie mógł sypiać z żadną inną sidhe, tylko z nią. Nie dzieliła się swoimi mężczyznami, z nikim. Karą za złamanie tego zakazu była śmierć przez tortury. Nawet jeśli Sholto chciał podjąć to ryzyko, ja nie zamierzałam. Moja ciotka mogła mnie zabić, ale zrobiłaby to szybko. Jeśli złamałabym jej najbardziej surowy zakaz, zabijałaby mnie nieskończenie wolno. Byłam już torturowana. Trudno tego uniknąć, jeśli się mieszkało na Dworze Unseelie. Ale nigdy nie byłam torturowana przez samą królową. Widziałam jednak jej dzieła. Była prawdziwą artystką, wierzcie mi.

Rok temu przyrzekłam sobie, że nigdy nie dam jej sposobności okazania swego arcyzmu na mnie. - Cięży już na mnie wyrok śmierci, Sholto. Nie chcę ryzykować jeszcze tortur.

- Jeśli zapewnię ci spokój i bezpieczeństwo, co możesz ryzykować?

- Spokój i bezpieczeństwo? Jak?

Uśmiechnął się, podniósł rękę i zawołał: - Taxi! - Na pustej ulicy pojawiły się jak spod ziemi trzy taksówki. Sholto po prostu, jak gdyby nigdy nic, wezwał taksówkę. Nie miał pojęcia, jak imponującym osiągnięciem w Los Angeles było przywołanie od razu na pustej ulicy trzech taksówek. Mógł przywracać do życia umarłych, którzy jeszcze nie wystygli, i to też było imponujące. Ale ja od trzech lat mieszkałam w mieście i wezwanie taksówki w dowolnej chwili robiło na mnie większe wrażenie niż żywe trupy. Poza tym widziałam już kiedyś żywe trupy. Taksówka przyjeżdżająca na zawołanie była dla mnie zupełnie nowym przeżyciem.

Rozdział 11

Godzinę później Sholto i ja siedzieliśmy na dwóch ładnych, acz mało wygodnych krzesłach przy małym białym stoliku. Pokój był elegancki, choć jak na mój gust było w nim za dużo różu i złota. Na stole czekały na nas butelka wina i tacka z przekąskami. Wino okazało się bardzo słodkie deserowe. Pasowało do sera na tacce, ale kłóciło się z kawiozem. Inna sprawa, że nie znalazłam jeszcze czegoś, co uczyniłoby dla mnie kawior smacznym. Nieważne, jak drogi był, zawsze smakował jak rybnie jajeczka.

Sholtowi wino i kawior zdawały się smakować. - Właściwszy byłby szampan, ale nigdy za nim nie przepadałem - powiedział.

- Czyżbyśmy coś świętowali? - spytałam.

- Przymierze, mam nadzieję.

Napiłam się wina i popatrzyłam na niego. - Jakie przymierze?

- Pomiędzy nami.

- To sama wywnioskowałam. Pytanie brzmi: dlaczego chcesz zawrzeć ze mną przymierze?

- Jesteś trzecia w kolejności do tronu. - Jego twarz stała się nieprzenikniona, jakby nie chciał, żebym odgadła, o czym myśli.

- I co z tego? - spytałam.

Wbił we mnie spojrzenie swoich potrójnie złotych oczu. - Chcesz wiedzieć, dlaczego sidhe zamierza się sprzymierzyć z kobietą, która jest tak blisko tronu?

- W normalnych okolicznościach byłoby to jasne, ale oboje wiemy, że jedynie dlatego jestem wciąż trzecia w kolejności, że mój ojciec na łożu śmierci wymusił na królowej przysięgę. Gdyby nie to, wykluczyłaby mnie ze względu na moją śmiertelność. Nie mam żadnej pozycji na dworze, Sholto. Jestem pierwszą księżniczką, która nie włada magią.

Postawił ostrożnie kieliszek na stole. - Jeśli chodzi o osobistą i osłonę, prawie nie masz sobie równych - powiedział.

- To prawda, ale to najlepsze, co mam. Na litość Bogini, wciąż zwań mnie NicEssus, córką Essusa. Tytuł, który powinnam stracić w dzieciństwie, gdy zyskałam moc. Tyle że ja nigdy jej nie zyskałam, Sholto. Już samo to wykluczyłoby mnie z drogi do tronu.

- Gdyby nie przysięga, którą królowa złożyła twojemu ojcu - powiedział Sholto.

- Tak.

- Wiem doskonale, jak bardzo królowa cię nie cierpi, Meredith. Z tych samych powodów, z jakich nie cierpi mnie.

Postawiłam kieliszek, zmęczona udawaniem, że wino mi smakuje. - Masz magię wystarczającą do dworskiego tytułu. Nie jesteś śmiertelny.

Spojrzał na mnie i było to długie, twarde, prawie ostre spojrzenie. - Nie udawaj, wiesz doskonale, czemu królowa nie może znieść mojego widoku.

Wytrzymałam to spojrzenie, ale czułam się... niezręcznie. Pewnie, że wiedziałam, cały dwór

wiedział.

- Powiedz to, Meredith, powiedz to na głos.

- Królowa nie lubi cię z powodu twojej mieszanej krwi. Skinął głową. - Tak. Wyglądał, jakby mu ulżyło. Ostrość jego spojrzenia zelżała, przynajmniej to było prawdziwe. Z tego, co wiedziałam, wszystko inne było kłamstwem. Chciałam wiedzieć, co kryje się za tą przystojną twarzą.

- Ale to nie dlatego, Sholto. Obecnie na dworze jest więcej mieszaińców niż sidhe czystej krwi.

- Niech będzie - westchnął. - Chodzi o krew mojego ojca.

- To nie dlatego, że twój ojciec jest nocnym myśliwcem, Sholto.

Zmarszczył brwi. - Co masz na myśli?

- Jeśli nie liczyć dziwnych spiczastych uszu, dopóki się nie pojawiłeś, geny sidhe zawsze wygrywały bez względu na to, z kim się mieszała sidhe.

- Geny - powtórzył. - Zapomniałem, że jesteś pierwszą absolwentką college'u wśród nas.

Uśmiechnęłam się. - Ojciec miał nadzieję, że zostanę lekarzem.

- Nie możesz leczyć dotykiem, jakiego więc rodzaju leczenie mogłoby to być? - Zrobił duży łyk wina, jakby wciąż był zdenerwowany.

- Muszę ci kiedyś pokazać nowoczesny szpital - powiedziałam:

- Cokolwiek zechcesz mi pokazać, zawsze będzie to dla mnie niezwykła przyjemność.

- Cokolwiek z prawdziwych emocji się za tym kryło, zniknęło w fali dwuznaczności.

Zignorowałam to podwójne znaczenie i wróciłam do badania. Widziałam prawdziwe emocje, chciałam ujrzeć ich więcej. Jeśli miałam ryzykować życie, musiałam zobaczyć Sholta bez masek, które dwór nauczył nas nosić. - Aż do twojego przyjścia na świat wszystkie sidhe wyglądały jak sidhe, nieważne z kim się łączyły. Myślę, że królowa widzi w tobie dowód, że krew sidhe słabnie, podobnie jak dowodzi tego moja śmiertelność.

Zacisnął gniewnie usta. - Na Dworze Unseelie głosi się, że wszystkie istoty magiczne są piękne, ale niektórzy z nas są piękni tylko przez jedną noc. Jesteśmy urozmaiceniem, niczym więcej.

Patrzyłam, jak gniew w nim potężnieje. Napiął mięśnie. - Moja matka - to ostatnie słowo wypowiedział, jakby była to obelga - myślała, że nie zapłaci żadnej ceny za tę jedną noc, którą spędziła z moim ojcem. Ja byłem tą ceną. - Gniew wzmógł światło w jego oczach, tak że wielobarwne kręgi zaświeciły jak żółty płomień i roztopione złoto.

Przedarłam się przez tę powierzchnię i rozumiałam, co się pod nią kryło. - To raczej ty za to zapłaciłeś, nie twoja matka. Ledwo wydała cię na świat, powróciła na dwór, do swojego dotychczasowego życia.

Popatrzył na mnie, gniew wciąż malował się na jego twarzy.

Przemówiłam ostrożnie do owego gniewu, ponieważ nie chciałam, by skierował go na mnie. W sumie jednak ten gniew mi się podobał. Był czymś prawdziwym, a nie czymś na chłodno wykalkulowanym. Nie mógł planować, że wpadnie w taki nastrój. Podobało mi się to, naprawdę mi się to podobało. Jedną z rzeczy, za które kochałam Roane'a, było to, że zawsze uzewnętrzniał swoje emocje. Nigdy nie udawał. Z drugiej jednak strony, to dlatego wrócił do oceanu w swej nowej skórze i nawet się nie pożegnał. Nikt nie jest doskonały.

- I zostawiła mnie z ojcem - powiedział Sholto. Popatrzył w dół na stolik, po czym wolno podniósł wzrok i spojrzał na mnie. - Czy wiesz, ile miałem lat, gdy pierwszy raz zobaczyłem sidhe?

Potrząsnęłam głową.

- Pięć. Miałem pięć lat, gdy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem kogoś z taką skórą i oczami jak moje. - Zamilkł i zapatrzył się w dal, zamyślony.

- Opowiedz mi o tym - poprosiłam szeptem.

Jego głos był cichy, jakby mówił do siebie. - Agnes zabrała mnie do lasu, żebyśmy pobawili się w ciemną, bezksiężycową noc.

Chciałam zapytać, czy Agnes i wiedźma Czarna Agnes, którą dzisiaj spotkałam, to ta sama osoba, ale pozwoliłam mu mówić dalej. Na pytania przyjdzie jeszcze czas. Zaskakująco łatwo się przede mną otworzył. Gdy ktoś się tak łatwo otwiera, oznacza to zwykle, że bardzo tego potrzebuje.

- Zobaczyłem coś błyszczącego pomiędzy drzewami, jakby księżyc zszedł na ziemię. Spytałem Agnes, co to. Nie odpowiedziała, tylko wzięła mnie za rękę i poprowadziła bliżej do tej jasności. W pierwszej chwili myślałem, że to ludzie, chociaż ludzie nie świecą, jakby mieli ogień pod skórą. Potem kobieta zwróciła do nas twarz i jej oczy... - Zawiesił głos i była w nim taka mieszanka zdziwienia i bólu, że o mało mu nie przerwałam. Chciałam jednak wiedzieć, jeśli on zamierzał mi powiedzieć.

- Jej oczy... - zachęciłam go.

- Jej oczy zarzyły się, płonęły, na niebiesko, ciemnoniebiesko, a w końcu zielono. Miałem pięć lat, więc nie zwróciłem uwagi ani na to, że była naga, ani na ciało mężczyzny leżącego na niej, ale na cudowność białej skóry i wibrujące oczy. Były takie same jak moje, skóra też. - Patrzył obok mnie, jakby mnie w ogóle nie było. - Agnes zabrała mnie stamtąd, zanim nas zobaczyli. Miałem dziesiątki pytań. Powiedziała mi, żebym zadał je ojcu.

Zamrugnął i wziął głęboki oddech, jakby wrócił z bardzo daleka.

- Ojciec opowiedział mi o sidhe i o tym, że jestem jednym z nich. Zasiał we mnie przekonanie, że jestem sidhe. Wyjaśnił, że nie mogę być tym, kim on. - Sholto parsknął śmiechem. - Rozpłakałem się, gdy zrozumiałem, że nigdy nie będę miał skrzydeł.

Popatrzył na mnie, zmarszczywszy brwi. - Nigdy nie opowiadałem o tym nikomu na dworze. Czy to twoja magia sprawiła, że tak się przed tobą otworzyłem? - Gdyby naprawdę wierzył, że to zaklęcie, byłby bardziej zdenerwowany albo nawet przestraszony.

- Kto jeszcze, oprócz mnie, mógłby cię zrozumieć? - spytałam.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, potem wolno skinął głową. - To prawda. Chociaż twoje ciało nie jest tak oszpecone jak moje, ty również tam nie przynależysz. Nie pozwolili ci na to.

- Myślę, że to ostatnie zdanie w równej mierze dotyczyło nas obojga.

Jego ręce leżały na stole tak mocno zaciśnięte, że pobielaly. Dotknęłam ich, a on drgnął, jakby bał się, że mogę mu zrobić krzywdę. Odruchowo cofnął ręce, ale zatrzymał się w pół ruchu. Widziałam, ile wysiłku go kosztowało położenie ich z powrotem na miejsce. Zachowywał się jak ktoś, kto spodziewa się zranienia.

Przykryłam jego duże dłonie swoją ręką, na tyle, na ile mogłam. Uśmiechnął się i był to jego pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki widziałam, ponieważ był niepewny tego, co go spotka. Nie wiedziałam, co zobaczył w mojej twarzy, ale cokolwiek to było, dodało mu otuchy, ponieważ otworzył dłonie i wziął w nie moją, unosząc ją powoli do swych ust. Nie tyle ją pocałował, co przyłożył do niej wargi. Zaskakująco czuły gest. Samotność może stanowić więź silniejszą od innych. Kto inny na obu dworach mógł zrozumieć nasze serca tak dobrze, jak my? Nie miłość czy przyjaźń, a mimo to więź.

Uniósł głowę i popatrzył mi prosto w oczy. Jego spojrzenie było takie, jakie rzadko spotykałam u sidhe, otwarte, szczere. W jego oczach widziałam pragnienie tak wielkie, że miałam wrażenie, że patrzę w nieskończoną pustkę, głęboko ziejący dół zagubienia. To czyniło jego spojrzenie dzikim, jak u jakiegoś potwora albo zdziczałego dziecka. Nieoswojonego, a poważnie ранego. Czy ja kiedykolwiek patrzyłam w ten sam sposób? Miałam nadzieję, że nie.

Wypuścił moje ręce wolno, niechętnie. - Nigdy nie byłem z inną sidhe, Meredith. Rozumiesz, co to

znaczy?

Rozumiałam, może nawet lepiej niż on, ponieważ najgorsze to być z inną sidhe, a potem zostać odtrąconym. Ale utrzymałam obojętny ton głosu, gdyż zaczęłam się bać, dokąd nas to zaprowadzi, a niezależnie od tego, jak bardzo mu współczułam, nie zamierzałam zginąć w męczarniach. - Zastanawiasz się, jakby to było.

Potrząsnął głową. - Nie, ja się nie zastanawiam, ja pragnę białego ciała rozciągniętego pode mną. Pragnę, żeby mój blask dopasował się do innego. Chcę tego, Meredith, i ty możesz mi to dać.

Zmierzał tam, dokąd obawiałam się, że będzie mierzył. - Mówiłam ci już, Sholto. Nie będę ryzykować śmierci dla żadnej przyjemności. Nic nigdy nie będzie tego warte.

- Królowa lubi, gdy jej strażnicy oglądają ją z kochankami. Niektórzy odmawiają patrzenia, ale większość z nas stoi tam bez szansy na to, że skinie na nas, byśmy się przyłączyli. „Jesteście moimi strażnikami - nie chcecie strzec mego ciała?” - Udatnie udał jej głos. - Nawet jeśli graniczy to z okrucieństwem, miłość dwóch sidhe wciąż jest cudowną rzeczą. Oddałbym za to swoją duszę.

Spojrzałam na niego bez wyrazu. - Nie miałabym żadnego pożytku z twojej duszy, Sholto. Co jeszcze możesz mi zaoferować w zamian za to, że będę ryzykować śmierć?

- Jeśli zostaniesz moją kochanką, Meredith, królowa dowie się, ile dla mnie znaczysz. Jestem pewien, że zrozumie, że jeśli nic ci się nie stanie, zyska wdzięczność sluaghów. Będzie musiała to wziąć pod uwagę.

- Dlaczego nie zawrzesz takiego układu z inną, potężniejszą sidhe?

- Kobiety ze straży księcia Cela muszą uprawiać z nim seks i, w odróżnieniu od królowej, Cel zapewnia im ciągłą pracę.

- Kiedy odchodziłam, niektóre kobiety odmawiały dzielenia łoża z Celem.

Sholto uśmiechnął się wesoło. - Takie zachowanie stało się popularne.

Uniosłam brwi. - Chcesz przez to powiedzieć, że harem Cela odmawia mu?

- Coraz więcej z nich. - Sholto wciąż wyglądał na rozbawionego.

- Więc dlaczego nie złożysz tej oferty którejś z nich? Mają większą moc niż ja.

- Może to wynika z tego, co powiedziałaś wcześniej. Żadna z nich nie zrozumie mnie tak dobrze jak ty.

- Myślę, że ich nie doceniasz. Ale co takiego Cel im robi, że go opuszczają? Królowa jest sadystką, ale jej strażnicy nie muszą się czołgać po stłuczonym szkle do jej łoża. Czy Cel wymyślił coś gorszego niż to? - Nie spodziewałam się odpowiedzi, ale nie mogłam nawet myśleć o czymś równie okropnym.

Sholto przestał się uśmiechać. - Królowa zrobiła to kiedyś - powiedział.

- Co? - spytałam, marszcząc brwi.

- Kazała jednemu z nas się rozebrać i czołgać po stłuczonym szkle. Gdyby zrobił to bez okazania bólu, wypieprzyłaby go.

Zamrugałam. Słyszałam gorsze, do diabła, widziałam gorsze rzeczy. - Kto to był? spytałam.

Potrząsnął głową. - Przysięgaliśmy jako strażnicy utrzymać w tajemnicy nasze upokorzenia. Jeśli nie nasze ciała, to przynajmniej nasza duma nie dozna szwanku. - Jego spojrzenie znowu było zamyślane.

Ponownie zaczęłam się zastanawiać, co Cel mógł zrobić gorszego niż królowa. Dlaczego nie zaproponowałaś tego sidhe o większej mocy, która nie jest członkiem Straży Księcia? - spytałam.

Uśmiechnął się słabo. - Są na dworze kobiety, które nie należą do Straży Księcia. Żadna z nich mnie nie dotknęła, zanim wstąpiłem do Straży. Bały się przyjscia na świat następnych perwersyjnych potworów. - Roześmiał się i był to dziki dźwięk, prawie jak płacz. Serce się krajało, gdy się tego słuchało. - Tak właśnie królowa mnie nazywa, swoim „perwersyjnym potworem”, a czasami po

prostu „potworem”. Za kilka wieków będę jej drugim Mrozem albo jej drugą Ciemnością. Będę jej Potworem. - Znów roześmiał się tym pełnym bólu śmiechem. - Zaryzykuję wszystko, żeby tylko tak się nie stało.

- Czy naprawdę tak bardzo potrzebuje slughów, tak bardzo, że daruje mi życie, daruje karę za przekroczenie jej największego zakazu? - Potrząsnęłam głową. - Nie, Sholto, ona do tego nie dopuści. Jeśli znajdziemy sposób na obejście jej zakazu, inni też spróbują. To będzie pierwszy wyłom w murze. W końcu się zawali.

- Ona traci władzę, traci znaczenie na dworze. Ostatnie trzy lata nie były dla niej najlepsze. Dwór załamuje się pod ciężarem jej niekonsekwentnych działań, a dorastający książę Cel... - Wydawało się, że nie skończy, ale jednak dodał: - Kiedy Cel Andais zyska moc... Przy Celu Andais będzie wyglądała na normalną. On będzie jak Kaligula po Tyberiuszu.

- Czy chcesz powiedzieć, że jeśli myślimy, że teraz jest źle, mało jeszcze widzieliśmy? - Próbowałam go sprowokować, żeby się uśmiechnął, ale mi się nie udało.

Zwrócił na mnie udręczone spojrzenie. - Królowa nie może sobie pozwolić na utratę wsparcia slughów. Wierz mi, Meredith. Jeszcze mniej niż tobie zależy mi na tym, żeby być zdanym na łaskę i niełaskę królowej.

„Na łaskę i niełaskę królowej” - tak pomiędzy sobą mówiliśmy. Gdy, na przykład, ktoś się czegoś bał, mówił: „wolałbym być zdany na łaskę i niełaskę królowej, niż to zrobić”. Nie mogło być nic gorszego.

- Czego ode mnie chcesz, Sholto?

- Chcę ciebie - powiedział, a jego spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, co miał na myśli.

Musiałam się uśmiechnąć. - Ty nie chcesz mnie, ty chcesz sidhe. Nie zapominaj, że Griffin porzucił mnie, bo nie byłam dla niego sidhe w wystarczającym stopniu.

- Griffin to skończony głupiec.

Uśmiechnęłam się, bo przypominałam sobie, że Uther nieco wcześniej tego wieczoru nazwał głupcem Roane'a. Jeśli wszyscy są głupcami dlatego, że mnie zostawili, dlaczego dalej to robią? Popatrzyłam na niego i spróbowałam być jak najbardziej bezpośrednia. Nigdy nie byłam z nocnym myśliwcem.

- To jest uważane za zboczenie nawet przez tych, dla których nic nie jest perwersją powiedział Sholto, a jego głos stał się ostrzejszy. - Mówiąc szczerze, nie spodziewałem się, że miałaś jakieś doświadczenia z nami.

Z nami. Ciekawe stwierdzenie. Gdybyście zapytali mnie, kim jestem, odpowiedziałabym, że sidhe - nie człowiekiem i nie skrzatem. Byłam sidhe, a jeśli byście dalej naciskali, określiłabym się jako Unseelie, nawet jeśli mogłabym przypisać sobie krew obu dworów. Ale nigdy nie powiedziałabym „z nami”, mając na myśli kogoś spoza Unseelie.

- Po tym jak moja ciotka, a nasza ukochana królowa, próbowała mnie utopić, gdy miałam sześć lat, ojciec postanowił, że będę miała strażników. Jednym z nich był kaleki latawiec, Bhatar.

Sholto skinął głową. - Stracił skrzydło w czasie ostatniej prawdziwej bitwy, jaką stoczyliśmy na amerykańskiej ziemi. Większość części ciała zwykle może nam odrosnąć, więc to musiała być poważna rana.

- Bhatar strzegł mojego pokoju w nocy. Nigdy mnie nie opuścił, gdy byłam dzieckiem. Ojciec nauczył mnie grać w szachy, ale to Bhatar nauczył mnie, jak pokonywać w nie ojca. - Uśmiechnęłam się.

- Wciąż o tobie dobrze mówi - powiedział Sholto. Zaczęłam odpowiadać, potem potrząsnęłam głową. - Nie, nigdy nie zaproponował mi tego, co ty. Nigdy nie ryzykowałby mojego albo swojego bezpieczeństwa. Widzisz, o tobie też dobrze mówił, królu Sholto. Najlepszy król, jakiego slughowie mieli od dwustu lat - tak właśnie o tobie mówił.

- To mi pochlebia.

- Wiesz, co twoi ludzie o tobie myślą. - Próbowałam czytać z jego twarzy. Wciąż widziałam w jego oczach pożądanie, ale może ono maskować tak wiele rzeczy. - A co z wiedźmami, twoim małym haremem?

- A co ma z nimi być? - spytał, ale jego spojrzenie zadało kłam tym beztróskim słowom.

- Chciały mnie zranić, żeby mnie utrzymać z dala od ciebie. Jak sądzisz, co zrobią, gdy faktycznie pójdziemy do łóżka?

- Jestem ich królem. Zrobią to, co im każę.

Roześmiałam się, ale to nie był zjadliwy śmiech, co najwyżej ironiczny. - Jesteś królem istot magicznych, a one nigdy nie robią dokładnie tego, co im każesz, albo co myślisz, że zrobią. Wszystkie one, począwszy od skrzata, a na sidhe skończywszy, są wolnymi stworzeniami. Uznaj za pewnik, że będą ci posłuszne, a znajdziesz się w niebezpieczeństwie.

- Jak królowa w ostatnim tysiącleciu? - ni to spytał, ni to stwierdził.

Uśmiechnęłam się, kiwając głową. - Jak król dworu Seelie przez jeszcze dłużej.

- Jestem nowym królem w porównaniu z nimi i nie takim aroganckim.

- Więc powiedz mi prawdę: co zrobią twoje kochanki wiedźmy, gdy porzucisz je dla mnie?

Zdawał się myśleć przez jakąś minutę, po czym spojrzał na mnie. Jego twarz była poważna. - Nie wiem.

Omam się nie roześmiałam. - Naprawdę jesteś nowym królem. Nigdy nie słyszałam, żeby któryś z nich przyznawał się do swojej ignorancji.

- Nie wiedzieć czegoś to jeszcze nie ignorancja. Udawanie, że się wie, podczas gdy się nie wie - o, to jest ignorancja.

- Mądry i skromny; to rzadkość wśród królów istot magicznych. - Przypomniałam sobie, o co chciałam zapytać. - Czy Agnes, która zabrała cię do lasu, gdy byłeś chłopcem, twoja niania, to czarna Agnes?

- Tak - odpowiedział.

Z trudem powstrzymałam się przed zmarszczeniem brwi. - Twoja była niania jest twoją kochanką?

- Ona się nie zestarzała - powiedział - a ja jestem już dorosły.

- Dorastanie wśród nieśmiertelnych jest trochę dziwne, przyznaję, ale ja o istotach, które pomagały mi wychowywać, nigdy nie myślałam w ten sposób.

- Tak samo jest ze slughami i mną, ale Agnes nie jest jedną z nich.

Chciałam zapytać czemu, ale nie robiłam tego. Po pierwsze, to nie była moja sprawa; po drugie, mogłabym nie zrozumieć odpowiedzi, nawet gdybym ją otrzymała. - Skąd wiesz, że królowa chce mnie stracić? - Wróciłam do najważniejszego tematu.

- Ponieważ wysłała mnie do Los Angeles, żebyś cię zabił. - Powiedział to, jakby to nic nie znaczyło - bez emocji, żalu, po prostu suchy fakt.

Serce zabiło mi nieco szybciej, oddech uwiązł w gardle. Musiałam podjąć pewien wysiłek, żeby zaczerpnąć powietrza bez zwrócenia na to jego uwagi. - Jeśli się nie zgodzę z tobą sypiać, wykonasz wyrok?

- Dałem ci słowo, że nie zrobię ci krzywdy. I nie zrobię.

- Sprzeciwisz się dla mnie królowej?

- Te same powody, które zapewnią nam bezpieczeństwo, gdy zaczniemy ze sobą sypiać, uczynią mnie bezpiecznym, jeśli zachowam cię przy życiu. Królowa potrzebuje moich slughów bardziej niż chce zaspokoić swoją mściwość.

Zdawał się pewny tego ostatniego. Pewny jednego, niepewny wszystkiego innego; jak większość z

nas. Popatrzyłam na tę silną twarz, szczękę odrobinę za szeroką jak na mój gust, kości policzkowe troszkę zbyt wystające. Wolałam, żeby moi mężczyźni wyglądali trochę łagodniej, ale ten był niezaprzeczalnie przystojny. Jego włosy były idealnie białe, gęste i proste, zebrane z tyłu w kucyk. Włosy sięgały do kolan, jak najstarszym sidhe, mimo że miał zaledwie około dwustu lat. Ramiona były szerokie, pierś prezentowała się dobrze pod białą, rozpiętą koszulą. Koszula leżała całkowicie gładko i zastanawiałam się, czy używał jakiegoś rodzaju osłony, ponieważ wiedziałam, że to, co ukrywa się pod nią, wcale gładkie nie jest. To naprawdę nieoczekiwana oferta, Sholto. Czy mogę mieć trochę czasu, żeby ją przemyśleć?

- Do jutrzejszego wieczoru - powiedział.

Skinęłam głową i wstałam. On również się podniósł. Przyłapałam się na tym, że wpatruję się w jego pierś i brzuch, próbując dostrzec to wybrzuszenie, które zobaczyłam na ulicy. Nic nie zauważyłam, musiał jednak używać osłony. - Nie wiem, czy mogę to zrobić powiedziałam.

- Co? - spytał.

Wskazałam na niego. - Widziałam cię kiedyś bez koszuli, kiedy byłam dużo młodsza. Ten widok.. pozostał mi w pamięci.

Zbladł, jego spojrzenie stwardniało. Znowu zamknął się w sobie. - Rozumiem. Myśl o dotknięciu mnie napęla cię przerażeniem. Rozumiem, Meredith. - Westchnął przeciągle. W każdym razie, miło było sobie pomarzyć. - Odwrócił się ode mnie, zabierając swój długi płaszcz z oparcia krzesła, przez które był przewieszony. Ciężkie włosy wisiały jak biały futrzany pasek, sięgając prawie do podłogi.

- Sholto - powiedziałam.

Nie odwrócił się, tylko uniósł włosy nad jednym ramieniem, gdy wkładał płaszcz.

- Nie powiedziałam „nie”, Sholto.

Wtedy dopiero się odwrócił. Jego twarz wciąż była nieprzenikniona, ostrożna, wszystkie emocje, które z takim wysiłkiem wywołałam, znów były schowane. - Co w takim razie powiedziałaś?

- Powiedziałam, że tej nocy nie będziemy uprawiać seksu, bo nie mogę z tobą uprawiać seksu, dopóki nie zobaczę wszystkiego.

- Wszystkiego? - powtórzył.

- Teraz to ty udajesz - powiedziałam.

Patrzyłam, jak jego twarz i oczy posepnieją. Na jego ustach pojawił się dziwny uśmiezek. - Chcesz mnie zobaczyć nago?

- Nie całego ciebie. - Musiałam się uśmiechnąć, widząc jego minę. - Ale od piersi w dół. Muszę wiedzieć, jak zareaguję na twoje... dodatki.

Uśmiechnął się i był to ciepły uśmiech na granicy niepewności. To jego prawdziwy uśmiech, ta mieszanka czaru i lęku. - To najmiłszy sposób, w jaki ktokolwiek kiedykolwiek to nazwał.

- Jeśli nie będę mogła być z tobą dla przyjemności, żeby dzielić z tobą rozkosz, wtedy twoje marzenia o zmieszaniu swojego blasku z innym, spełzną na niczym. Sidhe nie błyszczą, gdy muszą coś robić z obowiązku, a nie dla przyjemności. Skinął głową. - Rozumiem.

- Mam nadzieję, bo chcę czegoś więcej niż tylko zobaczyć cię nagim. Muszę cię trochę podotykać i sama być trochę podotykana, żeby się przekonać... - rozłożyłam szeroko ręce - ...czy mogę to zrobić.

- Ale nie będziemy tej nocy uprawiać seksu? - Pierwszy raz słyszałam, żeby jego głos był tak rozbawiony.

- Marzysz o seksie z sidhe, bo nigdy go nie zaznałeś. Ja zaznałam i przez trzy, prawie cztery lata musiałam obywać się bez niego. Tęsknię za domem, Sholto. Jest dziwny i występny, ale za nim tęsknię. Jeśli się zgodzę, zyskam kochankę sidhe i dom. No i ucieknę przed karą śmierci. Nie jesteś gorszy niż śmierć, Sholto.

- Niektórzy tak myśleli przez lata. - Próbował obrócić to w żart, ale jego oczy mówiły co innego.
- To dlatego muszę zobaczyć, w co się ładuję.
- Czy mogę zapytać o miłość, czy też jest to zbyt naiwne dla króla i księżniczki? spytał.
Uśmiechnęłam się, ale tym razem to był smutny uśmiech. - Spróbowałam już kiedyś miłości; zawiodłam się.
- Griffin jest nic nie wart, Meredith. Nie zasługuje na to, żeby go kochać, i z pewnością sam nie potrafi kochać.
- W końcu to odkryłam - powiedziałam. - Miłość jest wielka, dopóki trwa, Sholto. A nie trwa.
Popatrzyliśmy na siebie. Zastanawiałam się, czy moje oczy są takie zmęczone i pełne żalu, jak jego.
- Czy mam zaprotestować i powiedzieć, że jakaś miłość jednak trwa? - spytał Sholto.
- A zamierzasz to zrobić? Uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Nie. Wyciągnęłam do niego rękę. -
Żadnych kłamstw, Sholto, nawet tych miłych. - Jego dłoń była bardzo ciepła. Pozwól, że zaprowadzę cię do łóżka i zobaczę, czego mogę się spodziewać.
Podeszliśmy do łóżka. - Czy ja też będę mógł zobaczyć, czego się mogę spodziewać?
- spytał.
Ustawiłam go tyłem do łóżka, tak że mogłam widzieć jego twarz. - Jeśli chcesz...
Spojrzenie jego oczu nie było spojrzeniem sidhe ani człowieka, ani slugh, tylko po prostu mężczyzny. - Pewnie, że chcę - powiedział.

Rozdział 12

Puściłam jego rękę i weszłam na łóżko, tyłem, żeby go cały czas widzieć. Wyjęłam rewolwer zza paskę i schowałam pod jedną z poduszek, po czym położyłam się na środku łóżka, podpierając się na łokciach. Sholto stał przy łóżku, patrząc na mnie. Na jego twarzy błąkał się jakiś dziwny półuśmiech. Wyglądał na niepewnego, nie na nieszczęśliwego, a właśnie na niepewnego.

- Sprawiasz wrażenie bardzo z siebie zadowolonej - powiedział.
- Perspektywa ujrzenia po raz pierwszy nago przystojnego mężczyzny korzystnie wpływa na mój humor.

Przestał się uśmiechać. - Przystojnego? Zmienisz zdanie, gdy zobaczysz, co mam pod koszulą. Pozwoliłam, by moje spojrzenie mówiło samo za siebie. Przyjrzałam się jego twarzy, oczom, mocnemu, bliskiemu ideałowi nosowi, szerokim ustom. Reszta ciała wyglądała równie wspaniale, ale wiedziałam, że przynajmniej część z tego, na co patrzę, była poprawiona przez magię. Nie wiedziałam, jak dużo. Zatrzymałam wzrok na tych częściach jego ciała, o których z pewnością wiedziałam, że są prawdziwe, jak wąskie biodra, mocne, długie nogi.
Dopóki nie widziałam go bez spodni, nie mogłam mieć pewności, co się w nich kryło, więc na razie nie zaprzętałam sobie tym głowy. Królowa miała rację, musiałam niechętnie się z nią zgodzić - on naprawdę był wspaniały.

- Fantazjowałam na temat sidhe patrzącej na mnie tak jak ty teraz. - Wciąż wyglądał bardzo uroczyście.

- To znaczy jak? - spytałam. Wypowiedziałam te słowa cicho, zmysłowo, kusząco.

Uśmiechnął się. - Jakbym był przekąską.

Uśmiechnęłam się również, starając się, by ten uśmiech był tym, czego potrzebował. Przekąską, powiadasz? Zrzuc płaszcz i koszulę, a może faktycznie się nią staniesz.

- Pamiętaj: tej nocy nie uprawiamy seksu - powiedział.

- A może tylko nie osiągamy orgazmu?

Odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się, głośno i beztrąsko. Spojrzał na mnie oczami błyszczącymi nie pod wpływem magii, a z powodu śmiechu. Wyglądał na młodszego, bardziej odprężonego.

Uświadomiłam sobie, że z jego jasnymi włosami i skórą, ze złotymi oczami, byłby mile widziany na Dworze Seelie. Jeśli miałby na sobie cały czas koszulę, nikt by niczego nie podejrzewał.

Przestał się śmiać. - Czemu tak nagle spoważniałaś? - spytał.

- Po prostu pomyślałam, że wyglądem bardziej pasujesz do Dworu Seelie niż ja.

Zmarszczył brwi. - Masz na myśli swoje kasztanowe włosy?

- I zbyt niski wzrost, i piersi odrobinę zbyt duże, zdaniem innych sidhe.

Niespodziewanie uśmiechnął się szeroko. - To musiały być kobiety, które miały kompleksy z powodu swoich piersi. Żadnemu mężczyźnie nie przysłoby to do głowy.

Uśmiechnęłam się. - Masz rację. To była moja matka, moja ciotka, moje kuzynki.

- Były po prostu zazdrosne - powiedział.

- To miłe, że tak myślisz - powiedziałam.

Zrzucił szary płaszcz na podłogę, po czym rozpiął guzik przy mankiecie, nie spuszczać przy tym ze mnie wzroku. Rozpiął drugi mankiet i przeszedł do pierwszego guzika koszuli, potem drugiego, tak że ukazał się trójkąt błyszczącej, białej skóry. Trzeci guzik i ujrzałam jego muskularną pierś. Jego palce przeszły do czwartego guzika, ale nie rozpiął go. - Zanim to zobaczysz, chciałbym cię pocałować.

Domyśliłam się, dlaczego. Bał się, że kiedy go już zobaczę, odejdzie mi ochota na całowanie.

Przysunęłam się do niego. Sholto położył ręce na łóżku i uklęknął. Pochylił się, aż jego broda prawie dotykała łóżka, z dłońmi rozpostartymi na narzucie.

Stałam nad nim na czworakach. Popatrzył w górę na mnie, a ja zbliżyłam twarz do jego twarzy. Pocałowałam go. Łagodnie muśnięcie warg i Sholto zaczął się wycofywać. Delikatnie dotknęłam jego twarzy. - Jeszcze nie - powiedziałam.

Sholto miał rację, gdy zobaczyłabym jego „dodatki”, mogłabym nie mieć ochoty na następny pocałunek. Jeśli miałoby to być jedyne dotknięcie rąk sidhe w jego życiu, chciałam, żeby zapamiętał je na długo. Pocałunek nie mógł zastąpić seksu z sidhe, ale to było wszystko, co mogłam zaproponować. Na swój sposób był równie samotny jak Uther.

Oparł się brodą o łóżko, podnosząc na mnie oczy. Czekał na mnie cierpliwie, całkowicie biernie, na to, co postanowiłam. W tej chwili odpowiedziałam sobie na jeszcze jedno pytanie. Jeśli miałabym się związać z jakąś osobą, musiałyby nas łączyć coś więcej niż tylko krew sidhe. Powinna nas łączyć miłość do bólu.

Położyłam się na łóżku, tak że nasze twarze znalazły się na jednym poziomie. Rozchył trochę wargi - powiedziałam.

Zrobił to bez chwili wahania. Spodobało mi się to. Pocałowałam jego górną wargę, łagodnie, delikatnie. Językiem rozchyliłam szerzej jego usta, po czym zatopiłam w nich język. Początkowo poddawał się biernie moim pieszczotom, pozwalając, bym wpiła się łagodnie w jego usta, potem zaczął odpowiadać pocałunkiem. Całował wolno, prawie niepewnie, jakby to był jego pierwszy raz, choć przecież wiedziałam, że nie był. Potem jego usta nacisnęły na moje mocniej, bardziej zdecydowanie.

Ugryzłam go łagodnie w dolną wargę. Krzyknął cicho i zerwał się na kolana, ciągnąc mnie za sobą, z rękami na moich ramionach. Zaczął mnie gorączkowo całować. Ten pocałunek był wystarczająco mocny, by mnie zranić i musiałam szerzej otworzyć usta, pozwalając jego wargom, jego językowi, jego ustom wnikać całkowicie w moje usta, tak głęboko, jak chciał, pozwalając się lizać i ssać, po prostu żeby uniknąć siniaków.

Pchnął mnie na łóżko, sam podpierając się na rękach, tak że stykaliśmy się tylko ustami. Oderwałam się od pocałunków, żeby popatrzeć na jego ciało. Czułam drżące pole energii. Miałam wrażenie, jakbym już czuła jego ciężar na sobie. Jego aura, jego magia miała ciężar, jakby drugie ciało

naciskało na mnie. Nacisk pozbawił mnie tchu, sprawił, że mój puls przyspieszył. Jego magia przyciągała krew w moim ciele jak magnes przyciąga metal.

Nawet Roane pokryty Łzami Branwyna nie był taki. Był cudowny, ale nie taki. A to było właśnie to, czego chciałam, pragnęłam, łaknęłam. Sholto popatrzył na mnie w dół z jakimś dziwnym wyrazem zadziwienia na twarzy. - Co to?

Uświadomiłam sobie, że mogł być czuć moją moc tak, jak ja czułam jego. Mogłam po prostu powiedzieć: „magia”, ale ostatnim razem, gdy byłam z sidhe, tym sidhe był Griffin i stwierdził, że moja moc ma gorszy blask. Wtedy mu wierzyłam, teraz - nie. Musiałam zapytać, ponieważ mogłam już nigdy nie być z inną sidhe. Musiałam rozwiać wątpliwości, które zasiał we mnie Griffin. - Co czujesz? - spytałam.

- Ciepło, jakby bijące z twojego ciała, naciska na moją skórę. - Podparł się na jednej ręce, drugiej używając do pieszczenia powietrza pomiędzy nami, jakby głaskał coś, co ma kształt, ciężar. Zamknęłam oczy, moje ciało wiło się pod tym niby-dotykami.

Pchnął rękę poprzez energię i nawet z zamkniętymi oczami wiedziałam, gdzie ta ręka była. - Przylega do mojej dłoni, jakby to była kula czegoś, co wsysa się w moją skórę, gdy sięgam po to - powiedział Sholto głosem bez tchu, pasującym do wyrazu zadziwienia wciąż obecnego na jego twarzy.

Czułam jego rękę przepychającą się przez moc, jak gdyby moje ciało było pod wodą, a jego ręka przynosiła ze sobą świeże powietrze. Nie dotykał bezpośrednio mojego boku, przedzierał się przez moje osłony, wlewał swoją magię we mnie. Otworzyłam szeroko oczy, oddech uwiązł mi w gardle. To zmusiło mnie do wyjścia z moją własną energią, by zakryć się nią, jak ręką nad raną. Jego ciało zdrząło pod wpływem mojej magii. Popatrzył na mnie z półotwartymi ustami, jego puls łomotał pod delikatną skórą na szyi jak u złapanego w sidła zająca. - Nie miałem pojęcia, co traciłem.

Skinęłam głową, patrząc na niego. - To dopiero początek - powiedziałam ochryplym szeptem. Nie starałam się nadawać mu zmysłowego brzmienia, po prostu tak jakby głos odszedł ze mnie pod wpływem jego nacisku. W tej chwili nic nie powstrzymałoby mnie od powiedzenia „tak”.

Sięgnęłam po jego koszulę. Oparł się z powrotem na obu rękach, tak że mogłam dosięgnąć guzików. Rozpięłam kolejny z nich; nie zobaczyłam nic niezwykłego. Rozpięłam następny. Moc zamigotała jak gorąco unoszące się z chodnika. - Odrzuć iluzję, Sholto, pozwól mi zobaczyć - powiedziałam.

- Boję się - wyszeptał.

Popatrzyłam mu w oczy. - Naprawdę myślisz, że chcę stracić szansę na powrót do domu? Jestem zmęczona udawaniem, uciekaniem. Chcę wrócić. - Popieściłam dłońią jego szyję i moc podążyła za moją ręką jak niewidzialny welon. - Seks z sidhe, powrót do kopców, miłe przywitania... chcę do domu, Sholto. Odrzuć swoją osłonę i pozwól mi zobaczyć, jak wyglądasz.

Zrobił to, o co prosiłam. Spod koszuli wynurzyły się macki.

Skojarzyły mi się z gniazdem węży albo jelitami. Zamarłam i tym razem oddech uwiązł mi w gardle wcale nie z powodu pożądania.

Sholto zaczął się natychmiast wycofywać, wstał i odwrócił się, tak że nie mogłam nic widzieć. Złapałam go za rękę, żeby go powstrzymać. Moja reakcja przerwała magię pomiędzy nami, czy też raczej to jego reakcja na moją reakcję to zrobiła. Jego dłoń była pod moją ręką zwyczajną, ciepłą i żywą dłońią, niczym więcej.

Objęłam jego rękę ciasno obiema dłońiami. Próbowałam go odwrócić przodem do siebie, ale opierał się. Uklękałam, trzymając jedną rękę na jego ramieniu, i sięgnęłam do jego koszuli. Nic mnie nie dotknęło, gdy sięgałam w poprzek jego ciała, a powinno tam być wiele rzeczy, które mogły mnie dotknąć. Najwidoczniej ustawił znów osłonę. Nie mogłam wyczuć, co tam było naprawdę.

Odwróciłam go z powrotem twarzą do siebie. Koszula była rozpięta do połowy brzucha. Piersi i

brzuch były blade, muskularne, gładkie, idealne. Rozpięłam kolejny guzik. Jego brzuch był niczym z reklamy przyrządów gimnastycznych. Sholto pozwolił mi rozpiąć koszulę, ale nie patrzył na mnie.

- Jeśli ktoś zamierza się chować za osłoną, to rzeczywiście dobrze ją zrobić idealnie piękną. Popatrzył na mnie. Wyglądał na zagniewanego. - Jeśli to by było moje prawdziwe oblicze, nie odwróciłabyś się ode mnie.

- Jeśli byłoby to twoje prawdziwe oblicze, nie byłbyś królem sluaghów. Zasepił się. Wszystko było lepsze niż gniew zmieszany z goryczą. - Byłbym szlachcicem na dworze sidhe - powiedział.

- Lordem, nikiem więcej - twoi przodkowie ze strony matki nie są wystarczająco dobrzy na lepszy tytuł.

- Jestem lordem - powiedział.

Skinęłam głową. - Tak, dzięki swojej sile, własnej wartości. Królowa nie mogła pozwolić, żeby ktoś tak silny odszedł z dworu, dlatego nadała ci tytuł.

Uśmiechnął się, ale to był gorzki uśmiech, a gniew powrócił do jego oczu. - Chcesz powiedzieć, że lepiej rządzić piekłem, niż służyć w niebie?

Potrząsnęłam głową. - Chodziło mi raczej o to, że masz wszystko, co mogła dać ci krew matki, a oprócz tego jesteś królem.

Popatrzył na mnie, jego twarz znów była pewną siebie maską. Taką, którą często widywałam na dworze. - Krew mojej matki mogłaby dać mi ciebie.

- Nie odrzuciłam cię - powiedziałam.

- Widziałem wyraz twojej twarzy, czułem niechęć twojego ciała. Nie musiałaś tego wcale mówić. Zaczęłam wyjmować jego koszulę ze spodni. Złapał mnie za rękę.

- Nie.

- Jeśli teraz się wycofasz, to będzie koniec, Sholto. Odrzuć swoją iluzję, pozwól mi zobaczyć.

- Zrobiłem to. - Wyrwał koszulę z moich rąk tak mocno, że prawie zrzucił mnie z łóżka.

- Miło by było, gdybym mogła objąć cię bez wzdragania się. Przykro mi, że tak się nie stało, ale daj dziewczynie szansę. Gdzie jest napisane, że muszę się w tobie zakochać od pierwszego wejrzenia?

Potrząsnął głową. - Masz rację, jestem królem sluaghów. Nie pozwolę się poniżyć.

Usiadłam na skraju łóżka i spojrzałam na niego. Wyglądał wspaniale, choć był nadąsany. Ale to nie był jego prawdziwy wygląd, a ja spędziłam ostatnie kilka lat, ukrywając się, udając. Pozory, nieważne jak piękne, mogły stać się drugą naturą. Chociaż sidhe go odrzuciły, nie było nikogo, kto w równym stopniu byłby uosobieniem Dworu Unseelie. Kombinacja niewiarygodnego piękna i brzydoty, nie tyle obok siebie, co nierozzerwalnie ze sobą splecione. Jedno nie mogło istnieć bez drugiego. Na swój sposób Sholto był idealnym połączeniem wszystkiego, co sobą reprezentowały Unseelie sidhe. Odrzuciły go ze strachu. Wątpię, czy sobie to uświadamiały, ale bały się Sholta nie dlatego, że był obcy, ale właśnie dlatego, że obcy nie był.

- Nie mogę ci przyrzec, że się znów nie odwrócę, ale mogę przyrzec, że się postaram. Popatrzył na mnie. - To za mało.

- To najlepsze, co ci mogę obiecać. Czy strach przed odrzuceniem naprawdę jest wart stracenia szansy na dotyk innej sidhe?

Błyśk wątpliwości pojawił się w jego oczach. - Jeśli nie będziesz mogła... tego strawić

- coś w tym określeniu rozbawiło go, ale nie w ten radosny sposób - wtedy mogę po prostu nałożyć z powrotem osłonę i...

Dokończyłam, kiedy jego głos się urwał. - Tak, jasne.

Skinął głową. - Nigdy jeszcze o nic tak nie błagałem.

Roześmiałam się. - Szczęściarz z ciebie.

Spojrzał na mnie zmieszany i prawie prawdziwy Sholto ukazał się zza maski. - Nie rozumiem.

- Twoja magia jest na tyle potężna, że nigdy nie musiałeś o nic błagać. - Tym razem to mój głos był pełen goryczy. Potrząsnęłam głową, sprawiając, że moje włosy opadły mi wokół twarzy.

Wyciągnęłam do niego rękę. - Chodź tutaj.

Na jego twarzy pojawiła się nieufność. Nie mogłam go za to winić, ale byłam już zmęczona trzymaniem go za rękę jak dziecko. Nie chciałam go zranić, ale nie byłam pewna, czy chcę się z nim wiązać na zawsze. Nie przez macki, a przez rozchwianie emocjonalne. Byłby wymagającym partnerem, jeśli chodzi o uczucia. Zwykle unikam takich mężczyzn, ale Sholto mógł zaoferować mi coś, czego inni nie mogli. Mógł zagwarantować mi powrót do domu - a dla czegoś takiego gotowa byłam zanurzyć się w tym gównie po uszy.

- Albo zrzucasz koszulę i przychodzisz tutaj, albo nie. Wybór należy do ciebie.

- Aleś ty niecierpliwa - powiedział.

Wzruszyłam ramionami. - Troszeczkę. - Zbliżyłam do niego rękę.

Zsunął koszulę ze swoich ramion i rzucił ją na podłogę. Sprzeczne emocje malowały się na jego twarzy, w końcu zdecydował się na minę buntownika. Nie przejęłam się tym, bo doskonale wiedziałam, że to, co malowało się na jego twarzy, nie było tym, co naprawdę czuł. Użył maski, bo nie był pewien przyjęcia.

Odrzucił osłonę.

Rozdział 13

Starłam się patrzeć na niego całego, gdy się do mnie zbliżał, ale w końcu nie wytrzymałam i przeniosłam wzrok na macki. Były one tak samo oślepiająco białe jak reszta jego ciała. Najmniej białe były najgrubsze macki. Wiedziałam od Bhatara, że to były muskularne ramiona, macki do ciężkiej roboty. Były też dłuższe, cieńsze macki zgrupowane wokół żeber i ponad brzuchem. To były palce, ale o wiele bardziej wrażliwe niż palce sidhe. Zaraz nad brzuchem znajdowały się krótsze macki o odrobinę ciemniejszych końcówkach. Zaczęłam się zastanawiać, czy to, co znajdowało się w jego spodniach, należało bardziej do świata sidhe czy świata nocnych myśliwców.

Siedziałam na łóżku i patrzyłam. Stał przede mną. Twarz miał odwróconą, ręce za plecami, jakby nie chciał mnie widzieć ani dotykać. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jednej z tych muskularnych macek. Zadrżał pod wpływem mojego dotyku. Poglądziłam ją i poczułam na sobie wzrok Sholta, zanim spojrzałam do góry, żeby nasze oczy się spotkały.

Ponownie pogładziłam skórę jednej z macek. - Te są do ciężkiej pracy. Dźwigania, chwytania zdobyczy lub jeńców. - Wodziłam palcem po górnym boku macki, wyczuwając trochę inną powierzchnię. Nie była nieprzyjemna w dotyku, ale grubsza niż ludzka skóra, gumowata, jak skóra delfina.

- Jak przypuszczam, wiesz o tym od Bhatara. - Jego głos był zagniewany.

- Tak. - Chwyciłam podstawę macki, gdzie łączyła się z resztą ciała. Pociągnęłam ją delikatnie, ale zdecydowanie. Okręciła się wokół mojej dłoni, podążając za nią.

- Nie - zaprotestował.

- Miłe uczucie, prawda? - spytałam.

Spojrzał na mnie, w równej mierze zagniewany, co przestraszony. - Skąd wiesz, co jest miłe dla nocnych myśliwców?

- Pytam tylko.

Spojrzał na mnie zaskoczony, a ja zabrałam rękę.

Dotknęłam tym razem jednej z cieńszych macek. Cofnęły się jak morskie fale, kiedy nurek przepływa

pod rafa koralową. - Bhatar mógł nimi robić bardziej precyzyjne robótki.

Opuściłam rękę, prawie dotykając ostatniego widocznego rzędu macek. - Te są bardzo wrażliwe, można ich używać do czynności wymagających wyczucia, ale właściwie są drugim organem seksualnym.

Spojrzał zdziwiony. - Nie dzielimy się tego rodzaju informacjami z osobami postronnymi.

- Wiem - uśmiechnęłam się. - Bhatar używał ich do pieszczenia odwiedzających go pań. Rzadko mówiły mu, żeby sobie poszedł, ze strachu, że może się obrazić albo obrazi się mój ojciec. Kiedy w końcu wróciłam na dwór, zauważyłam, że nocni myśliwcy często pieszczą istoty nie będące slughami niższymi mackami. To taki wasz żart. Dotykacie nas czymś, co jest prawie narządem płciowym, a my nie zdajemy sobie z tego sprawy.

- Ale ty to wiesz - powiedział.

- Lubię dobre żarty, pod warunkiem że nie padam ich ofiarą. - Przesunęłam dłonią ponad ostatnim rzędem macek.

Westchnął. Dalej miał spojrzenie buntownika. Nie mogłam go o to winić. Miałam na tyle przemieszane geny przodków, żeby to rozumieć.

Dotknęłam delikatnie najniższych macek, a one zaczęły oplatać moje palce. Końcówki były chwytne, nie tak bardzo jak wyższe macki, ale po jednej stronie każdej macki znajdowały się nieznaczne zagłębienia. Przeciągnęłam palcem po jednym z nich; macka zadrżała.

- Podejrzewam, że przydaje ci się, gdy jesteś z kobietą nocnym myśliwcem?

Skinął głową, bez słowa.

- Jaki z nich pożytek mogę mieć ja? - spytałam z kilku powodów. Po pierwsze, z ciekawości. Po drugie, musiałam wiedzieć, czy mam go nakłaniać do tego, by mnie nimi dotykał. Jeśli o mnie chodzi, to dotykałam go w prawie bezstronnie naukowy sposób. Ten dystans pozwalał mi go dotykać, ale nie pomoże mi się z nim kochać.

Sięgnął w dół i ruch sprawił, że grube muskularne macki znalazły się tuż przy mojej twarzy. Cofnęłam się. Sholto natychmiast się wyprostował. Pewnie znów by się wycofał, gdyby nie to, że złapałam go za niższe macki. Jego reakcja przypominała mi to, co się dzieje, kiedy dotknie się penisa, gdy facet się tego nie spodziewa.

Sięgnął w dół i wyciągnął koszulę z moich spodni. Tym razem muskularne macki uderzyły mnie w twarz. Nie cofnęłam się, ale mało brakowało.

Ściągnął mi koszulę przez głowę i rzucił ją na podłogę. Buntowniczość zmieszała się z czymś jeszcze, czymś mroczniejszym i bardziej realnym. Posłużył się dwiema muskularnymi mackami, by łagodnie zdjąć moje ręce z niższych macek. Potem długie cienkie macki zaczęły rosnać, stawać się dłuższe i cieńsze. Końcówki pieściły moje piersi szybkimi ruchami. W równej mierze zdziwiło , mnie to, co i pozbawiło tchu.

Końcówki wślizgnęły się pod mój stanik. Miałam uczucie, jakby wąż ocierał się o moją skórę. Byłam bliska powiedzenia mu, żeby przestał, ale nie mogłam tego zrobić, gdy te poczerwieniałe końcówki odnalazły moje sutki i odkryłam, po co są te zagłębienia w mackach. W ssaniu i dotykaniu nie miały sobie równych. Sutki stwardniały.

Druga macka zabawiała się nisko na moim brzuchu, łaskocząc mnie tuż nad majtkami. Odsunęłam go łagodnie. - Wystarczy, proszę.

Odsunął się ode mnie, ale tym razem nie był urażony. Jego wzrok był prawie, nie do końca, ale prawie, triumfujący. - Samo spojrzenie na twoją twarz jest dla mnie wystarczającą nagrodą.

Sapnęłam i spróbowałam pozbierać myśli. - Miło słyszeć, ale jest jeszcze coś, co dla pewności muszę sprawdzić.

Spojrzał na mnie.

- Rozepnij pasek, proszę - powiedziałam.

Nie musiałam prosić dwa razy. Zrobił to, ale spodnie zostawił zapięte. Spodobało mi się, że tak dokładnie wykonuje moje rozkazy - nic więcej i nic mniej.

Rozpięłam mu spodnie, ukazując pasek majtek. Wybrzuszenie pod nimi było proste i solidne. Wyglądało bardzo... ludzko. Ale po tym wszystkim, co widziałam, musiałam mieć pewność. Opuściłam majtki i po raz pierwszy ujrzałam go w całej krasie.

Był tak prosty i piękny, jak obiecywała twarz Sholta. Objęłam go ręką, a Sholto krzyknął.

Nie chciałam się z nim przekomarzać, szukałam czegoś. Bhtar miał kolec w środku penisa, prawie tak długi jak moja ręka. Coś, co tylko kobiety nie będące ludźmi mogły przeżyć. Kolce te mieli jedynie królewscy myśliwce - oznaczał on, że byli płodni - jeśliby go nie mieli, ich partnerka nie jajeczkowałaby podczas uprawiania seksu.

Sholto patrzył na mnie, podniecony. - Moja samokontrola jest już na wyczerpaniu.

- Tylko dlatego nie zdjęłam majtek. - Jego członek był w moich rękach jak gruby, umięśniony aksamit, ale nie było tam nic poza ciałem, żadnych niespodzianek. - Twój ojciec nie był królewskim myśliwcem?

- Szukasz kolca - powiedział cichym, ochrypłym głosem.

- Tak.

- Mój ojciec nie był królewskim... trutniem. - Wyszepiał te rozsądne słowa głosem, który z każdym moim dotykem był coraz mniej rozsądny.

- Jakim cudem mogłeś w takim razie zostać królem? - Mój głos był spokojny. Podniecenie opadło, gdy tylko macki przestały mnie dotykać. Nie mogłam utrzymać podniecenia, bo jego widok mnie nie podniecał. Bogowie, wybaczone mi, ale jego dodatki były dla mnie wynaturzeniem.

- Król sluagh nie jest tytułem dziedzicznym. Jest nadawany.

- Nadawany - powtórzyłam. - W jaki sposób?

Potrząsnęłam głową. - Mam kłopoty z myśleniem.

- Zastanawiam się, dlaczego. - Powiedziałam to zaczepnie. Chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Może gdyby miał tylko jedną lub dwie macki, ale on miał ich kilkanaście... Myśl o tym, że będzie leżeć na moim nagim ciele, że będzie mnie obejmował tymi mackami... Ta myśl przyprawiała mnie o drżenie.

Sholto źle odczytał moją reakcję i jedna z muskularnych macek pogładziła mnie po głowie. Inny mężczyzna użyłby do tego ręki. Zamknęłam oczy, unosząc twarz do dotyku, próbując rozkoszować się pieszczotą, ale nie mogłam. Może przez jedną noc, ale nie noc po nocy. Po prostu nie mogłam.

Zniżyłam głowę i macka przestała mnie dotykać. Wzięłam do ręki jego członek. Był tak twardy i ładny jak każdego mężczyzny, z którym byłam, ale z powodu tego, co leżało powyżej, nie mogłam czerpać z tego takiej przyjemności, jak zwykle.

Sholto patrzył na mnie wyczekująco, jakbym już powiedziała „tak”. Następną logiczną rzeczą, jaką powinnam zrobić, było wstanie i pocałowanie go, ale jeślibym to zrobiła, macki objęłyby mnie, a wtedy Sholto zorientowałby się, co naprawdę czułam. Nie chciałam, żeby widział, jak odsuwam się od niego przestraszona. Chciałam, żeby być może ostatni dotyk sidhe, jakiego zaznał w życiu, był dla niego przyjemnością, nie upokorzeniem. A jeśli nie mogłam tego osiągnąć, posuwając się w górę jego ciała, pozostawała tylko jedna droga: w dół.

Zeszłam z łóżka i uklękłam przed nim. Ruch sprawił, że musiał odsunąć się krok od łóżka. Moja twarz znalazła się przy tym jedwabistym sterczącym kawałku mięsa. Nabrał powietrza, by coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo wzięłam go do buzi. Przebiegłam rękami do tyłu, złapałam go za pośladki i wbiłam w nie paznokcie.

Krzyknął, jego ciało wyprężyło się, idąc na spotkanie moich ust. Zwykle lubiłam spoglądać na męskie ciało, by zobaczyć reakcję, ale nie tym razem. Nie chciałam widzieć. Obciągałam go, ssałam, posługiwałam się językiem, ustami, wargami i - delikatnie - zębami.

Jego oddech nabrał tego przyspieszonego rytmu, który mówił mi, że albo przerwę, albo złamię zakaz królowej. Moc powróciła, przebiegając mocnym szumem energii po moim ciele, a tam, gdzie go dotykałam, rozlegało się buczenie. Miałam wrażenie, że jego członek wibruje w moich ustach i nagle wyobraziłam sobie, co mogłabym czuć, gdybym go miała między nogami. Obraz ten był silny, musiałam się od niego wyzwolić. Otworzyłam oczy i ujrzałam białą skórę, prawie błyszczącą od mocy.

Popatrzyłam w górę. Każdy cal jego ciała błyszczał. Końce mniejszych macek błyszczały jak czerwone żary, wyższe zmieniały kolor. Łagodna czerwień, delikatniejszy fiolet, wiązki złota jak kolor jego oczu pulsujące pod superbielą jego skóry dawały przepiękny widok.

Wpatrzyłam się w niego i w tej chwili wszystko, co widziałam, wydawało mi się piękne. Był istotą wyrzeźbioną ze światła, wypełnioną kolorami i magią. Moc wypływała z niego w pieszczocie skóry, wibrowaniu ciała, obejmując mnie jak coś niewidzialnego, żywy jedwabny koc. Chciałam wejść w to, czuć, jak mnie obejmuje.

- Rozpuść włosy. - Mój głos brzmiał obco, jakby to ktoś inny mówił.

Sholto rozpuścił włosy i potrząsnął nimi. Włosy spadły mu do kolan, błyszcząc jak nowy śnieg. Złapałam w dwie garści te włosy i pociągnęłam lekko. Od tak dawna nie miałam w rękach włosów, które mogły otulić moje ciało tak jak te... Miałam wrażenie, jakbym trzymała w rękach żywy atlas. Opuściłam miseczki stanika, wyswobadzając piersi. Przesunęłam po nich tymi włosami. Ten jeden dotyk sprawił, że zadrżałam - tym razem z pożądania.

Popatrzyłam na niego, wciąż klęcząc. - Czy myślisz, że dalej będziemy grzeczni, gdy przejedziesz swoimi włosami po moim nagim ciele?

Każdy kolor w jego tęczęwkach żarzył się; kręgi wyglądały prawie tak, jakby wirowały, jak oko cyklonu. Roześmiał się. - Czy mam skłamać i powiedzieć „tak”?

Podniosłam rękę, błyszczącą, prawie świecącą, by przeciągnąć nią wzdłuż jego ciała. Tak, skłam dla mnie, jeśli dzięki temu nie przestaniemy.

- Niebezpieczne słowa - powiedział cicho.

- Niebezpieczne czasy - odparłam i polizałam go. Jego ciało zareagowało, głowę odrzucił do tyłu, oddech stał się przerywany.

- Meredith - powiedział tonem, który mężczyźni rezerwują na najbardziej intymne okazje. Brzmienie jego głosu sprawiło, że moje ciało napięło się w miejscach, których nie mógł zobaczyć, nie mówiąc już o dotykaniu.

Nagle drzwi otwarły się na oścież, rozpryskując na wszystkie strony kawałki drewna. Sholto zatoczył się, lecz dalej stał; ja wylądowałam na podłodze, wyglądając zza jego nóg. Ujrzałam ciemną postać poruszającą się niewyraźnie, potem Sholto zniknął za łóżkiem.

W drzwiach stanęła na mgnienie oka Szara Nerys, po czym ruszyła do mnie. Rzuciłam się w stronę łóżka i rewolweru schowanego pod poduszką, choć wiedziałam, że nie zdążę.

Rozdział 14

Musiałam odwrócić się plecami do wiedzy, żeby mieć jakąkolwiek szansę na wyciągnięcie rewolweru. Włożyłam rękę pod poduszkę i szpony przejechały po moich nagich plecach. Krzyknęłam, wciąż szukając broni. Złapała mnie za ramiona i cisnęła na podłogę. Uderzyłam o nią mocno, bezbronna, a Nerys znalazła się na mnie, zanim zdołałam złapać oddech.

Kopnęłam ją, a ona przejechała mi szponami po nodze. Próbowałam znów ją kopnąć i wstać, ale

nie dała mi szansy. Zaatakowała, tnąc powietrze, moje spodnie, ciało pod nimi, aż doczołgałam się pod ścianę, skąd nie miałam już drogi ucieczki.

Zaczęła wrzeszczeć do mnie: - On jest nasz! Nasz! Nasz! - Każde słowo podkreślone było ciosem. Zasłoniłam się, ale zaczęła rozdrapywać skórę na moich rękach, a ja nie mogłam jej powstrzymać.

Myślałam, że blask odejdzie wraz z przerażeniem i bólem, ale wciąż błyszczałam. Krew tryskała z moich rąk świetlistym karmazynem, zupełnie jakby i ona błyszczała. Czułam moc, gdy ciepła pięść uderzała w moje ciało, ale nie był to żaden rodzaj magii, jaki czułam kiedykolwiek wcześniej. Moc przechodziła przeze mnie, a moje ciało zaczęło błyszczeć tak jasno, że wiedźma zawahała się.

Potem zaczęła wrzeszczeć: - Obedrę cię ze skóry, to przestaniesz świecić! - Cięła moje ramiona, aż w końcu zaczęłam krzyczeć i ujrzałam rękę o czarnych szponach podążającą w kierunku mojej twarzy oraz oczu.

Przyłożyłam jej prosto między piersi i moc rozlała się po moich rękach. Poczułam trzask. Wiedźma przestała mnie okładać i uklękła nade mną. Poczułam ból, miałam wrażenie, jakby każda cząstka mojego ciała zajmowała się ogniem. Krzyknęłam i spróbowałam ją powstrzymać, ale ból rósł coraz bardziej, dopóki Nerys nie zaczęła szarżeć. Byłam bliska utraty przytomności z bólu, a jeśliby się tak stało, Nerys zabiłaby mnie.

Czułam, jakby moje ciało było rozrywane rozgrzanymi do czerwoności nożami. W końcu wydobyłam z siebie głos i zaczęłam krzyczeć, a Nerys zawtórowała mi. Oderwała się ode mnie, podpełzła do krawędzi łóżka. Popatrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczami, na jej wykrzywionej twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. Jej skóra zaczęła się... rozpuszczać - to było jedyne słowo, jakie mogłam znaleźć. Jej skóra zaczęła się rozpuszczać, odpadać od ciała jak rękawiczka.

- Nie, nie! - krzyczała.

Jej ciało zaczęło zapadać się pod nią, kości zaczęły wypadać, mięśnie prześlizgiwać się na powierzchnię jak kłody rzucone do wody. Jej krew pokryła dywan, potem zaczęły z niej wypływać ciemniejsze płyny. Widziałam, jak serce przemieszcza się na zewnątrz, ciągnąc za sobą inne organy wewnętrzne. Krzyczała bardzo długo i nawet gdy już stała się bezkształtną bryłą mięsa, wciąż można było usłyszeć jej krzyki, przytłumione, odległe, ale żywe. Nerys była nieśmiertelna - bycie wywróconym na drugą stronę nie zmieniło tego.

Mój ból przygasł teraz jak amputowana kończyna, która wciąż boli. Widziałam, jak mój ojciec robił tego rodzaju rzeczy. To był jeden z jego darów, ten, któremu zawdzięczał tytuł Księcia Ciała.

Zaczęłam czołgać się do drzwi, obserwując tę pulsującą, poruszającą się bryłę, w którą zamieniłam Nerys. Kiedy przedostałam się do końca łóżka, zobaczyłam Czarną Agnes siedzącą okrakiem na Sholcie. Trzymała ten świecący kawałek jego ciała głęboko w sobie. Walczył, ale trzymała go za ręce, przyszpilając jego ciało do podłogi, podczas gdy go ujeżdżała. Pomiędzy istotami magicznymi są stworzenia fizycznie silniejsze od sidhe. Wiedźmy są tego przykładem.

Wybiegłam przez roztrzaskane drzwi. Głos Agnes biegł za mną w dół korytarza. Nerys, zabij tę białą sukę. - Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałam, było zawodzące: - Nerys?

Zanim rozległy się następne krzyki, byłam już w windzie. Jeśli Czarna Agnes przedtem chciała mnie zabić, to, co zrobiłam jej siostrze, z pewnością nie wpłynie na zmianę jej decyzji. Jazda do hotelowego holu niemiłosiernie się dłużyła. Trzęsłam się, było mi zimno. Uniosłam ręce. Były zakrwawione, bolały tym ostrym bólem, który może wywołać jedynie cięcie. Lewa ręka była w gorszym stanie, na przedramieniu widziałam kość. Krew leciała z tej rany czerwonym strumieniem na podłogę windy. Moje spodnie były prawie purpurowe od krwi.

Byłam w takim stanie, że mogłam działać pod wpływem szoku, ale nie sądziłam, by to był on. To

raczej magia. Zrobiłam coś, co było możliwe tylko dzięki mocy. Zrobiłam to samo, co robił mój ojciec. To była jego najstraszniejsza moc. Używał jej wręcz z żalem, bo jego ofiary nie umierały. Nerys nie umrze. Została schwytana w pułapkę własnego ciała i pozostanie w niej na zawsze. Miała być odtąd niewidoma, nie mogła jeść ani oddychać, ale nigdy nie umrze. Nigdy.

Krzyk uwiązał mi w gardle i wiedziałam, że jeśli się stamtąd wydostanie, nie będę go mogła opanować, aż znajdzie mnie Agnes i wyrwie mi oczy. Moja koszula, żakiet i rewolwer zostały w pokoju. Nie miałam niczego, co mogłabym użyć jako opatrunku. Poprawiłam stanik, zakrywając piersi.

Drzwi windy otworzyły się. Dwoje ludzi o mało nie weszło do środka. Zobaczyli mnie. Szok, strach na ich twarzach. Pozwolili, by drzwi się zamknęły. Zapomniałam o mojej osłonie. Nie mogłam pojawić się w holu hotelu w takim stanie.

Osobista osłona była moim najsilniejszym zaklęciem, mimo to walczyłam, walczyłam jak nigdy dotąd, by zarzucić na siebie jego woalkę. Wszystko, co mogłam zrobić, to sprawić, by ludzie nie widzieli, że jestem ranna i że na górze mam na sobie tylko biustonosz. Nie mogłam się skoncentrować na zmianie swojego wyglądu. Musiałam użyć osłony, żeby ukryć się przed slughami, ale nie mogłam sobie wyobrazić swojej nowej postaci. A bez wyobrażenia sobie, jak mam wyglądać, nie mogłam użyć osłony.

Drzwi windy otworzyły się i wyszłam do hotelowego holu. Nikt nie zaczął krzyczeć ani pokazywać na mnie palcami, więc osłona jednak działała. Wszystko grało. Musiało. Potem zobaczyłam Złotą Segnę, która siedziała na pluszowej owalnej kanapie pośrodku holu. Spojrzała na mnie zwięzonymi żółtymi oczami.

Odwróciłam się na pięcie, skierowałam do tylnego wyjścia i ujrzałam kilka jardów dalej Gethina w hawajskiej koszulce i czapce baseballówce. Popatrzyłam na ożywiony, zajęty sobą tłum wypełniający hol, na wszystkich tych roześmianych ludzi, i wiedziałam już, że jeśli zabiją mnie tutaj na tym kwiecistym dywanie, nikt nawet tego nie zauważy, dopóki moje ciało nie gruchnie o ziemię, a moi zabójcy się ulotnią.

Z miejsca, w którym stałam, widać było toaletę dla kobiet. Nie zastanawiając się dłużej, poszłam w jej kierunku. Kiedy drzwi się za mną zamknęły, odwróciłam się i narysowałam na nich znaki ochrony i siły. Uchodziło ze mnie tyle krwi, że mogłabym nią napisać list. Przycisnęłam rękę do drzwi i wezwałam moc. Trochę się bałam robić to po tym, co się stało w pokoju na górze, ale nie miałam wyboru. Wlałam swoją moc w drzwi, w runy na nich, i wiedziałam, że żadna istota magiczna nie będzie w stanie ich sforsować. Wiedziałam to, ponieważ taka była moja wola, a jako sidhe strzegłam tych drzwi swą własną krwią. Rzadko się to robiło - to kosztuje zbyt dużo mocy, nie mówiąc już o tym, że jest niehigieniczne - ale tego wieczoru nie miałam wyjścia. Musiałam mieć czas do namysłu.

Przeszłam przez mały hol z sofą i rzędem luster do właściwej toalety. To, co ujrzałam na przeciwnej ścianie, uświadomiło mi, że nie potrzebowałam czasu do namysłu: mogłam uciec. Wysoko na ścianie znajdowało się okno. Wszystko, co musiałam zrobić, to się do niego dostać.

Złapałam garść papierowych ręczników, które miały mi posłużyć za prowizoryczne opatrunki, i zaczęłam szukać czegoś, na czym mogłabym stanąć, żeby dosięgnąć okna. Zaraz po tym, jak znajdę się na zewnątrz, będę musiała skorzystać z pomocy lekarza. Ale najpierw musiałam się stąd wydostać - w przeciwnym razie zamiast lekarza potrzebny będzie koroner.

- Mała sidhe, mała sidhe, wpuść mnie do środka - rozległ się jakiś głos. Nie był to głos żadnej z wiedźm, więc domyśliłam się, że to Gethin.

Nie dałam mu wypowiedzieć następnej linijki. Jeśli chciał cytować bajki dla dzieci, to jego sprawa. Ja zamierzam stąd uciec. W końcu wzięłam jedno z krzesel do kabiny znajdującej się najbliższej

okna. Weszłam na nie, podskoczyłam i złapałam się krawędzi ściany. Krzesło przewróciło się. Wisiałam tak przez chwilę, po czym zaczęłam się wspinać po ścianie kabiny. Moje rany zaczęły mocniej krwawić. Dwa razy poślizgnęłam się na własnej krwi, zanim zdołałam przysiąść na górze kabiny i wyrzucić przez okienko. Okienko było naprawdę niewielkie i to była jedna z tych chwil, kiedy cieszyłam się, że jestem mała.

Balansowałam między łazienkową kabiną a parapetem, kiedy coś uderzyło w okno. Przed oczami mignęły mi macki i ostry dziób uderzył w szybę, gdy spadałam na podłogę. Musiałam wspiąć się z powrotem do okna - nie po to, żeby przez nie uciec, ale żeby nałożyć na nie ochronę. Gdy już to zrobiłam, oni nie mogli się dostać do środka, ale też ja nie mogłam wyjść na zewnątrz.

Byłam w pułapce, tracąc coraz więcej krwi, i nie miałam żadnego pomysłu. Jeśli nie mogłam zrobić nic innego, powinnam przynajmniej spróbować powstrzymać krwawienie. Urwałam papierowy ręcznik i podeszłam do kranu. To, czego naprawdę potrzebowałam, to kawałek materiału lub mocnego sznurka do przymocowania ręczników. Popatrzyłam w lustro, żeby zobaczyć, jak głęboka była rana na moim lewym ramieniu. I wtedy coś zobaczyłam. Daleko, w lustrze poruszyło się coś czarnego i małego zarazem.

Odwróciłam się, przyciskając ręczniki do rany, żeby obejrzeć hol. Kabiny były bladnoróżowe, takie same ściany. Nawet rury, które sterczały ze ścian i sufitu, były pomalowane na różowo. Nie było tu nic ciemnego z wyjątkiem moich spodni i biustonosza, a z pewnością nie je przed chwilą widziałam.

Odwróciłam się do lustra i to coś wciąż w nim było. Jakaś ciemna plamka idąca po kryształowej tafli, podchodząca bliżej, coraz większa. Nie musiała to być sidhe, która próbowała mnie zabić u Alistaira Nortona, bo większość sidhe wykorzystuje lustro w swojej magii. Jeśli już, to raczej slughowie próbowali się do mnie w ten sposób dostać. Nie mogłam nałożyć ochrony na lustro - to nie były drzwi albo okno. Żeby przejść przez lustro, trzeba mieć większe zdolności magiczne niż ja. Nie mogłam tego czegoś powstrzymać.

Drzwi otworzyły się, a moje serce prawie przestało bić, ale to były tylko dwie kobiety. Dwie zwyczajne kobiety, które musiały być pozbawione jakichkolwiek zdolności magicznych, skoro udało im się tu wejść. Dziwnie na mnie popatrzyły, po czym weszły do sąsiadujących ze sobą kabin, śmiejąc się i rozmawiając. Widziały mnie ubraną i nie zakrwawioną, bo taki obraz siebie stworzyłam. Dobrze wiedzieć, że działał.

Nie wiedziałam, co robić. I wtedy zauważyłam, że plamka w lustrze zmieniła się w malutkiego pajęczka. Pająk był wewnątrz lustra, po drugiej stronie jego powierzchni. Wyglądał jak pająki, które pomogły mi w domu Nortona. To była istota, która mnie wtedy uratowała. Jeśli ktoś mógł mnie uratować teraz, to właśnie ona.

Oddarłam kawałek ręcznika i napisałam własną krwią: POMÓŻ MI. Poczekałam, aż krew trochę przyschnie, po czym zmięłam papier, formując ścisłą, twardą kulkę. Za mną rozległ się odgłos spuszczonej wody w toalecie. Nie miałam czasu.

Przejechałam palcami tuż przy tafli lustra, uważając, by jej nie dotknąć, ponieważ nie wiedziałam, co to było za zaklęcie. Wyczuwałam drgającą linię mocy tam, gdzie magia została naciągnięta jak struna. Wyczułam w lustrze malutkie pęknięcie. Czy ten ktoś wykorzystał je, czy sam je zrobił, nie miałam pojęcia. Nacisnęłam palcami na szkło i pomyślałam o gorącu, w którym powstało to lustro. Przejechałam palcami po powierzchni i szkło zaczęło się rozplýwać jak wata cukrowa w letni dzień. W lustrze utworzyła się dziura i wytrysnęła smuga białego, oślepiającego światła, jak odległy błysk brylantów.

Włożyłam w tę dziurę kulkę z papieru. Wygładziłam lustro z powrotem, jakbym modelowała glinę. Zrobiłam to odsłoniętą ręką. Za mną otworzyły się drzwi. Czas minął. Na lustrze została malutka

plamka. Przysunęłam się do niej, udając, że sprawdzam nie istniejącą szminkę, zasłaniając widok. Pierwsza kobieta otworzyła torebkę i naprawdę zaczęła poprawiać szminką usta. Ja jednak nie patrzyłam na swoje usta. Patrzyłam na pajęczka w dole lustra. Zobaczyłam cienkie ramiona poruszające się, otwierające mój list. W holu rozległ się męski tubalny głos: - Zrobione. Kobieta przed lustrem drgnęła. - Słyszała to pani? - spytała.

- Co? - Udałam zdziwienie.

- Julie, czy ty to słyszałaś?

- To znaczy, co? - spytała z kabiny jej przyjaciółka. Rozległ się odgłos spuszczonej wody i Julie dołączyła do swojej towarzyszk przy umywalce.

Ku memu przerażeniu, pajak zaczął rosnać. Zamierzał wyjść z lustra. Nie miałam dość osłony, żeby go zakryć. Szlag by to!

Zaczęłam myśleć, w jaki sposób odwrócić uwagę kobiet, i nagle wpadłam na pewien pomysł. Podeszłam do kontaktu i zgasłam światło. Gdy tylko ciemność otoczyła nas jak czarna ściana, poczułam nacisk. Wiedziałam, że ktoś wyszedł z lustra, jakby podnosząc grubą kryształową kurtynę. Przełknęłam, żeby oczyścić uszy, i zaczęłam się zastanawiać, co zrobić z dwiema piszczącymi kobietami.

Rozdział 15

Stałam, wyczuwając kogoś poruszającego się w ciemności i wiedziałam, że to nie są ani kobiety, ani ja.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - spytała jedna z kobiet.

- Zgasło światło - powiedziałam.

- Cóż za spostrzegawczość - zadrwiła kobieta. - Chodźmy stąd, Julie. - Usłyszałam, jak po omacku idą w kierunku drzwi.

Gdy wychodziły do holu, w czerń wsączyła się na chwilę smuga światła, po czym zniknęła, gdy zamknęły za sobą drzwi.

I wtedy w ciemności ujrzałam migoczący żółto-zielony płomień. Płomień rzucał cienie na ciemną, bardzo ciemną twarz.

Skóra Doyle'a nie była brązowa - była czarna. Wyglądał, jakby został wyrzeźbiony z hebanu. Jego kości policzkowe były wysoko osadzone, broda odrobinę zbyt ostra, jak na mój gust. Jego kości wyglądały zwodniczo delikatnie, jak kostki ptaka, ale wiedziałam, jak kiedyś został uderzony z całej siły toporem. Krwawił, ale nie miał żadnego złamania.

W chwili gdy go ujrzałam, strach oblał mnie falą chłodu, aż poczułam mrowienie w koniuszkach palców. Gdyby nie to, że już raz uratował mi życie, byłabym pewna, że chce mnie zabić. Był prawą ręką królowej. Zwykła mawiać: - Gdzie moja Ciemność? Dajcie mi moją Ciemność. - I ktoś ginął albo krwawił, albo i to, i to. To Doyle powinien otrzymać zadanie usunięcia mnie, nie Sholto. Czy uratował mnie wcześniej tylko po to, by mnie teraz zabić?

- Nie żywię w stosunku do ciebie złych zamiarów, księżniczko Meredith.

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, mogłam odetchnąć. Doyle nie uprawiał gier słownych. Mówił to, myślał, myślał to, co mówił. Problem w tym, że zwykle mówił rzeczy w stylu: - Przyszedłem cię zabić. - Tym razem jednak oświadczył, że nie robi mi krzywdy. Dlaczego, czy też raczej: dlaczego nie?

Znajdowałam się w pułapce, uwięziona w damskiej toalecie. Koniec końców slughowie dopadną mnie tu, a wcale nie byłam pewna, czy Sholto zdoła mnie przed nimi obronić. Gdyby to był ktoś inny, a nie Doyle, pewnie rzuciłabym mu się z ulgą w ramiona albo przynajmniej pozwoliła sobie zemdleć z utraty krwi. Ale to był Doyle, a on po prostu nie był osobą, w której ramiona padasz, w każdym

razie bez sprawdzenia, czy może trzyma właśnie nóż.

- Czego chcesz? - spytałam. Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzałam, bardziej gniewnie, ale ani myślałam zacząć przeproszać za ton. Usiłowałam opanować drzenie, ale nie udało mi się. Wciąż krwawiłam z ran na rękach, krew spływała po spodniach. Miałam wrażenie, że jakiś robak pełźnie po mojej skórze. Potrzebowałam pomocy i nie mogłam ukryć przed nim tego faktu. To z góry stawiało mnie na przegranej pozycji. Kiedy układasz się z królową, trudno wyobrazić sobie gorszą. A nie miałam złudzeń, że gdy rozmawiam z Doyle'em, to tak jakbym rozmawiała z królową, chyba że w ciągu ostatnich trzech lat stosunki na dworze drastycznie się zmieniły.

- Chcę być posłuszny mojej królowej we wszystkim. - Jego głos był taki, jak jego skóra - ciemny. Kojarzył mi się z melasą i innymi gęstymi słodyczami. Głos na tyle głęboki, że przyprawiał mnie o drzenie.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie - powiedziałam.

Jego włosy wyglądały na bardzo krótkie i przylegające do głowy, czarne, choć nie tak czarne jak skóra. Wiedziałam jednak, że wcale nie są krótkie. Jego włosy zawsze spadały grubym warkoczem na plecy. Nie mogłam ich dojrzeć, ale wiedziałam, że jego warkocz sięga aż do kostek. Warkocz odsłaniał końcówki jego spiczastych uszu.

Z kolczyków tkwiących w tych niezwykłych uszach dobywały się zielone płomienie. Dwa małe diamentowe ćwieki zdobiły czarne płatki uszu, a dwa czarne klejnoty, prawie barwy jego skóry, umiejscowione były za diamentami. Oprócz tego w jego uszach tkwiły jeszcze małe srebrne koła.

Kształt jego uszu ujawniał, że, podobnie jak ja, był mieszanej krwi. Tylko uszy to zdradzały i mogłyby ukrywać je pod włosami, ale nigdy tego nie robił.

Spojrzałam niżej na mały srebrny naszyjnik, który był jedyną ozdobą, poza kolczykami, jaką nosił. Mały srebrny pajaczek o tłustym ciałku, wykonany z jakiegoś ciemnego klejnotu na czarnym ubraniu.

- Powinnam była pamiętać, że twoim znakiem jest pajak.

Uśmiechnął się zdawkowo, co jak na niego było niezwykłym wyrazem emocji. - W normalnych okolicznościach dałbym ci czas, żebyś przyzwyczaiła się do mojej obecności, ale twoja ochrona nie jest wieczna. Musimy działać, jeśli masz być uratowana.

- Królowa wysłała lorda Sholta, żeby mnie zabił. Dlaczego wysłała ciebie, żebyś mnie uratował? To bez sensu, nawet jak na nią.

- Królowa nie wysłała Sholta.

Przyjrzałam mu się uważnie. Czy powinnam mu wierzyć? Sidhe bardzo rzadko otwarcie oszukują. Ale któryś z nich musiał kłamać. - Sholto powiedział, że wisi nade mną wyrok śmierci.

- Pomyśl, księżniczko. Jeśli królowa Andais naprawdę chciałaby twojej śmierci, kazałaby cię sprowadzić do domu, żeby cały dwór widział, co może spotkać sidhe, która uciekła. Zrobiłaby pokazówkę. - Przemierzał teraz hol, rozganiając rękami płomień. - Nie zabiłaby cię po kryjomu, z dala od wszystkich. - Płomień zebrał się z powrotem, jak krople wody kapiące z talerza, dalej tańcząc przy koniuszkach jego palców.

Położyłam rękę na krawędzi umywalki. Jeśli ta rozmowa wkrótce się nie skończy, wyląduję na kolanach. Jak dużo krwi już straciłam? Jak dużo krwi wciąż tracę?

- Chodzi ci o to, że królowa chciałaby widzieć, jak umieram - powiedziałam.

- Tak.

Coś załomotało w okno tak mocno, że całe pomieszczenie zdawało się trząść. Doyle podążył za tym dźwiękiem, dobywając zza pleców duży nóż albo mały miecz. Zielonkawe płomienie wystrzeliły w powietrze nad jednym z jego ramion jak posłuszne zwierzę.

Światło zagrało na ostrzu i rękojeści wykonanej z kości. Na rękojeści wyrzeźbione były trzy wrony,

połączone ze sobą, z rozwartymi skrzydłami i dziobami pełnymi klejnotów.

Osunęłam się na podłogę, jedną ręką trzymając się umywalki.

- Przecież to Śmiertelny Strach. - Był to jeden z ulubionych mieczy królowej. Nie słyszałam nigdy, żeby pożyczala go komuś z jakiegokolwiek powodu.

Doyle odwrócił się wolno od pustego okna. Krótki miecz zabłysł odbitym światłem. Czy teraz wierzysz, że królowa wysłała mnie, żebym cię ochraniał?

- Albo to, albo zabię ją dla tego miecza.

Popatrzył na mnie, a wyraz jego twarzy mówił, że nie widział w tym stwierdzeniu nic śmiesznego. To dobrze, bo nie było mi wcale do śmiechu. Śmiertelny Strach był jednym z najcenniejszych skarbów Dworu Unseelie. Przy wykuwaniu dodano do niego śmiertelną krew, dzięki czemu można nim było zabić każdą istotę magiczną, nawet sidhe. Do tej pory myślałam, że jedyny sposób na wejście w posiadanie tego miecza to wyjęcie go z zimnych, martwych rąk mojej ciotki.

Coś dużego uderzało w okno raz za razem. Miałam nadzieję, że będą próbowali zniszczyć moją ochronę za pomocą magii, co zajęłoby im trochę czasu, lecz oni postanowili po prostu rozwalić to, na co nałożyłam ochronę. Jeśli nie będzie okna, nie będzie też ochrony. Czasami brutalna siła skutkowała, czasami nie. Tej nocy zdawała się skutkować. Rozległ się ostry dźwięk tłuczonego szkła, pękającego wokół drutu, który biegł przez szybę. Gdyby szyba nie była zbrojona, już dawno byłaby zbita.

Doyle ukląkł przy mnie, miecz wycelował w dół, jakby trzymał załadowany rewolwer.

- Nie mamy czasu, księżniczko.

Skinęłam głową. - Słucham cię.

Wyciągnął do mnie swoją wolną prawą rękę. Wzdrygnęłam się, siadając na podłodze.

- Muszę cię dotknąć, księżniczko.

- Dlaczego?

Szkoło pękło już na tyle, że do pomieszczenia wpadł wiatr. Słyszałam coś dużego ocierającego się o ścianę i wysokie świergotanie nocnych myśliwców nawołujących swych braci.

- Mogę zabić niektóre z nich, ale nie wszystkie. Oddam za ciebie życie, jeśli będzie potrzeba, ale to może nie wystarczyć, nie przeciwko całej armii sluaghów. - Pochylił się tak nisko, że albo pozwoliłabym mu się dotknąć, albo upadłabym plecami na podłogę.

Wyciągnęłam do niego rękę, dotykając jego skórzanej kurtki. Dalej się nachylał i moja dłoń napotkała czarny T-shirt pod kurtką. Poczulałam coś mokrego. Wyszarpnęłam rękę. W półmroku ujrzałam, że moja dłoń pokryta jest czymś czarnym.

- Krwawisz - powiedziałam.

- Sluaghom bardzo zależało na tym, żebym cię nie odnalazł tej nocy.

Musiałam sięgnąć jedną ręką za siebie, żeby się podeprzeć. Był tak blisko, że o mało nie upadłam. Wystarczająco blisko, by pocałować albo zabić.

- Czego chcesz?

Szyba za nami roztrzaskała się, pokrywając podłogę gradem odłamków. - Wybacz, ale nie czas na wyjaśnienia.

Upuścił miecz na podłogę i złapał mnie za ramiona. Przyciągnął mnie do siebie i w tej chwili uświadomiłam sobie, że chce mnie pocałować.

Byłam przygotowana na śmierć, ale nie na pocałunek... Straciłam głowę. Jego skóra pachniała jak jakaś egzotyczna przyprawa. Wargi były miękkie, a pocałunek delikatny. Drżałam w jego ramionach, zbyt zaszokowana, by wiedzieć, co robić, zupełnie jakby rzucił na mnie zaklęcie. - Powiedziała, że to musi być dane tobie, tak jak dane było mnie - wyszeptał mi do ust. W jego szepcie było trochę

gniewu.

Usłyszałam, że coś ciężkiego wpadło przez okno. Doyle puścił mnie tak nagle, że upadłam do tyłu na podłogę. Podniósł miecz, odwrócił się i ruszył przez hol. Wbił miecz w czarną mackę tak wielką jak on, która wsunęła się przez roztrzaskane okno. Po drugiej stronie okna coś krzyknęło. Wyszarpnął miecz z macki, a ona zaczęła wycofywać się przez okno. Doyle poszedł za nią. Uniósł miecz nad głowę i opuszczył go z siłą, która zamieniła ostrze w błyszczącą smugę. Odcięty kawałek macki upadł w powodzi krwi, która w zielonkawożółtym świetle przypominała czarną wodę.

Reszta macki wyslizgnęła się przez okno wśród krzyków przypominających wycie wiatru. Doyle odwrócił się do mnie. - To powinno ich zatrzymać, ale nie na długo. - Podszedł do mnie z ociekającym krwią mieczem. Wszystko to trwało ledwie kilka sekund. Udało mu się nawet tak stanąć, że krew go nie pobrudziła, zupełnie jakby wiedział, gdzie wytryśnie.

Patrząc na niego, nie mogłam ustać w miejscu. Był tutaj, żeby uratować mi życie, ale gdy się do mnie zbliżał, instynktownie chciałam krzyczeć. Szedł do mnie z mieczem, wyrzeźbiony z ciemności i półmroku, niczym wcielenie śmierci. W tej jednej chwili uświadomiłam sobie, dlaczego ludzie padają przed nami na kolana i oddają nam cześć.

Podniosłam się, opierając się o umywalkę, bo nie chciałam kuć przed nim jak ścigana zwierzyna. Musiałam stanąć przed nim albo uklonić się mu jak wyznawca. Hol zawirował mi przed oczami; byłam tak osłabiona, że bałam się, że za chwilę upadnę, ale stałam, zaciskając ręce na zlewie. Kiedy przejaśniło mi się przed oczami, stałam wyprostowana, a Doyle był tak blisko, że widziałam zielone błyski jego oczu.

Nagle przyciągnął mnie do siebie. Jego zakrwawiona koszula przykleiła się do mojej skóry. - Królowa nałożyła na mnie swój znak, żebym przekazał go tobie. Kiedy już go otrzymasz, wszyscy będą wiedzieć, że zrobienie ci krzywdy to zdanie się na łaskę i niełaskę królowej.

- Pocałunek - domyśliłam się.

Skinął głową. - Powiedziała, że to musi być dane tobie, tak jak dane było mnie. Wybacz. - Pocałował mnie, zanim zdążyłam zapytać, co właściwie mam mu wybaczyć.

Całował mnie, jakby starał się dostać poprzez moje usta do wnętrza mojego ciała. Nie spodziewałam się tego i nie wyraziłam na to zgody. Próbowalam się oderwać od niego, ale objął mnie mocno jedną ręką, podczas gdy drugą trzymał moją twarz, wbijając palce w podbródek. Nie mogłam nic zrobić.

Walka nic nie dała, więc przestałam i otworzyłam usta, odwzajemniając mu pocałunek. Zadrżał, myśląc najwyraźniej, że to oznacza przyzwolenie. Nie oznaczało. Chwyciłam jego czarną koszulkę i zaczęłam wyciągać ją zza spodni. Była tak mokra od krwi, że przykleiła się do jego skóry, ale w końcu udało mi się ją wyciągnąć. Przebiegłam rękami po jego brzuchu do piersi. Jego dłoń ugniatała moje nagie plecy.

Na jego piersi natrafiłam na ranę. Było to szerokie, głębokie cięcie. Zanurzyłam palce w ranie; zeszywniał i poczułam, że reaguje na ból. Myślałam, że teraz mnie już uwolni, ale wtedy znak królowej wypełnił jego usta i wślizgnął się w moje.

Moje usta wypełniła słodka moc. Sączyła się ona z ciała Doyle'a, jakbyśmy ssali tę samą ciągutkę. Moc weszła w nas, roztopiając się pomiędzy nami w długim słodkim włóknie. Nappełniła nas po brzegi ciepłem, jak grzane wino, a potem przebiegła w dół naszych ciał, by w końcu rozejść się płynnie po naszych skórkach.

Doyle oderwał się ode mnie. Upadłam na podłogę, tym razem nie z powodu upływu krwi, a z wrażenia.

Patrzyłam na świat jak przez mgłę. Doyle pochylał się nad umywalką z opuszczoną głową, tak jakby jemu też było słabo. Usłyszałam, jak mówi: - Pani, oszczędź mnie.

Nie dowiedziałam się, co to znaczy, bo drzwi nagle otworzyły się gwałtownie, uderzając o jedną z kabin. W wejściu pojawił się Sholto. Zrzucił szary płaszcz, odsłaniając nagi tors, i ukazały się na nim macki, jakby jakiś potwór usiłował wyjść z jego ciała.

Usłyszałam za sobą hałas. Gdy się odwróciłam, ujrzałam Doyle'a z wyciągniętym przed siebie mieczem. Poczułam moc Sholta, rosnącą jak wiatr wpadający przez otwarte drzwi. Nagle uświadomiłam sobie, że każdy z nich myśli, że ten drugi chce mnie zabić.

- Nie! - zdążyłam krzyknąć.

Płomień Doyle'a zgasł i zapadła całkowita ciemność, w której rozległ się odgłos poruszających się ciał.

Rozdział 16

- Przestańcie, przestańcie w tej chwili! - krzyknęłam. Usłyszałam ciało uderzające o ciało, kroki w ciemności, czyjs ciężki oddech, potem hałas.

- Przestańcie, do ciężkiej cholery! Żaden z was nie chce mnie zabić. - Nie wiedziałam, czy mnie nie słyszeli, czy puścili moje słowa mimo uszu. W ciemności widać było błysk miecza, więc nie mogłam ot, tak sobie podejść do włącznika światła - musiałam się do niego doczołgać. Prawą ręką trzymając się umywalek, lewą sprawdzałam, co jest przede mną.

Walka toczyła się w prawie całkowitej ciszy. Słyszałam, jak siłują się ze sobą. Rozległ się krzyk i zaczęłam się modlić, żeby któryś z nich nie zginął. Prawie uderzyłam w ścianę, wyczuwając ją w ostatniej chwili. Podciągnęłam się trochę, aż znalazłam kontakt. Włączyłam światło i w pomieszczeniu zrobiło się nagle oślepiająco jasno. Zmrużyłam oczy.

Dwaj sidhe szczepieni byli razem. Doyle był na kolanach, wokół szyi miał mackę. Sholto był cały we krwi. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że jedna z jego macek została odcięta i leży, drgając przy kolanie Doyle'a. Doyle wciąż miał miecz, ale Sholto ręką i dwiema mackami utrzymywał go z dala od swojego ciała. Ich pozostałe ręce były szczipione ze sobą, jakby siłowali się dla zabawy. Tyle że to nie była zabawa. Właściwie byłam zaskoczona, że Sholto jakoś się trzyma. Doyle był niekwestionowanym mistrzem Dworu Unseelie. Niewielu z nim wygrało, mimo że wielu walczyło. Sholto nie znajdował się na tej krótkiej liście, w każdym razie tak mi się wydawało. I wtedy ujrzałam coś kątem oka: mały błysk. Kiedy spojrzałam w tym kierunku, nic nie zobaczyłam. Magia czasami taka jest widoczna jedynie kątem oka. Na ręce Sholta coś błyszczało: pierścień.

Miecz wyslizgnął się z ręki Doyle'a, a on sam zaczął wiotczeć w objęciach Sholta. Zanim miecz upadł na ziemię, Sholto chwycił go. Macki wciąż otaczały rękę Doyle'a. Zaczęłam podchodzić, zanim miałam czas pomyśleć, co zrobię, kiedy będę już przy nich.

Sholto, trzymając zwiotczone ciało Doyle'a mackami, uniósł dwiema rękami miecz, najwyraźniej zamierzając przeszyć nim pierś Doyle'a. Byłam za Doyle'em, gdy ostrze zaczęło opadać. Przewiesiłam się przez niego, z jedną ręką uniesioną, ze spojrzeniem utkwionym w tym błyszczącym ostrzu. Przez jedno uderzenie serca zastanawiałam się, czy Sholto zatrzyma się na czas... zatrzymał.

- Co ty robisz? - spytał, kierując ostrze w sufit.

- On przyszedł, żeby mnie uratować, nie zabić.

- To Ciemność Królowej. Jeśli chce ona twojej śmierci, jest narzędziem w jej rękach.

- Ale on ma Śmiertelny Strach, jedną z jej osobistych broni. Złożyła swój znak w jego ciele, żeby mi go przekazał. Jeśli uspokoisz się na tyle, żeby widzieć nie tylko oczami, dostrzeżesz go.

Sholto zamrugał, po czym zmarszczył brwi. - Dlaczego więc wysłała mnie, żebym cię zabił? Nawet jak na Andais to nie ma sensu.

- Jeśli przestaniesz go dusić, może uda nam się to wyjaśnić.

Spojrzał w dół na bezwładne ciało Doyle'a wciąż otoczone przez jego macki i krzyknął: - Och! -

zupełnie jakby zapomniał, że właśnie kogoś zabija. W zasadzie nie można zabić sidhe, ale nigdy nie wiadomo.

Gdy Sholto puścił Doyle'a, osunął się on w moje ramiona. Jego ciężar sprawił, że upadłam na kolana. Niemożliwe, żebym była tak słaba z powodu utraty krwi. To był albo szok, albo efekt pierwszego użycia nowej mocy. Cokolwiek to było, chciałam zamknąć oczy i odpocząć, a tego akurat nie mogłam zrobić.

Usiadłam na podłodze, trzymając głowę Doyle'a na podolku. Puls na jego szyi był silny, miarowy. Wziął dwa szybkie wdechy, potem jego głowa przechyliła się do tyłu, oczy się rozszerzyły i zaczerpnął powietrza. Usiadł, krztusząc się. Zobaczyłam, jak jego ciało się napina. Sholto również musiał to dostrzec, bo koniuszek miecza znalazł się nagle przy twarzy Doyle'a.

Doyle zamarł, patrząc na niego. - Skończ to.

- Nikt niczego tu nie skończy - powiedziałam.

Nie patrzyli na mnie. Nie widziałam wyrazu twarzy Doyle'a, tylko twarz Sholta i nie podobało mi się to, co zobaczyłam. Gniew, satysfakcja - chciał zabić Doyle'a, można to było wyczytać z jego twarzy.

- Doyle mnie uratował. Uratował mnie przed slughami.

- Gdybyś nie nałożyła ochrony na drzwi, byłbym tu na czas - powiedział Sholto.

- Gdybym nie nałożyła ochrony na drzwi, byłbyś akurat na czas, żeby pochylić się nad moim martwym ciałem.

Sholto wciąż nie spuszczał wzroku z Doyle'a. - Jakim sposobem dostałeś się tutaj, skoro ja nie mogłam?

- Jestem sidhe - oświadczył Doyle.

- Ja też - powiedział Sholto z wściekłością. Uderzyłam Doyle'a w ramię na tyle mocno, by poczuł.

Nie odwrócił się, ale się skrzywił. - Nie obrażaj go, Doyle.

- To nie była obraza, tylko proste stwierdzenie faktu.

Ta rozmowa zaczynała mieć bardzo osobisty charakter, jakby pomiędzy tymi dwoma istniał zadawniony konflikt, który nie miał nic wspólnego ze mną. - Nie wiem, co jest między wami i, mówiąc szczerze, mało mnie to obchodzi - powiedziałam. - Chcę wyjść żywa z tej cholernej łazienki i to jest dla mnie ważniejsze od waszych rozgrywek. Więc przestańcie zachowywać się jak mali chłopcy, a zacznijcie jak członkowie królewskiej straży. Chcę stąd wyjść w jednym kawałku.

- Ona ma rację - powiedział cicho Doyle.

- Wielka Ciemność zaprzestaje walki? Niewiarygodne. A może to dlatego, że mam twój miecz? - Sholto dotknął koniuszkiem miecza górnej wargi Doyle'a. - Miecz, który może zabić każdego, nawet szlachetnie urodzoną sidhe. Och, zapomniałem, przecież ty niczego się nie boisz. - W głosie Sholta była gorycz i kpina, które mówiły jednoznacznie, że kryła się za tym wszystkim jakaś zadawniona uraza.

- Boję się wielu rzeczy - powiedział Doyle, a jego głos był spokojny. - Śmierć jednak nie jest jedną z nich. Niepokoi mnie za to pierścień na twoim palcu. Skąd masz Beathalachda? Nie był używany od wieków.

Sholto podniósł rękę, tak że ciemnobrązowy ciężki pierścień zabłysł w świetle. Nie widziałam go wcześniej tego wieczoru na jego ręce. - To prezent od królowej na znak jej błogosławieństwa dla mojej misji.

- Królowa nie mogła ci dać Beathalachda, nie osobiście. - Doyle zdawał się być bardzo pewien tego, co mówi.

- Co to jest Beathalachd? - spytałam.

- Witalność - odparł Doyle. - Wyciąga siły życiowe z przeciwnika. Tylko dlatego Sholto mnie

pokonał.

Sholto poczerwieniał. To, że ktoś potrzebował dodatkowej magii, by pokonać inną sidhe, było uważane za oznakę słabości. Właściwie Doyle zasugerował, że Sholto nie wygrałby w uczciwej walce i musiał uciec się do oszustwa. Ale to nie było oszustwo - to było po prostu niezbyt honorowe. Pieprzyć honor, byleby tylko ująć z życiem. To właśnie powtarzałam wszystkim mężczyznom, których kochałam, włączając w to mojego ojca, przed każdym pojedynkiem.

- Pierścień oznacza, że cieszę się przychylnością królowej - powiedział Sholto, a jego twarz wciąż była czerwona z gniewu.

- Nie dostałeś tego pierścienia bezpośrednio z rąk królowej - stwierdził Doyle podobnie jak nie usłyszałeś rozkazu zabicia księżniczki bezpośrednio z jej ust.

- Wiem, kto mówi w jej imieniu, a kto nie - powiedział Sholto pewnym głosem.

- Doprawdy? - zdziwił się obłudnie Doyle. - A gdybym to ja przekazał ci rozkaz królowej, wykonałbyś go?

Sholto znów poczerwieniał, ale skinął głową. - Jesteś Ciemnością Królowej. Z twoich ust wychodzą jej słowa.

- W takim razie posłuchaj tych słów: królowa chce, żeby księżniczka Meredith wróciła żywa do domu.

Nie byłam w stanie odczytać wszystkich myśli, jakie przebiegły po twarzy Sholta, ale większość z nich tak. Spróbowałam zadać pytanie, na które nie odpowiedział, gdy postawił mu je Doyle.

- Czy królowa osobiście rozkazała ci przybyć do Los Angeles i mnie zabić?

Sholto spojrzał na mnie. To było długie, uważne spojrzenie. W końcu pokręcił głową.

- Nie - odparł.

- Kto w takim razie ci to rozkazał? - spytał Doyle.

Sholto otworzył usta, ale w końcu zamknął je, nie powiedziawszy nic. Napięcie opadło i odsunął się od Doyle'a, opuszczając miecz. - Zatrzymam imię tego zdrajcy dla siebie.

- Dlaczego? - spytałam.

- Dlatego, że obecność Doyle'a może oznaczać tylko jedno. Królowa chce, żebyś wróciła na dwór. - Spojrzał na Doyle'a. - Mam rację, prawda?

- Tak - potwierdził Doyle.

- Chce, żebym wróciła?

Doyle usiadł tak, żeby widzieć zarówno mnie, jak i Sholta, plecami do kabin. - Tak, księżniczko.

Potrząsnęłam głową. - Uciekłam, bo były tam osoby, które chciały mnie zabić. A królowa ich nie powstrzymywała.

- To wszystko były legalne pojedynki - powiedział Doyle.

- To były próby zabójstwa w majestacie prawa.

- Zwróciłem jej na to uwagę.

- I co?

- Dała mi swój znak, żebym ci go przekazał. Jeśli teraz ktoś cię zabije, nawet w pojedynku, narazi się na zemstę królowej. Wierz mi, księżniczko: nawet ci, którym bardzo zależy na twojej śmierci, nie będą się narażać na zapłacenie tak wysokiej ceny.

Spojrzałam na Sholta, ruch spowodował, że zakręciło mi się w głowie. Szok, to na pewno szok. - Dobrze, wrócę na dwór, jeśli królowa gwarantuje mi bezpieczeństwo. Dlaczego nie chcesz nam wyjawić imienia zdrajcy? Kto w imieniu królowej wysłał cię, żebyś mnie zabił?

- Zatrzymam tę informację dla siebie - powiedział Sholto. Twarz skrył za arogancką maską, którą tak często nosił na dworze.

- Dlaczego? - spytałam.

- Dlatego, że jeśli królowa sama cię zaprasza na dwór, nie musisz układać się ze mną. Skoro zaś już wrócisz na Dwór Unseelie, jestem gotów założyć się z tobą o moje królestwo, że znajdzie ci kochanka. Tak więc, jak widzisz, nie jestem ci już potrzebny. Będiesz miała wszystko, co mogłem ci zaoferować, nie będąc związana przez całe życie ze zdeformowanym potworem.

- Nie jesteś zdeformowanym potworem. Gdyby twoje wiedźmy nam nie przerwały, udowodniłabym ci to.

Wyraz twarzy Sholta zmienił się na chwilę. - Tak, moje wiedźmy. - Zwrócił na mnie spojrzenie swoich trzykolorowych oczu. - Nie wiedziałem, że masz moc w dłoni.

- Bo nie mam - powiedziałam.

- Myślę, że Nerys nie zgodziłaby się z tobą.

- Nie wiem, ja nie chciałam jej... - Zabrakło mi słów, by wyrazić to, co zrobiłam Nerys.

- Co się stało? - spytał Doyle.

- Czarna Agnes okłamała sluaghów. Powiedziała im, że jeśli połączę się z Meredith, stanę się czystą sidhe i nie będę już dłużej ich królem. Przekonała ich, że powinni mnie chronić przede mną samym, chronić mnie przed sztuczkami czarownicy sidhe.

Uniosłam ze zdziwienia brwi.

Spojrzał na mnie. - Ale przekonałem Agnes i całą resztę, że im nie zagrażasz.

Nasze oczy się spotkały. - Widziałam, w jaki sposób ją przekonywałeś.

Skinął głową. - Agnes prosiła, żebym ci podziękował - nigdy przedtem nie było jej ze mną tak dobrze. Myśli, że ty to sprawiłaś swoją magią.

- Nie jest zła z powodu tego, co stało się z Nerys? - spytałam.

- Dalej chce twojej śmierci, ale teraz się ciebie boi. Masz moc ciała, taką samą, jak twój ojciec - kto by przypuszczał? - W jego oczach pojawiło się coś, czego jeszcze nigdy w nich nie widziałam. Uświadomiłam sobie nagle, że był to strach. Nie tylko Czarna Agnes wystraszyła się tego, co zrobiłam.

- Moc ciała - powtórzył Doyle. - Co chcesz przez to powiedzieć, Sholto?

Sholto podał mu miecz. - Weź go i idź do mojego pokoju. Zobaczysz, co nasza mała księżniczka zrobiła. Nerys skazana jest na wieczne cierpienie. Mam prośbę: zabij ją swoim mieczem, zanim zawieziesz Meredith do domu. Doprowadzę was bezpiecznie do taksówki, na wypadek gdyby moi sluaghowie nie byli... całkowicie posłuszni. - Jego słowa, gesty, wszystko mówiło, że nie jest zbyt zadowolony z widoku Doyle'a.

Doyle wziął miecz i uklonił się lekko. - Jeśli potrzebujesz przysługi, chętnie ci ją wyświadczę w zamian za imię zdrajcy, który cię wysłał do Los Angeles, żebyś zabił księżniczkę.

Sholto pokręcił głową. - Nie mogę zdradzić tego imienia, jeszcze nie teraz. Utrzymam je w tajemnicy do czasu, kiedy nie będzie mi już potrzebne albo rozmówię się ze zdrajcą osobiście.

- Jeśli zdradzisz nam jego imię, pomoże to dostarczyć księżniczkę bezpiecznie na dwór.

Sholto roześmiał się, tym dziwnym gorzkim śmiechem, który uchodził u niego za normalny. - Nie powiem wam, kto mnie tu przysłał, ale mogę się domyślić, kto tego chciał, zresztą wy też. Meredith uciekła z dworu, bo stronnicy księcia Cela zaczęli wyzywać ją na pojedynki. Gdyby ktoś inny stał za tym, królowa wkroczyłaby do akcji i powstrzymała go. Uważałaby to za znieważenie członka rodziny królewskiej - nieważne, że Meredith jest niepełnej krwi, pozbawiona magii i śmiertelna. Ale za tym stał jej ukochany syneczek i wszyscy o tym wiedzieliśmy. Dlatego też Meredith uciekła, bo nie wierzyła, żeby królowa utrzymała ją przy życiu, skoro Cel pragnął jej śmierci.

Doyle wysłuchiwał tych oskarżeń ze spokojną miną. - Myślę, że przekonasz się, że nasza królowa nie

jest już tak pobłażliwa wobec książęcych... ekstrawagancji.

Sholto znów się roześmiał i był to śmiech pełen bólu. - Kiedy opuszczałem dwór ledwie kilka dni temu, wydawała się bardzo pobłażliwa dla tych, jak to ująłeś, „ekstrawagancji”.

Twarz Doyle'a była w dalszym ciągu spokojna, jakby Sholto nie mógł go niczym wyprowadzić z równowagi. Myślę, że Sholta nic tak nie denerwowało, jak to, że Doyle był tak spokojny. Doyle doskonale o tym wiedział. - Pożyjemy, zobaczymy. Na razie mam obietnicę królowej, że księżniczce nic się nie stanie.

- Skoro chcesz w to wierzyć... Teraz jednak chciałbym cię poprosić, żebyś pomógł mi zadać śmierć komuś, kto jest dla mnie ważny.

Doyle wstał z łatwością, zupełnie jakby kilka chwil temu nie był o krok od śmierci, podczas gdy ja nie byłam pewna, czy zdołam się podnieść sama. To jeszcze jedna zdolność, której z powodu ludzkiej krwi byłam pozbawiona.

Obaj w tym samym czasie podali mi ręce i pociągnęli mocno. - Spokojnie, chłopcy powiedziałam. - Potrzebuję pomocy w staniu, nie w lataniu.

Doyle spojrzał na mnie. - Jesteś blada. Jak poważnie jesteś ranna?

Potrząsnęłam głową i odsunęłam się od nich. - Nie aż tak bardzo. To głównie szok po tym... po tym, co zrobiłam Nerys.

- A co takiego jej zrobiłaś? - spytał.

- Chodź, to sam zobaczysz - powiedział Sholto. - Warto rzucić na to okiem. - Spojrzał na mnie. - Wiadomość o tym, co zrobiłaś, dojdzie do dworu szybciej, niż ty się na nim zjawisz. Meredith, Księżniczka Ciała, nie będzie już jedynie córką Essusa.

- To bardzo rzadkie, żeby dziecko miało ten sam dar, co rodzic - powiedział Doyle.

Sholto podszedł do drzwi, zapinając płaszcz. Ubranie w miejscu, gdzie była macka, którą odciał Doyle, nasiąkło krwią. - Chodź, Doyle'u, Posiadaczu Bolesnego Płomienia, Baronie Słodki Języczku, chodź i zobacz, co zdołała Meredith swoim darem.

Pierwszy tytuł był mi znany, ale nie drugi. - Baron o Słodkim Języku? - zdziwiłam się.

- Pierwsze słyszę.

- To bardzo stary przydomek - powiedział.

- Daj spokój Jesteś zbyt skromny - roześmiał się Sholto. - To królowa tak cię nazwała, prawda?

Spojrzeli na siebie i znów coś ciężkiego zawisło w powietrzu. - Imię to nie znaczy tego, co sugerujesz, Sholto - powiedział Doyle.

- Ależ ja niczego nie sugeruję, po prostu uważam, że przydomki mówią same za siebie. Prawda, Meredith?

- Baron Słodki Języczek nasuwa pewne skojarzenia - przyznałam.

- To nie to, o czym myślicie - obstawał przy swoim Doyle.

- Cóż, z pewnością nie zostałeś obdarzony tym przydomkiem z powodu swojego daru wymowy - powiedział Sholto.

To akurat była prawda. Doyle nie wdawał się w długie wywody, nie był też zbyt dobrym pochlebcą.

- Jeśli twierdzisz, że twój przydomek nie ma nic wspólnego z seksem, wierzę ci powiedziałam.

Doyle uklonił się nieznacznie. - Dziękuję.

- Królowa nie nadaje swoim milusińskim przydomków nie związanych z seksem stwierdził Sholto.

- Owszem, nadaje - odparłam.

- Niby kiedy?

- Wtedy, gdy uważa, że przydomek będzie przeszkadzał osobie, która go będzie nosić. Królowej sprawia przyjemność irytowanie wszystkich wokół.

- To akurat prawda - przyznał Sholto. Położył rękę na kłamce.
- Jestem zaskoczony, że nikt nam nie przeszkadzał - powiedziałam.
- Nałożyłem małe zaklęcie niechęci na drzwi. Żaden śmiertelnik nie będzie tu chciał wejść, a i niewiele istot magicznych. - Zaczął otwierać drzwi.
- Nie bierzesz ze sobą swojej... kończyny? Może da się ją przyszyć?
- Odrośnie - powiedział.

Musiałam chyba wyglądać niezbyt mądrze, bo uśmiechnął się na poły z wyższością, na poły przepraszająco. - Jest kilka pożytków z bycia nocnym myśliwcem. To jeden z nich. Każda utracona część ciała mi odrasta. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - W każdym razie, jak dotąd.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, więc nawet nie próbowałam.

- Wydaje mi się, że księżniczka potrzebuje odpoczynku, więc jeśli mamy jeszcze zobaczyć twoją przyjaciółkę... - Doyle zawiesił głos.

- Oczywiście. - Sholto otworzył przed nami drzwi.

- A co z tym całym bałaganem? - spytałam. - Nie możemy ot, tak sobie stąd wyjść, jak gdyby nigdy nic, zostawiając kawałek macki i krew na całej podłodze.

- Baron zrobił bałagan, niech teraz posprząta - powiedział Sholto.

- Żadna z tych części ciała ani krew nie należą do mnie - odparł Doyle. - Jeśli chcesz, żeby tu było czysto, sam musisz posprzątać. Kto wie, jakie szkody może spowodować utalentowana czarownica, wykorzystując tu pozostawioną część ciała?

Sholto zaczął protestować, ale w końcu schował uciętą mackę do kieszeni. Zostawili mackę wielkości człowieka tam, gdzie leżała. Na miejscu Sholta dałabym hojny napiwek sprzątacze.

Wjechaliśmy na górę i Doyle ukląkł, żeby przyjrzeć się temu, co zostało z Szarej Nerys. Była teraz kulą mięsa o objętości mniej więcej jednego buszla. Nerwy, ścięgna, mięśnie, organy wewnętrzne - wszystko to połyskiwało na zewnątrz kuli, zdając się funkcjonować normalnie. Ta kula mięsa nawet podnosiła się i zapadała przy każdym oddechu. Najgorsze były odgłosy, jakie wydawała: wysoki, cienki krzyk, przytłumiony, ponieważ usta znajdowały się teraz wewnątrz ciała. Wciąż jednak krzyczała. Piszcziała. Zrobiło mi się zimno. Dosłownie mnie zmroziło.

Podniosłam z podłogi swoją bluzkę i włożyłam ją, ale wiedziałam, że żadne ubranie nie zaradzi temu chładowi. To było bardziej drzenie duszy niż ciała. Mogłam zawiąć się w pierzynę, a nic by to nie dało.

Doyle spojrział na mnie, klęcząc nad tą pulsującą, krzyczącą kulą. - Imponujące. Książę Essus nie zrobiłby tego lepiej. - Słowa te były komplementem, ale jego twarz była tak nieprzenikniona, że nie mogłam orzec, czy był zadowolony, czy nie.

Pomyślałam, że to jedna z najbardziej przerażających rzeczy, jakie widziałam w życiu, ale wiedziałam, że lepiej nie dzielić się tym spostrzeżeniem z innymi. Moc ciała to potężna broń. Jeśli wszyscy uwierzą, że używam tego ot, tak sobie, często i bez trudności, będą się mnie bali. Jeśli jednak odkryją, że sama się tego boję, wtedy i ich strach przede mną będzie mniejszy. - Bo ja wiem? Widziałam kiedyś, jak mój ojciec zmienił w taką kulę olbrzyma. Myślisz, że mnie też by się coś takiego udało? - Mój głos był pozbawiony emocji, a pełen naukowej ciekawości. Nauczyłam się tego na dworze. Używałam tego tonu, gdy byłam na skraju hysterii. Musiałam nauczyć się rzucać suche, rzeczowe komentarze, patrząc na najstraszniejsze rzeczy.

Doyle odczytał to pytanie dosłownie. - Nie wiem, księżniczko, ale byłoby ciekawe odkryć granice twojej mocy.

Nie zgadzałam się, ale nie skomentowałam tego, ponieważ nie wiedziałam jak. Przytłumione piski dalej dobiegały ze środka kuli niemal przy każdym oddechu. Nerys była nieśmiertelna. Mój ojciec

zrobił kiedyś coś takiego jednemu z wrogów królowej. Andais trzymała tę kulę mięsa w kufrze w swojej komnacie. Od czasu do czasu widywało się ją leżącą w jej sypialni. Z tego, co wiem, nikt nigdy nie ośmielił się spytać, co ona tam robi. Po prostu brało się ją, z powrotem wkładało do kufra, zamykało go i walczyło z obrazami, które stawały przed oczami, kiedy się ją znajdowało w łóżku królowej.

- Sholto prosił, żebyś zabił Nerys. Zrób to i zabierajmy się stąd. - Mój głos był wyprany z emocji, wręcz znudzony. Pomyślałam, że jeśli jeszcze choć chwilę będę tam stała i słuchała tych krzyków, przyłączę się do nich.

Wciąż klęcząc, Doyle wyciągnął do mnie miecz. - To twoja magia, lepiej, żebyś ty to zrobiła.

Zerknęłam na rękojeść, na trzy wrony i ich oczy z klejnotów. Nie chciałam tego robić. Patrzyłam dalej na miecz, myśląc, jak się z tego wywinąć, nie okazując słabości. Nic nie przychodziło mi do głowy. Jeśli stchórzę, męczarnie Nerys do niczego się nie przydadzą. Zyskam nowy tytuł, ale nie będę miała wiążącej się z tym renomy.

Wzięłam miecz, nienawidząc Doyle'a za to, co musiałam zrobić. To powinno być łatwe. Jej serce widoczne było z boku kuli. Zagłębiłam w nim ostrze. Krew zrobiła się czarna i serce przestało bić, ale krzyki nie ustały.

Popatrzyłam na mężczyznę. - Dlaczego ona nie umarła?

- Sluagha trudniej zabić niż sidhe - powiedział Sholto.

- O ile trudniej?

Wzruszył ramionami. - Sama zobacz.

W tym momencie znienawidziłam ich obu, ponieważ uświadomiłam sobie nagle, że to był test. Gdybym odmówiła zabicia jej, może zostawiliby ją żywą. To byłoby nie do pomyślenia. Nie mogłam zostawić jej w takim stanie, wiedząc, że nigdy się nie zestarzeje, nie ozdrowieje ani nie umrze. Musiałam to dokończyć. Śmierć była wybawieniem; wszystko inne szaleństwem, jej i moim.

Przebiłam mieczem każdy żywy organ, jaki mogłam znaleźć. W końcu uniosłam miecz obiema rękami nad głowę i zaczęłam go w niej zanurzać. Na początku zatrzymywałam się pomiędzy pchnięciami, ale za każdym razem przekonywałam się, że krzyki dalej się dobywają z jej ciała. Gdzieś w okolicach dziesiątego albo piętnastego pchnięcia zatrzymałam się, nasłuchując, a potem znów zaczęłam.

Musiałam powstrzymać te krzyki. Musiałam ją zabić. Świat zawężył się do ostrza zanurzającego się w połci mięsa. Wznosiłam i opuszczałam ręce, wciąż na nowo. Ostrze zagłębiało się w ciele. Krew tryskała na moją twarz, na bluzkę. W końcu uklękłam przy czymś, co już nie było kulą, nie było całością. Pokroiłam ją na kawałki, nie do rozpoznania. Krzyki ustały.

Ręce miałam we krwi aż po łokcie. Ostrze miecza było szkarłatne, rękojeść pokryta krwią, a mimo to miecz nie wyslizgiwał mi się z dłoni. Zielona bluzka, którą dopiero co na siebie włożyłam, była czarna od krwi. Spodnie stały się purpurowo-fioletowo-czarne. Ktoś oddychał bardzo szybko, bardzo nierówno. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z tego, że to ja. Czasami z zabijania możesz czerpać satysfakcję, prawie przyjemność. Popatrzyłam w dół na to, co zrobiłam, i nic nie czułam. Byłam odrętwiała i nie było to takie najgorsze.

Podniosłam się, podpierając się na krawędzi łóżka, które było już i tak pokryte krwią co znaczył jeszcze jeden odcisk dłoni więcej? Moje ręce były obolałe, mięśnie trzęsły się od zbyt dużego wysiłku. Podałam miecz Doyle'owi tak, jak on podał go mnie. - Dobra broń, rękojeść nigdy nie robi się śliska. - Mój głos był wyzuty z wszelkich emocji, tak jak i ja. Zastanawiałam się, czy nie tak wygląda właśnie szaleństwo. Jeśli tak, to nie było takie złe.

Doyle wziął ode mnie miecz i upadł na kolana z opuszczoną głową. Sholto poszedł w jego ślady. Doyle oddał mi honory, po czym powiedział: - Meredith, Księżniczko Ciała, prawdziwie

królewskiej krwi, witaj w wewnętrznym kręgu sidhe.

Popatrzyłam na nich, wciąż czując odrętwienie. Jeśli były jakieś rytualne słowa, które należało teraz wypowiedzieć, i tak nie przychodziły mi do głowy. Albo ich nie znałam, albo moja głowa nie pracowała prawidłowo. Jedyne, co zdołałam wykrztusić, to: - Czy mogę skorzystać z twojego prysznicza?

- Proszę bardzo - odparł Sholto.

Dywan skrzypiał pod moimi stopami, a kiedy zesłam z niego, zostawiałam za sobą krwawe odciski stóp. Rozebrałam się i stanęłam pod najgorętszą wodą, jaką byłam w stanie wytrzymać. Krew nie była czerwona, spływając do odpływu, była już różowa. W chwili, gdy przyglądałam się tej różowawej wodzie obracającej się w dole odpływu, uświadomiłam sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, byłam zadowolona, że udało mi się ulżyć doli Nerys. Po drugie, jakiejś części mnie sprawiło przyjemność zabicie jej. Chciałabym myśleć, że to drugie wynikało z pierwszego, ale jakoś nie mogłam uwierzyć w tę swoją szlachetność. Zaczęłam się zastanawiać, czy ta częśćka mnie, której przyjemność sprawiło zanurzanie ostrza w ciele, była tą samą częśćką, która kazała Andais trzymać kawałek ciała w kufrze w komnacie. Chwila, kiedy przestajesz zadawać sobie tego rodzaju pytania, jest chwilą, w której stajesz się potworem.

Rozdział 17

Wróciłam do swojego mieszkania z włosami wciąż wilgotnymi od prysznicza. Doyle upierał się, że to on otworzy drzwi, na wypadek jakichś magicznych pułapek. Podchodził do swojej misji ochroniarza bardzo poważnie, co właściwie nie powinno mnie dziwić. Kiedy uznał, że jest bezpiecznie, weszłam boso na szary dywan. Miałam na sobie hawajską koszulę i luźne męskie szorty, ubranie, które Sholto wziął od Gethina. Jedyne butów nie mogłam od niego pożyczyć. Moje ciuchy były wciąż w hotelowym pokoju, tak nasiąkłe krwią, że nawet bielizna nie nadawała się do użytku. Trochę tej krwi należało do Nerys, trochę do mnie.

Przekreśliłam włącznik światła znajdujący się przy drzwiach. Pokój zalało górne światło. Zapłaciłam dodatkowo, żeby móc pomalować mieszkanie na takie kolory, jakie chciałam. Frontowy pokój był pomalowany na blady róż. Kanapa jasnofioletowo-purpuroworóżowa. Fotel w rogu był różowy. Zastony były różowe, a kokardy przy nich - purpurowe. Jeremy twierdził, że to tak, jakby się było w środku wielkanocnej pisanki. Biblioteczka była biała. Stolik pod telewizor i wieżę był biały. Zapaliłam lampę stojącą przy fotelu, a następnie światło nad niewielkim białym kuchennym stołem i krzesłami. Koronkowe białe zasłonki otaczały wielkie okno u szczytu stołu. Za oknem było czarno i jakoś przerażająco. Zaciągnęłam zasłonki, odcinając noc od światła. Przez chwilę stałam przed jedynym obrazem we frontowym pokoju. Była to reprodukcja *Lapania motyli* W. Scotta Milesa. Na obrazie przeważała zieleń, a motyle zostały namalowane naturalistycznie, więc były małe punkciki różu i purpury pośród tej zieleni. Ale nie wybiera się obrazu dlatego, że pasuje do pokoju - wybiera się obraz raczej dlatego, że do nas przemawia. Dlatego, że mówi coś takiego, co codziennie warto sobie przypominać. Obraz ten zawsze napełniał mnie spokojem, był taki idylliczny, ale tej nocy był po prostu obrazkiem. Tej nocy nic mi nie sprawiło przyjemności. Przeszłam do sypialni.

Doyle stał, milcząc, gdy włączałam wszystkie światła w mieszkaniu, jak dziecko, które boi się koszarów. Światło miało odegnać złe rzeczy. Kłopot w tym, że to, co złe, znajdowało się teraz w mojej głowie. Nie było światła wystarczająco jasnego, by to odegnać.

Poszedł za mną do sypialni. Wchodząc, włączyłam górne światło.

- Podoba mi się to, jak urządziłaś swoją sypialnię - powiedział.

Odwróciłam się do niego. - Co masz na myśli?

Jego twarz pozostała bez wyrazu, nie do odczytania. - Salon był bardzo... różowy. Bałem się, że

sypialnia też taka będzie.

Popatrzyłam wokół na lekko szare ściany z burgundowymi lamówkami z jasnofioletowymi, różowymi i białymi kwiatami. Łóżko było królewskich rozmiarów, sięgało prawie do samych drzwi. Kapa na łóżko była ciemnoburgundowa, a na niej leżały poduszki: purpurowe, jasnofioletowe, różowe i kilka czarnych, ledwie kilka. Szafa ubraniowa zrobiona była z drzewa wiśni, polakierowana tak ciemno, że prawie czarna. Pasowała do niej bieliźniarka przy oknie. Jeremy twierdził, że moja sypialnia wygląda jak pokój faceta, z ledwie kilkoma śladami interwencji jego dziewczyny. W kącie najbardziej oddalonym od drzwi stała polakierowana na czarno szafka z wyrzeźbionymi na niej żurawiami i górami. Żuraw był znakiem mojego ojca. Lubiłam myśleć, że podobałaby się mu. Na niej stał filodendron, który urósł tak duży, że gałązki opadały jak zielone włosy wokół pięknego pnia.

Rozejrzałam się po pokoju i nagle poczułam, jakby nie był mój. Odwróciłam się do Doyle'a. - Zupełnie jakby ci robiło jakąś różnicę, w jakich kolorach jest moja sypialnia.

Nie zareagował, a jego twarz stała się jeszcze bardziej zagadkowa, pojawiła się na niej odrobina arogancji, co przypomniało mi Sholta.

Mój komentarz był złośliwy, taki zresztą miał być. Byłam na niego wściekła. Wściekła, że nie zabił Nerys. Wściekła, że zmusił do tego mnie. Wściekła o wszystko, nawet o rzeczy, które nie były jego winą.

Popatrzył na mnie zimnym wzrokiem. - Masz rację, księżniczko Meredith, twoja sypialnia mnie nie interesuje. Jestem kastratem.

Pokręciłam głową. - Nie jesteś, i w tym cały problem. Żaden z was, strażników, nie jest. Ona po prostu się wami nie dzieli.

Wzruszył ramionami, czyniąc to nie bez wdzięku. Skrzywił się.

- Jak bardzo jesteś ranny? - spytałam.

- Chwilę temu byłeś jeszcze na mnie zła, teraz już nie jesteś. Dlaczego?

Usiłowałam ująć to w słowa. - To nie twoja wina.

- Co nie jest moją winą?

- Nie zagrażasz mi. Uratowałaś mi życie. Nie wysłałaś po mnie sluaghów. To nie ty obudziłaś moją moc. To nie twoja wina. Jestem wściekła i muszę się na kims wyżyć, ale nie powinieneś płacić za cudze winy.

Unióśł ze zdziwieniem brwi. - Bardzo oświecona postawa jak na księżniczkę.

Potrząsnęłam głową. - Daruj sobie tytuły. Jestem Meredith, po prostu Meredith.

Brwi uniosły się jeszcze wyżej i spojrzał na mnie tak szeroko otwartymi oczami, że nie wytrzymałam i wybuchnęłam śmiechem. Śmiech brzmiał normalnie, dobrze mi zrobił. Usiadłam na brzegu łóżka i raz jeszcze potrząsnęłam głową. - Nie sądziłam, że będę się śmiać tej nocy.

Ukląkł przede mną. - Zabijałaś już przedtem - dlaczego tym razem było inaczej?

Spojrzałam na niego, zaskoczona, że tak dokładnie rozumiał, co mnie dręczy. Dlaczego zabicie Nerys było tak ważne?

- Sidhe dochodzi do mocy poprzez rytuał, ale to nie znaczy, że ta moc będzie się jeszcze potem objawiać. Po pierwszym użyciu mocy sidhe muszą przelać krew w walce. Położył ręce po obu stronach łóżka, ale mnie nie dotknął. - To coś w rodzaju krwawej ofiary; to oznacza, że moc nie wróci do stanu snu, lecz dalej będzie rosnać.

- Krew sprawia, że zbiory rosna - powiedziałam.

Skinął głową. - Magia śmierci jest najstarszą z magii, księżniczko... - Uśmiechnął się przeproszająco, po czym wypowiedział cicho moje imię: - Meredith.

- Więc musiałam zaszlachtować Nerys, żeby moja magia nie powróciła do stanu hibernacji? Skinął głową raz jeszcze.

Spojrzałam w tę poważną twarz. - Powiedziałeś, że sidhe dochodzi do mocy po przejściu rytuału. Nie przechodziłam żadnego rytuału.

- Noc, którą spędziłaś z roanem, była twoim rytuałem. Potrząsnęłam głową. - Ale myśmy nie odprawiali tamtej nocy żadnych rytuałów.

- Jest wiele sposobów na obudzenie mocy. Walka, złożenie ofiary, seks i wiele innych. To nie takie zaskakujące, że twoja moc obudziła się poprzez seks. Wywodzi się z trzech różnych bóstw płodności.

- Właściwie to z pięciu. Ale wciąż nie rozumiem.

- Twój roane był pokryty Łzami Branwyna; na tę jedną noc stał się kochankiem sidhe. Dopełnił cię swoją mocą.

- Wiedziałam, że to była magia, ale nie sądziłam... - Głos mi zamarł. Popatrzyłam na niego z dezaprobatą. - Rytuał powinien być czymś więcej niż tylko dobrym seksem.

- Dlaczego? Czyż z seksu nie bierze się cud życia? Co może być większego?

- Magia uzdrowiła Roane'a, pozwoliła mu odzyskać jego foczą skórę. Nie próbowałam go uleczyć, bo nawet nie wiedziałam, że mogę.

Doyle usiadł na skraju łóżka, długie nogi podkulił obok szafy. - Uleczenie roane'a bez skóry to nic takiego. Widziałem sidhe podnoszące góry z morza albo sprowadzające powódź na miasta, kiedy budziła się ich moc. Ty miałaś szczęście.

Nagle zaczęłam się bać. - To znaczy, że przebudzenie się mojej mocy mogłoby wywołać klęskę żywiołową?

- Tak.

- Ktoś powinien mnie ostrzec.

- Nikt nie spodziewał się, że uciekniesz, więc nie mogliśmy ci dać pożegnalnej rady. Nikt też nie spodziewał się, że drzemie w tobie moc. Królowa uważała, że jeśli siedem lat z Griffinem i lata pojedynków nie obudziły w tobie mocy, to najwidoczniej nie masz niczego, co można by było obudzić.

- Dlaczego w takim razie moja moc obudziła się właśnie teraz, po tylu latach?

- Nie wiem. Wiem tylko, że jesteś Księżniczką Ciała i że masz moc w obydwu dłoniach.

- Dlaczego tak myślisz? Przecież to rzadkość u sidhe.

- Twoje ręce rozpuściły dwa metalowe pręty łóżka. Dwa pręty, każdy inną ręką.

Wstałam i odsunęłam się od niego. - Skąd o tym wiesz?

- Obserwowałam cię z balkonu, gdy spałaś. Widziałem wezgłowie.

- Dlaczego się nie pokazałeś?

- Byłaś pogrążona w czymś w rodzaju narkotycznego snu. Wątpliwe, żeby udało mi się cię obudzić.

- Dlaczego w takim razie nie ujawniłeś się tej nocy, kiedy użyłeś pajaków? Nocy, gdy byłam u Alistaira Nortona?

- Masz na myśli tego człowieka, który oddawał cześć sidhe? Zatkano mnie. Popatrzyłam na niego. - O czym ty mówisz?

Kiedy to Norton oddawał cześć sidhe?

- Wtedy, gdy kradł z kobiet moc za pomocą Łez Branwyna.

- Ależ ja tam byłam. Prawie stałam się jedną z jego ofiar. Nie było tam ceremonii wywoływania sidhe.

- Każdy uczeń w tym kraju wie, że gdy zostaliśmy tu zaproszeni, zabroniono nam jednej rzeczy.

- Nie możemy wynosić się na bogów. Nie można nam oddawać czci. Czytałam o tym w domu u mojego ojca, poza tym uczyłam się o tym w szkole na lekcjach historii.

- Zapomniałem, że jako jedyna z nas uczyłaś się z ludźmi. Królowa była wściekła, kiedy dowiedziała się, że książe Essus oddał cię do szkoły publicznej.

- Próbowала mnie utopić, kiedy miałam sześć lat. Chciała mnie utopić jak czystej krwi szczeniaka, który okazał się kundlem. Wydaje mi się, że miała gdzieś, do jakiej szkoły poszłam.

- Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział królową równie zaskoczoną jak wtedy, gdy książe Essus zabrał cię i swoją świtę i zaczął żyć wśród ludzi. - Uśmiechnął się - błysk bieli na czarnej twarzy. - Kiedy zrozumiała, że książe nie będzie znosił znęcania się nad tobą, zaczęła zabiegać, żeby wrócił na dwór. Dużo mu oferowała, ale i tak wrócił dopiero po dziesięciu latach. W tym czasie zdążyłaś już zmienić się z dziecka w kobietę.

- Jeśli była tak wściekła, dlaczego pozwalała, żeby tak wielu członków Dworu Unseelie nas odwiedzało?

- Królowa i książe bali się, że staniesz się zbyt podobna do ludzi, jeśli nie będziesz miała kontaktu z dworem. Poza tym królowa nie zaakceptowała wyboru twojego ojca co do świty.

- Masz na myśli Keelin - powiedziałam.

Skinął głową. - Królowa nigdy nie rozumiała, dlaczego upierał się przy wyborze istoty magicznej, która nie była sidhe, na twoją towarzyszkę.

- Keelin jest pół skrzatem, jak moja babcia.

- I pół goblinem - dodał Doyle. - A tych próżno szukać wśród twoich przodków.

- Gobliny służą w piechocie w armii Unseelie. Sidhe wymawiają wojnę, ale to gobliny ją zaczynają.

- Cytujesz teraz swojego ojca.

- Owszem. - Poczulałam się nagle zmęczona. Krótkotrwała poprawa nastroju, niewiarygodne możliwości mocy, powrót na dwór - nic z tego nie mogło odegnąć ode mnie zmęczenia. Jedna rzecz nie dawała mi jeszcze spokoju. - Powiedziałeś, że Alistair Norton oddawał cześć sidhe. Co to właściwie znaczy?

- To znaczy, że używał rytuału do wywołania sidhe, kiedy był w kręgu mocy. Rozpoznałem symbole. Nie widziałaś żadnego rytuału, bo nawet najmniej wyedukowany człowiek wie, że nikomu nie wolno wzywać mocy sidhe.

- Odprawiał rytuał jeszcze przed przyjściem kobiet - domyśliłam się.

- No właśnie.

- Widziałam w lustrze sidhe, ale nie mogłam dojrzeć twarzy. Czy nie domyślasz się, kto to mógł być?

- Nie, ale miał tak silną moc, że nie mogłam się przez nią przedostać. Mogłam tylko wysłać pająki i swój głos. Pokój był naprawdę bardzo dobrze zabezpieczony.

- Więc ten sidhe pozwalał...

- Lub pozwalała - wtrącił Doyle.

- ... lub pozwalała, żeby oddawano mu cześć i dał śmiertelnikowi Łzy, żeby ich użył przeciwko innej istocie magicznej.

- W zasadzie ludzie z domieszką naszej krwi nie są uznawani za istoty magiczne, ale niech będzie.

- Pozwalanie na oddawanie czci grozi karą śmierci.

- A pozwalanie na użycie Łez przeciwko innej istocie magicznej grozi torturami nawet wiecznymi. Niektórzy wolą śmierć.

- Czy powiedziałaś królowej?

Doyle podniósł się. - Powiedziałem jej o sidhe, która pozwala, by oddawano jej cześć, i o Łzach.

Powiniennem też powiedzieć jej o tym, że masz moc ciała i że przesłaś rytuał krwi. Musi też wiedzieć, że to nie Sholto jest zdrajcą, a ktoś, kto posłużył się jej imieniem.

Otworzyłam szeroko oczy. - Chcesz powiedzieć, że wysłała ciebie jednego przeciwko Sholtowi i wszystkim slughom?

Doyle popatrzył na mnie.

- Nie obraż się, ale to trochę za mało przeciwko nim wszystkim - powiedziałam.

- Królowa wysłała mnie, żebym sprowadził cię do domu, zanim jeszcze Sholto opuścił Saint Louis. Przyjechałem tej nocy, kiedy wysłałem ci na pomoc pająki. Sholto wyruszył tutaj dopiero następnego dnia.

- Więc ktoś odkrył, że królowa chce mnie sprowadzić do domu, i w ciągu dwudziestu czterech godzin powziął plan zabicia mnie.

- Na to wygląda.

- Z wyjątkiem wypadków, gdy wysyłała cię, żebyś kogoś zabił, nie opuszczałaś królowej od jakichś sześciuset, ośmiuset lat.

- Od tysiąca dwudziestu trzech lat, jeśli chodzi o ścisłość.

- Nie chce mojej śmierci. Dlaczego więc wysłała ciebie? Są przecież strażnicy, którym bardziej ufa?

- Chciałaś chyba powiedzieć: bardziej ich lubi.

Zastanowiłam się nad tym chwilę, po czym skinęłam głową. - Masz rację. Swoją drogą, to najdłuższa rozmowa, jaką odbyliśmy. Dlaczego więc wysłała ciebie, swoją Ciemność?

- Królowa chce, żebyś wróciła. Ale bała się, że jej nie uwierzysz. Jestem jej symbolem. Ciemność posłana z jej mieczem w dłoni, z jej magią w ciele, na dowód szczerości intencji.

- Dlaczego tak jej zależy na tym, żebym wróciła? Wysłała cię po mnie, jeszcze zanim obudziła się we mnie moc - co było niespodzianką dla nas wszystkich. Dlaczego zmieniła zdanie? Dlaczego moje życie stało się nagle takie cenne?

- Nigdy nie skazała cię na śmierć.

- Ale nigdy też nie przeszkodziła tym, którym na niej zależało.

Uklonił się lekko. - Nie będę się spierał.

- Dlaczego więc zmieniła zdanie?

- Nie wiem, Meredith. Wiem tylko, że sobie tego życzy.

- Nigdy nie zadajesz pytań, co?

- A ty z kolei zadajesz ich zdecydowanie za dużo.

- Być może, ale akurat na to jedno pytanie chciałabym usłyszeć odpowiedź, zanim wrócę.

- Które pytanie masz na myśli?

Spojrzałam na niego z politowaniem. - Dlaczego zmieniła zdanie? Muszę wiedzieć, zanim zdam się na jej łaskę i niełaskę.

- A jeśli nie zdradziła powodu?

Zastanowiłam się. Czy warto tracić na zawsze Krainę Faerie z powodu braku odpowiedzi na jedno pytanie? To był zbyt poważny temat, żeby sobie nim teraz zaprzętać głowę.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Wiem tylko, że jestem nieziemsko zmęczona.

- Jeśli pozwolisz, użyję lustra w łazience, żeby skontaktować się z królową i przekazać jej najświeższe wiadomości.

Skinęłam głową. - Obsłuż się sam.

Uklonił się tak nisko, na ile pozwalały rozmiary sypialni, po czym skierował się do drzwi łazienki, które znajdowały się za rogiem, tak że nie widzieliśmy ich z miejsca, w którym byliśmy.

- Skąd wiesz, gdzie jest łazienka? - spytałam.

Odwrócił się do mnie, jego twarz była znowu nieprzenikniona. - Widziałem prawie całe mieszkanie. Gdzie jeszcze mogłaby być?

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Albo nie było tego widać na mojej twarzy, albo zignorował to, bo poszedł jak gdyby nigdy nic za róg. Usłyszałam otwieranie i zamykanie drzwi.

Usiadłam na skraju łóżka, próbując przypomnieć sobie, gdzie położyłam śpiwór. Doyle uratował mi tej nocy życie - powinnam mu się jakoś odwdziaczyć. Odstąpiłabym mu łóżko, ale byłam tak zmęczona... Poza tym, dopóki nie wiedziałam dokładnie, dlaczego mnie uratował, powinnam się powstrzymać przed okazywaniem wdzięczności. Na Dworze Unseelie są rzeczy gorsze niż śmierć. Idealnym przykładem była Nerys. Znak królowej nie mógł być naruszony przez żadne zaklęcie. Nie mogłam więc czuć się całkowicie bezpieczna, a co za tym idzie, i na wyrazy wdzięczności było za wcześnie. Znalazłam śpiwór w szafce w salonie. Rozłożyłam go w nogach łóżka i przewietrzyłam. Nagle usłyszałam krzyk dobiegający z łazienki. Doyle mówił coś podniesionym głosem. Ciemność Królowej i królowa kłócili się. W każdym razie takie odniosłam wrażenie. Zastanawiałam się, czy powie mi, czego dotyczyła ta kłótnia, czy też będzie to jeszcze jedna tajemnica.

Rozdział 18

Podeszłam do zamkniętych drzwi łazienki.

- Proszę cię, pani, nie każ mi tego robić - mówił Doyle podniesionym głosem. Chyba musiał mnie usłyszeć, bo drzwi nagle się otworzyły.

- Tak, księżniczko? - zapytał.

- Czy mógłbyś tu pobyć jeszcze przez kilka minut? Chciałabym się przebrać do snu. Skinął głową. Nie zaprosił mnie do środka, żebym mogła zobaczyć się ze swoją ciotką

poprzez lustro. Nawet nie próbował wyjaśnić, co się dzieje. Po prostu zamknął drzwi. Znowu usłyszałam jego głos, ale tym razem cichszy. Tym razem nie było już krzyków. Nie chcieli, żebym wiedziała, o co się kłóca. Mogłam się jedynie domyślać, że było to coś związanego ze mną. Czego tak bardzo nie chciał zrobić Doyle, że aż pokłócił się z królową?

Ważne, że nie miał mnie zabić. Tej nocy nic innego mnie już nie obchodziło. Zgasiałam górne światło i zapaliłam nocną lampkę. Górne światło zawsze sprawiało wrażenie zbyt jasnego jak na sypialnię. To, że chciałam zgasić jakieś światło, świadczyło o tym, że czułam się już lepiej. A przynajmniej byłam spokojniejsza.

Zazwyczaj mój nocny strój był podobny do bielizny. Lubiłam czuć jedwab i atlas na swojej skórze. Ale włożenie tego zakrawałoby na okrucieństwo względem Doyle'a.

Przywilejem królowej było spanie z jej strażnikami, jej Krukami, dopóki z jednym z nich nie zajdzie w ciążę. Wówczas poślubiła go i z innymi już nie spała. Andais mogła pozwolić im wziąć sobie kochanki, ale nie zrobiła tego. Jeśli nie spali z nią, nie spali też z nikim innym. Nie spali już z nikim od bardzo dawna.

W końcu wybrałam jedwabną koszulkę nocną, która sięgała mi do kolan; miała krótkie rękawki i wysoki dekolt. Skrywała najwięcej z wszystkich rzeczy, jakie miałam w szafie, ale bez biustonosza moje piersi napierały na cienki materiał, tak że widać było sutki. Jedwab był jaskrawopurpurowy i wyglądał bardzo dobrze przy mojej skórze i włosach. Starłam się nie olśnić Doyle'a, ale jednocześnie byłam na tyle próżna, by nie chcieć wyglądać jak czupiradło.

Przyjrzałam się swemu odbiciu w lustrze. Jeśli nie liczyć skaleczeń, wyglądałam jak kobieta czekająca na kochanka. Uniosłam rękę do lustra. Szpony Nerys poznały moje przedramiona czerwonymi smugami. Głęboka rana na lewym wciąż broczyła krwią. Czy było konieczne założenie szwów? Zwykle obywałam się bez nich, ale musiałam powstrzymać krwawienie. Uniosłam koszulkę, żeby przyrzeć się ranie na udzie. Była bardzo głęboka. Nerys usiłowała przeciąć tętnicę udową.

Chciała mnie zabić, ale to ja zabiłam ją. Wciąż nie czułam wyrzutów sumienia. Wciąż byłam odrętwiała. Może jutro poczuję się gorzej, a może nie. Czasami pozostajesz odrętwiała, bo nic nie może pomóc. Czasami odrętwienie pomaga nie zwariować.

Patrzyłam na siebie w lustrze i nawet moja twarz była pusta. Oczy miały to tępe spojrzenie, które bardziej niż cokolwiek innego mówiło o szoku. Ostatni raz miałam taki wyraz twarzy po ostatnim pojedynku, kiedy wiedziałam już, że pojedynki nie skończą się, chyba że moją śmiercią. Wtedy właśnie podjęłam decyzję o ucieczce.

Zaproszenie do powrotu do Krainy Faerie pochodziło zaledwie sprzed kilku godzin, a ja już wyglądałam jak ofiara strzelaniny. Raz jeszcze uniosłam rękę i popatrzyłam na ślady po szponach Nerys. Właściwie zapłaciłam już cenę za swój powrót do domu. Zapłaciłam krwią, ciałem, bólem: walutą Dworu Unseelie. Królowa mogła zaprosić mnie z powrotem i obiecać mi bezpieczeństwo, ale ja ją znałam. Wciąż chciała mnie ukarać za to, że uciekłam, że się ukrywałam, że pokonałam jej najlepsze siły, które mnie ściagały. Delikatnie mówiąc, moja ciotka nie umie przegrywać.

Usłyszałam pukanie do drzwi łazienki. - Czy mogę już wyjść? - spytał Doyle.

- Właśnie się zastanawiam - odparłam.

- Nie rozumiem?

- Możesz, możesz.

Doyle przewiesił paski od pochwy na miecz przez nagą pierś. Rękojeść leżała do góry nogami, prawie wzdłuż jego żeber, jak rewolwer w kaburze na barku. Paski zwisały luźno, jakby zdjął coś, co pomagało utrzymać je na miejscu.

Nigdy nie widziałam Doyle'a, kiedy nie był okryty od szyi aż po kostki. Nawet w środku lata rzadko nosił koszulki z krótkimi rękawami, tylko cieńsze ubranie. W lewym sutku miał srebrny kolczyk. Była to jedyna rzecz, która rozświetlała całkowitą czerń jego skóry. Nad jego lewą piersią ujrzałam ranę. Jej czerwień wyglądała na jego piersi prawie jak dekoracja, jak jakiś misterny tatuaż.

- Jak poważne są twoje rany? - spytał.

- Mogłabym o to samo zapytać ciebie.

- W moich żyłach płynie nieśmiertelna krew, księżniczko. Nic mi nie będzie. Pytam raz jeszcze: jak poważne są twoje rany?

- Zastanawiam się, czy powinnam mieć założone szwy na rękę i... - Zaczęłam podnosić koszulę, ale zatrzymałam się w półruchu. Sidhe nie wstydzą się nagości, ale zawsze starałam się być delikatna, jeśli chodzi o strażników.

- Mam poważniejszą ranę na udzie, zastanawiam się, jakiej jest głębokości. Pozwoliłam, by koszula opadła. Rana była bardzo wysoko na moim udzie, a nie miałam na sobie bielizny. Zwykle spałam bez niej. Przyzwyczajenie. Teraz chciałam jednak coś na sobie mieć. Nawet jeśli Doyle nie mógł wiedzieć, czy mam coś pod spodem, czy nie, poczułam się nagle nie ubrana.

Mogłam drażnić Jeremy'ego, ale wolałam nie wystawiać na próbę Uthera i Doyle'a, z podobnych powodów. Obaj byli odcięci od tej części swojego życia. Uther dlatego, że był wygnańcem i nie mógł znaleźć kobiety jego postury. Doyle z powodu kaprysu królowej.

Rozłożył śpiwór na podłodze między łóżkiem a ścianą, po czym przysiadł na skraju łóżka. - Czy mogę rzucić okiem na twoją ranę, księżniczko?

Usiadłam obok niego, czując, jak koszulka opada wokół mnie płynnym ruchem. Wyciągnęłam do niego lewą dłoń.

Podniósł moją rękę, zginając ją w łokciu, żeby lepiej widzieć ranę. Jego palce wydały mi się większe, niż były, ich dotyk - bardzo intymny. - Rana jest głęboka, mięśnie zostały rozdarte. Musi cię bardzo boleć. - Spojrzał na mnie.

- Nic nie czuję - powiedziałam.

Dotknął mojego czoła. Dotyk jego ręki był ciepły, prawie parzył. - Masz chłodne czoło, księżniczko.

- Potrząsnął głową. - Powiniennem być zauważyć to już wcześniej. Jesteś w szoku. W niewielkim, ale i tak powiniennem być to zauważyć. Trzeba cię wyleczyć i rozgrzać.

Wyrwałam swoją rękę. Dotyk jego palców na mojej skórze sprawił, że uciekłam wzrokiem, tak że nie mogłam widzieć mojej twarzy. - Ponieważ żadne z nas nie umie leczyć dotykiem, proponuję użyć bandaża.

- Umiem leczyć magią - powiedział.

Spojrzałam na niego. Wyraz jego twarzy był nie do odczytania. - Nigdy nie widziałam, żebyś to robił na dworze.

- To bardziej... intymna metoda niż dotyk rąk. Na dworze są uzdrowiciele o wiele silniejsi ode mnie. Moje małe zdolności w tej dziedzinie nie są nikomu potrzebne. Wyciągnął ręce przed siebie. - Mogę cię uleczyć, księżniczko, chyba że wolisz pojechać na ostry dyżur, żeby założyli ci szwy. Tak czy owak, trzeba zatamować krwawienie.

Szwy niekoniecznie były tym, czego pragnęłam. Podałam mu rękę. Znow zgiął ją w łokciu, zaciskając swoją dłoń na mojej dłoni, splatając nasze palce. Moja skóra była nieprawdopodobnie biała na tle jego, jak wypolerowany gagat na tle macicy perłowej. Drugą dłoń położył za moim łokciem. W ten sposób unieruchomił mi rękę. Uświadomiłam sobie, że nie mogę nią ruszyć, a nie wiedziałam, na czym polega jego metoda leczenia.

- Czy to będzie bolało?

Spojrzał na mnie ponad moim ramieniem. - Może troszkę. - Zaczął pochylać się nad moją ręką, jakby zamierzał pocałować ranę.

Położyłam wolną rękę na jego ramieniu, powstrzymując go przed następnym ruchem. Jego skóra była jak ciepły jedwab. - Poczekaj... na czym dokładnie polega to twoje leczenie?

Uśmiechnął się nieznacznie. - Za chwilę się przekonasz.

- Nie lubię niespodzianek - powiedziałam, wciąż trzymając rękę na jego ramieniu.

Uśmiechnął się szerzej i potrząsnął głową. - Dobrze, niech będzie. - Ale wciąż trzymał moją rękę, tak jakby chciał mnie wyleczyć niezależnie od tego, czy się na to zgodzę, czy nie. Sholto wspominał, że jeden z moich przydomków to Baron Słodki Jęczyzek.

- Pamiętam.

- Sugerował, że ma to jakiś związek z seksem, ale to nieprawda. Mogę cię wyleczyć, ale nie za pomocą rąk.

Patrzyłam na niego przez kilka uderzeń serca. - Chcesz powiedzieć, że zamierzasz lizać ranę tak długo, aż się zasklepi?

- Tak.

Dalej gapiłam się na niego. - Niektóre psy na dworze tak robią, ale nigdy nie słyszałam, żeby sidhe posiadały ten dar.

- Tak jak mówił Sholto, są korzyści z bycia sidhe niepełnej krwi. Jemu odrastają odcięte części ciała, ja liżę rany, a one się goją.

Nawet nie starałam się ukryć wyrazu niedowierzania. - Gdyby to jakiś inny strażnik próbował na mnie takiej sztuczki, oskarżyłabym go o to, że chce wykorzystać okazję, żeby mnie pocałować.

Uśmiechnął się i po raz pierwszy był to naprawdę pogodny uśmiech. - Gdyby jakiś mój kolega ze straży próbował na tobie takiej sztuczki, z pewnością nie zadowoliliby się całowaniem ręki.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. - Masz rację. Dobrze, zatrzymaj krwawienie, jeśli potrafisz. Naprawdę nie mam ochoty na wizytę na ostrym dyżurze. - Zdjęłam rękę z jego ramienia. - Kontynuuj,

proszę.

Pochylił się nad moją ręką, mówiąc: - Postaram się to zrobić możliwie bezboleśnie. Jego oddech na mojej skórze był prawie parzący, a potem poczułam na ranie jego język.

Podskoczyłam.

Podniósł na mnie wzrok, odrywając usta od mojej ręki. - Zabolało, księżniczko? Potrząsnęłam głową, nie będąc pewna, czy mogę zaufać głosowi.

Na powrót zajął się raną. Polizał ją całą dwa razy, bardzo wolno, potem jego język zanurzył się głębiej. Ból był ostry, nagły. Sapnęłam.

Tym razem nie oderwał się od rany, a przylgnął do mojej skóry ustami. Zamknął oczy, gdy zagłębiał język w ranie. Ból poraził mnie jak elektryczny wstrząs. Z każdym pociągnięciem jego języka moje ciało naprężało się. To tak, jakby nerwy, których dotykał, łączyły się z resztą mojego ciała.

Zaczął lizać ranę wolnymi, długimi ruchami. Oczy wciąż miał zamknięte, a byłam na tyle blisko, żeby widzieć czarne rzęsy na jego równie czarnej twarzy. Już prawie nie czułam bólu, tylko jego język poruszający się na mojej ranie. Moje serce przyspieszyło, oddech uwiązł mi w gardle. Jego kolczyki błyskały odbitym światłem, sprawiając wrażenie, jakby koniuszki uszu były zanurzone w srebrze. Ciepło zaczęło zbierać się w ranie. Czułam się teraz, jakbym była leczona dotykiem. To rosnące ciepło, energia wprawiająca w drżenie skórę, bardzo mi to przypominały.

Doyle oderwał wargi od mojej rany, oczy miał na pół zamknięte, usta otwarte. Wyglądał, jakby właśnie obudził się z głębokiego snu albo jakby przerwano mu bardziej intymną czynność. Opuścił moją rękę wolno, prawie niechętnie.

- Dawno już tego nie robiłem - powiedział wolno ochryłym głosem. - Zapomniałem już, jakie to uczucie uzdrawiać kogoś.

Zbliżyłam rękę do oczu, żeby przyjrzeć się ranie, ale żadnej rany tam nie było. Dotknęłam skóry koniuszkami palców. Była gładka, nienaruszona, wciąż wilgotna od języka Doyle'a, wciąż ciepła w dotyku, jakby coś z tej magii zostało na niej. - Nie ma nawet blizny.

- Wyglądasz na zaskoczoną.

- Raczej ucieszoną.

Uklonił się nieznacznie, wciąż siedząc na skraju łóżka. - Jestem szczęśliwy, że mogłem oddać przysługę swojej księżniczce.

- Zapomniałam o dodatkowych poduszkach. - Wstałam i skierowałam się do szafy. Złapał mnie za przegub.

- Ty krwawisz.

Spojrzałam na swoją rękę, ale nie widziałam żadnej rany.

- Twoja noga, księżniczko.

Popatrzyłam w dół i ujrzałam strużkę krwi na prawej nodze. - Cholera.

- Połóż się na łóżku i pozwól, żebym się temu przyjrzał. - Wciąż trzymał mnie za przegub, próbując pociągnąć na łóżko.

Opierałam się i w końcu mnie puścił. - To nie może krwawić, księżniczko. Pozwól mi się tym zająć.

- Ta rana położona jest bardzo wysoko na moim udzie.

- Wiedźma próbowała przerwać ci tętnicę udową?

- Tak.

- Nalegam, żebyś mi pozwoliła obejrzeć tę ranę. Znajduje się w takim miejscu, że nie można jej lekceważyć.

- Ale ona jest bardzo wysoko na moim udzie - powtórzyłam.

- Rozumiem - powiedział. - A teraz proszę, połóż się i pozwól mi na nią rzucić okiem.

- Nie mam na sobie bielizny.

- Och - wykrztusił zaskoczony. Emocje przebiegły po jego twarzy tak szybko, że nie zdążyłam ich odczytać, jak chmury w wietrzny dzień. W końcu powiedział: - Może w takim razie włożysz coś na siebie i wtedy będę mógł obejrzeć ranę.

- Dobry pomysł - pochwaliłam go. Otworzyłam szufladę, w której trzymałam swoje niewymowne. Majteczki, podobnie jak koszula nocna, były atłasowe, jedwabne i koronkowe. W końcu wybrałam parę czarnych atłasowych, bez koronek, falbanek i prześwitów. Były to najgrzeczniejsze majtasy, jakie miałam.

Spojrzałam na Doyle'a. Odwrócił się do mnie plecami, nie musiałam go nawet o to prosić. Włożyłam majtki, poprawiłam koszulę nocną, po czym powiedziałam: - Możesz już patrzeć.

Odwrócił się, miał bardzo uroczysty wyraz twarzy. - Większość z kobiet na dworze nie uprzedziłaby mnie o tym. Niektóre, żeby mi dokuczyć, inne dlatego, że po prostu nie przyszłoby im to do głowy. Nagość jest na dworze czymś normalnym. Dlaczego ty mi o tym powiedziałaś?

- Niektórzy strażnicy lubią pieszczoty. Nie ostrzegłabym żadnego z nich. To by była po prostu jeszcze jedna część gry. Ale ty nigdy w to nie grasz. Zawsze trzymasz się od nich z daleka. Położenie się na łóżku z rozłożonymi nogami byłoby z mojej strony zwykłym okrucieństwem.

Skinął głową. - Tak, byłoby to okrucieństwo. Większość kobiet na dworze traktuje tych z nas, którzy trzymają się z dala, jak eunuchów, jakbyśmy nic nie czuli. A ja wolę obywać się raczej bez dotyku ciała, niż dojść do takiego punktu, z którego nie będzie już odwrotu. Dla mnie byłoby to jeszcze gorsze.

- Czy królowa dalej nie pozwala wam nawet na to, żebyście się sami zaspokajali?

Wbił wzrok w podłogę. Zrozumiałam, że weszłam na grząski grunt. - Wybacz mi, nie jesteśmy ze sobą na tyle blisko, żebym miała prawo zadawać podobne pytania.

- Jesteś najdelikatniejszą ze wszystkich Unseelie, które są na dworze - powiedział, nie patrząc na mnie. - Królowa postrzega twoją delikatność jako oznakę słabości. - Spojrzał na mnie. - Ale my, strażnicy, doceniamy to. Zawsze lubiliśmy cię ochraniać, bo nie musieliśmy się ciebie bać.

- Nie miałam wystarczającej mocy, żebyście się mnie bali.

- Nie, księżniczko, nie miałem na myśli twojej magii. Chodziło mi o to, że nie musieliśmy bać się twojego okrucieństwa. Książę Cel odziedziczył po swojej matce... poczucie humoru.

- Chodzi ci o to, że jest sadystą?

Skinął głową. - W każdym znaczeniu tego słowa. A teraz połóż się i pozwól mi przyjrzeć się tej ranie. Jeśli pozwolę ci się wykrwawić, królowa zrobi ze mnie eunucha.

- Jesteś jej Ciemnością, jej prawą ręką. Nie robi ci nic złego z mojego powodu.

- Chyba nie doceniasz siebie, a przeceniasz mnie. - Wyciągnął do mnie rękę. - Proszę, księżniczko, połóż się.

Podałam mu dłoń i weszłam na łóżko. - Czy mógłbyś mówić do mnie Meredith? Przez lata już nie słyszałam: księżniczka to, księżniczka tamto. Zdażę się jeszcze tego nasłuchać, gdy już wrócę do Cahokia. Tej nocy darujmy sobie tytuły.

Uklonił się lekko. - Jak sobie życzysz, Meredith. - Pozwoliłam, żeby mi pomógł ułożyć się pośrodku łóżka, chociaż wcale nie potrzebowałam pomocy. Po części dlatego, że starsze sidhe lubią pomagać, a po części dlatego, że chciałam poczuć dotyk jego ręki.

W końcu leżałam na łóżku z głową na stercie poduszczyk. Dzięki temu widziałam całe swoje ciało. Doyle ukląkł przy moich nogach. - Czy mógłbym cię prosić, księżniczko...

- Meredith - przerwałam mu.

Skinął głową. - Czy mógłbym cię prosić, Meredith, żebyś...

Podciągnęłam koszulę, odsłaniając ranę. Znajdowała się ona tuż przy czarnych majteczkach.

Zbadał ranę ręką, przeciągając po niej palcami, naciskając lekko. Zabolalo, i to bardziej, niż się spodziewałam. Krew zaczęła lecieć szybciej, ale nie tak szybko, jak z tętnicy. Gdyby to była tętnica, już dawno wykrwawiłabym się na śmierć.

Przerwał i położył ręce na kolanach. - Rana jest bardzo głęboka, mięśnie rozerwane.

- Nie bolała tak bardzo, zanim zacząłeś jej dotykać.

- Jeśli tego teraz nie uzdrowię, jutro zaczniesz kuleć i będziemy musieli jechać na ostry dyżur. Być może potrzebna będzie interwencja chirurgiczna. Chyba że zajmę się tym teraz.

- Z dwojga złego wolę już ciebie - powiedziała zrezygnowana.

Uśmiechnął się. - To dobrze. Wolałbym nie wyjaśniać królowej, dlaczego sprowadziłem cię do domu chromą, skoro mogłem cię uzdrowić. - Zanurkował między moje nogi, po czym na chwilę wynurzył się i wyjaśnił: - Tak będzie mi łatwiej.

- Ty jesteś uzdrowicielem - rób, co uważasz za stosowne - powiedziałam.

Wrócił pomiędzy moje uda. Musiałam rozewrzeć nogi, żeby zrobić miejsce dla jego kolan. Trochę czasu zajęło mu wygodne usadowienie się, przeprosił mnie raz czy dwa, aż w końcu położył płasko na brzuchu, rękami trzymając mnie za uda. Powędrował wzrokiem wzdłuż mojego ciała, aż nasze oczy się spotkały. Samo patrzenie na niego w tej pozycji sprawiło, że mój puls przyspieszył. Starałam się, żeby nie było tego po mnie widać, ale chyba mi się nie udało.

Wypuścił z siebie powietrze i jego ciepły oddech owionął moje uda. Patrzył mi prosto w oczy i nagle uświadomiłam sobie, że robił to specjalnie, i że nie miało to nic wspólnego z uzdrawianiem.

Pochylił się nad moim ciałem. - Wybacz mi, ale nie tylko za seksem tęsknię, ale nawet za odrobiną bliskości. Na przykład za widokiem kobiecej twarzy, której wyraz zmienia się pod wpływem mojego dotyku. - Wysunął język. - Albo za tym, jak jej ciało unosi się na spotkanie mojego dotyku.

Leżał pomiędzy moimi nogami, patrząc na mnie. Spojrzałam w dół jego ciała. Czarne włosy leżały na nagiej skórze pleców, sięgając do jego obcisłych dżinsów. Kiedy nasze oczy ponownie się spotkały, ujrzałam w nich ten wyraz, który ma każdy mężczyzna, gdy jest pewien, że kobieta mu nie odmówi, nieważne, o co poprosi. Doyle nie zasłużył na to spojrzenie, jeszcze nie teraz.

- Nie wiem, czy pamiętasz, ale miałeś zająć się czymś innym.

Potarł podbródkiem o moje udo, zanim odpowiedział: - Zwykle nie pozwalam sobie, żeby znajdować się w tak jednoznacznej pozycji, ale skoro już tu jestem, szkoda byłoby nie skorzystać z okazji.

Ugryzł mnie delikatnie w udo, a kiedy sapnęłam, mocniej zanurzył zęby w mojej skórze. Krzyknęłam, wyginając się. Kiedy znów spojrzałam, na moim udzie znajdował się czerwony odcisk jego zębów. Od dawna nie miałam kochanka, który nie tylko mógł, ale chciał zostawiać ślady na moim ciele.

- To było cudowne - wymruczał.

- Drażnij mnie dalej, a nie pozostanę ci dłużna. - Chciałam, żeby zabrzmiało to jak ostrzeżenie, ale mój głos był pozbawiony tchu.

- Ale ty jesteś na górze, a ja na dole. - Jego ręce zacisnęły się na moich udach, siła jego rąk była ogromna. Zrozumiałam, co sugerował. Był na tyle silny, by utrzymać mnie w miejscu, tylko trzymając mnie za uda. Mogłam usiąść, ale nie mogłam tak naprawdę uciec. Napięcie w moim ciele, o którym nawet nie wiedziałam, zelzało. Odprężyłam się pod wpływem jego dotyku, leżąc na łóżku. Były rzeczy, za którymi tęskniłam, a które niewiele miały wspólnego z orgazmem. Doyle nigdy by nie spojrzał na mnie z przerażeniem, gdybym poprosiła go, żeby coś zrobił. Nigdy nie pozwoliłby, żebym czuła się jak potwór z powodu tego, czego pragnęło moje ciało. Ściągnęłam koszulę nocną przez głowę. Podniosłam się, siadając nad nim. W jego oczach pojawiło się czyste pożądanie. Było to tak nietypowe dla niego, że wiedziałam, że zabrnęłam za daleko. Zasłoniłam koszulą piersi, nie wiedząc, jak go przeprosić, nie czyniąc całej sprawy jeszcze bardziej niezręczną.

- Nie - powiedział - nie zakrywaj ich. Po prostu mnie zaskoczyłaś, nic więcej.

- Nie, musimy to skończyć, ze względu na ciebie... Przepraszam. - Zaczęłam wkładać z powrotem koszulę.

Zacisnął palce na moich udach, paznokcie wbiły się w moją skórę. Jęknęłam i spojrzałam na niego z koszulą na ramionach.

- Nie! - rozkazał, a jego oczy zabłyśły z wściekłości jak czarne klejnoty.

To jedno słowo zmroziło mnie. Popatrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, a serce podeszło mi do gardła.

- Nie - powiedział, a jego głos był prawie ostry. - Nie, chcę je zobaczyć. Zamierzam sprawić, że będziesz się wiła, moja księżniczko, i w tym czasie chcę widzieć całe twoje ciało.

Pozwoliłam koszuli opaść na łóżko i usiadłam tak blisko niego, jak tylko mogłam. Uścisk jego rąk na moich udach nie był już przyjemny, stał się bolesny, ale ból, w pewnych okolicznościach, też był rodzajem przyjemności.

Nacisk jego palców zelżał odrobinę i zobaczyłam, że zostawił na moich udach ślad paznokci. Małe półksiężycy wypełniły się krwią, gdy na nie patrzyłam.

Zaczął wycofywać ręce spod moich ud, ale pokręciłam głową. - Jesteś na dole, a ja na górze, pamiętasz?

Nie spierał się, tylko znów chwycił mnie za uda na tyle mocno, że nie mogłam się wyrwać. Przebiegłam rękami po brzuchu, sięgając do piersi, a potem położyłam się, opierając się na poduszkach, żeby mógł mnie widzieć.

Patrzył na mnie przez długą chwilę, jakby zapamiętywał wygląd mojego ciała leżącego na ciemnokolorowych poduszkach, a potem obniżył usta do rany. Lizał ją wolnymi ruchami języka. Potem jego usta przywarły do rany i zaczął ją ssać. Ciągnął skórę tak mocno, że to bolało, jakby wysysał truciznę z rany.

Ból sprawił, że podniosłam się, a on spojrzał na mnie oczami pełnymi tej mrocznej wiedzy, która nie dodawała mu uroku. Położyłam się z powrotem na łóżku pod naciskiem jego ust na moje udo, jego silne palce zanurzyły się w nim tak mocno, że wiedziałam, że następnego dnia będę miała siniaki. Moja skóra zaczęła błyszczeć w łagodnym świetle sypialni.

Spojrzałam na niego, ale jego wzrok był skierowany w dół, skoncentrował się na pracy. Pod wpływem nacisku jego ust zaczęło się rozchodzić ciepło, wypełniając całą ranę jak ciepła woda.

Doyle również zaczął błyszczeć. Jego naga skóra świeciła jak księżyc odbity w wodzie. Tylko że ten blask pochodził z jego wnętrza, spod skóry.

Uzdrowiające ciepło uderzało na moim udzie jak drugi puls. Jego usta zamknęły się, naciskając na ten puls, jakby chciał wyssać mnie zupełnie. Ciepło rosło w środku mojego ciała i uświadomiłam sobie, że to moja własna moc, która nigdy przedtem taka nie była.

Ciepło na moim udzie i wewnątrz ciała wzrastały niezależnie od siebie. Moja skóra załśniła na białło. Dwie moce spotkały się i przez jedno uderzenie serca uzdrawiające ciepło pływało po powierzchni mojego gorąca, a potem te dwie moce zlały się w jedną, łącząc się w ruchomą, wyginającą kręgosłup, tańczącą na skórze, napinającą ciało magię.

Doyle uniósł głowę. - Meredith, nie! - krzyknął.

Ale było już za późno, moc rozlała się w tańcu ciepła, gorąca, napięta w moim ciele, aż straciłam oddech. Wtedy moc wybuchła jak rozwierająca się pięść, wyciągająca się po coś, czego nie mogła złapać. Krzyknęłam i moc wylała się ze mnie w blasku, który wyrzucił cienie z pokoju, z mojej skóry. Widziałam Doyle'a jak przez mgłę. Klęczał. Jedną rękę uniósł, jakby chciał zasłonić się przed ciosem, a potem moc uderzyła w niego. Widziałam, jak jego głowa odskakuje do tyłu, ciało unosi się

wysoko na kolanach, jakby moc miała ręce, którymi mogła go podnieść. Taniec księżycowego blasku pod jego skórą rósł, aż zmienił się w chmurę czarnego światła, błyszczącą jak ciemna tęcza wokół jego ciała. Stał przez chwilę błyszczący, oślepiająco piękny. A potem zaczął krzyczeć, częściowo z bólu, częściowo z rozkoszy. Opadł na łóżko, zakrywając się rękami. Cudowny blask powoli bladł, jakby jego skóra wchłonęła światło, wsysała je tam, skąd wyszło.

Usiadłam, wyciągając do niego rękę, która wciąż żarzyła się łagodnym światłem.

Odskoczył ode mnie, spadając z łóżka, patrząc na mnie zza jego krawędzi szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. - Coś ty zrobiła?

- O co chodzi?

- O co chodzi? - Zerwał się, opierając się o ścianę, jakby za bardzo nie ufał swoim nogom. - Nie mogę sobie pozwolić na seksualne spełnienie. Ani przy użyciu własnej ręki, ani czegokolwiek innego.

- Nawet cię nie dotknęłam.

Zamknął oczy i oparł się głową o ścianę. Mówił, nie patrząc na mnie. - Twoja magia to zrobiła. Zagłębiła się we mnie jak miecz. - Otworzył oczy i popatrzył na mnie. - Czy teraz rozumiesz już, co zrobiłaś?

W końcu załapałam. - Myślisz, że królowa uzna to za seks?

- Tak.

- Nie chciałam tego zrobić... moja magia nigdy taka nie była.

- A tej nocy, gdy byłaś z roanem?

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym powiedziałam: - I tak, i nie. To nie było dokładnie to samo, ale... - Przerwałam i wpatrzyłam się w jego pierś.

Moje spojrzenie musiało być zdziwione, bo spojrzał na siebie. - Co? Co takiego widzisz?

- Rana na twojej piersi zniknęła - powiedziałam cichym, zdumionym głosem.

Przebiegł ręką po piersi, przyglądając się skórze. - Uzdrawiona. Ja tego nie zrobiłem. Podeszedł do krawędzi łóżka. - Popatrz na swoje ręce.

Ślady po szponach zniknęły. Moje ręce były uzdrawione. Przebiegłam dłońmi po udach, ale pozostały na nich ślady paznokci wypełnione krwią; czerwone ślady zębów; odcisk jego ust na moim udzie tam, gdzie przedtem była rana. - Dlaczego wszystko zniknęło z wyjątkiem tego?

Potrząsnął głową. - Nie mam pojęcia.

Popatrzyłam na niego. - Mówiłeś, że moja inicjacja uzdrowiła Roane'a. A jeśli to nie był tylko pierwszy poryw mocy? Jeśli ten dar jest częścią mojej nowej magii?

Patrzyłam, jak usiłuje to zrozumieć. - Możliwe, ale uzdrawianie przez seks nie jest darem Dworu Unseelie.

- Jest darem Dworu Seelie - dodałam.

- W twoich żyłach płynie również ich krew - stwierdził. - Muszę powiedzieć królowej.

- O czym?

- O wszystkim.

Położyłam się z powrotem na łóżku, wciąż pomaga, i wyciągnęłam do niego rękę. Odsunął się, przywierając do ściany, jakby się mnie bał. - Nie, Meredith, nigdy więcej. Królowa może wybaczyć nam, bo to był wypadek, poza tym będzie zadowolona, że masz więcej mocy. To może nas ocalić, ale jeśli dotkniesz mnie raz jeszcze... - Potrząsnął głową. Nie będzie dla nas taka miła, jeśli spędzimy ze sobą tę noc.

- Chciałam po prostu potrzymać cię za rękę. Chyba powinniśmy porozmawiać, zanim zdasz relację królowej.

Odsunął się, przywierając do ściany, prawie wychodząc z pokoju. - Spuściłem się po raz pierwszy od wieków, a ty siedzisz sobie tutaj, ot, tak po prostu... - Potrząsnął znów głową.

- Chcesz dotknąć mojej ręki, ale moja samokontrola nie jest nieograniczona - jak już się zresztą przekonał. Nie, Meredith, jeden dotyk i rzucę się na ciebie, i zrobię to, co chciałem, odkąd ujrzałem twoje piersi nade mną.

- Mogę się ubrać - zaproponowałam.

- Dobrze by było - odparł. - Ale i tak muszę jej powiedzieć o tym, co się wydarzyło.

- Ale ona nie musi się o niczym wiedzieć. Przecież nie zmierzy ci poziomu spermy. Nie uprawialiśmy seksu. Dlaczego chcesz jej powiedzieć?

- Ona jest Królową Powietrza i Ciemności; i tak się dowie. Jeśli się do tego nie przyznamy, a ona się o tym dowie, kara będzie tysiąc razy gorsza.

- Kara? To był wypadek.

- Wiem i to może nas uratować.

- Nie myślisz chyba, że naprawdę może wymierzyć nam taką samą karę jak wtedy, gdybyśmy rozmyślnie się kochali?

- Śmierć przez tortury - powiedział. - Mam nadzieję, że nie, ale miałyby do tego prawo.

Potrząsnęłam głową. - Nie, nie straci cię po tysiącach lat z powodu wypadku.

- Mam nadzieję, księżniczko, mam nadzieję. - Skierował się za róg, do łazienki.

- Doyle! - zawołałam.

Wyjrzał zza rogu. - Tak, księżniczko?

- Jeśli powie ci, że czeka nas śmierć, jest w tym jedna dobra strona.

Przechylił głowę jak ptak. - Co takiego?

- Będziemy mogli się kochać, naprawdę kochać. Jeśli i tak mamy być za coś straceni, przynajmniej będziemy wiedzieć za co.

Emocje znów odmalowały się na jego twarzy za szybko, bym mogła je odczytać. Uśmiechnął się. - Nigdy nie podejrzewałem, że będę się zastanawiać nad tym, co naprawdę chcę powiedzieć królowej. Jesteś niebezpieczną kobietą, Meredith, mężczyzna gotów jest oddać życie za noc z tobą.

- Nie chcę twojego życia, chcę tylko twojego ciała. Roześmiał się w łazience - już lepiej to, niż gdyby miał płakać. Włożyłam z powrotem koszulę nocną i przykryłam się prześcieradłami, zanim wrócił. Jego twarz była poważna, ale powiedział: - Nie będziemy ukarani. Chociaż powiedziała, że chciałyby zobaczyć, jak leczysz tą swoją nową mocą.

- Nie mam zamiaru brać udziału w jej orgietkach - oznajmiłam.

- Wiem. Ona też to wie, po prostu jest ciekawa.

- Niech sobie będzie. Więc nie zostaniemy zabici?

- Nie - odparł.

- Dlaczego w takim razie się nie cieszysz? - spytałam.

- Nie zabrałem ze sobą ubrań na zmianę.

Kilka chwil minęło, zanim zdałam sobie sprawę, co chciał przez to powiedzieć. Rzuciłam mu parę męskich jedwabnych bokserów. Były trochę opięte na biodrach, bo on i Roane nie byli tej samej budowy, ale ogólnie rzecz biorąc, pasowały.

Wziął bokserki i wrócił do łazienki. Myślałam, że będzie krótko, ale usłyszałam szum prysznicy. W końcu rzuciłam na śpiwory kilka poduszek i przewróciłam się na bok, próbując zasnąć. Nie byłam pewna, czy mi się to uda. Doyle jednak tak długo nie wychodził z łazienki, że w końcu zmorzył mnie sen. Ostatnią rzeczą, jaką słyszałam, był odgłos suszarki do włosów. Nie słyszałam już, jak wychodzi z łazienki. Po prostu następnego dnia obudziłam się, a on stał nade mną z gorącą herbatą w jednej

ręce i naszymi biletami na samolot w drugiej. Nie miałam pojęcia, czy zrobił użytek ze śpiwora ani czy w ogóle spał.

Rozdział 19

Doyle łaskawie pozwolił mi zająć miejsce przy oknie. Siedział w swoim fotelu sztywno, przypięty pasami, trzymając się rękami za ramiona. Kiedy samolot startował, zamknął oczy. Zazwyczaj lubię patrzeć na oddalającą się ziemię, jednak obserwowanie blednącego Doyle'a było o wiele bardziej zajmujące.

- Czyżbyś bał się latać? - zapytałam.

Oczy miał zamknięte, ale odpowiedział. - Nie boję się latać. Boję się latać samolotami. - Jego głos brzmiał bardzo rzeczowo, jak gdyby to wszystko miało oczywisty sens.

- Więc nie bałbyś się lecieć na skrzydlatym koniu?

Skinął głową, otwierając oczy, kiedy samolot wyrównał lot. - Wiele razy dosiadałem powietrznych bestii.

- Dlaczego więc samoloty napełniają cię takim strachem?

Popatrzył na mnie tak, jakby to było oczywiste. - To jest metal, księżniczko Meredith. Tak wielka ilość metalu ludzkiej roboty sprawia, że czuję się niepewnie. Stanowi on barierę pomiędzy mną a ziemią, a ja jestem ziemskim stworzeniem.

- Ja tam nie mam problemu z metalem. Jak widzisz, czasami opłaca się nie być czystej krwi sidhe.

Popatrzył na mnie, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Potrafisz utrzymać magię wewnątrz tego metalowego grobowca?

- Nie ma dla mnie żadnego znaczenia, czy znajduję się wewnątrz metalowych grobowców czy poza nimi.

- To może okazać się bardzo przydatne, księżniczko.

Przy siedzeniu Doyle'a zatrzymała się stewardesa, wysoka, długonoga, prawie perfekcyjnie umalowana blondynka. Pochyliła się nad nim tak nisko, że mógłby bez problemu zajrzeć za jej dekolt, gdyby tylko miał na to ochotę. Robiła wszystko, by miał okazję podziwiać jej wdzięki za każdym razem, gdy znajdowała się w pobliżu. Przez ostatnie dwadzieścia minut przychodziła trzy razy, żeby zapytać, czy czegoś nie potrzebuje. Za każdym razem odprawiał ją z kwitkiem. Ja poprosiłam o czerwone wino.

Ponieważ podróżowaliśmy pierwszą klasą, podała mi je w kieliszku na długiej nóżce. Kiedy samolot wpadnie w turbulencję, bardzo łatwo rozlać tak podane wino. Co też i uczyniłam.

Kiedy samolot podskoczył i przechylił się gwałtownie, nie pozostawało mi nic innego, jak oddać pusty kieliszek stewardesie. Wielkodusznie włożyła mi do ręki garść serwetek.

Doyle zamknął oczy i cierpliwie odpowiadał na wszystkie jej pytania: - Nie, dziękuję, wszystko w porządku. - Chociaż nie zaproponowała mu wprost, żeby zerwał z niej ubranie i kochał się z nią na podłodze samolotu, było dla mnie jasne, że ma na to wielką ochotę. Jeśli nawet Doyle odczytał to jako zaproszenie, nie dał tego po sobie poznać. Nie wiedziałam, czy nie zdawał sobie sprawy z tego, że ona mu się narzuca, czy też był po prostu przyzwyczajony do ludzkich kobiet zachowujących się jak idiotki. W końcu zrozumiała aluzję i poszła sobie. Idąc, musiała chwytając się oparcia foteli, żeby nie upaść.

To była silna turbulencja. Twarz Doyle'a zrobiła się szara. Podejrzewam, że to była jego wersja zielenienia.

- Dobrze się czujesz? - spytałam.

Zacisnął mocno powieki. - Poczuję się dobrze, kiedy bezpiecznie wylądujemy na ziemi.

- Czy jest coś, co mogę zrobić, żeby czas zleciał ci szybciej?

Otworzył nieznacznie oczy. - Myślę, że stewardesa złożyła mi już odpowiednią ofertę, jeśli o to chodzi.

- Stewardesa to seksistowskie określenie - zauważyłam. - Teraz się mówi: personel lotu. A więc rozumiałeś jej aluzje.

- Nie sądzę, żeby ściskanie mojego uda i szorowanie piersiami po moim ramieniu można było uznać za aluzje - raczej za zaproszenie.

- Ale udało ci się ją zignorować.

- Mam w tym wprawę. - Samolotem zakołysało tak gwałtownie, że nawet mnie zrobiło się niedobrze. Doyle ponownie zacisnął powieki. - Naprawdę chcesz sprawić, żeby ten lot minął mi szybciej?

- W końcu jestem ci coś winna po tym, jak błysnęłaś swoją oficjalną odznaką Strażnika i oboje mogliśmy wsiąść do samolotu z bronią. Wiem, że w Stanach możemy ją legalnie nosić, ale zwykle nie idzie to tak łatwo ani szybko.

- Pomogło też to, że policja eskortowała nas do samego samolotu, księżniczko. Odkąd obudziłam się dziś rano, nazywał mnie księżniczką albo księżniczką Meredith. Już nie byliśmy na ty.

- Glinom chyba bardzo zależało, żebym wsiadła do tego samolotu.

- Bali się, że mogłabyś zostać zamordowana na ich terenie. Nie chcieli brać odpowiedzialności za twoje bezpieczeństwo.

- A więc dlatego udało nam się zabrać broń?

Skinął głową, oczy ciągle miał zamknięte. - Powiedziałem im, że ponieważ masz tylko jednego ochroniarza, lepiej będzie, jeśli ty też będziesz uzbrojona. Wszyscy przyznali mi rację.

Sholto oddał mi moją LadySmith 9 mm. Miałam na ten pistolet kaburę do spodni. Zwykle nosiłam ją z tyłu, przykrytą zakietem. Ponieważ jednak policja dała mi wolną rękę, jeśli chodzi o noszenie broni, nie musiałam zawracać sobie głowy ukrywaniem jej.

Oprócz tego miałam dziesięciocalowy nóż w pochwie, której koniec przywiązany był do nogi skórzanym paskiem. Dzięki temu mogłam wyjmować nóż tak szybko jak rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu. Dzięki paskowi pochwa lepiej pasowała do ruchów nogi. Gdyby nie była przywiązana, musiałabym ją przesuwać za każdym razem, kiedy zmieniałam pozycję.

Miałam też składany nóż Spyercop przypięty nad fiszbinami stanika. Podczas swojej bytności na dworze zawsze nosiłam dwa noże. Broń palną można było nosić tylko w niektórych częściach kopców faerie. Ale wolno było mieć przy sobie noże. Na bankiecie na moją cześć, który miał się odbyć dziś wieczorem, zamierzałam mieć więcej broni. Dziewczyna nigdy nie ma za dużo biżuterii ani uzbrojenia.

Doyle miał z tyłu Śmiertelny Strach. Jego rękojeść wystawała spod ramienia jak pistolet z kabury. Miał też torbę sportową pełną broni. Kiedy zapytałam go, dlaczego nie użył jej przeciwko slughom, powiedział: - Żadna z nich nie mogłaby spowodować na nich prawdziwej śmierci. Chciałem, żeby wiedzieli, że nie żartuję. - Szczerze mówiąc, zawsze uważałam, że zrobienie komuś w plecach dziury większej od pięści to wystarczający dowód na to, że się nie żartuje. Wielu Strażników uważa jednak pistolety za podrzędną broń. Noszą je między ludźmi, lecz, nie licząc wojny, prawie nigdy ich nie używają. To, że Doyle wziął pistolety, oznaczało, że sprawy mają się naprawdę źle. Chyba że w czasie, gdy mnie nie było, nastąpiła radykalna zmiana polityki dworu. Gdyby inni strażnicy nosili broń palną, wiedziałabym o tym.

Samolot obniżył lot tak nagle, że nawet ja sapnęłam. Doyle jęczał. - Mów do mnie, Meredith - wystękał.

- O czym?

- O czymkolwiek.

- Moglibyśmy porozmawiać o zeszłej nocy - powiedziałam.
Obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem. Gdy samolot znów zanurkował, zamknął oczy i wyszeptał: -
Opowiedz mi jakąś historię.
- Nie jestem w tym dobra.
- Proszę, Meredith.
Nazwał mnie Meredith, zawsze to jakiś postęp. - Mogę ci opowiedzieć historię, którą już znasz.
- Dobrze.
- Mój dziadek ze strony matki to Uar Okrutny. Zyskał ten przydomek nie tyle dlatego, że był skończonym łajdakiem, ile dlatego, że był ojcem trzech synów, którzy byli potworami, nawet jak na standardy istot magicznych. Żadna kobieta nie przespałaby się z nim po narodzinach jego synów. Powiedziano mu jednak, że może być ojcem normalnych dzieci, jeśli znajdzie jakąś istotę magiczną, która będzie dobrowolnie z nim sypiała.
Przyjrzałam się zamkniętym oczom Doyle'a i jego nieprzeniknionej twarzy. - Proszę, mów dalej - powiedział.
- Moja babcia jest w połowie skrzatem, a w połowie człowiekiem. Była gotowa sypiać z nim, byle tylko stać się członkiem Dworu Seelie. - Nawiasem mówiąc, nie obwiniałam jej o to. Jeszcze lepiej niż ja wiedziała, jak to jest należeć do dwóch tak bardzo różnych światów.
Samolot wyrównał lot, ale nadal drgał, kiedy wiatr szarpał nim z każdej strony. Burzliwy lot. - Nie nudzę cię? - zapytałam.
- Cokolwiek powiesz, będzie dla mnie fascynujące, dopóki nie osiągniemy bezpiecznie ziemi.
- Wiesz, jesteś uroczy, kiedy się boisz.
Popatrzył na mnie wściekle zwięzonymi oczami, po czym znów je zamknął. - Proszę, mów dalej.
- Babcia urodziła śliczne bliźniaczki. Przekleństwo Uara się skończyło, a babcia stała się jedną z dam dworu, dlatego że urodziła mu dzieci. Z tego, co wiem, mój dziadek nigdy już więcej nie tknął swojej „żony”. Był jednym z tych pięknych i błyskotliwych dżentelmenów. Teraz, gdy został uwolniony od przekleństwa, babcia była dla niego odrobinę zbyt pospolita.
- On jest potężnym wojownikiem - powiedział Doyle, z oczami nadal zamkniętymi.
- Kto?
- Uar.
- Prawda, musiałeś walczyć przeciwko niemu podczas wojen w Europie.
- Był godnym przeciwnikiem.
- Chcesz, żebym zmieniła o nim zdanie?
Samolot leciał właśnie prosto i względnie łagodnie od jakichś trzech minut. To wystarczyło Doyle'owi, żeby całkiem otworzył oczy. - Skąd ta gorycz w głosie?
- Dziadek przez całe lata bił babcie. Myślał, że sama od niego odejdzie. Nie mógł rozwieść się z nią bez jej zgody, bo była matką jego dzieci.
- Czemu go nie opuściła?
- Bo gdyby nie była już żoną Uara, nie miałyby wstępu na dwór. A nie pozwolono by jej zabrać ze sobą córek. Została, żeby mieć pewność, że jej dzieci będą bezpieczne.
- W największe zmieszanie wprowadziła królową to, że twój ojciec zaprosił matkę twojej matki, żeby towarzyszyła wam dwojgu na wygnaniu.
- Babcia zajmowała się naszym domem.
- A zatem była służącą - powiedział Doyle.
Tym razem to ja posłałam mu wściekłe spojrzenie. - Nie, była... była jego prawą ręką. Wychowywali mnie wspólnie przez te dziesięć lat.

- Kiedy uciekałaś, twoja babcia opuściła dwór. Otworzyła własny interes jako gospodyni domowa.

- Czytałam o tym w czasopiśmie „Victoria” i „Good House keeping”. Pensjonat prowadzony przez skrzata. Była członkini dworu królewskiego gotuje i podaje do stołu.

- Nie rozmawiałaś z nią przez te trzy lata, odkąd wyjechałaś? - zapytał.

- Przez te trzy lata nie kontaktowałam się z nikim. Nie chciałam nikogo narażać. Po prostu zniknęłam, wszystko i wszystkich pozostawiając za sobą.

- Zostawiłaś klejnoty i pamiątki rodowe, które prawnie ci się należały. Królowa była zdumiona, że wyjechałaś jedynie z tym, co miałaś na sobie.

- I tak nie mogłabym ich sprzedać.

- Miałaś pieniądze, które ojciec dla ciebie odłożył. - Patrzył na mnie, starając się zrozumieć.

- Od ponad trzech lat jestem w pełni samodzielna. Niczego od nikogo nie wzięłam. Jestem kobietą niezależną, wolną od jakichkolwiek zobowiązań.

- Co znaczy, że możesz powołać się na prawo dziewicy, kiedy wrócisz na dwór.

Skinęłam głową. - Właśnie. - Według starej celtyckiej tradycji dziewica to kobieta, która jest niezależna, nic nikomu nie jest winna co najmniej przez trzy lata. Bycie dziewicą oznaczało, że byłam poza wszelkimi zatargami. Nie mogłam zostać zmuszona do wzięcia udziału w jakimkolwiek sporze. Był to sposób na życie na dworze, a jednocześnie poza nim.

- Bardzo dobrze, księżniczko, bardzo dobrze. Znasz prawo i wiesz, jak je wykorzystać dla własnej korzyści. Jesteś równie mądra, co uprzejma, prawdziwa rzadkość na Dworze Unseelie.

- Powołanie się na prawo dziewicy pozwoliło mi dokonać hotelowej rezerwacji bez ryzykowania gniewu królowej - powiedziałam.

- Łamała sobie głowę, dlaczego nie chcesz zatrzymać się na dworze. Było nie było, zamierzasz do nas wrócić, prawda?

Skinęłam głową. - Tak, ale nie od razu. Najpierw muszę się zorientować, jak wielkie niebezpieczeństwo mi grozi.

- Niewielu ryzykowałoby gniew królowej - powiedział.

Odszukałam jego oczy, ponieważ chciałam zobaczyć, jak zareaguje na moje następne słowa. - Księżę Cel na pewno. Nigdy go za nic nie ukarała.

Doyle zacisnął powieki, kiedy wymieniłam imię Cela, ale nic poza tym. Gdybym na to nie czekała, w ogóle nie zauważyłabym żadnej reakcji.

- Cel jest jej jedynym dziedzicem - powiedziałam - nie zabije go. On o tym wie.

Doyle spojrzał na mnie pustym wzrokiem. - Nie mnie oceniać, co królowa czyni albo nie ze swoim synem i dziedzicem.

- Nie musisz bawić się ze mną w kotka i myszkę. Wszyscy wiemy, kim jest Cel.

- Potężnym księciem sidhe, obdarzonym równie dobrym słuchem, co królowa, jego matka - powiedział Doyle, a ton jego głosu był ostrzeżeniem, żeby lepiej dobierać słowa.

- On ma moc tylko w jednej dłoni, a inne jego dary nie są takie wspaniałe.

- On jest księciem Starej Krwi. Nie chciałbym, żeby użył tego daru na mnie. Mógłby w jednej chwili otworzyć wszystkie krwawe rany, jakie zadano mi przez ponad tysiąc lat bitew.

- Nie twierdzę, że nie jest to straszny dar. Ale są sidhe z potężniejszą magią, sidhe, które mogą zabić jednym dotknięciem. Widziałam, co potrafi działać twój płomień.

- Ty też zabiłaś dwie ostatnie sidhe, które wyzwały cię na pojedynek, księżniczko Meredith.

- Oszukiwałam.

- Nie, nie oszukiwałaś. Użyłaś jedynie taktyki, na którą one nie były przygotowane. To cecha dobrego żołnierza.

Popatrzyliśmy na siebie. - Czy oprócz królowej ktoś wie, że mam moc ciała?

- Sholto i jego sluaghowie. Zapewniam cię, że do czasu gdy wylądujemy, nie będzie to żadna tajemnica.

- To może odstraszyć ewentualnych przeciwników - powiedziałam.

- Stać się na zawsze bezkształtną kulą mięsa, nigdy nie umrzeć, nigdy się nie zestarzeć, jedynie trwać; o tak, księżniczko, myślę, że będą się bali. Po tym jak Griffin... cię zostawił, wielu stało się twoimi wrogami, bo myśleli, że nie masz mocy. Wszyscy oni będą przypominali sobie teraz zniewagi, jakimi cię obrzucili. Będą się zastanawiać, czy wracasz po to, żeby się zemścić.

- Odwołuję się do prawa dziewicy, to znaczy, że nie mam nic na sumieniu, a więc i oni też. Jeśli zacznę się mścić, utracę status dziewicy i zostanę wessana z powrotem w sam środek całego tego gówna. - Potrząsnęłam głową. - Nie, zostawię ich w spokoju, jeśli tylko oni zostawią w spokoju mnie.

- Jesteś dojrzała ponad swój wiek, księżniczko.

- Mam trzydzieści trzy lata, jak na ludzkie standardy, nie jestem już dzieckiem.

Zachichotał, a ja przypominałam sobie, jak wyglądał ostatniej nocy ubrany tylko do połowy. Staralam się, żeby moja mina nie zdradziła, o czym myślę, i chyba się udało, bo jego wyraz twarzy nie uległ zmianie. - Pamiętam czasy, gdy Rzym był zaledwie dużym placem przy drodze, księżniczko. Ktoś, kto ma trzydzieści trzy lata, dla mnie jest dzieckiem.

- Nie przypominam sobie, żebyś ostatniej nocy traktował mnie jak dziecko.

Odwrócił wzrok. - To była pomyłka.

- Skoro tak twierdzisz... - Spojrzałam na chmury za oknem. Doyle był zdecydowany udawać, że ostatnia noc nigdy się nie wydarzyła. Nie zamierzałam podejmować kolejnych prób porozmawiania o tym, skoro on w tak oczywisty sposób tego nie chciał.

Obok nas znów pojawiła się stewardesa. Tym razem uklękła, spódniczka ciasno opinała jej uda. Uśmiechnęła się do Doyle'a, w rękę trzymała czasopisma rozłożone w wachlarz. - Życzy pan sobie coś do czytania? - Wolną rękę położyła na jego nodze, przesunęła nią po wewnętrznej części jego uda.

Jej dłoń znajdowała się o cal od krocza, kiedy chwycił ją za nadgarstek i odsunął rękę.

- Pani wybacz.

Uklękła bliżej niego, z jedną ręką na jego kolanie, czasopisma zasłaniały to, co robiła. Nachyliła się tak, że jej piersi naciskały na jego nogi. - Proszę - wyszeptała. - Proszę, tak dużo czasu minęło, od kiedy byłam z jednym z was.

To zwróciło moją uwagę. - Jak dużo? - zapytałam.

Przymknęła oczy, jakby nie mogła się całkiem skoncentrować przy Doyle'u siedzącym tak blisko. - Sześć tygodni.

- Kto to był?

Potrząsnęła głową. - Umiem dochować tajemnicy, teraz też jej dochowam, tylko mi nie odmawiaj. - Popatrzyła na Doyle'a.

- Proszę.

Ta kobieta była porażona elfem. Jeśli sidhe uprawia seks z człowiekiem i nie stara się złagodzić magii, może uczynić z niego kogoś w rodzaju nałogowca. Ludzie porażeni elfem mogą dosłownie umrzeć z pragnienia dotyku sidhe.

Nachyliłam się do ucha Doyle'a, tak blisko, że moje wargi otarły się o krawędź jego kolczyków. Miałam straszną ochotę, żeby polizać jeden z nich, ale nie zrobiłam tego. Było to jedno z tych figlarnych pragnień, które odczuwasz od czasu do czasu. Wyszeptałam:

- Weź od niej nazwisko i numer telefonu. Będziemy musieli poinformować o niej Biuro do spraw Ludzi i Istot Magicznych.

Doyle zrobił to, o co go poprosiłam.

Stewardesa miała łzy wdzięczności w oczach, kiedy Doyle brał od niej imię, nazwisko i adres. Pocałowała go w rękę i z pewnością na tym by się nie skończyło, gdyby nie interwencja stewarda - mężczyzny.

- Uprawianie z ludźmi seksu bez osłaniania ich umysłów jest zabronione powiedziałam.

- Tak, to jest zabronione - potwierdził Doyle.

- Ciekawe, kim był jej kochanek.

- Kochankowie, jak sądzę - sprostował Doyle.

- Ciekawe, czy ona zawsze lata na trasie Los Angeles-St. Louis?

Doyle popatrzył na mnie. - Myślisz, że będzie wiedziała, kto latał na tej trasie tak często, że mógł założyć swój kościół?

- Jedna sidhe to jeszcze nie kościół - powiedziałam.

- Opowiadałaś mi o kobiecie, która spotkała grupkę ludzi z implantowanymi chrząstkami uszu, a może i samych sidhe.

- To wciąż jeszcze nie kościół - to jedynie czarownik ze zwolennikami, w najlepszym razie grupka czcicieli sidhe.

- A w najgorszym kościół. Nie mamy pojęcia, ile osób było w to zamieszanych, księżniczko, a człowiek, który mógłby odpowiedzieć na to pytanie, nie żyje.

- Dziwne, że policja nie miała nic przeciwko temu, że bym opuściła stan, mimo toczącego się dochodzenia w sprawie morderstwa.

- Wcale bym nie był zaskoczony, gdyby okazało się, że to dzięki kilku telefonom twojej cici, naszej królowej. Potrafi być naprawdę czarująca, kiedy tylko chce.

- A jeśli to zawodzi, staje się straszna jak wszyscy diabli - powiedziałam.

Skinął głową. - Co racja, to racja.

Już do końca lotu opiekował się nami steward. Stewardesa pojawiła się, dopiero gdy wysiadaliśmy z samolotu. Ujęła dłoń Doyle'a i powiedziała: - Zadzwońisz do mnie, prawda?

Doyle pocałował ją w rękę. - O tak, zadzwonię, a ty odpowiesz mi uczciwie na wszystkie pytania, jakie ci zadam, prawda?

Skinęła głową, łzy spływały jej po twarzy. - Co tylko zechcesz.

Musiałam odciągnąć od niej Doyle'a prawie siłą. - Pamiętaj tylko, żebyś zabrał ze sobą przyzwoitkę - powiedziałam.

- Nie miałem zamiaru iść do niej sam - odparł. Popatrzył na mnie, nachylił się do mojego ucha i wyszeptał: - Niedawno odkryłem, że nie jestem całkiem obojętny na seksualne awanse. - Jego spojrzenie było bardzo szczere, otwarte. - W przyszłości będę musiał bardziej uważać. - Wyprostował się i skierował wąskim korytarzem w stronę budynku portu lotniczego. Podążyłam za nim.

Pozostawiliśmy za sobą ryk silników i udaliśmy się tam, skąd dobiegały ludzkie głosy.

Rozdział 20

Ludzkie głosy przysuwały się i odsuwały jak morskie fale. Ludzie rozbiegali się na wszystkie strony niczym kawałki różnobarwnej układanki. Doyle szedł tuż przede mną, pełniąc obowiązki przedniej straży.

Nasza bramka znajdowała się na początku szerokiego korytarza, który prowadził w głąb portu lotniczego. Doyle przeszedł przez nią i poczekał na mnie. I wtedy zobaczyłam wysoką postać idącą

dużymi krokami w naszym kierunku. Galen był ubrany na zielono-biało: jasnozielony sweter, jeszcze jaśniejsze spodnie i długi do kostek biały prochowiec unoszący się za nim jak peleryna. Sweter pasował do jego włosów, które opadały w krótkich lokach tuż poniżej ucha, poza jednym długim, cienkim warkoczem. Jego ojciec był pixie, któremu królowa wymierzyła karę śmierci za zuchwałą zbrodnię uwiedzenia jednej z panien dworu.

Nie wierzę, że królowa by go zabiła, gdyby wiedziała, że spłodził dziecko. Dzieci są drogocenne, a wszystko, co się rozmnaża, co przekazuje dalej krew, należy chronić.

Cieszyłam się ze spotkania z nim, ale wiedziałam, że jeśli on tu jest, to muszą też być fotoreporterzy. Szczerze mówiąc, byłam zaskoczona, że jeszcze nie jesteśmy oślepieni fleszami. Księżniczka Meredith zaginęła na trzy lata, a teraz wraca do domu, cała i zdrowa. Moja twarz przez lata zdobyła okładki głównianych pisemek; poszukiwania Jedenastej Amerykańskiej Księżniczki dorównywały poszukiwaniom Elvisa. Nie wiedziałam, kto i jakim sposobem uchronił mnie przed atakiem mediów, ale byłam mu za to wdzięczna.

Rzuciłam swoją podręczną torbę pod nogi Doyle'a i pobiegłam do Galena. Porwał mnie w ramiona i pocałował. - Kopę lat, Merry. - Trzymał mnie nad ziemią.

Nigdy nie lubiłam, kiedy moje stopy zwisały bezwładnie. Objęłam go nogami w pasie, a on przeniósł ręce z mojej talii na uda.

Rzucałam się Galenowi w ramiona, odkąd sięgam pamięcią. Po śmierci mojego ojca chronił mnie na dworze - chociaż będąc tak jak ja sidhe niepełnej krwi, nie miał dużo większej siły przebicia niż ja. To, co miał, to sześć stóp mięśni i umiejętność walki.

Oczywiście kiedy porywał mnie w ramiona, gdy miałam siedem lat, nie było pocałunków ani pieszczot. Mając niewiele ponad sto lat, Galen był jednym z najmłodszych królewskich strażników Andais. Różnica siedemdziesięciu lat między nami to dla sidhe tyle co nic.

Jego sweter był głęboko wycięty w serek, ukazując włosy na piersi. Były zielone jak włosy na jego głowie, ale ciemniejsze, niemal czarne. Sweter był miękki, przylegał do ciała. Jego skóra była biała, ale sweter rzucał na nią odcień bladej zieleni, tak że wydawała się albo perłowobiała, albo lekko zielona, w zależności od tego, jak padało światło.

Jego oczy były zielone kolorem młodej wiosennej trawy, bardziej podobne do ludzkich oczu niż moje. Reszty nie da się opisać słowami. Kochałam go, od kiedy skończyłam jakieś czternaście lat, a mimo to nie jego wybrał mi ojciec na małżonka. Dlaczego? Po prostu Galen był zbyt miły. Nie znał się na dworskich rozgrywkach na tyle dobrze, żeby mój ojciec był pewien, że przy jego boku nic mi się nie stanie. Mówił wtedy, kiedy milczenie byłoby mądrzejsze. Była to jedna z tych rzeczy, które u niego uwielbiałam jako dziecko, i których się bałam, będąc nieco starsza.

Tańczył ze mną po całym korytarzu w takt muzyki, którą słyszał tylko on, choć mnie również wydawało się, że ją słyszę, gdy patrzyłam mu w oczy.

- Cieszę się, że cię widzę, Merry.

- Wiem - odparłam.

Zaśmiał się bardzo ludzkim śmiechem. Już sama wesołość Galena czyniła go wyjątkowym, ale dla mnie był wyjątkowy nie tylko z tego powodu.

Nachylił się, szepcząc mi wprost do ucha: - Obcięłaś włosy. Swoje piękne włosy.

Złożyłam delikatny pocałunek na jego policzku. - Odrośną.

Kręciło się wokół nas ledwie kilku reporterów. Ale większość z nich miała aparaty fotograficzne. Zdjęcia członków rodziny królewskiej, szczególnie jeśli robili coś niezwykłego, zawsze cieszyły się wzięciem. Pozwalaliśmy im pstrykać zdjęcia, ponieważ nie mogliśmy ich powstrzymać. Używanie magii przeciwko nim było, wedle orzeczenia Sądu Najwyższego, naruszeniem wolności prasy. Wielu

reporterów, którzy zwykle pisali o sidhe, miało zdolności nadprzyrodzone. Wiedzieli, kiedy używało się na nich magii. I nagle lądowało się w sądzie. Rozpatrzmy to w świetle Pierwszej Poprawki...

Istoty magiczne przyjęły dwie różne taktyki wobec reporterów. Niektórzy z nas po prostu nigdy nie dawali im sposobności znalezienia czegoś interesującego, publicznie zachowując się bardzo przyzwoicie. Galen i ja stosowaliśmy inną taktykę. Otóż od czasu do czasu podrzucaliśmy im jakiś kasek. Jakaś błahostkę, byle tylko nie szukali bardziej sensacyjnego materiału. Coś przekonującego i ciekawego. Ta druga taktyka cieszyła się poparciem królowej Andais. Przez ostatnie trzydzieści lat robiła ona wszystko, by tylko zainteresowanie jej dworem nie malało; praktycznie przez całe moje życie. Reporterzy towarzyszyli więc mnie i ojcu, gdy wyjeżdżaliśmy na majówki. Nie opuścili również moich zaręczyn z Griffmem. Nie mogło być mowy o prywatnym życiu, jeśli królowa postanowiła, że będzie ono publiczne.

Ktoś odchrząknął i zobaczyłam, że za Galenem stoi Barinthus. O ile Galen wyglądał wyjątkowo, o tyle Barinthus - obco. Jego włosy miały kolor morza, oceanu. Turkus Morza Śródziemnego; lazur Pacyfiku; szary błękit jak ocean przed sztormem, wpadający w granat, który był prawie czarny w miejscach, gdzie woda płynie głęboka i mętna jak krew śpiących olbrzymów. Kolory zmieniały się z każdym dotknięciem światła, mieszając się ze sobą, jak gdyby to nie były w ogóle włosy. Jego skóra była tak alabastrowobiała jak moja. Jego oczy były błękitne, ale źrenice - czarne. Wiedziałam, że miał przezroczystą błonę, która powlekała jego oczy, kiedy był pod wodą. To on nauczył mnie pływać, gdy miałam pięć lat. A poza tym bardzo mi się podobało, że mógł podwójnie mrugnąć okiem.

Był wyższy od Galena, miał prawie siedem stóp wzrostu, jak przystało na boga. Na czarny garnitur narzucił królewski błękitny płaszcz. Oprócz tego miał na sobie jedwabną błękitną koszulę ze stójką. Wyglądał w tym wszystkim olśniewająco. Włosy pozostawił rozpuszczone i powiewały swobodnie dookoła niego jak drugi płaszcz. Wiedziałam, że ktoś inny, prawdopodobnie moja ciotka, wybrał za niego to ubranie. Pozostawiony samemu sobie Barinthus włożyłby dzinsy i T-shirt.

Galen i Barinthus byli dwoma najczęstszymi gośćmi w domu mojego ojca, gdy przebywaliśmy wśród ludzi. Barinthus był prawdziwą potęgą wśród sidhe; wywodził się ze Starego Dworu. Sidhe ciągle szeptały o ostatnim pojedynku, jaki stoczył długo przed moim przyjściem na świat. Utopił wówczas swojego przeciwnika, mimo że nigdzie w pobliżu nie było wody. Podobnie jak mój ojciec, nigdy nie godził się na pojedynek, jeśli nie miał się on toczyć na śmierć i życie. W innym wypadku szkoda mu było czasu.

Galen pozwolił mi zsunąć się na ziemię. Podeszłam do Barinthus, trzymając obie ręce wyciągnięte w geście powitania. Wyjął ostrożnie ręce z kieszeni płaszcza, trzymając je lekko zaciśnięte, dopóki nasze dłonie się nie spotkały. Miał błonę pławną między palcami i był z tego powodu drażliwy, odkąd w latach pięćdziesiątych jakiś reporter nazwał go „człowiekiem-rybą”. Trudno uwierzyć, że ktoś niegdyś czczony jako bóg morza, mógł poczuć się zawstydzony komentarzem dwudziestowiecznego pismaka, ale tak było. Barinthus nigdy tego nie zapomniał.

Tę błonę mógł niemal całkowicie wciągnąć, jeśli nie chciał jej używać. Mógł ją jednak również wyciągnąć i wtedy pływał jak... hm... ryba. Nie był to jednak komplement, który należało wypowiadać przy nim na głos.

Ujął moje dłonie i pochylił się, aby złożyć na moim policzku kulturalny, acz znaczący pocałunek. Odwzajemniłam mu się tym samym. Barinthus publicznie zawsze zachowywał dystans. Jego życie prywatne nie było na sprzedaż i nawet sama królowa nie mogła na niego wpłynąć w tym względzie. Bogowie, nawet ci upadli, powinni być traktowani z pewnym szacunkiem. Tamten reporter z lat pięćdziesiątych, ten, który umieścił człowieka-rybę we wszystkich światowych serwisach

informacyjnych, zginął w nie wyjaśnionych okolicznościach, płynąc żaglówką po Missisipi, jeszcze tego samego lata. Woda po prostu uniosła się i uderzyła w łódź, zeznali świadkowie. Najdziwniejsza rzecz, jaką widzieli w życiu.

Aparaty robiły zdjęcia. Nie zwracaliśmy na to uwagi. - Dobrze, że znów jesteś z nami, Meredith. - Ciebie również miło widzieć, Barinthusie. Mam nadzieję, że dwór będzie dla mnie na tyle bezpieczny, żebym mogła zostać na dłużej.

Zamrugał drugą powieką. Kiedy nie pływał, była to oznaka zdenerwowania. - To już temat do rozmowy z twoją ciotką.

Nie spodobało mi się to.

Jeden z reporterów przysunął mi do twarzy mały magnetofon. - Kim jesteś? - zapytał. To, że zadał takie pytanie, oznaczało, że musiał być bardzo zajęty przez ostatnie trzy lata.

Galen podszedł do niego z czarującym uśmiechem na twarzy. Otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo inny głos wypełnił ciszę. - Księżniczka Meredith NicEssus, Dziecko Pokoju.

Człowiek, który wypowiedział te słowa, stał pod oknem.

- Jenkins, jak niemiło cię widzieć - powiedziałam.

Jenkins był wysokim szczupłym mężczyzną, jednak przy Barinthusie wyglądał na niskiego. Nosił permanentny dwudniowy zarost, tak gęsty, że zapytałam go kiedyś, dlaczego po prostu nie zapuści brody. Odpowiedział, że jego żona nie lubi owłosienia na twarzy. A ja na to, że nie wierzę, żeby jakakolwiek kobieta zgodziła się za niego wyjść. Jenkins sprzedał zdjęcia poćwiartowanych zwłok mojego ojca. Nie w Stanach Zjednoczonych, rzecz jasna, na to jesteśmy zbyt cywilizowani. Są jednak jeszcze inne kraje, inne dzienniki, inne czasopisma. Ktoś kupił te zdjęcia i opublikował je. Był również tym, który zaskoczył mnie na pogrzebie i zrobił mi zdjęcie, na którym widać, jak łzy cieką mi po twarzy. To zdjęcie było nominowane do jakiejś nagrody. Przegrało, ale moja twarz i martwe ciało mojego ojca dzięki Jenkinsowi stały się znane na całym świecie. Nigdy mu tego nie wybaczyłam.

- Słyszałem, że wracasz. Zostaniesz cały miesiąc do Halloween? - zapytał.

- Nie wierzę, że ktokolwiek ryzykowałby gniew mojej ciotki, rozmawiając z tobą powiedziałam, ignorując jego pytanie. Miałam wprawę w ignorowaniu pytań dziennikarzy.

Uśmiechnął się. - Byłabyś zaskoczona, gdybyś dowiedziała się, kto i o czym ze mną rozmawia.

Nie spodobało mi się to. Zabrzmiało to jak groźba. Nie spodobało mi się to ani trochę.

- Witaj w domu, Meredith - powiedział i ukłonił mi się nieznacznie, ale zaskakująco wytwornie.

To, co chciałam mu powiedzieć, nie nadawało się do użytku publicznego, a wokół nas było zbyt wiele magnetofonów. Jeśli Jenkins tutaj był, to niedaleko musieli być również ludzie z telewizji. Skoro nie mógł mieć wywiadu na wyłączność, zapewne sprowadził całe tłumy koleżków po fachu.

Ugryzłam się więc w język. Miałam w tym wprawę. Szczuł mnie, odkąd byłam dzieckiem. Był tylko jakieś dziesięć lat starszy ode mnie, ale wyglądał na starszego o dwadzieścia, ponieważ nadal miałam wygląd dwudziestolatki. Skoro nie mogłam żyć wiecznie, to przynajmniej starałam się wyglądać tak, jakbym miała zamiar. Myślę, że Jenkins nie czuł się za dobrze ze świadomością, że pisze o ludziach, którzy albo nie starzeli się w ogóle, albo starzeli się dużo wolniej od niego. Kiedy byłam młodsza, pamiętam takie chwile, że cieszyłam się, że prawdopodobnie umrze przede mną.

- Nadal pachniesz jak popielniczka, Jenkins. Nie wiesz, że palenie skraca życie?

Jego twarz stała się blada ze złości. Zniżył głos i wyszeptał: - Wciąż jesteś tą małą suką z zachodu, Merry.

- Nie zapominaj, że sąd zabronił ci zbliżania się do mnie na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt stóp. Spadaj stąd albo wezwę gliniarzy.

Barinthus podszedł do nas i zaoferował mi swoje ramię. Nie musiał nic mówić. Nie ma nic gorszego niż wdać się w potyczkę słowną z reporterem w obecności innych reporterów. Sąd zabronił Jenkinsowi zbliżania się do mnie po tym, jak sprzedał moje zdjęcie do gazet. Sędziowie orzekli, że Jenkins wykorzystał mnie i naruszył moją prywatność. Zakazano mu rozmawiać ze mną i zbliżać się na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt stóp.

Myślę, że Barinthus nie zabił wtedy Jenkinsa tylko dlatego, że inne sidhe mogłyby uznać to za przejaw mojej słabości. Byłam nie tylko członkinią rodziny królewskiej, ale i trzecią osobą w kolejce do tronu. Gdybym sama nie potrafiła się obronić przed nadgorliwymi reporterami, okazałabym się niegodna swojej pozycji. Musiałam więc mieć go na głowie. Królowa zakazała nam krzywdzić dziennikarzy po wypadku żeglarskim pismaka, który obsmarował Barinthusa. Niestety, jedyną rzeczą, która mogła uwolnić mnie od Barry'ego Jenkinsa, była jego śmierć. Nawet poważnie ranny przypelzłby za mną.

Posłałam Jenkinsowi całusa i przesłam obok niego, trzymając Barinthusa pod rękę. Galen podążył za nami, odpowiadając na pytania dziennikarzy. Dochodziły do mnie strzępki jego wypowiedzi. Zjazd rodzinny... zbliżające się święta... bla bla bla. Ponieważ Galen wziął na siebie dziennikarzy, mogłam spokojnie porozmawiać z Barinthusem. - Dlaczego królowa nagle wybaczyła mi ucieczkę z domu? - spytałam.

- A dlaczego zwykle wzywa się do domu dziecko marnotrawne?

- Daruj sobie zagadki, nie możesz mi po prostu powiedzieć?

- Nikomu nie wyjawiała, co planuje, ale bardzo nalegała, żebyś wróciła do domu ze wszystkimi honorami. Czegoś od ciebie chce, czegoś, co tylko ty możesz jej dać albo dla niej zrobić.

- W jaki sposób miałybyśmy zrobić coś, czego wy nie potraficie?

- Powiedziałbym ci, gdybym wiedział.

Oparłam się o Barinthusa, zsuwając rękę w dół jego ramienia i wymawiając zakłęcie. To było małe zakłęcie, dzięki któremu żaden z dziennikarzy nie mógł usłyszeć, o czym rozmawiamy. Nie chciałam zostać podsłuchana, a jeśli byliśmy śledzeni przez sidhe, rzeczą normalną dla nich będzie, że musieliśmy odgrodzić się od dziennikarzy zaklęciem, żeby móc spokojnie rozmawiać.

- Co z Celem? Czy zamierza mnie zabić?

- Królowa wielokrotnie podkreślała przy wszystkich - położył nacisk na słowo „wszystkich” - że podczas pobytu na dworze nie może ci się stać nic złego. Chce, żebyś do nas wróciła i wydaje się gotowa użyć siły, byleby jej życzeniu stało się zadość.

- Nawet przeciwko swojemu synowi? - zapytałam.

- Nie wiem. Ale coś się popsulo między nią a jej synem. Nie jest z niego zadowolona i nikt nie wie do końca dlaczego. Przykro mi, że nie mam dla ciebie bardziej konkretnych informacji, ale już prawie ze sobą nie rozmawiamy, z obawy że możemy rozgniewać albo królową, albo księcia. - Dotknął mojego ramienia. - Prawie na pewno jesteśmy śledzeni. Zaczną w końcu coś podejrzewać, jeśli dalej będziemy utrzymywać zakłęcie.

Skinęłam głową i usunęłam zakłęcie, wyrzucając je w powietrze jedną myślą. Wokół usłyszeliśmy nagle dziesiątki głosów i zdałam sobie sprawę, że jesteśmy otoczeni przez tłum ludzi i mieliśmy szczęście, że nie wpadliśmy na kogoś, kto mógłby to zakłęcie rozbić. Oczywiście szłam z błękitowłosym półbogiem, przed którym tłum się rozstępował. Niektóre sidhe miały fanów, ale nie Barinthus, wystarczyło jedno jego spojrzenie, żeby niemal każdy cofnął się o krok.

Kontynuował głosem, który był odrobinę zbyt pogodny jak na niego: - Zawieziemy cię stąd do domu twojej babki. - Zniżył głos. - Nie wiem, jak ci się to udało, że królowa zgodziła się, żebyś odwiedziła babkę przed wizytą u niej.

- Powołałam się na prawo dziewicy. Dzięki niemu również zamieszkałam w hotelu, a nie na Dworze. Byliśmy w tej chwili przy przenośniku bagaży, patrząc, jak sunie pusty. - Od stuleci nikt nie powoływał się na prawo dziewicy.

- Więc najwyższy czas.

Barinthus uśmiechnął się do mnie. - Zawsze byłaś inteligentna, nawet jako małe dziecko, ale musiałaś dorosnąć, żeby stać się sprytna.

- I ostrożna, nie zapominaj o tym, sam spryt nie ochroni cię przed śmiercią.

- To stwierdzenie jest w równej mierze cyniczne, co prawdziwe. Naprawdę za nami tęskniłaś czy też cieszyłaś się, że jesteś wolna od tego wszystkiego?

- Mogłabym obyć się bez tego wszystkiego, ale... - ścisnęłam jego ramię - ale tęskniłam za tobą i Galenem, i... to wciąż jest mój dom, nieważne jaki jest.

Nachylił się i wyszeptał: - Chcę, żebyś była w domu, ale boję się o twoje bezpieczeństwo.

Popatrzyłam w jego cudowne oczy i uśmiechnęłam się. - Ja też.

Galen podbiegł do nas w podskokach, po czym położył jedną rękę na moim ramieniu, a drugą objął w pasie Barinthus. - Po prostu jedna wielka rodzina.

- Nie zapominaj się - upomniał go Barinthus.

- No tak - westchnął Galen. - A mogło być tak pięknie... O czym to rozmawialiście za moimi plecami?

- Gdzie Doyle? - zapytałam.

Uśmiech Galena odrobinę przygasł. - Poszedł zdać raport królowej. - Uśmiechnął się znowu. - Teraz to my dbamy o twoje bezpieczeństwo. - Musiałam mieć niewyraźną minę, bo zapytał: - Coś nie tak?

Spojrzałam w lśniącą lustrzaną powierzchnię na wprost nas. Jenkins znajdował się zaraz za barierą przenośnika. Mniej więcej pięćdziesiąt stóp ode mnie. Na pewno wystarczająco daleko, żebym nie mogła kazać go aresztować.

- Nie tutaj, Galen.

Galen podążył za moim wzrokiem. - On chyba naprawdę cię nienawidzi.

- Na to wygląda - powiedziałam.

- Nigdy nie rozumiałem jego niechęci do ciebie - włączył się Barinthus. - Nawet kiedy byłaś dzieckiem, wydawał się tobą pogardzać.

- Zdaje się, że podchodzi do tego bardzo osobiście.

- Nie wiesz przypadkiem dlaczego? - zapytał Galen i było coś w jego głosie, co sprawiło, że odwróciłam wzrok.

Na długo przed moim przyjściem na świat królowa zarządziła, że nie możemy używać naszych najmocniejszych mocy przeciwko dziennikarzom. Złamałam tę zasadę tylko raz właśnie w przypadku Jenkinsa. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że kiedy zginął mój ojciec, miałam zaledwie osiemnaście lat. I wtedy to właśnie Jenkins zrobił z mojego cierpienia sprawę publiczną. W odwecie wyjęłam z jego umysłu najmocniejsze lęki i sprawiłam, że pojawiły się one przed jego oczami. Jęczał i błagał o litość. Pozostawiłam go trzęsącego się jak galareta przy odludnej wiejskiej drodze. Przez kilka miesięcy był bardzo uprzejmy, delikatny, a potem postanowił się zemścić. Stał się jeszcze bardziej podły, opryskliwy i skłonny zrobić wszystko, aby zdobyć materiał, niż był przedtem. Powiedział mi, że aby go powstrzymać, musiałabym go zabić. Nie zmieniłam go, ale uczyniłam go gorszym. Dzięki niemu zrozumiałam, że swoich wrogów trzeba albo zabić, albo zostawić w spokoju.

Moja walizka była jedną z pierwszych, które pojawiły się na przenośniku. Galen wziął ją. - Twój rydwan czeka, pani.

Popatrzyłam na niego. Jeśli byłby tutaj tylko Galen, uwierzyłabym mu, ale Barinthus nie lubił wzbudzać sensacji, a rydwan z pewnością nie mógł pozostać nie zauważony.

- Królowa Andais przysłała po ciebie swój osobisty samochód - powiedział Barinthus.

- Przysłała po mnie Czarny Powóz? Dlaczego?

- Do zmroku - rzekł Barinthus - to jest zwyczajny samochód. Powinnaś docenić to, że twoja ciotka zaproponowała ci go ze mną jako kierowcą. To wielki zaszczyt.

Podeszłam do niego bliżej i zniżyłam głos, żeby czekający dziennikarze nie mogli nas usłyszeć. Nie mogłam wzywać magii, żeby ukryć nasze słowa, ponieważ zapewne byliśmy obserwowani. - To więcej niż zaszczyt. Co się dzieje? Zwykle nie jestem traktowana przez moich krewnych jak królowa. Spojrzał na mnie, milcząc tak długo, że myślałam już, że nie odpowie. - Nie wiem, Meredith - stwierdził w końcu.

- Porozmawiamy w samochodzie - uciął wszelkie dyskusje Galen, uśmiechając się i machając do dziennikarzy. Poprowadził nas do automatycznych drzwi. Limuzyna czekała, przypominając lśniącego czarnego rekina. Nawet okna były czarne, tak że nie można było zobaczyć, co jest w środku.

Zatrzymałam się na chodniku. Moi towarzysze minęli mnie, po czym zatrzymali się i obejrzel. - O co chodzi? - zapytał Galen.

- Zastanawiam się, co jest w środku.

Popatrzyli po sobie, potem na mnie. - Samochód był pusty, kiedy go tu zostawialiśmy

- powiedział Galen.

Barinthus był bardziej praktyczny. - Daję moje najbardziej uroczyste słowo, że samochód jest pusty.

Uśmiechnęłam się do niego, ale to nie był wesoły uśmiech. - Zawsze byłeś ostrożny.

- Powiedzmy, że nie daję słowa, gdy nie jestem czegoś pewien.

- Jak na przykład w przypadku kaprysów mojej ciotki - powiedziałam.

Uklonił się nieznacznie, pozwalając, by jego włosy opadły jak wielobarwna zasłona. W rzeczy samej.

Moja ciotka dobrze wybrała. Królewskich strażników było dwudziestu siedmiu. Dwudziestu siedmiu wojowników gotowych spełnić każde życzenie mojej ciotki. Dwóch, którym ufałam najbardziej, stało przy mnie. Andais chciała, żebym czuła się bezpiecznie. Dlaczego? Moje bezpieczeństwo nigdy jej nie interesowało. Przypomniałam sobie słowa Barinthus. Królowa czegoś ode mnie chciała, czegoś, co tylko ja mogłam jej dać albo dla niej zrobić. Pytanie tylko, co to miałyby być. Słowo daję, nie miałam zielonego pojęcia.

- Do samochodu, dzieci - powiedział Galen przez zaciśnięte zęby. W oddali widać było wóz wiadomości telewizyjnych, który na chwilę utknął w korku. Gdyby nadjechał i zablokował nam drogę ucieczki, co zdarzało się już w przeszłości, mielibyśmy inne kłopoty niż tylko moje podejrzenia. Nieważne, jak bardzo uzasadnione były te podejrzenia.

Barinthus wyjął kluczyki z kieszeni i nacisnął przycisk w breloczku. Bagażnik otworzył się z sykiem uciekającego powietrza, jakby był hermetycznie zamknięty. Galen włożył do niego walizkę i wyciągnął rękę po moją torebkę.

Potrząsnęłam głową. - Zatrzymam ją przy sobie.

Galen nie zapytał dlaczego - mógł się domyślać. Nie wracałabym do domu bez broni.

Barinthus otworzył przede mną tylne drzwi. - Za chwilę będzie tu telewizja. Jeśli mamy wykonać - jak to się mówi? - czystą ucieczkę, musimy się pospieszyć.

Zrobiłam pół kroku w kierunku otwartych drzwi i zatrzymałam się. Tapicerka była czarna, wszystko było czarne. Samochód miał zbyt długą historię, żeby nie odezwały się we mnie ostrzegawcze dzwonki. Moc bijąca z tych otwartych drzwi zjeżyła mi włosy na rękach. To był Czarny Powóz do

czarnej roboty. Nawet jeśli nie czekały w nim na mnie żadne magiczne niespodzianki, miał nieujarzmioną moc.

- Na Pana i Panią, Merry - powiedział Galen. Przeszedł koło mnie i zagłębił się w czerni samochodu. Następnie wysiadł z powrotem i wyciągnął do mnie swą bladą rękę. - Nie ugryzę cię.

- Obiecujesz? - spytałam.

- Obiecuję - powiedział, uśmiechając się.

Wzięłam go za rękę, a on poprowadził mnie w kierunku otwartych drzwi. - Obiecuję powtórzył - że cię... ugryzę. - Wciągnął mnie do samochodu. Roześmiał się, a ja mu zawtórowałam, myśląc jednocześnie, że jednak dobrze być w domu.

Rozdział 21

Skóra obicia westchnęła prawie ludzkim głosem, kiedy sadowiłam się na siedzeniu. Od Barinthusa oddzielała nas czarna szyba. Miałam wrażenie, że jestem w kapsule statku kosmicznego. W małej przegródce naprzeciwko stała w srebrnym kubelku butelka wina owinięta ściereczką. Dwa kryształowe kieliszki, ustawione w dwóch specjalnie do tego celu przeznaczonych otworach, czekały na napełnienie. Za winem leżała tacka z krakersami i coś, co wyglądało jak kawior.

- Ty to przygotowałeś? - spytałam.

Galen pokręcił głową.

- Żałuję, ale nie. Nigdy nie wybrałbym kawioru. Dobre dla wieśniaków.

- Więc też go nie lubisz - powiedziałam.

- Ależ ja jestem wieśniakiem.

Pokręciłam głową.

- Na pewno nie.

Posłał mi uśmiech, który rozgrzał mnie aż po koniuszki palców, a potem zgasł.

- Sprawdziłem samochód, zanim po ciebie wyjechaliśmy. - Spojrzałam na niego

zdziwiona. Wzruszył ramionami. - Królowa ostatnio dziwnie się zachowuje. Chciałem się upewnić, że nie będzie tu żadnych niespodzianek.

- I co? - spytałam.

Podniósł wino.

- Nie było tu tego.

- Jesteś pewien? - spytałam.

Skinął głową, odsuwając nieznacznie ściereczkę, żeby przeczytać etykietę. Gwizdnął cicho.

- Z prywatnego składu. - Przytrzymał butelkę, żebym sama zobaczyła - ostrożnie, bo została otwarta, żeby wino mogło oddychać. - Skosztujesz tysiącletniego burgunda?

Pokręciłam głową.

- Nie zamierzam jeść ani pić niczego, co jest w tym samochodzie. Ale dziękuję. Poklepałam skórzane siedzenie. - Przepraszam, samochodziku. Nie chciałam cię urazić.

- Może to prezent od królowej? - spytał Galen.

- Tym bardziej nie powinniśmy tego pić - powiedziałam. - Dopóki nie dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi.

Galen spojrzał na mnie, kiwnął głową i odłożył butelkę do kubelka. - Masz rację.

Rozparliśmy się z powrotem na skórzanych siedzeniach. Cisza zdawała się cięższa niż powinna, zupełnie jakby ktoś podsłuchiwał. Wcale nie zdziwiłabym się, gdyby tym kimś był samochód.

Czarny Powóz jest żywą istotą. Nie został stworzony przez nas ani przez żadnego spośród znanych nam starożytnych bogów. Istnieje prawie od zawsze - jakieś sześć tysięcy lat. Oczywiście przed sześcioma tysiącami lat był czarnym rydwanem ciągniętym przez cztery czarne konie. Konie nie były

sidhe. W dzień wydawało się, że nie istnieją. Po zmroku stawały się czarnymi istotami o pustych oczodołach, które wypełniały się chorobliwym płomieniem, kiedy konie zaprzęgano do rydwanu. Pewnego dnia, nikt nie pamięta dokładnie kiedy, rydwan zniknął, a w jego miejsce pojawił się czarny powóz. Tylko konie pozostały te same. Gdy zobaczyłam ten pojazd pierwszy raz, był właśnie powozem.

Potem, pewnej nocy niecałe dwadzieścia lat temu, powóz zniknął, a pojawiła się limuzyna. Konie nigdy nie powróciły, ale widziałam to, co uchodzi za silnik. Przysięgam, że pali się tym samym niezdrowym ogniem, który wypełniał oczy koni. Samochód nie jeździ na benzynie. Nie mam pojęcia, na jakim paliwie jeździ, ale wiem, że czasami sam znika. Odjeżdża w siną dal we własnych sprawach. Czarny Powóz to zapowiedź śmierci, ostrzeżenie przed zbliżającym się nieszczęściem. Krążą opowieści o złowieszczym czarnym samochodzie pojawiającym się, z zapalonym silnikiem i zielonym ogniem tańczącym na karoserii, przed domem osoby, którą ma spotkać śmierć. Nie dziwcie się więc, że byłam nieco zdenerwowana.

Spojrzałam na Galena siedzącego po drugiej stronie. Wyciągnęłam do niego rękę. Uśmiechnął się i uścisnął moją dłoń.

- Tęskniłem za tobą - powiedział.

- Ja za tobą też.

Podniósł moją rękę do ust i musnął wargami palce. Przyciągnął mnie do siebie. Nie protestowałam. Przeniosłam się w jego ramiona. Uwielbiałam się do niego tulić. Moja głowa spoczęła na cudownie miękkim swetrze. Wsłuchiłam się w bicie jego serca.

Westchnęłam i owinęłam się wokół niego nogami.

- Zawsze lubiłam się do ciebie przytulać - powiedziałam.

- To właśnie ja - duży, kochany miś.

Ton jego głosu zaniepokoił mnie.

- O co chodzi?

- Nie powiedziałaś mi, że odchodzisz.

Usiadłam. Jego ręka wciąż spoczywała na moim ramieniu, ale doskonała harmonia sprzed sekundy została zburzona. Zepsuta oskarżeniami. Coś mi mówiło, że to dopiero początek.

- Nie mogłam ryzykować. Jeśli ktoś zacząłby podejrzewać, że chcę uciec, powstrzymaliby mnie.

- Trzy lata, Merry. Trzy lata nie wiedziałem nawet, czy jeszcze żyjesz.

Zaczęłam wyswabadzać się z jego uścisku, ale on przyciągnął mnie do siebie.

- Proszę, pozwól mi się przytulić, chcę mieć pewność, że jesteś prawdziwa.

Pozwoliłam mu się przytulić, ale nie było to już tak przyjemne. Nikt nie miał do mnie pretensji o to, że zachowałam wszystko w tajemnicy, a potem z nikim się nie kontaktowałam. Ani Barinthus, ani babcia - tylko Galen. Chwilami rozumiałam, dlaczego mój ojciec nie zgodził się na nasze małżeństwo. Galen pozwalał, by kierowały nim emocje, a to bardzo niebezpieczna cecha.

W końcu odsunęłam się.

- Przecież wiesz, dlaczego nie dawałam znaku życia.

Nie patrzył mi w oczy. Dotknęłam jego brody i podniosłam ją, żeby na mnie spojrzał. Jego zielone oczy były zranione do żywego. Kiepski był z niego dyplomata.

- Gdyby królowa podejrzewała, że wiesz, gdzie jestem, że w ogóle cokolwiek wiesz, wzięłaby cię na tortury.

Chwycił mnie za rękę, przytrzymując ją przy swojej twarzy.

- Nigdy bym cię nie zdradził.

- Wiem, ale nie mogłabym żyć z myślą, że cię torturują, podczas gdy ja jestem bezpieczna. Nie

mogłeś nic wiedzieć, żeby nie mieli powodu cię przesłuchiwać.

- Nie musisz mnie chronić, Merry.

Uśmiechnęłam się.

- Ochroniamy się nawzajem.

Uśmiechnął się również, bo nigdy nie potrafił zbyt długo się dąsać.

- Ty jesteś mózgiem, a ja mięśniami.

Uklękłam i pocałowałam go w czoło.

- Jak udało ci się utrzymać z dala od kłopotów bez moich rad?

Chwycił mnie w talii i przyciągnął do siebie.

- Z trudnością. - Spojrzał na mnie, marszcząc czoło. - Czemu masz na sobie czarny golf? Przecież ustaliliśmy, że nie będziemy nosić czarnych ubrań.

- Pasuje do spodni i żakietu - wyjaśniłam.

Położył brodę tuż nad moimi piersiami. Spojrzenie jego szczerych zielonych oczu sprawiło, że musiałam powiedzieć prawdę.

- Jestem tu, żeby się pogodzić. Jeśli okaże się to konieczne, będę chodzić w czerni, jak większość członków dworu. - Uśmiechnęłam się do niego. - Poza tym, do twarzy mi w czarnym.

- Co racja, to racja. - W jego szczerych oczach wciąż były ślady starego uczucia.

Mieliśmy do siebie słabość, odkąd byłam na tyle dorosła, żeby wiedzieć, czym jest to dziwne ściskanie w dołku. Ale bez względu na to, jak wielkie to było uczucie, nie mogło między nami do niczego dojść. W każdym razie w sensie fizycznym. Galen, tak jak wielu innych, był jednym z Kruków Królowej, a to oznaczało, że był wyłącznie do jej dyspozycji. Dołączenie do Straży Królowej było jego jedynym mądrym politycznie posunięciem. Nie miał dużych mocy magicznych i nie był dobry w knuciu intryg, jego jedynymi atutami były silne ciało i umiejętność sprawiania, że ludzie się uśmiechali. Pozostawiał po sobie radość, podobnie jak niektóre kobiety pozostawiają po sobie zapach perfum. To była cudowna umiejętność, ale podobnie jak wiele moich, zupełnie nieprzydatna w walce. Jako jeden z Kruków Królowej był bezpieczny. Nie wyzywało się ich ot, tak sobie, na pojedynki, ponieważ mogło to być odczytane przez królową jako osobista zniewaga. Gdyby Galen nie był strażnikiem, prawdopodobnie od dawna by już nie żył. Ale ponieważ nim był, nie mogliśmy być razem. Skazani na wieczną tęsknotę i wieczne niespełnienie. Byłam wściekła, kiedy mój ojciec nie pozwolił mi być z Galenem. To była nasza jedyna poważna kłótnia. Lata zabrało mi dostrzeżenie tego, co widział mój ojciec: większość zalet Galena była zarazem jego wadami. Niech Bóg go błogosławi, że zapobiegł temu nieszczęściu, jakim byłoby bez wątpienia nasze małżeństwo.

Galen położył policzek na moich piersiach i otarł się nieznacznie o moje ciało. Przez chwilę nie mogłam oddychać, potem westchnęłam.

Przebiegłam dłonią po jego twarzy, końcem palca musnęłam pełne miękkie usta.

- Galenie...

- Ciii... - wyszeptał. Posadził mnie twarzą do siebie. Kolanami opierałam się o jego uda, patrząc na niego w dół. Serce biło mi tak mocno, że to prawie bolało.

Opuścił dłonie wolno wzdłuż mojego ciała, aż dotarł do ud. Przypomniało mi to Doyle'a ubiegłej nocy. Potem rozchylił mi nogi i posadził na sobie okrakiem. Odsunęłam się trochę od niego. Nie chciałam, by był tak blisko, nie teraz.

Przesunął palcami po mojej szyi, aż dotarł do tyłu głowy. Zanurzył długie palce we włosach, rozgrzewając moją skórę.

Galen zawsze uważał, że delikatny dotyk jest lepszy niż nic. Zawsze docieraliśmy do samej krawędzi.

- Strasznie dawno tego nie robiliśmy - powiedziałam.

- Od dziesięciu lat - przyznał. Siedem lat, które spędziłam z Griffinem, trzy lata, kiedy mnie nie było. Galen rozpoczynał w miejscu, gdzie skończyliśmy, zupełnie jakby nic się nie zmieniło.

- Myślę, że nie powinniśmy tego robić - powiedziałam.

- To nie myśl - odparł. Pochylił się w moim kierunku. Jego usta były tak blisko, że westchnienie mogło go do mnie zbliżyć. Poczulałam zapierającą dech moc, którą emanował.

- Nie, Galenie. - Nie mogłam złapać tchu, ale mówiłam poważnie. - Nie używaj magii.

Podniósł głowę, żeby spojrzeć mi w oczy.

- Zawsze tak to robiliśmy.

- Dziesięć lat temu - powiedziałam.

- Co za różnica? - spytał. Jego dłonie wślizgnęły się pod mój żakiet i zaczęły masować plecy. Może dziesięć lat nie zmieniło jego, ale zmieniło mnie.

- Nie.

Spojrzał na mnie, najwyraźniej zdziwiony.

- Dlaczego?

Nie byłam pewna, jak mu to wyjaśnić, nie raniąc go. Miałam nadzieję, że królowa zgodzi się, żebym wybrała na męża strażnika, tak jak wtedy, kiedy zgodziła się na Griffina. Gdybym pozwoliła sprawom wrócić do punktu wyjścia, Galen miałby nadzieję, że to jego wybiorę. Kochałam go, zawsze pewnie będę kochać, ale nie mogłam pozwolić sobie na to, żeby został moim mężem. Potrzebowałam kogoś, kto będzie dla mnie wsparciem w polityce i w magii. Galen nie był tą osobą. Mój mąż nie będzie miał ochrony królowej, kiedy opuści jej straż. Moja moc nie była wystarczająca, żeby Galen pozostał bezpieczny, a on miał jeszcze mniejszą moc, bo był mniej bezlitosny niż ja. W dniu, w którym Galen zostałby moim mężem, podpisałby na siebie wyrok śmierci. Nie mogłam jednak mu tego powiedzieć. Nigdy by nie zrozumiał, jak bardzo niebezpieczny był dla mnie i dla siebie samego.

Dorosłam, w końcu stałam się córką swojego ojca. Niektórych wyborów dokonujesz sercem, innych głową, ale kiedy się wahasz, zawsze wybierz głowę - to ci uratuje życie.

Zaczęłam schodzić z jego kolan. Przyciągnął mnie do siebie. Wyglądał na zranionego, zagubionego.

- Mówiłaś poważnie?

Skinęłam głową. Widziałam, że usiłuje coś z tego zrozumieć. W końcu zapytał: Dlaczego?

Dotknęłam jego twarzy, przeczesałam palcami jego loki.

- Och, Galenie...

Jego oczy wyrażały smutek, tak jak kiedy indziej radość czy zaskoczenie, czy jakiegokolwiek emocje. Był najgorszym aktorem świata.

- Pocałuj mnie, Merry, na przywitanie domu.

- Pocałowaliśmy się na lotnisku - powiedziałam.

- Chodzi mi o prawdziwy pocałunek. Tylko jeden. Proszę.

Powinnam była powiedzieć „nie”, sprawić, żeby mnie puścił, ale nie mogłam. Nie mogłam odmówić jego spojrzeniu i mówiąc szczerze, jeśli nigdy więcej nie miałam sobie pozwolić na to, żeby z nim być, chciałam tego.

Podniósł głowę, a ja odszukałam jego usta. Jego wargi były tak miękkie... Dotknęłam jego twarzy. Pocałowaliśmy się. Pieścił moje plecy, potem przebiegł rękami po moich pośladkach i udach. Pociągnął mnie delikatnie za nogi, tak że znowu się na niego ześlizgnęłam. Tym razem między nami nie było wolnego miejsca. Czulałam przez spodnie twardość jego członka.

Oderwałam usta od jego warg i westchnęłam. Chwycił mnie za pośladki, mocniej przyciskając do

siebie.

- Czy możemy pozbyć się pistoletu? Wbija mi się w bok.

- Musiałabym zdjąć pasek - powiedziałam, a mój głos wyrażał więcej niż słowa.

- Wiem - odparł.

Otworzyłam usta, żeby powiedzieć „nie”, ale znów uległam. Za każdym razem to samo: powinnam była powiedzieć „nie”, powinnam coś skończyć, a tego nie robiłam. W końcu wylądowaliśmy prawie zupełnie nadsy na siedzeniu, a nasza broń rozrzucona była na podłodze.

Błądziłam dłońmi po gładkiej piersi Galena. Pasma zielonych włosów wiodło przez jego barki po ciemnej skórze aż do sutka. Zmierziłam włosy, które biegły w dół jego brzucha, aż do spodni. Nie pamiętałam, jak się tu znaleźliśmy. Miałam na sobie tylko stanik i majtki. Nie pamiętałam, jak ściągałam spodnie. To było tak, jakbym na kilka minut straciła poczucie czasu, a potem obudziła się, będąc już krok dalej.

Jego spodnie były rozpięte. Zobaczyłam zielone slipki. Chciałam zanurzyć w nich rękę. Chciałam tego tak bardzo, że czułam, jakbym już to zrobiła.

Żadne z nas nie użyło mocy - czuliśmy tylko dotyk swoich ciał. Zaszliśmy dalej niż przed laty. Ale coś było nie tak. Tylko nie wiedziałam co.

Galen pochylił się, całując mój brzuch. Sunął językiem w dół mojego ciała. Nie mogłam zebrać myśli.

Przebiegł językiem wzdłuż krawędzi moich majtek, po czym zatopił twarz w koronce, odsuwając ją brodą i ustami i schodząc niżej.

Złapałam go za włosy i uniosłam jego głowę.

- Nie.

Przebiegł rękami po moim ciele, wsunął palce pod stanik, podniósł go i odsłonił piersi.

- Powiedz tak, Merry, proszę, zgódź się. - Zaczął mnie pieścić.

Usiłowałam sobie przypomnieć, dlaczego nie powinniśmy tego robić.

- Nie mogę myśleć - powiedziałam głośno.

- To nie myśl - odparł Galen. Wziął do ust mój sutek, zaczął go lizać.

Odepchnęłam go.

- Coś tu nie gra. Nie powinniśmy tego robić - powiedziałam.

- Wszystko w porządku. - Spróbował na powrót zniżyć swoją twarz do moich piersi, ale trzymałam obie dłonie na jego torsie, cały czas go odpychając.

Wcale nie.

Dlaczego?

- Właśnie o to chodzi, że nie pamiętam. Nie pamiętam, rozumiesz? Nic nie pamiętam. Powinnam pamiętać.

Zmarszczył brwi.

- Rzeczywiście - pokręcił głową. - Ja też nie pamiętam.

- Dlaczego jesteśmy w tym samochodzie? - spytałam.

Galen usiadł z rękoma na kolanach. Spodnie miał wciąż rozpięte.

- Jedziesz do swojej babci.

Poprawiłam stanik i przeniosłam się na moją stronę samochodu. - Zgadza się.

- Co się stało?

- Myślę, że to zaklęcie - powiedziałam.

- Nie piliśmy przecież wina ani niczego tu nie jedliśmy.

Rozejrzałam się po czarnym wnętrzu samochodu.

- Jest tu gdzieś. - Zaczęłam przebiegać palcami po krawędzi siedzenia. - Ktoś umieścił je w samochodzie.

Galen zaczął dotykać sufitu, szukając.

- Gdybyśmy się kochali...

- Moja ciotka skazałaby nas na śmierć.

Nie powiedziałam mu o Doyle'u, ale wątpiłam, czy królowa darowałaby mi zbezczeszczenie dwóch strażników w ciągu dwóch dni.

Znalazłam na podłodze kawałek sznurka. Podniosłam go delikatnie. Do jego końca przywiązany był srebrny pierścień. To pierścień królowej - jeden z magicznych przedmiotów, które udało nam się zabrać ze sobą podczas wielkiej ucieczki z Europy. Pierścień miał dużą moc, to dlatego żadne z nas nie wyczuło mocy sznurka.

Podniosłam sznurek do góry.

- Zobacz, co znalazłam. Przywiązany jest do niego jej pierścień.

Oczy Galena rozszerzyły się.

- Nigdy nie zdejmuję tego pierścienia z palca. - Wziął ode mnie sznurek, dotykając różnokolorowych włókien. - Czerwone włókno - pożądanie, pomarańczowe - lekkomyślna miłość, ale co oznacza włókno zielone? Zwykle używa się go do znajdowania partnera. Nigdy nie łączy się tych trzech kolorów.

- Nawet jak na Andais to lekka przesada. Po co miałaby zapraszać mnie do domu, a potem próbować zabić? To bez sensu.

- Nikt nie mógł dostać tego pierścienia bez jej zgody.

Coś białego wystawało spomiędzy siedzenia i oparcia. Pochyliłam się i odkryłam, że to koperta.

- Nie było jej tu przedtem.

- Masz rację - powiedział Galen. Podniósł z podłogi sweter i włożył go.

Pociągnęłam za kopertę. Miałam wrażenie, jakby ktoś popychał ją z drugiej strony. Serce podeszło mi do gardła, ale wzięłam ją. Było na niej pięknie wykaligrafowane moje imię

- pismem królowej.

Pokazałam ją Galenowi, który wciąż się ubierał.

- Lepiej ją otwórz - powiedział.

Na odwrocie znajdowała się jej pieczęć odbita w czarnym wosku. Złamałam pieczęć i wyciągnęłam pojedynczą kartkę białego papieru.

- Co pisze? - spytał Galen.

Przeczytałam mu na głos.

- Do księżniczki Meredith NicEssus. Przyjmij ten pierścień w prezencie jako zapowiedź tego, co ma przyjść. Chcę go widzieć na twoim palcu, kiedy się spotkamy. Nawet się podpisała. - Spojrzałam na Galena. - Coraz mniej z tego rozumiem.

- Popatrz - powiedział.

Spojrzałam tam, gdzie pokazywał. Na siedzeniu leżał mały aksamitny woreczek. Nie było go tam, kiedy brałam kopertę.

- Co się dzieje?

Galen ostrożnie podniósł woreczek. Był bardzo mały. W środku znajdował się tylko kawałek czarnego jedwabiu. - Pokaż mi pierścień - powiedział.

Zsunęłam srebrny pierścień ze sznurka i przytrzymałam go w dłoni. Zimny metal stał się ciepły. Czekałam w napięciu, aż zrobi się gorący, ale był tylko pulsująco ciepły. Albo była to część zaklęcia, albo... Wyciągnęłam pierścień do Galena. - Potrzyмай go chwilę. Ciekawe, co poczujesz.

Wziął z wahaniem ciężki, ośmioboczny pierścień w dwa palce i położył go na dłoni. Siedzieliśmy i wpatrywaliśmy się w niego przez kilka dobrych chwil. Nic się nie stało.

- Jest ciepły? - spytałam.

Galen spojrział na mnie ze zdziwieniem.

- Ciepły? Nie, a powinien być?

- Najwyraźniej nie jest przeznaczony dla ciebie.

Zawinął pierścień w kawałek jedwabiu i wsunął do aksamitnego woreczka. Doskonale pasował, ale sznurek się nie mieścił. Spojrział na mnie.

- Nie wydaje mi się, żeby to królowa przygotowała zaklęcie. Włożyła ten pierścień do środka jako prezent, tak jak napisała w liście.

- Więc ktoś inny dodał zaklęcie - powiedziałam.

Skinął głową. - Było bardzo subtelne, Merry. Prawie go nie zauważyliśmy.

- Tak, byłam prawie pewna, że sama zmieniałam zdanie. Gdyby to było jakieś proste zaklęcie pożądania, zorientowalibyśmy się dużo wcześniej.

Na Dworze Unseelie niewiele osób potrafiłoby przygotować tak wyrafinowane zaklęcie miłosne. Miłość nie była naszą specjalnością; naszą specjalnością było pożądanie.

Galen powiedział to, o czym ja tylko pomyślałam.

- Na całym dworze jest ledwie kilka osób, które potrafiłyby wykonać takie zaklęcie. Nie wydaje mi się, żeby któraś z nich chciała cię skrzywdzić. Może nie wszyscy cię lubią, ale nie są twoimi wrogami.

- Nie byli trzy lata temu - powiedziałam. - Ludzie zmieniają zdanie, tworzą się nowe przymierza.

- Nie zauważyłem - powiedział Galen.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej.

- Dobrze, niech będzie, że nie jestem zwierzęciem politycznym, ale Barinthus jest, a nigdy nie wspominał mi o żadnej tak drastycznej zmianie.

Podał mi woreczek. Wyciągnęłam pierścień i położyłam go na dłoni. Zanim jeszcze pierścień dotknął mojej skóry, już czułam ciepło. Zacisnęłam pięść, a ciepło urosło. Pierścień, pierścień mojej ciotki, pierścień królowej, reagował na moje ciało. Czy to ucieszy naszą królową, czy ją rozgniewa? Z drugiej strony, jeśli nie chciałaby, żeby pierścień mnie uznał, dlaczego by mi go dawała?

- Wyglądasz na zadowoloną - powiedział Galen. - Nie rozumiem dlaczego. Nie wiem, czy pamiętasz, że właśnie o mało nie padłaś ofiarą zamachu. - Przyglądał się mojej twarzy, jakby starał się coś z niej wyczytać.

- Pierścień robi się ciepły w mojej ręce. Zdaje się mnie rozpoznawać. - Siedzenie pode mną poruszyło się. Podskoczyłam. - Czułeś to?

Galen skinął głową.

- Tak.

Światło nad nami zamrugało. Znowu podskoczyłam.

- Czy to twoja sprawka?

- Nie.

- Moja też nie - powiedziałam.

Zobaczyłam, jak siedzenie wypycha jakiś przedmiot. Miałam wrażenie, że to coś żyje. To był mały srebrny kawałek biżuterii. Bałam się go dotknąć, ale po chwili zobaczyłam, że to spinka do mankietów.

Galen podniósł ją. Jego twarz spochmurniała. Na spince wygrawerowana był litera C.

- Jakiś rok temu królowa rozkazała zrobić spinki do mankietów dla wszystkich strażników. Na każdej z nich wygrawerowany jest inicjał imienia.

- Chcesz przez to powiedzieć, że któryś ze strażników nałożył zaklęcie?

Galen skinął głową.

- A samochód zatrzymał spinkę, żeby ci ją pokazać.

- Dzi... dzięki, samochodziku - wyszeptałam. Na szczęście samochód nie odpowiedział. Moje nerwy i bez tego były nadszarpnięte. Wiedziałam jednak, że mnie usłyszał. Czułam, że na mnie patrzy, tak jak czuje się na plecach czyjś wzrok.

- Kiedy mówiłeś: „dla wszystkich strażników”, miałeś na myśli także strażniczki księcia? - spytałam. Skinął głową.

- Spodobały jej się strażniczki w męskich koszulach, powiedziała, że to stylowe.

- Ile osób dodaje to do listy podejrzanych?

- Sześć.

- Od jak dawna wiadomo było, że królowa chce wysłać po mnie na lotnisko Czarny Powóz?

- Barinthus i ja dowiedzieliśmy się dopiero dwie godziny temu.

- Musieli szybko działać. A może to miłosne zaklęcie nie było przeznaczone dla mnie? Może trafiło akurat na nas przez przypadek?

- Jeśli tak, to mamy szczęście. Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby było przygotowane specjalnie dla ciebie.

Włożyłam pierścień z powrotem do woreczka i podniosłam golf z podłogi. Z jakiegoś powodu chciałam być ubrana, zanim włożę pierścień. Spojrzałam na sufit samochodu.

- Czy to wszystko, co chcesz mi pokazać, samochodziku?

Górne światło zgasło.

Podskoczyłam, chociaż powinnam się spodziewać, że coś takiego się stanie.

- Rany koguta - wyszeptał Galen. Odsunął się nieznacznie i popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. - Nigdy nie jechałem tym samochodem z królową, ale słyszałem...

- Że jeśli odpowiada komukolwiek, to tylko jej - dokończyłam.

- A teraz również tobie - powiedział cicho.

Pokręciłam głową.

- Czarny Powóz to nieujarzmiona magia; nie jestem tak zarozumiała, żeby uważać, że mam nad nią kontrolę. Samochód słyszy mój głos. Czas pokaże, co to oznacza. - Wzruszyłam ramionami.

- Jesteś w Saint Louis niespełna godzinę, a już ktoś próbował cię zabić. Jest gorzej niż wtedy, kiedy wyjeżdżałaś.

- Od kiedy to jesteś pesymistą?

- Od kiedy opuściłaś dwór - odparł.

Na jego twarzy zagościł smutek. Dotknęłam jego policzka.

- Tęskniłam za tobą.

- Ale bardziej za dworem. - Przycisnął moją dłoń do swojej twarzy. - Widzę to w twoich oczach, Merry. Stara ambicja nie rdzewieje.

Zabrałam rękę.

- Nie jestem ambitna w taki sposób, jak na przykład Cel. Po prostu chcę czuć się w miarę bezpieczna, a to, niestety, wiąże się z pewnymi politycznymi posunięciami.

Położyłam aksamitny woreczek na kolanach i wciągnęłam golf. Włożyłam spodnie, przypięłam pistolet i noże. Na wszystko nałożyłam żakiet.

- Starła ci się szminka - powiedział Galen.

- Jest na tobie - odparłam.

Wyjęłam z torebki lusterko, a następnie ponownie nałożyłam szminkę i starłam ją z jego ust chusteczką. Przeczesałam szczotką włosy. Byłam ubrana. Nie mogłam tego dłużej odkładać.

Podniosłam pierścień w półmroku. Był za duży na mój środkowy palec, więc włożyłam go na wskazujący. Na prawą rękę, nawet się nad tym nie zastanawiając. Pierścień był ciepły, jak czyjś dotyk, przypomnienie, że czeka, aż zorientuję się, co mam z nim zrobić. Albo on zorientuje się, co ma zrobić ze mną. Ufałam jednak mojemu zmysłowi magii. Pierścień nie emanował złą mocą, choć to nie znaczyło, że nie należy uważać. Magia jest jak każde narzędzie: jeśli nie traktujesz jej z szacunkiem, może się zwrócić przeciwko tobie. W większości wypadków jest mniej niebezpieczna niż piła elektryczna. Jeśli jednak niewłaściwie użyjesz piły albo magii, możesz stracić życie.

Próbowałam zdjąć pierścień, ale nie chciał zejść. Serce zaczęło mi bić nieco szybciej; oddech uwiązł w gardle. Zaczęłam ciągnąć go gwałtownie, czując rosnącą panikę, potem przestałam. Zrobiłam kilka głębszych wdechów, aby się uspokoić. Pierścień był prezentem od królowej - już sam jego widok na moim palcu sprawi, że inni będą podchodzili do mnie z większym respektem. Pierścień, tak jak samochód, miał własne plany. Chciał zostać na moim palcu i pozostanie tam, dopóki nie będzie chciał zejść albo dopóki nie dowiem się, jak go zdjąć. Nie robił mi krzywdy. Nie było powodów do paniki.

Wyciągnęłam rękę do Galena.

- Nie chce zejść.

- Tak samo było kiedyś z królową - powiedział i wiedziałam, że te słowa miały mnie pocieszyć. Przyciągnął moją dłoń do swoich ust i pocałował ją delikatnie. Kiedy jego palce musnęły pierścień, nastąpiło coś w rodzaju wyładowania elektrycznego, ale to nie była elektryczność. To była magia.

Galen puścił moją rękę i odsunął się.

- Ciekawe, czy dotyk Barinthusa też by to sprawił.

- Ja też jestem tego ciekawa - powiedziałam.

Głos Barinthusa dobył się z interkomu.

- Będziemy u twojej babci za jakieś pięć minut.

- Dzięki - odparłam.

Zastanawiałam się, co powie, kiedy zobaczy pierścień. Barinthus był najbliższym doradcą mojego ojca, jego przyjacielem. Po jego śmierci stał się moim doradcą i przyjacielem. Był jednym z niewielu, którzy mogliby pokonać moich niedoszłych zamachowców magią. Ale gdyby się włączył i zniszczył moich wrogów, straciłabym tę resztkę szacunku, jaką cieszyłam się wśród sidhe. Barinthus mógł tylko patrzeć, jak się broniłam, chociaż radził mi być bezwzględna. Czasem nieważne jest, ile masz siły, tylko co chcesz z nią zrobić. „Spraw, żeby twoi wrogowie się ciebie bali, Meredith” - poradził mi kiedyś. Robiłam, co mogłam. Ale nigdy nie będę tak przerażająca jak on. Mógł zniszczyć całe armie jedną myślą. Nic dziwnego, że jego wrogowie woleli trzymać się od niego z dala.

Cóż, jeśli ma się zamiar pływać z rekinami, mający sześć tysięcy lat były bóg jest dobrym partnerem pływackim. Kochałam Galena, ale martwiłam się o niego. Martwiłam się, że może przeze mnie zginąć. O Barinthusa nie musiałam się martwić. Jeśli ktoś tu miałby kogoś pochować, to raczej on mnie, a nie ja jego.

Rozdział 22

Babcia zajmowała pokoje na samej górze. W dawnych czasach, kiedy to wiktoriańskie monstrum nie sypało się jeszcze ze starości, mieściły się tam pokoje dla służby. Były zimne zimą i gorące latem. Ale klimatyzacja i centralne ogrzewanie czynią cuda. Babcia usunęła kilka ścian, tak że powstał przytulny salonik z łazienką po jednej stronie, małym pokoikiem za nią i dużą sypialnią po

drugiej stronie salonu.

Salon był urządzony w kolorach białym, kremowym i różowym. Siedziałyśmy na kanapie z nadrukiem w różyczki zarzuconą ogromną ilością obszytych koronką poduszek. Zrobiłam sobie z nich po jednej stronie mały kopczyk.

Piliśmy herbatę z serwisu w kwiatki. Filiżanka z filigranowym spodeczkiem uniosła się ze stolika i poszybowała w kierunku mojej ręki. Naczelna zasada postępowania z lewitującymi przedmiotami brzmi: jeśli chcesz coś złapać, nie możesz się ruszać. Nie próbuj złapać, bo wylejesz. Czekaj cierpliwie, a jeżeli osoba, która sprawia, że filiżanka lewituje, jest w tym naprawdę dobra, filiżanka czy cokolwiek to jest, sama dotknie twojej dłoni. Wtedy dopiero ją złap. Czasami myślę, że czekanie na nadlatującą filiżankę było moją pierwszą lekcją cierpliwości.

Bardzo się koncentrowałam. Na tym, żeby nie wylać herbaty i żeby wziąć kostkę cukru z zawieszanej w powietrzu cukiernicy. Koncentrowałam się na tym, że widzę się z babcią po raz pierwszy od trzech lat. Ale z tyłu mojej głowy kłębiły się pytania. Kto próbował nas zabić w samochodzie? Czy był to Cel? Dlaczego królowej tak bardzo zależało na tym, żebym wróciła do domu? Czego ode mnie chciała? Wyścigi konne nazywa się czasami królewskim sportem. Prawdziwym sportem królów jest jednak sztuka przetrwania i ambicja.

Głos babci przywrócił mnie do teraźniejszości. Podskoczyłam nerwowo. Lewitująca filiżanka trochę się odsunęła, niczym statek kosmiczny gotujący się do lądowania.

- Przepraszam, babciu, nie słyszałam.

- Złotko, masz nerwy jak postronki.

- Nic na to nie poradzę.

- Nie sądzę, żeby królowa ściągała cię z powrotem po to tylko, żeby twoi wrogowie cię zabili.

- Jeśli kierowałyby się logiką... Ale obie wiemy, że się nie kieruje.

Babcia westchnęła. Była jeszcze niższa niż ja, kilku cali brakowało jej do pięciu stóp. Pamiętałam czasy, kiedy wydawała mi się ogromna i wierzyłam, że nie może mi się stać nic złego, kiedy jestem w jej ramionach. Długie kręcone brązowe włosy spadały na delikatne ciało jak jedwabna zasłona - ale nie zakrywały twarzy. Jej skóra była brązowa jak orzech i trochę pomarszczona, ale nie ze starości. Jej otoczone pięknymi rzęsami oczy były duże i brązowe jak włosy. Pozbawiona była nosa i miała bardzo małe usta. Jej twarz przypominała brązową czaszkę. Tam, gdzie powinien być nos, widniały tylko dwie dziurki, zupełnie jakby nos został odcięty. Z taką twarzą się urodziła. Jej matka, moja prababcia, uważała ją za prawdziwą piękność. Również jej ojciec, mój pradziadek, powtarzał jej, gdy była małą dziewczynką, że jest piękna. Było nie było, wyglądała dokładnie tak jak jej matka, kobieta, którą kochał.

Chciałabym poznać mojego pradziadka, ale był człowiekiem i żył w siedemnastym wieku. Kilkaset lat przede mną. Poznałabym moją prababcię, gdyby nie zginęła podczas jednej z tych wielkich wojen, które toczyły się pomiędzy nami a ludźmi w Europie. Zabita na wojnie, w której, będąc skrzatem, nie musiała uczestniczyć. Ale odmowa walki uważana była za zdradę. A zdradę karano śmiercią.

To nasi przywódcy sprawiają, że przychodzimy i odchodzimy.

Porcelanowy spodeczek dotknął mojej ręki. Wzięłam go ostrożnie w palce. Łatwiej by było podłożyć dłoń pod spodeczek, ale takie zachowanie nie przystoi damie. Umiałam pić herbatę według zasad etykiety, która obowiązywała przed ponad stu laty. Następne niebezpieczeństwo, jakie wiąże się z gorącym napojem lewitującym, polega na tym, że kiedy filiżanka przestaje lewitować, staje się cięższa. Na początku prawie każdy wylewa trochę herbaty. Nie ma się czego wstydzić.

Ja nie wylałam nawet kropelki. Piłam herbatę z babcią, od kiedy skończyłam pięć lat.

- Chciałabym powiedzieć ci coś o królowej, moje dziecko, ale nie potrafię. Mogę cię tylko nakarmić.

Tu są, złotko, paszteciki. Trochę ciężkostrawne jak na podwieczorek, ale wiem, że za nimi przepadasz.

- Z baranim farszem? - spytałam.

- Z rzepą i ziemniakami, tak jak lubisz.

Uśmiechnęłam się.

- Na dzisiejszym bankiecie z pewnością nie zabraknie jedzenia.

- Nie sądzę, żebyś chciała tam coś jeść - zauważyła.

Miała rację. Podniosłam pasztecik. Mały talerzyk podleciał pod ciasteczko.

- Co myślisz o pierścieniu?

- Nic.

- Jak to nic?

- To znaczy, złotko, że mam tak mało informacji, że trudno mi nawet zgadywać.

- Czy to Cel próbował nas zabić? Chyba najbardziej wkurza mnie to, że ten ktoś chciał poświęcić Galena, żeby tylko rozprawić się ze mną. Zupełnie jakby Galen nie miał żadnego znaczenia.

Pasztecik pachniał smakowicie, ale głód nagle mnie opuścił. Herbata, którą wypiłam, przelewała się w moim żołądku, jakby chciała wrócić. Zawsze miałam kłopoty z jedzeniem, kiedy byłam zdenerwowana. Odłożyłam pasztecik na unoszący się obok mnie talerzyk, a on odleciał na stolik.

Babcia złapała mnie za rękę. Paznokcie pomalowane miała na kolor burgunda, o prawie takim samym odcieniu jak jej skóra.

- Nie znam się na wielkiej magii, moja magia opiera się na wrodzonych zdolnościach. Ale jeśli zamachowiec chciał cię zabić, dlaczego zostawił zielony sznurek? Kolor wierności, owocnego życia rodzinnego? Dlaczego?

- Jedyne wyjaśnieniem, jakie przychodzi mi w tej chwili do głowy, jest to, że przygotował to zaklęcie do innych celów i posłużył się nim w ostatniej chwili. Bo z jakich jeszcze powodów to zaklęcie mogło tam być?

- Nie wiem, złotko, i bardzo tego żałuję - powiedziała babcia.

Podniosłam rękę. Pierścień zabłysnął w ciężkim jesiennym świetle.

- Ktokolwiek nałożył to zaklęcie, użył pierścienia, żeby je wzmocnić. Wiedział, że pierścień tam będzie. Komu królowa ufa na tyle, żeby powierzyć mu taką informację?

- Królowa ufa niewielu, ale wielu boi się jej sprzeciwić. Mogła dać pierścień i list każdemu, wierząc, że zrobi to, co mu kazała. Nie przyszłoby jej do głowy, że strażnik może być nieposłuszny. - Babcia ścisnęła moją rękę. - Widzę, że nie masz zamiaru jeść tych pysznych pasztecików. Odeślę je na dół. Moi goście na pewno je docenią.

- Przepraszam, babciu. Nie mogę jeść, kiedy jestem zdenerwowana.

- Nie uraziłaś mnie, Merry. Jestem po prostu praktyczna. - Dała znak ręką - drzwi otworzyły się, ukazując mały korytarzyk kończący się schodami. Talerze z jedzeniem zaczęły gromadzić się za drzwiami.

- Dlaczego miałyby mnie i Galena skazywać na śmierć? - spytałam.

Talerze wciąż wirowały za drzwiami w nerwowym tańcu. Mimo że babcia odwróciła się do mnie, nie wyszła z rytmu ani nic nie wylała.

- Powinnaś raczej zapytać, dlaczego znalazłaś jej pierścień owinięty miłosnym zaklęciem przeznaczonym dla ciebie.

- Ale ono nie musiało być przeznaczone dla mnie. W tym samochodzie mógł się znaleźć każdy.

- Nie sądzę - powiedziała babcia. Wzięła mnie za rękę i przesunęła palcem po pierścieniu. Nie odpowiedział na jej dotyk, tak jak odpowiadał na dotyk Galena. - To jest pierścień królowej, a w

twoich żyłach płynie królewska krew. Gdyby Essus urodził się wcześniej, to on byłby królem. Ty zostałąbyś królową, a nie Andais. I to twój kuzyn Cel byłby drugi w kolejce do tronu, a nie ty.

- Ojciec nigdy nie pochwalał tego, jak Andais rządzi dworem.

- Wiem, że byli tacy, którzy radzili mu zabić siostrę i zasiąść na tronie - powiedziała babcia.

Nie próbowałam ukryć zdziwienia.

- Nie wiedziałam, że jest to powszechnie wiadome.

- A dlaczego, twoim zdaniem, został zabity? Ktoś przestraszył się, że Essus może posłuchać rady i wszcząć wojnę domową.

Chwyciłam ją za rękę.

- Wiesz, kto kazał go zabić?

Pokręciła głową.

- Gdybym wiedziała, powiedziałabym ci. Szkopuł w tym, że ja nigdy, tak naprawdę, nie byłam częścią dworu. Ledwie mnie tam tolerowano, i tyle.

- Ale ojciec miał do ciebie inny stosunek.

- Rzeczywiście. Pozwolił mi obserwować, jak dorastasz i z dziecka zmieniasz się w kobietę. Zawsze będę mu za to wdzięczna.

Uśmiechnęłam się.

- Ja również.

Babcia wyprostowała się, dłonie złączyła na kolanach - znak, że czuła się nieswojo.

- Gdyby tylko twoja matka umiała dostrzec jego dobroć... Ale była zaślepiona faktem, że pochodził z Dworu Unseelie. Żałowała, że zgodziła się być częścią traktatu pokojowego. Król Taranis posłużył się Besabą jak przedmiotem. Nie powinien tego i obić.

- Matka chciała wyjść za księcia z Dworu Seelie. Jednak żaden z nich nie chciał jej tknąć, bo niezależnie od tego, jak wysoka i piękna była, bali się zmieszać swoją czystą krew z jej. Nie chcieli jej zwłaszcza po tym, jak jej siostra bliźniaczka Eluned zaszła w ciążę po jednej nocy spędzonej z Artaganem, zmuszając go do małżeństwa.

Babcia skinęła głową.

- Twoja matka zawsze uważała, że Eluned zniszczyła jej szanse na małżeństwo z Seelie.

- Bo tak było - powiedziałam. - Zwłaszcza kiedy urodziła się jej córka i... - spojrzałam na twarz babci - wyglądała jak ty.

Dotknęłam jej dłoni.

- Wiem, co Seelie myśląc moim wyglądem, dziecko. Wiem też, co o tym myśli moja wnuczka.

- Matka zgodziła się odejść z moim ojcem, bo Król Taranis obiecał, że po trzech latach będzie mogła wrócić i wziąć sobie za kochanka kogoś z Dworu Seelie. Nie spodziewała się, że zajdzie w ciążę.

- Co sprawiło, że umowa na czas określony stała się umową na zawsze - powiedziała babcia.

Skinęłam głową.

- Dlatego jestem zmorą Besaby. Moje przyjście na świat przywiązało ją do Dworu Unseelie. Zawsze mnie za to nienawidziła.

Babcia pokręciła głową.

- Twoja matka jest moją córką i kocham ją, ale jest bardzo... dezorientowana, sama nie wie, kogo kocha i dlaczego.

Pomyślałam, że moja matka po prostu nie kocha nikogo oprócz siebie, ale nie powiedziałam tego głośno. Babcia była przecież jej matką.

Słońce było coraz niżej.

- Muszę zameldować się w hotelu i przebrać na przyjęcie.

Babcia dotknęła mojego ramienia.

- Powinnaś zatrzymać się tutaj.

- Chciałabym, ale nie mogę.

- Postawiłam strażę.

- Na tyle mocne, żeby powstrzymały Królową Powietrza i Ciemności? Lub kogoś innego, kto będzie próbował mnie zabić? Wątpię. - Objęłam babcię. Przycisnęła mnie do siebie z siłą, której próżno by się spodziewać po jej delikatnym ciele.

- Bądź ostrożna. Nie zniosłabym, gdyby ci się coś stało.

Pogładziłam ją po tych jej cudownych włosach i zobaczyłam nad jej ramieniem zdjęcie. Przedstawiało ją i Uara Okrutnego, jej byłego męża. Był wysoki i muskularny. Siedział na krześle. Ona stała obok. Trzymała rękę na jego ramieniu. Włosy spadały wokół niego złotymi falami. Miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę. Na pierwszy rzut oka nic szczególnego. Nic, jeśli nie liczyć twarzy. Miał bardzo jasną karnację. Jego oczy zaś były niebieskimi kręgami. Był dokładnie tym, czego pragną kobiety. Szkopuł w tym, że nie nazywano go „okrutnym” tylko dlatego, że spłodził trzech synów potworów.

Bił moją babcię, bo była brzydka. Bo nie była królewskiej krwi. Bo urodziła mu bliźniaczki, co oznaczało, że ich małżeństwo miało trwać tak długo, jak będzie chciała. W tym przypadku „na zawsze” znaczyło dosłownie na zawsze.

Pozwoliła mu odejść dopiero trzy lata temu, niedługo po tym, jak opuściłam dwór. Zastanawiałam się, czy nie zrobiła tego po to, żeby wstawił się za mną u Andais. Był silny, Andais czuła przed nim respekt. Nie twierdzę, że jej groził. Nie, to byłoby niemądre. Ale mógł zasugerować, żeby pozwoliła mi iść własną drogą.

Nigdy o to nie pytałam. Spojrzałam w duże brązowe oczy babci, tak bardzo podobne do oczu mojej matki.

- Dlaczego dałaś mu rozwód dopiero trzy lata temu? Dlaczego właśnie wtedy?

- Bo był już najwyższy czas, moje dziecko, żeby pozwolić mu odejść.

- Ale nie rozmawiał o mnie z Andais, prawda? To nie pod tym warunkiem się z nim rozwiodłaś?

Śmiała się długo i głośno.

- Dziecko drogie, naprawdę myślisz, że ten stary pierdziel rozmawiałby z Królową Powietrza i Ciemności? Wciąż się jeszcze nie pozbierał po tym, jak jego trzej synowie zostali wyrzuceni z dworu i zmuszeni do zostania ludźmi Andais.

Skinęłam głową.

- Moi wujowie nie są tacy źli. Nowoczesne rękawice chirurgiczne są tak cienkie, że prawie ich nie czuć. Już nie trują ludzi przez przypadek swoim dotykiem.

Babcia znowu mnie przytuliła.

- Ale trucizna, która sączy się z rąk, nie pozwala zostać pełnoprawnym strażnikiem królewskim, prawda?

- No cóż... tak. Mimo to znalazłyby się kobiety, które chętnie...

- Chyba na Dworze Unseelie.

Spojrzałam na nią.

Miała na tyle przyzwoitości, by wyglądać na zażenowaną.

- Przepraszam, Merry. To było niepotrzebne. Przepraszam. Powinnam wiedzieć, że dla ciebie nie ma zbyt wielkiej różnicy pomiędzy tymi dwoma dworami.

- Muszę iść do hotelu, babciu.

Odprowadziła mnie do drzwi, z ręką na mojej talii.

- Bądź dziś wieczorem ostrożna, moje dziecko. Bardzo ostrożna.

- Będę. - Stałyśmy, patrząc na siebie jeszcze kilka chwil, ale co miałyśmy powiedzieć? Co można powiedzieć w takiej chwili? - Kocham cię, babciu.

- A ja ciebie, moje dziecko.

W jej uroczych brązowych oczach pojawiły się łzy. Pocałowała mnie wąskimi ustami, które zawsze dotykały mnie z większą delikatnością niż piękne wargi mojej matki czy jej liliowobiałe dłonie. Poczułam jej gorące łzy na moim policzku. Objęła mnie, kiedy zaczęłam iść po schodach. Gdy oderwałyśmy się od siebie, palce drżały nam od ostatniego dotyku.

Wiele razy spoglądałam w przeszłość, żeby popatrzeć na tę małą brązową postać na szczycie schodów. Mówią, że nie należy oglądać się za siebie. Jeśli jednak nie wiesz, co cię czeka w przyszłości, co innego możesz robić, jak nie wracać myślą do tego, co już było?

Rozdział 23

Hotel miał urok świeżo otwartego pudełka kleenexów. Funkcjonalny, trochę ozdobny, ale zarazem taki sam jak inne.

Weszliśmy do holu. Galen niósł moją walizkę. Ja miałam ze sobą torebkę. Wolałam zawsze mieć przy sobie broń. Nie łudziłam się, że zdołam wyjąć ją na czas, ale pewniej się z nią czułam.

Przebywałam w St. Louis zaledwie od kilku godzin, a już ktoś próbował mnie zabić. To niezbyt dobrze wróżyło na przyszłość. Jeszcze gorzej poczułam się, kiedy zobaczyłam, kto czeka w holu, Barry Jenkins. Zrobiłam rezerwację na nazwisko Merry Gentry. W St. Louis nie byłam znana pod tym pseudonimem. Skąd Jenkins wiedział, że to ja? Cholera.

Spokojna głowa, już on zadba o to, żeby reszta gryzipiórków również mnie znalazła. I nic, co powiem, nie może mi pomóc. Jeśli poproszę go, żeby siedział cicho, rozgłoszenie tego wszystkiego sprawi mu jeszcze większą radość.

Galen dotknął delikatnie mojego ramienia. On również zauważył Jenkinsa. Poprowadził mnie do recepcji, jakby bał się tego, co nastąpi. Jenkins patrzył na mnie z nienawiścią. Wiedziałałam, że marzy o tym, żeby mnie zranić. Oczywiście nie w sensie dosłownym. Nie chciał się na mnie rzucić ze sztyletem w rękę. Nie miałby natomiast nic przeciwko temu, żeby odkryć coś, co pomogłoby mu zmieszać mnie z błotem.

Recepcjonistka uśmiechnęła się do Barinthusa. Miała ładny uśmiech i ze wszystkich sił starała się zwrócić na siebie uwagę, ale Barinthus pozostał nieczuły na jej wdzięki. Nigdy nie widziałam go flirtującego. Starał się nigdy nie przekraczać granic geasu, który królowa na niego nałożyła. Wyglądało na to, że mu z tym dobrze.

Dłoń kobiety otarła się o moją, kiedy brałam klucz. Widziałam wyraźnie jej myśli. Wyobrażała sobie właśnie Barinthusa leżącego w białej pościeli z różnokolorowymi włosami rozłożonymi wokół nagiego ciała niczym jedwab.

Moja pięść zacisnęła się nie tylko z powodu tego obrazu, ale pożądania. Czułam napięcie w jej ciele. Patrzyła na Barinthusa wygłodniałym wzrokiem.

Pochyliłam się i powiedziałam:

- Wyobrazasz go sobie nagiego?

Zaczęła zaprzeczać, ale słowa uwięzły jej w gardle, a oczy się rozszerzyły. Językiem zwilżyła dolną wargę. W końcu po prostu skinęła głową.

- To jeszcze nic. W rzeczywistości wygląda o niebo lepiej.

Jej oczy się rozszerzyły. Spojrzała na Barinthusa stojącego przy windach.

Wciąż mogłam przejrzeć jej myśli. Czasami odbierałam ludzkie myśli niczym sygnały radiowe czy telewizyjne. Ale miałam wąski zakres fal: były to tylko sprośne myśli ludzi

-nigdy nie odczytywałam myśli istot magicznych. Nie wiem czemu.

- Czy mam go poprosić, żeby zdjął płaszcz?

Zaczerwieniła się, a jej myśli się rozproszyły. Uwolniłam się od nich.

Jeden z bogów płodności na Dworze Seelie powiedział mi kiedyś, że zdolność widzenia pożądlivych myśli ludzi to użyteczne narzędzie, jeśli szuka się kapłanów i kapłanek do swojej świątyni. Takich ludzi można było wykorzystać w ceremoniach, ich seksualna energia oddziaływała na innych. Kiedyś pożądanie utożsamiano z płodnością. Dziś wiemy, że to nieprawda.

Gdyby pożądanie równało się reprodukcji, świat byłby pełen istot magicznych. Recepcjonistka byłaby bardzo rozczarowana, z gdyby się dowiedziała, że Barinthus żyje w celibacie. Gdyby zatrzymał się w hotelu, ostrzegłabym ją przed nim. Wydawała mi się typem kobiety, która mogłaby go zaskoczyć w jego pokoju po pracy. Ale Barinthus wróci przed nocą na kopiec. Nie ma się czym martwić.

Jenkins stał teraz przy windach, opierał się o ścianę i uśmiechał. Próbował zagadywać Barinthusa, kiedy podchodziliśmy z Galenem. Barinthus ignorował go, tak jak tylko bóg to potrafi: z całkowitym lekceważeniem, jakby głos Jenkinsa był bzycczeniem jakiegoś owada. To było coś więcej niż pogarda. Dla Barinthusa dziennikarz po prostu nie istniał.

Umiejętność, której mi brakowało i której mu zazdrościłam.

- Meredith, co za niespodzianka! - Jenkinsowi udało się powiedzieć to głosem równie wesołym, co okrutnym.

Próbowałam go zignorować tak jak Barinthus, ale wiedziałam, że jeśli winda szybko nie przyjedzie, przegram.

- „Merry Gentry” - nie mogłaś wymyślić lepszego pseudonimu? Słowa „gentry” od wieków używa się do określania istot magicznych.

Mógł odgadnąć, że za tym nazwiskiem kryję się ja, chociaż wątpiłam w to. Wpadłam na pewien pomysł. Odwróciłam się do niego, uśmiechając się słodko.

- Naprawdę myślisz, że użyłabym tak oczywistego pseudonimu, gdyby zależało mi choć trochę na tym, żeby nikt się nie zorientował?

Cień zwątpienia przemknął po jego twarzy. Wyprostował się i podszedł tak blisko, że mogłam go dotknąć.

- Czy to znaczy, że nie dbasz o to, czy napiszę o twoim pseudonimie?

- Nie obchodzi mnie, co napiszesz. Wiem jedno: właśnie złamałeś nakaz sądowy. Stoisz jakieś dwie stopy ode mnie. - Rozejrzałam się po holu. - Wydaje mi się, że żeby znajdować się w odległości pięćdziesięciu stóp, musiałbyś wyjść na dwór. - Odwróciłam się do Galena. - Czy mógłbyś poprosić recepcjonistkę, żeby zadzwoniła na policję i powiedziała, że jestem prześladowana?

- Z przyjemnością - odparł Galen i wrócił do recepcji.

Barinthus i ja zostaliśmy z bagażami.

Jenkins popatrzył za Galenem.

- Nic mi nie robią.

- Zobaczymy - powiedziałam.

Galen rozmawiał z tą samą recepcjonistką, która rozbierała wzrokiem Barinthusa. Czy teraz wyobrażała sobie nagiego Galena? Dobrze, że byli po drugiej stronie holu i nie mogłam odczytywać jej myśli. Może umiejętność wyczuwania ludzkiego pożądania przydawała się, gdy się szukało kapłanki do świątyni, ale skoro nic miałam świątyni, po prostu mnie to irytowało.

Jenkins patrzył na mnie.

- Cieszę się, że jesteś w domu, Meredith, naprawdę bardzo się cieszę.

Jego słowa były przesycone jadem, a nienawiść do mnie prawie dotykalna.

Patrzyliśmy, jak recepcjonistka dzwoni. W naszym kierunku szło dwóch młodych ludzi, jeden z plaketką, na której było napisane „asystent dyrektora”, a drugi z plaketką tylko z imieniem i nazwiskiem.

- Wydaje mi się, Barry, że zostaniesz odtransportowany do wyjścia. Miłego oczekiwania na policję.
- Żaden nakaz sądowy nie utrzyma mnie z dala od ciebie, Meredith. Ręce mnie swędzą, kiedy jestem blisko jakiejś historii. Im większa historia, tym bardziej swędzą. A kiedy jestem przy tobie, prawie rozdrapuję sobie skórę. Coś dużego nadchodzi i kręci się wokół ciebie.

- Jejku, Barry, kiedy zostałeś prorokiem?

- Pewnego popołudnia przy cichej wiejskiej drodze - powiedział. Nachylił się do mnie tak blisko, że czułam zapach jego wody po goleniu przebijający się przez woń papierosów. Doznałem czegoś, co możesz nazwać objawieniem. Właśnie od tamtej chwili mam ten dar.

Pracownicy hotelu byli już prawie przy nas. Jenkins nachylił się tak, że z daleka mogło to wyglądać jak pocałunek. Wszeptał:

- Jeśli bogowie chcą kogoś zniszczyć, czynią go szalonym.

Mężczyźni złapali go za ramiona i odciągnęli ode mnie. Nie opierał się. Poszedł spokojnie.

- Przytrzymają go w gabinecie dyrektora aż do przyjazdu policji. Nie aresztują, go, Merry, dobrze o tym wiesz - powiedział Galen.

- Wiem, w Missouri nagabywanie kogoś nie jest jeszcze karalne. - Wpadłam na zabawny pomysł. Musiałam sprawić, żeby Jenkins pojechał za mną do Kalifornii. W Los Angeles prawodawstwo jest bardziej surowe. Jeśli Jenkins zrobiłby tam to, co przed chwilą tutaj, poszedłby siedzieć. Zmusił mnie do pocałunku w miejscu publicznym - w każdym razie tak bym twierdziła. W niektórych stanach to było naprawdę ciężkie przestępstwo.

Drzwi windy otworzyły się. Rychło w czas! Weszliśmy do środka i wpatrzyliśmy się w swoje odbicia w lustrach.

- Jenkins nigdy się niczego nie nauczy - powiedział Galen. - Myślałaś, że po tym, co mu zrobiłaś, będzie trzymał się od ciebie z daleka, prawda?

Popatrzyłam na swoje odbicie. Oczy otworzyły mi się szeroko ze zdziwienia.

- Tylko zgadywałam - odparłam.

- Jak widzisz, myliłaś się - stwierdził Galen.

- Coś mu zrobiłaś, Meredith? - zdziwił się Barinthus. - przecież znasz zasady.

- Znam.

Winda zatrzymała się. Chciałam wyjść, ale Galen zatrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

- Jesteśmy twoimi ochroniarzami. Pozwól, że my najpierw wyjdziemy.

- Przepraszam, wyszłam z wprawy.

- To w nią wejdź i to szybko - powiedział Barinthus. - Nie chcę, żeby stało ci się coś złego. Branie ryzyka na siebie i zapewnianie ci bezpieczeństwa to nasza praca. - Nacisnął guzik z napisem „zatrzymaj drzwi otwarte”.

- Wiem o tym, Barinthusie.

- Wiedzieć to za mało.

Galen bardzo ostrożnie wyjrzał z windy, a potem wyszedł na korytarz.

- Czysto.

Uklonił się bardzo nisko, zamiatając ziemię swoim małym warkoczykiem. Pamiętałam, że jego włosy kiedyś rozlewały się po podłodze jak zielony wodospad. Kiedyś myślałam, że tak właśnie powinny wyglądać męskie włosy. Długie aż do ziemi. Na tyle długie, żeby przykryć moje ciało jedwabistym

kokonem, kiedy się pieściliśmy. Ubolewałam, kiedy je obciął, ale cóż mogłam na to poradzić?

- Przestań. - Ruszyłam korytarzem z kluczem w dłoni.

Wyprzedził mnie, pół biegnąc, pół tańcząc.

- O nie, moja pani. To do mnie należy otwarcie zamka.

- Przestań. Naprawdę przesadzasz.

Barinthus szedł za nami w ciszy z walizką w ręku, jak ojciec, który obserwuje swoje dokazujące dorosłe dzieci. Nie, on nas ignorował, prawie tak, jak ignorował Jenkinsa. Spojrzałam na niego, ale z jego bladej twarzy nie mogłam nic wyczytać. Zachowywał rezerwę, był nie do rozszyfrowania. Ale były przecież czasy, kiedy uśmiechał się częściej. Pamiętałam, jak podnosił mnie z wody, śmiejąc się, pamiętałam, jak włosy unosiły się na wodzie wokół jego ciała niczym obłok. Wpływałam w ten obłok, okręcałam sobie jego włosy wokół małych rączek. Śmiałyśmy się oboje. Pierwszy raz, kiedy pływałam w Pacyfiku, myślałam właśnie o nim. Chciałam mu pokazać ten ogromny ocean. Z tego, co wiedziałam, nigdy go nie widział.

Galen stanął przed drzwiami. Zatrzymałam się i poczekałam, aż Barinthus mnie dogoni.

- Jesteś dziś bardzo poważny, Barinthusie.

Spojrzał na mnie i zamrugał drugą powieką. Nerwowo. On był zdenerwowany. Czyżby bał się o mnie? Ucieszył się z powodu pierścienia, a zmartwił zakłębieniem w samochodzie. Ale nie za bardzo się zmartwił, nie za bardzo zdenerwował. Podeszedł do tego tak, jakby to było coś normalnego. W sumie było.

- O co chodzi? Czy coś przede mną ukrywasz?

- Zaufaj mi, Meredith.

Wzięłam go za rękę, owinęłam swoje palce wokół jego. Moja ręka zagubiła się w jego dłoni.

- Ufam ci, Barinthusie.

Trzymał moją rękę delikatnie, jakby się bał, że może ją złamać.

- Meredith, moja mała Meredith. - Jego twarz złagodniała, kiedy to mówił. - Byłaś zawsze mieszanką bezpośredniości, skromności i delikatności.

- Nie jestem już tak delikatna jak kiedyś, Barinthusie.

Skinął głową.

- Życie zmienia nas, niestety.

Unióśł moją dłoń do swoich ust i pocałował mnie delikatnie w palce. Musnął ustami pierścienia. Poczuliśmy oboje mrowienie.

Znów sprawiał wrażenie poważnego, zacisnął usta, kiedy upuszczał moją rękę.

- Co się stało? - Złapałam go za ramię.

Pokręcił głową.

- Od dawna pierścień nie ożywał w ten sposób.

- Co pierścień ma z tym wszystkim wspólnego? - spytałam.

- Od dawna był zwykłym kawałkiem metalu, a teraz znowu ożył.

- I co z tego?

Spojrzał na Galena.

- Wprowadźmy ją do pokoju. Królowa nie lubi czekać.

Galen wziął ode mnie klucz i otworzył drzwi. Zaczął sprawdzać, czy w pokoju nie ma zakłęb lub innych ukrytych niebezpieczeństw, podczas gdy Barinthus i ja czekaliśmy w korytarzu.

- Dlaczego pierścień reaguje na ciebie i Galena, a na moją babcie nie?

Westchnął.

- Królowa używała go kiedyś do kojarzenia małżonków.

Podniosłam brwi.

- To znaczy?

- Reaguje na mężczyzn, których uważa za godnych ciebie. Wpatrzyłam się w jego przystojną twarz.

- Co to znaczy: „godnych mnie”?

- Tylko królowa zna wszystkie właściwości tego pierścienia. Wiem, że od wieków nie ożywał na jej ręce. To, że ożywa na twojej, jest w równej mierze dobre, jak i niebezpieczne. Królowa może być o to zazdrosna.

- Dała mi go - dlaczego miałaby być zazdrosna?

- Dlatego, że jest Królową Powietrza i Ciemności - powiedział, jakby to miało wszystko tłumaczyć. W pewnym sensie tłumaczyło. W innym nie. Jak większość rzeczy związanych z naszą królową był to paradoks.

Galen podeszedł do drzwi.

- Wszystko czyste.

Barinthus ruszył przed siebie, zmuszając go do cofnięcia się.

- O co mu chodzi? - spytał Galen.

- Chyba o pierścień. - Weszłam do pokoju. Typowy pokój hotelowy. Cały w błękitach.

Barinthus położył walizkę na łóżku przykrytym ciemną narzutą. - Meredith, pośpiesz się, proszę. Galen i ja musimy się jeszcze przebrać na bankiet.

Spojrzałam na niego. Pasował do błękitu pokoju. Gdyby pokój był zielony, to Galen by pasował. Może by tak sobie dobierał ochroniarzy w zależności od koloru pokoju? Zaśmiałam się.

- O co chodzi? - spytał Barinthus.

Pokazałam na niego.

- Pasujesz do pokoju.

Rozejrzał się dookoła, jakby dopiero zauważył niebieską tapetę, granatowe narzuty, błękitny dywan.

- Rzeczywiście. A teraz przebierz się, proszę.

Zabrzmiało to jak rozkaz. Zaczął otwierać walizkę.

- Czyżbyśmy byli spóźnieni? - spytałam.

Galen usiadł na drugim łóżku.

- Jeśli o to chodzi, to zgadzam się z wielkoludem. Królowa nie lubi czekać, a jeśli nie ubierzemy się w stroje, które dla nas przygotowała, wpadnie w złość.

- I będziecie mieli kłopoty? - spytałam.

- Nie, jeśli się pośpieszysz.

Poszłam do łazienki ze swoją torbą podręczną. Zapakowałam do niej swój strój, na wypadek gdyby linie lotnicze zgubiły walizkę. Nie chciałam robić zakupów w ostatniej chwili, bo nie wiadomo, czy ciotka zaaprobowałaby mój wybór. Na przykład spodnie nie były odpowiednim strojem na bankiet dla kobiety. Nie miało to wiele wspólnego z równouprawnieniem, ale tak już było. Na bankiet u królowej trzeba się było ubrać elegancko. Jeśli nie chciałeś się przebierać, mogłeś jeść w swoim pokoju.

Wślizgnęłam się w czarne koronkowe majteczki. Stanik był usztywniony fiszbinami, trzymał mocno. Pończochy były czarne i sięgały do uda. Ludzie mawiają: wkładaj czystą bieliznę, na wypadek, gdyby miał cię potrać autobus. Pasuje to trochę do Dworu Unseelie. Tutaj nosiło się ładną bieliznę, bo królowa mogła ją zobaczyć. Choć prawdę mówiąc, sama lubiłam mieć świadomość, że wszystko, co mam na sobie, jest ładne, nawet rzeczy, których nikt nie miał widzieć.

Nałożyłam szary cień do powiek. Użyłam takiej ilości kredki, że moje oczy wyglądały jak szmaragdy i złoto wciśnięte w heban. Wybrałam szminkę o barwie ciemnego burgunda.

Miałam dwa składane noże Spyderco. Otworzyłam jeden. Miał sześciocalowe ostrze, długie, cienkie, błyszczące jak srebro - chociaż było ze stali. Model wojskowy. Przyda się przeciwko moim krewnym. Drugi nóż był o wiele mniejszy - Delica. Każdy nóż miał zapięcie, które umożliwiało ukrycie go w ubraniu. Otworzyłam oba noże, a potem zamknęłam. Mniejszy spoczął za stanikiem na fiszbinie. Wojskowy nóż wsunęłam natomiast za czarną podwiązkę.

Wyciągnęłam z torby suknię. Była w kolorze burgunda. Miała ramiączka wystarczająco szerokie, żeby ukryć stanik. Góra z atłasu była obcisła; reszta sukienki uszyta z miękkiego, naturalnie wyglądającego materiału. Żakiet był uszyty z tego samego materiału w kolorze burgunda. Jedyne klapy były z atłasu.

Miałam kaburę z Berettą Tomcat - najnowszym pistoletem automatycznym kaliber . 32. Zabaweczka ważyła niecały funt. Były mniejsze pistolety, ale jeśli miałam do kogoś strzelać tego wieczoru, to chciałam, żeby to było coś więcej niż kaliber .22. Kaburę zawiązywało się na kostce u nogi. Problem z takimi kaburami polega na tym, że dziwnie się z nimi chodzi. Można na przykład odrobinę pociągać nogą albo drobić. A ja do tego wszystkiego miałam jeszcze na sobie pończochy i szansa, że ich nie zniszczę, równała się zeru. Ale to jedyne miejsce na ukrycie pistoletu, które nie było zbyt oczywiste. Gotowa byłam poświęcić pończochy.

Przeszłam się w burgundowych butach na szpilkach. Miały zaledwie dwa cale wysokości. Lepiej się w nich chodziło, a suknia sięgała do samej ziemi, więc i tak większość osób nie zauważy, jakiej wysokości są moje obcasy. Sklep, w którym kupiłam suknię, podwinął ją do tych butów. Nawet jeśli się ma więcej niż pięć stóp wzrostu, nie można kupić eleganckiej sukni i nosić do niej dwucalowych obcasów, nie mając jej podwiniętej.

Na koniec włożyłam biżuterię. Naszyjnik z granatów był prawie czarny, z przebłyskami srebra. Specjalnie nie wyczyściłam srebra, dla lepszego wyeksponowania kamieni.

Pokusiłam się o podwinięcie włosów, tak że zamiatały moje ramiona. Błyszczały czerwienią, a burgundowa suknia wydobyła z moich włosów burgundowy blask.

Moja ciotka mogła mi pozwolić trzymać broń lub nie. Prawdopodobnie nie zostanę wyzwana na pojedynek pierwszego wieczoru, skoro ciotka mnie zaprosiła, ale... zawsze lepiej być uzbrojonym. Są na dworze istoty, które nie walczą w pojedynkach. Potwory, które nie rozumują tak jak my. Czasami bez żadnego powodu jeden z nich atakuje. Możesz zginąć, zanim ktoś go powstrzyma.

Więc po co się je trzyma? Ponieważ jedyną zasadą, jaka zawsze obowiązywała na Dworze Unseelie, jest to, że wszyscy są na nim mile widziani. Nikt ani nic nie może zostać odrzucone. Jesteśmy azyłem dla potworów zbyt przerażających dla Dworu Seelie. Tak jest, było i będzie. Chociaż to, że się jest akceptowanym na dworze, nie oznacza, że jest się akceptowanym jako sidhe. Sholto i ja coś o tym wiemy.

Raz jeszcze spojrzałam w lustro i obrysowałam wargi ołówkiem. Włożyłam konturówkę do małej koralikowej torebki, która pasowała do sukni. Czego chciała ode mnie królowa? Dlaczego nalegała, żebym wróciła do domu? Dlaczego właśnie teraz? Zrobiłam głęboki wdech i wydech, patrząc, jak atłas na mojej piersi unosi się i opada. Wszystko we mnie błyszczało: skóra, oczy, włosy, granaty wokół mojej szyi. Wyglądałam uroczo. Nawet ja musiałam to przyznać. Jedyne mój wzrost wskazywał na to, że nie jestem sidhe czystej krwi. Byłam po prostu za niska, by być jedną z nich.

Dołożyłam mały pędzelek do szminki w torebce, a potem musiałam zdecydować, czy mam wziąć jeszcze jakieś kosmetyki, żeby się odświeżyć w czasie wieczoru, czy małą puszkę gazu musztardowego. Wybrałam gaz. Jeśli masz wybrać pomiędzy dodatkowymi kosmetykami a dodatkową bronią, lepiej wybierz broń. Już sam fakt, że się zastanawiasz, które z nich wybrać,

dowodzi, że bardziej będziesz potrzebować broni.

Rozdział 24

Przed nami w zapadającym mroku wznosiły się kopce Faerie: małe góry aksamitu na pomarańczowym niebie. Księżyc był już wysoko, błyszcząc srebrem. Wciągnęłam zimne, rześkie powietrze. Jesienne ranki w Kalifornii były czasami zimne. Przed południem trzeba było nosić spodnie i cienki sweter. Liście opadały na ziemię, tworząc kopczyki, i tańczyły, szeleszcząc, gnane przez wiatr. Potem, po południu trzeba było przebrać się w szorty i znowu było jak w czerwcu.

Ale tu panowała prawdziwa jesień. Powietrze było chłodne, ale nie zimne. Wiatr, który wiał nam w plecy, przynosił rześki zapach pól kukurydzy i więdnących liści.

Gdybym mogła wrócić do domu w październiku i spotkać tylko tych, których chciałam widzieć, nie posiadałabym się z radości. Jesień była moją ulubioną porą roku, październik moim ulubionym miesiącem.

Zatrzymałam się na ścieżce, a mężczyźni przystanęli razem ze mną. Barinthus spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Co się stało? - spytał Galen.

- Nic - odpowiedziałam - zupełnie nic. - Zrobiłam jeszcze jeden głęboki wdech. Powietrze nigdy tak nie pachnie w Kalifornii.

- Zawsze lubiłaś październik - zauważył Barinthus.

Gallen uśmiechnął się szeroko.

- Pamiętasz, jak w Halloween chodziłem z tobą i Keelin po fanty, dopóki z tego nie wyrosłaś?

Pokręciłam głową.

- Wcale z tego nie wyrosłam. Jeszcze kiedy miałam piętnaście lat, chodziłam razem z Keelin na Halloween. Miałam już na tyle silną osłonę, żeby nie było wiadomo, kim jesteśmy.

- W wieku piętnastu lat miałaś już tak silną osłonę, żeby ukryć Keelin przed wzrokiem śmiertelników? - spytał z niedowierzaniem Barinthus.

Spojrzałam na niego i skinęłam głową. - Tak.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nasza konwersacja została przerwana.

- Czyż to nie wzruszające? - rozległ się męski głos.

Odwróciliśmy się, patrząc na ścieżkę. Galen stanął przede mną, żeby w razie czego zasłonić mnie własnym ciałem. Barinthus wpatrzył się w ciemność z tyłu. Za nami nie było nikogo, to jednak, co było przed nami, wystarczało nam w zupełności.

Pośrodku ścieżki stał mój kuzyn Cel. W ciemności trudno było zobaczyć, gdzie się kończyły jego długie, proste włosy, a gdzie zaczynał czarny prochowiec. Ubrany był na czarno, z wyjątkiem białej koszuli, która świeciła jak gwiazda wśród tej czerni.

Nie był sam. Obok niego stała Siobhan - kapitan jego straży i ulubiony zabójca gotowa zasłonić go swoim ciałem, gdyby zaszła taka potrzeba. Była niska, niewiele wyższa ode mnie, ale widziałam kiedyś, jak podniosła volkswagena i rzuciła nim w kogoś. Jej włosy błyszczały biało w ciemności, ale wiedziałam, że w rzeczywistości są biało-srebrno-siwe, jak pajęczyna pająka. Jej skóra była blada, matowa, nie błyszcząca, jak skóra Cella i moja, a oczy

- matowo zielone, pokryte błonami, rybie. Miała na sobie czarną zbroję, pod ręką trzymała hełm. Zły znak.

- Jesteś w pełnym rynsztunku, Siobhan - zauważył Galen. - Cóż to za okazja?

- Przygotowanie to klucz do wygrania bitwy. - Jej głos pansował do reszty - suche szepczące syczenie.

- To ma być jakaś bitwa? - zdziwił się Galen.

Cel zaśmiał się tym samym śmiechem, który zmienił moje dzieciństwo w piekło.

- Dzisiaj nie. To tylko paranoja Siobhan. Bała się, że Meredith zdobyła moc, gdy była w zachodnich krainach. Widzę jednak, że jej obawy były bezpodstawne.

Barinthus położył dłonie na moich ramionach, przysuwając mnie do siebie.

- Co tu robisz? To nas królowa wysłała po Meredith.

Cel przesunął się w dół ścieżki, ciągnąc za smycz, która wiodła od jego dłoni do małej postaci kucającej u jego stóp. Postać była ukryta za jego płaszczem. W pierwszej chwili nie poznałam, kto to. Postać wstała i okazało się, że sięga ledwie do piersi Cela. Miała skórę brązową jak moja babcia, ale włosy na jej głowie były grube i opadały aż do kostek. W ciemności wyglądała jak człowiek, ale wiedziałam, że jej skóra pokryta jest grubymi, miękkimi, puszystymi włosami. Jej twarz była płaska i bez rysów, jak coś na w pół uformowanego i nigdy nie skończonego. Jej szczupłe delikatne ciało miało parę dodatkowych rąk i nóg, tak że poruszała się, dziwnie chwiejąc się na boki. Dodatkowe kończyny można było schować pod ubraniem, ale i tak było je widać, gdy się poruszała.

Ojciec Keelin był durigiem, goblinem z bardzo czarnym poczuciem humoru - takim, które mogło zabić człowieka. Jej matka była skrzatem. Keelin została wybrana na moją towarzyszkę zaraz po moim urodzeniu. To był wybór ojca i nigdy nie miałam powodu, żeby się nań skarżyć. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Może sprawiała to krew skrzatów, która płynęła w naszych żyłach. Bez względu na przyczynę, od początku byłyśmy ze sobą blisko. Byłyśmy przyjaciółkami, od kiedy tylko pierwszy raz spojrzałam w jej brązowe oczy.

A teraz Cel trzymał Keelin na smyczy. Zamurowało mnie. Z wielu powodów można było skończyć jako „zwierzątko” Cela. Mogła to być na przykład kara królowej. Ale były też kobiety, które zgłaszały się na ochotnika. Zawsze mnie zaskakiwało, jak wiele kobiet stojących niżej w naszej hierarchii pozwalało Celowi wykorzystywać się w najbardziej prymitywny sposób tylko dlatego, że jeśli zaszłyby w ciążę, stałyby się pełnoprawnymi członkami dworu. Tak jak moja babcia.

Tyle że babcia prędzej przebiłaby serce dziadka żelaznym kołkiem, niż pozwoliła, żeby traktował ją jak psa.

Odsunęłam się od Barinthusa i stanęłam na ścieżce. Galen i Barinthus byli tuż za mną, po obu stronach, jak na dobrych królewskich strażników przystało.

- Keelin - powiedziała - co ty tutaj robisz? - Nie było to dokładnie takie pytanie, jakie chciałam zadać. Mój głos brzmiał spokojnie, zwyczajnie. A chciałam krzyczeć, wrzeszczeć.

Cel przyciągnął ją do siebie, głaszcząc jej włosy, przyciskając jej twarz do swojej piersi. Jego dłoń ześlizgnęła się w dół jej ramienia, po czym złapał ją za pierś i zaczął miętosić.

Keelin odwróciła głowę, chowając przede mną twarz. Słońce prawie już zaszło, za kilka minut powinno być zupełnie ciemno.

- Keelin, porozmawiaj ze mną.

- Ona chce należeć do dworu - powiedział Cel. - Dzięki mnie bierze udział we wszystkich ceremoniach. - Przyciągnął ją do siebie, jego ręka zniknęła pod jej sukienką. Jeśli urodzi dziecko, będzie księżniczką, a jej dziecko - następcą tronu. Jej dziecko może zepchnąć cię z trzeciej na czwartą pozycję w kolejce do tronu.

Zrobiłam krok do przodu, z wyciągniętą ręką.

- Keelin...

- Merry - powiedziała, na chwilę odwracając do mnie głowę. Jej głos był jak zawsze cichy i słodki.

- Nie, moje zwierzątko - powiedziała Cel. - Nic nie mów. Ja będę mówił za nas oboje.

Keelin zamilkła, znów ukrywając twarz.

Stałam tam i dopóki Barinthus nie dotknął mojego ramienia i nie sprawił, że podskoczyłam, nie

zdawałam sobie sprawy, że moje dłonie zaciśnięte są w pięści. Znow drżałam, ale tym razem nie ze strachu, a z gniewu.

- Królowa nałożyła na nas geas, żebyśmy ci nic nie mówili, Merry. Ale jednak powinienem być cię ostrzec - powiedział Galen, stając po mojej drugiej stronie. To tak, jakby chcieli mnie złapać i przytrzymać, żebym nie zrobiła czegoś głupiego. Ale nie miałam zamiaru nic takiego robić - tego przecież chciał Cel. Przyszedł tu z Keelin, żeby mnie rozgniewać, i z Siobhan, żeby mnie zabiła. Potem wymyśliłby jakąś zgrabną historyjkę o tym, jak to go zaatakowałam i jego strażniczka musiała go obronić. Królowa wierzyła mu bez zastrzeżeń. Zachowałam spokój tylko dlatego, że gdybym coś zrobiła, z pewnością bym zginęła. Mogłam rozważać walkę z Celem. Był jedną z niewielu osób, które mogłabym zabić bez wyrzutów sumienia. Ale Siobhan to co innego. To ona zabiłaby mnie.

- Od jak dawna Keelin z nim jest? - spytałam.

Cel zaczął odpowiadać, ale uciszyłam go uniesieniem ręki.

- Pytałam Galena.

Cel uśmiechnął się do mnie - błysk bieli w rozpraszonej jedynie blaskiem księżyca ciemności. Co dziwne, pozostał milczący. Nie spodziewałam się tego, ale wiedziałam, że gdybym jeszcze raz miała usłyszeć jego głos, zaczęłabym wrzeszczeć, żeby go zagłuszyć.

- Odpowiedz mi, Galenie.

- Niedługo po tym, jak odeszłaś.

Zamarłam. Więc to była moja kara. Moja kara za ucieczkę z dworu. Chociaż nie powiedziałam Keelin, że odchodzę, chociaż była niewinna, wykorzystali ją, żeby zranić mnie. Cel trzymał ją jako swoje zwierzątko przez prawie trzy lata, czekając, aż wrócę do domu. Bez wątpienia miał niezłą zabawę, a gdyby urodziło się dziecko, to jeszcze lepiej. Ale to nie chęć posiadania dzieci była jego motywacją przy wyborze Keelin. Spojrzałam na zadowolonego z siebie Cella i nawet w blasku księżyca mogłam odczytać wyraz jego twarzy. Została wybrana z zemsty, z chęci ukarania mnie. A ja byłam tysiące mil stąd, nieświadoma niczego.

Cel i moja ciotka czekali cierpliwie, żeby mi pokazać niespodziankę. Trzy lata cierpienia Keelin i nikt mi o tym nie powiedział. Ciotka знаła mnie lepiej, niż myślałam. Świadomość, że Keelin cierpiała przez cały ten czas, nie będzie mi dawała spokoju. A gdyby wolność Keelin była stawką za to, czego ode mnie chciała, dostałaby to bez względu na to, co by to było. Musiałam porozmawiać z Keelin na osobności.

Choć nienawidziłam Cella, wiedziałam, że bycie z nim jest jednym z niewielu sposobów, w jaki Keelin mogła dostać się na dwór. Była jedną z moich dworek - moją towarzyszką. Bycie moją przyjaciółką i służącą pozwoliło jej poznać dwór od wewnątrz. Wiem, że miała w sobie wielką potrzebę akceptacji w tym towarzystwie, niewykluczone, że nawet tak wielką, by znieść Cella i obrazić się, gdybym ją uwolniła. To, co ja uważałam za wybawienie, dla Keelin mogło być przekleństwem. Dopóki nie wiedziałam, co ona czuje, nic nie mogłam zrobić.

Cel wyjął w końcu rękę spod sukienki Keelin i położył ją na jej ramieniu. Odetchnęłam z ulgą.

- Królowa przysłała mnie, żebym eskortował moją piękną kuzynkę do jej prywatnych komnat. Wydwaj macie spotkanie w sali tronowej.

- Wiem, co mam robić - powiedział Barinthus.

- Skąd mamy mieć pewność, że jej nie skrzywdzisz? - spytał Galen.

- Ja miałbym skrzywdzić swoją śliczną kuzyneczkę? - Cel roześmiał się.

- Nie odejdziemy. - Głos Barinthusa był cichy i spokojny. Trzeba było znać ten głos, żeby usłyszeć w nim gniew.

- Ty też się boisz, że zrobię jej krzywdę?

- Nie - odparł Barinthus. - Boję się, że to ona zrobi krzywdę tobie, księżę. Dla naszej królowej życie jej jedyne następcy jest wyjątkowo cenne.

Cel śmiał się długo i głośno. Śmiał się, dopóki łzy nie zaczęły mu spływać po policzkach, choć niewykluczone, że tylko udawał.

- Czyli boisz się, że mogłaby spróbować mnie skrzywdzić, a ja musiałbym pokazać jej, gdzie jest jej miejsce. Barinthus pochylił się nade mną i wyszeptał.

- Nie możesz okazać mu słabości. Nie spodziewałem się, że wyjdzie nam na spotkanie. To śmiały ruch. Jeśli zdobyłaś moc w zachodnich krainach, okaż ją teraz, Meredith.

Odwrociłam się, żeby na niego spojrzeć. Był tak blisko mnie, że jego włosy dotykały mojego policzka. Pachniały oceanem, ziołami i czystością. Odszepnęłam:

- Jeśli teraz okażę swoją moc, później nie będzie elementu zaskoczenia.

Jego głos był delikatnym szemraniem strumyka płynącego po okrągłych kamieniach. Używał swojej mocy, żeby Cel nie mógł nas podsłuchać.

- Jeśli Cel będzie nalegał, żebyśmy odeszli, a my odmówimy, źle się to dla nas skończy.

- Od kiedy to Straż Królowej odpowiada przed jej synem?

- Od czasu, gdy królowa tak zarządziła.

- Rozkazuję wam, Barinthusie i Galenie, zająć się waszymi sprawami! - zawołał Cel. My zaś odprowadzimy moją kuzynkę do królowej.

- Musisz go wystraszyć - powiedział Barinthus. - Musisz sprawić, żeby chciał, żebyśmy zostali. On miał dostęp do pierścienia.

Spojrzałam na niego. Nie musiałam pytać, czy naprawdę myśli, że to Cel chciał mnie zabić w samochodzie. Gdyby nie uważał tego za możliwe, nie mówiłby nic.

- Dałem wam obu wyraźny rozkaz - powiedział Cel. Jego głos wzmościł się, niesiony coraz silniejszym wiatrem.

Wiatr rozwiął długie płaszcze mężczyzn, szepcząc w suchych liściach drzew na skraju pola po naszej lewej stronie. Odwróciłam się do tych szepczących drzew. Prawie rozumiałam wiatr, prawie słyszałam drzewa wzdychające z powodu nadchodzącej zimy i zimna. Wiatr zerwał się i przyspieszył, popychając małą kupkę liści kamienną ścieżką obok Cella i jego kobiet, dopóki nie dotknęła moich nóg. Potem liście poleciały dalej niesione słodkim jesiennym wiatrem. Zamknęłam oczy i wciągnęłam ten wiatr w płuca.

Odeszłam na krok od strażników i przybliżyłam się do Cella, ale to nie do niego szłam. Przyzywała mnie ziemia. Cieszyła się że wróciłam, cieszyła się tak, jak nigdy dotąd.

Rozłożyłam ramiona i otworzyłam się na noc. Poczułam wiatr przewiewający przez moje ciało, jakbym była drzewami, nie przeszkodą dla wiatru, ale jego sprzymierzeńcem. Poczułam moc nocy, spieszący się, pędzący puls wszystkiego. Przez chwilę czułam, jakby cały świat obracał się pod moimi stopami. Czułam powolny, ciężki ruch Ziemi wokół Słońca. Stałam ze stopami mocno wciśniętymi w ziemię, która była jak korzenie drzewa biegnące w dół. Ale tylko to we mnie było stałe. Wiatr omiatał mnie, jakby mnie tam wcale nie było, i wiedziałam, że mogłabym się owinąć w noc i chodzić niewidzialna pośród śmiertelników. Ale nie ze śmiertelnikami miałam teraz do czynienia.

Otworzyłam oczy, uśmiechając się. Złość, zmieszanie, wszystko zniknęło, zostało zabrane przez wiatr, który pachniał suchymi liśćmi i jakimiś przyprawami. Miałam wrażenie, jakbym czuła w wietrze rzeczy, które były tylko na wpół zapamiętane lub na wpół wyśnione. Noc była nieujarzmiona i można z niej było czerpać nieujarzmioną magię, jeśli tylko się ją poznało. Ktoś posiadający dużą moc mógłby posługiwać się magią Ziemi, ale Ziemia jest uparta i nie lubi być wykorzystywana.

Zawsze płaci się za przemoc przeciwko żywiołom. Ale w pewne noce, a nawet dni, Ziemia oddaje się jak kobieta pragnąca kochanka.

Przyjęłam jej zaproszenie. Zdjęłam swoją osłonę i poczułam, że wiatr rozdmuchuje mnie jak kurz, ale w miejsce każdej odjętej cząstki otrzymywałam nową. Oddawałam się nocy, a noc wypełniała mnie, ziemia objęła mnie, wślizgując się w górę przez moje stopy, jak woda dostaje się w górę drzewa przez korzenie.

Przez chwilę nie byłam pewna, czy chcę się poruszyć, bojąc się, że zerwę kontakt z Ziemią. Wiatr zawirował wokół mnie, zarzucając mi włosy na twarz i przynosząc zapach spalonych liści. Roześmiałam się. Szłam kamienną ścieżką, a Ziemia szła ze mną. Szłam przez noc, jakbym pływała, niesiona prądami mocy. Szłam w kierunku mojego kuzyna, uśmiechając się.

Siobhan wyszła przed niego. Nałożyła na głowę hełm. Tylko jej białe dłonie widać było w ciemności. Mogła zranić lub zabić samym dotykiem.

Barinthus szedł za mną. Wiedziałam, że wyciągnął do mnie rękę - czułam, jak porusza się wśród mocy. Prawie go widziałam stojącego tam, jakbym miała oczy z tyłu głowy. Moja magia była zawsze magią osobistą. Ta magia nie była osobista. Czułam swoją małość, czułam ogrom świata, ale nie było w tym poczucia samotności. Czułam, że jestem obejmowana, chciana, pożądana.

Ręka Barinthus opadła, nie dotknąwszy mnie. Jego głos zasyczał i zaszemrał jak woda na piasku.

- Gdybym wiedział, że to potrafisz, nie bałbym się o ciebie.

Zaśmiałam się radośnie. Otworzyłam się jeszcze bardziej, jak drzwi otwierające się na oścież. A potem było tak, jakby te drzwi, ściana, w której tkwiły, i dom, w którym była ta ściana, rozpuściły się w mocy.

Barinthus sapnął:

- Na miłość Ziemi, co ty zrobiłaś, Merry?

Nigdy nie używał tego imienia.

- Podzieliłam się - wyszeptalam.

Galen podszedł do nas, a moc otworzyła się przed nim, choć nawet o tym nie pomyślałam. Cała nasza trójka została wypełniona mocą. To była szczodra moc, rozradowana, serdeczna obecność.

Moc wyszła ze mnie, a może to ja się poruszyłam. Siobhan podeszła do mnie, ale moc jej nie wypełniła. Odrzuciła ją. Magia Siobhan była obrazą dla Ziemi i jej powolnego cyklu życia, ponieważ Siobhan kradła życie, sprowadzała na ludzi śmierć, zanim nadszedł ich czas. Po raz pierwszy zrozumiałam, że Siobhan w pewien sposób stała poza tym cyklem - że należała do świata śmierci, że była kimś, kto wciąż się porusza, jakby żył, ale Ziemia go nie zna.

Moc nie odrzuciłaby Cela, ale nie miał okazji się o tym przekonać, bo zabezpieczył się przed nią. Czułam, jak ustawia osłonę. Znalazł się za niewidzialnymi ścianami, bezpieczny, ale zarazem nieświadomy cudu, który był naszym udziałem.

Keelin natomiast nie zamknęła się przed nim. Być może nie miała wystarczającej osłony, żeby zbudować ściany, a może nie chciała. Nagle poczułam ją i usłyszałam jej głos zmieszany z szumem wiatru.

Szła w naszą stronę, wyciągając wszystkie swoje cztery ręce na spotkanie nocy. Cel szarpnął za skórzaną smycz. Keelin się potknęła.

Wyciągnęłam do niej rękę i moc, choć jej nie kontrolowałam, wylała się na zewnątrz i otoczyła ją. Moc pchnęła Cela jak woda pcha kamień w środku strumienia, jak coś, co trzeba ominąć, zignorować. To pchnięcie sprawiło, że upadł do tyłu, a smycz wypadła mu z dłoni. Podniósł głowę do wschodzącego księżyca. Na jego przystojnej twarzy pojawił się strach.

Ucieszyłam się na ten widok. Ot, taka drobna przyjemność. Szczodry bieg mocy otoczył mnie, jak

ręka matki chwytająca za ramię niegrzeczne dziecko. Nie czas na drobne przyjemności pośród tego... życia.

Keelin stała na środku ścieżki, z rozwartymi ramionami, z głową odrzuconą do tyłu, tak że światło księżycy świeciło na jej nie w pełni uformowaną twarz. To była dla niej cenna chwila. Rzadko miała okazję pokazać swoją twarz w świetle.

Siobhan zbliżyła się do mnie. W ciemności widać było tylko błysk jej białych rąk i zbroi. Niewiele myśląc, wyciągnęłam rękę przed siebie, zupełnie jakbym się spodziewała, że ta ogromna, ospała moc zareaguje na mój gest. O dziwo, zareagowała.

Siobhan zatrzymała się, jakby natrafiła na mur. Jej białe dłonie zabłysły bladym płomieniem. Jej moc zamigotała, gdy zmierzyła się z czymś, czego nawet ja nie widziałam. Poczułam jej chłód próbujący pochłonąć ciepło nocy - bezskutecznie. Gdyby była naprawdę żywa, gdyby jej dotyk zadawał zwykłą śmierć, Ziemia by jej nie powstrzymała. Moc Ziemi była w zasadzie neutralna. W pewnym sensie mnie kochała, przywitała mnie, ale przywitałaby też moje rozkładające się ciało, z równą chęcią objęłaby mnie swoim pełnym robaków uściskiem. Zabrałaby moją duszę i na wietrze wysłała ją gdzie indziej.

Ale magia Siobhan nie była naturalna. Dlatego strażniczka Cela nie mogła przejść. Mógł to być klucz do zniszczenia jej. Tego klucza użyć mógł jednak tylko ktoś posługujący się sprawniej ode mnie niszczącymi zaklęciami.

W ciemności coś się poruszyło. Cel i Siobhan odwrócili się. Kiedy zobaczyli Doyle'a, ich ciała napięły się. Coś takiego - księżę i jego strażniczka bali się Ciemności Królowej. Interesujące. Jeszcze trzy lata temu Cel nie bał się Doyle'a. Nie bał się nikogo oprócz swojej matki. Nawet wtedy nie bał się jednak śmierci, ponieważ był jedyną osobą, w której płynęła jej krew. Jej jedynym dzieckiem. Jej jedynym następcą. Nikt nigdy nie wyzywał Cela na pojedyńki. Wszyscy bali się, że wygrają. W tym wypadku wygrana mogła oznaczać śmierć. Przez ostatnie trzy stulecia przeszedł nie tknięty, niczego się nie bojąc, aż do teraz.

Teraz zobaczyłam, prawie poczułam jego niepewność. Bał się. Dlaczego?

Doyle był ubrany na czarno, w pelerynę, która sięgała do kostek i okrywała go całego. Jego twarz była tak ciemna, że białka oczu wydawały się unosić w kapturze.

- Co się dzieje, księżę?

Cel zszedł ze ścieżki, żeby widzieć zarówno Doyle'a, jak i nas. Siobhan ruszyła za nim. Keelin pozostała na ścieżce. Moc zwinęła się, jakby poruszając się na wietrze, i minęła nas, żeby polecieć dalej. Po chwili już jej nie było.

Poczułam, że z powrotem mam ciało. Za każdą magię trzeba było zapłacić; za każdą oprócz tej jednej. Sama mi się ofiarowała. Nie prosiłam. Może dlatego czułam się silna, a nie wyczerpana.

Keelin podeszła do mnie z wyciągniętymi górnymi ramionami. Musiała czuć się jak nowo narodzona, tak jak ja, ponieważ uśmiechała się. Strach zniknął, odpłynął ze słodkim wiatrem.

Złapałam ją za rękę. Pocałowałyśmy się w policzki, a potem Keelin objęła mnie swoimi górnymi i dolnymi ramionami. Trzymałyśmy się tak mocno, że czułam nacisk jej małych piersi, wszystkich czterech. Najpierw zastanowiłam się, czy Celowi podoba się bycie z kimś o tyłu piersiach. Potem zaś wyobraziłam sobie ich w łóżku. Zacisnęłam oczy, jakbym w ten sposób mogła się pozbyć tego obrazu. Przesunęłam dłonią po jej plecach przez grube futerkowate włosy i uświadomiłam sobie, że płacę.

Słodki, prawie jak szczebiot ptaka, głos Keelin uspokajał mnie.

- Wszystko w porządku, Merry. Wszystko w porządku.

Pokręciłam głową i odsunęłam się, żebym mogła widzieć jej twarz.

- Wcale nie.

Dotknęła mojej twarzy, łapiąc łzy na swój palec. Nie mogła płakać. Nie miała kanalików łzowych.

- Zawsze płakałaś za mnie, ale teraz tego nie rób.

- Jak mam tego nie robić? - Spojrzałam na Cela, który rozmawiał po cichu z Doyle'em. Siobhan wpatrywała się we mnie. Czułam jej martwy wzrok, choć nie widziałam jej oczu. Nie zapomni, że użyłam przeciw niej magii, i że wygrałam, czy też raczej: nie przegrałam. Nie zapomni i nie przebaczy.

Ale tym będę się martwić kiedy indziej. Odwróciłam się do Keelin. Moje ręce powędrowały do skórzanej obroży wokół jej szyi.

Dotknęła moich nadgarstków.

- Co robisz, Merry?

- Zdejmuję to.

Delikatnie odsunęła moje ręce.

- Nie.

Pokręciłam głową.

- Jak możesz... Jak mogłaś?

- Nie płacz już - powiedziała Keelin. - Dobrze wiesz, czemu to zrobiłam. Jeszcze tylko kilka tygodni i miną trzy lata. Jeśli okaże się, że nie jestem w ciąży, uwolnię się od niego. Jeśli okaże się, że jestem, będzie musiał mnie traktować jak swoją żonę albo w ogóle mnie nie tykać.

Była tak spokojna, przerażającym, silnym spokojem, jakby to było coś... normalnego.

- Nie rozumiem tego - powiedziałam.

- Wiem. Ale wcale mnie to nie dziwi. W twoich żyłach płynie królewska krew. Podniosła wolną rękę, żeby dotknąć moich ust, zanim zdążyłam zaprotestować, a pozostałymi dłońmi trzymała mnie za ręce. - Wiem, że traktowano cię jak biedną krewną, Merry, ale jesteś jedną z nich. Ich krew płynie w twoich żyłach, a oni... - Opuściła głowę i zdjęła rękę z moich ust, ale mocniej ścisnęła moje dłonie. - Jesteś członkiem klubu, Merry. Jesteś w środku wielkiego domu, podczas gdy my czekamy na zewnątrz, na zimnie i w śniegu, z twarzami przyciśniętymi do szyby.

Odwróciłam wzrok od tych łagodnych brązowych oczu.

- Używasz mojej własnej metafory przeciwko mnie.

Dotknęła mojej twarzy lewą górną ręką.

- Wystarczająco dużo razy ją słyszałam, kiedy dorastałyśmy.

- Gdybym poprosiła, odeszłabyś ze mną?

Uśmiechnęła się, ale był to gorzki uśmiech.

- Tylko wtedy, gdybyś mogła być ze mną każdej godziny dnia i nocy, żeby chronić mnie swoją osłoną.

- Pokręciła głową. - Jestem zbyt wstrętna dla ludzkich oczu.

- Wcale nie...

Przerwała mi spojrzeniem.

- Tak jak ty nigdzie nie przynależę. Nie jestem ani durigiem ani skrzatem.

- A co z Kuragiem? Podobałaś mu się.

Opuściła głowę.

- To prawda, że pośród pewnego rodzaju goblinów uchodzę za atrakcyjną. Dodatkowe kończyny, a zwłaszcza dodatkowe piersi są dla nich oznaką wielkiego piękna.

Uśmiechnęłam się.

- Pamiętam, jak mnie zabrałaś na bal goblinów. Dla nich byłam brzydka.

Keelin uśmiechnęła się, kręcąc głową.

- Ale bez względu na to chcieli z tobą tańczyć. - Spojrzała w górę, szukając mojego wzroku. - Wszyscy chcieli dotknąć skóry księżniczki o królewskiej krwi, bo wiedzieli, że to było wszystko, co mogli kiedykolwiek otrzymać.

Nic wiedziałam, jak zareagować na gorycz w jej głosie.

- To nie twoja wina, że ty wyglądasz jak ty, a ja jak ja. To niczyja wina. Jesteśmy, jacy jesteśmy. Za twoją sprawą zobaczyłam dwór. Nie mogłam powrócić do Kuraga i jego goblinów po tym, jak pokazałaś mi lepsze życie. Byłabym zadowolona, mogąc stać do końca swoich dni za twoim krzesłem, ale nagle to się skończyło... - Puściła moje dłonie i odwróciła się ode mnie. - Kiedy odeszłaś, nie mogłam pogodzić się ze stratą tego wszystkiego. Zaśmiała się; jej śmiech był wciąż jak szczebiot ptaka, ale pojawiła się w nim nutka szyderstwa, usłyszałam w nim echo śmiechu Cela. - Poza tym Cel lubi czteropiersiaste kobiety i mówi, że nigdy nie spał z nikim, kto mógłby owinąć wokół jego białego ciała dwie pary nóg.

Keelin pociągnęła nosem i wiedziałam, że płacze. To, że nie miała łez, nie oznaczało, że nie mogła płakać.

Odwróciła się i poszła do Cela. Pozwoliłam jej odejść. Winiła mnie za to, że pokazałam jej księżyc, którego nie mogła mieć. Może miała rację. Może ją wykorzystałam, ale nie chciałam tego. Oczywiście, to nic nie zmieniało.

Wciągnęłam jesienne powietrze, żeby znów się nie rozplakać. Wciąż było słodkie, ale już nie takie jak przedtem.

- Przykro mi, Meredith - powiedział Barinthus.

- Niech ci nie będzie przykro z mojego powodu. To nie ja jestem na smyczy Cela.

Galen dotknął mojego ramienia i chciał mnie objąć, ale powstrzymałam go.

- Proszę, nie. Jeśli będziesz mnie pocieszał, zacznę płakać.

Uśmiechnął się.

- Muszę to zapamiętać na przyszłość.

W naszą stronę zmierzał Doyle. Odsunął kaptur do tyłu, ale i tak niemożliwe było ustalenie, gdzie kończą się jego włosy, a zaczyna peleryna. Widziałam tylko, że przednia część jego włosów została zebrana w mały kucyk pośrodku głowy, odsłaniając spiczaste uszy. Srebrne kolczyki błyszczały w blasku księżyca. Zmienił niektóre z nich na większe koła, tak że dotykały się i dźwięczały, kiedy się poruszał. Kiedy już stanął przed nami, zobaczyłam, że koła są ozdobione piórami, które były tak długie, że sięgały mu do ramion.

- Barinthusie, Galenie, słyszałem, że nasz książę wydał wam rozkazy.

Barinthus zrobił krok do przodu i stanął, górując nad nim. Jeśli Doyle był onieśmielony czyjąś obecnością, z pewnością tego nie pokazywał. - Książę Cel powiedział, że zaprowadzi Meredith do królowej. Pomyślałem, że to nierozważne.

Doyle skinął głową.

- Ja zaprowadzę Meredith do królowej. - Spojrzał na mnie. Nie byłam pewna, ale wydawało mi się, że uśmiechnął się do mnie tym swoim nikłym uśmieszkiem. - Wydaje mi się, że nasz książę ma dosyć swojej kuzynki, jak na pierwszy raz. Nie wiedziałem, że potrafisz wezwać Ziemię.

- Nie wezwałam jej. Sama przyszła - powiedziałam.

Usłyszałam, jak wciąga powietrze, a następnie je wypuszcza.

- Ach, to co innego. Nie jesteś więc tak silna, jak ci, którzy mogą Ziemię zdjąć z jej kursu. Tym bardziej niepokojące jest, że Ziemia cię przywitała. Że cię uznaje. To ciekawe.

- Wydaje mi się, że jesteście potrzebni gdzie indziej, obaj - powiedział do Barinthus.

Jego głos był bardzo cichy, ale kryła się w nim groźba. Doyle zawsze umiał wzbudzać strach samym

głosem.

- Czy mam twoje słowo, że nic się jej nie stanie? - spytał Barinthus.

Galen stanął przy nim. Dotknął jego ramienia. Zadać takie pytanie to tak jak kwestionować rozkaz. Za coś takiego można było zostać żywcem obdartym ze skóry.

- Barinthusie - szepnął Galen.

- Daję ci moje słowo, że dostarczę ją do królowej nietkniętą.

- Nie o to pytałem - powiedział Barinthus. Doyle podszedł tak blisko, że jego peleryna przylgnęła do płaszcza wyższego mężczyzny.

- Uważaj, morski boże, żebyś nie spytał o więcej, niż powinieneś.

- Wygląda na to, że, tak samo jak ja, nie jesteś pewien, czy będzie bezpieczna w rękach królowej - zauważył Barinthus beznamiętnym tonem.

Doyle podniósł dłoń, która była obrysowana zielonym płomieniem. Zbliżyłam się do nich, nie wiedząc nawet, co powinnam im powiedzieć.

Uwaga Barinthusu wciąż była skupiona na Doyle'u i jego płonącej dłoni, Doyle jednak patrzył na mnie. Galen stał blisko nich, najwyraźniej nie wiedząc, co robić. Wyciągnął do mnie rękę, jakby chciał mnie zatrzymać.

- Odsuń się - powiedziałam. - Nie zrobię nic głupiego.

Zawahał się, potem odsunął się i pozwolił, żebym stanęła przy dwóch pozostałych mężczyznach. Ogień na dłoni Doyle'a rzucał na nich zielonożółte cienie. Oczy Doyle'a nie tyle odbijały ogień, co nim płonęły. Stojąc tak blisko, czułam nie tylko jego moc, ale także powolny wzrost mocy Barinthusu, niczym morze objające się o brzeg.

Pokręciłam głową.

- Przestańcie.

- Co powiedziałaś? - spytał Doyle.

Pchnęłam Barinthusu tak, że się zachwiał. Może nie potrafiłam podnosić samochodów i zabijać jednym uderzeniem, ale mogłam przebić pięścią drzwi samochodu, nie łamiąc sobie przy tym ręki. Odepchnęłam go od Doyle'a na bezpieczną odległość.

- Dostałeś rozkaz od następcy tronu i od swojego kapitana, zastosuj się do niego. Doyle dał ci słowo, że dotrę bezpiecznie do Królowej.

Barinthus spojrzał na mnie. Jego twarz była bez wyrazu, ale nie oczy. Doyle zawsze był jedną z poważniejszych przeszkód na drodze do przedwczesnej śmierci królowej. Przez chwilę zastanawiałam się, czy Barinthus nie szuka pretekstu, żeby poddać go próbie. Jeśli tak, nie zamierzałam mu go dać. Zabicie Doyle'a mogło wywołać rewolucję. Popatrzyłam na twarz Barinthusu, starając się zgadnąć, o czym myśli. Czy chodziło o przywitanie mnie przez Ziemię? Czy o jakiś zatarg między nimi, o którym nie wiedziałam? Zresztą, nieważne.

- Nie - powiedziałam. Wytrzymałam jego wzrok i powtórzyłam. - Nie.

Barinthus utkwiał oczy w Doyle'u.

Doyle złączył dłonie tak, że płonęły teraz obie jednym ogniem.

Stanęłam między nim a Barinthusem.

- Skończ już to przedstawienie, Doyle. Pójdę z tobą.

Czułam, że patrzą na siebie. Powietrze między nimi zgęstniało. Zawsze było między nimi napięcie, ale nigdy aż takie.

Podeszłam do Doyle'a. Kolorowy ogień oświetlił moją twarz i ubranie. Stałam na tyle blisko, żeby poczuć, że ogień nie dawał żadnego ciepła, żadnego życia, nic. Nie był jednak iluzją. Widziałam, co ogień Doyle'a mógł zrobić. Zabijał, podobnie jak dłonie Siobhan.

Musiałam coś zrobić, żeby rozładować napięcie między nimi. Widziałam wiele pojedynków, które rozpoczynały się z bardziej błahego powodu. Tak dużo krwi przelano z powodu głupoty.

Dotknęłam łokci Doyle'a i przesunęłam dłonie powoli w górę jego rąk.

- Widok Keelin odebrało mi radość, tak jak przewidziała to Andais, więc zabierz mnie do niej. -
Moje dłonie przesuwwały się powoli w górę jego ramion, a ja uświadomiłam sobie, że jego czarna skóra była naga; pod tą długą peleryną nosił koszulkę z krótkim rękawem.

- Widzę, że powitanie Ziemi cię ośmieliło - powiedział Doyle.

- To jeszcze nie było śmiałe. - Trzymałam dłonie prawie na jego nadgarstkach, prawie wewnątrz płomieni. Nie było gorąca, które mogło mnie ostrzec, tylko moje własne wspomnienie mężczyzny umierającego w zielonym ogniu. - To dopiero jest śmiałe. Zrobiłam dwie rzeczy naraz. Ręce skierowałam w górę, tam gdzie był płomień, i jednocześnie dmuchnęłam, jakbym gasiła świecę.

Płomienie zniknęły. Doyle zdusił je ułamek sekundy przed moim dotknięciem.

Byłam na tyle blisko, żeby zauważyć, jak bardzo był poruszony tym, co zrobiłam.

- Jesteś szalona.

- Dałeś słowo, że dotrę do królowej nietknięta. Zawsze dotrzymujesz słowa.

- Wierzyłaś, że cię nie skrzywdzę.

- Wierzyłam w twój honor.

Spojrzał do tyłu na Cela i Siobhan. Keelin znów była z nimi. Cel patrzył na nas. Wyraz jego twarzy mówił, że prawie uwierzył w to, że zdmuchnęłam płomień Doyle'a.

Wciąż trzymając jedną rękę na nadgarstku Doyle'a, drugą przesłałam mojemu kuzynowi całusa.

Podskoczył, jakby ten pocałunek go poraził. Keelin przytuliła się do niego i popatrzyła na mnie wzrokiem, który nie do końca był przyjazny.

Siobhan wyszła przed nich i wyciągnęła miecz. Wiedziałam, że rękojeść zrobiona jest z rzeźbionej kości, a zbroja - z brązu. Do zabijania używaliśmy stali lub żelaza. Siobhan miała u boku krótki miecz z brązu służący do obrony, wyciągnęła jednak zza pleców stalowe ostrze. Zamierzała zabić. Przynajmniej była szczerą.

Doyle chwycił mnie za obie ręce i odwrócił do siebie.

- Nie chcę walczyć z Siobhan tylko dlatego, że przestraszyłaś kuzyna.

Jego palce wbiły się w moją skórę i wiedziałam, że zostanie po tym siniak, ale zaśmiałam się. Z goryczą przypominałam sobie o kimś z brązowymi oczami bez łez.

- Nie zapominaj, że przestraszyłam też Siobhan. To bardziej imponujące niż przestraszenie Cela.

Potrząsnął mną mocno.

- I bardziej niebezpieczne.

Puścił mnie tak niespodziewanie, że zachwiałam się i upadłabym, gdyby w ostatniej chwili nie złapał mnie za łokieć.

Spojrzał na Barinthus i Galena.

- Idźcie już stąd! - krzyknął. W jego głosie była prawdziwa złość, a rzadko okazywał takie emocje. Przeze mnie wszyscy byli zdenerwowani. Jakaś mała, mroczna cząstka mnie ucieszyła się z tego powodu.

Doyle, wciąż trzymając mnie za rękę, zaczął prowadzić mnie ścieżką.

Nie odwróciłam się, żeby zobaczyć, jak Barinthus i Galen odchodzą, ani żeby dać powód do zmartwienia Siobhan. To nie ostrożność przeze mnie przemawiała. Po prostu nie chciałam zobaczyć raz jeszcze Keelin w ramionach Cela.

Potknęłam się. Doyle musiał mnie znowu łapać.

- Idziesz za szybko. Pamiętaj, że mam wysokie obcasy - upomniałam go. Mówiąc szczerze, chodziło

bardziej o kaburę przy kostce i długość sukienki. Wolałam jednak zwalić winę na buty. Doyle zabrałby mi broń, gdyby się o niej dowiedział.

Zwolnił.

- Powinnaś była włożyć coś wygodniejszego.

- Widziałam kiedyś, jak królowa kazała pewnej sidhe rozebrać się i iść nago na bankiet, bo nie spodobał jej się jej strój. Wybacz więc, ale wolałam się zabezpieczyć. Wiedziałam, że nie przestanie trzymać mnie za łokieć bez walki. A i wtedy mogłam przegrać. Spróbowałam więc posłużyć się fortem. - Weź mnie pod rękę; chcę być traktowana jak księżniczka, a nie jak więzień.

Zwolnił jeszcze bardziej, patrząc na mnie spod oka.

- Czy skończyłaś już ze swoimi sztuczkami, księżniczko Meredith?

- Skończyłam - powiedziałam.

Zatrzymał się i zaoferował mi ramię. Położyłam dłoń na jego nadgarstku. Pod palcami poczułam małe włoski.

- Trochę zimnawo na krótki rękaw, prawda? - spytałam.

Zmierzył mnie wzrokiem.

- Przynajmniej ty ubrałaś się odpowiednio.

Położyłam wolną dłoń na ręce, która spoczywała na jego ramieniu, robiąc coś w rodzaju podwójnego uścisku, ale nic, co byłoby zabronione. - Podoba ci się?

Spojrzał na moją dłoń. Zatrzymał się i chwycił mnie za prawą rękę, a kiedy jego skóra dotknęła pierścienia, błysnął, przeszywając nas oboje elektrycznym mrowieniem. Magia w pierścieniu rozpoznała Doyle'a, tak jak wcześniej Barinthus i Galena.

Puścił moją rękę, jakby go to zabolalo i zaczął pocierać swoją

- Skąd masz ten pierścień? - W jego głosie słyhać było napięcie.

- Zostawiono go dla mnie w samochodzie.

Pokręcił głową.

- Wiedziałem, że zaginął, ale nie spodziewałem się, że znajdę go na twojej dłoni. Spojrzał na mnie i gdyby to był ktoś inny, powiedziałabym, że się bał. Zanim zdołałam rozszyfrować to spojrzenie, jego twarz znów stała się bez wyrazu. Ukłonił się i podał mi ramię, jak zrobiłby to dżentelmen.

Wzięłam go pod ramię, otoczyłam je obydwoma dłońmi, ale tym razem nie dotknęłam jego skóry. Zastanawiałam się chwilę, dotknąć go niby przypadkiem, ale nie znałam dokładnie działania pierścienia. Dopóki się tego nie dowiem, budzenie magii nie było najlepszym pomysłem.

Szliśmy ścieżką ramię w ramię statecznym, równym krokiem. Moje obcasy stukały głośno na kamieniach. Doyle kroczył przy mnie milczący jak cień; tylko twardość jego ramienia, dotyk peleryny na moim ciele mówiły mi, że tam jest. Jeśli puściłabym jego ramię, rozplątałby się w ciemności - nigdy nie zobaczyłabym ciosu, który by mnie zabił, chyba że Doyle by tego chciał. Czy też raczej: chyba że moja ciotka by tego chciała.

Mogłabym może wypełnić ciszę rozmową, ale Doyle nigdy nie przepadał za pogaduszkami, a tej nocy także ja nie miałam na nie ochoty.

Rozdział 25

Kamienna ścieżka dochodziła do głównej alejki, która była na tyle szeroka, że mógłby nią przejechać powóz lub mały samochód, gdyby samochody mogły tu wjeżdżać - a nie mogły. Podobno dawno temu alejkę przez całą noc oświetlały pochodnie. Współczesne przepisy przeciwpożarowe nie pozwalały jednak na to, więc teraz co osiemnaście stóp stała latarnia. Światła były niebieskie, białe, jasnożółte i zielone. Miałam wrażenie, że poruszamy się wśród kolorowych fantomów.

Kiedy Jefferson zaprosił nas do tego kraju, zaproponował nam, żebyśmy wybrali sobie ziemię.

Wybraliśmy kopce Cahokia. Krążą mroczne opowieści o tym, co żyło w kopcach, zanim tu przybyliśmy. O tym, co musieliśmy z nich wyrzucić. To, co mieszkało w głębi ziemi, zostało wygnane lub zniszczone, ale magia pozostała. Czuć ją było w tym miejscu, kiedy się szło alejką, z obu stron mając ogromne kopce. Największy kopiec znajdował się na końcu alejki. Podczas pobytu w college'u byłam w Waszyngtonie. Kiedy wróciłam do domu, nie mogłam uwierzyć, jak bardzo kopce przypominały mi tamto miejsce, to, jak stałam na głównym placu otoczona pomnikami amerykańskiej chwały. Teraz, idąc główną i jedyną ulicą naszego miasta, miałam poczucie upływu czasu. To miasto było kiedyś tak wielkie, jak Waszyngton obecnie, było centrum kultury i mocy, a teraz zostało zapomniane, pozbawione swoich pierwotnych mieszkańców. Kiedy wybraliśmy to miejsce, ludzie myśleli, że kopce są puste, że znajdują się tu tylko kości i stare skorupy. Ale była tu również magia, drzemiąca w ukryciu. A potem obudziła się i nas zaatakowała. Wojna z nią była jedną z ostatnich okazji, kiedy oba nasze dwory walczyły wspólnie przeciwko jednemu wrogowi.

Po raz ostatni wszystkie istoty magiczne walczyły po jednej stronie barykady podczas drugiej wojny światowej. Hitler najpierw sprzymierzył się z istotami magicznymi z Europy. Chciał dodać ich geny do genetycznej mikstury rasy panów. Potem spotkał kilka mniej ludzkich istot. Wśród nas jest struktura klasowa, równie sztywna i nie do złamania, co głupia; zwłaszcza dwór Seelie patrzy z góry na tych, którzy nie wyglądają jak sidhe. Hitler wziął ich pychę za obojętność. Nie wiedział, że tak naprawdę jesteśmy jedną wielką rodziną. Pomiedzy sobą możemy toczyć krwawe walki, ale jeśli ktoś wystąpi przeciwko któremuś z nas, jednoczymy się, by walczyć ze wspólnym wrogiem.

Hitler przy pomocy magów chciał schwytać w pułapkę i zniszczyć pośledniejsze istoty magiczne. Jego sprzymierzeńcy z Dworu Seelie nie opuścili go. Zwrócili się przeciwko niemu wtedy, gdy się tego nie spodziewał. Ludzie czuliby potrzebę ostrzeżenia go o grożącym mu niebezpieczeństwie, istoty magiczne nie. Alianci znaleźli Hitlera i wszystkich jego magów powieszonych za nogi w jego podziemnym bunkrze. Nigdy nie znaleźli jego kochanki Ewy Braun. Od czasu do czasu szmatławce piszą o odnalezieniu jego wnuka.

Żaden z moich bliskich krewnych nie był zamieszany w śmierć Hitlera, więc nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że rzucono niego jakieś zaklęcie.

Mój ojciec dostał na wojnie dwie srebrne gwiazdy. Był szpiegiem. Nie pamiętam, żebym z powodu tych medali czuła się dumna, może dlatego, że ojciec nigdy nie wydawał się o nie szczególnie dbać. Ale kiedy umarł, zostawił mi je w obitym atlasem pudełku. Nosiłam je z resztą swoich dziecięcych skarbów: kolorowymi piórami ptaków, kamykami, które błyszczały w słońcu, małymi plastikowymi tancerkami, które ozdabiały mój tort na szóste urodziny, ususzonym kawałkiem lawendy, pluszowym kotkiem z oczami z fałszywych brylantów. Teraz medale spoczywały w swoim obitym atlasem pudełku w szufladzie komódki. Reszta moich „skarbów” została rozniesiona przez wiatr.

- Błędzisz gdzieś daleko myślami, Meredith - powiedział Doyle.

Wciąż szłam u jego boku, ale przez moment byłam tam tylko ciałem.

- Przepraszam, mówiłeś coś do mnie? - Potrząsnęłam głową.

- Nad czym się tak zamyśliłaś? - spytał. Światła igrały na jego twarzy, malując kolorowe cienie na czarnej skórze. Jego skóra odbijała światło jak rzeźbione i wypolerowane drewno. Dotykałam jego ramienia, tak że mogłam czuć ciepło i miękkość skóry. W dotyku jego skóra była jak skóra każdego, ale światło nie odbijało się w ten sposób od żadnej innej.

- Myślałam o ojcu - powiedziałam.

- Co? - Doyle zwrócił do mnie głowę. Długie pióra musnęły jego szyję, łącząc się z czarnymi włosami, które tylko częściowo były związane. Oprócz małego kucyka, w który zebrane miał włosy z przodu, reszta włosów opadała pod peleryną luzem.

- Myślałam o medalach, które zdobył podczas drugiej wojny światowej.

Popatrzył na mnie, nie zwalniając kroku. Wydawał się rozbawiony.

- Dlaczego właśnie teraz?

Pokręciłam głową.

- Nie wiem. Chyba z powodu dawnej chwały. Kopce przypomniały mi Waszyngton. Całą tę energię i poczucie celu. Tutaj też tak kiedyś było.

Doyle spojrział w górę na kopce.

- A teraz jest cicho. Prawie martwo.

Uśmiechnęłam się.

- Wiem, że pod nami są setki, tysiące żywych istot.

- A jednak porównanie tych dwóch miast nappełniło cię smutkiem. Dlaczego?

Spojrzałam na niego, a on na mnie. Staliśmy w żółtym świetle, ale jego oczy mieniły się wieloma barwami. Były jasne i czyste. Zamknęłam oczy, czując się nagle skołowana i zdeorientowana.

- Ogarnął mnie smutek, bo pomyślałam sobie, że Waszyngton również może stać się kiedyś ruiną. To smutne, że dni chwały przeminęły dawno temu, jeszcze zanim tu przybyliśmy. - Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. Jego oczy znów były czarnymi zwierciadłami. - To smutne, że dni naszej chwały przeminęły, a to, że jesteśmy właśnie tutaj, tylko tego dowodzi.

- Wolalibyś, żebyśmy żyli wśród ludzi, pracowali z nimi, łączyli się z nimi w pary, jak ci spośród nas, którzy zostali w Europie? Nie są już istotami magicznymi, są przedstawicielami jeszcze jednej mniejszości etnicznej.

- Czy ja również jestem przedstawicielką mniejszości etnicznej?

Zasepił się. Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z mężczyzną, którego twarz wyrażałaby tak wiele emocji, a zarazem tak mało z nich umiałam rozszyfrować.

- Jesteś Księżniczką Ciała i pełnowartościową sidhe. Daję ci na to słowo.

- To prawdziwy komplement w twoich ustach. Wiem, jak wiele dla ciebie znaczy twoje słowo.

Przechylił głowę, uważnie mi się przyglądając. Jego włosy wysunęły się spod peleryny, opadając wolno, kiedy wyprostował szyję.

- Poczułem twoją moc, księżniczko, nie mogę temu zaprzeczyć.

- Nigdy nie widziałam twoich włosów nie związanych w kucyk. Nigdy ich nie widziałam rozpuszczonych - powiedziałam.

- Podobają ci się?

Nie spodziewałam się, że zapyta mnie o opinię. Nigdy nie słyszałam, żeby kogokolwiek pytał o opinię.

- Chyba tak, ale muszę zobaczyć włosy bez peleryny, żeby mieć pewność.

- Cóż prostszego? - powiedział i rozpiął pelerynę przy szyi. Pozwolił, żeby ześlizgnęła się na jedno ramię.

Od pasa w górę miał na sobie coś, co wyglądało jak skórzano-metalowa uprząż, choć jeśli miałyby to być zbroja, osłaniałaby więcej. Kolorowe światła tańczyły na jego mięśniach, jakby były wyrzeźbione w czarnym marmurze. W pasie i biodrach był szczupły, długie nogi okrywały skórzane spodnie. Były one obcisłe i włożone w czarne buty do kolan, zakończone paskami z małymi srebrnymi sprzączkami. Sprzączki były takie same, jak te przy paskach, które przykrywały górną część jego ciała. Srebro migotało na czarnej skórze. Jego włosy wisiały jak druga czarna peleryna, owiewając długimi pasami kostki i łydki. Wiatr przykleił pióra, które ozdabiały uszy, do jego ust.

- Patrzcie państwo, co za strój - powiedziałam, starając się, aby zabrzmiało to nonszalancko, ale mi się nie udało.

Wiatr przemknął obok nas, odgarniając włosy z mojej twarzy. Poruszył wysoką uschniętą trawę na pobliskim polu, tak że mogłam usłyszeć szept kolb kukurydzy. Wiatr sunął w dół alejki, pomiędzy kopcami, wirując wokół nas. To było echo magii Ziemi, która przywitała mnie, kiedy tego wieczoru weszłam na ziemię sidhe.

- Podobają ci się moje rozpuszczone włosy, księżniczko?

- Słucham? - spytałam.

- Powiedziałaś, że musisz je zobaczyć bez peleryny. Podobają ci się?

Skinęłam głową bez słowa. O tak, podobały mi się.

Doyle wpatrywał się we mnie i widziałam tylko jego oczy. Reszta jego twarzy była zagubiona w wietrze, piórach i ciemności. Pokręciłam głową i odwróciłam wzrok.

- To już drugi raz próbujesz mnie zauroczyć swoimi oczami. Co się dzieje?

- Królowa chciała, żebym sprawdził, czy działają na ciebie moje oczy. Zawsze mówiła, że są tym, co we mnie najlepsze.

Prześlizgnęłam się wzrokiem po mocnych wypukłościach jego ciała. Wiatr dmuchnął i nagle Doyle został złapany w chmurę swoich włosów, czarnych i miękkich, z prawie nagim ciałem nieomal wśród nich zagubionym - czarne na czarnym.

Podniosłam wzrok, żeby raz jeszcze spojrzeć mu w oczy.

- Jeśli moja ciotka uważa, że twoje oczy to najlepsze, co posiadasz, to... - Pokręciłam głową i westchnęłam. - Powiedzmy, że stosuje inne kryteria.

Roześmiał się. Doyle się roześmiał. Słyszałam już w Los Angeles, jak się śmieje, ale nie w ten sposób. To był dudniący śmiech, jak grzmot pioruna. To był dobry śmiech, serdeczny i głęboki. Odbijał się echem od kopców i wypełniał wietrzną noc radosnym dźwiękiem. Więc dlaczego serce waliło mi jak oszalałe? Palce mi drżały. Doyle nie powinien się śmiać, nie w taki sposób, nie on.

Wiatr ustał. Śmiech ucichł, ale jego blask pozostał na twarzy mężczyzny, sprawiając, że uśmiechał się on szeroko, odstaniając idealnie białe zęby.

Doyle narzucił pelerynę z powrotem na barki. Jeśli było mu bez niej zimno w tę październikową noc, nie okazywał tego. Zostawił pelerynę na jednym ramieniu i zaproponował mi swoją nagą rękę. Flirtował ze mną.

Zmarszczyłam brwi.

- Wydawało mi się, że już to przedyskutowaliśmy, i ustaliliśmy, że będziemy udawać, że ostatnia noc się nie wydarzyła.

- Przecież nie wspominałem o niej nawet słowem - zauważył nie bez ironii.

- Flirtujesz - powiedziałam.

- Gdyby to Galen tutaj stał, nie wahałabyś się nawet przez chwilę. - Rozbawienie zmieniło się w ciemny blask, który wypełnił jego oczy. Wciąż był rozbawiony, a ja nie wiedziałam dlaczego.

- Galen i ja przekomarzamy się ze sobą od niepamiętnych czasów. Aż do ostatniej nocy nie widziałam, żebyś się przekomarzał z kimkolwiek.

- Są cuda, które dopiero poznasz tej nocy, Meredith. Cuda bardziej zaskakujące niż ja z rozpuszczonymi włosami i bez koszulki w październikowy wieczór. - Teraz w jego głosie był ton, który miało wielu ze starszych, protekcyjny ton, który mówił, że jestem dzieckiem, że bez względu na to, ile mam lat, w porównaniu z nimi zawsze będę głupiutkim dzieciakiem.

Doyle był wobec mnie protekcyjny już przedtem. To było nieomal pocieszające.

- Jakiż może być większy cud niż Ciemność Królowej flirtująca z kobietą?

Pokręcił głową.

- Myślę, że królowa ma wieści, które sprawią, że cokolwiek bym teraz powiedział, wyda się to

nudne.

- Jakie wieści? - spytałam.

- Królowa będzie miała przyjemność ci je wyjawić, nie ja.

- Więc przestań robić aluzje - powiedziałam. - To do ciebie niepodobne.

Pokręcił głową i uśmiech znów zagościł na jego twarzy.

- Chyba rzeczywiście nie. Kiedy królowa wyjawi ci swoje wieści, wyjaśnię zmianę w swoim zachowaniu. - Jego twarz otrzeźwiała, powoli, stała się prawie zwykłą hebanową maską. - Wystarczy?

Spojrzałam na niego, przyglądając się jego twarzy, dopóki nie zniknęły z niej ostatnie oznaki rozbawienia. Skinęłam głową.

- Chyba tak.

Podał mi ramię.

- Odsuń się trochę, a wezmę cię pod ramię - powiedziałam.

- Dlaczego tak bardzo przeszkadza ci widok mojego odsłoniętego ciała?

- Nalegałeś, żebyśmy udawali, że ostatnia noc nigdy się nie wydarzyła, żeby o niej nie mówić, a teraz nagle zaczynasz flirtować. Co się stało?

- Jeśli powiedziałbym, że to pierścień na twoim palcu, zrozumiałabyś?

- Nie - odparłam.

Uśmiechnął się, tym razem łagodnie. Narzucił pelerynę z powrotem na ramiona, tak że tylko ręka wystawała spod grubej tkaniny.

- Lepiej?

Skinęłam głową.

- Tak, dziękuję.

- Weź mnie teraz pod ramię, księżniczko, i pozwól mi zaprowadzić cię przed oblicze królowej. - Jego głos był płaski, bez cienia emocji, wyzuty ze znaczeń. Zażęknęłam za emocjami sprzed kilku chwil. Teraz jego słowa były po prostu wypowiedane. Mogły znaczyć wiele albo zupełnie nic. Słowa bez emocji były bezużyteczne.

- Czy twój głos ma jakieś tony pomiędzy zupełną pustką a radosnym protekcjonalizmem? - spytałam.

Nieznaczny uśmiech wykrzywił mu usta.

- Spróbuję znaleźć... coś pomiędzy.

Wzięłam go ostrożnie pod ramię, peleryna oddzielała nas od siebie. - Dziękuję powiedziałam.

- Nie ma za co. - Głos był wciąż pusty, ale pojawił się w nim cień ciepła.

Doyle powiedział, że spróbuje znaleźć coś pomiędzy i już nad tym pracował. Niewyobrażalnie szybko.

Rozdział 26

Kamienna droga urywała się nagle w trawie. Podobnie jak ścieżki nie dochodziła ona do żadnego kopca. Staliśmy na jej końcu, a przed nami nie było nic prócz trawy. Trawy przydeptanej wieloma stopami, wydeptanej tak równo, że żadna z drózek nie wydawała się częściej uczęszczana niż inne. Kiedyś mówiono na nas „ukryci”. Może jesteśmy teraz atrakcją turystyczną, ale stare przyzwyczajenia trudno zmienić.

Czasami ludzie rozbijali obozy w tej okolicy, wypatrując nas przez lornetki, ale zwykle nie dane im było nic ujrzeć. Jeśli jednak ktoś patrzył właśnie teraz, niewykluczone, że nas widział.

Nawet nie próbowałam znaleźć drzwi. Doyle mógł nas wprowadzić do środka bez mojej pomocy. Drzwi zmieniały miejsce według własnego grafiku - lub może grafiku królowej. Jakkolwiek by było, drzwi czasami pojawiały się na końcu drogi, a czasami nie. Gdy będąc nastolatką, chciałam

wymknąć się w nocy i wrócić późno, modliłam się tylko, żeby w czasie mojej nieobecności drzwi się nie przesunęły. Zakłęcie potrzebne do tego, żeby je znaleźć, zaalarmowałoby strażników i wszystko by się wydało. Będąc nastolatką, nie mogłam powstrzymać się od podejrzeń, że te cholerne drzwi przesuwały się naumyślnie.

Doyle wszedł w trawę. Moje obcasy zatopiły się w miękkiej ziemi. Musiałam iść na palcach, żeby do reszty nie pobrudzić butów. Broń w kaburze przy kostce sprawiała, że chodziłam bardzo niezgrabnie. Cieszyłam się, że nie wybrałam butów na wyższych obcasach.

Kiedy zeszliliśmy z alejki, ciemność zaczęła się wydawać gęstsza niż wcześniej. Światła były przyciemnione, a każde światło dodaje ciemności wagi i materii. Mocniej przywarłam do ramienia Doyle'a, kiedy zostawialiśmy za sobą światło i wkraczaliśmy w wypełnioną gwiazdami ciemność.

Musiał to zauważyć, bo spytał:

- Przyświecić ci?

- Mogę wyczarować swoje własne błędne ogniki, dziękuję bardzo. Wzrok przyzwyczai się za chwilę.

Wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

Znów mówił beznamiętnie. Albo miał problem ze znalezieniem odpowiedniego tonu, albo po prostu inaczej nie umiał. Chyba jednak to drugie.

Do czasu, kiedy Doyle zatrzymał się, okrążywszy połowę kopca, moje oczy zdążyły się przyzwyczaić do zimnego światła gwiazd i wschodzącego księżyca.

Doyle wpatrywał się w ziemię. Jego magia owionęła mnie ciepłem, kiedy koncentrował się na kopcu. Wpatrzyłam się w porośniętą trawą ziemię. Ten jej kawałek wyglądał jak każdy inny.

Wiatr wiał wśród traw, jak palce przebierające w pudełku koronek. Sucha jesienna trawa szeleściła na wietrze, ale z oddali dobiegała muzyka. Tak cicha, że nie można było rozpoznać melodii ani nawet mieć całkowitej pewności, że się cokolwiek słyszy. Była to jednak wskazówka, że stało się niedaleko wejścia. Coś w rodzaju upiornego dzwonka do drzwi czy magicznej zabawy w „zimno-gorąco”. Kiedy nie słyszało się muzyki, oznaczało to „zimno”.

Doyle przesunął ręką po trawie kopca. Nigdy nie byłam pewna, czy trawa się rozstępowała, czy drzwi pojawiały się ponad nią, a ona wciąż tam była, pod spodem, w jakiejś metafizycznej przestrzeni. Tak czy owak, w kopcu pojawiły się okrągłe drzwi. Były dokładnie takiej wielkości, żebyśmy mogli przez nie przejść. Światło wypełniało otwór. Jeśli zachodziła potrzeba, wejście było tak duże, że można byłoby przejechać przez nie czołgiem, tak jakby wyczuwało, jakiej ma być wielkości.

Światło wydawało się jaśniejsze, niż naprawdę było, bo moje oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Było białe, ale nieostre. Dobywało się zza drzwi jak świecąca mgła.

- Za tobą, moja księżniczko - powiedział Doyle, kłaniając się.

Chciałam wrócić do domu, ale kiedy popatrzyłam na błyszczące wzgórze, pomyślałam sobie, że dziura w ziemi wygląda zawsze tak samo, bez względu na to, czy jest to kopiec sidhe czy grób. Nie wiem, czemu nagle przyszło mi to do głowy. Może z powodu zamachu. Może to tylko moje nerwy. Weszłam do środka.

Stanełam w dużym kamiennym korytarzu. Wystarczająco dużym, żeby przejechał nim bez problemu czołg albo przeszedł, bez nabijania sobie guza, troll. Korytarz był zawsze duży, bez względu na to, jakie były akurat drzwi. Doyle dołączył do mnie i drzwi zniknęły za nim. Po prostu zmieniły się w szarą kamienną ścianę. Wejście do kopca było ukryte zarówno od zewnątrz, jak i od wewnątrz. Jeśli królowa sobie tego życzyła, drzwi z tej strony w ogóle mogły się nie pojawić. Bardzo łatwo było się

zmienić tutaj z gościa w więźnia. Myśl ta nie była zbyt pocieszająca.

Światło, które wypełniało korytarz, dochodziło nie wiadomo skąd. Szara skała wyglądała na granit, co oznaczało, że nie pochodziła z St. Louis. Skały w tych okolicach są czerwone lub czerwone, nie szare. Obecnie nawet kamień importujemy.

Słyszałam, że kiedyś pod ziemią były całe światy. Łąki, sady, słońce i księżyc. Widziałam umierające sady i ogrody kwiatowe z ledwie kilkoma kwiatami, ale nie widziałam słońca ani księżyca. Komnaty były większe i mniej owalne, niż powinny być, a rozkład zdawał się zmieniać bez ładu i składu. Czasami można był odnieść wrażenie, że jest się w gabinecie luster, w którym lustro zastąpiono kamiennymi ścianami. Nie ma też żadnych łąk, w każdym razie ja ich nie widziałam. Chciałabym, żeby coś przede mną ukrywano. Przynajmniej miałabym powód do zdziwienia. Według mnie pod ziemią nie było jednak żadnych ukrytych światów, tylko skały i komnaty.

Doyle podał mi ramię, bardzo oficjalnie. Wzięłam go pod rękę, prawie z przyzwyczajenia.

Korytarz ostro zakręcał. Usłyszałam zbliżające się do nas głośne kroki. Doyle delikatnie pociągnął mnie za rękę. Zatrzymałam się i spojrzałam na niego.

- O co chodzi? - spytałam.

Chwycił skraj mojej sukienki i podniósł ją, obnażając moje kostki i pistolet.

- To nie obcasy sprawiały, że nie mogłaś utrzymać równowagi na kamiennej ścieżce, księżniczko. - Był na mnie wściekły.

- Mam pozwolenie na broń.

- Żadnej broni wewnątrz kopca - powiedział.

- Od kiedy?

- Od czasu, kiedy zabiłaś Bleddyna.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, potem próbowałam się odsunąć, ale jego ręka zamknęła się na moim nadgarstku.

Słyszając zbliżające się kroki, Doyle przyciągnął mnie do siebie, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążył.

Staliśmy na widoku. Doyle przyciągający mnie do siebie, z ręką na moim nadgarstku. Wyglądało to na przerwana walkę lub jej początek.

Dwaj mężczyźni, którzy wyszli z za rogu, rozeszli się na dwie strony, tak żeby było miejsce na walkę. Spojrzałam na Doyle'a, starając się w tym spojrzeniu zawrzeć prośbę. Błagałam go oczami, żeby nie mówił o pistolecie i żeby go nie zabierał.

Przystawił usta do mojego policzka i wyszeptał:

- Nie będziesz jej potrzebowała.

- Dasz mi na to swoje słowo?

Spojrzał na mnie ze złością. - Nie mogę odpowiadać za kaprysy królowej.

- Więc pozwól mi zatrzymać broń - wyszeptałam.

Ruszył się, żeby stanąć między mną a strażnikami. Wciąż trzymał mnie za ramię. Mężczyźni widzieli tylko poruszenie jego peleryny.

- Co się dzieje? - zapytał jeden z nich.

- Nic takiego - odpowiedział Doyle. Ale złapał mnie za drugi nadgarstek. Jego dłonie nie były zbyt duże i żeby utrzymać chwyt, musiał mocno ścisnąć moje nadgarstki. Bolało. Walczyłabym, gdybym uważała, że mam szansę ucieczki. Ale nawet gdybym uciekła, Doyle widział już pistolet. Nic nie mogłam zrobić, więc dałam za wygraną. Nie byłam jednak zadowolona.

Doyle pociągnął mnie drugą ręką na ziemię. Oprócz tego, że mocno trzymał moje nadgarstki, zrobił to delikatnie. Uklęknął, peleryna wciąż zasłaniała nas przed mężczyznami. Kiedy jego ręka

powędrowała nad moją nogę, zbliżając się do pistoletu, pomyślałam o kopnięciu go, ale nie miało to sensu. Mógł bez wysiłku zgnieść mi nadgarstki. Broń mogłam dostać z powrotem jeszcze tego wieczoru. Jeśli zgniótlby mi nadgarstki, moje szanse równe były zeru. Wyciągnął pistolet z kabury na kostce. Usiadłam, pozwalając, żeby to zrobił. Pozostałam bierna w jego uścisku, pozwalając, żeby ruszał moim ciałem tak, jak chciał. Tylko moje oczy nie były bierne - nie mogłam pozbyć się z nich złości. Nie, ja chciałam, żeby zobaczył w nich złość.

Puścił mnie i wsunął broń za pasek z tyłu, chociaż skórzane spodnie były tak obcisłe, że nie mogło mu być zbyt wygodnie. Miałam nadzieję, że pistolet wbije mu się w plecy aż do krwi.

Pomógł mi wstać. Potem się odwrócił, ukazując mnie strażnikom, trzymając za rękę, jakbyśmy mieli zejść po wielkich marmurowych schodach. Dziwny gest jak na szary korytarz i to, co się właśnie wydarzyło. Uświadomiłam sobie, że Doyle był niespokojny z powodu pistoletu, a może zastanawiał się, czy mam jeszcze mini broń. Był bardzo zdenerwowany, choć starał się tego nie ukazywać.

- Małe nieporozumienie, nic więcej - powiedział.

- Z jakiego powodu? - rozległ się głos. To był Mróz, bezpośredni podwładny Doyle'a. Oprócz tego, że obaj byli wysocy, nie mogli się bardziej różnić. Mróz miał włosy do kostek srebrne, błyszczące jak łańcuch na choince. Jego skóra była tak biała jak moja. Oczy - szare jak zimowe niebo przed burzą. Jego twarz była kanciasta, ale przystojna. W ramionach był nieco szerszy od Doyle'a.

Miał na sobie srebrną kamizelkę, która sięgała mu prawie do kolan, i srebrne spodnie włożone w srebrne wysokie buty. Jego pas był wybitny perłami i diamentami. Pasował do ciężkiego łańcucha, który ozdabiał jego szyję. Mróz błyszczał, jakby był wyrzeźbiony z jednego kawałka srebra, bardziej przypominając pomnik niż żywego mężczyznę. Ale miecz u jego boku z rękojeścią ze srebra i kości był jak najbardziej prawdziwy, a z pewnością nie była to jego jedyna broń. Nie bez powodu królowa nazwała go Zabójczym Mrozem. Jeśli kiedyś miał inne imię, nic mi o tym nie wiadomo. Nie nosił żadnych magicznych czy zaklętych broni

- uważał, że to tak, jakby był nie uzbrojony.

Patrzył na mnie podejrzliwie szarymi oczami.

Musiałam czymś wypełnić tę ciszę. Potrzebowaliśmy oddechu. Uwolniłam się z uścisku Doyle'a i zrobiłam krok do przodu.

- Cóż za odważny strój.

Mój głos był silny, pełen drwiny.

Jego palce pobiegły do krawędzi tuniki, zanim się powstrzymał. Zmarszczył brwi.

- Księżniczka Meredith, jak miło cię widzieć. - Niewielka zmiana w tonie głosu sprawiła, że jego grzeczne słowa zostały zabarwione szyderstwem.

Nic mnie to nie obchodziło. Ważne, że nie zwrócił uwagi na to co schował Doyle. Właśnie to chciałam osiągnąć.

- A co powiesz o moim stroju? - spytał Rhys.

Odwróciłam się, żeby zobaczyć trzeciego z moich ulubionych strażników. Nie ufałam mu tak jak Barinthusowi i Galenowi. Było w nim coś słabego, coś, co sprawiało, że podejrzewałeś, że nie zginąłby w obronie twojego honoru, ale w innych sytuacjach można było na nim polegać.

Przewiesił pelerynę i długie do pasa, białe falowane włosy przez jedno ramię, tak że miałam okazję podziwiać całe jego ciało. Rhys miał zaledwie pięć stóp wzrostu - o stopę za mało na strażnika. Z tego, co wiedziałam, był jednak sidhe pełnej krwi. Po prostu był niski. Jego ciało osłaniał biały kombinezon - tak obcisły, że od razu było widać, że nie miał nic pod spodem. Wokół kołnierzyka i na końcach lekko rozszerzanych długich rękawów oraz wokół wycięcia, które ukazywało mięśnie jego brzucha jak dekolt piersi u kobiety, biegł biały haft.

Poprawił pelerynę i włosy. Uśmiechnął się szeroko. Pasowały do okrągłej, chłopięco przystojnej twarzy i jednego bladoniebieskiego oka. Jego oko miało trzy odcienie niebieskiego: wokół źrenicy - barwę kwiatu kukurydzy, potem błękit wiosennego nieba i na końcu szarość zimowego. Tam, gdzie powinien mieć drugie oko, pozostały jedynie blizny. Górna prawa część jego twarzy poznaczona była śladami pazurów. Jeden ślad przecinał, w innych miejscach doskonałą, twarz od nasady nosa aż do lewego policzka. Opowiedział mi kilkanaście różnych historii na temat tego, jak stracił oko. Wielkie bitwy, olbrzymy, smok albo dwa. Wydaje mi, się, że to blizny sprawiły, że tak bardzo dbał o swoje ciało. Mimo niskiego wzrostu każdy cal jego ciała był umięśniony.

Pokręciłam głową.

- Nie mogę się zdecydować, czy wyglądasz bardziej jak gwiazda porno, czy superman. Mógłbyś występować w reklamach przyrządów gimnastycznych.

- Tysiąc brzuszków dziennie czyni cuda - powiedział, przesuwając dłonią po brzuchu.

- Każdy ma jakieś hobby.

- Gdzie twój miecz? - spytał Doyle.

Rhys spojrzał na niego.

- Tam gdzie i twój. Królowa powiedziała, że nie będą nam dzisiaj potrzebne.

- A on? - spytał Doyle, patrząc na Mroza.

Rhys odpowiedział z uśmiechem, który sprawił, że jego niebieskie oko błysnęło.

- Na razie może mieć ten jeden miecz. Ale i tak, zgodnie z rozkazem królowej, będzie go musiał zostawić i przebrać się na bankiet.

- Nie uważam, żeby to było rozsądne z jej strony - powiedział Mróz.

- Ja też nie - przyznał Doyle - ale to ona jest królową i musimy wykonywać jej rozkazy.

Mróz zmarszczył brwi. Gdyby był człowiekiem, miałby już zmarszczki mimiczne, ale jego twarz była gładka i taka na zawsze pozostanie.

- Rozumiem, że ma być bankiet, ale dlaczego macie na sobie takie... - Rozłożyłam ręce, próbując znaleźć wyrażenie, które nie byłoby obraźliwe.

- Królowa osobiście zaprojektowała mój strój - powiedział Rhys.

- Jest przepiękny - stwierdziłam.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Ciekawe, co powiesz, kiedy zobaczysz pozostałych strażników.

Moje oczy rozszerzyły się.

- Tylko mi nie mów, że znowu bierze hormony.

Rhys skinął głową.

- Hormony zamieniają ją w nimfomankę. - Spojrzał w dół na swoje ubranie. - Ten strój jest tak obcisły, że nie ma gdzie palca włożyć.

- Który palec masz na myśli?

Spojrzał na mnie z prawdziwie nieszczęśliwym wyrazem twarzy. Nie chciał, żeby jego słowa zabrzmiały dwuznacznie. Jego smutna mina sprawiła, że przestałam się uśmiechać.

- Królowa jest naszą przełożoną. Ona wie lepiej - powiedział Mróz.

Zaśmiałam się, zanim zdołałam się powstrzymać.

Wyraz twarzy Mroza sprawił, że zaczęłam żałować swojego zachowania. Na ułamek sekundy przestał się kontrolować i w jego oczach pojawił się ból. Patrzyłam, jak nakłada z powrotem maskę, jak zamyka oczy, żeby nic w nich nie było widać. Ale wiedziałam już, co kryje się za tą fasadą rygorystycznej moralności i arogancji.

Nigdy go nie lubiłam, ale to jedno spojrzenie sprawiło, że nie mogłam już go nie lubić. Cholera.

- Nie mówmy już o tym - powiedział. Odwrócił się i ruszył korytarzem. - Królowa na ciebie czeka. - Nawet się nie obejrzał, żeby sprawdzić, czy za nim idziemy.

Rhys podszedł i wziął mnie w ramiona. - Cieszę się, że wróciłaś.

Pochyliłam się do niego na krótko: - Dziękuję.

Potrząsnął mną nieco. - Tęskniłem za tobą, Zielonooka.

Rhys, tak jak Galen, mówił bardziej współczesnym językiem niż inni. Uwielbiał slang. Jego ulubionym autorem był Dashiell Hammett, ulubionym filmem *Sokół maltański* z Humphreym Bogartem. Rhys miał dom poza kopcami. Miał elektryczność i telewizor. Spędziłam wiele weekendów w tym domu. Puszczal mi stare filmy, a kiedy miałam szesnaście lat, pojechaliśmy na festiwal filmu noir do Tivoli w St. Louis. Miał na sobie prochowiec. Dla mnie również znalazł strój z epoki, żebym mogła uwiesić się na jego ramieniu jak femme fatale.

Rhys w czasie tej wyprawy dał mi do zrozumienia, że uważa mnie za kogoś więcej niż tylko młodszą siostrę. Nie zrobił nic, co mogłoby być dla nas groźne, ale zarazem wystarczająco dużo, żeby była to prawdziwa randka. Potem zaś moja ciotka zrobiła wszystko, żebyśmy nie spędzali razem zbyt wiele czasu. Galen i ja flirtowaliśmy ze sobą bez przerwy, ale królowa zdawała się ufać Galenowi tak jak i ja. Żadna z nas jednak nie ufała zbytnio Rhysowi.

Rhys zaproponował mi swoje ramię.

Doyle stanął po mojej drugiej stronie. Myślałam, że również weźmie mnie pod ramię, żebym mogła ich mieć po obu stronach. Jednak powiedział tylko: - Idź korytarzem i poczekaj na nas.

Mróz klóciłby się, a może nawet by odmówił, ale nie Rhys. - To ty jesteś kapitanem straży - powiedział. To była odpowiedź dobrego żołnierza. Poszedł za róg, a Doyle odwrócił się za nim razem ze mną, trzymając rękę na moim ramieniu, ale odczekał, aż tamten odejdzie na taką odległość, żeby nie mógł nas słyszeć. Potem Doyle odwrócił się z powrotem.

Jego dłoń zacisnęła się mocniej na moim ramieniu. - Co jeszcze ze sobą masz?

- Uwierzysz mi na słowo? - spytałam.

- Jeśli dasz mi słowo, zaufam ci - odpowiedział.

- Wyjechałam, bo bałam się o swoje życie. Muszę mieć możliwość w razie czego się obronić.

Jego dłoń jeszcze bardziej się zacisnęła i lekko mną potrząsnął.

- Ochranianie dworu, a zwłaszcza królowej, to mój obowiązek.

- A moim obowiązkiem jest ochranianie siebie - powiedziałam.

Jeszcze bardziej ściszył głos. - Nie, to mój obowiązek. Obowiązek wszystkich strażników.

Pokręciłam głową.

- Nie, ty jesteś strażnikiem królowej. Strażniczki króla chronią Cella. Księżniczka nie ma swoich strażników. Dorastałam z tą wiadomością.

- Zawsze miałaś swoich ochroniarzy, tak jak i twój ojciec.

- I zobacz, jak bardzo mu to pomogło - powiedziałam.

Złapał mnie za drugie ramię, zmuszając, żebym stanęła na palcach.

- Chcę, żebyś przeżyła, Meredith. Weź to, co ona ci dziś da Nie próbuj jej zranić.

- A jeśli nie wezmę, to co? Zabijesz mnie?

Jego dłonie rozluźniły uścisk i postawił mnie z powrotem na kamieniach. - Daj mi słowo, że to była twoja jedyna broń a uwierzę ci.

Patrząc na tę jego szczerą twarz, nie mogłam tego zrobić. Nie potrafiłam go okłamać, nie mogłam przysiąc. Popatrzyłam na ziemię, a potem na jego twarz. - Słowo dziadka bałachowca.

Uśmiechnął się.

- Czyli masz też inną broń.

- Nie mogę tam wejść nie uzbrojona. Po prostu nie mogę.

- Jeden ze strażników będzie przy tobie przez cały czas - to mogę ci zagwarantować.

- Królowa jest dzisiaj bardzo ostrożna. Nie przepadam za Mrozem, ale do pewnego stopnia mogę mu zaufać. Wysłała po mnie tylko tych strażników, których lubię albo przynajmniej im ufam. Strażników jest jednak dwudziestu siedmiu i tyle też jest strażniczek. Ufam może sześciu albo dziesięciu z nich. Reszta mnie przeraża albo w przeszłości już mnie skrzywdziła. Nie będę tu chodziła bez broni.

- Wiesz, że mogę ci ją zabrać. Skinęłam głową. - Wiem.

- Powiedz mi, co masz. Może od tego zaczniemy.

Powiedziałam mu o wszystkim. Spodziewałam się, że będzie chciał mnie przeszukać, ale nie zrobił tego. Zaufał mojemu słowu. Ucieszyłam się, że niczego przed nim nie zataiłam.

- Zrozum, Meredith. Jestem przede wszystkim strażnikiem królowej. Jeśli będziesz próbowała ją zranić, wkroczę do akcji.

- Czy mogę się bronić?

Myślał o tym przez chwilę.

- Na pewno bym cię nie zabił, gdybyś musiała to zrobić. Jesteś śmiertelna, a nasza królowa nie. Jesteś delikatniejsza od niej. - Obliznął wargi i pokręcił głową. - Miejmy nadzieję, że nie będę musiał wybierać między wami dwiema. Ale nie sądzę, żeby dzisiaj planowała coś przeciwko tobie.

- To, co moja najdroższa ciotka planuje, a co dzieje się w rzeczywistości, to niekoniecznie to samo. Wszyscy o tym wiemy.

Pokręcił znowu głową.

- Być może. - Podał mi ramię. - Idziemy?

Wzięłam go delikatnie pod ramię, a on poprowadził mnie za róg cierpliwie czekającego Rhysa. Rhys patrzył, jak idziemy w jego kierunku, a na jego twarzy była powaga, która mi się nie podobała.

Myślał o czymś.

- Nie myśl tak dużo. To może ci zaszkodzić - powiedziałam.

Uśmiechnął się, przymykając oko, ale kiedy je otworzył, jego wzrok nadal był poważny.

- Co masz zamiar dziś robić, Merry?

To pytanie mnie zaskoczyło. Nawet nie próbowałam ukryć zdziwienia.

- Mój plan na dzisiejszy wieczór to przeżyć i nie zostać zranioną. To wszystko.

- Jego oczy zwęziły się. - Wierzę ci - powiedział, ale w jego głosie było niedowierzenie. Potem uśmiechnął się i dodał: - Ja pierwszy zaproponowałem jej moje ramię, Doyle. Co mi się tu wtryniasz?

Doyle chciał coś powiedzieć, ale uprzedziłam go. - Mam dwie ręce.

Uśmiechnął się szerzej. Podał mi swoje ramię, a ja je przyjąłam. Kiedy dotknęłam jego rękawa, uświadomiłam sobie, że to była moja prawa ręka - ta z pierścieniem. Ale pierścień nie zareagował na Rhysa.

Gdy Rhys go zobaczył, oczy mu się rozszerzyły.

- To jest...

- Owszem - potwierdził cicho Doyle.

- Ale... - zaczął Rhys.

- Tak - powiedział Doyle.

- Co? - spytałam.

- Wszystko w swoim czasie - zbył moje pytanie Doyle.

- Od tajemnic boli mnie głowa - powiedziałam.

- Więc kup buteleczkę aspiryny, kochanie, bo noc jest jeszcze młoda - odparł Rhys głosem Bogarta.

Spojrzałam na niego. - Nie przypominam sobie, żeby Bogart wypowiedział tę kwestię w jakimkolwiek filmie.

- Bo nie wypowiedział - przyznał Rhys swoim normalnym głosem. Improvizowałem.

Ścisnęłam lekko jego dłoń. - Chyba się za tobą stęskniłam.

- Wiem, że ja na pewno stęskniłem się za tobą. Nikt inny na dworze nie wie, co to jest film noir.

- Ja wiem - powiedział Doyle.

Oboje spojrzeliśmy na niego.

- To ciemny film, prawda?

Rhys i ja spojrzeliśmy po sobie i zaczęliśmy się śmiać. Szliśmy korytarzem, a nasz śmiech odbijał się od ścian. Doyle nie przyłączył się do nas. Wlókł się z tyłu i powtarzał: - Co ja takiego powiedziałem? Przecież *noir* to „ciemny”, prawda?

Te kilka ostatnich metrów, które dzieliły nas od prywatnych komnat mojej ciotki, przebyliśmy w prawie dobrym humorze.

Rozdział 27

Podwójne drzwi otworzyły się przed nami. Komnata mojej ciotki, komnata mojej królowej, była zrobiona z czarnego kamienia, błyszczącego prawie jak szkło, który wyglądał, jakby mógł pęknąć pod mocniejszym dotknięciem. Można jednak było uderzyć w niego stalowym mieczem, a on ledwie by się kolorowo zaiskrzył. Wyglądał jak obsydian, ale był nieskończenie mocniejszy.

Mróz stał przy samych drzwiach, daleko od królowej. Wyprostowana, błyszcząca, srebrna postać w czerni. Odniosłam wrażenie, że jest tak blisko drzwi z jakiegoś powodu może żeby szybciej uciec.

Pod przeciwległą ścianą stało łóżko, choć było tak przykryte pościelą, kocami a nawet futrami, że właściwie trudno było orzec, czy było to łóżko, czy gigantyczna sterta nakryć. W łóżku leżał mężczyzna, młody mężczyzna. Blondynek, z włosami dłuższymi na górze i krótszymi na dole głowy - fryzura skatera. Był opalony na złoty kolor - mogła to być pozostałość po lecie, ale równie dobrze efekt chodzenia do solarium. Jedno szczupłe ramię wynurzyło się spod narzut, ręka leżała bezwładnie. Wydawał się głęboko uśpiony i przeraźliwie młody. Jeśli nie miał osiemnastu lat, ciotka złamała prawo. Była istotą magiczną, a ludzie nie zawierzali nam w sprawach swych dzieci.

Królowa podniosła się z drugiej strony łóżka, wynurzając się powoli ze sterty przykryć i czarnego futra, które było tylko nieco ciemniejsze od włosów otaczających jej bladą twarz. Włosy miała związane na czubku głowy w coś, co przypominało czarną koronę oprócz trzech loków, które spływały po jej plecach. Góra sukienki wyglądała jak czarny winylowy gorset z dwiema cienkimi liniami przezroczystej czarnej materii, która bardziej ozdabiała jej białe ramiona, niż je przykrywała. Spódnica była gruba, spływała za nią krótkim trenem; wyglądała jak błyszcząca skóra, ale ruszała się jak materiał. Na rękach królowa miała długie skórzane rękawiczki. Jej usta były czerwone, a makijaż oczu ciemny i perfekcyjny. Oczy miały kolor trzech odcieni szarości, od grafitu, przez burzową chmurę, do bladego zimowego nieba. Ostatni kolor był szarością tak bladą, że wyglądał jak biały. Z tym makijażem jej oczy wyglądały niezmiernie.

Kiedyś królowa mogła się ubierać w pajęczyny, ciemność, cienie, wszystko to formowało się na jej rozkaz w ubranie. Obecnie jednak ubierała się w stroje od projektantów mody i u swojego krawca. To była kolejna oznaka tego, jak nisko upadliśmy. Mój wuj, król Dworu Seelie, mógł nadal ubierać się w światło i iluzję. Niektórzy uważali, że to dowodzi, że Dwór Seelie był silniejszy od Unseelie. Nikt jednak nigdy nie ośmielił się powiedzieć tego przy ciotce.

Kiedy wstała, ujrzałam drugiego mężczyznę, tym razem sidhe. To był Eamon, królewski małżonek. Jego włosy były czarne i spadały grubymi pasami wokół jego białej twarzy. Miał podpuchnięte powieki - albo od snu... albo od innych rzeczy.

Mróz i Rhys pospieszyli do królowej. Wzięli ją za ręce i przenieśli ponad blondynem. Czarna spódnica zawirowała wokół niej, ukazując przez chwilę warstwy czarnych halek i parę czarnych skórzanych sandałów. Kiedy ją podnieśli i z gracją postawili na podłodze, prawie się spodziewałam, że zabrzmie muzyka i pojawią się tancerze. Moja ciotka z pewnością miała dar iluzji.

Opadłam na jedno kolano, a moja sukienka była na tyle dobrze skrojona, żeby uczynić ten gest pełnym gracji. Materiał powróci na swoje miejsce sam, kiedy już wstanę, co było jednym z powodów, dla którego wybrałam tę sukienkę. Widać było, że pod burgundowym materiałem mam podwiązkę, ale nie sposób było ujrzeć ukrytego pod nią noża. Nie pochyliłam głowy. Zgadywałam, że królowa chce, żebym oglądała ją w pełnej krasie.

Andais była wysoką kobietą, nawet jak na dzisiejsze standardy: miała sześć stóp wzrostu. Jej skóra błyszczała jak wypolerowany alabaster. Odcinały się od niej wyraźnie czarne brwi i takie same rzęsy.

W końcu się skłoniłam, bo tego ode mnie oczekiwano. Trzymałam głowę pochyloną tak nisko, że widziałam tylko podłogę i swoją nogę. Usłyszałam szelest jej spódnicy. Kiedy przeszła z dywanika na kamienną podłogę, jej obcasy zastukały. Nie rozumiałam, dlaczego nie miała dywanu zajmującego całą komnatę. Halki fałdowały i szeleściły, kiedy szła do mnie, i wiedziałam, że to była krynolina - drapiąca i nieprzyjemna na skórze.

W końcu rąbek czarnej spódnicy pojawił się na podłodze przy mojej stopie.

- Witaj, księżniczko Meredith NicEssus, dziecko Pokoju, zmoro Besaby, córko mojego brata - powiedziała królowa niskim, zmysłowym głosem.

Wciąż trzymałam głowę pochyloną. Nie mogłam jej podnieść, dopóki ona nie każe mi tego zrobić. Nie nazwała mnie bratanicą, choć potwierdziła nasze pokrewieństwo. To było lekko obraźliwe; poza tym dopóki nie nazwała mnie bratanicą, nie mogłam jej nazywać ciotką.

- Witaj, Królowo Andais, królowo Powietrza i Ciemności, Miłośniczko Białego Ciała, sestro Essusa, mojego ojca. Przybyłam na twoje życzenie z zachodnich krain. Czego sobie życzysz?

- Nigdy nie rozumiałam, jak ci się to udaje - powiedziała.

Wciąż trzymałam głowę opuszczoną.

- Co, moja królowo?

- Jak ci się udaje mówić właściwe słowa właściwym tonem, a mimo to sprawiać wrażenie nieszczerzej, jakby cię to bardzo męczyło.

- Przepraszam, jeśli cię obraziłam, pani. - To była bezpieczna odpowiedź. Rzeczywiście bardzo mnie męczyło całe to udawanie. Nie chciałam jednak, żeby to tak bardzo uwidoczniło się w moim głosie. Cały czas klęczałam z opuszczoną głową, czekając, aż powie, że mogę wstać. Dwucalowe obcasy nie nadawały się do długiego klęczenia. Trudno było się nie chwiać. Andais dla własnego kaprysu mogła mi tak kazać klęczeć przez całe godziny. Mój rekord klęczenia wynosił sześć godzin - miałam wtedy siedemnaście lat i wróciłam za późno do domu. Trwałoby to dłużej, ale zasnęłam albo może zemdlałam - nie byłam pewna.

- Obcięłaś włosy - powiedziała królowa.

Zdążyłam już zapamiętać wzór posadzki.

- Tak, pani.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Włosy prawie do kostek oznaczają, że jest się sidhe wysokiego rodu. A ja chciałam uchodzić za człowieka.

Poczułam, że się nade mną pochyła, jej dłoń zanurzyła się w moich włosach.

- Poświęciłaś swoje włosy.

- Łatwiej o nie dbać, kiedy są krótsze - powiedziałam tak beznamiętnie, jak tylko potrafiłam.

- Powstań, moja bratanico.

Podniosłam się powoli, ostrożnie na wysokich obcasach.

- Dziękuję, ciociu Andais.

Byłam przy niej przerażająco niska. W butach na obcasach była ponad stopę wyższa ode mnie. Przez większość czasu nie mam świadomości tego, że jestem niska, ale moja ciotka zawsze starała się mi o tym przypomnieć. Chciała, żebym czuła się mała.

Spojrzałam na nią i zwalczyłam pokusę, żeby pokręcić głową i westchnąć. Obok Cela Andais była moim najmniej ulubionym członkiem Dworu Unseelie. Spojrzałam na nią spokojnie, starając się nie westchnąć głośno.

- Czy ja cię nudzę? - spytała.

- Nie, ciociu Andais, oczywiście, że nie. - Wyraz mojej twarzy mnie nie zdradził. Przez całe lata ćwiczyłam ten uprzejmy, nic nie mówiący wyraz twarzy. Z drugiej jednak strony, Andais przez całe wieki doskonaliła swe studia nad ludźmi. Nie mogła czytać w naszych myślach, ale jej umiejętność wychwytywania drobnych zmian w języku ciała, oddechu, była prawie tak dobra jak telepatia.

Andais patrzyła na mnie, marszcząc swe doskonale brwi.

- Eamonie, idź z naszym zwierzątkiem do innej komnaty. Niech was ubiorą na bankiet.

Królewski małżonek narzucił na siebie purpurową brokatową szatę, zanim wyszedł z łóżka. Włosy sięgały mu prawie do kostek. Ciemna purpurowa szata służyła nie tyle do przykrycia jego ciała, ale raczej do wyeksponowania miejsc, które przykryte nie były.

Uklonił mi się nieznacznie, kiedy koło mnie przechodził. Odkłoniłam się. Pocałował delikatnie Andais w policzek i poszedł do małych drzwi, które prowadziły do mniejszej sypialni i łazienki. Jedynym nowoczesnym udogodnieniem, jakie dwór zaakceptował, była kanalizacja.

Nagi blondynek usiadł na brzegu łóżka. Wstał i przeciągnął się, zerkając przy tym na mnie. Kiedy uświadomił sobie, że patrzę, uśmiechnął się. Uśmiech był drapieżny, lubieżny, agresywny. Ludzkie zwierzątka zawsze źle rozumiały niezobowiązującą nagość sidhe.

Blondynek podszedł do nas, kręcąc biodrami. Dwuznaczność była w pełni zamierzona. To jednak nie jego nagość sprawiała, że czułam się nieswojo. To spojrzenie jego oczu.

- Chyba jest tu nowy - powiedziałam.

Andais patrzyła na mężczyznę zimnym wzrokiem. Musiał być bardzo nowy, skoro nie zrozumiał, co oznacza to spojrzenie. Nie była z niego zadowolona, zupełnie.

- Powiedz mu, co myślisz o jego występie, bratanico. - Jej głos był bardzo cichy, ale można było wyczuć w nim jakiś podtekst - jak coś gorzkiego pośród słodczy.

Obejrzałam go od stóp do głów. Uśmiechnął się, przybliżając się, jakby moje spojrzenie było zachętą. Postanowiłam zmasać ten uśmieszek z jego twarzy.

- Jest młody, ładniusi, ale Eamon jest lepiej wyposażony.

To go trochę otrzeźwiło. Zmarszczył brwi. Gdy po chwili uśmiech powrócił na jego twarz, nie był już taki arogancki.

- Nie sędzę, żeby wiedział, co znaczy „wyposażony” - powiedziała Andais.

Spojrzałam na nią.

- Nigdy nie wybierałaś ich ze względu na inteligencję - powiedziałam.

- Nie rozmawia się ze zwierzątkami, Meredith. Powinnaś już o tym wiedzieć.

- Gdybym chciała mieć zwierzątko, sprawiłabym sobie psa. To... - pokazałam na mężczyznę - byłoby dla mnie trochę zbyt kosztowne w utrzymaniu.

Mężczyzna zmarszczył brwi, patrząc to na jedną, to na drugą z nas, najwyraźniej nieszczęśliwy i

zdezorientowany. Andais zdawała się nie pamiętać o jednej z najważniejszych dla mnie zasad dotyczących seksu. Bez względu na to, jak jesteś ostrożna, możesz zajść w ciążę. Przecież w końcu do tego seks został stworzony. Więc nigdy nie śpij z kimś, kto jest wredny, głupi lub brzydki, bo wszystkie te cechy mogą się przenieść na jego potomków. Blondynek był ładniutki, ale nie na tyle ładny, żeby nadrobić tym to zmarszczenie brwi.

- Idź do Eamona. Pomóż mu się ubrać na bankiet - powiedziała Andais.

- Pani, czy ja też mogę przyjść na bankiet? - spytał.

- Nie - odparła. Odwróciła się do mnie, jakby blondyn przestał istnieć.

Znowu na mnie spojrzał i była w tym spojrzeniu obrażona złość. Wiedział, że go obraziłam, ale nie był pewien jak. Zadrżałam pod wpływem tego spojrzenia. Na Dworze były istoty dużo mniej ładne niż to nowe zwierzątko, z którymi wołałabym się przespać.

- Nie podoba ci się - powiedziała.

- Nie ośmieliłabym się podawać w wątpliwość dobrego gustu mojej królowej odparłam.

Roześmiała się.

- Znowu to samo, mówiąc dokładnie to, co powinnaś powiedzieć, sprawiasz, że brzmi to jak obraza.

- Wybacz mi - odrzekłam i zgięłam kolana, żeby uklęknąć.

Powstrzymała mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

- Nie, Meredith, nie rób tego. Noc nie będzie trwała wiecznie, a ty zatrzymałaś się w hotelu, więc nie mamy zbyt wiele czasu. - Odsunęła rękę, nie robiąc mi krzywdy. - A już na pewno nie mamy czasu, żeby grać w gierki.

Przyjrzałam się jej uśmiechniętej twarzy, próbując zdecydować, czy jest szczerą, czy też była to jakaś pułapka. W końcu powiedziałam:

- Jeśli chcesz grać w gierki, będę zaszczycona, mogąc w nich uczestniczyć. Tak samo jak będę zaszczycona, jeśli mamy załatwić jakąś sprawę, ciociu Andais.

Znowu się zaśmiała.

- Ale z ciebie spryciara! Boisz się moich humorów, więc przypominasz, że jesteś moją bratanicą.

To nie brzmiało jak pytanie, więc nic nie powiedziałam, bo miała stuprocentową rację. Popatrzyła na mnie i rzekła:

- Mróz.

Podszedł do niej i uklonił się.

- Moja królowo.

- Idź do swojego pokoju i przebierz się w to, co dla ciebie na dzisiaj przygotowałam. Ukląkł na jedno kolano.

- Ubranie nie... pasowało, moja królowo.

Patrzyłam, jak światło zamiera w jej oczach, pozostawiając je takie zimne i puste jak białe zimowe niebo.

- Owszem - powiedziała - pasowało. Zostało uszyte na miarę. - Złapała go za kosmyk srebrnych włosów, zmuszając, żeby spojrzał jej w oczy. - Dlaczego nie masz go na sobie?

Oblizwał usta.

- Moja królowo, ono było niewygodne.

Przekręciła głowę w jedną stronę, tak jak robią to wrony, kiedy patrzą na oczy wisielca, zanim je wydłubią.

- Niewygodne, niewygodne. Słyszałaś, Meredith? Ubranie, które dla niego przygotowałam, jest niewygodne. - Ciągnęła go dalej za włosy, tak że musiał odchylić głowę do tyłu. Widziałam tętno skaczące pod jego skórą.

- Słyszałam, ciociu - potwierdziłam i tym razem mój głos był beznamiętny. Ktoś miał zostać skrzywdzony i nie chciałam, żebym to była ja. Mróz był głupcem. Ja włożyłabym to ubranie.

- Co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić z nieposłusznym Mrozem? - spytała.

- Niech idzie do swojego pokoju i się przebierze - powiedziałam.

Pociągnęła jego głowę jeszcze dalej do tyłu, aż jego kręgosłup wygiął się w łuk. Wiedziałam, że jednym ruchem mogłaby złamać mu kark.

- To żadna kara, moja bratanico. Nie posłuchał mojego wyraźnego rozkazu. Tak się nie robi.

Próbowałam wymyślić coś, co Andais uznałaby za zabawne, a co zarazem nie byłoby bolesne. W głowie miałam pustkę. Nigdy nie byłam dobra w te gierki. Nagle wpadłam na pewien pomysł.

- Powiedziałaś, że nie będziemy już dzisiaj grały w gierki, ciociu Andais. Noc jest krótka.

Puściła swojego strażnika bez ostrzeżenia. Upadł na podłogę. W następnej chwili ukląkł ze spuszczoną głową, skrywając twarz za srebrną zasłonką włosów.

- Rzeczywiście - powiedziała Andais. - Doyle.

Doyle podszedł do niej i uklonił się.

- Tak, pani?

Spojrzała na niego i to wystarczyło. Ukląkł przed nią. Peleryna rozlała się wokół niego jak czarna woda. Klęczał tak blisko Mroza, że ich ciała prawie się dotykały.

Położyła dłonie na ich głowach, tym razem był to lekki dotyk.

- Jakaż piękna para, prawda?

- Tak - zgodziłam się.

- Tak co? - spytała.

- Tak, są piękną parą, ciociu Andais - powiedziałam.

Skinęła głową, jakby była zadowolona, po czym zwróciła się do Doyle'a.

- Rozkazuję ci zabrać Mroza do jego pokoju i przypilnować, żeby włożył strój, który dla niego przygotowałam. Przeprowadź go na bankiet w tym stroju albo dostarcz do Ezekiała na tortury.

- Jak moja pani sobie życzy, tak będzie zrobione - powiedział Doyle. Wstał i pociągnął za sobą Mroza.

Obydwaj zaczęli się wycofywać w kierunku drzwi z opuszczonymi głowami. Doyle spojrzał na mnie, wychodząc. Albo przeproszał, że zostawiał mnie z nią samą, albo było to jakiegoś rodzaju ostrzeżenie. Nie mogłam rozszyfrować tego spojrzenia. Ale opuścił pokój z moim pistoletem za pasem. Wolalabym mieć tę broń przy sobie.

Rhys przesunął się, żeby stać przy drzwiach, jak na dobrego strażnika przystało. Andais patrzyła na niego tak, jak koty obserwują ptaki, ale to, co powiedziała, było dość łagodne.

- Poczekaj na zewnątrz. Chcę porozmawiać ze swoją bratanicą na osobności.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Spojrzał na mnie, jakby prosił o pozwolenie.

- Rób, co ci każę, chyba że też chcesz wylądować u Ezekiała.

Rhys skinął głową.

- Nie, moja pani. Zrobię to, co każesz.

- Wynocha.

Rzucił mi szybkie spojrzenie, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi. W pokoju zrobiło się nagle bardzo cicho. Szelest sukienki mojej ciotki był głośny w tej ciszy, przypominał mi przesuwanie się łusek jakiegoś ogromnego węża. Poszła na drugi koniec pokoju, gdzie znajdowało się podwyższenie ukryte za ciężką czarną zasłoną. Weszła po kilku schodkach i odsunęła zasłonę na bok, ukazując ciężki drewniany stół z rzeźbionym krzesłem po jednej stronie i stołkiem po drugiej. Na okrągłym stole rozstawiona była szachownica. Przez wieki ciężkie pionki zrobiły się gładkie od rąk

przesuwających je po marmurowej powierzchni. Na szachownicy wydrążone były rowki jak ścieżki wydeptane przez stopy.

Pod półokrągłą ścianą dużej alkowy stała drewniana skrzynia pełna strzelb i pistoletów. Na ścianie nad skrzynią wisiały dwa łuki. Wiedziałam, że strzały znajdowały się na jej dnie razem z amunicją. Nad skrzynią wisiały dwa skrzyżowane miecze, maczuga, ciężka kula z kolcami oraz duża tarcza z herbem Andais - krukiem, sową i czerwoną różą. Tarcza Eamona wisiała pod skrzyżowanymi mieczami. Ze ściany zwisały łańcuchy na nadgarstki i kostki nóg. Nad łańcuchami znajdował się hak, wokół którego owinięty był, niczym czekający na ofiarę wąż, długi bat. Krótszy bat wisiał nad łańcuchami. Przytwierdzone były do niego sznureczki zakończone małymi stalowymi kulkami lub hakami.

- Widzę, że wciąż masz to samo hobby - powiedziałam. Starłam się, by mój głos zabrzmiał beznamiętnie, ale nie udało mi się. Wiedziałam, że za tą zasłoną czasami grało się w szachy, a czasami... nie.

- Chodź, Meredith, usiądź. Porozmawiajmy. - Usiadła na krześle z wysokim oparciem, kładąc tren sukienki na ramię, żeby się nie pogniół. Wskazała mi stołek. - Usiądź, bratanico. Nie ugryzę cię. - Uśmiechnęła się, a potem niespodziewanie roześmiała. - W każdym razie jeszcze nie teraz.

To było coś w rodzaju obietnicy, że mnie nie skrzywdzi - na razie musiałam się tym zadowolić. Usiadłam na wysokim stołku, z obcasami butów zahaczonymi o trzpień, żeby utrzymać równowagę. Czasami myślę, że Andais wygrywała partie szachów po prostu dlatego, że plecy jej przeciwników nie wytrzymały.

Dotknęłam krawędzi marmurowej szachownicy.

- Mój ojciec nauczył mnie grać w szachy na takiej samej szachownicy - powiedziałam.

- Nie musisz mi raz jeszcze przypominać, że jesteś córką mojego brata. Nie zamierzam cię dzisiaj skrzywdzić.

Pogłodziłam szachownicę i spojrzałam na królową, napotykając spojrzenie jej oczu.

- Może byłabym mniej ostrożna, gdybyś nie mówiła rzeczy typu: dzisiaj cię nie skrzywdzę. Może gdybyś po prostu powiedziała, że nie chcesz mnie skrzywdzić... - Zrobiłam z tego trochę pytanie, trochę stwierdzenie.

- Och, nie, Meredith. Gdybym to powiedziała, niebezpiecznie zbliżyłabym się do kłamstwa, a my nie kłamiemy, przynajmniej nie wprost. Możemy sobie wmawiać, że czarne to białe, a księżyc jest zrobiony z zielonego sera, ale nie kłamiemy.

- Więc chcesz mnie skrzywdzić, tylko nie dzisiaj - powiedziałam tak spokojnie, jak tylko mogłam.

- Nie skrzywdzę cię, jeśli mnie do tego nie zmusisz.

Spojrzałam na nią, marszcząc brwi.

- Nie rozumiem, ciociu Andais.

- Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego kazałam moim pięknym mężczyznom żyć w celibacie?

Pytanie było tak niespodziewane, że przez sekundę lub dwie wpatrywałam się w nią bez słowa. W końcu zamknęłam usta i odnalazłam głos.

- Tak, ciociu, zastanawiałam się. - Wszyscy od wieków się zastanawiali, dlaczego to zrobiła.

- Przez wieki mężczyźni z naszego dworu bez umiaru rozsiewali swe nasienie od morza do morza. W efekcie było coraz więcej mieszańców, a coraz mniej istot pełnej krwi. Więc zmusiłam ich, żeby zakonserwowali swoją energię.

Spojrzałam na nią.

- Ale dlaczego nie pozwoliłaś im na kontakty z kobietami dworu?

Rozparła się na krześle, gładząc dłońmi ramiona.

- Dlatego, że chciałam, żeby to moja linia była przedłużona, a nie ich. Był czas, że wolałabym, żebyś umarła, niż odziedziczyła mój tron.

Spotkałam jej blade oczy.

- Tak, ciociu Andais.

- Tak co?

- Tak, wiem.

- Widziałam, jak mieszkańcy opanowują Krainę Faerie. Ludzie wygonili nas pod ziemię, a teraz ich krew psuła nasz dwór. Przegonili nas pod względem liczebności.

- Ludzi zawsze było więcej. To ma chyba jakiś związek z tym, że są śmiertelni.

- Essus powiedział mi, że jesteś jego córką. Że cię kocha. Powiedział mi też, że pewnego dnia będzie z ciebie dobra królowa, Wyśmiałam go. - Popatrzyła mi w oczy. - Teraz już się nie śmieję, bratanico.

Zamrugałam.

- Nie rozumiem, ciociu.

- W twoich żyłach płynie krew Essusa. Krew mojej rodziny. Chcę, żeby nasza linia rodowa została przedłużona.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem, co masz na myśli, mówiąc „nasza”, ciociu powiedziałam, choć zaczynałam się już domyślać.

- Mam na myśli linię krwi twoją, moją i Cela. Naszą.

To, że dodała mojego kuzyna, sprawiło, że serce podeszło mi do gardła. Wśród istot magicznych nie było wcale takie rzadkie wiązanie się z bliskimi krewnymi małżeństwem. Jeśli to miała na myśli, to wpadłam jak śliwka w kompot. Seks nie był losem gorszym od śmierci. Co innego seks z moim kuzynem.

Spojrzałam na szachownicę, bo nie ufałam swojemu wyrazowi twarzy. Nie miałam zamiaru spać z Celem.

- Chcę, żeby nasza linia przetrwała, bez względu na koszt.

W końcu spojrzałam na nią.

- O jakich kosztach mówisz, ciociu Andais?

- Nie o tym, o czym zapewne myślisz. Naprawdę, Meredith, nie jestem twoim wrogiem.

- Wybacz śmiałość, ciociu, ale pozwolę sobie zauważyć, że nie jesteś też moim przyjacielem.

Skinęła głową.

- To prawda. Nie jesteś dla mnie niczym więcej niż naczyniem, dzięki któremu nasza linia rodowa przetrwa.

Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu.

- Czy to cię śmieszy?

- Nie, ciociu Andais, z pewnością to nie jest śmieszne.

- Dobrze, pomówmy otwarcie. Dałam ci swój pierścień.

Popatrzyłam na nią. Wydawało się, że nie ma złych zamiarów. Naprawdę sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała o próbie zamachu w samochodzie.

- Dziękuję za ten prezent - powiedziałam, ale nawet w moich uszach te słowa nie zabrzmiały szczerze.

Albo tego nie usłyszała, albo to zignorowała.

- Galen i Barinthus powiedzieli mi, że pierścień ożył na twojej dłoni. Jestem z tego zadowolona o wiele bardziej, niż sobie możesz wyobrazić, Meredith.

- Dlaczego? - spytałam.

- Gdyby pierścień nie ożył na twojej dłoni, oznaczałoby to, że jesteś jałowa. To, że pierścień żyje,

oznacza, że jesteś płodna.

- Dlaczego reaguje na wszystkich, których dotykam?

- Na kogo jeszcze zareagował oprócz Galena i Barinthus? - spytała.

- Na Doyle'a i Mroza.

- A na Rhysa? - spytała.

Pokręciłam głową.

- Nie.

- Dotknęłaś srebrem jego nagiej skóry?

Chciałam już odpowiedzieć, że tak, ale się nad tym zastanowiłam.

- Chyba nie. Dotknęłam tylko jego ubrania.

- To musi być goła skóra - powiedziała Andais. - Nawet mały kawałek materiału może być przeszkodą. - Pochyliła się do przodu, położywszy dłonie na stoliku; podniosła wieżę, obróciła ją w rękę. Jeśli byłby to ktoś inny, powiedziałabym, że jest zdenerwowany.

- Mam zamiar zdjąć geas celibatu z mojej Straży.

- Moja pani - powiedziałam cichym głosem, bo musiałam zaczerpnąć powietrza. - To wspaniała wiadomość. - Miałam na podorędziu lepsze przymiotniki, ale zostałam przy „wspanialej”. Nigdy nie należało być zbyt wylewnym przy królowej. Zastanawiałam się tylko, dlaczego mnie pierwszej o tym mówi.

- Geas będzie zdjęty tylko dla ciebie, Meredith. - Skupiła się na figurce, nie patrzyła mi w oczy.

- Słucham? - Nie próbowałam nawet ukryć szoku.

Spojrzała w górę.

- Chcę, żeby nasz ród przetrwał. Pierścień reaguje na strażników, którzy mogą począć dzieci. Jeśli pierścień przy kimś pozostaje spokojny, nie zwracaj sobie tym kimś głowy. Ale jeśli pierścień na kogoś zareaguje, możesz z nim spać. Chcę, żebyś wybrała sobie kilku strażników, z którymi będziesz sypiała. Wszystko mi jedno, którzy to będą, ale w ciągu trzech lat chcę od ciebie dziecka, dziecka naszej krwi. - Odłożyła figurkę i spojrzała mi w oczy.

Oblizawałam wargi, starając się zadać swoje pytanie jak najgrzeczniej.

- To bardzo szczodra oferta, ale kiedy mówisz „kilku”, co dokładnie masz na myśli?

- Więcej niż dwóch; trzech lub więcej naraz.

Przez kilka sekund milczałam, bo znowu chciałam uzyskać więcej informacji, a nie chciałam być niegrzeczna.

- Nie rozumiem - wydukałam w końcu.

Zmarszczyła brwi.

- Jeśli czegoś nie rozumiesz, to po prostu o to zapytaj, Meredith.

- Dobrze - powiedziałam. - Kiedy mówisz: „trzech lub więcej naraz”, masz na myśli to, że mają być ze mną w łóżku trzech naraz czy że mam się z nimi spotykać w tym samym czasie?

- Możesz to interpretować, jak chcesz - odparła. - Możesz ich brać do łóżka pojedynczo albo wszystkich razem, o ile w ogóle będziesz chciała brać ich.

- Dlaczego musi ich być trzech lub więcej?

- Czy to takie okropne mieć do wyboru najpiękniejszych mężczyzn świata? Urodzić dziecko jednego z nich i przedłużyć naszą linię? Jak coś takiego może być okropne?

Spojrzałam na nią, próbując wyczytać coś z jej pięknej twarzy, ale mi się nie udało.

- Jestem jak najbardziej za tym, żebyś uwolniła strażników z celibatu, ale, najdroższa ciociu, nie sprawiaj, żebym to ja była ich jedyną drogą. Błagam cię. Będą się ze sobą gryźć jak wygłodniałe wilki, nie dlatego, że jestem taką wspaniałą nagrodą, ale dlatego, że będę lepsza niż nic.

- Dlatego nalegam, żebyś spała z więcej niż jednym. Musisz się przespać z większością z nich, zanim dokonasz wyboru. W ten sposób wszyscy będą mieli szansę. W innym wypadku - masz rację, będą się między sobą bić, aż wreszcie nikt nie zostanie na placu boju. Musisz sprawić, żeby wszystkie swoje siły włożyli w uwodzenie ciebie.

- Lubię seks i nie mam planów związanych z monogamią, ale są wśród strażników tacy, do których nie mogę się normalnie odezwać, a co dopiero uprawiać z nimi seks.

- Zostaniesz moją następczynią - powiedziała bardzo cichym głosem.

Popatrzyłam na jej niemożliwą do odczytania twarz. Nie wierzyłam w to, co usłyszałam.

- Możesz powtórzyć, moja królowo?

- Uczynię cię swoją następczynią - powiedziała.

Patrzyłam na nią.

- A co myślisz o tym mój kuzyn Cel?

- To z was, które pierwsze da mi dziecko, odziedziczy mój tron. Czy to nie słodka nagroda?

Wstałam tak gwałtownie, że stółek przewrócił się na podłogę. Wpatrywałam się w nią przez chwilę. Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć, tak nierealne się to wszystko wydawało.

- Chciałam skromnie zauważyć, ciociu Andais, że jestem śmiertelna, a ty nie. Z pewnością przeżyjesz mnie o wieki. Nawet jeśli urodzę dziecko, nie zobaczę tronu.

- Abdykuję - powiedziała.

Teraz wiedziałam, że ze mną gra. To była jakaś gra. To musiała być jakaś gra.

- Powiedziałaś kiedyś mojemu ojcu, że bycie królową to całe twoje istnienie. Że kochasz to bardziej, niż kochałaś kogokolwiek czy cokolwiek na świecie.

- Masz dobrą pamięć do podsłuchanych rozmów.

- Zawsze mówiłaś przy mnie nieskrępowanie, jakbym była jednym z twoich psów. Omal mnie nie utopiłaś, kiedy miałam sześć lat. Teraz mówisz, że abdykujesz na moją rzecz. Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

- Pamiętasz, co Essus odpowiedział mi tamtej nocy? - spytała.

Pokręciłam głową.

- Nie, moja królowo.

- Essus powiedział: „Nawet jeśli Merry nigdy nie zasiądzie na tronie, będzie bardziej królową niż Cel królem”.

- Uderzyłaś go wtedy - powiedziałam. - Nie wiedziałam dlaczego.

Andais skinęła głową.

- Właśnie dlatego.

- Więc nie jesteś zadowolona ze swojego syna.

- To moja sprawa - odparła.

- Jeśli pozwolę, żebyś uczyniła mnie pretendentką do tronu na równi z Celem, to będzie również moja sprawa. - Miałam w torebce spinkę do mankietów. Pomyślałam, czy ją pokazać, ale nie zrobiłam tego. Do Andais przez wieki nie docierało, jaki był Cel i do czego był zdolny. Na własną zgubę mówiło się królowej coś przeciwko Celowi. Poza tym spinka mogła należeć do któregoś ze strażników, chociaż nie bardzo wiedziałam, dlaczego którykolwiek z nich chciałby mojej śmierci.

- Czego chcesz, Meredith? Co mam ci dać, żebyś zrobiła to, o co cię proszę?

Proponowała mi tron. Barinthus byłby bardzo zadowolony. Czy ja byłam?

- Czy jesteś pewna, że dwór zaakceptuje mnie jako królową?

- Ogłoszę cię dzisiaj Księżniczką Ciała. Będą pod wrażeniem.

- Jeśli w to uwierzą - powiedziałam.

- Uwierzą, jeśli im każe.

Spojrzałam na nią, przyjrzałam się jej twarzy. Wierzyła w to, co mówiła. Andais przeceniała się. Ale taka całkowita arogancja była typowa dla sidhe.

- Wróc do domu, Meredith, nie należysz do świata ludzi.

- Jak często mi przypominałaś, ciociu, jestem po części człowiekiem.

- Trzy lata temu byłaś zadowolona, szczęśliwa. Nie zamierzałaś nas opuścić. Usadowiła się na powrót na krzesle, obserwując mnie, pozwalając, żebym nad nią stała. Wiem, co zrobił Griffin.

Nasze oczy spotkały się na chwilę, ale nie mogłam wytrzymać jej spojrzenia. Nie było w nim litości. Był w nim chłód, jakby po prostu chciała zobaczyć moją reakcję, nic więcej.

- Naprawdę uważasz, że opuściłam dwór ze względu na Griffina? - Nie starałam się ukryć zdziwienia w głosie. Nie mogła naprawdę wierzyć, że opuściłam dwór z powodu złamanego serca.

- Wiele się mówiło o waszej ostatniej kłótni.

- Pamiętam to, najdroższa ciociu, ale nie dlatego opuściłam dwór. Zrobiłam to, bo nie przeżyłabym kolejnego pojedynku.

Zignorowała mnie. I wtedy uświadomiłam sobie, że nigdy nie uwierzy w najgorsze rzeczy o swoim synu, chyba że dostarczy się jej niezbita dowody. Nie mogłam dać jej takiego dowodu, a bez niego nie mogłam podzielić się z nią swoimi podejrzeniami, nie ryzykując życia.

Mówiła cały czas o Griffinie, jakby to był prawdziwy powód, dla którego odeszłam.

- Ale to Griffin rozpoczął kłótnię. Chciał wiedzieć, dlaczego nie ma dostępu do twojego łóżka i serca, jak wcześniej. Kiedyś ty ganiałaś za nim całymi nocami, a teraz to on ganiał za tobą. Jak ci się udało tak go odmienić?

- Odmówiłam mu dostępu do łoża. - Napotkałam jej wzrok, ale nie było w nim rozbawienia.

- I to wystarczyło, żeby ganiał za tobą jak kot z pęcherzem?

- Chyba wierzył, że mu przebaczę. Że przez chwilę będę się gniewać, ale potem przyjmę go z powrotem. Ostatniej nocy w końcu zrozumiał, że mówiłam poważnie.

- Co powiedziałaś? - spytała.

- Że po tej stronie grobu nigdy ze mną nie będzie.

Andais patrzyła na mnie nieustępliwie.

- Czy wciąż go kochasz?

Pokręciłam głową: - Nie.

- Ale żywisz w stosunku do niego jakieś uczucia. - To nie było pytanie.

Pokręciłam głową.

- Uczucia tak, ale niezbyt dobre.

- Jeśli wciąż chcesz Griffina, możesz go mieć przez kolejny rok. Jeśli po tym czasie nie zajdziesz w ciążę, poproszę, żebyś wybrała kogoś innego.

- Nie chcę już Griffina.

- Słyszę żal w twoim głosie, Meredith. Jesteś pewna, że go nie chcesz?

Westchnęłam i oparłam dłonie na blacie, patrząc na nie. Poczułam się zmęczona. Bardzo się starałam nie myśleć o Griffinie i o tym, że go dziś spotkam.

- Gdyby mógł czuć do mnie to, co ja czułam do niego, gdyby mógł być we mnie tak zakochany, jak ja byłam zakochana w nim, wtedy bym go chciała, ale on tego nie potrafi. Nie może być kimś innym, ja też nie potrafię. - Spojrzałam na nią ponad stolikiem.

- Możesz go włączyć do zmagania o swoje serce albo też go z nich wykluczyć. To twoja decyzja.

Skinęłam głową.

- Dziękuję, najdroższa ciociu.

Dlaczego brzmi to w twoich ustach jak najgorsza obraza?

- Nie miałam takiego zamiaru.

Machnęła ręką, żebym zamilkła.

- Nie musisz się starać, Meredith. Nie pozostało między nami wiele uczucia. Obie o tym wiemy. - Zmierzyła mnie wzrokiem od góry do dołu. - Twój strój jest do zaakceptowania, choć nie to bym wybrała.

Uśmiechnęłam się, ale nie było w tym radości.

- Gdybym wiedziała, że zostanę dziś nazwana następczynią, włożyłabym coś od Tommy'ego Hilfigera.

Roześmiała się i wstała z szelestem sukni.

- Możesz kupić całą szafę jego ubrań, jeśli chcesz. Mogą ci też coś uszyć dworscy krawcy.

- Nie trzeba - powiedziałam. - Ale dziękuję za propozycję.

- Jesteś niezależną istotą, Meredith. Nigdy tego w tobie nie lubiałam.

- Wiem.

- Gdyby Doyle powiedział ci w zachodnich krainach, co dla ciebie zaplanowałam, przybyłabyś dobrowolnie czy próbowałabyś uciec?

Wpatrzyłam się w nią.

- Masz zamiar ogłosić mnie następczynią tronu. Pozwalasz, żebym umawiała się ze Strażnikami. To nie jest los gorszy od śmierci, ciociu Andais. Czy jest może coś, czego mi jeszcze nie powiedziałaś?

- Podnieś stołek, Meredith. Zostawmy po sobie porządek, dobrze?

Ześlizgnęła się po kamiennych stopniach i poszła w kierunku małych drzwiczek w ścianie naprzeciwko.

Podniosłam stołek, ale nie spodobało mi się to, że nie odpowiedziała na moje pytanie. Było coś jeszcze.

Zawołałam do niej, zanim dotarła do drzwi.

- Ciociu Andais?

Odwróciła się.

- Tak, bratanico? - Miała lekko rozbawiony wyraz twarzy.

- Gdyby zakłęcie pożądania, które umieściłaś w samochodzie, zadziałało, i Galen, i ja kochalibyśmy się, czy zabiłabyś nas oboje?

Zamrugnęła, uśmiech zniknął z jej twarzy. - Zakłęcie pożądania? O czym ty mówisz?

Powiedziałam jej.

Pokręciła głową. - To nie było moje zakłęcie.

Podniosłam dłoń tak, że pierścień zabłysnął.

- Ale zakłęcie używało twojego pierścienia.

- Daję ci słowo, Meredith, nie podłożyłam żadnego zakłęcia w samochodzie. Po prostu zostawiłam pierścień dla ciebie, to wszystko.

- Sama to zrobiłaś czy komuś zleciłaś? - spytałam.

Nie patrzyła mi w oczy.

- Sama to zrobiłam. - Wiedziałałam, że skłamała.

- Czy ktoś jeszcze wie, że masz zamiar zdjąć celibat ze strażników?

Pokręciła głową, jeden długi czarny kędziorek ześlizgnął się na jej ramię.

- Eamon, ale on umie trzymać język za zębami.

Skinęłam głową.

- Wiem. - Spojrzałyśmy na siebie i zauważyłam, że coś jej przyszło do głowy.

- Ktoś próbował cię zabić - powiedziała.

Skinęłam głowę.

- Gdybym kochała się z Galenem mimo geasu, zabiłabyś mnie za to. Los Galena nie miał tu chyba znaczenia.

Złość pojawiła się na jej twarzy jak światło świeczki w szklance.

- Wiesz, kto to zrobił - stwierdziłam.

- Nie wiem, ale wiem, kto wiedział, że ogłoszę cię moją następczynią.

- Cel - powiedziałam.

- Musiałam go przygotować.

- Jasne.

- On tego nie zrobił - powiedziała i po raz pierwszy w jej głosie pojawiła się nutka protestu, jaką słyszy się w głosie matki, która broni swojego dziecka.

Spojrzałam na nią, a moja twarz nic nie wyrażała. To było najlepsze, co mogłam zrobić, bo znałam Cella: z pewnością nie miał zamiaru oddać swojego pierworództwa z powodu kaprysu matki - bez względu na to, czy była ona królową, czy nie.

- Co takiego zrobił Cel, że cię rozgniewał? - spytałam.

- Powiem ci, tak jak wyjaśniłam jemu: nie jestem na niego zła. - Ale było w jej głosie zbyt wiele protestu. Po raz pierwszy dzisiaj Andais się broniła. Podobało mi się to.

- Cel w to nie uwierzył, prawda?

- Zna moje motywacje - powiedziała.

- Czy mogłabyś się nimi ze mną podzielić? - spytałam.

Uśmiechnęła się i był to jej pierwszy prawdziwy uśmiech tego wieczoru. Była niemalże zakłopotana. Pogroziła mi palcem w rękawiczce. - Nie, moje motywacje są moje. Chcę, żebyś kogoś wybrała sobie na dziś do łóżka. Zabierz go do hotelu, nieważne kogo, ale ma się to stać tego wieczoru. - Uśmiech zniknął z jej twarzy. Znowu stała się jej królewską wysokością, nie do odczytania, zamkniętą w sobie, a zarazem całkowicie czytelną.

- Nigdy mnie nie rozumiałaś, ciociu.

- A co to niby ma znaczyć?

- To znaczy, najdroższa ciociu, że gdybyś darowała sobie ten ostatni rozkaz, prawdopodobnie kogoś bym wzięła dziś do łóżka. Ale jeśli mi rozkazujesz, czuję się jak królewska dziwka. Nie podoba mi się to.

Ułożyła spódnicę tak, że tren płynął za nią i podeszła do mnie. Kiedy szła, jej moc zaczęła się rozwijać, płynąć po pokoju jak niewidzialne iskry, które gryzły moją skórę. Podskoczyłam, ale potem stałam, pozwalając, żeby jej moc lizała moją skórę. Miałam noże, ale to było za mało, żebym wytrzymała jej magię. To moja nowa moc musiała sprawić, że jakoś się trzymałam.

Jej oczy zwęziły się, kiedy podeszła i stanęła przede mną. Ja stałam na podeście, więc nasze oczy były na tej samej wysokości. Jej magia zaczęła na mnie napierać, niczym ściana mocy. Musiałam wbić się w ziemię stopami, jakbym stała na wietrze. Małe palące ukąszenia zamieniły się w przeciągły ból - czułam się, jakbym była wewnątrz piekarnika, nie dotykając jego błyszczącej powierzchni, ale wiedząc, że wystarczy jeden mały ruch i moja skóra przypali się i zwęgli.

- Doyle wspominał, że twoja moc się zwiększyła, ale nie bardzo w to wierzyłam. Teraz jednak stoisz przede mną i muszę pogodzić się z tym, że w końcu jesteś prawdziwą sidhe. - Postawiła stopę na najniższym schodku. - Ale nigdy nie zapominaj, że to ja jestem królową, a nie ty. Bez względu na to, jaką moc będziesz miała, nigdy nie będziesz mogła równać się ze mną.

- Nie śmiałam myśleć inaczej, pani - powiedziałam. Mój głos nieznacznie drżał.

Jej magia dalej naciskała na mnie. Nie mogłam złapać tchu. Zamrugałam, jakbym patrzyła na słońce. Starałam się nie cofnąć.

- Pani, powiedz, co mam zrobić, a uczynię to. Nie chciałam cię zdenerwować.

Weszła na kolejny schodek i tym razem się cofnęłam. Nie chciałam, żeby mnie dotknęła.

- Samo to, że wytrzymujesz napór mojej mocy, jest dla mnie wystarczającym powodem do zdenerwowania.

- Jeśli mam uklęknąć, zrobię to. Powiedz, co mam zrobić, moja królowo, a to uczynię.

- Nie chciałam z nią walczyć za pomocą magii. Przegrałabym. Wiedziałam o tym. Nie musiałam próbować.

- Spraw, żeby pierścień ożył na moim palcu, bratanico.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Wyciągnęłam w końcu dłoń. - Chcesz z powrotem pierścień?

- Bardziej niż przypuszczasz. Teraz jednak należy on do ciebie. Miej z niego dużo radości. - Ostatnie zdanie brzmiało jak przekleństwo, a nie błogosławieństwo.

Podeszłam do krawędzi stołu, trzymając się go, żeby nie upaść pod wzrastającą mocą jej magii.

- Czego ode mnie chcesz?

Nie odpowiedziała mi. Machnęła rękami w moim kierunku i jej moc uderzyła we mnie. Poleciałam do tyłu, uderzając plecami i głową o ścianę. Pociemniało mi przed oczami.

Kiedy się ocknęłam, Andais stała nade mną z nożem w dłoni. Dotknęła jego koniuszkiem wgłębienia u podstawy mojej szyi i przyciskała, dopóki nie poczułam, że ostrze wbiło się lekko w skórę. Przyłożyła palec do rany i cofnęła go. Zobaczyłam na nim drżącą kroplę swojej krwi. Odwróciła palec tak, że kropla upadła na ziemię.

- Wiedz o jednym, moja bratanico. Twoja krew jest moją krwią i tylko z tego powodu obchodzi mnie, co się z tobą stanie. Nie interesuje mnie, czy to, co dla ciebie zaplanowałam, podoba ci się czy nie. Trzeba przedłużyć linię naszego rodu, ale jeśli mi w tym nie pomożesz, nie będziesz mi potrzebna. - Przyłożyła ostrze noża do mojej twarzy, koniuszek niebezpiecznie blisko mego oka.

Czułam puls na języku i prawie zapomniałam oddychać. Gdy popatrzyłam w jej twarz, wiedziałam, że zabiłaby mnie ot, tak.

- To, co nie jest dla mnie użyteczne, jest zbędne, Meredith. - Przycisnęła ostrze do mojej skóry, tak że kiedy mrugnęłam, koniuszek noża otarł się o moje rzęsy. - Wybierzesz sobie kogoś na dzisiaj do łóżka. Nie obchodzi mnie kogo. Gdy już to zrobisz, pozwolę ci wrócić do Los Angeles, ale będziesz musiała zabrać ze sobą kilku moich strażników. Więc przypatrz się im dzisiaj, swoimi szmaragdowo-zielono-złotymi oczami, tymi oczami Seelie, i wybierz. - Przybliżyła twarz do mojej, tak że mogłaby mnie pocałować. Wyszeptała ostatnie słowa wprost do moich ust. - Musisz się dzisiaj z którymś z nich pieprzyć, Meredith, bo jeśli tego nie zrobisz, jutro wieczorem będziesz zabawiała dwór z grupą, którą sama wybiorę.

Posłała mi uśmiech, który pojawiał się na jej twarzy zawsze wtedy, kiedy myślała o czymś zepsutym i bolesnym.

- Przynajmniej jeden z tych, których wybierzesz, musi być moim ulubieńcem, żeby szpiegował dla mnie. Jeśli wrócisz do Los Angeles.

Mój głos był cichym szeptem.

- Czy będę musiała sypiać z twoim szpiegiem?

- Tak - odparła. Koniuszek ostrza przeniósł się ułamek milimetra wyżej, zasłaniając mi widzenie. Starałam się nie mrugać, bo gdybym to zrobiła, przebiłby mi powiekę.

- Zgadzasz się, bratanico? Czy zgadzasz się spać z moim szpiegiem?

Powiedziałam jedyną rzecz, jaką mogłam powiedzieć:

- Tak, ciociu Andais.

- Wybierzesz swój mały harem na dzisiejszym przyjęciu?

Oczy bolały mnie, tak bardzo chciałam mrugnąć.

- Tak, ciociu Andais.

- Prześpisz się z kimś dzisiaj, zanim odleczisz do zachodnich krain?

Rozszerzyłam oczy i skupiłam się na jej twarzy, na patrzeniu na nią. Nóż był zamazanym konturem stali, przesłaniającym mi pole widzenia prawego oka, ale wciąż widziałam jej twarz nade mną.

- Tak - wyszeptałam.

Odjęła nóż od mojej twarzy i powiedziała:

- To świetnie. I co, trudno było?

Oparłam się o ścianę, zamknęłam oczy. Trzymałam je zamknięte, bo byłam wściekła, a nie chciałam, żeby Andais to zobaczyła. Chciałam stąd wyjść, wszystko jedno dokąd, byle daleko od niej.

- Zawołam Rhysa, żeby odprowadził cię na bankiet. Wyglądasz na roztrzęsioną. Zaśmiała się.

Otworzyłam oczy, mrugając, żeby uwolnić łzy, które zgromadziły się, gdy nie mogłam mrugać. Zeszła po schodkach.

- Przyślę ci Rhysa, chociaż po tym zakłęciu w samochodzie powinnaś mieć jeszcze jednego strażnika.

Zastanowię się, kto by to mógł być. - Była prawie w drzwiach wyjściowych, kiedy odwróciła się i powiedziała. - A kto będzie moim szpiegiem? Postaram się wybrać kogoś pięknego, dobrego w łóżku, żeby ta harówka nie była zbyt straszliwa.

- Nie śpiam z głupimi i wrednymi - powiedziałam.

- Pierwsze nie zawęza za bardzo pola, ale to drugie... to poważniejsze wyzwanie. - Jej twarz pojaśniała, najwyraźniej o kimś pomyślała. - Już wiem, ten będzie dobry.

- Kto? - spytałam.

- Nie lubisz niespodzianek, Meredith?

- Nie bardzo.

- A ja lubię. To będzie moja nagroda dla ciebie. Jest niezły w łóżku. A przynajmniej był - jakieś sześćdziesiąt albo dziewięćdziesiąt lat temu. Tak, będzie się nadawał.

Nie spytałam ponownie, kto to ma być.

- Skąd pewność, że będzie dla ciebie szpiegował, kiedy znajdzie się w Los Angeles?

Zatrzymała się z dłonią na klamce.

- Bo mnie zna, Meredith. Wie, do czego jestem zdolna - zarówno jeśli chodzi o przyjemność, jak i ból.

- Otworzyła drzwi i wpuściła do komnaty Rhysa.

Spojrzał najpierw na nią, a później na mnie. Jego oczy rozszerzyły się trochę, ale to wszystko. Jego twarz była bez wyrazu, kiedy do mnie podchodził. Podał mi ramię. Z wdzięcznością je przyjąłem.

Dotarcie do otwartych drzwi trwało całą wieczność. Chciałam wybiec i się nie zatrzymywać. Rhys poklepał mnie uspokajająco po rękę, kiedy poczuł napięcie w moim ciele. Wiedziałam, że zauważył niewielką rankę na mojej szyi. Zapewne domyślał się, skąd się tam wzięła.

Doszliśmy do drzwi, a potem poszliśmy przed siebie korytarzem. Moje ciało tylko trochę się rozluźniło.

- Bawcie się dobrze, dzieci. Do zobaczenia na bankiecie - zawołała za nami Andais.

Zamknęła drzwi z trzaskiem. Podskoczyłam nerwowo.

Rhys zatrzymał się.

- Dobrze się czujesz?

Złapałam go za ramię i pociągnęłam go.

- Zabierz mnie stąd. Po prostu mnie stąd zabierz.

Nie zadawał żadnych pytań. Po prostu poprowadził mnie korytarzem, coraz dalej od tego miejsca.

Rozdział 28

Wracaliśmy tą samą drogą, którą przyszedliśmy, ale teraz korytarz był prosty i węższy właściwie zupełnie inny. Spojrzałam za siebie i nie zobaczyłam żadnych podwójnych drzwi. Rezydencja królowej była już gdzie indziej. Chwilowo byłam bezpieczna, zaczęłam drżeć i nie mogłam przestać.

Rhys przytulił mnie, przyciskając do piersi. Przywarłam do niego, objąwszy go w pasie, pod peleryną. Odgarnął włosy z mojej twarzy.

- Masz zimną skórę. Co ona ci zrobiła, Merry? - Podniósł moją głowę, delikatnie, tak żeby widzieć moją twarz. - Powiedz rzekł cicho.

Pokręciłam głową.

- Zaproponowała mi wszystko, o czym może marzyć sidhe. Problem polega na tym, że jej nie ufam.

- O czym mówisz? - spytał.

Odsunęłam się od niego.

- O tym. - Dotknęłam zakrwawionej szyi. - Jestem śmiertelna. To, że zaproponowała mi gwiazdkę z nieba, nie oznacza, że przeżyję, żeby ją schować do kieszeni.

Popatrzyłam na niego i nagle uświadomiłam sobie, że jest ode mnie o wiele starszy. Jego twarz była cały czas młoda, ale nie spojrzenie jego oczu. - Czy to najgorsza z ran? spytał.

Skinęłam głową.

Wyciągnął dłoń i dotknął plamy krwi. Nawet nie bolało, kiedy jej dotykał. To w zasadzie nie była nawet rana. Trudno wytłumaczyć, że tego, co bolało, nie było widać na mojej skórze. Królowa nie przyjmowała do wiadomości tego, jaki naprawdę był Cel. Ja jednak to doskonale wiedziałam. Nigdy nie podzieli się ze mną tronem: jedno z nas będzie musiało zginąć, żeby drugie na nim zasiadło.

- Groziła ci? - spytał Rhys.

Ponownie skinęłam głową.

- Wyglądasz na śmiertelnie przerażoną. Co ci powiedziała?

Popatrzyłam na niego. Nie chciałam o tym rozmawiać. To było tak, jakby w chwili, gdy to wypowiem, stawało się to realne. Poza tym coś mi mówiło, że gdy Rhys się o tym dowie, nie będzie niezadowolony.

- To zarówno dobra, jak i zła wiadomość.

- Zaczniemy od dobrej - zaproponował.

Powiedziałam mu o ogłoszeniu mnie następcą tronu.

Przytulił mnie mocno.

- To cudowna wiadomość, Merry. Co może być złego po czymś takim? Wyswobodziłam się z jego objęć.

- Czy myślisz, że Cel pozwoli mi żyć tak długo, żebym mogła pozbawić go korony? Stał za zamachami na moje życie trzy lata temu, kiedy nie miał takiego powodu, żeby mnie zabić.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Masz teraz na sobie znak królowej - nawet Cel nie śmie cię zabić. Ten, kto będzie cię chciał skrzywdzić, narazi się królowej.

- Stała tam i wmawiała mi, że opuściłam dwór ze względu na Griffina. Próbowалаm jej powiedzieć, że nie wyjechałam z powodu złamanego serca, a z powodu pojedynków... Pokręciłam głową. - Zagadała mnie. Nie dociera do niej, jaki Cel naprawdę jest, i nie sądzę, żeby moja śmierć coś tu zmieniła.

- Chodzi ci o to, że jej synek osobiście nigdy by nie zrobił czegoś takiego powiedział.

- Właśnie. Myślisz, że narażałby swoją liliowobiałą szyjkę? Ktoś inny to za niego zrobi - wtedy to on będzie w niebezpieczeństwie, a nie Cel.

- Naszym obowiązkiem jest ochranianie cię, Merry. Jesteśmy w tym dobrzy.

Zaśmiałam się, ale nie był to dobry śmiech, raczej nerwowy niż radosny.

- Ciotka Andais zmieniła zakres waszych obowiązków.

- Co masz na myśli?

- Powiem ci po drodze. Jesteśmy za blisko królowej.

Znowu podał mi ramię. - Jak moja pani sobie życzy. - Uśmiechnął się, kiedy to mówił, a ja podeszłam do niego i objęłam go w pasie, zamiast wziąć go pod ramię. Zesztywniał, zaskoczony przez chwilę, potem otoczył ręką moje ramię. Szliśmy korytarzem, objęci w pół. Wciąż byłam zimna, jakby moje wewnętrzne ciepło przestało istnieć.

Są mężczyźni, z którymi nie mogę chodzić objęta, jakby nasze ciała miały inny rytm. Rhys i ja szliśmy, jakbyśmy byli dwiema połówkami całości. Uświadomiłam sobie, że nie mogę uwierzyć, że dostałam pozwolenie, żeby go dotknąć. To, że nagle dostałam klucze do królestwa, wciąż nie wydawało mi się realne.

Rhys zatrzymał się, obrócił mnie w swoich ramionach i zaczął pocierać dłońmi o moje ramiona. - Cała się trzęsiesz.

- Nie tak bardzo jak przedtem - powiedziałam.

Pocałował mnie delikatnie w czoło.

- Daj spokój, misiu pysiu, powiedz, co zła Czarownica Wschodu ci zrobiła?

Uśmiechnęłam się. - Misiu pysiu?

Wyszczerzył zęby.

- Złotko? Skarbie? Cukiereczku?

Roześmiałam się. - Co słowo, to gorzej.

Przestał się uśmiechać. Spojrzał na pierścień dotykający jego rękawa.

- Doyle powiedział, że pierścień ożywił się, gdy go dotknął. Czy to prawda?

Spojrzałam na ciężką ośmiokątną obrączkę i skinęłam głową.

- Na mojej ręce leży spokojnie.

Spojrzałam na jego twarz. Wyglądał na... zrozpaczonego.

- Pierścień wybierał małżonków królowej - powiedział.

- Reagował prawie na każdego strażnika, którego nim dotknęłam.

- Oprócz mnie. - Jego głos był tak pełen żalu, że musiałam coś zrobić.

- Musi dotknąć gołej skóry - powiedziałam.

Zaczął wyciągać dłoń. Odsunęłam się od niego.

- Proszę, nie rób tego.

- Dlaczego? - spytał.

Światło przygasło do półmroku. Pajęczyny ozdabiały korytarz niczym wielkie błyszczące zasłony. Ukrywały się w nich blade białe pająki, większe niż moje dwie dłonie. Dlatego, że nawet gdy miałam szesnaście lat, to ja powiedziałam nie. Powinieneś wiedzieć lepiej.

- Mały niewinny klaps i łaskotki i jestem skreślony z gry na zawsze. Kochanie, to okrutne.

- Nie, to praktyczne. Nie chcę skończyć na krzyżu św. Andrzeja. - Oczywiście tak by się nie stało. Mogliśmy to zrobić nawet zaraz przy ścianie i nie spotkałaby nas za to żadna kara. W każdym razie tak zapewniała mnie Andais. Ale nie ufałam mojej ciotce. Tylko mnie powiedziała, że celibat został zniesiony. Stwierdziła, że tylko Eamon wie, a on był jej małżonkiem, jej poplecznikiem. Co by było, gdybym rzuciła się na Rhysa, a królowa zmieniłaby zdanie? Dopóki nie ogłosi tego publicznie, lepiej

nie ryzykować. Wtedy i tylko wtedy naprawdę w to uwierzę.

Wielki biały pajak przysunął się do krawędzi pajęczyny. Jego głowa miała średnicę co najmniej trzech cali. Miałam przejść dokładnie pod nim.

- Raz w życiu widziałas śmiertelniczkę umierającą w męczarniach za uwiedzenie strażnika i zapamiętałaś to na zawsze. Masz dobrą pamięć - powiedział Rhys.

- Widziałam, co kat zrobił strażnikowi, który złamał zakaz. Myślę, że ty z kolei masz zbyt krótką pamięć. - Zatrzymałam go, ciągnąc go za ramię, tuż przed ogromnym pajakiem. Mogłam przywołać błędne ogniki, ale nie robiły one wrażenia na pajakach,

- Czy możesz przywołać coś silniejszego niż błędne ogniki? - spytałam. Patrzyłam na czekającego pajaka, jego ciało było większe niż moja pięść. Pajęczyny nad moją głową nagle wydały się cięższe, ociężałe od okrągłych spasionych ciał jak przepełniona rybami sieć, która zaraz miała się rozerwać nad moją głową.

Rhys spojrział na mnie ze zdziwioną miną, a potem popatrzył w górę, jakby dopiero co zauważył grube pajęczyny.

- Nigdy nie przepadałaś za pajakami.

- Co fakt to fakt - powiedziałam. - Nigdy ich nie lubiłam.

Rhys podszedł do pajaka, który zdawał się na mnie czekać. Zostawił mnie na środku korytarza. Słyszałam tupot pajęczych nóg i widziałam, jak nad moją głową jest tkana pajęczyna. Rhys nie zrobił nic widocznego dla mnie. Po prostu dotknął palcem odwłoka pajaka. Pajak zaczął uciekać, potem nagle się zatrzymał i zaczął drzeć w spazmach. Przekreślił się i szarpnął, robiąc dziurę w pajęczynie, po czym zawisł bezwładnie.

Słyszałam dziesiątki pajaków uciekających w bezpieczne miejsce w cichym tupiącym odwrocie. Pajęczyny falowały jak przewrócony do góry nogami ocean. Na Panią i Pana, musiały ich być setki.

Białe ciało pajaka zaczęło się marszczyć i rozpadać, jakby jakiś wielka siła je miażdżyła. To tłuste białe ciało stało się suchą łupiną. Nie byłabym pewna, czym była, gdybym nie widziała jej wcześniej.

Teraz pajęczyna już się nie poruszała. Korytarz był w całkowitym bezruchu, jeśli nie liczyć uśmiechniętego Rhysa. Ciemne światło zdawało się zbierać wokół jego białych loków i białego stroju, dopóki nie zabłysnął na tle szarych pajęczyn i jeszcze bardziej szarego kamienia. Uśmiechał się do mnie radośnie, jak to on.

- Wystarczy? - spytał.

Skinęłam głową.

- Widziałam, jak to robisz, tylko raz i to w czasie bitwy, kiedy twoje życie było zagrożone.

- Opłakujesz tego owada?

- To pajęczak, a nie owad. Nie, nie opłakuję go. Nigdy nie miałam takiej mocy, żeby bezpiecznie przejść przez to miejsce. - Myślałam, że może wezwie ogień lub jaśniejsze światło i je wystraszy. Nie chciałam, żeby...

Wyciągnął do mnie dłoń, wciąż się uśmiechając.

Patrzyłam na czarną łupinę, która zaczęła się delikatnie kołysać w pajęczynie, kiedy wywołaliśmy ruch powietrza w korytarzu.

Uśmiech Rhysa nie zmienił się, ale jego oczy stały się łagodniejsze.

- Jestem bogiem śmierci czy też raczej byłem nim kiedyś, Merry. Myślałaś, że zapalę zapałkę i krzyknę „uuu”?

- Nie, ale... - Patrzyłam na jego wyciągniętą dłoń. Patrzyłam dłużej, niż nakazywałaby to grzeczność. Ale w końcu, z wahaniem, wyciągnęłam swoją. Nasze palce dotknęły się, a on westchnął.

Spojrzał w dół na srebrną obrączkę na moim palcu. Spojrzał mi w oczy.

- Czy mogę? Tak bardzo cię proszę...

Spojrzałam w jego bladobłękitne oczy.

- Dlaczego jest to dla ciebie takie ważne? - Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie rozeszła się już plotka o tym, co ma dzisiaj ogłosić królowa.

- Wszyscy mamy nadzieję, że wezwiała cię do siebie, żebyś wybrała dla siebie przyszłego małżonka. Przypuszczam, że jeżeli pierścień nie rozpozna kogoś, wypada on z gry.

- Jesteś bliżej prawdy, niż myślisz - powiedziałam.

- Więc czy mogę? - spytał.

Starał się nie okazywać podniecenia, ale mu się to nie udało. Chyba nie mogłam go za to winić. Będzie tak teraz cały czas, jak tylko wieść się rozejdzie. Nie, będzie o wiele gorzej.

Skinęłam głową.

Zaczął podnosić moją dłoń do swoich ust.

- Wiesz, że nigdy nie skrzywdziłbym cię celowo, Merry. - Pocałował mnie w rękę, a jego usta musnęły pierścień. Ożył - tylko tego słowa można użyć. Zamigotał, a migotanie to rozeszło się na nasze ciała. Serce podeszło mi do gardła.

Rhys wciąż pochylał się nad moją dłońią, ale usłyszałam, jak wyszeptał: - Och, tak. Podniósł głowę, jego wzrok był oszołomiony.

To była jak dotąd najsilniejsza reakcja, co mnie nieco zmartwiło. Czy siła reakcji świadczyła o męskości mężczyzny, czy było to coś w rodzaju liczenia plemników? Nie miałam nic przeciwko Rhysowi, ale jeśli miałabym z kimś spać tej nocy, to tym Kimś byłby Galen. Pierścień mógł sobie pulsować do usranej śmierci. To ja decydowałam, z kim będę spała. Dopóki moja najdroższa ciotunia nie wyśle do mnie swojego szpiega, oczywiście. Odsunęłam od siebie tę myśl - nie mogłam sobie z nią teraz poradzić. Wśród strażników byli tacy, których wolałabym zabić, niż pocałować - nie mówiąc już o czymś więcej.

Rhys oplótł palcami moje palce i raz jeszcze przycisnął dłoń do pierścienia. Tym razem doznanie było jeszcze silniejsze, sprawiając, że nieświadomie westchnęłam. Czułam, jakby coś głęboko w moim ciele było pieszczone. Coś, czego żadna ręka nie mogła dotykać ale moc... moc mogła przecież przekraczać granice ciała.

- Och, podoba mi się to - stwierdził Rhys.

Wyszarpnęłam swoją rękę.

- Nie rób tego więcej.

- Było ci dobrze i wiesz o tym.

Spojrzałam na jego rozochoconą twarz i powiedziałam:

- Królowa chce nie tylko tego, żebym znalazła kolejnego narzeczonego. Chce, żebym przespała się z kilkoma spośród tych strażników, których pierścień rozpoznaje. To coś w rodzaju wyścigu, kto pierwszy da jej spadkobiercę królewskiej krwi - ja czy Cel.

Wpatrywał się w moją twarz, jakby chciał coś z niej wyczytać.

- Wiem, że nie żartowałabyś, ale to wydaje się zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe.

Lepiej się poczułam, wiedząc, że Rhys też temu nie dowierzał.

- Właśnie. Powiedziała mi, że celibat zostaje dla mnie zdjęty, ale nie mam na to świadków. Myślę, że była szczerą, ale dopóki nie ogłosi tego publicznie, będę udawać, że seks ze strażnikami wciąż jest zabroniony.

Skinął głową.

- Czym jest kilka godzin czekania w porównaniu z tysiącem lat?

Podniosłam brwi.

- Nie mogę was wszystkich zaliczyć dzisiaj, więc może będzie tego czekania trochę więcej niż kilka godzin.

- Dopóki będę pierwszy w kolejce, nie ma to znaczenia. - Starał się, by zabrzmiało to jak żart, ale się nie roześmiałam.

- Obawiam się, że tak właśnie będą myśleli wszyscy. Was jest dwudziestu siedmiu, a ja - tylko jedna.

- Czy musisz spać ze wszystkimi?

- Tego nie powiedziała. Chce jednak, żebym spała z jej szpiegiem, bez względu na to, kim się on okaże.

- Nienawidzisz niektórych strażników, a oni ciebie. Nie może oczekiwać, że ich weźmiesz do łóżka.

Na Pana i Panią, gdybyś z jednym z nich zaszła w ciążę... - Nie skończył tej myśli.

- Musiałabym wyjść za kogoś, kogo nienawidzę, a on stałby się królem.

Rhys zamrugał, biała opaska na oko odbijała światło, kiedy poruszał głową.

- Nie o tym myślałem. Mówiąc szczerze, miałem na myśli seks, ale masz rację - jeden z nas będzie królem.

Spojrzałam w górę na szarą płachtę pajęczyn. Były puste, ale...

- Czy powinniśmy tutaj rozmawiać?

Spojrzał na pajęczyny.

- Masz rację. - Podał mi ramię. - Pani, czy pozwolisz, bym zaprowadził cię na bankiet?

Wsunęłam rękę pod jego ramię.

- Z przyjemnością.

Poklepał mnie po ręce.

- Mam nadzieję, Merry, mam nadzieję.

Zaśmiałam się, a dźwięk odbił się od ścian korytarza, sprawiając, że pajęczyny zakołysały się. To było tak, jakby sufit przechodził wysoko, nad naszymi głowami w jakąś ogromną ciemność, którą tylko pajęczyny chowały przed naszym wzrokiem. Mój śmiech wybrzmiał, na długo zanim wyszliśmy spod pajęczyn.

- Dziękuję, że zrozumiałeś, dlaczego się boję, zamiast skupiać się na fakcie, że może niedługo skończy się kilkusetletni okres celibatu.

Przycisnął moją lewą dłoń do ust.

- Żyję tylko po to, by służyć pod tobą... albo nad tobą... albo jak tylko zechcesz.

Uderzyłam go w ramię.

- Przestań.

Wyszczerzył zęby.

- Rhys to nie jest imię żadnego znanego boga śmierci. W college'u przewertowałam dziesiątki książek i nigdzie cię nie znalazłam.

Nagle z napięciem zaczął się wpatrywać w zwężający się korytarz.

- Teraz mam na imię Rhys. Nieważne, kim byłem wcześniej.

- Oczywiście, że ważne - powiedziałam.

- Dlaczego? - spytał i nagle spoważniał.

Patrząc, jak błyszczy na białło w szarym świetle, nagle poczułam się zmęczona. Ale wpatrywał się we mnie z takim napięciem, że musiałam odpowiedzieć.

- Chcę tylko wiedzieć, z kim mam do czynienia.

- Znasz mnie przez całe swoje życie, Merry.

- Tym bardziej mi powiedz.

- Nie chcę mówić o dawnych czasach.
- A jeśli wzięłabym cię do łóżka? Czy wtedy wyjawiałbyś mi swoje sekrety?

Przypatrywał się mojej twarzy.

- Przekomarzasz się ze mną.

Dotknęłam tej części jego twarzy, która pokryta była bliznami, wędrując palcami od zgrubiałej skóry do miękkich ust.

- Wcale nie. Jesteś piękny. Jesteś moim przyjacielem od lat. Chroniłeś mnie, kiedy byłam młodsza. Kiepsko bym ci się odpłaciła, gdybym pozostawiła cię w celibacie, mogąc mu położyć kres. Poza tym od lat jedną z moich seksualnych fantazji jest przejechanie językiem po twoim umięśnionym brzuchu.

- Ciekawe, ja mam tę samą fantazję - powiedział. Wygiął brwi, kiepsko naśladując Groucho Marxa. - Może wpadniesz do mnie obejrzeć moje akwaforty?

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową. - Czy ty nie oglądasz żadnych kolorowych filmów?

- Niezbyt często. - Wyciągnął dłoń, a ja ją chwyciłam. Szliśmy korytarzem, trzymając się za ręce jak przyjaciele. Ze wszystkich strażników, których lubiłam, reakcji Rhysa na wiadomość o zniesieniu celibatu najbardziej się obawiałam. Ale zachowywał się jak dżentelmen. Po raz kolejny miałam dowód na to, że tak naprawdę nie rozumiałam mężczyzn.

Rozdział 29

Drzwi na końcu korytarza były dziś małe - wysokości człowieka. Czasami stawały się tak duże, że mógł przez nie przejść słoń. Były bladoszare ze złotymi framugami - bardzo w stylu Ludwika któregoś tam. Nie zapytałam Rhysa, czy królowa zmieniła wystrój. Kopiec, podobnie jak Czarny Powóz, sam się zmieniał.

Rhys otworzył eleganckie podwójne drzwi, ale nie weszliśmy do sali za nimi, ponieważ zatrzymał nas Mróz. Przebrał się w strój od królowej. Jego widok zmroził mnie. Myślę, że Rhys przystanął tylko dlatego, że ja się zatrzymałam.

Koszula Mroza była zupełnie prześwitująca, do tego stopnia, że nie byłam pewna, czy materiał jest biały, czy bezbarwny i to jego skóra nadaje mu biały kolor. Koszula ciasno opinała pierś, ale rękawy miały ogromne bufki z przezroczystego materiału aż do łokci, gdzie zostały ściągnięte szeroką srebrną taśmą, poniżej której rękawy były proste. Koszula była zszyta srebrną nitką, która błyszczała przy każdym szwie. Spodnie uszyte ze srebrnego atłasu

- były to biodrówki tak nisko osadzone, że kości bioder było widać przez materiał koszuli. Gdyby włożył bieliznę, byłoby ją widać. Spodnie nie spadały tylko dlatego, że były niewiarygodnie obcisłe. Białe sznureczki nad krokiem, jak sznurki na plecach gorsetu, zastąpiły suwak.

Jego włosy zostały podzielone na trzy części. Górną ułożono na białym kawałku kości tak, że srebrne włosy opadały na jego głowę jak fontanna. Druga część została spięta spinkami po obu stronach głowy. I wreszcie trzecia - tu włosy zwisały luźno, ale było ich tak mało, że były niczym srebrny cienki welon, który tylko podkreślał jego ciało, a nie je zasłaniał.

- Jesteś prawie za piękny, żeby być prawdziwy - powiedziałam.

- Traktuje nas jak lalki, które przebiera, gdy tylko ma taki kaprys. - To była największa krytyka królowej, jaką kiedykolwiek od niego usłyszałam.

- Podoba mi się to - powiedział Rhys. - Cały ty.

Spiorunował go wzrokiem.

- Nieprawda.

Nigdy nie widziałam wysokiego rangą strażnika, który byłby zły z powodu czegoś tak mało istotnego.

- To tylko ubranie. Powinieneś nosić je z gracją. Okazywanie swojego niezadowolenia może ci zaszkodzić i to bardzo.

- Posłuchałem królowej.

- Jeśli dowie się, jak bardzo nienawidzisz tych ubrań, zamówi więcej takich samych.

Przecież wiesz.

Mróz zmarszczył brwi. I wtedy z sali za nim dobiegł krzyk. Rozpoznałam ten głos. To był Galen.

Zrobiłam krok do przodu. Mróz nie cofnął się.

- Z drogi - powiedziałam.

- Książę zarządził, żeby odbyło się to bez świadków. Nikt nie może wejść, dopóki to się nie skończy.

Popatrzyłam na niego. Nie chciałam z nim walczyć. To przekraczało moje możliwości.

- Merry zostanie dziś ogłoszona następcą tronu - powiedział Rhys.

Mróz przeniósł na niego wzrok.

- Nie wierzę.

Galen znowu krzyknął. Na moich rękach pojawiła się gęsia skórka, zacisnęłam pięści.

- Będę dziś ogłoszona następcą tronu.

Pokręcił głową.

- To nic nie zmienia.

- A co jeśli powie ci, że królowa zniesie dla niej celibat? - spytał Rhys. Mróz dalej wyglądał na nie przekonanego.

- Nie grywam w „co jeśli” - powiedział.

Galen znowu krzyknął. Kruki królowej nieczęsto krzyczały z bólu. Podeszłam do Mroza. Napiął mięśnie. Chyba spodziewał się walki.

Przebiegłam lekko palcami po jego koszuli. Podskoczył, jakbym go zraniła.

- Królowa ogłosi dzisiaj, że mam sobie wybrać strażników. Powiedziała, że albo prześpię się dzisiaj wieczorem z jednym z was, albo jutro odegram główną rolę w jej orgiach.

- Objęłam go w pasie, przyciskając się lekko do jego ciała. - Wierz mi, prześpię się z jednym z was jeszcze dzisiaj, a później z następnymi. Szkoda by było, gdybyś się wśród nich nie znalazł.

Jego arogancja zniknęła, zastąpiona przez podniecenie i obawę. Nie rozumiałam tej ostatniej. Spojrzał na Rhysa. - Przysięgnij, że to prawda.

- Przysięgam - powiedział Rhys. - Wpuść ją.

Spojrzał na mnie. Wciąż mnie nie dotknął, ale zszedł z drogi, wyslizgując się z moich ramion. Patrzył na mnie jak na zwiniętego grzechotnika - żadnych gwałtownych ruchów, a nic ci się nie stanie. Tak naprawdę jednak bał się tego, co się działo w sali za nim. Minęłam go. Czułam, że idzie za mną Rhys, ale widziałam tylko to, co znajdowało się

na środku sali. Była tam mała sadzawka z dużą ozdobną skałą, do której prowadziły kamienie.

Do skały przymocowane były na stałe łańcuchy. Galen został do nich przykuty. Jego ciało było prawie niewidoczne pod powoli machającymi skrzydłami krwawymi motylami.

Wyglądały jak zwykłe motyle na krawędzi kałuży, wolno poruszające skrzydłami. Ale nie piły wody, tylko krew.

Galen krzyknął raz jeszcze. Przyspieszyłam. Nagle przede mną pojawił się Doyle.

Najwidoczniej pilnował drugich drzwi. - Nie można ich powstrzymać, kiedy już zaczęły.

- Dlaczego on krzyczy? To nie powinno tak bardzo boleć. - Próbowałam przejść obok niego, ale chwycił mnie za ramię.

- Nie, Meredith, nie.

Galen krzyknął długo i głośno, jego ciało wyprężyło się. Ten ruch sprawił, że niektóre z krwawych motyli odleciały i zobaczyłam, dlaczego krzyczy. Jego krocze było krwawą raną. Zabierały wraz z krwią również ciało.

Rhys syknął.

- Krwawe bestie.

Doyle zacisnął dłoń na moim ramieniu.

- Okaleczają go - zaprotestowałam.

- Wylize się.

Próbowałam się wyrwać, ale jego palce były jak przylutowane do mojej skóry.

- Puść mnie.

- Przykro mi, księżniczko.

Galen krzyknął, a skała poruszyła się pod naporem jego ciała, ale łańcuchy trzymały mocno.

- Nie uda ci się i dobrze o tym wiesz - syknęłam.

- Księżę ma prawo ukarać Galena za nieposłuszeństwo. - Próbował mnie odciągnąć.

- Nie, muszę na to patrzeć. A teraz mnie puść.

- Obiecujesz, że nie zrobisz niczego pochopnego?

- Obiecuję - powiedziałam.

Puścił mnie i kiedy dotknęłam jego ramienia, przesunął się na bok, żeby nie zasłaniać mi widoku. Skrzydła były we wszystkich kolorach tęczy, a niektóre tęcze mogłyby sobie tylko o takich barwach pomarzyć - duże skrzydła, większe niż moje dłonie, trzepoczące nad prawie nagim ciałem Galena. Spodnie miał ściągnięte do kostek. W tej scenie było straszliwe piękno, niczym w jakiejś bardzo ładnej części piekła.

Jedna para skrzydeł była większa. To była sama królowa Niceven. Wpadłam na pewien pomysł.

- Królowo Niceven - powiedziałam - to niegodne królowej odwalać brudną robotę za księcia.

Podniosła małą bladą twarz i syknęła na mnie, jej usta i broda były czerwone od krwi Galena, przód jej białej szaty poplamiony szkarłatem.

Podniosłam rękę z pierścieniem.

- Będę dziś ogłoszona następcą tronu.

- Co to ma wspólnego ze mną? - Jej głos był jak dzwoneczek, słodki i niepokojący.

- Królowa zasługuje na coś lepszego niż krew lorda sidhe.

Patrzyła na mnie swoimi małymi bladymi oczkami. Była tak blada, że przypominała ducha.

- Proponujesz mi coś delikatniejszego?

- Nie delikatniejszego, ale mocniejszego. Krew księżniczki sidhe.

Patrzyła na mnie, wycierając delikatną dłonią krew z ust. Podleciała do mnie.

Pozostałe motyle nie przerywały uczy. Niceven unosiła się tuż przed moimi oczami, jej skrzydła owiewały moją skórę leciutkim wiatrem.

- Chcesz zająć jego miejsce?

- Nie rób tego, księżniczko - powiedział Doyle.

Uciszyłam go gestem.

- Proponuję swoją krew tylko tobie, królowo. Krew księżniczki sidhe jest zbyt dobrą nagrodą, żeby była dzielona.

Mróz i Rhys poruszyli się niespokojnie obok Doyle'a. Patrzyli na nas, jakby nigdy wcześniej nie widzieli takiego przedstawienia. Niceven oblizwała usta języczkiem małym jak płatek kwiatka.

- Pozwolisz, żebym napiła się twojej krwi?

Podniosłam do niej palec.

- Pozwól mu odejść, a będziesz mogła przebić moją skórę i się napić.

- Książę Cel chciał, żebyśmy zniszczyły jego męskość.

- Jak powiedział Doyle, to się zagoi. Dlaczego książę miałby chcieć, żeby krwawe motyle zrobiły coś, co nie będzie trwałym okaleczeniem?

Unosiła się koło mojego palca, jakby była motylem przyglądającym się kwiatu.

- O to musisz zapytać księcia Cella. - Przeniosła wzrok z mojego palca na twarz.

Musisz wiedzieć, że chciał, żebyśmy okaleczyły go na całe życie. Odrzekłam mu, że królowa nie pozwala, żeby na stałe okaleczać jej kochanków. - Niceven unosiła się blisko mojej twarzy, jej mała rączka dotykała koniuszka mojego nosa. - Wtedy książę Cel przypomniał mi, że pewnego dnia to on będzie królem. - Dotknęła lekko moich ust małykami palcami.

Powiedziałam mu, że jeszcze tu nie rządzi i że dla niego nie będę ryzykowała gniewu królowej.

- Co on na to?

- Ustąpił. Uzgodniliśmy, że spróbujemy krwi i ciała tego tutaj, żeby dzisiaj królowa nie miała z niego pożytku w łóżku. - Zmarszczyła brwi i skrzyżowała ramiona na piersi. - Nie wiem, dlaczego jest zazdrosny właśnie o niego.

- To nie od łóżka królowej próbował odsunąć Galena - powiedziałam. Przekrzywiła głowę na jedną stronę, jej długie, cienkie jak pajęczyna włosy ułożyły się wokół. - Od czyjego w takim razie? Twojego?

Pomachałam jej pierścieniem.

- Otrzymałam rozkaz, żeby dziś spać ze strażnikiem.

- I tego właśnie byś wybrała?

Skinęłam.

Niceven uśmiechnęła się.

- Wobec tego Cel jest zazdrosny o ciebie.

- Nie w takim sensie, jak myślisz, królowo Niceven. Ubijmy interes - moja krew w zamian za wolność dla Galena.

Przez kilka chwil unosiła się blisko mojej twarzy, potem skinęła głową.

- Umowa stoi. Wyciągnij ramię, żebym miała gdzie wylądować.

- Najpierw uwolnij Galena.

- Niech będzie.

Odleciała do pozostałych krwawych motyli. Powiedziała im coś i natychmiast wzbiły się w powietrze, po czym poleciały w kierunku sufitu jasną kolorową chmurą. Błada, bladozielona skóra Galena była pokryta małymi czerwonymi rankami; wąskie strużki krwi zaczęły spływać po jego ciele, jakby ktoś niewidzialnym czerwonym piórem próbował połączyć kropki.

- Uwolnijcie go i zajmijcie się jego ranami - powiedziałam. Rhys i Mróz ruszyli, żeby

spełnić moje polecenie. Tylko Doyle został blisko, jakby któregoś z nas nie ufał, albo nam obu. Wyciągnęłam do przodu rękę. Niceven wylądowała na moim przedramieniu. Była cięższa, niż się mogło wydawać, ale i tak lekka i dziwnie krucha, jakby jej małe gołe nóżki zrobione były z wysuszonych kości. Obiema rękami otoczyła mój palec wskazujący, potem zniżyła twarz, jakby miała mnie pocałować. Małe, ostre jak brzytwa ząbki wbiły się w mój palec. Ból był ostry i natychmiastowy. Jej mały języczek zaczął zlizywać krew skapującą na moją skórę. Owinęła się wokół mojej dłoni, tak że każdy cal jej małego ciała dotykał mojej skóry. To był dziwnie zmysłowy ruch, jakby czerpała z tego nie tylko krew. Reszta krwawych motyli unosiła się w powietrzu wokół mnie jak kolorowy wiatr, poruszając się delikatnie. Ich usta i maciupkie rączki były czerwone od krwi Galena. Niceven pieściła moją rękę swoimi dłońmi i gołymi stopami; jej małe kolano uderzało we wnętrze mojej dłoni.

Podniosła głowę i wzięła oddech.

- Jestem pełna krwi i ciała twojego kochanka. Nie dam rady wypić więcej. - Usiadła na mojej dłoni, jej głowa spoczęła na palcu. - Dużo bym dała za dłuższy poczęstunek któregoś dnia, księżniczko Meredith. Smakujesz magią i seksem. - Wstała i uniosła się z mojej dłoni, wolno machając skrzydełkami. Podleciała blisko mojej twarzy, patrząc na mnie bez słowa, jakby zobaczyła coś, czego ja nie widziałam, albo próbowała znaleźć coś, czego tam nie było. W końcu skinęła głową i powiedziała: - Do zobaczenia na bankiecie, księżniczko. - Wzleciała wyżej w powietrze, a jej towarzyszki podążyły za nią. Ogromne drzwi na końcu sali otworzyły się wolno, choć nikt ich nie dotknął, a kiedy już jasna chmura motyli zniknęła za nimi, równie powoli się zamknęły.

W sali rozległ się cichy dźwięk. Galen opierał się o ścianę, spodnie miał już podciągnięte, ale nie zapięte. Rhys przemywał małe ranki jakimś płynem, dopóki nagie ciało Galena nie zaczęło błyszczeć w świetle.

Spojrzał na mnie.

- Czy to prawda z tym celibatem?

- Tak - powiedziałam i przykucnęłam obok niego.

Uśmiechnął się, ale najwyraźniej sprawiło mu to ból.

- Nie będzie ze mnie pożytku tej nocy.

- Będą jeszcze inne noce - powiedziałam.

Uśmiechnął się szerzej, ale po chwili się skrzywił, bo Rhys zaczął przemywać resztę ran. - Dlaczego Celowi tak zależało na tym, żebyśmy nie spali dziś ze sobą?

- Zdaje się, że Cel uważa, że jeśli nie będę mogła spać z tobą, będę spała sama. Galen spojrzał na mnie.

Nie czekałam na jego reakcję, bo bałam się, że możemy poczuć się jeszcze bardziej nieswojo.

- Nie wiem, czy słyszałeś, że jeśli nie będę się dziś kochać z kimś, kogo sobie wybiorę, jutro będę zabawiać dwór z tymi, których wybierze królowa.

- Musisz dzisiaj kogoś wybrać, Merry.

- Wiem. - Dotknęłam jego twarzy i okazało się, że jest zimna i zroszona potem. Stracił wiele krwi. Nic groźnego dla Sidhe, ale będzie za słaby dzisiaj nie tylko na seks.

- Jeśli to jest twoja kara za nieposłuszeństwo, jaką karę otrzymał Barinthus?

- Nie może uczestniczyć w dzisiejszym bankiecie - powiedział Mróz. Podniosłam brwi ze zdziwienia.

- Galen został wydany krwawym motylom, a Barinthus po prostu nie pójdzie na kolację?
 - Cel boi się Barinthus, nie boi się natomiast Galena - wyjaśnił Mróz.
 - Jestem po prostu zbyt miły.
 - Zgadza się - powiedział Mróz - jesteś.
 - To miał być żart - zauważył Galen.
 - Niestety - włączył się do rozmowy Doyle - nie był śmieszny.
 - Nie każmy królowej czekać - powiedział Rhys. - Możesz iść?
 - Postawcie mnie na nogi, a będę szedł. - Doyle i Mróz pomogli mu wstać. Poruszał się powoli, jakby wszystko go bardzo bolało, ale kiedy dotarł do drzwi, szedł już o własnych siłach. Zdrowiał na naszych oczach, jego rany zasklepiały się. To było jak oglądanie od tyłu filmu o kwitnięciu kwiatów.
- Oliwa przyspieszyła ten proces, ale głównie zawdzięczał to swemu ciału. Niesamowitemu ciału wojownika sidhe. W ciągu kilku najbliższych godzin rany powinny się zasklepić; za kilka dni nie będzie po nich śladu. Za kilka dni Galen i ja będziemy mogli w końcu ugasić żar naszych ciał. Na ten wieczór musiałam jednak wybrać kogoś innego. Popatrzyłam na pozostałych strażników, jakbym była ich właścicielką, jakbym wchodziła do kuchni, wiedząc, że na półkach stoją same przysmaki. Żaden z nich nie był losem gorszym od tortur. Pytanie brzmiało - który? Jak wybrać jeden spośród doskonałych kwiatów, jeśli w grę nie wchodzi miłość? Nie miałam pojęcia. Może powinnam rzucić monetą?

Rozdział 30

Drzwi z sali Fontanny Bólu prowadziły do dużego ciemnego holu. Światło było tu szarawe. Coś zachrząściło pod stopami. Spojrzałam w dół i zobaczyłam liście. Pełno suchych liści. Popatrzyłam w górę i odkryłam, że gałęzie, które wily się ponad naszymi głowami, były suche i bez życia. Liście na nich były zwinięte.

Dotknęłam rośliny przy drzwiach. Nie było w niej śladu życia.

- Róże są martwe - wyszeptalam do Doyle'a, jakby był to jakiś wielki sekret. Skinął głową.
- Od lat umierały - zauważył Mróz.
- Umierały, ale nie były martwe.

Róże były ostatnią obroną dworu. Jeśli wrogowie wdarliby się aż tutaj, róże miały ożyć i ich zabić albo przynajmniej spróbować, dusząc lub kłując kolcami. Młodsze, dolne odrośla miały kolce jak inne pnące się róże, ale były schowane głęboko w gałęziach, które miały kolce wielkości małych sztyletów. Róże nie były tylko obroną, stanowiły też dowód na to, że kiedyś pod ziemią istniały magiczne ogrody. Podobno pierwsze umarły drzewa, potem zioła, a teraz, jako ostatnie, kwiaty.

Przyjrzałam się baczniej roślinom. Były suche i bez życia. Wysłałam błysk mocy i poczułam puls, wciąż jeszcze istniejący, ale słaby. Dotknęłam delikatnie najbliższych pędów. Kolce były tutaj małe, ale ostre jak szpilki.

- Przestań pieścić róże - powiedział Mróz. - Mamy ważniejsze problemy na głowie. Odwróciłam się do niego, dłoń wciąż trzymając na różach.
- Jeśli róże umrą, naprawdę umrą, wiesz, co to będzie oznaczać?
- Wydaje mi się, że lepiej niż ty - powiedział. - Ale nie możemy dla nich nic zrobić ani poradzić na to, że moc sidhe umiera. Jeśli jednak będziemy ostrożni, może uda nam się uratować choć siebie.

- Bez naszej magii nie jesteśmy sidhe - odrzekłam. Nie patrząc, przesunęłam rękę i ukłułam się w

palec kolcem. Szarpnęłam. W moim palcu tkwił mały kolec. Łatwo go można było wyjąć paznokciami. Nawet tak bardzo nie bolało, po prostu mała kropka karmazynu na palcu.

- Jak bardzo jesteś ranna? - spytał Rhys.

- Nie bardzo - odparłam.

Niskie suche syczenie przebiegło przez komnatę, zupełnie jakby jakiś wielki wąż przemykał się w ciemności. Dźwięk dochodził gdzieś znad naszych głów. Spojrzeliśmy w górę. Gałęzie zdrząły, a suche liście opadły szeleszczącym deszczem na ziemię, pozostając na naszych włosach, ubraniach.

- Co się dzieje? - spytałam.

- Nie wiem - odparł Doyle.

- To może chodźmy już stąd, co? - zaproponował Rhys. Odruchowo sięgnął po miecz.

Zapomniał, że go nie ma. Drugą ręką chwycił mnie za ramię i pociągnął w kierunku najbliższych drzwi - z powrotem do sali z fontanną. Żaden z nich nie był uzbrojony, chyba że Doyle wciąż miał mój pistolet. Coś mi jednak mówiło, że w tych okolicznościach pistolet do niczego nam się nie przyda.

Otoczyli mnie murem ze swoich ciał. Gdy Rhys dotknął klamki, gałęzie zagroziły nam drogę. Odskoczył, odpychając mnie od drzwi. Doyle chwycił mnie za drugą rękę i oto nagle biegliśmy już do drzwi po drugiej stronie. Z powodu wysokich obcasów nie mogłam za nimi nadążyć. Potknęłam się, ale podtrzymali mnie i dalej biegłam, ledwo dotykając ziemi. Mróz był daleko przed nami.

- Pośpieszcie się! - zawołał.

- A niby co robimy - mruknął pod nosem Rhys.

Obejrzałam się na Galena. Osłaniał moje plecy gołymi rękami. Ale kolce nie dotykały

go. Cienkie, wijące się niczym żmije suche gałęzie wysuwały się tylko po mnie. Kolce wznosiły się nade mną i spadały na moją głowę, rozczesując włosy, ciągnąc je. Kiedy Doyle spojrział w górę, zauważyłam szkarłatny błysk na jego twarzy - świeża krew.

Kolce zaplątywały mi się we włosy, próbując mnie odciągnąć. Krzyknęłam, szarpiąc głowę. Rhys złapał mnie za włosy i razem wyciągaliśmy je z kolców.

Mróz otworzył drzwi. Błysk jaśniejszych światła i twarze patrzące na nas, niektóre podobne do twarzy ludzi, inne nie.

- Dajcie mi miecz! Miecz! - krzyknął Mróz.

Jakiś strażnik ruszył do przodu. I wtedy usłyszałam głos Cela.

- Nie! Nie dawaj mu miecza.

- Sithney, daj nam swój miecz! - krzyknął Doyle.

Strażnik przy drzwiach zaczął wyjmować miecz z pochwy. Mróz wyciągnął po niego rękę. Roślina zaczęła wślizgiwać się przez drzwi do sąsiedniej komnaty. W tym momencie Mróz mógł jeszcze tam wejść, ocalić siebie. Nie zrobił tego jednak, odwrócił się do nas. Drzwi zniknęły za tnącą falą kolców.

Rhys i Doyle pociągnęli mnie na podłogę. Doyle pchnął Rhysa na mnie. Nagle znalazłam się pod stosem ciał. Włosy Rhysa spadały obok mojej twarzy niczym jedwab. Spojrzałam do góry i zobaczyłam czyjąś rękę w czarnym płaszczu. Byłam przyciśnięta do ziemi tak mocno, że nie tylko nie mogłam się poruszać, ale z trudnością oddychałam.

Gdyby to był ktoś inny niż Doyle i Mróz, czekałabym na okrzyki bólu. Zamiast tego spodziewałam się, że nacisk ciał będzie coraz lżejszy, w miarę jak mężczyźni będą po kolei odciągani przez kolce. Ale nie był coraz lżejszy.

Leżałam płasko na brzuchu na zimnej kamiennej podłodze i patrzyłam do góry. Widziałam nagie ramię, które nie było czysto białe, więc był to Galen.

Krew pulsowała mi w uszach, dopóki nie zaczęłam słyszeć bicia swojego serca. Mijały jednak minuty i nic się nie działo. Mój puls uspokoił się. Przycisnęłam dłonie do kamiennej podłogi. Szary kamień był prawie tak gładki jak marmur, wydeptany przez stulecia. Słyszałam oddech Rhysa przy swoim uchu. Szelest ubrania, kiedy ktoś nad nami się poruszył. Ale nad wszystkim był dźwięk kolców, niski, nieprzerwany pomruk przypominający szum morza.

- Mogę cię pocałować, zanim zginę? - wyszeptał Rhys.

- Chyba jeszcze nie umieramy - odparłam.

- Łatwo ci mówić. Jesteś na samym dole - zauważył Galen.

- Co się dzieje tam na górze? Nic nie widzę - powiedziałam.

- To się ciesz - rozległ się głos Mroza.

- Co się dzieje? - spytałam raz jeszcze, głośniej.

- Nic - zagrzmiął głęboki głos Doyle'a. - To dziwne.

- Czyżbyś był rozczarowany? - spytał Galen.

- Raczej zaciekawiony - odparł Doyle.

Nagle peleryna Doyle'a zniknęła mi z oczu, a nacisk ciał zelżał.

- Doyle! - krzyknęłam.

- Nie obawiaj się, księżniczko. Nic mi nie jest - powiedział.

Nacisk znów zelżał, ale tylko trochę. Kilka sekund minęło, zanim zrozumiałam, że to Mróz się podniósł. - Interesujące - stwierdził.

Ramię Galena zniknęło mi z oczu.

- Co się dzieje? - zapytał.

Nie słyszałam, żeby ktoś chodził, ale widziałam Galena klęczącego po jednej stronie. Odgarnęłam włosy Rhysa z mojej twarzy jak dwie zasłonki. Mróz klęczał przy Galenie. Tylko Doyle stał samotnie po drugiej stronie. Widziałam jego czarną pelerynę.

Rhys podniósł się na ramionach, jakby ćwiczył pompki. - Dziwne.

Tego było za wiele. Musiałam to zobaczyć.

- Złaz ze mnie, Rhys. Chcę to zobaczyć.

Pochylił głowę nad moją odwróconą twarzą, wciąż opierając się na ramionach, ale przygniatając mnie dolną częścią ciała. W innych okolicznościach powiedziałabym, że robi to naumyślnie. Ale materiał mojej sukienki był na tyle cienki, a jego ubranie na tyle lekkie, że wiedziałam, że wcale tak nie jest. Patrzenie w jego trójkolorowe oczy z odległości kilku cali okazało się bardzo intymną czynnością.

- Tylko ja cię teraz osłaniam - powiedział. - Ruszę się jedynie na wyraźny rozkaz Doyle'a.

Widok jego małych okrągłych usteczek sprawił, że rozboleła mnie głowa. Zamknęłam oczy. - Nie mów do mnie odwrócony do góry nogami - powiedziałam.

- Spoko - odparł Rhys. - Spójrz po prostu w górę. - Stał nade mną na czworaka, jak klacz chroniąca źrebię.

Pozostałam płasko na ziemi, ale wyciągnęłam szyję do góry. Widziałam tylko krzaki róż. Wisiały nad nami jak cienkie, poszarpane, brązowe sznury, kołysząc się do przodu i do tyłu jakby poruszane wiatrem, ale wiatru nie było, a te poszarpania to były kolce.

- Oprócz tego, że róże znów ożyły, co niby mam widzieć?

- Tylko małe kolce wyciągają się do ciebie, Merry - odparł Doyle.

- I co z tego? - spytałam.

Jego czarna peleryna przybliżyła się, kiedy stanął nad nami.

- To znaczy, że chyba nie chcą cię skrzywdzić.

- A czego mogą chcieć? - spytałam. Powinna czuć się głupio, rozmawiając tak z Doyle'em, gdy Rhys stał nade mną na czworaka. Ale nie czułam się głupio. Chciałam, żeby ktoś był pomiędzy mną a szelestem kolców.

- Wydaje mi się, że mogą chcieć napić się królewskiej krwi - powiedział Doyle.

- Jak to napić się? - zapytał Galen, zanim ja zdołałam. Siedział na ziemi, tak że widziałam górną część jego ciała. Krew zaschła w plamy i małe strużki na jego torsie, ale ukąszenia prawie zniknęły. Przód jego spodni był przesiąknięty krwią, Galen jednak ruszał się sprawniej, nie był już tak obolały. Wszystko zdrowiało.

Ja nie ozdrowiałabym, gdyby kolce wbiły się w moje ciało. Umarłabym.

- Róże kiedyś piły krew królowej za każdym razem, kiedy tędy przechodziła - powiedział Doyle.

- To było wieki temu - zauważył Mróz - zanim jeszcze ośmieliliśmy się marzyć o podróżach do zachodnich krain.

Uniosłam się na łokciach.

- Przechodziłam pod tymi różami tysiące razy i nigdy na mnie nie reagowały, nawet kiedy jeszcze miały kwiaty.

- Zyskałaś moc, Meredith. Ziemia cię rozpoznała, kiedy cię dzisiaj powitała - powiedział Doyle.

- Jak to: ziemia ją powitała? - spytał Mróz.

Doyle mu wyjaśnił.

Rhys schylił się, żeby popatrzeć mi w twarz - znowu do góry nogami.

- Super - powiedział.

Uśmiechnęłam się, ale odsunęłam jego głowę.

- Ziemia rozpoznaje mnie jako moc.

- Nie tylko ziemia - zauważył Doyle. Siedział po drugiej stronie Galena, rozwijając swoją pelerynę.

Teraz widziałam jego twarz. Wyglądał na pogrążonego w myślach, jakby zastanawiał się nad jakimś ważkim problemem filozoficznym.

- Świetnie - powiedział Rhys - ale może porozmawiamy o tym później, co? Najpierw musimy wydostać stąd Merry, zanim róże spróbują ją pożreć.

Doyle popatrzył na mnie, jego czarna twarz zdawała się nieporuszona.

- Bez mieczy mamy niewielką szansę na to, żeby dotrzeć do drzwi z żywą Merry. My przeżyjemy najgorsze ataki róż, ona - nie. Skoro to jej bezpieczeństwo jest tutaj najważniejsze, musimy się zastanowić, czy można się stąd wydostać bez używania przemocy. Jeśli użyjemy przemocy, róże odpłacą tym samym. - Machnął ręką do góry, pokazując na kłacza. - Na razie są dosyć spokojne. Wykorzystajmy to, żeby pomyśleć.

- Ziemia nigdy nie witała Cela, róże też po niego nie sięgały - powiedział Mróz. Przyczołgał się, żeby usiąść obok Doyle'a. Wydawało się, że nie ufa różom tak jak on. Tutaj się z nim zgadzałam. Nigdy nie widziałam, żeby róże się ruszały. Słyszałam o tym, ale nigdy nie sądziłam, że sama to zobaczę. Często marzyłam o tym, żeby zobaczyć komnatę wypełnioną słodkim zapachem róż. Stare przysłowie mówi: uważaj, o czym marzysz, żeby przypadkiem twoje marzenia się nie spełniły. Tyle że nie było tu kwiatów, a jedynie kolce. Nie tego dokładnie sobie życzyłam.

- To, że wkłada się na czyjaś głowę koronę, nie oznacza jeszcze, że jest on zdolny do rządzenia - powiedział Doyle. - W dawnych czasach to magia i ziemia wybierały władcę. Jeśli magia go odrzucała, jeśli ziemia go nie akceptowała, wybierano nowego następcę.

Uświadomiłam sobie nagle, że wszyscy na mnie patrzą. Spojrzałam na nich. Mieli prawie taki sam wyraz twarzy i bałam się, że wiem, o czym myślą. Byłam coraz wyraźniejszym celem.

- Nie jestem jeszcze następcą.

- Królowa cię dzisiaj nim ogłosi - powiedział Doyle.

Spojrzałam na jego czarną twarz, próbując wyczytać coś z oczu.

- Czego ode mnie chcesz?

- Po pierwsze, zobaczymy, co się stanie, kiedy Rhys odłoni kolcom drogę do ciebie. Jeśli zareagują gwałtownie, nie posuniemy się dalej. W końcu ktoś nas kiedyś uratuje.

- Czy chcesz, żebym teraz się ruszył? - spytał Rhys.

Doyle skinął głową. - Proszę.

Przytrzymałam Rhysa.

- A jeśli róże rzucą się na mnie, żeby mnie rozszarpać na strzępy?

- Wtedy zasłonimy cię swoimi ciałami i pozwolimy, żeby nas rozszarpały najpierw. Głos Doyle'a był uprzejmy, wyzuty z emocji. Mówił tonem, którego używał na dworze, kiedy nie chciał zdradzić swoich myśli. Tonem wyćwiczonym przez wieki rozmawiania z władcami, którzy nie zawsze byli poczytalni.

- Wątpliwe pocieszenie - stwierdziłam.

Rhys znów spojrzał na moją twarz odwrócony do góry nogami.

- Myślisz, że jak się czuję? Poświęcę swoje pięknie zbudowane, muskularne ciało właśnie teraz, kiedy myślałam, że ktoś inny też mógłby je docenić.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Obiecuję, że jeśli puścisz moje ramiona, rzucę się na ciebie, gdy tylko znajdziesz się w niebezpieczeństwie. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Zresztą rzucę się na ciebie także wtedy, gdy nie będziesz się znajdować w niebezpieczeństwie.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Jeśli kolce miały mnie rozszarpać, co za różnica, jaką będę miała w chwili śmierci minę. Puściłam jego ramiona.

- Złaż ze mnie, Rhys.

Pocałował mnie delikatnie w czoło i wstał.

Przewróciłam się na bok, patrząc w górę. Wszyscy mężczyźni stali nade mną, ale tylko Rhys patrzył na mnie. Pozostali spoglądali na kolce.

Kolce delikatnie zakołysały się nad nami, jakby tańczyły w rytm jakiejś muzyki, której my nie mogliśmy usłyszeć.

- Chyba nic nie robią - powiedziałam.

- Spróbuj wstać. - Doyle wyciągnął do mnie rękę.

Popatrzyłam na jego czarną dłoń z białymi jak mleko paznokciami. Spojrzałam na Rhysa.

- Rzucisz się na mnie, gdy znajdę się w niebezpieczeństwie? - upewniłam się.

- Będę szybki jak królik - zapewnił.

Zobaczyłam, że Galen patrzy na Rhysa. Nie było to przyjazne spojrzenie.

- Słyszałem - powiedział Galen - że jesteś szybki.

- Jeśli chcesz być na spodzie następnym razem, proszę bardzo - odrzekł Rhys. - Ja raczej wolę być na górze. - Jego słowa były kąśliwe, nie wyglądał na zadowolonego.

- Dzieciaki - rzekł Doyle z nutką dezaprobaty w głosie. Westchnęłam. - Jeszcze nie zostałam formalnie ogłoszona następczynią, a kłótnie już się zaczęły. A Rhys i Galen to ci dwaj rozsądniejsi z was.

Doyle uklonił się nieznacznie i wyciągnął do mnie rękę.

- Uporajmy się najpierw z jednym problemem, księżniczko. Jeśli będziemy to robić inaczej, pogubimy się.

Spojrzałam w jego ciemne oczy i wsunęłam rękę w jego dłonie. Ich uścisk był mocny i

niemiarygodnie silny. Podniósł mnie na nogi szybciej, niż sama mogłam wstać. Trochę się zachwiałam i musiałam złapać go za rękę, żeby się nie przewrócić. Drugą ręką złapał mnie za ramię i przyciągnął do siebie. Spojrzałam na niego. Z jego twarzy nie można było jednak wywnioskować, czy zrobił to z rozmysłem.

Kolce zasyczały wściekle nad naszymi głowami. Popatrzyłam w górę z dłońmi na ramionach Doyle'a - byłam przerażona.

- Może powinnaś dać nam noże, zanim zrobimy następny ruch? - spytał.

Spojrzałam na niego.

- A jaki będzie ten następny ruch?

- Róże chcą się napić twojej krwi. Będą usiłowały dotknąć twojego nadgarstka, bo to zwykle z niego piły - powiedział.

Nie podobało mi się to.

- Nie przypominam sobie, żebym zgodziła się na zostanie honorowym dawcą krwi.

- Daj nam noże, Meredith, proszę - powiedział.

Spojrzałam na wijące się kolce. Jeden ich rząd nieznacznie się obniżył. Puściłam Doyle'a, sięgnęłam ręką za stanik i wyjęłam nóż. Otworzyłam go. Mróz wydawał się zaskoczony i niezadowolony. Rhys był zaskoczony, ale zadowolony.

- Nie wiedziałem, że można schować taką broń za taki mały skrawek materiału powiedział Mróz. -

Może nie będziemy musieli cię tak bardzo chronić, jak myślałem.

Galen nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Znał mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że na dworze zawsze jestem uzbrojona.

Podaliśmy nóż Doyle'owi i podwinęłam spódnicę. Poczułam na sobie ich wzrok. Spojrzałam na nich. Mróz odwrócił wzrok, jakby zmieszany. Ale inni patrzyli albo na moją nogę, albo na twarz.

- Jak będziecie się tak gapić, zrobię się nerwowa.

- Przepraszam - powiedział Doyle.

- Skąd to nagłe zainteresowanie, panowie? Widzieliście dworki w bardziej skąpych strojach. - Podnosiłam spódnicę, dopóki nie odsłoniłam podwiązki. Obserwowali każdy mój ruch, tak jak koty obserwują ptaki w klatce.

- Dworki są dla nas nieosiągalne - stwierdził Doyle. - Co innego ty.

Ach, to o to chodzi. Wyjęłam nóż spod podwiązki. Opuściłam spódnicę, a oni patrzyli, jak opada. Lubiłam być zauważana przez mężczyzn, tym razem jednak nieco mnie to zdenerwowało. Jeśli przeżyję noc, będę musiała z nimi o tym porozmawiać. Ale jak powiedział Doyle, jeden problem naraz albo się pogubimy.

- Kto ma dostać nóż?

Trzy blade dłonie wyciągnęły się do mnie. Spojrzałam na Doyle'a. Przecież był w końcu kapitanem Straży. Skinął głową, jakby zaaprobował to, że to on ma wybrać. Wiedziałam, którego lubię najbardziej, ale nie wiedziałam, który jest najlepszy we władaniu bronią.

- Daj go Mrozowi - powiedział Doyle.

Podaliśmy mu nóż. Wziął go, kłaniając się. Zauważyłam, że na jego ładnej koszuli znajdowały się małe ślady krwi. Naciskał na rany na plecach Galena. Będzie musiał zmoczyć koszulę albo plamy pozostaną na zawsze.

- Rozumiem, że Mróz zasługuje dzisiaj na uwagę, ale tracimy przez ciebie czas upomniał mnie Doyle. Skinęłam głową. - Chyba tak. - Spojrzałam na zwisające nade mną kolce. Żołądek mi się skurczył, dłonie miałam zimne. Bałam się.

- Wyciągnij nadgarstek do najniższej gałęzi. Będziemy cię chronić do ostatniego oddechu. Wiesz o

tym.

Skinęłam głową.

- Wiem. - Wiedziałam. A nawet w to wierzyłam, ale mimo wszystko... popatrzyłam na kolce, a potem przeniosłam wzrok na ciemność w górze. Gałęzie tak grube jak moja noga wiły się jak węże. Niektóre kolce były tak duże jak moja dłoń, błyszcząc na czarno.

Znowu spojrzałam na cienkie kolce bezpośrednio nad moją głową. Chociaż małe, były bardzo liczne, przypominały zbroję z małych szpileczek.

Wzięłam głęboki oddech i wypuściłam powietrze. Zaczęłam podnosić wolno rękę z dłonią zaciśniętą w pięść. Moja dłoń nie była nawet na wysokości głowy, kiedy gałąź zniżyła się jak wąż w dół dziury. Oplotła mój nadgarstek, a kolce wbiły się w skórę jak haczyki w usta ryby. Ból był ostry i natychmiastowy, nadszedł sekundę wcześniej, nim zaczęła lecieć krew. Szkarłatna strużka zaczęła zsuwać się po moim nadgarstku, gęsta i powolna.

Galen stał nade mną, z dłońmi wokół mnie, jakby chciał mnie dotknąć, ale się bał.

- Czy to nie wystarczy? - spytał.

- Najwyraźniej nie - powiedział Doyle.

Spojrzałam tam, gdzie utkwiony był jego wzrok, i zobaczyłam drugą cienką gałązkę wiszącą nad moją głową. Zatrzymała się tak jak pierwsza - czekała. Czekwała na moje zaproszenie.

Popatrzyłam na Doyle'a.

- Chyba żartujesz.

- Dawno już nie jadły, Meredith.

- Znosiłaś już większy ból - powiedział Rhys.

- I nawet ci się to podobało - dodał Galen.

- W innych okolicznościach - zauważyłam.

- Zawsze są jakieś okoliczności - powiedział cicho. Było coś dziwnego w jego głosie, ale nie miałam czasu, żeby to rozszyfrować.

- Dałbym swój nadgarstek za ciebie, ale nie jestem następcą tronu - rzekł Doyle.

- Ja też jeszcze nie.

Gałązka zniżyła się, dotykając moich włosów jak kochanek próbujący wypieścić sobie drogę do ziemi obiecanej. Wyciągnęłam drugą rękę, z zaciśniętą pięścią. Gałąź owinęła się zachłannie wokół nadgarstka. Kolce wbiły się w moje ciało. Gałąź pociągnęła mocno. Westchnęłam. Rhys miał rację. Znosiłam już większy ból, ale każdy ból to osobliwa, wyjątkowa tortura. Gałęzie się naprężyły, podnosząc moje ręce wysoko nad głowę. Było tak wiele kolców, że miałam wrażenie, jakby jakieś zwierzątko próbowało przebić się przez moją skórę.

Krew nieprzerwanie płynęła po moich ramionach. Czułam każdy strumyczek krwi. Ból w nadgarstkach pochłaniał całą moją uwagę. Gałęzie podniosły mnie aż na palce, tak że tylko one podtrzymywały mnie przed upadkiem. Ostry ból przerodził się w pieczenie. Usłyszałam głos Galena, dochodzący jakby z oddali.

- Wystarczy, Doyle.

Dopóki tego nie powiedział, nie uświadamiałam sobie, że zamknęłam oczy. Zamknęłam je i oddałam się bólowi, bo tylko go obejmując, mogłam się nad nim unieść, podróżować przez niego do miejsca, gdzie nie było bólu, a ja unosiłam się na morzu czerni, lego głos sprowadził mnie z powrotem, do kolców i strużki krwi.

Próbowałam się wyszarpnąć, a kolce odpowiedziały na ten ruch, podciągając mnie do góry, w powietrze.

Krzyknęłam.

Ktoś chwycił moje nogi, podtrzymując mnie. Popatrzyłam w dół i zobaczyłam, że to Galen mnie trzyma.

- Wystarczy, Doyle - powiedział.

- Nigdy nie piły tak długo z królowej - zauważył Mróz. Podszedł do nas z nożem w dłoni.

- Jeśli przetniemy gałęzie, zaatakują nas - rzekł Doyle.

- Musimy coś zrobić - uciał Rhys.

Doyle skinął głową.

Rękawy mojej sukienki były przesiąknięte krwią. Szkoda, że nie włożyłam czegoś czarnego. Nie byłoby tak bardzo widać krwi. Ta myśl sprawiła, że zaczęłam chichotać. Szare światło zdawało się pływać wokół nas. Byłam oszołomiona. Chciałam, żeby krew przestała lecieć, zanim zacznę mieć mdłości. Nie ma to jak mdłości z powodu upływu krwi. Czujesz się zbyt słabo, żeby się ruszyć, a mimo to chcesz wypluć żołądek na podłogę. Mój strach rozplýwał się w świetle, to było tak jakby świat był otoczony mgłą.

Byłam niebezpiecznie blisko utraty przytomności. Miałam już dosyć tych kolców. Próbowałam powiedzieć „wystarczy”, ale nie wydobył się z mojego gardła żaden dźwięk. Skoncentrowałam się na ustach - poruszyły się, formułując słowo, ale nie było dźwięku.

Potem coś usłyszałam, ale nie był to mój głos. To gałęzie zasyczały i zatrzęsły się nade mną. Spojrzałam w górę, zadzierając głowę. Gałęzie przesuwaly się nade mną jak czarne sznury. Kolce zaciśnięte wokół mojego nadgarstka pociągnęły mnie do góry z ostrym syknięciem. Tylko dzięki Galenowi, który trzymał mnie za nogi, nie zostałam wciągnięta do gniazda kolców. Moje nadgarstki krwawiły.

- Wystarczy! - krzyknęłam.

Gałęzie zatrzęsły się, drząc na mojej skórze. Komnatę nagle wypełniły opadające liście. Suchy brązowy śnieg zawirował w powietrzu. Czuć było świeżą mocną woń jesiennych liści, a pod nią bogaty zapach świeżej ziemi.

Kolce obniżyły mnie do ziemi. Galen wziął mnie w ramiona. Gałęzie były dziwnie delikatne, o ile zęby mogą być delikatne, kiedy próbują odgryźć ci rękę.

Gałęzie odsunęły się od drzwi i otworzyły się one na oścież, uderzając o ścianę.

Galen trzymał mnie w ramionach, a gałęzie wciąż oplatały moje nadgarstki, tak że ręce miałam dalej wyciągnięte nad głowę. Odwróciliśmy się wszyscy do strumienia światła, który wpadł zza otwartych drzwi.

Światło było oślepiająco jasne. Wiedziałam, że naprawdę takie jasne nie jest, że tylko wydaje mi się takie, bo zbyt długo byłam w ciemności. Nagle w tym świetle pojawiła się kobieta z dymem unoszącym się z dłoni, jakby każdy z jej złotych palców był zdmuchniętą świeczką.

Fflur była ubrana w czarną szatę, która sprawiała, że jej żółta skóra była w kolorze żonkili. Żółte włosy rozpostarły się wokół jej sukni jak błyszcząca peleryna.

Strażnicy rozproszyli się po obu jej stronach. Niektórzy mieli broń; inni przyszli nie uzbrojeni. W Straży Królowej służyło dwudziestu siedmiu strażników; tyle samo kobiet w Straży Króla. Z braku króla ochraniały one Cela. Razem dawało to pięćdziesięciu czterech wojowników. Do komnaty weszło mniej niż trzydziestu.

Mimo osłabienia próbowałam zapamiętać twarze tych, którzy przyszli nam z pomocą, narażając życie. Strażnicy, którzy zostali za drzwiami, stracili szansę na to, żeby ze mną spać. Ale nie mogłam się skupić na wszystkich twarzach. Do komnaty weszli bowiem nie tylko strażnicy. Weszły tam również istoty niższe od nich i mniej niż oni przypominające ludzi.

To były gobliny.

Gobliny nie były sprzymierzeńcami Cela. To była moja ostatnią myśl, zanim zapadłam w ciemność. Zanurzyłam się w tej błogiej ciemności jak kamień wrzucony głęboko w wodę, który wciąż tylko spadał i spadał, bo nie było dna.

Rozdział 31

W ciemności było światło. Mały punkt bieli, który płynął w moim kierunku, coraz bardziej rosnąc. W końcu zobaczyłam, że to białe płomienie. Kula białego ognia płynęła przez ciemność w moją stronę. Nie mogłam przed nią uciec, bo nie miałam ciała. Byłam czymś unoszącym się w zimnej ciemności. Ogień obmył mnie i nagle znów miałam ciało. Miałam kości, mięśnie, skórę i głos. Ogień zajął moją skórę, poczułam, że moje mięśnie się gotują. Ogień dotarł do moich kości, wypełnił żyły stopionym metalem i zaczął trawić mnie od środka.

Obudziłam się z krzykiem.

Ujrzałam nad sobą pochylonego Galena. Widok jego twarzy uspokoił mnie. Trzymał moją głowę na swoich udach, gładził mi czoło i odgarniał włosy z twarzy.

- Wszystko w porządku, Merry. W porządku. - Jego oczy błyszczały jak zielone szkło.

Fflur pochyliliła się nade mną.

- Słabe powitanie przynoszę, księżniczko Meredith, ale muszę odpowiedzieć naszej królowej.

Znaczyło to, że obudziła mnie na rozkaz królowej. Fflur była jedną z tych istot, które bardzo starały się żyć tak, jakby czas zatrzymał się tysiąc lat temu. Jej arrasy można było obejrzeć w Muzeum Sztuki w St. Louis. Zostały sfotografowane i opisane przynajmniej w dwóch dużych czasopismach. Fflur odmówiła przeczytania artykułów i nie dała się namówić na wizytę w muzeum. Odrzucała również propozycje wywiadów dla telewizji i gazet.

Dwa razy próbowałam, zanim udało mi się coś powiedzieć.

- Czy oczyściłaś drzwi z róż?

- Tak - odparła.

Próbowałam się uśmiechnąć, ale nie udało mi się.

- Dużo ryzykowałeś, żeby mi pomóc, Fflur.

Rozejrzała się wokół, po czym położyła palec na moim czole i pomyślała jedno słowo:

- Później. - Chciała porozmawiać ze mną później, ale wolała, żeby nikt o tym nie wiedział. Była uzdrowicielką, więc przyłożenie palca do mojego czoła mogło być odczytane przez innych jako próba badania.

Nie odważyłam się nawet skinąć głową. Wpatrzyłam się tylko w jej czarne oczy, które stanowiły zaskakujący kontrast dla jej żółtego ciała, tak że wyglądały jak oczy lalki. Spróbowałam jej powiedzieć spojrzeniem, że zrozumiałam. Jeszcze nie zobaczyłam nawet sali tronowej, a już byłam po uszy wplątana w dworską intrygę. Typowe.

Moja ciotka uklękła obok mnie w obłoku skóry i lateksu. Wzięła moją prawą rękę i pogładziła ją, brudząc sobie skórzane rękawiczki.

- Doyle mówi, że skaleczyłaś się w palec kolcem i róże ożyły.

Spojrzałam na nią, próbując wyczytać coś z jej twarzy, ale mi się to nie udało. Nadgarstki paliły mnie tak, że ból wydawał się dochodzić aż do kości. Jej palce dotykały świeżych ran i za każdym razem, gdy skóra rękawiczek się z nimi spotykała, ból przeszywał moje ciało. - Tak, skaleczyłam się w palec. Ale nie jestem pewna, czy to właśnie dlatego róże ożyły.

Wzięła moją dłoń, patrząc na rany ze zdziwieniem na twarzy.

- Spisałam już nasze róże na straty. Jedna strata więcej w całym morzu strat. Uśmiechnęła się. Uśmiech sprawiał wrażenie szczerego, ale widziałam go już na jej ustach, gdy kogoś torturowała w swojej sypialni. To, że uśmiech był szczerzy, nie oznaczało jeszcze, że można było jej ufać.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona - powiedziałam beznamiętnym tonem.

Zaśmiała się, zaciskając ręce na mojej dłoni. Nagle stałam się świadoma wszystkich szwów jej rękawiczek. Zaciskała ręce, dopóki nie jęknęłam. Wyraźnie sprawiło jej to przyjemność. Puściła mnie i wstała z szelestem sukni.

- Kiedy już Fflur opatrzy ci rany, możesz do nas dołączyć w sali tronowej. Będę cię oczekiwała u mego boku. - Odwróciła się i tłum rozstał się przed nią, tworząc tunel światła. Eamon wyszedł z tłumy, żeby wziąć ją za rękę.

Mały goblin z rzędem oczu na czole przypominającym naszyjnik uklęknął koło mnie przy czarnej spódnicy Fflur. Patrzył to na mnie, to na nią, ale tak naprawdę interesowała go moja krew. To był mały goblin. Miał niecałe dwie stopy wzrostu. Dzięki rzędowi oczu musiał uchodzić wśród goblinów za przystojnego. Oni nazywali to dosłownie „naszyjnikiem oczu” i mówili o tym tonem, jaki ludzie rezerwują dla dużego biustu i jędrnego tyłeczka.

Królowa mogła sobie myśleć, co chciała, ja jednak nie wierzyłam, żeby jedna kropla mojej krwi ożywiła umierające róże. Wierzyłam, że moja królewska krew uratowała mnie, ale ten pierwszy atak... Podejrzewałam, że w kolcach ukryte było kolejne zaklęcie. Ktoś o dużej mocy mógł je tam umieścić.

Miałam wrogów. A potrzebowałam przyjaciół.

Pozwoliłam, żeby moja dłoń ześlizgnęła się po biodrze, jakbym mdlała. Świeża rana znajdowała się ledwie kilka cali od ust goblina. Skoczył naprzód i polizał ją szorstkim jak u kota językiem. Jęknęłam, a on się skulił.

Galen machnął na niego, jakby odganiał psa. Ale Fflur złapała goblina za kark.

- Niegodziwcze, co ma znaczyć ta zniewaga? - Zaczęła nim rzucać na wszystkie strony.

Powstrzymałam ją.

- Spróbował mojej krwi bez pozwolenia. Żądam zadośćuczynienia.

- Zadośćuczynienia? - powtórzył Galen.

Fflur wciąż trzymała goblina. Jego oczy poruszały się na wszystkie strony.

- Nie miałem nic złego na myśli. Przepraszam, bardzo przepraszam.

Miał dwie pary rąk: duże i małe. Wszystkie wiły się teraz, zaciskając i rozprostowując małe pazurkowate paluszki.

Mróz wziął goblina od Fflur, podnosząc małą postać w górę. Nie miał w rękach moich noży. Będę musiała mu przypomnieć, żeby mi je oddał. Ale teraz miałam inne sprawy do załatwienia.

- Muszę opatrzeć ci rany - powiedziała Fflur - albo stracisz więcej krwi. Dałam ci już trochę mojej mocy. Nie było to dla ciebie przyjemne i nie będzie też takie tym razem.

Pokręciłam głową.

- Jeszcze nie.

- Merry - powiedział Galen - niech opatrzy ci rany.

Spojrzałam na jego zatroskaną twarz. Wychowywał się na dworze, tak jak i ja. Powinien wiedzieć, że nie pora teraz na opatrywanie ran. Teraz pora na działanie. Spojrzałam na niego, tak jak musiał patrzeć na niego mój ojciec, kiedy postanowił mnie oddać komuś innemu. Nie miałam czasu, żeby mu wyjaśniać rzeczy, o których powinien doskonale wiedzieć. Przeszukałam wzrokiem tłum, który patrzył na mnie, jak ciekawscy na wrak samochodu.

- Gdzie Doyle?

W tłumie po prawej stronie coś się poruszyło. Doyle wyszedł do przodu. Wydawał mi się strasznie wysoki, kiedy tak leżałam na ziemi. Słup czerni unoszący się nade mną. Tylko kolczyki z piórami pawia zmniejszały jego onieśmielającą postać. Wyraz jego twarzy, układ ramion pod peleryną, to był

stary Doyle. Kolorowe pióra nie za bardzo pasowały do okoliczności. Ubrał się na przyjęcie, a znalazł się w środku walki. Jego wyraz twarzy był nieprzenikniony - samo to już mówiło, że nie jest zadowolony.

Nagle poczułam się, jakbym miała znowu sześć lat i była trochę przestraszona z powodu tego wysokiego czarnego mężczyzny u boku mojej ciotki. Ułożyłam się z powrotem na kolanach Galena i znalazłam ukojenie w jego dotyku, ale to do Doyle'a zwróciłam się o pomoc.

- Przyrowadź Kuraga, jeśli chce zapłacić okup za tego złodzieja - powiedziałam.

- Złodzieja? - Doyle uniósł czarne brwi.

- Napił się mojej krwi bez pozwolenia. Dla goblinów większą kradzieżą jest tylko kradzież ciała.

Rhys uklęknął po mojej drugiej stronie.

- Słyszałem, że gobliny tracą dużo ciała podczas uprawiania seksu.

- Tylko jeśli ustali się to wcześniej - powiedziałam.

Galen nachylił się nade mną i wyszeptał:

- Jeśli jesteś tak osłabiona z powodu utraty krwi, że nie będziesz mogła wziąć dzisiaj nikogo do łóżka... - Przytknął usta do mojej twarzy. - Nie zniosę myśli, że weźmiesz udział w jednej z tych orgietek urządzanych przez królową. Musisz się czuć na tyle dobrze, żeby się z kimś dzisiaj przespać, Merry. Niech Fflur opatrzy twoje rany.

Widziałam jego twarz na krawędzi swojego widzenia, jego usta były rozmazane jak różowy obłok przy moim policzku. Nie chodziło o to, że nie miał racji. Po prostu nie myślał perspektywicznie.

- Znam lepszy sposób na wykorzystanie swojej krwi niż nasączenie nią bandażu.

- O czym ty mówisz? - spytał Galen.

- Gobliny uważają wszystko, co pochodzi z ciała, za bardziej wartościowe niż klejnoty czy broń - odpowiedział za mnie Doyle.

Galen spojrział na niego. Sięgnął po mój nadgarstek. Czulałam, jak jego pierś uniosła się, kiedy westchnął.

- A co to ma wspólnego z Merry? - spytał, choć wiedziałam, że zna odpowiedź.

Ciemne oczy Doyle'a przeniosły się ze mnie na Galena.

- Jesteś za młody, żeby pamiętać wojny goblinów.

- Merry również - powiedział Galen.

- To prawda, ale Merry zna naszą historię. A ty ją znasz, młody Kruku?

Galen skinął głową. Przyciągnął mnie do siebie, z dala od Fflur, od kogokolwiek. Tulił mnie do siebie, a moja krew plamiła jego skórę. - Znam, ale mi się ona nie podoba.

- Wszystko będzie dobrze, Galenie - uspokoiliam go.

Spojrzał na mnie, ale widziałam, że w to nie wierzy.

- Przyrowadź Kuraga - powiedziałam do Doyle'a.

Spojrzał na czekający tłum.

- Sithney, Nicca, sprowadźcie króla goblinów.

Sithney odwrócił się, zamiatając długimi brązowymi włosami. Nie widziałam ciemnych fioletowych włosów Nicci; jego liliowa skóra rzuciłaby się w oczy pośród członków dworu o białej i czarnej skórze. Ale jeśli Doyle go przywołał, musiał tam być.

Tłum się rozstał i pojawił się Kurag ze swoją królową u boku. Gobliny, jak wszystkie sidhe, uważały królewskich małżonków za część zbrojnej świty. Małżonka Kuraga miała tak wiele par oczu na całej twarzy, że wyglądała jak ogromny pająk. Szerokie, pozbawione warg usta miały tak duże kły, że mogłyby być dla każdego pająka powodem do dumy. Niektóre gobliny miały w ciałach jad. Dałabym sobie rękę uciąć, że nowa królowa Kuraga była jednym z nich. Oczy, trucizna, niezliczona

ilość rąk wijących się jak węże wszystko to sprawiało, że była dla goblinów nie lada piękną, chociaż miała tylko jedną parę krzywych nóg. Dodatkowe nogi były rzadkim przejawem piękna wśród Goblinów. Keelin nie doceniała swego szczęścia.

Było w królowej goblinów coś, co sprawiało wrażenie, że ta kobieta знаła swoją wartość i umiała ją wykorzystać. Nie odrywała rąk od Kuraga, bez przerwy go głaszcząc i pieszcząc. Jedna para rąk wślizgnęła się między jego nogi, głaszcząc przez cienkie spodnie penis i jądra. Fakt, że czuła się zobowiązana robić coś tak jawnie seksualnego, kiedy była mi przedstawiana, oznaczał, że uważała mnie za rywalkę.

Mojemu ojcu bardzo zależało na tym, żebym dobrze poznała gobliny. Odwiedzaliśmy ich dwór wiele razy, a one odwiedzały nasz dom. „Gobliny wiele walczą na naszych wojnach. To one są główną siłą naszej armii, nie sidhe” - powiedział kiedyś ojciec. Co racja, to racja. Kurag był tak blisko z moim ojcem, że ośmielił się poprosić go o moją rękę. Wśród sidhe zawrzało. Niektóre poczuły się tak głęboko dotknięte, że przebąkiwały nawet coś o wypowiedzeniu goblinom wojny. Same zaś gobliny uważały, że ich władca musi być zboczony, skoro pragnie kogoś tak podobnego do człowieka jak ja, i mówiły po cichu o zmianie króla. Były jednak również gobliny, które dostrzegały korzyści w zmieszaniu ich krwi z królewską krwią sidhe. Trzeba było użyć nie lada zabiegów dyplomatycznych, żeby ochronić nas przed wojną, a mnie - przed tym zamążpójściem. Zaraz potem zostały ogłoszone moje zaręczyny z Griffinem.

Kurag pochylił się nade mną. Jego skóra miała żółtą barwę, podobną do skóry Fflur. Jej była jednak gładka jak stara kość słoniowa, a skóra Kuraga pokryta brodawkami i grudami, ale każda niedoskonałość była oznaką piękna. Jedna z brodawek na jego piersi miała oko. Gobliny nazywały je „okiem wędrowniczkiem”, bo zawędrowało tam z twarzy. Lubiłam to oko, kiedy byłam dzieckiem. Podobało mi się, że porusza się niezależnie od twarzy i trojga oczu, które się na niej znajdowały. Oko na jego ramieniu było fiołkowe i miało długie czarne rzęsy. Nad prawym sutkiem znajdowały się natomiast dodatkowe usta o pełnych czerwonych wargach i małych ząbkach. Oblizywał te usta różowy język i wydostawało się z nich powietrze. Jeśli przystawiło się do nich piórko, unosiło się ono do góry. Kiedy mój ojciec i Kurag rozmawiali, zabawiałam się, obserwując to oko, usta i dwie cienkie ręce wystające z prawego boku Kuraga. Grałam z nimi w karty, a Kurag nie przerywał pogawędki z moim ojcem. Uważałam, że Kurag jest bardzo mądry, skoro może jednocześnie wykonywać tak różne czynności.

Dopiero kiedy byłam nastolatką, dowiedziałam się, że Kurag miał jeszcze po prawej stronie dwie nogi oraz mały, ale sprawny penis. Zaloty goblinów bywają dosyć niewybredne. Liczy się dla nich przede wszystkim sprawność seksualna. Kiedy nie byłam zbyt zachwycona oświadczeniami, Kurag opuścił spodnie i pokazał mi swoje oba narządy. Miałam wtedy szesnaście lat i wciąż pamiętam przerażenie, jakie mnie ogarnęło, gdy uświadomiłam sobie, że w ciele Kuraga uwięziona była jeszcze jedna istota. Istota z, umysłem, który pozwalał jej grać w karty z dzieckiem, kiedy Kurag nie zwracał na to uwagi. Cała osoba. Osoba, która gdyby genetyka była odrobinę łaskawsza - pasowałaby do tego fiołkowego uroczonego oka.

Już nigdy nie czułam się swobodnie przy Kuragu. Nie chodziło o oświadczenia czy widok jego raczej strasznej męskości. To ten drugi penis, niezależny od Kuraga, nabrzmiały i podniecony moim widokiem, tak na mnie podziałał. Kiedy odrzuciłam te zaloty, fiołkowe oko uroniło łzę.

Przez wiele tygodni dręczyły mnie koszmary. Mogłam jakoś przeżyć dodatkowe kończyny, ale całe osoby uwięzione w kimś innym wydawały mi się lekką przesadą. Drugie usta mogły oddychać, więc miały dostęp do płuc, ale nie posiadały strun głosowych. Nie byłam pewna, czy powinnam uważać to za błogosławieństwo, czy przekleństwo.

- Witaj Kuragu, Królu Goblinów. Witaj również Bliźniaku Kuraga, Więźniu Jego Ciała. - Cienkie ręce z boku nagiej klatki piersiowej króla pomachały mi. Witałam ich obydwu od tamtego wieczoru, kiedy przekonałam się, że osoba, z którą grałam w karty i głupie gry, takie jak dmuchanie piórka, nie był wcale Kurag. Chyba tylko ja pozdrawiałam ich obu.

- Witaj Meredith, Księżniczko Sidhe - odrzekł Kurag. Jego pomarańczowe oczy patrzyły na mnie. Największe z nich umieszczone było jak u cyklopa - nieco ponad pozostałymi. Rozpoznałam to pełne pożądania spojrzenie. Było tak oczywiste, że poczułam, że Galen zeszywniał. Rhys wstał, żeby stanąć koło Doyle'a.

- Zaszczycasz mnie swoją uwagą, królu Kuragu - powiedziałam. Największą obrazą dla goblina był brak zainteresowania jego kobietą ze strony innych mężczyzn. Oznaczało to bowiem, że jest ona brzydka i niegodna pożądania.

Królowa skierowała drugą rękę do boku Kuraga - tam, gdzie miał drugie genitalia. Spiorunowała mnie wzrokiem, zaczynając je pieścić. Oddech Kuraga przyspieszył.

Wiedziałam, że jeśli się nie pospieszymy, doprowadzi go do orgazmu. Gobliny nie widziały nic złego w uprawianiu seksu w miejscu publicznym. Jeśli któryś z ich mężczyzn doszedł kilka razy w czasie jakiegoś przyjęcia, spotykał się z powszechnym uznaniem, podobnie jak kobieta, która go do tego doprowadziła. Jeśli goblin miał jakiś problem natury seksualnej, jak na przykład przedwczesny wytrysk, impotencja czy, w przypadku kobiet, oziębłość, to wszyscy o tym wiedzieli. Niczego się nie ukrywało.

Kurag przeniósł spojrzenie na Mroza i małego goblina. Zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na poczynania królowej.

- Dlaczego trzymasz jednego z moich ludzi?

- To nie jest pole walki, a ja nie jestem padliną - odparłam.

Kurag zamrugał oczami. Oko na jego ramieniu zamrugało sekundę lub dwie później niż troje głównych oczu. - Co takiego zrobiłeś? - zwrócił się do goblina.

- Nic, nic - odpowiedział tamten.

- Kłamiesz - stwierdził Kurag. - Co on takiego zrobił, Merry?

- Napił się mojej krwi bez pozwolenia.

Kurag ponownie zamrugał oczami.

- To poważny zarzut.

- Żądam zadośćuczynienia.

Kurag wyciągnął długi nóż zza paska.

- Chcesz jego krwi?

- Napił się królewskiej krwi księżniczki Sidhe. Naprawdę uważasz, że jego krew wystarczy?

Kurag spojrzał na mnie.

- A co wystarczy? - zapytał podejrzliwie.

- Twoja krew - odparłam.

Kurag odsunął ręce królowej od swojego ciała. Krzyknęła, a on odepchnął ją tak mocno, że upadła na podłogę. Nawet nie spojrzał, żeby przekonać się, czy nic się jej nie stało.

- Dzielenie się krwią coś oznacza, księżniczko.

- Wiem, co to oznacza - odrzekłam.

Kurag patrzył na mnie żółtymi oczami.

- Mógłbym po prostu poczekać, aż wykrwawisz się na śmierć - powiedział. Jego królowa stanęła przy nim.

- Mogę to przyspieszyć. - Podniosła nóż, który był większy niż moje przedramię. Ostrze zabłysło w

świetle.

- To nie twoja sprawa! - warknął Kurag.

- Ona nie jest królową, a ty zamierzasz podzielić się z nią krwią. To jest moja sprawa!

- Wbiła szybko nóż w jego ciało.

Kurag ledwo zdążył zasłonić się ramieniem. Ostrze wbiło się w jego rękę. Krew wytrysnęła. Uderzył ją drugą ręką w twarz, usłyszałam chrzęst łamanej kości. Królowa znów upadła na ziemię. Jej nos był czerwony niczym dojrzały pomidor. Dwa zęby pomiędzy kłami ułamały się. Jeśli z jej ust płynęła krew, to nie było jej widać z powodu krwi płynącej z nosa. Oko znajdujące się najbliżej nosa wypadło z oczodołu i leżało na policzku jak balon na sznurku.

Kurag przytrzymał jej nóż stopą. Uderzył ją raz jeszcze i tym razem upadła na bok. Leżała nieruchomo. To był jeszcze jeden powód, dla którego nie chciałam wyjść za Kuraga.

Pochylił się nad królową. Jego grube paluchy sprawdziły, czy wciąż oddycha, a serce bije. Skinął do siebie głową i podniósł ją. Trzymał ją delikatnie. Wyszczekał rozkaz. Duży goblin precyzyjnie się przez tłum.

- Zabierz ją do naszego kopca. Trzeba opatrzyć jej rany. Jeśli umrze, nabiję twoją głowę na pal.

Goblin opuścił głowę. Na jego twarzy na chwilę zagościł lęk. Wiedział, że jeśli królowa umrze, to będzie jego wina, nie króla. Nieważne, że to król o mało jej nie zabił. Gdyby zabił ją od razu na oczach tłumu, przypłaciłby to tronem albo życiem. Ale kiedy ją delikatnie podnosił, jeszcze żyła. Gdyby umarła teraz, nie byłby winny jej śmierci i mógłby rozpocząć poszukiwania nowej królowej. Jego ręce pozostałyby czyste.

Raczej wątpiałam w to, że królowa umrze. Goblinoi były twarde.

Drugi strażnik, niższy i grubszy od pierwszego, zabrał nóż królowej i poszedł za pierwszym goblinem. Kurag będzie miał prawo zabić ich obu, jeśli królowa umrze. Jedną z pierwszych rzeczy, jakiej się uczą władcy, jest to, jak obarczać winą innych. To było jak skomplikowana gra z królową z *Alicji w Krainie Czarów*. Powiesz coś niewłaściwego albo nie powiesz czegoś właściwego, i masz pozamiatane.

- Moja królowa oszczędziła nam kłopotu otwierania mojej żyły - zwrócił się do mnie Kurag.

- Więc zacznijmy. Tracę krew - oznajmiłam.

Galen wciąż trzymał dłonie na moich nadgarstkach i uświadomiłam sobie, że przyciska moje rany. Spojrzałam na niego.

- Bez obaw, wszystko gra - powiedziałam, ale wciąż trzymał dłonie na moich nadgarstkach. - Galen, proszę, puść mnie.

Spojrzał na mnie i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a potem je zamknął i spełnił moją prośbę. Jego dłonie były umazane krwią. Ale nacisk sprawił, że krwawienie się zmniejszyło, a może sprawił to dotyk Galena. Może jego ręce naprawdę miały cudowne właściwości.

Pomógł mi wstać. Musiałam odepchnąć jego ręce, żeby stanąć o własnych siłach. Rozstawiłam nogi, żeby złapać równowagę, i stanęłam przed Kuragiem.

Stojąc, sięgałam mu prawie do mostka. Jego ramiona były prawie tak szerokie, jak ja wysoka. Większość sidhe była wysoka, ale niektóre goblinoi były naprawdę potężne.

Fflur odsunęła się na bok, dołączając do Galena, Doyle'a i Rhysa. Mróz stał po drugiej stronie, wciąż trzymając małego goblina. Wokół nas zebrał się tłum sidhe, goblinów i innych istot. Ale ja widziałam tylko króla goblinów.

- Choć mają to być przeprosiny za niegrzeczne zachowanie mojego poddanego powiedział Kurag - nie mogę zaproponować ci mojej krwi, nie dostając twojej w zamian.

Wyciągnęłam prawą rękę do jego ust na twarzy, a lewą - do ust na piersi.

- Pij więc, Kuragu, Królu Goblinów.

Podniosłam prawy nadgarstek tak wysoko, jak mogłam dosięgnąć. Zrobiło mi się słabo. Przycisnęłam lewy nadgarstek do otwartych ust na piersi i to one przywarły do mojego nadgarstka pierwsze. Język w tych ustach był miękki i ludzki, nie taki jak kocie, szorstkie języki goblinów.

Kurag pochylił głowę nad moim nadgarstkiem, nie używając dłoni, żeby przytrzymać moją rękę blisko ust. Użycie dłoni byłoby niegrzeczne i wzięto by je za wstęp do seksu. Jego język był szorstki jak papier ścierny, nawet bardziej szorstki niż język małego goblina. Przetarł nim ranę. Westchnęłam. Usta na piersi ssaly moją krew jak dziecko ciągnie mleko z butelki. Język na twarzy Kuraga tarł mój nadgarstek, dopóki nie miał łatwego dostępu do krwi. Wtedy Kurag wpił się ustami w mój nadgarstek, naciskając boleśnie zębami. Usta na piersi były delikatniejsze.

Kiedy zaczęłam się już przyzwyczajać do ssania, Kurag przesunął zębami po ranie, jego język poruszył się tak, że mnie zabolało. Został przy ranie długi czas. To było coś w rodzaju konkursu picia piwa: robisz tak duży łyk, że o mało nie wymiotujesz.

Ale w końcu Kurag oderwał się od mojego nadgarstka. Odjęłam dłoń od jego piersi. Usta pocałowały mnie w nadgarstek.

Kurag uśmiechnął się, ukazując pożółkłe zęby ubrudzone krwią.

- Zrób to lepiej, jeśli potrafisz, księżniczko. Chociaż osobiście zawsze uważałem, że sidhe są trochę za grzeczne, żeby dobrze operować językiem.

- Musiałeś zabawiać się z niewłaściwymi sidhe. Moi wszyscy kochankowie - zniżyłam głos do ochryplego szeptu i spojrzałam na niego przeciągle - byli utalentowani w tym względzie.

Kurag roześmiał się nisko i złośliwie.

Zachwiałam się lekko. Jakoś trzymałam się jeszcze na nogach, ale wkrótce będę musiała usiąść, żeby nie upaść.

- Moja kolej - powiedziałam.

Kurag uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Ssij mnie, słodka Merry, ssij mnie mocno.

Pokręciłam głową, gdybym nie bała się, że stracę przytomność. - Nigdy się nie zmienisz, co? - spytałam.

- A niby czemu miałbym się zmieniać? Żadna kobieta, z którą spałem przez osiemset lat, nigdy nie odeszła nie zaspokojona.

- Tylko krwawiąca - powiedziałam.

Mrugnął oczami, a potem znów się roześmiał.

- Jeśli nie ma krwi, to po co to wszystko?

Próbowałam powstrzymać uśmiech, ale mi się nie udało.

- Przechwałki goblina, który jeszcze nie zaoferował swojej krwi.

Wyciągnął do mnie rękę. Krew płynęła czerwonym strumieniem. Rana, którą przysunął mi do twarzy, była głębsza, niż się wydawała - czerwona dziura jak trzecie usta.

- Twoja królowa chciała cię zabić - zauważyłam.

Spojrzał na ranę, wciąż się uśmiechając. - Owszem.

- Wydajesz się zadowolony - powiedziałam.

- A ty, księżniczko, wydajesz się opóźniać moment, w którym będziesz musiała umieścić swoje czyste usta na moim ciele.

- Krew sidhe bywa słodka - odezwał się Galen. - Krew goblinów jest zawsze gorzka. To było stare powiedzenie sidhe. I do tego nieprawdziwe.

- Jeśli krew jest czerwona, smakuje mniej więcej tak samo - powiedziałam. Obniżyłam usta do

otwartej rany. Nie mogłam objąć ustami ramienia Kuraga tak, jak on to zrobił z moim. Ale to musiało być coś więcej niż pocałunek. W przeciwnym razie obraziłabym go.

Przy tak głębokiej ranie trzeba zacząć powoli. Zaczęłam lizać skórę w pobliżu płytkiego końca rany długimi, pewnymi pociągnięciami języka. Żeby wypić dużo krwi, trzeba często przełykać. Trzeba też skoncentrować się na każdym zadaniu oddzielnie. Skoncentrowałam się na tym, jak szorstka była skóra wokół rany Kuraga. Zająłam się nią przez chwilę. Nie musiałam tego robić, ale zbierałam się na odwagę przed zanurzeniem języka w ranie. Lubię trochę krwi i trochę bólu, ale ta rana była zbyt głęboka, świeża i duża.

Dwa razy polizałam jeszcze płytki koniec rany, a potem zamknęłam na niej swoje usta. Krew płynęła z niej tak szybko, że ledwo nadążałam z przełykaniem, oddychając przez nos. Było jej jednak zbyt dużo, żeby oddychać, zbyt dużo, żeby przełykać. Zwalczyłam pokusę, żeby zamknąć usta, i spróbowałam się skoncentrować na czymś innym, na czymkolwiek. Krawędzie rany były bardzo czyste i gładkie. Ten nóż musiał być bardzo ostry. Byłoby mi lżej, gdybym mogła przytrzymać się czegoś rękami. Ale nie mogłam. Musiałam coś zrobić.

Nagle moich palców dotknęła czyjaś ręka. Wyciągnęłam ręce za siebie i zostały one pochwycone przez czyjeś dłonie. Pomyślałam, że to Galen, z powodu gładkości grzbietu dłoni, ale wewnątrz dłoni i palce były stwardniałe od miecza i tarczy - zbyt szorstkie jak na Galena. To były dłonie kogoś, kto walczył dłużej, niż Galen żył. Trzymały mnie mocno, odpowiadając na mój uścisk.

Moje usta pozostały na ramieniu Kuraga, ale skupiłam się na tych dłoniach i sile, z jaką mnie trzymały. Ręce trochę mnie bolały od tego uścisku, ale dokładnie tego potrzebowałam.

Odsunęłam się od rany z westchnieniem, w końcu byłam w stanie wziąć głęboki oddech. Chciałam zatamować upływ krwi, ale ręce pociągnęły moje ramiona w górę i znów westchnęłam. Wszystko w porządku. Nie zwymiotuję.

Dłonie zwolniły uścisk, trzymały mnie teraz lekko, ale tak, że mogłam się na nich oprzeć.

- Hmm - powiedział Kurag - dobra robota, Merry. Rzeczywiście jesteś córką swojego ojca.

- Cieszy mnie tak wysoka ocena z twoich ust, Kuragu. - Odsunęłam się i zachwiałam, opierając się na piersi osoby, która stała za mną. Wiedziałam, kto to, jeszcze zanim odwróciłam głowę. Doyle patrzył na mnie, kiedy opierałam się o jego ciało, wciąż trzymając mnie za rękę.

- Dziękuję - wyszeptałam do niego.

Skłonił lekko głowę. Nie zrobił żadnego ruchu, żeby mnie puścić, a i ja nie przestałam się o niego opierać. Bałam się, że gdybym zrobiła choć jeden krok lub puściła jego dłonie, upadłabym. A tak czułam się bezpieczna. Wiedziałam, że gdybym miała upaść, podtrzymałby mnie.

- Moja krew jest twoją krwią, a twoja moją, Kuragu - powiedziałam. - Przez najbliższy miesiąc jesteśmy krewnymi krwi.

Kurag skinął głową.

- Twoi wrogowie moimi wrogami. Twoi przyjaciele moimi przyjaciółmi. - Zbliżył się na krok, górując nade mną, a nawet nad Doyle'em. - Będziemy sprzymierzeńcami krwi przez miesiąc, pod warunkiem, że...

Popatrzyłam na niego w górę.

- Jak to: „pod warunkiem”? Rytuał został dopełniony.

Kurag podniósł troje oczu i spojrzał na Doyle'a.

- Twoja Ciemność wie, o co mi chodzi.

- On jest wciąż Ciemnością Królowej - sprostowałam.

Kurag spojrzał na mnie, a potem znowu na Doyle'a.

- To ciebie trzyma za rękę, a nie królową.

Zacząłam się odsuwać od Doyle'a, ale on wzmocnił uścisk na moich dłoniach.

- Nie twój interes, za co mnie trzyma.

Kurag zmrużył oczy.

- Czy to on jest twoim nowym małżonkiem? Słyszałem plotki, że wracasz na dwór, żeby wybrać małżonka.

Owinięłam ręce Doyle'a wokół swojej talii.

- Nie mam małżonka. - Przywarłam mocniej do Doyle'a. Zesztywniał na chwilę, a potem poczułam, że jego ciało się rozluźnia. - Ale można powiedzieć, że się za nim rozglądam...

- To dobrze, to bardzo dobrze - powiedział Kurag.

Poczułam, jak ciało Doyle'a się napina, choć wątpiłam, czy ktokolwiek poza mną to zauważył. Czegoś tu nie rozumiałam.

- Nie masz małżonka, a to oznacza, że mogę jeszcze czegoś zażądać w zamian za zawarcie przymierza.

- Nie rób tego - ostrzegł go Doyle.

- Powołuję się na prawo ciała - powiedział Kurag.

- Oszukał cię - stwierdził Mróz. - Od początku nie miał zamiaru zawierać z tobą przymierza. Wie, kim są twoi wrogowie, i się ich boi.

- Nazywasz Kuraga, Króla Goblinów, tchórzem? - wycodził Kurag.

Mróz trzymał małego goblina pod ramieniem. Drugą rękę miał wolną, ale był bez broni.

Tak, jeśli powołujesz się na prawo ciała, to jesteś tchórzem.

- Co to jest prawo ciała? - spytałam. Chciałam odsunąć się od Doyle'a, ale jego ramiona zacisnęły się mocniej. Spojrzałam na niego. - Co się dzieje?

- Kurag próbuje ukryć swoje tchórzostwo, zasłaniając się bardzo starym rytuałem.

Kurag wyszczerzył zęby do nich obu. Nazwij kogokolwiek na którymkolwiek z dworów tchórzem, a może się to zakończyć pojedynkiem. Kurag był na to jednak zbyt rozsądny. - Nie boję się sidhe - powiedział. - Powołuję się na prawo ciała nie dlatego że chcę uniknąć jej wrogów, ale dlatego, że naprawdę chcę połączyć swoje ciało z jej.

- Masz małżonkę - powiedział Mróz. - Cudzołóstwo jest zbrodnią na dworach sidhe.

- Ale nie wśród goblinów - odrzekł Kurag. - Więc mój stan cywilny nie odgrywa tu żadnej roli.

Wyszarpnęłam się z objęć Doyle'a. Ruch był zbyt gwałtowny. Zachwiałam się i tylko dłoń Fflur na moim łokciu uratowała mnie przed upadkiem. - Opatrzę teraz twoje rany powiedziała.

Nie mogłam się nie zgodzić.

- Dziękuję - odparłam. Kiedy zaczęła je opatrywać, odwróciłam się do mężczyzn. Niech ktoś, proszę, wyjaśni mi, o czym on mówi.

- Z przyjemnością - powiedział Kurag. - Jeśli mam cię bronić przed twoimi wrogami i kochać twoich przyjaciół, musimy dzielić nie tylko nienawiść, ale i miłość. Podzielimy się ciałem tak jak krwią.

- Masz na myśli seks? - spytał Galen.

Kurag skinął głową. - Tak, seks.

- Nie - powiedziałam.

- Zdecydowanie nie - dodał Galen.

- Nie ma ciała, nie ma przymierza - zdecydował Kurag.

- Dla sidhe - włączył się do rozmowy Doyle - twoje śluby małżeńskie są święte. Meredith nie może pomagać ci zdradzać twojej żony, tak jak nie mogłaby zdradzać swojego męża. Prawo ciała obowiązuje tylko wtedy, kiedy obie strony są stanu wolnego.

Kurag nachmurzył się. - Nie skłamałbyś mi prosto w twarz. Cholera. - Spojrzał na mnie. - Znów mi

umykasz, Merry.

- Tylko dlatego, że znów uciekasz się do nieczystych sztuczek, żeby tylko dobrać się do moich majątek. Przyszła służąca z miską czystej wody. Fflur oczyściła moje rany. Potem otworzyła butelkę antyseptyku i obmyła oba moje nadgarstki. Czerwonawa krew spłynęła do miski, unosząc się na powierzchni wody.

- Złożyłem ci kiedyś propozycję małżeństwa - przypomniał mi Kurag.

- Miałam szesnaście lat - powiedziałam. - Przestraszyłeś mnie na śmierć. - Fflur osuszała mi nadgarstki.

- Jestem dla ciebie zbyt męski, co?

- Obydwaj jesteście dla mnie zbyt męscy - przyznałam.

Jego dłoń powędrowała do boku, gdzie były drugie genitalia. Jeden ruch i pod spodniami coś się poruszyło.

- Ciało zostało wezwane - powiedział Kurag, wciąż głaszcząc się po boku. - Z przymierza nici, dopóki nie zostanie zaspokojone.

Spojrzałam na Doyle'a.

- Co on robi?

Doyle pokręcił głową.

- Nie jestem pewien.

Druga służąca przyniosła tacę ze środkami opatrunkowymi i trzymała ją, podczas gdy Fflur owijała czystym bandażem moje nadgarstki. Służąca odgrywała rolę pielęgniarki, podając to, czego Fflur akurat potrzebowała.

- Wiem, co robi Kurag - powiedział Mróz. - Wciąż próbuje uciec przed twoimi wrogami.

- Twoje szczęście, Zabójczy Mrozie, że Merry potrzebuje każdego silnego ramienia, które może służyć przy jej boku. Inaczej już byś nie żył - odparł Kurag.

- Czy uznasz więc przymierze i staniesz się jeszcze jednym silnym ramieniem przy jej boku? - spytał Mróz.

- Jeśli nie mogę uprawiać seksu z Merry, to nie. - Jego twarz nagle wydała się mi poważna, a nawet inteligentna. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że Kurag nie był taki głupi, na jakiego wyglądał, i wcale nie ulegał aż tak bardzo swoim popędom, jak udawał. Spojrzenie jego trojga oczu stało się przenikliwe i tak intensywne, tak inne od tego sprzed chwili, że cofnęłam się, jakby próbował mnie uderzyć. Bo pod tym poważnym spojrzeniem czaił się strach.

Co takiego działo się w Krainie Faerie, że Kurag, Król Goblinów, się bał?

- Jeśli nie uznasz przymierza - powiedział Mróz - wszyscy na dworze będą wiedzieć, że jesteś tchórzem bez honoru. Już nikt ci nigdy nie zaufa.

Kurag popatrzył na zgromadzonych. Niektórzy poszli z królową w tłumie pochlebców, ale wielu pozostało tutaj. Żeby patrzeć. Słuchać. Szpiegować?

Król goblinów rozejrzał się powoli po otaczającym nas tłumie, a potem popatrzył na mnie. - Wezwałem ciało. Podziel się ciałem z jednym z moich goblinów, a uznam to przymierze krwi.

Galen stanął obok mnie.

- Meredith jest księżniczką sidhe, drugą w kolejce do tronu. Księżniczka sidhe nie sypia z goblinami.

- W jego głosie była siła. Uczucie. Złość.

Dotknęłam jego ramienia. - Spokojnie. Nic się nie stało.

Odwrócił się do mnie.

- A właśnie, że się stało. Jak on w ogóle śmie żądać od ciebie czegoś takiego?

Sidhe zgromadzone w komnacie zaczęły gniewnie szeptać. Mały tłumek goblinów, które przybyły na

bankiet razem ze swoim królem, zbliżył się do niego.

Doyle podszedł do mnie.

- To się może źle skończyć - wyszeptał. Spojrzałam na niego. - Co mam robić?

- Bądź księżniczką i przyszlą królową - powiedział.

- Co ty jej każesz zrobić? - spytał Galen, patrząc gniewnie mi Doyle'a.

- To samo, co kazała jej zrobić królowa - odparł Doyle. Wpatrzył się we mnie. - Nie prosiłbym o to poświęcenie, gdyby cel nie był tego wart.

- Nie - powiedział Galen.

Doyle spojrzał na niego.

- Co bardziej cenisz: jej cnotę czy życie?

Galen spiorunował go wzrokiem, napinając ze złości wszystkie mięśnie. - Jej życie powiedział w końcu, ale wypluł te słowa, jakby zjadł coś gorzkiego.

Gdybym miała gobliny za sprzymierzeńców, Cel musiałby się liczyć z tym, że jeśli mnie zabije, spotka go krwawa zemsta Kuraga i jego dworu. Zawahałby się. Potrzebowałam tego przymierza.

- Zgadzam się. Ciało jednego z goblinów w moim ciele - powiedziałam.

Kurag uśmiechnął się.

- Jego ciało w twoim słodkim ciele. Niech twoje i jego ciało będą jednym, a wszystkie gobliny będą twoimi sprzymierzeńcami.

- Kto to będzie? - spytałam.

Kurag zamyślił się. Oko na jego piersi rozszerzyło się, a dwa cienkie ramiona zaczęły gestykulować i pokazywać na kogoś. Kurag odwrócił się do swoich goblinów i skierował się tam, gdzie pokazywał jego brat bliźniak. Nie widziałam, przy kim w końcu się zatrzymał. Wrócił do mnie, a zza niego wyszedł mały goblin.

Miał tylko cztery stopy wzrostu, skórę bladą i błyszczącą jak masa perłowa. Potrafiłam na pierwszy rzut oka rozpoznać skórę sidhe. Jego włosy kręciły się, czarne i grube, ale były podcięte krótko na ramionach. Twarz miał dziwnie trójkątną, a oczy - duże i niebieskie z czarną źrenicą. Nie miał na sobie nic oprócz srebrnego paska materiału na biodrach, co u goblinów oznaczało, że jego ciało musiało być zdeformowane. Nie chowali deformacji, wręcz się nimi chwalili.

Szedł do mnie, wyglądając niczym lalka. Jeśli nawet jego ciało było zdeformowane, nie widziałam tego. Gdyby nie wzrost i oczy, mógłby być sidhe.

- To jest Kitto - powiedział Kurag. - Jego matka była damą sidhe zgwałconą w czasie ostatniej wojny goblinów. - To oznaczało, że Kitto miał prawie dwa tysiące lat. Zdecydowanie nie wyglądał na tyle.

- Witaj, Kitto - odezwałam się.

- Witaj, kśśśięźniczko. - Było w jego słowach coś dziwnie syczącego, jakby miał problemy z formowaniem słów. Jego usta były pełne i różowe, ale te piękne usta ledwo się otwierały, kiedy mówił, jakby znajdowało się w nich coś, czego nie chciał mi pokazać.

- Zanim się zgodzisz - powiedział Kurag - bacznie mu się przyjrzyj.

Kitto odwrócił się i pokazał, dlaczego nosi pas. Całe jego plecy pokryte były łuskami, aż do małego, jędrnego i doskonale ukształtowanego tyłeczka. Te błyszczące łuski wyjaśniały, dlaczego jego oczy miały eliptyczne źrenice i dlaczego syczał.

- Wężowy goblin - stwierdziłam.

Kitto odwrócił się do mnie i skinął głową.

- Otwórz usta, Kitto. Chcę zobaczyć wszystko - powiedziałam.

Patrzył przez chwilę w ziemię, potem przewrócił oczami i otworzył szeroko usta, pokazując kły z trucizną. Jego język przypominał długą czerwoną wstążeczkę.

- Ussatysffkacjonowana? - spytał.
Skinęłam głową.
- Tak.
- Nie możesz tego zrobić - powiedział Rhys. Był tak cichy, że nieomal zapomniałam o jego istnieniu.
- To mój wybór - odparłam.
Odciągnął mnie na bok.
- Dobrze się przypatrz bliźnie na mojej twarzy. Wiem, że tysiące razy opowiadałem bohaterskie historie o tym, skąd ją mam, ale prawda jest taka, że królowa mnie ukarała. Dała mnie na noc goblinom. Nie protestowałem. Byłem tak napalony, że gotów byłem wyrękać kogokolwiek, nawet goblina. - Zamrugał jednym zdrowym okiem. - Tyle że gobliny mają nieco odmienne poglądy na temat seksu. Są o wiele bardziej gwałtowne, niż możesz sobie wyobrazić. - Przesunął palcem po bliźnie i zapatrzył się w dal, wspominając tamtą noc.
Dotknęłam blizny, chwytając go za rękę.
- Goblin zrobił ci to, gdy uprawialiście seks?
Skinął głową.
- Och, Rhys - wyszeptałam.
Poklepał mnie po ręce i pokręcił głową. - Nie powiedziałem tego po to, żebyś się nade mną litowała. Chciałem, żebyś zrozumiała, na co się zgadzasz.
- Rozumiem. Dziękuję, że mi powiedziałaś. - Poklepałam go po policzku, ścisnęłam jego dłoń i wróciłam do czekających goblinów. Szłam wyprostowana, żeby nie upaść. Kiedy negocjuje się traktat, trzeba wyglądać na kogoś silnego, a w każdym razie nie tak, jakby się miało zaraz zemdleć.
- Ciało Kitto w moim ciele, tak? - spytałam.
Kurag skinął głową i wyglądał na zadowolonego z siebie, jakby wiedział, że już wygrał.
- Zgadzam się.
- Zgadzasz się? - spytał Kurag zdziwiony. - Zgadzasz się być jednym ciałem z goblinem?
Skinęłam głową. - Pod jednym warunkiem.
Jego oczy zwęziły się. - Jakim warunkiem?
- Pod warunkiem, że nasz układ będzie obowiązywał przez rok - powiedziałam.
Czułam, że Doyle zbliżył się do mnie. Zgromadzeni zaczęli szeptać między sobą.
- Rok - powtórzył Kurag. - Nie, za długo.
- Jedenaście miesięcy od teraz - powiedziałam.
Pokręcił głową. - Dwa miesiące.
- Dziesięć.
- Trzy.
- Bądź rozsądny.
- Pięć - powiedział.
- Osiem - odparowałam.
Wyszczrzył zęby w uśmiechu.
- Sześć.
- Zgoda - ucięłam.
Kurag patrzył na mnie przez chwilę.
- Załatwione. - Wypowiedział te słowa cicho, jakby nie był pewien słuszności swojej decyzji.
Podniosłam głos, żeby dobrze się niósł po sali i stanęłam ze stopami szeroko rozstawionymi, żeby się nie chwiać.
- Sojusz został zawarty.

Kurag również podniósł głos. - Będzie zawarty po tym, jak podzielisz się ciałem z moim goblinem. Wyciągnęłam rękę do Kitta. Położył swoją dłoń na mojej, poczułam lekki dotyk gładkiego ciała. Uniosłam jego rękę do swojej twarzy. Chciałam się pochylić i pocałować grzbiet jego dłoni, ale zawirowało mi przed oczami. Musiałam się wyprostować i podnieść jego dłoń moimi obiema. Nigdy nie trzymałam męskiej dłoni, która była mniejsza od mojej. Ssanie palca to była najbardziej seksualna czynność, na jaką mogłabym się zdobyć, ale miałam już dosyć ssania na dzisiaj. Pocałowałam więc tylko wewnątrz jego dłoni. Nie pozostawiłam śladów szminki, co oznaczało, że zmasała się, kiedy ssałam ramię Kuraga.

Dziwne oczy Kitta rozszerzyły się.

Oderwałam usta od jego dłoni, powoli, patrząc przy tym na Kuraga.

- Dojdziemy do dzielenia się ciałem, Kuragu, nie martw się. A teraz, Kitto, przyłącz się do mnie. Królowa czeka na mnie i moich mężczyzn.

Kitto popatrzył na Kuraga, a potem na mnie.

- Jestem zaszczycony.

Spojrzałam na jego króla.

- Pamiętaj, Kuragu, kiedy w ciągu nadchodzących nocy ja i Kitto będziemy jednym, że to twoja własna żądza i tchórzostwo dały go mnie, a mnie jemu.

Twarz Kuraga zmieniła się z żółtej na ciemnopomarańczową. Jego ogromne dłonie zacisnęły się w pięści.

- Dziwka - wysyczał.

- Spędziłam wiele nocy na twoim dworze, Kuragu. Wiem, że to, że uprawiam seks z innymi sidhe, nic dla ciebie nie znaczy. Tylko seks z goblinem to dla ciebie prawdziwy seks. Wszystko inne to po prostu gra wstępna. A ty mnie oddałeś innemu goblinowi, Kuragu. Następnym razem, kiedy będziesz próbował mnie przechytrzyć, żeby zaciągnąć mnie do łóżka, pomyśl, czym się to dla ciebie może skończyć.

Poczułam, że słabnę. Zachwiałam się. Silne dłonie złapały mnie za oba ramiona Doyle po jednej stronie, Galen po drugiej. Spojrzałam na nich i zdołałam tylko wyszeptać:

- Muszę usiąść.

Doyle skinął głową. Galen jedną ręką trzymał mój łokieć, drugą otoczył mnie w talii. Ręka Doyle'a pozostała na moim ramieniu, ale jej uścisk stał się twardy jak skała. Pozwoliłam, żeby mnie podtrzymywali, podczas gdy wszystkim wydawało się, że stoję o własnych siłach. Opanowałam tę technikę już dawno temu, gdy moja ciotka chciała, żebym stała, a ja nie mogłam. Niektórzy strażnicy pozwalali mi robić tę sztuczkę, inni nie. Ciekawe, jak poradzę sobie teraz z chodzeniem.

Doyle i Galen odwrócili mnie do otwartych drzwi. Jeden wysoki obcas zaskrzypiał głośno o kamienną podłogę. Musiałam bardziej się postarać. Skoncentrowałam się na podnoszeniu stóp tak, żeby iść, ale Galen i Doyle podnieśli mnie do góry. Cały świat był nieważny, ważne było tylko to, żebym stawiała jedną nogę za drugą. Bogowie, ależ ja chciałam wrócić do domu. Ale królowa czekała, a cierpliwość nie była jej darem.

Przez chwilę widziałam Kitta. Mignął zaraz za nami po jednej stronie. Według etykiety goblinów był moim małżonkiem, moja zabaweczką. To prawda, że mógł mnie zranić podczas uprawiania seksu, ale tylko wtedy, gdybym była na tyle głupia, żeby iść z nim do łóżka, nie uzgodniwszy najpierw, co mu wolno, a czego nie. Rhys nie odniósłby obrażeń, gdyby znał goblina. Większość sidhe widziała w nich tylko barbarzyńców, dzikusów. Większość z nich nie miała pojęcia o ich prawach; co innego mój ojciec.

Oczywiście nie planowałam uprawiania seksu z goblinem. Chciałam podzielić się z nim ciałem -

dosłownie. Gobliny ceniły ciało bardziej niż krew i seks. Zwrot „dzielić się ciałem” miał dwa znaczenia. Oznaczał uprawianie seksu, ale też ugryzienie, które zostawiało bliznę do końca życia. To był sposób znaczenia kochanków, pokazania, że byli z goblinem. Wiele goblinów miało specjalny wzór blizn, coś w rodzaju podpisu, który zostawiały na ciałach kochanków.

Ale cokolwiek miałabym zrobić, żeby scementować ten układ, ważne było tylko jedno: przez następne sześć miesięcy gobliny będą moimi sprzymierzeńcami. Moimi, nie Cela, a nawet nie królowej. Gdyby wybuchła teraz wojna, królowa musiałaby mnie prosić o zgodę, żeby gobliny walczyły w jej imieniu. Warto było poświęcić dla czegoś takiego kilka kropel krwi, a nawet funt ciała.

Rozdział 32

Zaraz za drzwiami w kamiennej posadzce było wgłębienie, w miejscu gdzie stopy przez tysiące lat zakręcały, obracając się na obcasach, żeby wejść na niskie podium po obu stronach sali. Mogłabym iść po tej podłodze z zamkniętymi oczami, ale dzisiaj się potknęłam. Wciśnięta między dwóch strażników, powinnam iść pewnie, ale kostka mi się wykręciła i upadłam na Doyle’a, ciągnąc za sobą Galena. Doyle podtrzymał nas przez chwilę, a potem wszyscy runęliśmy na podłogę.

Kitto podskoczył do nas, wyciągając rękę do Galena. Ten popatrzył z obrzydzeniem na małą rączkę, ale chwycił ją. Pozwolił, aby goblin pomógł mu wstać. Byli strażnicy, którzy prędzej splunęliby na tę rękę.

Mnie podniósł Mróz, który trzymał mój nóż. Nie patrzył na mnie. Sprawdzał, czy gdzieś nie czyha na nas jakieś niebezpieczeństwo. Wyczuwałam jakieś zakłęcie. Gdyby było ono mniejsze, mogłabym przypisać upadek wywołanej przez utratę krwi niezgrabności, ale zakłęcie było zbyt duże. Dwaj Strażnicy Królowej nie upadają tylko dlatego, że kobieta między nimi się potknęła.

Mróz zmusił mnie, żebym stanęła na obie nogi, ale jedna z nóg nie była do tego zdolna. Ból przeszył moją lewą kostkę. Westchnęłam i stanęłam na jednej nodze. Mróz złapał mnie w talii, podniósł z ziemi i przycisnął do siebie, otaczając mnie ramionami. Wciąż szukał niebezpieczeństwa - niebezpieczeństwa, które jednak nie nadchodziło, nie tutaj, nie teraz.

Rhys sprawdzał, czy na podłodze nie ma jakichś innych niespodzianek. Nie ruszaliśmy się, dopóki nie skinął głową.

Doyle wstał. Nie wyjął drugiego noża. Spojrzał mi w oczy.

- Jesteś poważnie ranna, księżniczko?

- Skręcona kostka, może też coś z kolanem. Mróz podniósł mnie, zanim się przekonałam.

- Jak ci się nie podoba, to mogę cię postawić na ziemi - powiedział urażonym tonem Mróz.

- Wolalabym, żebyś mnie zaniósł na krzesło.

Spojrzał na Doyle’a.

- Nóż raczej mi się tu nie przyda, prawda? - Jego głos brzmiał prawie tęsknie.

- Nie - odparł Doyle.

Mróz zamknął nóż jedną ręką. Z tego, co wiedziałam, nigdy nie posługiwał się składanym nożem, ale zrobił to sprawnie i profesjonalnie. Wsunął nóż za pasek z tyłu i podniósł mnie wyżej.

- Które krzesło wolisz? - spytał.

- To - powiedziała królowa. Stała przed tronem na dalekim podeście. Jej tron górował nad wszystkimi innymi, podkreślając dodatkowo jej pozycję. Na trochę niższym podeście tuż pod nią stały dwa mniejsze trony, zarezerwowane dla małżonka i następcy. Dziś Eamon stał u jej boku, a jego tron był pusty.

Na drugim tronie siedział Cel. Za nim stała Siobhan. Keelin siedziała na małym stołku u jego stóp, jak piesek. Cel patrzył na matkę, a na jego twarzy widać było panikę.

Przy Siobhan stała Rozenwyn. Była zastępczynią Siobhan, odpowiednikiem Mroza. Jej włosy jak wata cukrowa były upięte w koronę warkoczy na czubku głowy, jak koszyczek wielkanocny. Miała skórę koloru wiosennych lilii, a oczy - złote. Kiedy byłam dzieckiem, uważałam ją za śliczną, dopóki nie dała mi do zrozumienia, że jestem od niej gorsza. To po niej została mi pamiątka na żebrach, to ona o mało nie wyrwała mi serca.

Cel wstał tak gwałtownie, że Keelin spadła ze schodków, a smycz napięła się. Nawet na nią nie spojrział.

- Mamo, nie możesz tego zrobić.

Spojrzała na niego, wskazując mi pusty tron Eamona.

- Oczywiście, że mogę, synku. Nie zapominaj, że wciąż jestem królową. - Powiedziała to takim tonem, że gdyby to był ktoś inny niż Cel, z pewnością rzuciłby się na podłogę, czekając na cios. Ale to był Cel, a z nim zawsze obchodziła się łagodnie.

- Wiem, kto tu rządzi teraz - powiedział Cel. - Martwi mnie jednak, kto tu będzie rządził potem.

- To również moje zmartwienie - odparła tym swoim spokojnym, niebezpiecznym tonem. - Zastanawiam się, jak to się stało, że ktoś nałożył tak mocne zakłęcie w sali tronowej, i nikt tego nie zauważył. - Spojrzała na ogromną salę, przenosząc wzrok z twarzy na twarz. Po każdej stronie sali stało na podestach szesnaście tronów. Zajmowały je głowy królewskich rodzin. Wokół nich ustawione były krzesła. Przyglądała się im. Zwłaszcza tym najbliższej drzwi. - Nie rozumiem, jak ktoś mógł podłożyć takie zakłęcie i nikt go nie zauważył.

Spojrzałam na sidhe siedzące najbliższej drzwi. Unikały mojego wzroku. Wiedziały. Widziały i nic nie robiły.

- To naprawdę silne zakłęcie - kontynuowała Andais. - Gdyby moja bratanica nie była podtrzymywana przez dwóch strażników, mogłaby upaść i skrócić kark. - Mróz wciąż trzymał mnie w ramionach, ale nie ruszył się ani na krok bliżej. - Przynieś ją, Mrozie. Niech usiądzie przy mnie, tak jak zostało ustalone.

Mróz niósł mnie w tym kierunku. Doyle i Galen szli po jego obu bokach, a Rhys i Kitto byli tylną strażą.

Mróz ukląkł na oba kolana na pierwszym stopniu, który prowadził do tronu. Ukląkł ze mną w ramionach, jakbym nic nie ważyła. Miałam wrażenie, że mógłby tak pozostać przez całą noc i nie zadrżałaby mu nawet ręka. Zastanawiałam się przez chwilę, czy kolana kiedykolwiek zdrętwiały mu od zbyt długiego klęczenia.

Pozostali strażnicy uklękli za nim, po obu jego bokach. Kitto nie ukląkł, tylko padł na podłogę, z twarzą w dół, z otwartymi ramionami, jak jakiś religijny pokutnik. Aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy z problemu. Dworska etykieta przewidywała najróżniejszych rodzajów ukłony, w zależności od twojej pozycji i pozycji osoby, którą spotkałeś. Kitto nie był nawet goblinem królewskiej krwi. Gdyby był, Kurag by o tym wspomniał. Chciał mnie poniżyć, dając mi goblina z pospólstwa. Kitto nie wolno było dotknąć stopni wiodących do królewskiego tronu, chyba że na wyraźny rozkaz. Tylko członkowie innych królewskich domów sidhe mogli klękać na dwa kolana w sali tronowej, nie kłaniając się.

Kitto nie znał protokołu, więc wybrał najbezpieczniejszą drogę. Miało to również dobre strony. Podejrzywałam, że z łatwością wyrzeknie się seksu i zadowoli kawałkiem ciała.

- Usiądź, Meredith. Ogłosimy to, zanim ujawni się kolejna pułapka. - Mówiąc to, Andais spojrzała na Cella. Ja też podejrzewałam, że to on pozostawił zakłęcie, ale tylko dlatego, że u mnie zawsze był na pierwszym miejscu na liście podejrzanych, gdy znajdowałam się w niebezpieczeństwie. Andais zawsze udawała, że o niczym nie wie. Musiało się coś stać, coś, co zmieniło jej nastawienie do

jedynego syna. Co takiego zrobił, że się od niego odwróciła?

Mróz wstał i wniósł mnie po schodkach. Położył mnie delikatnie na tronie, wysuwając dłonie spod mojego ciała. Ukląkł przede mną na jedno kolano, biorąc moją lewą stopę na kolana.

Rozejrzałam się po sali. Nigdy nie byłam na podeście. Nigdy z niego nie patrzyłam na salę tronową. Nie był zbyt wysoki, ale dawał poczucie przewagi nad innymi.

- Przynieść stołek dla Meredith, żeby mogła podeprzeć kostkę. Kiedy już powiem to, co zamierzam, Fflur ją obejrzy - oznajmiła królowa, nie adresując tych słów do nikogo w szczególności. Nadleciał do nas mały stołeczek. Spojrzałam kątem oka, specjalnie nie patrząc bezpośrednio na unoszący się mebel. Za stołkiem ukazał się blady kształt: biała dama. Postawiła ona stołek przy nodze Mroza. Wyczuwałam jej obecność. Nie musiałam jej widzieć, żeby wiedzieć, że tam była. Potem ciśnienie opadło i wiedziałam, że odpłynęła.

Mróz podniósł moją stopę na niziutki stołek. Jęknęłam. Ból jednak pomógł mi oczyścić myśli. Nie czułam się już słaba. To był trzeci zamach na moje życie w ciągu jednej nocy. Komuś chyba bardzo zależało na tym, żeby usunąć mnie spośród żywych.

Mróz stanął za moim tronem, tak jak Siobhan za Celem, a Eamon za królową.

Andais patrzyła na zebranych arystokratów. Gobliny i inne pomniejsze istoty zajmowały miejsca z tyłu, siedząc przy długich ozdobnych stołach po obu stronach sali. Ale nawet Kurag nie miał tutaj tronu. Był tylko jednym z pospólstwa.

- Niech wiadomym wszystkim będzie, że księżniczka Meredith NicEssus, córka mojego brata, jest moją następczynią.

Szmer przebiegł przez salę, po czym zapadła cisza. Cisza tak gęsta, że białe damy unosiły się w powietrzu jak obłoki i zaczęły tańczyć w napięciu.

Cel wstał.

- Mamo...

- Meredith w końcu zyskała moc. Ma dłoń ciała, tak jak jej ojciec.

Cel wciąż stał.

- Moja kuzynka powinna użyć tej dłoni w walce i przejść przez rytuał krwi w obecności co najmniej dwóch świadków sidhe - powiedział, po czym usiadł, wyglądając na bardzo pewnego siebie.

Królowa spojrzała na niego tak zimno, że ta pewność momentalnie zniknęła z jego twarzy.

- Sądzisz, że nie znam praw swojego królestwa? Wszystko odbyło się zgodnie z naszą tradycją. Sholto! - zawołała.

Sholto wstał z tronu stojącego blisko drzwi. Czarna Agnes była po jego jednej stronie, Złota Segna po drugiej. Nocni myśliwcy zwisali z sufitu jak gigantyczne nietoperze. Wokół niego było pełno innych slaughów. Pomachał do mnie Gethin.

- Tak, królowo Andais - odparł Sholto. Jego włosy były spięte z tyłu, odsłaniając twarz tak samo piękną i pewną siebie jak każda w tej sali.

- Powtórz w obecności wszystkich to, co mi powiedziałaś.

Sholto opowiedział o ataku Nerys na mnie, choć pominął milczeniem jego powód. Była to niepełna wersja wydarzeń, ale wystarczająca. Nie wspomniał jednak ani słowem o Doyle'u. Wydało mi się to dziwne.

Królowa wstała.

- Odtąd Meredith jest równa we wszystkim mojemu synowi Celowi. Ale ponieważ mam dla nich w spadku tylko jeden tron, będzie on należał do tego, kto pierwszy obdarzy mnie wnukiem. Jeśli Cel zapłodni jedną z dworek w ciągu trzech lat, wtedy on zostanie waszym królem. Jeśli jednak Meredith zajdzie w ciążę, to ona będzie waszą królową. Żeby Meredith miała wybór, zdjęłam z moich

strażników geas celibatu - dla niej i tylko dla niej.

Duchy krążyły nad głowami jak obłoki, a cisza pogłębiła się, jakbyśmy siedzieli na dnie głębokiej błyszczącej studni. Wyraz twarzy mężczyzn zmieniał się od zdziwienia poprzez pogardę do szoku. Na niektórych twarzach pojawiło się też pożądanie. W końcu prawie wszyscy mężczyźni patrzyli na mnie.

- Meredith ma prawo wybrać, kogo będzie chciała, spośród was. - Andais usiadła na tronie, rozkładając spódnicę wokół siebie. - Właściwie to już chyba zaczęła wybierać. Popatrzyła na mnie swoimi bladoszarymi oczami. - Prawda, bratanico?

Skinęłam głową.

- Więc poproś ich, żeby usiedli przy twoim boku.

- Nie - powiedział Cel. - Musi być dwóch świadków sidhe. Sholto to tylko jeden.

- Ja jestem drugim - odezwał się Doyle, wciąż klęcząc.

Cel powoli usiadł na swoim tronie. Nawet on nie śmiał kwestionować słów Doyle'a. Popatrzył na mnie. Nienawiść w jego oczach była tak gorąca, że mogła palić skórę.

Odwróciłam się od niego i spojrzałam na mężczyzn, którzy wciąż klęczeli u podstawy podestu. Wyciągnęłam do nich ręce. Galen, Doyle i Rhys wstali i weszli po stopniach. Doyle pocałował moją dłoń i zajął miejsce obok Mroza. Galen i Rhys usiedli u moich stóp, tak jak Keelin siedziała przy Celu. To było trochę zbyt służalcze jak na mój gust, ale nie wiedziałam, jak na to zareagować. Kitto pozostał na podłodze, bez ruchu.

- Królowo Andais - zwróciłam się do mojej ciotki - to jest Kitto, goblin. Jest częścią mojego układu z Kuragiem, królem Goblinów. Na mocy tego układu przez najbliższe sześć miesięcy jesteśmy sprzymierzeńcami.

Andais uniosła wzrok.

- Widzę, że nie próżnujesz, Meredith.

- Czułam potrzebę posiadania mocnych sprzymierzeńców, moja królowo powiedziałam. Popatrzyłam na Cella, nie mogłam się powstrzymać.

- Musisz mi później zdradzić, jak udało ci się wynegocjować aż sześć miesięcy. Teraz jednak zawołaj swojego goblina.

- Kitto - powiedziałam, wyciągając rękę - wstań i chodź do mnie.

Podniósł twarz, nie ruszając reszty ciała. Ten ruch wyglądał prawie na bolesny w swej niezdarności. Spojrzał na królową, później na mnie. Skinęłam głową. - Wszystko w porządku, Kitto.

Znów spojrzał na królową. Pokręciła głową.

- Wstań chłopcze i usiądź tutaj, tylko tak, żeby lekarz mógł opatrzyć rany twojej pani.

Kitto wstał na czworaka. Kiedy nikt na niego nie krzyknął, ukląkł na dwóch kolanach, potem na jednym, a w końcu ostrożnie wstał. Wszedł po stopniach zbyt szybko, prawie biegł i usiadł u moich stóp, a na jego twarzy malował się wyraz ulgi.

- Fflur, opatrz księżniczkę - powiedziała Andais.

Fflur weszła po stopniach z dwiema białymi damami po bokach. Jedna trzymała tacę z bandażami - to była ta wyraźniejsza. Wyglądała prawie jak żywa istota, tylko trochę prześwitywała. Drugi duch był niewidoczny. Małe zamknięte pudełeczko unosiło się w powietrzu, jakby za sprawą magii skrzatów. Ale na Dworze Unseelie nie było skrzatów.

Fflur zdjęła mój but i poruszyła stopą, co sprawiło, że przesunęłam się na tronie. Udało mi się jednak nie jęknąć. Na szczęście to była tylko kostka. Wszystko inne działało.

- Musisz zdjąć pończochę, żebym mogła obandażować kostkę - powiedziała.

Zaczęłam unosić spódnicę i sięgnęłam do pasa do pończoch, ale Galen położył rękę na mojej dłoni,

powstrzymując mnie.

- Pozwól, że ja to zrobię - powiedział.

Dzisiaj nie mógł ze mną spać, ale spojrzenie jego oczu, chryпка w głosie, ciężar dłoni na moich udach były niczym obietnica na przyszłość.

Rhys położył dłoń na moim drugim kolanie.

- A właściwie to czemu właśnie ty masz zdjąć jej pończochę?

Galen spojrzał na niego.

- Bo ja pierwszy o tym pomyślałem.

Rhys uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Dobra odpowiedź.

Galen również się uśmiechnął. Ten uśmiech sprawił, że cała jego twarz rozpromieniła się, jakby ktoś zapalił świeczkę pod skórą. Zwrócił tę promieniejącą twarz do mnie i radość w jego oczach przygasła, zmieniając się w coś mroczniejszego i poważniejszego

Kłęczał przede mną, przy rannej nodze, Rhys był przy drugiej. Uniósł moje ręce, delikatnie całując grzbiet obu dłoni, po czym położył je na oparciach. Przycisnął moje palce do drewna, jakby chciał mi powiedzieć, żebym nie ruszała rękami.

Kłęczał z jednej strony tak, że cała sala prawie wszystko widziała. Podniósł moją spódnicę, odsłaniając nogę i podwiązkę. Zdjął mi podwiązkę i nałożył ją na swoje ramię. Jego palce dotknęły pończochy tuż nad kolanem, ślizgając się po gładkim materiale, aż obie jego dłonie zatrzymały się w połowie uda. Spojrzał mi w oczy i to spojrzenie sprawiło, że serce zaczęło mi mocniej bić.

Opuścił wzrok, patrząc, jak jego dłonie ześlizgują się po mojej nodze. Poruszył palcami przy krawędzi spódnicy, a potem jego ręce zniknęły z widoku aż po nadgarstki, odnajdując górę pończoch. Jego dłonie wydawały mi się teraz większe, niż były. Kiedy poczułam dotyk palców na gołej skórze, drgnęłam.

Spojrzał na mnie, jakby pytając, czy ma przestać. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Dotyk jego dłoni na moim ciele i świadomość tego, że nie musimy już uważać na zakaz królowej, były podniecające; gdybyśmy byli sami, a on zupełnie zdrowy, pobyłabym się pewnie ostrożności i... ubrania. Ale otaczało nas prawie sto osób, a, jak na mój gust, to była trochę za duża widownia.

Zamknęłam oczy i pokręciłam przecząco głową.

Jego palce zaczęły poruszać się wolniej, pieścił nimi moje uda. Westchnęłam.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. Tym razem z wyrazem twarzy, który nie pozostawiał wątpliwości. Nie tutaj. Nie teraz.

Galen uśmiechnął się. Był to bardzo intymny uśmiech. Taki, takim obdarza cię mężczyzna, gdy jest ciebie pewien i wie, że tylko trochę czasu dzieli go od dostania się do twojego ciała i ciebie.

Zagiął palce na krawędzi elastycznego paska i zaczął rolować pończochę w dół mojej nogi, ostrożnie, powoli.

Za nami rozległ się głos.

- Księżniczka chyba już dokonała wyboru. - To był Conri, strażnik, który nie należał do moich ulubieńców. Wysoki, przystojny, z oczami jak stopione trójkolorowe złoto.

- Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, składasz nam obietnicę, a potem jesteście zmuszeni siedzieć i patrzeć, jak inni dostają nagrodę.

- Zdaje się, że Meredith uwija się niczym mała pszczołka pośród was, urocze kwiatki powiedziała Andais. Zaśmiała się, a śmiech ten był szyderczy, radosny, okrutny i... jakby intymny, zaczerwieniłam się, a Galen zdjął mi z nogi pończochę.

Przeszedł na bok, pozwalając Fflur uklęknąć przy mojej kostce. Podniósł pończochę do twarzy i

musnął ustami prześwitujący czarny materiał, patrząc przy tym na Conriego.

Conri nigdy nie był moim przyjacielem. Był jednym z przyjaciół z dzieciństwa Cela, lojalnym towarzyszem jedyne prawdziwego następcy tronu.

Popatrzyłam mu w oczy i zobaczyłam w nich wściekłość i zazdrość - nie o mnie jako osobę, ale jako jedyną kobietę, do której mieli dostęp. Wśród zgromadzonych można było wyczuć napięcie, rosnące jak ciśnienie przed burzą. Białe damy zawsze odpowiadały na wielkie napięcie czy zmiany na dworze. Duchy kręciły się wokół krawędzi sali, tańcząc spektakularny taniec nad podłogą. Im bardziej były podekscytowane, im bardziej poruszone, tym donioślejsze wydarzenia miały nastąpić. Były jak prorocy przepowiadający coś, co wydarzy się za kilka chwil.

Co można zrobić przez te kilka chwil? Czasami dużo. Czasami nic. Cały wic polegał na tym, żeby zobaczyć nadchodzące niebezpieczeństwo i je zatrzymać. Miałam na to kilka sekund, a byłam zbyt wolna, niestety.

- Wyzywam Galena na pojedynek! - zawołał Conri.

Galen powoli wstał. Złapałam go za ramię.

- Co ci da jego śmierć?

- Będę mógł zająć jego miejsce u twego boku.

Roześmiałam się. Nie mogłam się powstrzymać. Zobaczyłam na twarzy Conriego urażoną dumę i mój śmiech zamarł. Pociągnęłam Galena, zmuszając go do ukłęknięcia. Fflur wybrała akurat ten moment, żeby zacisnąć bandażę, więc nie zdążyłam nic powiedzieć. Skorzystał z tego Conri.

- Czyżby Galen Zielonowłosy był tchórzem? - zadrwił. Zszedł z podwyższenia na podłogę.

Poklepałam Galena po ramieniu, przytrzymując go przy sobie.

- Nigdy nie miałeś poczucia humoru, Conri - powiedziałam.

Jego oczy się zwęziły.

- O czym ty mówisz?

- Nie zapytasz, dlaczego się śmiałam?

Patrzył na mnie przez sekundę lub dwie, a potem skinął głową.

- Dobrze, dlaczego się śmiałaś?

- Ponieważ nie jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy prawie wrogami. Nie sypiam z ludźmi, których nie lubię, a ciebie nie lubię.

Wyglądał na zdziwionego. Westchnęłam.

- To oznacza, że nawet jeśli zabijesz Galena, nie dopuszczę cię do swojego łóżka. Nie lubię cię, Conri, a ty nie lubisz mnie. Nie i na mowy, żebym się z tobą kiedykolwiek przespała. Więc usiądź, zamknij się i pozwól wypowiedzieć komuś, kto ma szansę na to, żeby dzielić ze mną łóżko.

Conri stał z otwartymi ustami. Nie wiedział, co robić. Był najsprytniejszym strażnikiem na całym Dworze Unseelie. Przyssał się do Cela. Na każdym kroku pochlebiał królowej. Wiedział, których arystokratów traktować dobrze, a których ignorować albo nawet traktować źle. Ja podpadałam pod tę ostatnią kategorię, bo nie można było być równocześnie przyjacielem Cela i moim. Cel by na to nie pozwolił. I oto nagle Conri uświadomił sobie, że nie jest aż tak sprytny, jak myślał. Podobało mi się jego zmieszanie.

Ale skupił się.

- Moje wyzwanie nadal jest aktualne. Jeśli nie mogę dzielić z tobą łóżka, nie chcę, żeby to robił Galen.

Zacisnęłam rękę na ramieniu Galena.

- Po co walczyć, skoro i tak nie dostaniesz nagrody? - spytałam.

Conri uśmiechnął się i nie było to przyjemne.

- Bo jego śmierć cię zaboli, a ten ból będzie prawie tak słodki, jak twoje ciało obok mojego. Galen wstał, wrywając się z mojego uścisku. Zaczął schodzić po stopniach. Bałam się o niego. Conri był okrutnym skurczybykiem, a do tego jednym z najlepszych szermierzy na dworze. Wstałam, podskakując na jednej, zdrowej nodze. Gdyby Rhys mnie nie złapał, upadłabym.

- Wciąż jestem powodem tego pojedynku.

Conri skinął głową, patrząc, jak Galen do niego podchodzi.

- To prawda, księżniczko. Wiedz, że zabiję go z twojego powodu.

I wtedy nagle mnie olśniło.

- Nie możesz wyzywać na pojedynek królewskiego małżonka, Conri - powiedziałam.

- Nie jest nim, dopóki nie zaszłaś w ciążę - odparł.

- A jeśli powiem ci, że cały czas próbuję z nim zająć w ciążę? Nie wiadomo, czy już nie jestem brzemienna.

Conri odwrócił się do mnie, zaszokowany.

- Ty nie... to znaczy...

Królowa znowu się roześmiała.

- Och, Meredith, jesteś naprawdę bardzo pracowitą pszczołką. - Wstała. - Jeśli istnieje choćby cień szansy na to, że Galen mógł spłodzić dziecko, to rzeczywiście powinno się go traktować jak królewskiego małżonka, dopóki się nie udowodni, że Meredith nie jest w ciąży. Jeśli zabijesz go i okaże się, że moja bratanica jest brzemienna, twoja głowa zgnije w słoiku na półce w moim pokoju.

- Nie wierzę - powiedział Cel. - Nie spali dzisiaj ze sobą.

Andais odwróciła się do niego.

- A co powiesz o zakłęciu pożądania w samochodzie?

Conri zbladł. Rzut oka na jego twarz wystarczył, żebym zrozumiała, że on pozostawił to zakłęcie. Choć chyba dla wszystkich sidhe było jasne, kto mu to kazał zrobić.

- Meredith nie jest jedyną osobą, która była dzisiaj pracowita jak pszczołka. - Głos królowej był ciepły, ale wyczuwało się w nim narastającą wściekłość.

Cel wyprostował się na swym tronie. Siobhan wyszła zza jego pleców, stając pomiędzy królową a księciem. Okazała swą lojalność przed całym dworem. Andais tego nie zapomni ani nie wybaczy.

Rozenwyn zawahała się, nie do końca podążając za swoim kapitanem. W końcu przysunęła się do boku Siobhan, ale z wyraźną niechęcią. Rozenwyn była lojalna głównie wobec samej siebie.

Eamon stanął obok królowej, a Doyle zrobił w jej stronę ledwie krok, jakby nie był pewien, gdzie ma stanąć. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby się wahał w takiej sytuacji. Królowa popatrzyła na niego. Jego wahanie musiało ją zboleć. Przez tysiąc lat był jej ochroniarzem, jej prawą ręką, jej Ciemnością. Teraz stał niepewnie, nie wiedząc, czy powinien odsunąć się ode mnie i podejść do niej, czy też pozostać na miejscu.

- Dosyć tego - powiedziała Andais. Wściekłość przebiła się przez te proste słowa. Widzę, że ogłosiłaś kolejny konkurs, Meredith. Doyle przez tysiąc lat służby nie zawahał się ani razu, a teraz stoi, przestępując z nogi na nogę i zastanawia się, kogo powinien chronić, jeśli coś pójdzie nie tak. - Obrzuciła mnie tak wściekłym spojrzeniem, że odruchowo ścisnęłam rękę Rhysa.

- Ciesz się, że jesteś krwią z mojej krwi, Meredith. Każdy inny, kto wystawiłby na próbę lojalność moich najbardziej zaufanych strażników, zginąłby.

To było prawie tak, jakby była zazdrosna. Odkąd pamiętałam, nigdy nie traktowała Doyle'a jak kogoś więcej niż służącego, strażnika. Nigdy nie traktowała go jak mężczyznę. Nigdy przez te tysiąc lat nie był jej kochankiem. A teraz była zazdrosna.

Doyle sprawiał wrażenie w równej mierze zakłopotanego, co zdziwionego. Nagle uświadomiłam

sobie, że kiedyś ją kochał. Teraz jednak nie, i to wcale nie z mojej winy. To Andais odrzuciła go, przez tyle setek lat nie zwracając na niego uwagi. To była zbyt intymna chwila, by robić z niej publiczne widowisko.

Ludzie pewnie odwróciliby wzrok, dając im złudzenie prywatności, ale tu nie było ludzi. Tu były sidhe. Obserwowaliśmy ich bacznie, żeby nic nie przegapić. W końcu Doyle zrobił krok do tyłu i stanął za mną, kładąc mi dłoń na ramieniu. Nie był to zbyt intymny gest, zwłaszcza po przedstawieniu, które zrobił Galen, ale akurat w tym momencie to wystarczyło. Podobnie jak Siobhan okazał swoją lojalność i spalił za sobą mosty.

Do tej pory Doyle ryzykował dla mnie życie, bo tak nakazała mu królowa. Od tej chwili miał to robić dlatego, że gdybym teraz zginęła, królowa nigdy już by mu nie zaufała. Nigdy już nie miał być jej Ciemnością. Był mój, na dobre i na złe. To nadawało nowego znaczenia powiedzeniu „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Moja śmierć prawie na pewno oznaczała również jego śmierć.

Patrzyłam na ciotkę, ale podniosłam głos, żeby wszyscy słyszeli.

- Oni wszyscy są moimi małżonkami.

Przez salę przetoczył się gniewny pomruk.

- Nie mogłaś spać z nimi wszystkimi! - krzyknął jakiś męski głos.

- Dziwka! - zawtórował mu żeński.

Podniosłam rękę w geście, który podpatrzyłam u mojej ciotki. Sala nie uciszyła się zupełnie, ale mogłam kontynuować. - Moja ciotka w swej wielkiej mądrości przewidziała, że jeśli da się strażnikom jakąkolwiek kobietę, skończy się to na pojedynkach. Moglibyśmy stracić najlepszych i najmądrzejszych.

- Myślałby kto, że taka cenna z ciebie nagroda! - krzyknął ten sam żeński głos, co przed chwilą.

Zaśmiałam się, podpierając się na ramieniu Rhysa. Kitto wstał i podał mi swoją dłoń. Przyjęłam tę dodatkową pomoc z wdzięcznością. Kostka zaczęła boleć.

- Wiem, że to ty, Dilys. Nie, nie jestem cenną nagrodą, ale jestem kobietą. Jediną kobietą, jaką mogą mieć. W tym przypadku to wystarczy, bez względu na to, czy nam się to podoba czy nie. Ale moja ciotka przewidziała ten problem.

- To prawda - przyznała Andais. - Nakazałam Meredith wybrać spośród was nie jednego, czterech czy pięciu, ale wielu. Ma was traktować jak swój własny... harem.

- Czy możemy odmówić, jeśli nas wybierze? - Spojrzałam w tłum, ale nie widziałam, kto o to zapytał.

- Możecie odmówić - powiedziała Andais. - Ale który z was pozbawi się szansy zostania następnym królem? Jeśli zajdzie z którymś z was w ciążę, nie będzie on królewskim małżonkiem, ale monarchą. Galen i Conri wciąż stali kilka jardów od siebie i mierzyli się wzrokiem.

- Wszyscy wiemy, kogo ona chce na króla. Pokazała to dzisiaj wyraźnie - powiedział Conri.

- Pokazałam wyraźnie - odrzekłam - tylko to, że nie będę z tobą spała, Conri. Reszta, jak to mówią, jest do wzięcia.

- Nie zrobisz z Galena swojego królewskiego małżonka - powiedział Cel z satysfakcją.

- Jeśli jesteś w ciąży, to jest jego ostatnie dziecko.

Spojrzałam na niego, próbując zmierzyć poziom jego wrogości. Nie udało mi się.

- Zawarłam układ z królową Niceven. Odstąpiła od Galena, zanim było za późno.

- Co jej ofiarowałaś w zamian?

Mała królowa uniosła się z miejsca, gdzie na półce stał jej miniaturowy tron, niczym domek dla lalek, i wleciała ponad tłum.

- Krew, książę Celu. Nie krew lorda, ale krew księżniczki.

- Wszyscy mamy w swoich żyłach monetę Dworu Unseelie, kuzynie - powiedziałam.

- A jeśli to goblin robi jej dziecko? - spytała Siobhan, próbując zmienić temat, który stawał się niebezpieczny dla jej pana.

Królowa odwróciła się do niej.

- Wtedy to goblin zostanie królem.

W sali zawrzało. Gniewne pomruki, przekleństwa, okrzyki przerażenia.

- Nigdy nie będziemy służyć goblinowskiemu królowi - powiedział Conri. Pozostali mu zawtórowali.

- Wypowiedzenie posłuszeństwa komuś, kto został wybrany przez królową, to zdrada

- powiedziała Andais. - Udasz się do Korytarza Śmierci, Conri. Myślę, że od dawna należy ci się nauczka.

Stał tam, patrząc na nią, a potem przeniósł wzrok na Cela. To był błąd.

Andais tupnęła nogą. - To ja tu jestem królową! Nie patrz na mojego syna. Idź do Ezekiała, Conri. Idź teraz albo spotka cię coś gorszego.

Conri uklonił się i wyszedł z sali przez wciąż otwarte drzwi. Tylko tyle mógł zrobić. Gdyby sprzeczał się dalej, zostałyby stracony.

W pełnej napięcia ciszy rozległ się głos Sholta.

- Spytaj Conriego, kto rozkazał mu umieścić zakłęcie pożądania w Czarnym Powozie.

Andais odwróciła się gwałtownie do niego. Siedząc blisko niej, czułam, jak jej magia się zbiera, kłuje mnie w skórę. Na nagich plecach Galena pojawiła się gęsia skórka.

- Ukarzę Conriego, nie obawiaj się - powiedziała.

- Ale nie jego pana - zauważył Sholto.

Cały dwór westchnął, bo Sholto powiedział w końcu to, o czym wszyscy od dawna wiedzieli. Przez całe lata Cel rozkazywał robić różne rzeczy; potem jednak to jego poplecznicy cierpieli, a nie on.

- To moja sprawa - powiedziała Andais. W jej głosie słychać było panikę.

- Kto mi powiedział, że Wasza Wysokość chce, żebym udał się do zachodnich krain i zabił księżniczkę Meredith? - spytał Sholto.

- Nie - powiedziała królowa. Jej głos był cichy, jak kogoś, kto śni i próbuje przekonać samego siebie, że koszmar nie jest prawdziwy.

- Co „nie”, Wasza Wysokość? - spytał Sholto.

- Kto miał dostęp do Łez Branwyna i pozwolił śmiertelnikom używać ich przeciwko istotom magicznym? - włączył się Doyle.

Gęstniejąca cisza była wypełniona tańczącymi duchami, obracającymi się coraz szybciej. Twarze zwrócone były na podwyższenie, niektóre blade, inne rozbawione, jeszcze inne przestraszone, ale wszystkie czekające. Czekające, co królowa w końcu zrobi.

Ale to Cel przemówił następny. Pochylił się i syknął do mnie:

- Teraz na ciebie kolej, kuzynko. No, na co czekasz? - Jego głos był pełen nienawiści.

Najwidoczniej myślał, że widziałam go w Los Angeles i tak jak Sholto czekałam tylko na odpowiednią chwilę, żeby to ujawnić. Wciągnęłam powietrze, ale Andais chwyciła mnie za ramię. Nachyliła się do mnie i wyszeptała:

- Nie mów o jego wyznawcach.

Wiedziała. Wiedziała, że Cel pozwalał, żeby ludzie oddawali mu cześć. Zabrakło mi słów. Żeby chronić swojego syna, ryzykowała życie nas wszystkich. Jeśli ludzie udowodniliby przed sądem, że jakaś sidhe pozwalała, żeby oddawano jej cześć, zostalibyśmy wydaleny z tego kraju. Nie tylko sidhe, ale wszystkie istoty magiczne.

Popatrzyłam w te trójkolorowe oczy i po raz pierwszy zobaczyłam nie przerażającą Królową

Powietrza i Ciemności, ale matkę bojącą się o swoje jedyne dziecko. Zawsze za bardzo kochała Cela.

- To się musi skończyć - wyszeptałam.

- Skończyło się. Masz moje słowo.

- Musi zostać ukarany - powiedziałam.

- Ale nie za to - szepnęła.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę lub dwie, podczas gdy jej dłoń trzymała mój zakrwawiony rękaw.

- Więc za to, że dał Łzy Branwyna śmiertelnikom.

Zacisnęła rękę tak mocno, że aż mnie zabolęło. Jeśli w jej oczach nie byłoby tyle strachu, pomyślałabym, że mi grozi.

- Ukarzę go za to, że próbował cię zabić.

Pokręciłam głową.

- Nie, chcę, żeby był ukarany za to, że dał Łzy Branwyna śmiertelnikom.

- To wyrok śmierci - powiedziała.

- Są dwie możliwości ukarania go, moja królowo. Zgodzę się, żeby zachował życie, ale musi przejść tortury.

Odsunęła się ode mnie, blada, jej oczy stały się nagle zmęczone. Tortury za tę zbrodnię były bardzo specyficzne. Rozbierało się delikwenta do naga i przywiązywało do łańcuchów w ciemnym lochu, a potem pokrywało Łzami. Jego ciało było pełne palącej żądz, ale pozostawało nietknięte, niezaspokojone. Podobno tortury te niejedną sidhe wpędziły w szaleństwo. Ale to było najlepsze - lub najgorsze - co mogłam zrobić.

- Sześć miesięcy to zbyt długo - powiedziała. - Jego umysł tego nie wytrzyma. - Po raz pierwszy słyszałam, jak przyznaje, że Cel jest słaby, a przynajmniej niezbyt silny.

Targowałyśmy się przez chwilę tak, jak wcześniej targowałam się z Kuragiem. W końcu stanęło na trzech miesiącach.

- Trzy miesiące, moja królowo, ale jeśli któremuś z moich ludzi stanie się w tym czasie krzywda, Cel przyplaci to życiem.

Odwróciła się i spojrzała na swojego syna, który patrzył na nas uważnie, zastanawiając się, o czym mówimy. W końcu odwróciła się z powrotem do mnie i powiedziała:

- Zgoda.

Wstała, powoli, zupełnie jakby nagle stała się bardzo stara. Nigdy nie będzie miała starego ciała, ale ciało to nie wszystko. Opowiedziała czystym, zimnym głosem o zbrodni Cela i karze, jaką miał ponieść.

Zerwał się na równe nogi. - Nie ma mowy! - krzyknął.

Uderzyła go swoją magią, wciskając go w fotel, naciskając na jego pierś niewidzialnymi dłońmi mocy, aż w końcu nie mógł nabrać powietrza, żeby coś powiedzieć.

Siobhan poruszyła się nieznacznie. Doyle i Mróz stanęli natychmiast pomiędzy nią a królową.

- Jesteś głupcem, Cel - powiedziała Andais. - Właśnie uratowałam ci życie. Postaraj się, żebym nie zaczęła żałować tego, co zrobiłam. - Nagle go puściła, tak że upadł na podłogę, blisko Keelin.

Andais odwróciła się tyłem do swoich poddanych.

- Meredith weźmie dziś kogoś do hotelu. Jest moją następczynią. Ziemia ją powitała. Pierścień na jej palcu ożył i znów jest pełen magii. Ożyły również róże, po raz pierwszy od dziesięcioleci. Tyle cudów, a ty wciąż kwestionujesz mój wybór. Uważaj, żebyś nie zakwestionował swojego istnienia. - Usiadła i nakazała gestem, żebyśmy również usiedli. Wykonaliśmy ten rozkaz.

Białe damy zaczęły przynosić małe stoliki i ustawiać je przed tronami. Potem nadleciały z potrawami.

Galen wrócił na podwyższenie. Conriemu bankiet przeszedł koło nosa - był właśnie torturowany. Cel, jako księżę, mógł pozostać na bankiecie. Tak nakazywała etykieta Unseelie.

Królowa zaczęła jeść. Przyłączyliśmy się do niej. Królowa napiła się wina. My również.

Przestała jeść zupę i spojrzała na mnie. To nie było wrogie spojrzenie, raczej zadziwione i z pewnością niezbyt szczęśliwe. Pochyliła się do mnie, tak że jej usta dotykały mojego ucha. - Albo będziesz się dzisiaj pieprzyć z jednym z nich, albo dołączysz do Cela.

Odsunęłam się na tyle, żeby zobaczyć jej twarz. Wiedziała, że Galen i ja nie uprawialiśmy seksu. Ale pomogła mi uratować go przed wyzwaniem Conriego i byłam jej za to wdzięczna. Andais nie robiła jednak niczego bez powodu i musiałam się zastanowić, czemu zawdzięczałam ten akt miłosierdzia. Chciałabym ją o to zapytać, ale miłosierdzie królowej to delikatna sprawa, jak bańka unosząca się w powietrzu. Jeśli za bardzo się ją popycha, po prostu pęka, przestaje istnieć. A nie chciałam tego.

Rozdział 33

Kiedy znów znalazłam się w Czarnym Powozie, na dworze panowała jeszcze ciemność, ale w powietrzu czuć już było świt, prawie tak jak smak soli w powietrzu niedaleko morza. Nie można było tego zobaczyć, ale wiadomo, że tam jest. Cieszyłam się, że zbliża się świt. Niektóre z istot obecnych na Dworze Unseelie nie mogły znieść światła dziennego, a co za tym idzie, Cel nie mógł ich wysłać za mną. Wprawdzie Doyle wątpił, by księżę spróbował zrobić coś takiego jeszcze tej nocy, ale kara Cela miała rozpocząć się dopiero następnego dnia wieczorem. Nic więc dziwnego, że wszyscy moi strażnicy wsiedli do samochodu uzbrojeni. Mróz brzęczał dosłownie przy każdym ruchu. Inni byli bardziej subtelni, ale tylko trochę.

Mróz położył swój miecz - Geamhradh Po'g, czyli Zimowy Pocałunek - przy drzwiach samochodu. Był za duży, aby mógł usiąść z nim przy boku. Nie była to broń do zabijania jak Śmiertelny Strach, pozbawiała ona namiętności, pozostawiając tego, kogo Mróz nią uderzył, zimnym i pustym jak zimowy śnieg. Były czasy, kiedy wolelibyśmy śmierć niż to.

Doyle prowadził. Rhys siedział obok niego. Doyle rozkazał Rhysowi usiąść z nami z tyłu, ale Mróz nalegał, żeby to jego wpuścić na tył. Dziwne.

Teraz siedział w kącie, przyciśnięty do drzwi, wyprostowany, a jego srebrne włosy błyszczały w ciemności. Galen usiadł po drugiej stronie. Większość jego ran była już prawie wyleczona, a pozostałe schowane pod dzinsami. Pod zieloną koszulą miał biały podkoszulek na ramiączkach. Koszula była rozpięta pod szyją. Jediną rzeczą, jaką miał na sobie podczas pobytu na dworze, były buty do kolan z miękkiej skóry pofarbowanej na zielono. Przy cholewkach zwisały dwa rzemyki, które nadawały butom wygląd indiańskich. Brązowa skórzana kurtka, którą miał od lat, była złożona na kolanach.

Było na siedzeniu miejsce dla Kitto, ale ten zwinął się na podłodze, przysuwając kolana do piersi. Galen pożyczył mu koszulę z długim rękawem. Koszula była na niego za duża, białe rękawy powiewały nad jego dłońmi. Widziałam tylko małe gołe stopy wystające spod ubrania. Wyglądał jak ośmiolatek.

Wszelkie pytania w rodzaju: „Wszystko w porządku? Na pewno?“, zbywał niezmiennym: „Tak, Pani”. Tak odpowiadał na wszystko, ale było jasne, że z jakiegoś powodu jest nieszczęśliwy, zarzuciłam próby wydobycia od niego informacji. Byłam zmęczona i bolała mnie kostka. Nie, bolała mnie prawie cała noga. Rhys i Galen na zmianę przykładali mi lód do kostki podczas zabawy, która odbyła się po kolacji. Taniec, który miał pomóc mi wybrać strażników, okazał się klęską, bo nie mogłam tańczyć. Nawet gdybym nie miała skręconej kostki, byłabym zbyt zmęczona.

Oparłam się o ramię Galena, próbując zasnąć. Podniósł rękę, żeby mnie objąć, ale zatrzymał się w pół ruchu.

- Au - poskarżył się.

- Wciąż boli? - spytałam.

Skinął głową i powoli opuścił rękę. - Tak.

- Ja nie jestem ranny - powiedział Mróz. Spojrzeliśmy na niego.

- Co takiego? - spytałam.

- Nie, jestem ranny, więc...

Przypatrzyłam się mu. Jego twarz wciąż była skryta za zwykłą arogancką maską, począwszy od niemożliwie wysoko osadzonych kości policzkowych po mocną żuchwę i mały dołeczek w brodzie. Do tej twarzy pasowałyby proste, cienkie usta. Ale jego usta były pełne i zmysłowe. Dołeczek i usta sprawiały, że twarz nie wyglądała do końca poważnie. W tej chwili była ona napięta, plecy miał wyprostowane, jedną ręką trzymał klamkę drzwi tak mocno, że widać było ścięgna na jego ramieniu. Odwrócił wzrok, ukazując mi swój profil.

Nagle uświadomiłam sobie, że był zdenerwowany. Z mojego powodu. Tak jakby bardzo dużo go kosztowało złożenie tej propozycji.

Spojrzałam na Galena. Podniósł brwi i spróbował wzruszyć ramionami, ale nie udało mu się. Musiał się zadowolić pokręceniem głową. Najwyraźniej też nie wiedział, co się dzieje.

Nie byłam z Mrozem na tyle blisko, żeby położyć głowę na jego ramieniu, ale... ale mógł wyjść przez drzwi, uratować się, kiedy kolce mnie atakowały, a nie zrobił tego. Został z nami, ze mną. Nie miałam złudzeń co do tego, że Mróz żywi do mnie głęboką miłość, którą skrywał przez te wszystkie lata. To po prostu nie była prawda. Ale geas został zdjęty i mógł po raz pierwszy od bardzo dawna uprawiać seks. Chciał jechać ze mną z tyłu, a teraz zaproponował, żebym oparła się na jego ramieniu. Mróz swój sposób próbował się do mnie zalecać.

To było niezgrabnie słodkie. Ale sam Mróz nie był słodki. Był arogancki i pełen dumy. Musiało go to drogo kosztować. Gdybym odrzuciła ofertę, czy kiedykolwiek zaryzykowałby jeszcze raz? Czy zaproponowałby jeszcze kiedykolwiek swe usługi?

Nie mogłam mu odmówić. Wiedziałam, że zniechęciłby mnie, gdyby wiedział, że oparłam się na jego ramieniu wcale nie dlatego, że go pożałowałam czy że wydawał mi się przystojny, ale z litości.

Wyciągnęłam się na siedzeniu. Był nieco wyższy od Galena, więc nie położyłam mu głowy na ramieniu, tylko na piersi.

Cienki materiał jego koszuli drapał mnie w policzek i nie mogłam się odprężyć. Nigdy wcześniej nie byłam tak blisko Mroza. Dziwnie się czułam. Oboje byliśmy spięci i było nam niewygodnie. Cały czas się poprawialiśmy. Przeniósł rękę z moich pleców na talię. Próbowałam ułożyć się wyżej, potem niżej. Próbowałam przybliżyć się do niego, potem oddalić. Wszystko na nic.

W końcu roześmiałam się. Zesztywniał. Słyszałam, jak przełknął. Na Boginię, ależ on był zdenerwowany.

Zaczęłam się podnosić na kolana, ale w samą porę przypomniałam sobie o mojej kostce i podwinęłam tylko jedną nogę, uważając, żeby nie rozerwać obcasem jedynej pozostałej pończochy oraz jedwabnych majteczek.

Mróz znowu był odwrócony do mnie profilem. Dotknęłam brody i zwróciłam ku sobie jego twarz. Nawet w ciemności widziałam ból w jego oczach. Ktoś kiedyś musiał go skrzywdzić. To było widać w spojrzeniu.

I już nie chciało mi się śmiać.

- Śmiałam się - powiedziałam - bo...

- Wiem, dlaczego się śmiałaś - przerwał mi i przysunął się do drzwi samochodu, choć pozostał wyprostowany. W pewien sposób przypominał skulonego na podłodze Kitta.

Dotknęłam delikatnie jego ramienia. Opadł na nie cienki welon włosów. Były jak jedwab. Nie spodziewałam się, że są takie miękkie. Były bardziej miękkie od loków Galena. I zupełnie inne.

Patrzył, jak głaszczę jego włosy.

Spojrzałam na niego. - Jesteśmy niezgrabni niczym na pierwszej randce. Nigdy nie trzymaliśmy się za ręce, nie obejmowaliśmy się ani nie całowaliśmy, więc nic dziwnego, że nie czujemy się zbyt swobodnie w swoim towarzystwie. Galen i ja zrobiliśmy ten wstęp całe lata temu.

Odwrócił się ode mnie, sprawiając, że jego włosy wyslizgnęły się z moich dłoni, chociaż chyba nie zrobił tego z rozmysłem. Wpatrzył się w okno, mimo że było ono czarne. Widziałam w nim jego odbicie.

- Jak można przełamać tę niezgrabność?

- Przecież kiedyś musiałeś się umawiać na randki - powiedziałam.

Pokręcił głową. - Ostatni raz byłem z kobietą ponad osiemset lat temu.

- Osiemset - powtórzyłam. - Myślałam, że geas działa od tysiąca.

Skinął głową, nie odwracając się do mnie. Dalej patrzył na swoje odbicie w szybie.

- Osiemset lat temu królowa wybrała mnie na swego małżonka. Służyłem jej trzy razy po dziewięć lat, a potem wybrała kogoś innego. - W jego głosie było lekkie wahanie, kiedy wypowiadał ostatnie zdanie.

- Nie wiedziałam.

- Ja też nie - dodał Galen.

Mróz po prostu wyglądał przez okno, jakby był zafascynowany odbiciem swej własnej twarzy.

- Przez pierwsze dwieście lat na dworze byłem taki jak Galen - nie stroniłem od kobiet. Potem mnie wybrała, a kiedy mnie odrzuciła, o wiele trudniej było mi się powstrzymać niż dawniej. Wspomnienie jej ciała, tego co... - Głos mu się załamał. - Więc nic nie robię. Nikogo nie dotykam. Nie dotykałem nikogo od ośmiuset lat. Nikogo nie całowałem. Nie trzymałem nikogo za rękę. - Przycisnął czoło do szyby. - Nie wiem już, jak skończyć.

Podniosłam się na jednym kolanie, dopóki moja twarz nie znalazła się przy jego. Położyłam brodę na jego ramieniu.

- Chyba raczej nie wiesz, jak zacząć - powiedziałam. Podniósł wzrok i spojrzał na moje odbicie w szybie. - Tak - wyszeptał.

Przytuliłam się do niego, żeby poczuć jego ciało. Chciałam powiedzieć, że przykro mi z powodu tego, co mu zrobiła. Chciałam wyrazić litość, ale wiedziałam, że jeśli wyczułby ją, wszystko by się skończyło. Już nigdy więcej by się przede mną nie otworzył.

Potarłam policzkiem o jego niewiarygodnie miękkie włosy.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Przytulił głowę do mojego policzka i poczułam, że jego ramiona się rozluźniają. Objęłam go. Powoli, z wahaniem, położył ręce na moich ramionach, a kiedy się nie poruszyłam ani nie napięłam mięśni, przytrzymał moje dłonie i przycisnął do swojej piersi.

Jego dłonie były lekko spocone. Serce biło mocno. Dotknęłam ustami jego policzka, tak lekko, że nie można było tego właściwie nazwać pocałunkiem.

Westchnął przeciągle, a jego pierś uniosła się i opadła pod moimi dłońmi. Odwrócił głowę i ten mały ruch sprawił, że nasze twarze znalazły się bardzo blisko siebie. Spojrzałam mu w oczy, pieściłam jego twarz swoim spojrzeniem, jakbym starała się ją zapamiętać, i w sumie tak właśnie było. Pierwsza pieśczoła, pierwszy pocałunek. Coś, co nigdy się już nie powtórzy, nigdy nie będzie

takie nowe i takie pierwsze.

Mróz mógł mnie pocałować, ale nie zrobił tego. Wpatrywał się we mnie, tak jak ja w niego. Nie ruszał się. To ja musiałam zrobić następny krok. Pochyliłam się, skróciłam dystans pomiędzy naszymi ustami. Pocałowałam go, delikatnie. Jego usta były całkowicie nieruchome; tylko szaleńcze bicie jego serca mówiło, że tego chce. Zaczęłam się odsuwać, a jego ręka sunęła po moim ramieniu w górę, dopóki nie przytrzymała z tyłu mojej głowy. Zatopił dłoń w moich włosach, tak jak ja wcześniej zatopiłam swoją dłoń w jego. Oczy miał szeroko otwarte. Obniżył moją twarz do swoich ust. Pocałowaliśmy się i tym razem oddał pocałunek. Jego usta nacisnęły na moje wargi.

Otworzyłam usta, poruszając językiem. Jedną dłoń wciąż miał zanurzoną w moich włosach, drugą przebiegł po mojej talii. Całował mnie, jakby chciał mnie zjeść. Czułam mięśnie napinające się na jego szyi, zupełnie jakby jego usta i język były z nimi połączone. Obróciłam się w jego ramionach, siadając mu na kolanach. Jęknął, złapał mnie w talii i posadził na sobie, tak że otaczałam go nogami. Uderzyłam się przy tym w chorą kostkę i syknęłam z bólu.

Mróz przycisnął twarz do mojej piersi. Jego oddech był urywany. Trzymałam jego twarz przy sobie, obejmując go ramionami. Mrugałam, jakbym dopiero co się obudziła.

Galen patrzył na nas z otwartymi ustami. Bałam się, że będzie zazdrosny, ale był zbyt zdziwiony, by być zazdrosny. Jeszcze nie do końca wierzyłam, że to Mróz mnie obejmuje, że to jego pocałunki są tak gorące, że aż parzą.

Kitto patrzył na mnie swoimi ogromnymi niebieskimi oczami i nie wydawał się zdziwiony. Był rozpalony. Przypominałam sobie, że nie wiedział jeszcze, że nie będzie ze mną uprawiał seksu.

Galen pierwszy się opamiętał. Zaklaskał i powiedział, śmiejąc się nerwowo:

- W skali od jednego do dziesięciu macie u mnie dwanaście punktów, a przecież tylko patrzyłem.

Mróz przytulił się do mnie, wciąż dysząc, jakby przebiegł długi dystans. - Myślałem, że zapomniałem, jak to się robi - powiedział.

Roześmiałam się tym rodzajem śmiechu, który sprawiał, że faceci w barze odwracali się, gdy go słyszeli. Moje ciało wciąż pulsowało od nadmiaru krwi, nadmiaru gorąca. Tuliłam Mroza do siebie, czując ciężar jego głowy na swojej piersi. Jego oddech był tak gorący, że wydawało mi się, że wypali mi dziurę w bluzce, i bardzo chciałam, żeby te usta zeszły niżej, całując moje piersi.

- Uwierz mi, niczego nie zapomniałeś. - Znów się roześmiałam. - Jeśli kiedyś całowałeś lepiej niż teraz, to nie wiem, czy bym to przeżyła.

- Chciałbym być zazdrosny - powiedział Galen. - Chciałbym być zazdrosny, ale niech cię licha, Mróz, mógłbyś mnie nauczyć, jak to się robi?

Mróz uniósł głowę. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie - ten błysk satysfakcji w oczach... To uczyniło jego twarz bardziej ludzką, ale nie mniej doskonałą. Jego głos był łagodny, niski, intymny.

- A to był tylko dotyk mojego ciała. Żadnej mocy, żadnej magii.

Popatrzyłam w jego oczy i nagle to ja byłam zdenerwowana.

- To było magiczne, na swój sposób. - Nie mogłam złapać tchu.

Zaczerwienił się. Coś takiego! Pocałowałam go w czoło, po czym usiadłam z powrotem na siedzeniu. Otoczył mnie ramionami. Nasze ciała nagle zaczęły do siebie pasować.

- Widzisz, teraz jest nam już wygodnie - powiedziałam.

- Tak - potwierdził i nawet to jedno słowo miało w sobie tyle gorąca, że ścisnęło mnie w dołku.

- Musisz położyć tę nogę wyżej - włączył się Galen. - Proponuję swoje kolana.

Wyciągnęłam nogi, a on położył moje stopy na swoich kolanach. Ale było mi niewygodnie.

- Mój kręgosłup tego nie wytrzyma - powiedziałam.

- Jeśli nie uniesiesz kostki, spuchnie - zaprotestował Galen. - Trzymaj stopy na moich kolanach i

połóż się. Jestem pewien, że Mróz nie będzie miał nic przeciwko temu, żebyś położyła głowę na jego kolanach. - Ostatnie zdanie wypowiedział z sarkazmem.

- To prawda - przyznał Mróz. - Nie mam nic przeciwko. - Jeśli nawet wyczuł sarkazm, nie dał tego po sobie poznać.

Położyłam się, przytrzymując sukienkę, żeby się nie podwinęła; cieszyłam się, że jest taka długa. Dzięki temu cała ta sytuacja nie była tak dwuznaczna. Byłam tak zmęczona, że potrzebowałam trochę skromności.

Położyłam głowę na udzie Mroza, skronią dotykając jego brzucha. Trzymaliśmy się za ręce i patrzyliśmy sobie w oczy. To było bardzo intymne. Przesunęłam głowę na bok, policzek przyciskając do jego uda. Wolną ręką bawił się moimi włosami.

- Mogę zdjąć ci drugi but? - spytał Galen.

Spojrzałam na niego pytająco.

- Po co?

Uniósł lekko biodra i poczułam, że obcas wbija się w ciało. Za miękkie, żeby mogło być to udo.

- Wiesz, ten obcas jest trochę ostry - powiedział.

- Więc na niego nie naciskaj - odparłam.

- Nie mogę się ruszyć. Wciąż mnie boli.

- Przepraszam, możesz zdjąć but.

Uśmiechnął się. Zdjął but z mojej nogi i podniósł go do oczu, kręcąc głową. Wyglądasz świetnie na wysokich obcasach, ale gdybyś miała płaskie buty, twoja kostka byłaby pewnie cała.

- Masz szczęście, że jest tylko skręcona - powiedział Mróz. - To było silne, choć kiepsko przygotowane zakłęcie.

Skinęłam głową.

- To tak, jakby strzelać do wiewiórek z armaty. Zabija się je, ale nie zostaje zbyt dużo mięsa.

- Cel ma moc, ale nie w pełni ją kontroluje - powiedział Mróz.

- Tacy jesteście pewni, że to był Cel? - spytał Galen.

Oboje spojrzeliśmy na niego.

- A ty nie? - spytałam.

- Myślę, że nie powinniśmy wszystkiego przypisywać Celowi. Jest twoim wrogiem, ale być może nie jedynym. Nie chcę, żebyśmy patrzyli tylko na niego i przegapili coś ważnego.

- Dobrze powiedziane - stwierdził Mróz.

- Rany koguta, to było prawie mądre - stwierdziłam.

Galen klepnął mnie delikatnie w stopę.

- Tego rodzaju komplementy nie przybliżą cię do mego ciała.

Pomyślałam przelotnie o tym, żeby nacisnąć stopą na jego krocze, na dowód tego, że już byłam blisko jego ciała, ale nie zrobiłam tego. Był zbyt obolały.

Kitto obserwował nas bacznie swoimi niebieskimi oczami. Miał coś takiego w twarzy, że byłam pewna, że powtórzyłby dokładnie wszystko, co mówiliśmy. Czy powie to Kuragowi? Jak bardzo można było na nim polegać?

Gdy zauważył, że mu się przyglądam, spojrzał mi prosto w oczy. To spojrzenie nie było bojaźliwe. Wręcz przeciwnie. Od mojego pocałunku z Mrozem sprawiał wrażenie bardziej rozluźnionego. Nie bardzo wiedziałam dlaczego.

Mój wzrok chyba go ośmielił, bo podpełzł do mnie. Spojrzał na Galena, a potem na Mroza. W końcu ukląkł na podłodze.

Mówił bardzo ostrożnie, delikatnie otwierając usta, żeby ukryć kły i cienki język.

- Pieprzyłaś się dzisiaj z zielonowłosym sidhe.
Zacząłam protestować, ale Galen dotknął mojej nogi, lekko ją ściskając. Miał rację. Nie wiedzieliśmy, jak bardzo możemy zaufać goblinowi.

- Całowałaśśś śśsię... - Przerwał, jakby zawstydzony swoim syczeniem, po czym zaczął od nowa. - Przed chwilą całowałaś się ze srebrnowłosym sidhe. Chciałbym nieśmiało przypomnieć o sobie. Dopóki nie podzielimy się ciałem, układ pomiędzy tobą a moim królem jest nieważny.

- Powstrzymaj swój język, goblinie - powiedział Mróz.

- Nie trzeba, wszystko w porządku - uspokoiłam go. - Kitto jest bardzo grzeczny, jak na goblina. Oni są bardzo bezpośredni w sprawach seksu. Poza tym ma rację. Jeśli cokolwiek mu się stanie, zanim podzielimy się ciałem, układ będzie nieważny.

Kitto uklonił się tak nisko, że dotknął czołem siedzenia. Poklepałam go po głowie.

- Tylko nie myśl sobie, że zrobimy to w samochodzie. Nie jestem zwolenniczką seksu grupowego. Podniósł się wolno, wbijając we mnie spojrzenie swoich niebieskich oczu.

- Kiedy będziemy w hotelu? - zapytał.

- Ona jest ranna - zaprotestował Galen. - To chyba może poczekać.

- Nie - powiedziałam. - Potrzebujemy goblinów.

Czułam, jak ciało Galena się napina.

- Nie podoba mi się to.

- Wcale nie musi ci się to podobać. Po prostu przyjmij to do wiadomości.

- Też mi się nie podoba, że goblin będzie cię dotykał - powiedział Mróz. - Ale goblina zabija się o wiele łatwiej niż sidhe. Zwłaszcza za pomocą magii.

Popatrzyłam na delikatne ciało Kitta. Wiedziałam, że mógł dużo znieść, ale magia... To nie była silna strona goblinów.

Byłam zmęczona, bardzo zmęczona. Ale pracowałam ciężko na ten układ z goblinami. Nie mogłam go stracić z powodu czyichś grymasów. Pytanie brzmiało: w jakiej części mojego ciała miał zatopić swoje kły? Miałam zamiar stracić tylko małe kawałeczki ciała. Ale który?

Rozdział 34

Nie mogłam chodzić ze względu na kostkę. Doyle zaniósł mnie więc do hotelowego holu. Kitto trzymał się bardzo blisko mnie. Po drodze Rhys niezbyt miło to skomentował. Jeśli Rhys wciąż żywił urazę do goblinów, mogło być jeszcze gorzej, niż już było. Nie chciałam tego. Chciałam, żeby wreszcie sytuacja się polepszyła.

To, co czekało nas w holu, jednak wcale nie było lepsze.

W jednym z foteli siedział Griffin, z wyciągniętymi długimi nogami i głową spoczywającą na oparciu. Kiedy weszliśmy, miał zamknięte oczy, jakby spał. Jego grube, miedziane włosy sięgały tylko do ramion. Pamiętałam czasy, kiedy sięgały do kostek. Nie mogłam mu darować, że je obciął. Nie widziałam go w sali tronowej. Dlaczego nie pojawił się na bankiecie? I dlaczego był tutaj?

Popatrzyłam na niego. Marnował osłonę, żeby uchodzić za człowieka. Ale nawet przytłumiony przez własną magię błyszczał. Ubrany był w dżinsy, spod których wystawały podeszwy kowbojek, białą koszulę zapiętą na wszystkie guziki i dżinsową kurtkę ze skórzanymi wypustkami na ramionach i rękawach. Liczył na to, że nie będę mogła złapać tchu na jego widok. Bo nie spał. Siedział tam doskonale upozowany. Ale ja wcale nie miałam problemów z oddychaniem.

Doyle zatrzymał się ze mną w ramionach tuż przed imitacją orientального chodnika, na którym stały fotele. Patrzyłam na Griffina i nic nie czułam. Siedem lat mojego życia, a nie czułam nic prócz pełnej bólu pustki. I smutku, że straciłam tyle czasu, tyle energii na tego mężczyznę. Bałam się go znowu spotkać, bałam się, że uczucie, które do niego kiedyś żywiłam, powróci, albo że będę na niego

wściekła. Ale nie czułam nic. I wtedy zrozumiałam, że zawsze będę miło wspominać jego ciało i mniej miło jego zdrady, ale nie jest on już moją miłością. Uświadomienie sobie tego przyniosło mi ogromną ulgę, ale zarazem poczułam żal.

Powoli otworzył oczy i uśmiechnął się. Uśmiech ten sprawił, że zabolowało mnie w piersi, bo kiedyś wierzyłam, że ten wyjątkowy uśmiech był przeznaczony tylko dla mnie. Spojrzenie jego miodowobrazowych oczu było znajome. Zbyt znajome. Patrzył na mnie tak, jakbym nigdy nie wyjechała. Patrzył na mnie z tą samą pewnością, z jaką patrzył na mnie tego wieczoru Galen. Jego oczy wypełniała wiedza na temat mojego ciała i pewność, że wkrótce będzie miał do niego dostęp.

To zabiło całą sympatię, jaką mogłam w stosunku do niego czuć.

Milczenie trwało trochę zbyt długo, ale nie czułam potrzeby, żeby je przerwać. Wiedziałam, że jeśli się nie odezwę, Griffin zrobi to pierwszy. Zawsze lubił słuchać własnego głosu.

Wstał jednym płynnym ruchem, lekko się pochylając, tak że nie było widać, że ma sześć stóp i trzy cale wzrostu. Błysnął pełnym uśmiechem, który sprawiał, że w kącikach jego oczu pojawiały się zmarszczki, a w jednym policzku robił mu się dołek.

Patrzyłam na niego z twarzą bez wyrazu. Pomagało mi to, że byłam tak zmęczona, że ledwie mogłam myśleć. Poza tym czułam wewnętrzną pustkę i ukazałam to na swojej twarzy. Dałam mu odczuć, że już nic dla mnie nie znaczy, choć znałam go na tyle, żeby wiedzieć, że nie dopuści tej myśli do głowy. Zrobił krok do przodu, z wyciągniętą ręką, jakby chciał mi ją podać. Patrzyłam na niego, dopóki jej nie opuścił. Po raz pierwszy wyglądał na zmieszanego.

Popatrzył na nas wszystkich, a potem jego wzrok spoczął na mnie.

- Królowa nalegała, żeby mnie nie było na bankiecie. Bała się, że mój widok może cię zdenerwować.

- Stawał się coraz mniej pewny siebie, a coraz bardziej niespokojny. - Czy coś straciłem?

- Co tu robisz, Griffin? - spytałam. Mój głos był tak pusty jak moje serce.

Przestępował z nogi na nogę. Najwyraźniej to spotkanie nie przebiegało tak, jak to zaplanował.

- Królowa powiedziała mi, że zniosła dla ciebie geas. - Jego wzrok przesunął się na Doyle'a i pozostałych. Zmarszczył brwi, kiedy zobaczył goblina. Nie podobało mu się to wszystko. Nie podobało mu się, że będę należała do kogoś innego. Nie powiem, miałam z tego powodu satysfakcję.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie - stwierdziłam.

Zmarszczył brwi.

- Po co tu przyszedłeś? - spytałam.

- Królowa zapowiedziała, że przyśle ci strażnika, którego sama wybierze. - Próbował się uśmiechnąć, ale nie udało mu się, gdyż na niego patrzyłam.

- Chcesz powiedzieć, że to ty jesteś szpiegiem królowej?

Uniósł głowę, wysuwając brodę, co u niego było oznaką wściekłości.

- Myślałem, że będziesz zadowolona, Merry. Nie jestem chyba taki najgorszy.

Pokręciłam głową i przytuliłam się do ramienia Doyle'a.

- Jestem na to zbyt zmęczona.

- Co mamy zrobić, Meredith? - spytał Doyle.

Spojrzenie Griffina stwardniało i wiedziałam, że Doyle użył mojego imienia, a nie tytułu, specjalnie.

Uśmiechnęłam się.

- Zabierz mnie do pokoju i skontaktuj się z królową. Nie zmusi mnie do tego, żebym dzieliła z nim łożę, za żadne skarby.

Griffin zrobił krok w naszym kierunku, zanurzył dłoń w moich włosach. Doyle odsunął mnie.

- Przez siedem lat byliśmy mężem i żoną - powiedział Griffin, a w jego głosie była teraz wściekłość.

- Więc powinienes być ją cenić jak skarb.

- Odejdź, Griffinie - nakazałam. - Królowa przyśle kogoś innego.

Staął przed Doyle'em, blokując drogę do wind.

- Merry, Merry, czy ty już...

- ...nic do mnie nie czujesz? - dokończyłam za niego. - Chcę stąd wyjść, zanim przyciągniemy tłumy.

Popatrzył w kierunku recepcji, recepcjonistka przyglądała nam się z uwagą. Dołączył do niej mężczyzna, jakby się bali, że będą problemy.

- Jestem tutaj na rozkaz królowej. Tylko ona może mnie odesłać, nie ty.

Wpatrzyłam się w jego oczy i roześmiałam się.

- Dobrze, chodźmy do pokoju i skontaktujmy się z nią.

- Jesteś pewna? - spytał Doyle. - Może wolisz, żeby został w holu? - Nagle uświadomiłam sobie, że Doyle chciał ukarać Griffina, szukał pretekstu do walki. Nie sądzę, żeby chodziło o mnie. Po prostu Griffin przez długie lata miał to, czego oni wszyscy pragnęli

- dostęp do kobiety, która za nim szalała, i pogardził tym, podczas gdy oni mogli tylko patrzeć.

Mróz podszedł do Doyle'a. Kitto przyłączył się do niego. Rhys stanął po drugiej stronie, a Galen zaszedł Griffina od tyłu.

Griffin nagle napiął się cały. Jego dłoń powędrowała do paska i zaczęła się wślizgiwać za kurtkę.

- Jeśli nie będę widzieć twoich rąk - powiedział Doyle - mogę pomyśleć, że sięgasz po broń. Nie wiem, czy ci się to opłaca.

Griffin chciał widzieć wszystkich, ale pozwolił, żeby go okrążyli. Nie można patrzeć na wszystkie strony. Lepiej było się nie wrywać. Griffin nigdy nie był nierozważny. Zaczęłam się zastanawiać, czy naprawdę czuł taką rozpacz po naszym zerwaniu, że dałby się ponieść emocjom i podjął walkę.

Ta myśl wydała mi się dość zabawna, nie chciałam jednak jego śmierci. Chciałam po prostu, żeby trzymał się ode mnie z daleka.

- Choć zabawnie byłoby patrzeć, jak się o mnie bijecie, może jednak sobie to darujemy, co?

- Jakie są twoje rozkazy? - spytał Doyle.

- Jedziemy na górę, kontaktujemy się z królową, trochę posprzątamy, a potem... cóż, zobaczymy.

- Jak sobie życzysz, księżniczko - powiedział Doyle. Zaniósł mnie do windy. Pozostali strażnicy podążyli za nami, odgradzając nas od Griffina. Kiedy wsiedliśmy już wszyscy do windy, Rhys i Galen stanęli po obu jego stronach.

Doyle był tyłem do lustra, tak że widział zarówno Griffina, jak i zamknięte drzwi. Mróz stał przy drzwiach. Kitto patrzył na Griffina, jakby nigdy wcześniej go nie widział.

Griffin oparł się o ścianę i skrzyżował ramiona na piersi, sprawiając wrażenie zrelaksowanego. Ale w jego oczach malowało się napięcie, a ramiona były sztywne.

Spojrzałam na niego. Był wyższy o trzy cale od Galena i o wiele więcej od Rhysa.

Przyłapał mnie na tym, że na niego patrzę i zdjął swoją osłonę, powoli jak striptizer. Widziałam niezliczoną ilość razy, jak to robi. Światło dobywało się spod jego skóry, najpierw ze stóp, potem z łydek, mocnych ud, w górę, aż każdy centymetr jego ciała błyszczał jak wypolerowany alabaster. Wspomnienie jego nagiego i błyszczącego ciała było tak silne, że nawet zamknięcie oczu nie pomogło. Zbyt długo było mi ono drogie. Otworzyłam oczy i patrzyłam, jak jego miedziane włosy błyszczą, jakby biegł przez nie cienki metalowy drucik. Jego włosy trzeszczały i poruszały się wraz z przyływem mocy. Oczy nie były w kolorze miodu. Były trójkolorowe: brązowe wokół źrenicy, następnie srebrne i brązowe. Zawsze będzie dla mnie piękny. Mimo całej swojej nienawiści nie mogłam o nim myśleć inaczej.

Ale piękno to nie wszystko.

Nikt się nie odezwał, dopóki winda się nie zatrzymała. Galen złapał Griffina za ramię, a Rhys

sprawdził korytarz.

- Po co ta ostrożność? - spytał Griffin. - Coś się dzisiaj stało?

Rhys sprawdził drzwi, potem wziął ode mnie klucz i otworzył je. W czasie gdy sprawdzał pokój, czekaliśmy na korytarzu. Jeśli nawet Doyle był zmęczony trzymaniem mnie, to tego nie okazał.

- Pokój jest czysty - powiedział Rhys. Złapał Griffina za drugie ramię i wprowadził go razem z Galenem do pokoju. Weszliśmy za nimi.

Doyle położył mnie na łóżku. Usiadłam, opierając się o wezłowie. Wziął poduszkę i podłożył ją pod moją kostkę, a potem zdjął płaszcz i rozłożył go przed łóżkiem. Miał wciąż na sobie metalowo-skórzaną uprząż; srebrne kolczyki błyszczały w jego uszach; pióra pawia nadal dotykały jego ramion. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie widziałam Doyle'a innego niż teraz. Nie starał się być inny, niż był w rzeczywistości.

Spojrzałam na Griffina, wciąż błyszczącego, wciąż pięknego. Galen i Rhys posadzili go na krześle. Galen oparł się o mały stolik przy krześle. Rhys o ścianę. Żaden z nich nie błyszczał, ale wiedziałam, że Galen przynajmniej nie starał się uchodzić za człowieka.

Kitto wszedł na łóżko i zwinął się koło mnie, jedną ręką objął mnie w talii, niebezpiecznie blisko łona. Ale nie próbował tego wykorzystać. Przytulił twarz do mojego biodra i wydawał się zadowolony, jakby miał zamiar spać.

Mróz usiadł po drugiej stronie łóżka, z nogami na podłodze, jakby nie chciał zostawić łóżka tylko goblinowi. Skrzyżował ramiona na piersi. Siedział prosto, wysoki i bardzo przystojny, ale nie błyszczał tak jak Griffin.

I nagle mnie olśniło. Griffin wcale nie zdjął osłony. On ją zwiększył. Przez te wszystkie lata myślałam, że się coraz bardziej odsłania, podczas gdy on coraz bardziej ukrywał swoje prawdziwe oblicze. Większość sidhe nie używała osłony przy innych sidhe. Można było spróbować, ale to był daremny trud. Dopiero teraz, gdy doszłam do pełnej mocy, przejrzałam jego oszustwo.

Zamknęłam oczy i oparłam głowę o ścianę.

- Zrzuć osłonę, Griffin. Bądź grzecznym chłopcem - powiedziałam zmęczonym głosem.

- Dobry jest w te klocki - stwierdził Doyle. - Może najlepszy z nas wszystkich.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na Doyle'a.

- Dobrze wiedzieć, że to przedstawienie nie było tylko dla mnie. Trochę się głupio czułam.

Doyle spojrzał na pozostałych.

- Panowie?

- Błyszczysz - powiedział Galen.

- Jak świetlik w czerwcu - dodał Rhys.

Mróz skinął głową.

Dotknęłam głowy Kitto.

- Widzisz go? - spytałam.

Kitto uniósł głowę z oczami na wpół zamkniętymi.

- Wszystkie sidhe są dla mnie piękne - powiedział, po czym z powrotem się do mnie przytulił.

Spojrzałam na Griffina, wciąż błyszczącego i tak pięknego, że chciałam zasłonić oczy, jakbym patrzyła na słońce. Chciałam krzyknąć, że dość już mam jego oszustw i sztuczek, ale nie zrobiłam tego. Złość utwierdziłaby go w przekonaniu, że wciąż coś do niego czuję. A nie czułam - a w każdym razie nie to, co chciał, żebym czuła. Czułam się oszukana, głupia i zła.

- Skontaktuj się z królową, Doyle - powiedziałam.

Naprzeciwko łóżka stała toaletka z dużym lustrem. Doyle stanął pośrodku lustra. Wciąż się w nim widziałam. Patrzyłam na siebie i zastanawiałam się, dlaczego nadal wyglądam tak samo. Och, moje

włosy potrzebowały grzebienia, makijaż poprawienia, nie miałam już też szminki na ustach, ale moja twarz była ciągle taka sama. Lata temu straciłam niewinność i niewiele już mogło mnie zaskoczyć. Tak naprawdę czułam się tym wszystkim zmęczona.

Doyle uniósł ręce nad lustrem. Poczulałam, jak jego magia wypełnia pokój. Kitto podniósł głowę i patrzył z ciekawością, położywszy policzek na moim udzie.

Moc zwiększyła się, a wraz z nią podnosiło się ciśnienie. Wiedziałam, że opadnie tylko wtedy, gdy moc zostanie użyta. Lustro zafalowało jak woda. Koniuszki palców Doyle'a były jak kamienie rzucone do rzeki, wokół nich robiły się na tafli lustra zmarszczki. Poruszył nadgarstkami i lustro nie było już czyste. Jego powierzchnia stała się mleczna niczym mgła.

Mgła rozproszyła się i przed naszymi oczami pojawiła się królowa. Siedziała na brzegu łóżka i patrzyła na nas. Nie miała rękawiczek, poza tym jednak była w tym samym stroju co na bankiecie. Mogłam się założyć, że czekała na to połączenie. Nagie ramię Eamona pojawiło się przy jej boku. Leżał, sprawiając wrażenie pogrążonego we śnie. Blondynek klęczał przy niej, podparty na łokciach. Był nagi. Jego ciało było mocne, ale szczupłe, ciało chłopca pozbawionego mięśni mężczyzny. Znowu ogarnęły mnie wątpliwości, czy skończył osiemnaście lat.

Doyle odsunął się na bok, tak żeby królowa mnie widziała.

- Witaj, Meredith. - Popatrzyła na półnagiego goblina i Mroza siedzącego ze mną na łóżku. Uśmiechnęła się i był to uśmiech zadowolenia. Uświadomiłam sobie, że jesteśmy w podobnej sytuacji. Tak jak ja miała w łóżku dwóch mężczyzn. Miałam nadzieję, że lepiej się bawi niż ja. A może nie miałam?

- Witaj, ciociu Andais.

- Myślałam, że będziesz w łóżku z dwoma lub więcej ze swoich chłopców. Rozczarowujesz mnie. - Poglądziła ręką nagie plecy chłopca, aż do jego okrągłego tyłeczka. To był odruch, jak głaskanie psa.

Mój głos był beznamiętny.

- Griffin był tutaj, kiedy przyjechaliśmy. Twierdzi, że to ty go przysłałaś.

- To prawda - odparła. - Zgodziłaś się spać z moim szpiegiem.

- Ale nie zgodziłam się spać z Griffinem. Myślałam, że po naszej rozmowie wiesz, co do niego czuję.

- Nie - powiedziała Andais. - Wcale tego nie wiedziałam. Nie byłam nawet pewna, czy ty to wiesz.

- Nic do niego nie czuję. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego, a już na pewno nie zamierzam z nim spać. - Ledwo to powiedziałam, uświadomiłam sobie, że może mi to nakazać z czystej złośliwości.

Dodałam więc szybko: - Chcę, żeby znowu obowiązywał go celibat. Został uwolniony od geasu dziesięć lat temu, żeby mógł ze mną sypiać, ale wykorzystał to, żeby pieprzyć wszystko, co się rusza. Chcę, żeby wiedział, że sypiam z innymi strażnikami, że oni uprawiają seks, a on nie. Chcę, żeby miał świadomość tego, że może już nigdy nie zaznać seksu. - Uśmiechnęłam się, kiedy uświadomiłam sobie, że to mogła być prawda. Niech mnie bogini błogosławi, to było mściwe, ale przynajmniej szczere.

Andais znowu się roześmiała.

- Och, Meredith, chyba masz w sobie więcej mojej krwi, niż myślałam. Jak chcesz. Wyślijcie go z powrotem do jego samotnego łóżka.

- Słyszałaś? - spytałam. - Wynocha.

- Nie będzie mnie, to będzie kto inny - powiedział Griffin. - Może najpierw spytaj królową, kogo ci przyśle na moje miejsce.

Spojrzałam na ciotkę.

- Kto zastąpi Griffina?

Wyciągnęła rękę i w lustrze pojawił się mężczyzna. Zupełnie jakby czekał obok. Jego skóra była w kolorze wiosennych lilii, a długie do kolan włosy - różowe. Miał złote oczy. Pasco, brat bliźniak Rozenwyn.

Patrzyłam na niego, a on na mnie. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Właściwie był czas, kiedy uważałam nas za wrogów.

Griffin roześmiał się.

- Nie żartuj, Merry. Wolisz się pieprzyć z Pasco niż ze mną?

Popatrzyłam na niego. Przestał błyszczeć i wyglądał prawie zwyczajnie. Był wściekły, tak wściekły, że ręce mu drżały, kiedy wskazał na lustro.

- Griffin, skarbie - powiedziałam - nie masz pojęcia, z iloma facetami wolałabym się pieprzyć niż z tobą.

Królowa roześmiała się, przyciągając Pasca do siebie, aż usiadł jej na kolanach, jak dziecko z wizytą u Świętego Mikołaja w centrum handlowym. Spojrzała na mnie, przesuwając dłońmi po jego włosach.

- Zgadzasz się, żeby Pasco był moim szpiegiem?

- Zgadzam się.

Oczy Pasca rozszerzyły się trochę, jakby spodziewał się, że zaprotestuję. Ale nie było mi to w głowie tego wieczoru. Andais pieściła dłońią jego plecy.

- Chyba go zaskoczyłaś. Myślał, że nigdy się nie zgodzisz z nim spać.

Wzruszyłam ramionami.

- To nie jest los gorszy od śmierci.

- Co prawda to prawda, moja bratanico.

Nasze spojrzenia spotkały się. Skinęła głową i odepchnęła od siebie mężczyznę. Poklepała go po tyłku na odchodnym.

- Zaraz u ciebie będzie.

- Świetnie - odparłam. - Spadaj, Griffin.

Griffin wahał się chwilę, potem stanął przed lustrem. Patrzył to na jedną, to na drugą z nas. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale je zamknął. To była najmądrzejsza rzecz, jaką mógł zrobić.

Uklonił się. - Moja królowo - rzekł, po czym odwrócił się do mnie. - Do zobaczenia, Merry. Jeszcze się spotkamy.

Pokręciłam głową.

- Po co?

- Kiedyś mnie kochałaś - powiedział i było to prawie błaganie.

Mogłam skłamać, ale nie zrobiłam tego.

- Tak, Griffinie, kiedyś cię kochałam.

Spojrzał na mnie, potem jego oczy spoczęły na łóżku i mężczyznach na nim.

- Przepraszam, Merry, przykro mi. - Sprawiał wrażenie szczerego.

- Przykro ci dlatego, że mnie straciłeś, że zabiłeś moją miłość, czy dlatego, że mnie już nie będziesz pieprzył?

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego.

- Dobry chłopiec. A teraz wynoś się - powiedziałam.

Na jego twarzy pojawił się ból i po raz pierwszy pomyślałam, że może zrozumiał, jak bardzo mnie skrzywdził. Wyszedł, a kiedy drzwi się za nim zamknęły, wiedziałam, że zniknął nie tylko z tego pokoju, ale i z mojego życia.

Westchnęłam i oparłam się o ścianę. Kitto przybliżył się, ocierając się nogą o moją nogę.

Zastanawiałam się, czy była szansa na to, że dzisiaj będę choćby przez chwilę sama.

Spojrzałam znów w lustro.

- Wiedziałaś, że nie zgodzę się na to, żeby Griffin był twoim szpiegiem, że nie będę chciała z nim spać.

Skinęła głową. - Musiałam wiedzieć, co tak naprawdę do niego czujesz, Meredith. Musiałam być pewna, że nie jesteś w nim już zakochana.

- Dlaczego? - spytałam.

- Dlatego, że miłość może stanąć na przeszkodzie pożądaniu. Teraz jestem pewna, że wyrzuciłaś go z serca. Cieszę się.

- A ja cieszę się, że ty się cieszysz - powiedziałam.

- Uważaj, Meredith. Nie lubię, gdy się ze mnie kpi.

- A ja nie lubię, gdy ktoś robi dla własnej przyjemności sekcję mojego serca. - Ledwo to powiedziałam, a już zaczęłam tego żałować.

Zmrużyła oczy.

- Kiedy zrobię sekcję twojego serca, Meredith, będziesz o tym wiedziała. - Lustro zasnuło się mgłą, a potem znowu stało się zwykłym lustrem. Popatrzyłam ze strachem na swoje odbicie.

- Sekcja serca - powiedział Galen. - Kiepskie określenie.

- Wiem.

- W przyszłości lepiej trzymaj język za zębami - poradził mi Doyle. - Andais tylko czeka na takie pomysły.

Odepchnęłam Kitta. Podniosłam stopę z łóżka, używając stoliczka nocnego jako podpórki.

- Co robisz? - spytał Doyle.

- Mam zamiar zmyć krew i brud, a potem iść do łóżka. - Popatrzyłam na nich. - Kto chce mi pomóc w kąpieli?

Cisza stała się nagle bardzo gęsta. Mężczyźni patrzyli jeden na drugiego, jakby niepewni, co powiedzieć czy zrobić. Galen podał mi rękę, żeby pomóc mi stanąć. Przyjęłam jego pomoc, ale pokręciłam głową. - Nie możesz dziś być ze mną. To musi być ktoś, kto zdoła dokończyć to, co zaczniemy.

Wlepił wzrok w podłogę i pomógł mi wrócić do łóżka, a potem podszedł do krzesła, gdzie leżała jego skórzana kurtka.

- Zobaczą, może uda się wynająć pokój obok, a później pójdę na spacer. Kto idzie ze mną?

Popatrzyli po sobie. Żaden z nich nie wiedział, jak się uporać z tą sytuacją.

- W jaki sposób królowa was wybiera? - spytałam.

- Po prostu wzywa do siebie strażnika lub strażników - powiedział Doyle.

- Nie wiesz, kogo wybrać? - spytał Mróz, a w jego głosie był ból.

- Mówisz tak, jakby możliwy był tu zły wybór. Wszyscy mi się podobacie.

- Ja już miałem przyjemność z Meredith - powiedział Doyle - więc daruję sobie dzisiaj.

To wzbudziło powszechne zainteresowanie, więc Doyle musiał wyjaśnić krótko, co miał na myśli. Mróz i Rhys spojrzeli na siebie i nagle atmosfera stała się naprawdę napięta.

- Co jest? - spytałam.

- Musisz wybrać, Meredith - powiedział Mróz.

- Dlaczego?

- Tych dwóch gotowych się tutaj pozabijać - stwierdził Doyle.

- Nie dwóch a trzech - powiedziałam.

Spojrzeli na mnie, a potem na goblina siedzącego na łóżku. Wyglądał na równie zaskoczonego jak

oni. Patrzył dużymi oczami. Sprawiał wrażenie lekko wystraszonego. Nigdy nie śmiałybym konkurować z sidhe.

- Kitto idzie ze mną do łazienki bez względu na to, kto jeszcze - oznajmiłam.

Popatrzyli na mnie. - Co powiedziałaś? - spytał Doyle.

- To, co słyszeliście. Chcę przymierza z goblinami, a to oznacza, że muszę podzielić się ciałem z Kitto. Mam zamiar zrobić to jeszcze tej nocy.

Galen podszedł do drzwi.

- Wrócę późno.

- Poczekaj na mnie - powiedział Rhys.

- Wychodzisz? - spytałam.

- Naprawdę bardzo cię pragnę, Merry, ale nie zadaję się z goblinami. - Wyszedł z Galenem. Doyle przekręcił klucz w zamku.

- Czy to oznacza, że zostajesz? - spytałam.

- Będę strzegł drzwi - odparł Doyle.

- A jeśli zechcemy użyć łóżka? - spytał Mróz.

Doyle zamyślił się, a potem wzruszył ramionami.

- Jeśli tak się stanie, poczekam na korytarzu.

Było jeszcze jedna rzecz do omówienia. Mróz chciał się upewnić, że nie będzie musiał dotykać goblina. Skoro się zgodziłam, zaniósł mnie do łazienki. Kitto już tam był, wlewając wodę do wanny. Spojrzał na nas, kiedy weszliśmy. Zdjął koszulę Galena i był teraz jedynie w srebrnej opasce na biodra. Nie odezwał się do nas, tylko patrzył swoimi ogromnymi niebieskimi oczami, jedną rękę zanurzając w wannie.

Mróz rozejrzał się po łazience. Posadził mnie na półeczce przy umywalce. Stał przede mną i cała sytuacja zrobiła się nagle niezręczna.

Pocałunek w samochodzie był cudowny, ale to był w ogóle nasz pierwszy kontakt fizyczny. Teraz nagle mieliśmy uprawiać seks - i to w obecności kogoś trzeciego.

- Jakoś tak głupio, co? - zagadnęłam.

Skinął głową. Ten ruch sprawił, że srebrne włosy owinęły się wokół jego ciała. Wyciągnął do mnie rękę, powoli, niepewnie. Zaczął zsuwać z moich ramion żakiet. Chciałam mu pomóc z rękawami, ale powiedział: - Nie, pozwól mi to zrobić.

Opuściłam ręce, a on zdjął ze mnie żakiet i rzucił go na podłogę. Przebiegł koniuszkami palców po nagiej skórze moich ramion. Zrobiła mi się gęsia skórka.

- Rozpuść włosy - powiedziałam.

Zdjął spinki i włosy spłynęły wokół niego jak włos anielski na choince. Wyciągnęłam ręce i chwyciłam je. Wyglądały jak srebrne druciki, ale były miękkie jak atlas.

Stał tak blisko, że jego nogi dotknęły moich. Przebiegł dłońmi po moich ramionach. Jego dotyk był bardzo niepewny, jakby bał się mnie pieścić.

- Jeśli pochyłisz się do przodu, rozepnę suwak sukni.

Zrobiłam, co kazał, opierając głowę o jego pierś. Przezroczysty materiał jego koszuli był drapiący, ale dłonie rozpiwały suknię wolno, delikatnie. Jego palce wsunęły się pod rozpiętą sukienkę, kreśląc kółka na gładkiej skórze moich pleców.

Próbowałam wyciągnąć koszulę z jego spodni, ale się nie udało.

- Nie mogę wyjąć koszuli.

- Jest przyszyta, żeby gładko leżała - powiedział.

- Przyszyta?

- Do spodni. Będę musiał ją zdjąć razem z nimi. - Nagle poczerwieniał.

- O co chodzi?

Woda przestała lecieć. - Kąpiel gotowa, pani - oznajmił Kitto.

- Dziękuję, Kitto. - Spojrzałam na Mroza. - Odpowiedz na moje pytanie. O co chodzi?

Spojrzał w dół, chowając się za błyszczącą zasłoną włosów. Odwrócił się ode mnie i skierował wzrok na ścianę, tak że nawet goblin nie widział jego twarzy.

- Proszę, nie każ mi skakać do ciebie, żebym mogła popatrzeć ci w twarz. Nie chcę skrócić drugiej kostki.

- Nie ufam sobie - powiedział, nie odwracając się.

- Co masz na myśli?

- No... tak jak mężczyzna z kobietą...

Wciąż nie wiedziałam, o co mu chodzi.

- Nie rozumiem.

Odwrócił się nagle do mnie, z pociemniałymi ze złości oczami.

- Chcę rzucić się na ciebie jak jakaś wściekła bestia. Nie chcę być delikatny. Chcę tylko jednego.

- Chodzi ci o to, że nie możesz sobie zaufać, że mnie nie... - Szukałam odpowiedniego słowa, ale musiałam się zadowolić tym: - Zgwałcisz?

Skinął głową.

Roześmiałam się. Nie mogłam się powstrzymać. Wiedziałam, że mu się nie spodoba ten śmiech, ale po prostu nie mogłam się powstrzymać.

Na jego twarzy pojawiła się arogancka maska, spojrzenie stało się zimne, ale wciąż było zagniewane.

- O co ci chodzi, Meredith?

- Wybacz mi, ale nie można zgwałcić kogoś, kto ma na to ochotę.

Zmarszczył brwi, jakby nie zrozumiał.

- Chcę się z tobą kochać. Taki mam zamiar. Jak chcesz mnie zgwałcić?

Pokręcił głową, włosy się przesunęły, błyszcząc w świetle.

- Nie rozumiesz. Boję się, że mogę przestać się kontrolować.

- W jakim sensie?

- W każdym! - Odwrócił się znowu ode mnie.

Zaczynałam rozumieć, co miał na myśli.

- Czy martwi cię to, że możesz skończyć, zanim uda ci się doprowadzić mnie do orgazmu?

- To i...

- Co?

- On chce cię zerznąć - stwierdził Kitto.

Oboje spojrzeliśmy na goblina wciąż klęczącego przy wannie.

- Wiem - powiedziałam.

Kitto pokręcił głową. - Nie chodzi mu o seks, tylko o rżnięcie. Długo musiał się bez tego obywać i teraz chce to po prostu zrobić.

Spojrzałam na Mroza. Unikał mojego wzroku. - Czy tego właśnie chcesz?

Zwiesił głowę, kryjąc się za włosami.

- Chcę zedrzyć z ciebie majtki, oprzeć o umywalkę i go po prostu w ciebie włożyć. Nie chcę być dzisiaj delikatny, Meredith. Jestem na wpół oszalały z pożądania.

- Więc zrób to.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Co powiedziałaś?

- Zrób to tak, jak chcesz. Czekaleś na to osiemset lat - masz prawo do spełnienia małej fantazji.

Zmarszczył brwi.

- Ale to nie będzie dla ciebie przyjemne.

- Niech cię o to głowa nie boli. Zapominasz, że moi przodkowie byli bogami płodności. Bez względu na to, ile razy to zrobisz, jednym dotknięciem ręki mogę sprawić, że będziesz pożądał mnie znowu. To, że tutaj zaczynamy noc, nie znaczy, że musimy ją tutaj skończyć.

- Więc pozwolisz mi na to?

Spojrzałam na niego, na szerokie ramiona, umięśnioną klatkę piersiową, błyszczące włosy, wąską talię, jędrne biodra przyobleczone w obcisłe spodnie. Wyobraziłam sobie, jak zdejmuje te spodnie, jak go widzę nagiego po raz pierwszy, jak się we mnie wbija, szybki, taki spragniony, że mnie nie dotyka, nic nie robi, tylko wchodzi we mnie. Westchnęłam i powiedziałam: - Tak.

Przeciął łaźienkę dwoma susami, podniósł mnie z półeczki, postawił na podłodze. Musiałam stanąć na chorej nodze, ale nie dał mi czasu na protesty. Ściągnął mi sukienkę przez ramiona jednym szybkim ruchem. Musiałam złapać się półki, żeby się nie przewrócić. Rzucił sukienkę na podłogę przed moimi stopami. Odwrócił mnie i zdarł ze mnie czarne atlasowe majteczki.

Widziałam Kitta w zaparowanym lustrze. Patrzył na nas z zainteresowaniem, nic nie mówiąc, jakby nie chciał przerwać zaklęcia.

Mróz musiał rozpiąć spodnie i zajęło mu to trochę czasu. Koszula była przyszyta do spodni w kroku. Rozerwał materiał. Spojrzałam przez ramię. Jego członek był długi, twardy i bardziej niż gotowy. Położył dłonie na mojej talii, odwracając mnie, tak że znów patrzyłam w zaparowane lustro.

Przez chwilę czułam, jak się ślizga, próbując znaleźć właściwą drogę, a potem był już w środku. Wcisnął go we mnie na siłę. Zgodziłam się na to, chciałam go, ale bez żadnej gry wstępnej przyjemność graniczyła z bólem. Jęczałam z bólu i pożądania. Kiedy wszedł tak głęboko, jak tylko mógł, wyszeptał: - Jesteś wąska, ale mokra.

- Wiem - wysapałam.

Wycofał się na chwilę, po czym znów we mnie wszedł i nagle wszystko poza tym stało się dla mnie nieważne. Wepchnął go we mnie tak mocno i szybko, jak tylko mógł. Jego ruchom towarzyszył odgłos ciała uderzającego o ciało. Zaczęłam jęczeć od samej siły jego uderzeń. Moje ciało otworzyło się przed nim, już nie było wąskie i tylko mokre.

Pochylił mnie nad półeczką, a potem uniósł i oparł na niej, odrywając moje stopy od ziemi. Wepchnął go we mnie, jakby próbował przewiercić mnie na wylot. Zaczęłam szybciej oddychać, czując coś rosnącego i nabrzmiewającego w moim ciele. Uderzał we mnie z taką siłą i pasją, że przyjemność cały czas graniczyła z bólem. Spodziewałam się, że zaraz skończy, ale myliłam się. Przesunął moje biodra na półce, jakby szukał odpowiedniego miejsca, a potem wbił się we mnie jednym mocnym ruchem, a ja krzyknęłam. Znalazł to nabrzmiewające miejsce w moim ciele i zaczął uderzać o nie tak mocno i szybko jak wcześniej, ale tym razem jęczałam już nie z bólu, a z rozkoszy. To coś w moim ciele rosło i nabrzmiewało, coraz cieplejsze. Miałam wrażenie, jakby ktoś muskał moją skórę tysiącami piór tylko po to, żebym drżała i wiała się, a ja jęczałam bez słów i bez myśli. To była pieśń ciała, nie miłości, nawet nie pożądania, ale czegoś prymitywnego, podstawowego.

Spojrzałam w lustro i zobaczyłam, że moja skóra błyszczy, moje oczy stały się zielono-złotym płomieniem. Widziałam w lustrze Mroza. Wyglądał, jakby był wyrzeźbiony z kości słoniowej i alabastru; błyszczał, świecił białym światłem, jakby moc miała z niego wybuchnąć. Przyłapał mnie na tym, że na niego patrzę, i przeszył mnie wściekłym spojrzeniem. Położył mi rękę na twarzy, odwrócił tak, żebym nie mogła na niego patrzeć, a drugą rękę położył na moich plecach, wciskając

mnie w półkę. Nie mogłam się ruszyć, nie mogłam uciec, nie mogłam go powstrzymać. Nie chciałam tego, ale rozumiałam go. Ważne dla niego było, żeby to on kontrolował sytuację, żeby to on mówił kiedy i jak, i nawet patrzenie na niego mu w tym przeszkadzało. To była jego chwila - ja byłam tylko ciałem, w którym mógł ugasić swoje pragnienie.

Jego oddech przyspieszył, ruchy zrobiły się chaotyczne, mocniejsze, szybsze. Krzyknęłam, ale on nie przestawał. Czułam, jak rytm jego ciała się zmienia i nagle to nabrzmiewające gorąco rozlało się po całym moim ciele, pulsując głęboko w nim, sprawiając, że się skurczyło, że nie byłam w stanie go już kontrolować i tylko jego dłonie trzymały mnie bez ruchu. Ale skoro moje ciało nie mogło się ruszyć, rozkosz musiała jakoś wyjść; wydostała się z moich ust w krzykach, wrzaskach tak szybko następujących po sobie, że ledwo mogłam złapać oddech.

Mróz krzyknął nade mną, dochodząc zaraz po mnie. Pochylił się nad półką, z dłońmi po obu moich bokach i z opuszczoną głową. Jego włosy rozlały się po moim ciele jak ciepły jedwab. Leżałam nieruchomo, przygnieciona jego ciałem, starając się przypomnieć sobie, jak się oddycha.

On pierwszy odnalazł głos, choć był to przerywany szept.

- Dziękuję.

Gdybym miała wystarczająco powietrza, to bym się roześmiała. Miałam tak sucho w gardle, że mój głos było ledwie słychać.

- Cała przyjemność po mojej stronie, naprawdę.

Pochylił się i pocałował mnie w policzek.

- Następnym razem lepiej się sprawię. - Zdjął ze mnie ręce, pozwalając mi się poruszyć, ale pozostał we mnie, jakby nie zamierzał wyjść.

Spojrzałam na niego, myśląc, że żartuje, ale miał poważną minę.

- To może być jeszcze lepiej? - spytałam.

Skinął głową.

- O tak.

- Wiesz co? Królowa to skończona idiotka - powiedziałam.

Uśmiechnął się.

- Zawsze tak uważałem.

Rozdział 35

Obudziłam się ze srebrnymi włosami rozciągniętymi jak błyszcząca pajęczyna na mojej twarzy. Poruszyłam głową, żeby je strącić. Mróz leżał na brzuchu odwrócony ode mnie twarzą. Od pasa w górę był odkryty, nogi miał owinięte pościelą. Jego włosy ułożyły się obok mnie jak trzecie ciało.

Oczywiście, w łóżku był już ktoś trzeci. Kitto leżał po mojej drugiej stronie. Był skulony, jakby chował się przed czymś w swoich snach. A może po prostu było mu zimno, bo leżał nago. Jego ciało było blade jak laleczki z porcelany. Nigdy nie byłam tak blisko mężczyzny, który przywodził na myśl słowo: malutki. Bark bolał mnie w miejscu, gdzie zostawił swój znak: doskonały ślad zębów na moim ciele. Skóra wokół rany zsiniała, była prawie gorąca w dotyku. Nie wstrzyknął mi jadu, tylko bardzo głęboko ugryzł. Zostawił bliznę - w sumie właśnie o to chodziło.

W pewnej chwili, gdy kochałam się z Mrozem trzeci albo czwarty raz, zaprosiłam Kitto, by się do nas przyłączył. Poczekaliśmy, aż Mróz doprowadzi mnie do punktu, w którym ból i przyjemność stapiają się ze sobą, i pozwoliłam, żeby Kitto mnie ugryzł. Nie bolało, kiedy to robił, co świadczyło o tym, jak bardzo byłam już zmęczona. Zaczęło boleć, dopiero kiedy w końcu postanowiliśmy iść spać, a prawdziwy ból poczułam dziś rano. Zresztą, bolało mnie całe ciało, co było widowym znakiem, że trochę go nadużyłam ostatniej nocy, czy raczej pozwoliłam, żeby Mróz go nadużył.

To był taki ból, jak po bardzo intensywnym treningu na siłowni, z tym że bolały mnie inne

mięśnie. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz obudziłam się z uczuciem, że seks pozostawił na moim ciele wielki jedwabny siniak. Chyba bardzo dawno temu.

Kitto bardzo się ucieszył, że pozwoliłam mu siebie naznaczyć. Dzięki temu wszyscy wiedzieli, że jestem jego kochanką. Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę z tego, że nigdy nie miał się ze mną kochać, w każdym razie ostatniej nocy o to nie pytał. Był bierny, robił tylko to, na co mu pozwoliłam lub o co poprosiłam, nigdy nie przeszkadzając. Stanowił doskonałą widownię, bo nie zauważało się go. Gdy zaś mu się coś poleciło, wykonywał rozkazy lepiej niż jakikolwiek mężczyzna, z którym byłam.

Wstałam, a włosy Mroza spłynęły po moim ciele, jakby były żywe. Przebiegłam rękami po moich krótkich włosach. Teraz, kiedy wiadomo było, że jestem księżniczką Meredith, mogłam je znowu zapuścić. Bolały mnie nadgarstki i ból ten nie miał nic wspólnego z seksem. Bandaże na nadgarstkach nie przetrwały kąpieli. Powinnam była zrobić sobie opatrunek. Tego ranka jednak rany po kolcach były już zasklepione, prawie wyleczone, jakby miały z tydzień lub więcej, a nie kilka godzin. Przebiegłam po nich palcem. Nigdy wcześniej tak szybko nie wydobrałam. Kitto musiał mnie ugryźć już chyba po tym, jak kochałam się z Mrozem czwarty raz - gdyby zrobił to wcześniej, pewnie te rany już też byłyby zasklepione. Jeśli to seks mnie leczył. Wciąż nie byliśmy tego pewni.

Miałam tylko mały kawałek prześcieradła, resztę zawłaszczyl Mróz. Świnia. W pokoju było chłodno. Pociągnęłam za prześcieradło, ale on tylko jęknął w proteście. Spojrzałam na jego gładkie plecy i przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Musnęłam językiem jego plecy, a on westchnął cicho. Pochyliłam się, przeciągając językiem po jego kręgosłupie.

Mróz uniósł głowę z poduszki, powoli, jak człowiek wyrwany z głębokiego, mrocznego snu. Był nieco rozkojarzony, ale kiedy spojrzał na mnie, powoli się uśmiechnął.

- Nie masz jeszcze dosyć?

Położyłam się na nim.

- Nigdy - powiedziałam.

Roześmiał się, niskim, radosnym śmiechem, obrócił się na bok i podparł na jednym ramieniu, żeby na mnie spojrzeć. Odrzucił prześcieradło. Przykryłam nim Kitta, który wydawał się mocno spać.

Mróz objął mnie w talii i pochylił się, żeby pocałować mnie lekko w usta. Moje dłonie ześlizgnęły się na jego barki, plecy. Przyciągnęłam go do siebie.

Rozszerzył mi nogi kolanem i zrobił pierwszy ruch biodrami, żeby we mnie wejść, ale nagle znieruchomiał. Miał przestraszoną minę.

- Co się stało?

- Cicho.

Nie odzywałam się. W końcu to on był strażnikiem. Czy to ludzie Cela? To był ostatni dzień, żeby mnie zabić i nie ponieść za to konsekwencji. Mróz zerwał się z łóżka, chwycił Zimowy Pocałunek z podłogi i przebiegł przez pokój do okna, niczym zamazana srebrna błyskawica.

Wyciągnęłam pistolet spod poduszek. Kitto obudził się i zaczął się rozglądać wokół.

Mróz odsunął zasłony, a jego miecz już był wycelowany w szybę, kiedy nagle zamarł. Na zewnątrz był mężczyzna z aparatem fotograficznym. Przez chwilę widziałam, jak unosi zaskoczoną twarz, a potem Mróz zbił pięścią szybę i chwycił reportera za szyję.

- Mróz, nie, nie zabijaj go! - Przebiegłam przez pokój naga, z bronią w ręku. Drzwi za nami otworzyły się i odwróciłam się do nich z odbezpieczoną bronią.

W drzwiach stał Doyle z mieczem w dłoni. Spojrzał na mnie, a potem na wycelowaną w siebie broń. Skierowałam lufę w podłogę, a on wszedł do pokoju i zamknął za sobą kopniakiem drzwi. Nie

schował miecza, ale rzucił go na łóżko, kiedy szedł w stronę Mroza.

Twarz reportera stała się fioletowo-purpurowo-czerwona - najwyraźniej nie mógł oddychać. Twarz Mroza była nie do poznania, malowała się na niej wściekłość.

- Mróz, zabijesz go!

Doyle stanął przy nim.

- Jeśli go zabijesz, królowa cię ukarze.

Mróz zdawał się nas nie słyszeć, skoncentrowany całkowicie na swojej dłoni ściskającej gardło mężczyzny.

Doyle stanął za nim i uderzył go w plecy tak mocno, że Mróz wpadł na okno, ale puścił reportera. Odwrócił się z dzikim wzrokiem, a po jego dłoni spływała krew.

Doyle stanął w pozycji do walki, bez broni. Mróz rzucił miecz na podłogę i zrobił to samo. Kitto skulił się pośrodku łóżka i patrzył szeroko otwartymi oczami.

Podeszłam do zasłon, żeby je zaciągnąć, i zobaczyłam reporterów biegnących ku nam jak sfora wilków. Niektórzy w biegu pstrykali zdjęcia, inni krzyczeli: - Księżniczko, księżniczko Meredith!

Zaciągnęłam zasłony, tak że nie było w nich najmniejszej szparki, ale to niewiele zmieniło. Musieliśmy się przedostać do pokoju obok, gdzie spali Galen i reszta. Skierowałam broń na drewniane wezgi łóżka. Kitto zobaczył to i zanurkował w drugą stronę.

Wypaliłam tylko raz. W pokoju zadudniło. Obaj mężczyźni odwrócili się i wpatrywali we mnie dzikim wzrokiem. Pokazałam pistoletem na sufit.

- Właśnie biegnie tutaj jakaś setka reporterów. Musimy przenieść się do innego pokoju, i to już!

Nikt nie protestował. Mróz, Kitto i ja chwyciliśmy prześcieradła i ubrania i przeszliśmy do drugiego pokoju, zanim reporterzy zaczęli wchodzić przez okno. Uzbrojony Doyle ubezpieczał tyły. On, Galen i Rhys wrócili po bagaże. Zadzwoiłam na policję i zawiadomiłam ich o włamaniu do pokoju.

Ubraliśmy się w łazience - nie dlatego, że się wstydziliśmy, ale dlatego, że nie było tam okna. Kiedy wyszłam z łazienki, Doyle i Mróz siedzieli na krzesłach. Nikogo innego nie było. Obydwaj mieli miny typowe dla strażników - nie do odczytania. Ale było w nich coś dziwnego.

- Co się stało? - spytałam. Chodziłam normalnie, zapomniałam już, że moja kostka była nadwerężona. Dopiero Galen mi o tym przypomniał. Żaden z nich nie odezwał się i to mnie zdenerwowało.

Popatrzyli na siebie. Doyle wstał. Miał na sobie dzisiaj czarne dzinsy i buty do kostek. Koszula była elegancka - czarna, jedwabna, z długimi rękawami. Przez ramię przewieszoną miał czarną kaburę. Nawet pistolet był czarny. Beretta 10 mm, starszy model.

Jego włosy wydawały się jak zwykle bardzo krótkie, tymczasem sięgały mu prawie do kolan. Spiczaste uszy błyszcząły srebrnymi kolczykami. One i mała srebrna sprzączka paska były jedynymi rzeczami, które przełamowały totalną monotonię jego wyglądu. Do tego dochodził jeszcze srebrny łańcuszek z małym rubinem, który zwisał z ucha.

- Mamy problem - powiedział.

- Masz na myśli reportera, który zrobił zdjęcia mnie i Mrozowi?

- To nie tylko ten jeden reporter - powiedział Mróz.

- Wiem, rekiny wyczuły krew. - Zaczęłam wkładać przybory toaletowe do walizki stojącej na łóżku. - Byłam już obiektem uwagi mediów, ale nigdy na taką skalę.

Mróz skrzyżował nogi, ukazując szare mokasyny, ale nie skarpetki. Mróz nigdy by nie włożył eleganckich spodni tak krótkich, że widać byłoby skarpetki. Szyta na miarę marynarka pasowała do szarych spodni. Z butonierki wystawała mała błękitna chusteczka. Do tego biała koszula i szary krawat ze srebrną spinką. Związał włosy z tyłu w koński ogon, podkreślając mocne rysy twarzy. Był niesamowicie przystojny, kiedy włosy nie zasłaniały mu twarzy. Spokojny i opanowany - trudno mi

było uwierzyć, że to ten sam mężczyzna, który wczoraj przyparł mnie do kafelków w łazience. Ale wiedziałam, że ten drugi Mróz był pod spodem, czekając na pozwolenie, żeby wyjść.

Wrzuciłam przybory toaletowe do walizki, zamknęłam ją i zaczęłam zasuwac. Spojrzałam na nich.

- Wyglądacie, jakby stało się coś bardzo złego. Coś, o czym jeszcze nie wiem. Gdzie są pozostali?

- Pilnują drzwi i okien - odpowiedział Mróz. - Próbują utrzymać dziennikarzy z daleka, ale to daremny trud, Meredith.

Doyle położył dłonie na komódce, opuścił głowę. Gruby warkocz opadł mu między nogi.

- Nie strasz mnie. Powiedz po prostu, co się stało.

Mróz dotknął gazety leżącej na stoliku obok niego. Prawie odruchowo.

- Czy to „St. Louis Post-Dispatch”? - spytałam.

Doyle spojrzał na Mroza, który podniósł dłonie, pokazując, że są puste.

- Ona musi wiedzieć.

- Tak - powiedział cicho Doyle.

- Rozmawiałam wczoraj z Barrym Jenkinsem. Powiedział, że napisze, że jestem księżniczką faerie.

Chyba nie żartował. Czy to o to chodzi?

Doyle oparł się o komódkę ze skrzyżowanymi ramionami. Prawą dłonią pieścił pistolet. Tak okazywał zdenerwowanie. Kiedy stał za królową, dotykając w ten sposób broni, był zdenerwowany albo szykował się do ataku.

Podeszłam do stolika.

- O co chodzi, chłopaki? Jenkins to dupek, ale nie napisałby kłamstw, nie w „Post”.

- Najpierw to przeczytaj, a potem powiedz, że nie ma się czym martwić - powiedział Doyle.

Na pierwszej stronie ujrzałam zdjęcie przedstawiające mnie i Galena na lotnisku. Ale tym, co mnie naprawdę zainteresowało, był tytuł artykułu: „Księżniczka Meredith wraca do domu, żeby znaleźć męża”. Pod zdjęciem zaś było napisane małymi literkami: „Czy to ten?”

Odwróciłam się do Doyle’a i Mroza.

- Jenkins pewnie zgadywał. Galen i ja wiedzieliśmy, że nam robią zdjęcia. Popatrzyłam na nich. Wciąż byli poważni, zmartwieni. - Co z wami? Nie po raz pierwszy piszą o nas w gazetach.

- Nie tak jak teraz - powiedział Mróz.

- Dalej jest jeszcze lepiej - dodał Doyle. - Czy też raczej gorzej. Przeczytaj artykuł.

Zaczęłam przeglądać artykuł. Zatrzymałam się już na pierwszym akapicie. - Griffin udzielił wywiadu Jenkinsovi! - wykrzyknęłam. Musiałam usiąść na brzegu łóżka. Zabrakło mi tchu. - Niech nas Bogini ma w swojej opiece.

- Królowa już się z nami skontaktowała - powiedział Mróz.

- Dopilnuje, żeby został ukarany za to, że nadużył twojego zaufania. Zwołała na dzisiaj konferencję prasową.

- Proszę, Meredith. Przeczytaj artykuł - nalegał Doyle.

Przeczytałam. Dwa razy. To nawet nie chodziło o to, że Griffin podał intymne szczegóły naszego pożycia, ale o to, że zrobił to bez mojego pozwolenia. Podzielił się moim prywatnym życiem ze wszystkimi. Sidhe są przewrażliwione na punkcie własnej prywatności. Intymne tajemnice nie mają dla nas takiego znaczenia jak dla ludzi, ale nasze życie osobiste nie powinno być szpiegowane. Szpiegowanie karane było w przeszłości śmiercią. Dla Griffina mogła to być terazniejszość. Królowej nie spodoba się to, że rozmawiał z dziennikarzami.

Siedziałam na łóżku i patrzyłam na artykuł, ale go nie widziałam. Spojrzałam na mężczyzn.

- Podaje szczegóły naszego związku, aluzje, brudne aluzyjki. Mam szczęście, że to dobra gazeta, a nie jakiś szmatławiec.

Spojrzeni po sobie.

- Och nie, powiedzcie, że żartujecie.

Mróz sięgnął za siebie i podał mi kolorowy magazyn. Najwyraźniej schował go, kiedy wychodziłam z łazienki.

Zdjęcie na pierwszej stronie - to byłam ja i Griffin w łóżku. Moje piersi zakrywały tylko jego ręce. Śmiałam się. Oboje się śmialiśmy. Pamiętałam te zdjęcia. Pamiętałam, jak bardzo chciał je zrobić. Wciąż je miałam, ale nie wszystkie. Nie wszystkie.

Usłyszałam swój głos. Był spokojny, choć odległy.

- Jak? Jak udało im się zamieścić to tak szybko? Nie wiedziałam, że magazyny wychodzą tak szybko.

- Najwyraźniej jest to możliwe - powiedział Doyle.

Spojrzałam na zdjęcie. Podpis pod nim brzmiał: „Jak kochają się sidhe. Tajemnice życia seksualnego księżniczki Meredith i jej kochanka ujawnione”.

- Powiedzcie mi, że to jedyne zdjęcie.

- Tak mi przykro - odparł Doyle.

Mróz dotknął moich dłoni, jakby chciał je uspokajająco poklepać, ale się cofnął.

- Nie sposób wyrazić, jak mi przykro, że ci to zrobił.

Spojrzałam w jego szare oczy. Zobaczyłam w nich współczucie, a nie gniew. A chciałam teraz właśnie tego ostatniego.

- Czy królowa o tym wie?

- Tak - potwierdził Doyle.

Trzymałam czasopismo w rękach, chciałam je otworzyć, zobaczyć pozostałe zdjęcia, ale coś mnie przed tym powstrzymywało. Podałam gazetę Mrozowi.

- Jak bardzo jest źle?

Spojrzał na Doyle'a, a potem na mnie. Zrzucił na chwilę arogancką maskę i ujrzałam Mroza, przy boku którego się dziś obudziłam. - Nie widać cię nagiej od przodu. Ale poza tym jest źle.

Ukryłam twarz w dłoniach, kładąc łokcie na kolanach.

- O mój Boże, jeśli Griffin sprzedał je Jenkinsowi i szmatławcom, to i wszystkim innym. - Wstałam jak pływak wychodzący z głębokiej wody. Trudno mi było złapać oddech. W Europie są magazyny, które opublikują wszystko. Nie mam nic przeciwko rozebranyim zdjęciom, ale one były robione na prywatny użytek - były przeznaczone tylko dla mnie i Griffina. Gdybym chciała, żeby opublikowali takie zdjęcia, zgodziłabym się przed laty na propozycję „Playboya”. Na Panią i Pana, jak Griffin mógł coś takiego zrobić? - Nagle do głowy przyszła mi straszliwa myśl. Spojrzałam na Mroza.

- Powiedz, proszę, że zabrałeś aparat i film temu reporterowi, którego próbowałeś udusić?

Spojrzał mi z ociąganiem w oczy.

- Przykro mi, Meredith, powinienem był myśleć przede wszystkim o aparacie, ale pozwoliłem, żeby kierowała mną złość. Zrobię wszystko, żeby ci to jakoś wynagrodzić.

- Oni opublikują te zdjęcia, rozumiesz? Będziemy na nich wszyscy troje: ty, ja i Kitto razem w łóżku. One ukażą się we wszystkich szmatławcach, a te odważniejsze - w Europie. Chciałam krzyczeć, ale nie przychodziło mi do głowy nic, od czego poczułabym się lepiej.

- Griffin dowie się, co królowa mu robi - powiedział Doyle. - Będzie miał szczęście, jeśli go nie zabije.

Skinęłam głową, próbując uspokoić oddech, zmuszając się do koncentracji na wznoszeniu się i opadaniu klatki piersiowej.

Chciałam spokoju, ale nie był mi on dany. Skinęłam jeszcze raz głową. - Zanim go złapią, zrobi tyle złego, ile będzie mógł. - Nabrałam powietrza w płuca. Słysząc było napięcie w moim głosie, ale

jakoś się trzymałam. - Myślę, że uciekł.

- Znajdziemy go - powiedział Mróz. - Świat jest mały.

Roześmiałam się, ale śmiech przeszedł w płacz. Ześlizgnęłam się z krzesła na podłogę, pomiędzy porzucane fragmenty „Post-Dispatch”. Lądowanie na ziemi było bolesne. Całe ciało bolało mnie od seksu, byłam posiniaczona. Ból przypominał mi, że nie było tak źle. Wciąż miałam dostęp do najpiękniejszych mężczyzn Dworu Unseelie. Wciąż byłam mile widziana w Krainie Faerie. Królowa dała słowo, że nic mi się nie stanie. Mogło być gorzej. Musiałam to sobie powtarzać aż do znudzenia. Uspokoiliam oddech, ale dalej byłam wściekła.

- Wczorajszej nocy nie życzyłam mu źle, ale teraz... - Złapałam magazyn Mroza i zmusiłam się, żeby spojrzeć do środka. To nie moja częściowa nagość mnie dobiła. To szczęście, które promieniowało z naszych ciał, z naszych twarzy. Byliśmy zakochani i to było widoczne. Ale jeśli mógł mi zrobić coś takiego, to znaczy, że nigdy mnie naprawdę nie kochał. Pożądał mnie, to wszystko. Ktoś, kto kocha, nie robi takich rzeczy.

Rzuciłam magazyn do góry i patrzyłam, jak jego kartki luzem opadają powoli na ziemię.

- Chcę jego śmierci. Nie mówcie królowej. Za kilka dni mogę zmienić zdanie. - Mój głos był zimny ze złości, takiej złości, która usadawia się w twoim sercu i nigdy cię nie opuszcza. Gorący gniew przebiega przez ciebie i jest bliskim krewnym namiętności, ale zimny gniew jest bliskim krewnym nienawiści. Nienawidziłam Griffina. - Nie chcę, żeby mi przysłała jego głowę lub serce w koszyku. Nie chcę tego.

- I tak może chcieć go zabić - powiedział Doyle.

- Tak, ale przynajmniej nie będę go miała na sumieniu. Nie będę prosiła o jego śmierć. Niech sama wpadnie na ten pomysł.

Mróz uklęknął koło mnie, patrząc na mnie szarymi oczami. Wziął moje ręce w swoje. Były ciepłe, co oznaczało, że moje musiały być zimne. Może byłam bardziej zdenerwowana, niż myślałam, może byłam w szoku.

- Jestem pewien, że królowa już zdecydowała o jego losie - powiedział.

- Nie - odparłam. Wstałam i odwróciłam się od niego. Objęłam się ramionami, bo wiedziałam, że mogę im zaufać; zaczęłam mieć wątpliwości co do wszystkich innych. - Jeśli królowa złapie go od razu, pewnie go zabije. Ale im dłużej pozostanie na wolności, tym bardziej wymyślne tortury będzie obmyślać.

Mróz wciąż klęczał, patrząc na mnie.

- Na jego miejscu wolałbym to pierwsze.

- Ucieknie - powiedziałam. - Ucieknie tak daleko i szybko, jak to tylko możliwe. Będzie miał nadzieję, że jakimś cudem się uratuje.

- Znasz go tak dobrze? - spytał Mróz.

Popatrzyłam na niego i roześmiałam się. Było w tym śmiechu coś dzikiego.

- Tak mi się kiedyś wydawało. Ale może nigdy go nie znałam. Może wszystko to były kłamstwa. - Patrzyłam na Mroza i cieszyłam się, że go nie kocham. Ufałam bardziej pożądaniu niż miłości.

Doyle wstał i wziął mnie delikatnie za rękę.

- Nie pozwól, żeby Griffin sprawił, że nie będziesz ufać sobie, Meredith. Nie pozwól, żeby sprawił, że nie będziesz ufała nam.

Spojrzałam mu w oczy.

- Skąd wiesz, że o tym właśnie myślałam?

- Bo o tym właśnie myślałbym na twoim miejscu.

- Nie, ty zastanawiałbyś się, jak go zabić.

Doyle przytulił mnie. Nadal byłam napięta, ale nie wyrwałam się.

- Powiedz, że chcesz jego śmierci, a tak się stanie. Wybierz jakąś część jego ciała, a przyniosę ci ją.

- Przyniesiemy - poprawił go Mróz, wstając.

Odprężyłam się na tyle, żeby objąć Doyle'a w pasie. Wtuliłam się w jego jedwabną koszulę. Słyszałam bicie jego serca, miarowe, ale nieco szybkie.

Ktoś zapukał do drzwi. Doyle skinął głową i Mróz poszedł otworzyć. Doyle wyciągnął pistolet, potem przesunął mnie na bok, wciąż obejmując, tak że zasłaniał mnie swoim ciałem.

- To ja, Galen, otwórzcie.

Mróz spojrział przez judasza. W ręce miał dużą czterdziestkę czwórkę. - To on i Rhys.

Doyle skinął głową, opuścił pistolet, ale go nie odłożył. Napięcie było duże, bardzo duże. Myślę, że wszyscy oczekiwaliśmy kolejnego ataku Cela i spółki. Ja na pewno, a ja byłam paranoiczna z konieczności. Strażnicy - z zawodu.

Za strażnikami wszedł Kitto. Był ubrany w ciemne dżinsy, bladożółtą koszulkę polo z małym aligatorem z przodu i białe buty sportowe. Wszystko wyglądało na dopiero co kupione.

Galen spojrział na gazety, potem na mnie. - Tak mi przykro, Merry.

Doyle pozwolił mi się wyslizgnąć ze swoich objęć, tak żebym mogła podejść do Galena. Przytuliłam twarz do jego piersi, objęłam go w pasie i trzymałam. Byłam bezpieczna z Doyle'em, namiętna z Mrozem, ale tylko z Galenem rozluźniona.

Chciałam tak go trzymać, zamknąć oczy i się do niego tulić. Ale zaplanowano konferencję prasową, a królowa chciała, żebyśmy wcześniej spotkali się i uzgodnili, której wersji prawdy będziemy się trzymać. Od dziecka uczestniczyłam w konferencjach prasowych i nigdy nie byłam na takiej, na której powiedziano by prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bogini. Nie było sposobu, żeby usunąć bałagan, którego narobił Griffin. Mógł zostać ukarany, ale zdjęcia już ujrzały światło dzienne i nic tego nie zmieni. Wciąż nie miałam pojęcia, jaką bajeczkę wymyślić w związku ze zdjęciami przedstawiającymi Mroza, Kitta i mnie nago w łóżku. Ale jeśli ktokolwiek mógł wymyślić jakieś rozwiązanie, to tylko moja ciotka. Andais, Królowa Powietrza i Ciemności, potrafiła tak wszystko poprzekrecać, że dziennikarze dawali się na to złapać. Będąc pod jej urokiem, pisali to, co im kazała, choć zatuszowanie tego skandalu będzie trudne nawet dla niej. Kiedyś miałam nadzieję, że jej się wreszcie nie powiedzie. Teraz miałam nadzieję, że się uda. Czy byłam hipokrytką? Niewykluczone. A może po prostu byłam praktyczna?

Rozdział 36

Ostatni reporterzy odjechali przed północą, wypełnieni starym winem, drogimi przekąskami i kitem wciśniętym im przez moją ciotkę. Ale zrobiła to z klasą. Ubrała się w gładką garsonkę, nie wkładając pod żakiet bluzki, tak żeby olśnić ich swoim biustem. Wyglądała jak luksusowa dziwka. Była podekscytowana, że przyjechałam z wizytą do domu. Podniecona, że w końcu postanowiłam ustatkować się z jakimś szczęściarzem sidhe. Zasmucona zdradą Griffina. Jeden z reporterów zapytał ją o rzekomy afrodyzjak faerie, który spowodował rozruchy na komisariacie w LA. Nic jej o tym nie było wiadomo. Andais nie pozwoliła odpowiadać nikomu innemu. Zdaje się, że nie bardzo mi ufała. Mężczyźni zaś byli tylko dekoracją - nigdy nie mówili.

Cel siedział po jej prawej, ja po lewej stronie. Uśmiechaliśmy się do siebie. Pozowaliśmy we trójkę do zdjęć? On w czarnym japiszońskim garniturze, ja w krótkiej czarnej japiszońskiej spódnicy i żakiecie wykładanym prawdziwymi gagatami, Andais w swoim stroju luksusowej dziwki. Wyglądaliśmy, jakbyśmy szli na bardzo drogi, bardzo stylowy pogrzeb. Jeśli kiedykolwiek zostanę królową, zmienię kolorystykę dworu - wszystko tylko nie czarne.

Dzisiaj dwór był bardzo spokojny. Cela odprowadzono, by przygotował się do odbycia kary.

Królowa wzięła Doyle'a i Mroza do swych apartamentów, by zdali jej relację z ostatnich wydarzeń. Galen utykał, więc Fflur poprosiła go do siebie, żeby mu dać maść, która miała przyspieszyć gojenie się ran. Zostali więc ze mną tylko Rhys, Kitto i Pasco. Pasco przyszedł do hotelu ostatniej nocy, ale pozostał w drugim pokoju. Jego długie różowe włosy opadały do kolan jak blada zasłotka. Czarny to nie był jego kolor. Jego skóra miała fioletowy odcień, a włosy były prawie brązowe. Czerń pasowała lepiej do Rhysa, ale włożył on niebieską koszulę, której kolor pasował do jego oka - królowa pozwoliła mu na to.

Rhys i Pasco szli za mną jak na dobrych ochroniarzy przystało. Kitto szedł przy moim boku jak wierny pies. Nie pozwolono mu pozować do zdjęć podczas konferencji. Uprzedzenie do goblinów było silne na obu dworach. Kitto był jedynym, któremu pozwolono pozostać w dzinsach i koszulce. Zostawaliśmy tutaj na noc, bo było to jedyne miejsce w promieniu pięćdziesięciu mil, w którym nie było reporterów. Nikt nie będzie rozbijał okien królowej, żeby zrobić jakieś zdjęcia.

Próbowałam znaleźć swoje stare komnaty. Zamiast tego znalazłam drzwi z drewna i brązu. Za tymi drzwiami znajdowała się Otchłań Rozpaczy. Ostatnio, kiedy widziałam tę komnatę, była ona blisko Korytarza Śmierci - czytaj: sali tortur. Otchłań nie miała dna. Jedna z najgorszych naszych kar polegała na wrzuceniu do niej delikwenta. Spadał on nawet nie przez wieki, a przez wieczność, nigdy się nie starzejąc, nigdy nie umierając, uwięziony po wsze czasy.

Zatrzymałam się w korytarzu, czekając na Pasca i Rhysa. Kitto instynktownie odsunął się od Rhysa. Rhys nie dotknął go, tylko patrzył. Cokolwiek Kitto zobaczył w jego oku, wystraszył się.

- Co się stało? - spytał Rhys.

- Co to tu robi?

Przyjrzał się drzwiom, marszcząc czoło.

- To drzwi do Otchłani.

- No właśnie. Powinny być co najmniej trzy poziomy niżej. Co one robią na głównym piętrze?

- Mówisz tak, jakby kopiec działał z sensem - powiedział Pasco. - A on po prostu postanowił przesunąć drzwi na najwyższe piętro. Czasami robi takie przemeblowania. Spojrzałam na Rhysa. Skinął głową. - Czasami tak.

- Czyli jak często?

- Powiedzmy, że raz na tysiąc lat - stwierdził Rhys.

- Uwielbiam mieć do czynienia z ludźmi, dla których „czasami” oznacza tysiąc lat roześmiałam się.

Pasco chwycił za ogromną brązową klamkę.

- Pozwól, księżniczko. - Drzwi otwierały się powoli. Musiały być naprawdę bardzo ciężkie. Pasco, podobnie jak większość dworzan, zburzyłby niewielki budynek, jeśli miałby na to ochotę. Jednak otworzył drzwi z wyraźnym trudem.

Komnata, która znajdowała się za nimi, była mroczna i szara, jakby nie dochodziło do niej światło. Weszłam do środka, a Kitto zaraz za mną, wciąż zachowując bezpieczny dystans pomiędzy sobą a Rhysem, jak pies, który boi się kopniaka. Komnata była dokładnie taka, jaką ją zapamiętałam. Duża, kamienna, owalna sala z okrągłą dziurą na środku podłogi. Wokół dziury była barierka z kości, srebrnego drutu i magii, która błyszczała własnym blaskiem. Niektórzy utrzymywali, że barierka została zaklęta, żeby otchłań nie mogła się przedrzeć przez podłogę i pożreć całego świata. Tak naprawdę jednak barierka była zaklęta, żeby ludzie nie mogli skakać do otchłani w akcie samobójczym lub wpaść do niej przez przypadek. Żeby się do niej dostać, trzeba było być wrzuconym.

Spojrzałam na błyszczące kości i zrobiło mi się nieswojo, a Kitto przywarł do mojej ręki jak dziecko, które boi się przejść samo przez ulicę. Szliśmy do drzwi po drugiej stronie komnaty. Moje wysokie obcasy stuknęły na kamiennej posadzce. Drzwi za inną zatrzasnęły się, sprawiając, że podskoczyłam. Kitto pociągnął mnie za rękę, żebym się pospieszyła. Nie potrzebowałam ponaglania, ale też nie mogłam biec na wysokich obcasach. Już wyleczyłam w tym tygodniu jedną skręconą kostkę - wystarczy.

Kątem oka ujrzałam po drugiej stronie otchłani jakiś ruch. W tej samej chwili za naszymi plecami rozległ się dźwięk. Odwróciłam się.

Rhys klęczał z opuszczonymi rękami, z wyrazem zadziwienia na twarzy. Pasco stał nad nim, a w jego dłoni znajdował się zakrwawiony nóż. Rhys upadł powoli do przodu, łądując ciężko, z rękami wciąż wzdłuż ciała, otwierając i zamykając usta jak ryba wyciągnięta z wody.

Ruszyłam w kierunku drzwi. Kitto szedł obok mnie. Wiedziałam jednak, że jest już za późno. Po drugiej stronie komnaty pojawiły się dwie postacie. Rozenwyn i Siobhan. Rozdzieliły się - jedna poszła w lewo, a druga w prawo, żeby mnie otoczyć. Siobhan błada jak upiór w Halloween, a Rozenwyn różowa i lawendowa jak laleczka. Jedna wysoka, druga niska. Różniły się tak bardzo, a jednak szły jak dwie połówki całości.

Przywarłam plecami do ściany; Kitto ukucnął koło mnie, jakby starał się zrobić mniejszy i mniej widoczny.

- Rhys żyje. Nawet cios w serce go nie zabije - powiedziałam.

- Ale podróż w otchłań na pewno - odparł Pasco.

- Rozumiem, że mnie czeka to samo. - Mój głos był przeraźliwie spokojny. Nie mogłam pozbierać myśli, ale głos miałam spokojny.

- Najpierw cię zabijemy - powiedziała Siobhan - a potem wrzucimy.

- Wielkie dzięki, to miło z waszej strony, że najpierw mnie zabijecie.

- Moglibyśmy pozwolić ci umrzeć z pragnienia, gdy będziesz spadała - wtrąciła Rozenwyn. - Twój wybór.

- A jest jakaś trzecia możliwość? - spytałam.

- Obawiam się, że nie - powiedziała Siobhan, a jej głos powtórzyło echo. Obydwie okrążyły barierkę i podchodziły do mnie z dwóch stron. Pasco został przy

ledwie dychającym Rhysie. Miałam dwa składane noże, ale one miały miecze. Byłam okrążona i słabiej uzbrojona.

- Boicie się mnie tak bardzo, że napadacie na mnie we trójkę? Rozenwyn już raz o mało mnie nie zabiła, i to sama. Wciąż mam ślad na żebrach.

Rozenwyn pokręciła głową.

- Nie, Meredith, nie namówisz nas na pojedynek. Mamy rozkaz, żeby cię po prostu zabić. Żadnych gier, bez względu na to, jak zabawne mogłyby być.

Kitto przywarł do podłogi, obejmując moją nogę.

- Co zamierzacie zrobić z Kitem?

- Goblin dołączy do Rhysa w otchłani - zasyczała Siobhan. Wyciągnęłam nóż, a one się roześmiały. Przywołałam moc do drugiej ręki, moc ciała - po raz pierwszy specjalnie.

Czekałam, aż zaboli, ale tak się nie stało. Moc przeszła przeze mnie jak silny deszcz. Domyśliły się, że wezwałam magię, bo spojrzały na siebie. Przez chwilę się wahały, a potem ruszyły znów do przodu. Były zaledwie dziesięć stóp ode mnie, kiedy Kitto rzucił się jak gepard na Siobhan. Przeszła jego ciało mieczem, ale nie zraniła go poważnie. Zaczął ją

gryźć, szarpać i drapać, walcząc jak jakieś małe wściekłe zwierzątko.

Rozenwyn podbiegła do mnie, ale ja się tego spodziewałam i dałam nura na ziemię, czując tylko powiew powietrza wywołany ruchem miecza, który nade mną świsnął.

Chwyciłam ją za nogę, dotykając kostki. Noga zaczęła zmieniać kształt. Żeby zrobić z nią i o samo co z Nerys, musiałabym uderzyć w środek jej ciała, ale wiedziałam, że Rozenwyn nie da mi na to szansy.

Upadła na ziemię, krzycząc i patrząc, jak jej piękna długa noga kurczy się i zawija w fale. Wbiłam jej nóż w gardło, nie żeby zabić, ale żeby odwrócić jej uwagę. Wyrwałam jej miecz z ręki, która nagle stała się bezwładna. Usłyszałam, że Pasco biegnie w moją stronę. Upadłam na kolana, walcząc z chęcią odwrócenia się, ale nie było czasu. Poczułam, jak jego miecz przecina powietrze nad moją głową i machnęłam za siebie mieczem Rozenwyn, mając nadzieję, że go trafię. Udało się. Miecz wbił się głęboko w jego ciało. Przeturlałam się na bok. Upadł na brzuch, a miecz wbił się w niego aż po rękojeść. Zaczął charczeć. I wtedy stało się coś, czego nic planowałam. Pasco upadł twarzą na zdeformowaną nogę swojej siostry. Nie miał nawet czasu krzyknąć. Ich ciała zaczęły się stapiać. Dłońmi bił jeszcze w ziemię, ale jego głowa zlała się w jedno z nogami Rozenwyn.

Rozenwyn wyciągnęła nóż ze swojego gardła. Rana zagoiła się od razu, a ona zaczęła krzyczeć. Wyciągnęła do mnie lawendową dłoń.

- Meredith, księżniczko, nie rób tego, błagam cię!

Odsunęłam się pod ścianę, patrząc, bo nie mogłam tego zatrzymać. Nie wiedziałam jak. To był wypadek. Byli bliźniakami, kiedyś dzielili jedno łono. Może to dlatego. Straszliwy wypadek. Gdybym wiedziała, gdzie zacząć, spróbowałabym to zatrzymać. Nikt nie zasługiwał na coś takiego.

Oderwałam wzrok od stapiających się ze sobą Rozenwyn i Pasca, żeby zobaczyć Siobhan i Kitta. Siobhan była cała we krwi, podrapana i pogryziona, ale nie miała większych ran. Klęczała jednak, a jej miecz leżał przed nią. Oddała mi swoją broń. Kitto leżał przy niej, sapiąc, dziura w jego piersi zaczęła się już zasklepiać. Mogła mnie zabić, kiedy patrzyłam na Rozenwyn i Pasca, ale była zbyt przerażona, żeby ryzykować podejście do mnie. Ona się mnie... bała.

Głowa Rozenwyn zniknęła jako ostatnia część ciała w bezkształtnej masie pulsującej na kamiennej podłodze. Słyszałam krzyk - jej i jej brata. Tym razem były to dwa głosy. Dwie osoby uwięzione na zawsze. Byłam tym wszystkim przerażona. Nie tylko Siobhan się bała. Rhys wstał z mieczem w dłoniach. Potem upadł przede mną na kolana, ze wzrokiem utkwionym w to, co leżało na ziemi.

- Panie i pani, chrońcie nas.

Mogłam tylko skinąć głową. Ale w końcu udało mi się odzyskać głos. Był niski, ochrypły.

- Rozbrój Siobhan, a potem zabij to.

- Jak? - spytał.

- Siekaj to tak długo, aż przestanie się ruszać. - Popatrzyłam na miecz Rozenwyn. Był jedyny w swoim rodzaju, zrobiony specjalnie dla niej. Rękojeść miał wysadzany drogimi kamieniami. Trzymając ten miecz w dłoni, ruszyłam do drzwi.

- Dokąd idziesz? - spytał Rhys.

- Mam wiadomość do przekazania. - Drzwi otworzyły się przede mną, jakby poruszone niewidzialną ręką. Przeszłam przez nie, a one się za mną zamknęły. Kopiec

pulsował i szeptał wokół mnie. Udałam się na poszukiwania Cela.

Leżał nagi, spętany łańcuchami, na podłodze ciemnej komnaty. Krzątał się przy nim Ezekial, nasz kat, z rękawicami chirurgicznymi na dłoniach i butelką łez Branwyna. Tortury się jeszcze nie rozpoczęły, a tym samym nie zaczął się trzymiesięczny okres ochronny. Nie mogłam więc żądać śmierci Cela za to, że próbował mnie zabić.

Królowa zobaczyła mnie pierwsza, jej wzrok powędrował do miecza w mojej dłoni.

Przy niej stali Doyle i Mróz, świadkowie wstydu jej syna.

- Co się stało? - spytała.

Przyłożyłam miecz do nagiej piersi Cela. Rozpoznał go - widziałam to w jego oczach.

- Przyniosłabym ci uszy Rozenwyn i Pasca, ale nie mają już uszu.

- Co im zrobiłaś? - wyszeptał.

Uniosłam lewą dłoń nad jego ciałem. - Meredith, nie możesz tego zrobić - powiedziała królowa.

- Kiedyś dzielili jedno łono, teraz dzielą jedno ciało. Czy powinnam była ich wrzucić do otchłani, gdzie chciałeś umieścić Rhysa i Kitta? Czy powinnam pozwolić tej pulsującej kuli mięsa spadać przez wieczność?

Popatrzył na mnie i w jego oczach pojawił się strach. - Nie wiedziałem, że chcą to zrobić. Ja ich nie wysyłałem.

Wyprostowałam się i przywołałam ruchem ręki Ezekiala. - Zaczynaj. - Ezekial spojrział na królową. Skinęła głową, a on ukląkł obok Cela i zaczął go pokrywać olejkiem. Odwróciłam się do Andais.

- Za to, że chciał mnie zabić, chcę, żeby odbył pełną karę - sześć miesięcy. Andais zaczęła protestować, ale Doyle powiedział: - Wasza Wysokość, najwyższa pora, żeby zacząć traktować go tak, jak na to zasługuje.

Skinęła głową. - Sześć miesięcy, masz na to moje słowo.

- Mamo, nie! - krzyknął Cel.

- Kiedy skończysz, zapieczętuż tę komnatę - powiedziała do Ezekiala. Gdy wychodziła, Cel wciąż za nią krzyczał.

Patrzyłam, jak Ezekial pokrywa go olejkiem, patrzyłam jak jego ciało ożywa pod dotknięciem. Mróz i Doyle stanęli po moich bokach. Cel patrzył na mnie, kiedy to się działo, a wyraz jego twarzy mówił, że myśli o mnie w sposób, jaki nie przystoi kuzynowi.

- Miałem zamiar cię zabić, Meredith, ale teraz zmieniam zdanie. Kiedy się stąd wydostanę, zerznę cię, będę cię rznął, aż zajdziesz w ciążę. Tron jest mój, nawet jeśli będę musiał dostać go poprzez twoje białe jak lilia ciało.

- Jeśli się do mnie zbliżysz, zabiję cię - powiedziałam, po czym odwróciłam się i wyszłam. Doyle i Mróz poszli za mną jak na dobrych ochroniarzy przystało. Głos Cela niósł się po korytarzu. - Merry, Merry! - krzyczał głosem coraz bardziej szalonym z pożądania. Jeszcze przez długi czas ten krzyk dudnił mi w uszach.

Rozdział 37

Śmierć Pasca oznaczała, że królowa musi wyznaczyć nowego szpiega, który pojedzie ze mną do LA. Była niezbyt pewna siebie, słysząc wciąż krzyki Cela. Naciskałam, dopóki nie zgodziłyśmy się na strażnika, który nie był jej ulubieńcem. Nicca boi się mojej ciotki, więc będzie jej donosił. Z drugiej jednak strony, pomógł nam po tym, jak kolce próbowały wypić ze mnie krew. Doyle mu ufa, a ja ufam Doyle'owi. Królowa twierdzi, że Nicca nie jest nadzwyczajnym kochankiem, ale ciało ma całkiem całkiem. Jego ojciec był krwawym motylem. Matka - damą dworu, pełnej krwi sidhe.

Królowa kazała mu zdjąć koszulę, żeby pokazać mi ogromne znamię w kształcie skrzydeł motyla na jego plecach. Genetyka próbowała obdarzyć go skrzydłami, chociaż był ludzkiego wzrostu. Żaden tatuażysta nie stworzyłby czegoś tak pięknego. Królowa kazałaby mu się rozebrać do naga, żebym zobaczyła, dokąd sięga ten wzór, gdybym nie powiedziała, że wolę mieć niespodziankę. Nicca sprawiał wrażenie wystraszonego. Patrzył na Andais tak, jak wróbel ze złamanym skrzydłem patrzy na zbliżającego się węża. Zabrałam go od niej tak szybko, jak tylko mogłam. Doyle zapewnia mnie, że Nicca jest w porządku, jeśli w pobliżu nie ma królowej. Chciałabym wiedzieć, co mu zrobiła, że tak się jej boi. A może lepiej nie wiedzieć? Im starsza jestem, tym częściej myślę, że niewiedza czasami jest błogosławieństwem.

Polecieliśmy do Los Angeles, gdy tylko stało się to możliwe. Musieliśmy poprosić policję o pomoc w utrzymaniu dziennikarzy na dystans. Zdjęcia Mroza, Kitta i mnie znalazły się chyba we wszystkich szmatławcach świata. Podobno europejskie szmatławce opublikowały te zdjęcia w pełnej krasie. Wszyscy zadawali to samo pytanie: który z nich dwóch - Mróz czy Kitto jest moim nowym narzeczonym? Niezmiennie odpowiadałam: „żaden”. W końcu jakiś mądry dziennikarz zapytał, czy jestem za poliandrią. Pokazałam na pięknych mężczyzn wokół siebie i spytałam: - A ty byś nie był? - Dziennikarze łyknęli to. Postanowili przyłączyć się do tej gry. Księżniczka Meredith szuka nie męża, a mężów.

Jeremy wyszedł po nas na lotnisko wraz z Utherem. Uther oczyścił nam drogę. Kiedy ma się trzynaście stóp wzrostu, mięśnie i potężne kły na twarzy, nawet dziennikarze się odsuwają. Jeremy przyznał, że księżniczka pracowała dla Agencji Detektywistycznej Greya. Rozmawialiśmy wcześniej przez telefon, ponieważ Jeremy myślał, że nie wrócę do pracy. Ale lepiej czułam jako detektyw niż jako księżniczka. Poza tym miałam teraz wiele gęb do wyżywienia. Ringo wyszedł ze szpitala i prawie już wyzdrowiał po ataku ogra na vana. Roane wrócił z oceanu. Da mi muszelkę, białą, błyszczącą muszelkę. Uroczy prezent, który znaczy dla mnie więcej niż klejnot, bo znaczy dużo dla Roane'a. Sam postanowił, że nie będziemy już kochankami, nie musiałam go o to prosić, chociaż powiedziałam mu, że jeśli po tamtej nocy został porażony elfem, to jest mile widziany. Jego nowa focza skóra ochroniła go chyba jednak przed tą chorobą. Cieszę się z tego, bo prawdę mówiąc, nie narzekam na brak mężczyzn.

Mam zawsze przy sobie co najmniej jednego strażnika. Doyle woli, gdy jest ich dwóch. Strzegą mnie dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, więc muszą się zmieniać. Dzięki temu nikt nie jest pewien, kto będzie kiedy na służbie. Wszystkim tym zarządza Doyle. Kiedy mnie nie ochraniają, próbują jakoś znaleźć się w świecie, do którego ich sprowadziłam, Rhys oczywiście chciał zostać prawdziwym detektywem. Jeremy nie miał nic przeciwko temu, żeby pełnej krwi wojownik sidhe zaczął u niego pracować. Jak tylko się to rozniosło, każda sława w okolicy nagle zapragnęła mieć ochroniarza sidhe. Interes szedł tak dobrze i przez większość czasu był tak dziecinnie łatwy - wystarczyło stać i rozglądać się, o prawdziwym niebezpieczeństwie raczej nie było mowy - że przyłączyli się do niego Galen i Nicca, Doyle twierdzi, że nie będzie ochraniać nikogo oprócz mnie. To samo mówi Mróz. Kitto po prostu chce być koło mnie i spędzałby większość czasu pod moim biurkiem, gdybym mu na to pozwoliła. Nie czuje się tu zbyt dobrze. Biedny goblin przedtem nawet nie widział samochodu ani telewizora - a teraz spędza czas w drapaczu chmur w jednym z najnowocześniejszych miast świata. Jeśli się nie przystosuje, będę musiała wysłać go z powrotem do Kuraga, co będzie oznaczało, że król goblinów przyśle zastępstwo. Mogę się założyć, że następny goblin nie będzie taki miły.

Cokolwiek krwawe motyle zrobiły Galenowi, to było coś więcej niż zwykła rana, bo nie goi się w pewnych miejscach, tak jak powinna. Wezwaliśmy lekarza i najlepszego specjalistę od magii, żeby

rzucili na to okiem. Obaj rozłożyli bezradnie ręce. Jeśli nauka i magia nas ostatecznie zawiodą, będą musiała porozmawiać z królową Niceven i dowiedzieć się, co, do cholery, mu zrobiła. Myślę, że Galen właśnie dlatego chce ochraniać innych, że nie może wytrzymać tego, że jest przy mnie, a wciąż nie ze mną. Ja zresztą też nie mogę tego wytrzymać. Tyle lat oczekiwania i wciąż musimy czekać.

Agencja Detektywistyczna Greya stała się tak lukratywnym interesem, że Jeremy chce zatrudnić więcej osób i przenieść się do większego biura. Na początku dochodziło do konfliktów między nim i strażnikami, bo oni są Unseelie, a Jeremy wciąż żywi do Unseelie urazę. Galen i Rhys wzięli go jednak pewnego wieczoru na drinka. Nie wiem, co sobie powiedzieli, ale następnego dnia napięcie opadło. Męskie więzi w rozkwicie.

Frances Norton, wdowa po Alistairze Nortonie, oraz Naomi Phelps, jego była kochanka, mają się dobrze. Zamieszkały razem i gdyby były parą heteroseksualną, powiedziałabym, że można spodziewać się zaproszenia na ślub. Wydają się szczęśliwe i żadna z nich nie opłakuje Alistaira. Policja namierzyła kilku wyznawców sidhe. Dwóch z nich zginęło w tajemniczych okolicznościach, zanim policja zdołała ich zatrzymać. Nie mam zbyt wiele nadziei, że któregoś z nich da się złapać. Królowa i ludzie Cela zwykle sprzątają po sobie. Królowa zapewniła mnie, że z jej prywatnego składu zniknęła tylko jedna buteleczka Łez Branwyna, więc nie ma niebezpieczeństwa dla ludzi. Dała mi na to słowo, a żadna sidhe nie kłamie, nawet Andais. Nie ma nic gorszego dla sidhe niż otwarte kłamstwo. Nikt już z tobą nie ubije żadnego interesu, jeśli to zrobisz. Nikt z tobą nie będzie spał, a już na pewno nie weźmie ślubu. Andais jest teraz na grząskim gruncie - nie ryzykowałaby. Mówi się o rewolucji i wiem, że stoją za tym ludzie Cela. Chociaż niektórzy sugerują, że to sprawa Barinthus, który chce mnie zrobić królową bez względu na to, czy urodzę dziecko, czy nie. Kazałam mu obiecać, że niczego takiego nie robi, ale on wciąż nie chce przyjechać do LA, mówiąc, że potrzebujemy przynajmniej jednego silnego przyjaciela na dworze. Pewnie ma rację, ale ciekawa jestem, co knuje.

Doyle dzieli ze mną łóżce, ale nie ciało. To znaczy, że sypiamy razem, ale nie uprawiamy seksu. Twierdzi, że oczekiwanie sprawi, że nabierze to wartości. Nie wiem, co planuje, ale kiedy patrzę w jego ciemne oczy, wiem, że coś się za tym kryje. Kiedy go o to pytam, mówi: - Chcę, żebyś była bezpieczna i została królową. - Nie wierzę mu. To znaczy, wierzę, że chce, żebym była bezpieczna i żebym rządziła po Andais, ale jest w tym coś jeszcze. Kiedy go przyciskam, uśmiecha się i kręci głową. Teraz już wiem, że kiedy Ciemność Królowej ma jakąś tajemnicę, to nie da się jej z niego wyciągnąć, dopóki sam nie będzie gotowy jej wyjawić. Tak długo jak nie będziemy w pełni razem, tak długo jak nie będę wiedziała, o czym myśli, wciąż będzie Ciemnością Królowej, a nie moją. I to nie brak seksu, ale te ciągłe tajemnice sprawiają, że nie jest naprawdę mój. Jeśli nie mogę mieć jego ciała i serca, jak mam mu ufać? Odpowiedź jest prosta - nie mogę.

Wróciłam do Los Angeles i pracuję jako detektyw, ale pod własnym nazwiskiem. Mam dostęp do kochanków sidhe i mogę wrócić do Krainy Faerie, kiedy tylko zechcę. Mam wszystko, czego chciałam, ale wciąż czuję napięcie. Bo brakuje jeszcze kropki nad i. Cel wciąż żyje, a jego sprzymierzeńcy boją się, że ich zniszczę, kiedy obejmę tron. Rewolucje wybuchały już z bardziej błahych powodów. Dziennikarze wciąż depczą mi po piętach. Gonią za seksem i romansami - gdyby tylko wiedzieli, co naprawdę się za nimi kryje... Griffin nie został znaleziony. Może nie żyje i nikt mi nie powiedział. Choć znając moją ciotkę, myślę, że przysłałaby mi kilka części jego ciała. Powinnam być szczęśliwa i jestem, ale brakuje mi spokoju. Czuję, że to cisza przed burzą, a będzie to niezła burza. Chcę ją przeżyć w łódeczce zrobionej z ciał moich strażników i z każdą pieśczęcią, każdym spojrzeniem coraz bardziej zależy mi na tym, żeby żadnego z nich nie stracić. Straciłam w życiu wystarczająco ludzi. Chciałabym spróbować choć raz nikogo nie stracić. Straciłam wiarę razem z

rodziną, ale teraz zrobiłam ołtarzyk w pokoju i znów się modłę. Modłę się bardzo żarliwie, choć wiem, że nie zawsze dostaje się na swoją modlitwę taką odpowiedź, jakiej by się chciało. Nie chcę tronu, jeśli musiałabym do niego dojść po trupach swoich przyjaciół i kochanków. Nie chcę niczego aż tak bardzo - nigdy nie chciałam. Zawsze uważałam, że miłość jest ważniejsza niż władza, ale czasami, żeby kochać, trzeba mieć władzę, bo tylko ona zapewnia bezpieczeństwo. Modłę się o bezpieczeństwo dla tych, których kocham. Może tak naprawdę modłę się o władzę, wystarczającą, żeby ich chronić. Niech i tak będzie. Cokolwiek, co ich ochroni, nawet jeśli musiałbym zostać królową. Nie mogę nią być, kiedy Cel żyje, bez względu na to, co sądzi o tym moja ciotka. Modłę się o bezpieczeństwo tych, na których mi zależy, a tak naprawdę proszę o władzę, tron i śmierć mojego kuzyna. Bo te trzy rzeczy muszą się wydarzyć, żebyśmy byli bezpieczni. Mówią, żeby uważać na to, czego się pragnie. Cóż, jeszcze ostrożniejszym trzeba być z modlitwą. Upewnij się na sto procent, że właśnie tego pragniesz. Nigdy nie wiadomo, kiedy Bóg może ci dać dokładnie to, o co prosisz.